

Kim



RUDYARD KIPLING

Kim

TŁUM. JÓZEF BIRKENMAJER

KIM JEST KIM?

Zdawać by się mogło, że to kalambur — jakby jowialny Bengalczyk Hurree Babu, wyznawca filozofii Herberta Spencera, niesyt triumfów w „urzędowej” angielszczyźnie, nauczył się mówić po polsku i próbował u nas krzewić filozoficzne spekulacje. Tymczasem nie! Pytanie powyższe zadaje sobie raz po raz sam tytułowy bohater niniejszej powieści, młodociany Kimball O’Hara. Odpowiedzią zaś na to pytanie jest — cała książka.

Kimże jest więc *Kim*? Jest przede wszystkim — tak go najczęściej zwą — przyjacielem całego świata; zupełnie jak w znanej bajce Krasickiego:

bardzo go tam zwierzęta lubiły,
i on też używając wszystkiego z weselem
wszystkich był przyjacielem...

Kochają go wszyscy: i fakirzy spod Taksalskiej Bramy, i przekupki, i wieśniacy, kocha go stary wiarus, w którym chłopak ożywił wspomnienia wojenne, kocha Kamboh, któremu on syna cudownie uzdrowił zwykłą chininą, kocha dobrotliwy ojciec Wiktor, kocha z głupia frant pułkownik Creighton, kocha (aż o to wybucha scena zazdrości) lekarz pereł Lurgan sahib i wspomniany hakim Hurree Babu, nie mówiąc już o innych, „cyfrowanych” tylko kolegach z tajemniczego „departamentu”. Kocha go kobieta z Kulu, choć mu wymyśla, kocha i kobieta z Shamlegh, choć poprzysięgła nienawiść sahibom (przyczyny tej nienawiści opowiedział Kipling w noweli *Lispeth w Gawędach spod Himalajów*). Kochały go i kochają nieprzeliczone rzesze czytającej publiczności, i to nie tylko angielskiej, wśród której rozeszły się już setki tysięcy egzemplarzy arcydzieła Kiplingowego — ale i polskiej, która niegdyś była zmuszona czytać tę powieść w najokropniejszym i najlichszym ze wszystkich tłumaczeń (niechże Kim wspaniałomyślnie przebaczy owym „tłumaczom”, jak lama Teshoo przebaczył bezbożnym cudzoziemcom, co go spoliczkowali!)... tłumaczeniu okrojonym i wypranym ze wszystkiego, co żywe, barwne i piękne. Ale najgorętszych, najwierniejszych przyjaciół miał Kim trzech: koniarza Mahbuba Alego, lamę Teshoo, a wreszcie — niżej podpisanego tłumacza.

Wyrażając się stylem nieco algebraicznym, można by powiedzieć, że trzy główne osoby powieści: Mahbub, Kim i lama, tworzą razem proporcję ciągłą; jak bowiem Mahbub umie na swoją korzyść obrócić nieświadomość Kima, tak też i Kim ze swej strony nieraz zręcznie wyzyskuje naiwność lamy. Ten *sui generis* „taniec czynowników” jest jednocześnie stopniowaniem psychiki, dążeń i upodobań trzech wspomnianych osób: z jednej strony materialista-mahometanin, z drugiej idealista-buddyjczyk¹, pomiędzy zaś nimi, jak na rozdrożu, stoi mały Irlandczyk, któremu „i to pachnie i to nęci”. Nie dziwota, że niekiedy, nie rozumiejąc dobrze swej drogi zapyta sam siebie: „Kimże jest *Kim*?”. W tym założeniu należy, moim zdaniem, upatrywać główną oś architektoniczną tej iście klasycznej powieści, głębszej i bardziej spójnej, niż się jednemu zdaje. Piszę o tym dlatego, że w jednym dość pedantycznym (oczywiście niemieckim) studium o Kiplingu spotkałem twierdzenie, jakoby „Kim” był „niepowiązany w budowie”.

¹buddyjczyk — dziś: buddysta. [przypis edytorski]

Świat „departamentu”, który stanowi jedną z głównych akcji² niniejszej powieści, zajmował nieraz autora „Departmental Ditties”, co więcej, był jednym z wielu jego *discoveries* (odkryć) literackich, tak jak było nim kiedy indziej odkrycie poezji życia koszarowego. Dał on autorowi możliwość wskrzeszenia i istotnego ożywienia obumarłych pono³ (tak mówili krytycy) przeżytych i rzekomo nieprawdopodobnych „sposobów” cechujących dawną komedię, jak: *qui pro quo*, podsłuchiwanie cudzych tajemnic, przebieranie się za inną osobę itd.; arcyrealista Kipling dowiódł, że te właśnie, tak od czasów realizmu potępiane, szczegóły mogą być najzupełniej realne, ba, doniosłe w skutkach, oddziaływające na los całych państw i narodów. Ponadto właśnie dzięki nim można realniej i dokładniej niż jakkolwiek inną drogą poznać krajobraz, życie i obyczaje niemal całych Indii.

To zwiedzanie Indii — owa „droga zbawienia” najczęściej mimo woli współmierna z drogą ponęt doczesnych — stanowi drugą główną akcję *Kim*. Drogą tą kroczą dwaj ludzie — jeden do tańca, drugi do różańca — którzy kontrastem swoich charakterów i upodobań przypominają nieco kontrast Don Kiszota i Sanczo Pansy; tylko gdy w romansie Cervantesa giermek-wyjadacz jest opasły i niezgrabny, a męstwem nie grzesząc, panu swojemu rzemiosło rycerskie zostawuje⁴, to „chela” tybetańskiego lamy-marzyciela jest smukły, piękny i zwinny, a znakiem jego jest konstelacja wojny.

Nie opowiedział Kipling dalszego ciągu żywota Kima; ale i to, co jest, powinno nam wystarczyć. Nawet bez stawiania horoskopów, za przykładem kapłana z Umballi możemy odgadnąć, jaki będzie dalszy bieg życia tego złotego chłopaka, przedzierzgniętego w mężczyznę. Pozostanie on nadal chłopakiem, bo Kipling obdarzył go wiekuiłą młodością; jeżeli skończy — to wysoko. Co ma wisieć, nie utonie... a nad Kima nie było większego wisusa i urwisa; w tym zresztą nadzieja, że urwałby się i z szubienicy. Oto druga odpowiedź na pytanie: „Kim jest *Kim*?”.

Inne odpowiedzi są już zgoła zbyt liczne. Tak więc na przykład bez rozstrzygnięcia pozostawimy kwestię, czy był on istotnie siostrzeńcem owej nałogowej palaczki opium, czy był sahibem, czy synem Wschodu; niech się nad tym głowią czytelnicy — może ich to zmusi do uważniejszego przeczytania powieści.

Zanim ją oddam do przeczytania, winienem wpieryw wyjaśnić rzecz jedną. Powiedziałem powyżej, że prócz Mahbuba i lamy miał Kim jeszcze trzeciego przyjaciela — we mnie. Poznałem się z Kimem na ławie szkolnej, w szkole wielce podobnej do konwiktu w Lucknow; było to wówczas, gdy pospołu z nim poznawałem „język sahibów” — angielszczyznę; później tułaliśmy się razem po Azji... toteż tłumacząc powieść o tym moim kamracie, przeżywałem na jawie jego przygody, przejmowałem się z całej duszy jego zamiarami, współczułem do głębi wszystkim jego radościom i smutkom. Rzec o sobie mogę, że się żył i zrósł z tą arcy powieścią Kiplingową, której arcyizm i bogactwo chcąc ocenić, trzeba by ją czytać w oryginale. Jej tłumaczenie jest w stosunku do oryginału czymś w rodzaju owej *Game of Pearls*, jaką zabawiał się Kim z małym Hindusem u Lurgana sahiba; mały Hindus zawsze większym był mistrzem... Starłem się jednak nie przeoczyć żadnego z klejnotów poezji Kiplingowej — w tym celu przełożyłem i wszystkie wiersze, które dawniejsi tłumacze Kiplinga zwykli byli wyrzucać kędyś na śmietnik shamlegński, odejmując wielkiemu poecie to, co w nim najistotniejsze. Czy mój przekład „zdobędzie sobie zasługę” (mówiąc stylem lamy Teshoo) — osądzą czytelnicy.

Józef Birkenmajer

ROZDZIAŁ I

Wy, coście Wąską Drogą nieprzerwanie
Szli do Dnia Sądu przez piekiel otchłanie,
Wybaczyć, kiedy modlą się poganie
Do swego Buddy w Kamakurze!

²akcyj — dziś forma D.lm: akcji. [przypis edytorski]

³pono (daw.) — podobno. [przypis edytorski]

⁴zostawuje (daw.) — dziś popr. forma 3 os.lp: zostawia. [przypis edytorski]

Lekceważąc sobie rozporządzenia zwierzchności miejskiej, siedział okrakiem na armacie Zam-Zammah, co stała na ceglany cokole na wprost starego Ajajib-Gher — Domu Cudów, jak lahorskie muzeum nazywają krajowcy. Kto dzierży Zam-Zammah, owego „smoka zionącego ogniem”, jest tym samym władcą Pendżabu, gdyż to wielkie działo z pośniedziałego spiżu zawsze pierwsze bywa łupem zdobywcy.

Poniekąd Kima można było usprawiedliwić (zepchnął z lawety armatniej syna Lali Dinanatha): wszak w Pendżabie panowali Anglicy, a Kim był Anglikiem. Wprawdzie miał cerę ogorzałą, jak każdy z tuziemców; wprawdzie w rozmowie oddawał pierwszeństwo gwarze miejscowej, a znajomość języka ojczystego zdradzał jeno urywkowym, niepewnym paplaniem; wprawdzie na prawach zupełnej równości bratał się z małymi andrusami⁵; mimo to Kim był człowiekiem białym, choć białosc jego była wielce ubożuchna i skromna. Kobieta mieszanej rasy, opiekująca się nim (była namiętną palaczką opium i ponoć miała skład używanych gratów na placu, gdzie postój dorożek), opowiadała misjonarzom, że jest ciotką Kima; w istocie matka jego była niańką w domu pewnego pułkownika i poślubiła Kimballa O'Hare, młodego chorążego irlandzkiego pułku Mavericków. Ów objął następnie posadę na kolei Sind-Pendżab-Delhi, a pułk bez niego powrócił do kraju. Gdy żona zmarła w Ferozepore na cholera, O'Hara rozpił się i jął zbijać baki, wałęsając się wzdłuż linii kolejowej z trzyletnim bystrookim berbeciem. Księża oraz członkowie różnych stowarzyszeń religijnych starali się go pochwycić w obawie o los dziecka, lecz O'Hara wymykał się im, aż poznał się z kobietą, która paliła opium; przejąwszy się od niej tym nałogiem, zmarł tak, jak umierają w Indiach nędzarze z rasy białej.

W chwili śmierci całe jego mienie stanowiły trzy dokumenty: pierwszy nazwał on *ne varietur*, gdyż te słowa były tam umieszczone pod jego podpisem, drugim było świadectwo zwolnienia ze służby wojskowej, trzecim zaś — metryka Kima. Te szpargały (mawiał w chwilach, gdy przebrał miarę w opium) powinny były wy kierować kiedyś małego Kimballa na wielkiego człowieka. Kimowi pod żadnym warunkiem nie wolno było rozstawać się z nimi, gdyż wchodziły one w skład wielkich czarów... takich czarów, jakie odbywają się tam z przeciwną, za muzeum, w wielkim biało-niebieskim Jadoo-Gher — Domu Czarnoksiężskim, jak u nas zwą lożę masonską. Pewnego dnia (powiadał) wszystko na dobre się obróci i sława Kima rozbrzmiewać będzie wśród kolumn... straszliwych kolumn — piękna i siły. Sam pułkownik, jadąc konno na czele pułku, najlepszego w świecie, pójdzie za Kimem, małym Kimem, któremu w udziale przypadnie lepszy los niż jego ojcu. Dziewięciuset chłopów na schwał, istnych diabłów, których bożyszczem był Ryży Byk w zielonym polu, pójdzie za Kimem... o ile tylko nie zapomnieli O'Hary — biednego O'Hary, który był nadzorcą robotników na kolei w Ferozepore. Potem popłakiwał gorzko, siedząc w połamanym krześle trzciniowym na werandzie... Stąd to poszło, że po jego śmierci kobieta zaszyla pergamin, zaświadczenie i metrykę w skórzanej sakiewkę z amuletami i zawiesiła ją Kimowi na szyi.

— A któregoś dnia — mówiła, wspominając jak przez mgłę przepowiednie O'Hary — przyjdzie po ciebie wielki Ryży Byk w zielonym polu i pułkownik jadący na okazałym wierzchowcu... tak... i — tu wpadła w angielszczyznę — dziewięciuset diabłów.

— O! — odpowiadał Kim — będę pamiętał. Przyjdzie i Ryży Byk, i pułkownik na koniu, ale wprzód, jak mówił ojciec, mają przyjść jeszcze dwaj ludzie, którzy przysposobią grunt do tej całej sprawy. Ojciec gadał, że oni zawsze robią w ten sposób i że zawsze tak bywa, gdy mają się odbywać czary.

Gdyby kobieta wyprawiła Kima z owymi dokumentami do miejscowego Jadoo-Gher, loża prowincji przyjęłaby go niewątpliwie i odesłała do masonskiej ochronki w Pogórze; atoli baba nie miała zaufania do tego, co słyszała o czarnoksiężstwie, a i Kim miał też samodzielne poglądy. Skoro dorósł do lat zielonej młodości, nauczył się unikać misjonarzy i białych ludzi o surowych obliczach, którzy go pytali, kto zacy i czym się trudni. Albowiem Kim trudnił się tylko nieróbstwem — w czym powodziło mu się doskonale. Prawda, że znał jak własną kieszeń przepysznie obwarowany gród Lahory, od bramy delhijskiej do fosy fortecznej, żył za pan brat z ludźmi, którzy wiedli życie osobliwsze, niżby się śnić mogło samemu Harun al Raszydowi, a sam też pędził żywot niesforny,

⁵andrus — łobuziak, psotnik. [przypis edytorski]

niby z *Tysiąca i jednej nocy* — lecz misjonarze i sekretarze towarzystw dobroczynnych nie poznawali się na piękności jego żywota.

Załoga nadała mu żartobliwy przydomek „Małego Przyjaciela całego świata”, a ponieważ był zręczny i niepozorny, więc często nocą przekradał się po ludnych dachach domów, spełniając polecenia wymuskanych i urodziwych młokosów eleganckiego świata. Były to oczywiście intrygi miłosne — on wiedział o tym, gdyż odkąd nauczył się mówić, znane mu były wszelkie grzeszki, ale kochał tylko grę dla gry samej, przemykanie się chyłkiem po mrocznych uliczkach i zakamarkach, wydrapywanie się po rynnie, spsstrzeżenia i odgłosy z kobiecych pogwarek na płaskich dachach domów i ucieczkę na łeb na szyję z gzymsu na gzyms pod osłoną parnej pomroki. Koło ceglanych kapliczek pod drzewami nadrzecznymi przebywali mężowie świątobliwi, pomazani popiołem fakirowie, z którymi był na stopie nader poufalej; pozdrawiał ich, gdy wracali z włóczgi po prośbie, a gdy nikogo nie było w pobliżu, jadał wspólnie z nimi z jednej misy. Jego opiekunka ze łzami w oczach nalegała, by nosił odzież europejską: spodnie, koszulę i wymięty kapełusz. Kimowi jednak, gdy zajęty był pewnymi sprawkami, bardziej dogadzało przebieganie się w strój hinduski lub mahometński. Jeden z młodych wykwinisów (ten, którego zwłoki znaleziono na dnie studni w ową noc, gdy było trzęsienie ziemi) podarował mu całkowite ubranie chłopięce, jakie noszą łobuziaki z niższych kast; Kim ukrył je w tajnym schowku pod belkami na dziedzińcu *tracza*⁶ Nila Rama, naprzeciwko Wysokiego Trybunału *pendżabskiego*, gdzie wonne pnie *deodarów*⁷ spławiane rzeką *Ravee* leżą, czekając obróbki. Ilekroć nawinał się interes lub swawolna łazęga, Kim nie omieszkiał skorzystać ze swej własności, o świcie zaś powracał na werandę, wyczerpany darcie się wniebogłosy za orszakiem ślubnym lub wyciem na uroczystościach hinduskich. W domu niekiedy trafla się jadlo, ale częściej się zdarzało, że nie było co do ust włożyć; wówczas Kim szedł na wyżerkę do przyjaznych mu krajowców.

Bębniąc piętami po bokach *Zam-Zammah*, raz po raz odrywał się od gry w „króla zamczyska” z małym *Chota Lalem* i *Abdullahem*, synem cukiernika, i rzucał niewybredne docinki w stronę krajowca-policjanta, który stał na straży rzędów obuwia koło bramy muzeum. *Sążnisty*⁸ *Pendżabczyk* pobłaźliwie szczyrzył zęby — znał on już *Kima* od dawna. W tenże sposób odnosił się do niego i polewacz zraszający zapyloną ulicę wodą z bukłaka z koziej skóry. Tak samo ustosunkował się doń pochylony nad świeżo sporządzonymi skrzyniami *Jawahir Singh*, co w muzeum był stolarzem; słowem, tak postępował wobec *Kima* każdy, kto się tu pojawił, z wyjątkiem chłopów okolicznych, spieszących do *Domu Cudów* celem obejrzenia przedmiotów wyrabianych w ich macierzystej prowincji lub gdzie indziej. Muzeum zawierało okazy sztuki i przemysłu indyjskiego, a kto chciał być tu mądry, mógł poprosić kustosa o objaśnienia.

— *Wynocha! Wynocha! Puść mnie na górę!* — krzyczał *Abdullah*, wdrapując się na koło armaty.

— Twój ojciec był cukiernikiem, twoja matka ukradła *gbi!* — zaśpiewał *Kim*. — Wszyscy muzułmanie już dawno pospadali z *Zam-Zammah!*

— Więc puść *mnie* na górę! — pisał mały *Chota Lal*, ubrany w czapeczkę obrębianą *szychem*⁹. Jego ojca ceniono na jakie pół miliona szterlingów, ale Indie są jedynym w świecie krajem demokratycznym.

— *Hindusi* też stracili *Zam-Zammah*. Wyparli ich muzułmanie. Twój ojciec był cukiernikiem!...

Naraz przerwał śpiewkę. *Zza węgła*, od strony gwarnego *Bazaru Motee*, wysunął się człowiek, jakiego *Kim* dotąd jeszcze nie widział, choć mu się zdawało, że zna wszelkie kasty. Człowiek ów był wysoki prawie na sześć stóp¹⁰, ubrany w faldzistą szatę z materiału burego niby derka końska, a żadnego z jej zmarszczeń *Kim* nie potrafił przypodobnić¹¹ do jakiegokolwiek znanego mu zatrudnienia lub zawodu... U pasa przybysza zwiślał po-

⁶*tracz* — robotnik zajmujący się pilowaniem kłód drzewa za pomocą ręcznej piły. [przypis edytorski]

⁷*deodar* — gatunek cedru. [przypis redakcyjny]

⁸*sążnisty* — ogromny, potężny, wysoki; *sążeń*: daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

⁹*szych* — nitka owinięta drucikiem (daw. złotym a. srebrnym), używana do haftów i wyrobów pasmante-ryjnych. [przypis edytorski]

¹⁰*stopa* — miara długości, równa ok. 30,5 cm. [przypis edytorski]

¹¹*przypodobnić* — tu: dopasować. [przypis edytorski]

dłużny, inkrustowany piórnik żelazny i drewniany różaniec, jaki noszą ludzie świątobliwi. Głowę osłaniał olbrzymich rozmiarów płócienny kapelusz, zapadający na oczy. Twarz była żółta i pomarszczona, podobnie jak u Chińczyka Fook-Shinga, szewca na rynku. Oczy w kącikach zakrzywiały się ku górze i wyglądały jak małe żyłki oniksu.

— Kto to? — ozwał się Kim do rówieśników.

— Chyba jakiś człowiek! — rzekł Abdullah, trzymając palec w gębie i wytrzeszczyszy oczy.

— Jużci!¹² — odparł Kim — ale takiego człowieka to jeszcze w Indiach nie zdarzyło mi się widzieć.

— Może kapłan — rzekł Chota Lal, przypatrując się różańcowi. — Patrzcie, on idzie do Domu Cudów!

— Nie, nie! — mówił policjant, potrząsając głową — nie rozumiem waszej mowy! — (sam stróż bezpieczeństwa mówił po pendżabsku). — Hej, Przyjacielu całego świata, co on tam szwargocze?

— Przyślij go tu! — zawołał Kim i dał susa z Zam-Zammah, wymachując bosymi piętami. — To cudzoziemiec, a z ciebie jest istny bawół!

Przybysz, nie mogąc się dogadać, ruszył ku chłopcom. Był to człek już leciwy, a jego wełniana opończa trąciła jeszcze przykrym zapachem bylicy rosnącej w przesmykach górskich.

— Hej, dzieci, co to za wielki dom? — ozwał się płynnie narzeczem Urdu.

— Ajaib-Gher, Dom Cudów! — Kim nie obdarzył nieznanego tytułem w rodzaju Lala lub Mian; nie mógł odgadnąć, jakiego wyznania był ten człowiek.

— Aha! Dom Cudów! Czy można wejść?

— Nad drzwiami napisano... każdemu wolno.

— Bezpłatnie?

— Ja tam bywam raz po raz, a nie jestem przecie bankierem — zaśmiał się Kim.

— Niestety, jestem stary; nie wiedziałem — przesunął palcami po paciorkach różańca i zawrócił ku muzeum.

— Z jakiej jesteście kasty? Gdzie wasz dom? Czy dalekoście chadzali? — zapytał Kim.

— Idę z Kulu... z tamtej strony Kailasu... lecz cóż ty możesz wiedzieć?... od tych gór, gdzie — (tu westchnął) — powietrze i woda są świeże i chłodne.

— Aha! Khtai! (Chińczyk) — rzekł Abdullah wyniosłe. Fook Shing wygnał go raz ze sklepu za to, że opluł bożka stojącego nad rzędami obuwia.

— Pahari (góral) — rzekł mały Chota Lal.

— Tak jest, dziecko... góral z gór, jakich nigdy nie obaczysz w życiu. Czy słyszałeś o Bhotiyalu (Tybecie)? Nie jestem Khtai, lecz Bhotiya (Tybetańczykiem) musiałeś słyszeć... jestem lamą, czyli *guru* (duchowny), jak się mówi po waszemu.

— *Guru* z Tybetu! — rzekł Kim. — Nie widziałem jeszcze takiego człowieka! Więc w Tybecie są Hindusi?

— Jesteśmy z tych, co kroczą Drogą Pośrednią, i żyjemy spokojnie po klasztorach, ja zaś chciałbym przed śmiercią zwiedzić cztery miejsca święte. Teraz wy, którzy jesteście dziećmi, wiecie tyle samo, co ja stary.

Uśmiechnął się życzliwie do chłopców.

— Czy jadłeś co?

Pogmerał w zanadru i dobył stamtąd wyszczerbioną, drewnianą miseczkę dziadowską. Chłopcy skinęli głową. Wszyscy znajomi im kapłani chodzili na żebry.

— Jeszcze mi się jeść nie chce — rzekł, odwracając głowę niby stary żółw grzejący się na słońcu. — Czy to prawda, że w Domu Cudów w Lahorze znajduje się wiele obrazów? — ostatnie słowa powtórzył, jakby chcąc sprawdzić adres.

— To prawda — rzekł Abdullah — Pełno tam pogańskich wizerunków. Ty również jesteś bałwochwalcą.

— Nie zważaj na to, co *on* bajdurzy! — rzekł Kim. — To dom rządowy i nie ma tam żadnego bałwochwalstwa, tylko sahib (Europejczyk) z siwą brodą. Chodź ze mną, to ci pokażę.

— Cudzoziemscy kapłani zjadają dzieci — szepnął Chota Lal.

¹²jużci a. juści (gw.) — pewnie, oczywiście. [przypis edytorski]

— A on jest cudzoziemcem i *but-parast* (bałwochwalcą)! — rzekł mahometanin Abdullah.

Kim roześmiał się.

— To ci frajer! Uciekajcie schować się za mamusin fartuszek, pędraki! Chodź za mną!

To mówiąc, przepchnął się przez drzwi kołowrotowe; starzec poszedł za nim i zatrzymał się w osłupieniu. W przedsionku stały większych rozmiarów posągi grecko-buddyjskie, wykonane (uczonym tylko wiadomo, kiedy) przez zapomnianych mistrzów, których dłonie nie bez zręczności starały się oddać wdzięki sztuki greckiej, co zawitała tu sposobem jakimś niedocieczonym. Znajdowały się tam setki obrazów: fryzy pełne płaskorzeźb, ułamki posągów i tafle marmurowe okryte deseniem, które niegdyś przyozdabiały ceglane mury buddyjskich *stupa* i *vihara* na północy, a obecnie wykopane z ziemi i opatrzone napisami stanowiły chlubę muzeum. Lama, rozdziawiwszy usta z podziwu, rozglądał się na wszystkie strony, aż na koniec z pełną zachwyty uwagą zatrzymał się przed sporą wykłorzeźbą, przedstawiającą koronację czy apoteozę Buddy Pana. Mistrz wyobrażony był w postawie siedzącej, na lotosie, którego płatki były tak głęboko wcięte, że wydawały się nieomal oderwane. Dokoła niego w kornym uwielbieniu stała cała hierarchia królów, dostojników i staroświeckich Buddów; poniżej widać było wodę lotosami porośłą, pełną ryb i plectwa wodnego. Dwa bóstwa o motylich skrzydłach trzymały wieniec nad jego głową; ponad nimi druga para dźwigała baldachim, na którego szczycie wznosiła się wysadzana klejnotami mitra Bodhisata.

— Pan! Pan! To sam Sakya Muni! — zawołał lama, na wpeł szlochając, i zaczął półgłosem mrużyć przedziwne zaklęcia buddyjskie:

Ku niemu droga — do prawd — w ustronie —
Którego Maya nosiła w swym łonie,
On pan Anandy — Bodhisat!

— I on jest tutaj! Najwznioślejsze Prawo jest również tutaj! Pielgrzymka moja dobrze się zaczęła... I co za dzieło! Co za dzieło!

— Sahib jest po tamtej stronie — rzekł Kim i dał nura w bok pomiędzy szafami pawilonu sztuki i rękodzieł. Siwobrody Anglik już od dłuższej chwili przyglądał się lamie, który odwrócił się uroczyście i oddał mu pokłon, po czym pogmerawszy przez chwilę w zanadru wydobyl notatnik i świstek papieru.

— Tak, to moje nazwisko — przemówił kustosz, uśmiechając się na widok pokracznego, dzieciennego gryzmołu.

— Dał mi to jeden z naszych braci, co szedł w pąci¹³ do miejsc świętych (jest obecnie przełożonym klasztoru Lung-Cho) — jękał się lama — on opowiadał mi o tym...

Drżała mu sucherława ręka, gdy zataczał nią wokoło.

— Witajże więc, lamo z Tybetu. Tu są obrazy, a ja tu przebywam w tym celu — (tu rzucił okiem na twarz lamy) — by gromadzić wiedzę. Chodź na chwilę do mego gabinetu.

Starzec ruszył za nim, drżąc ze wzruszenia.

Ów gabinet był jedynie małą drewnianą sypialnią, wyodrębnioną z galerii obrzeżonej rzeźbami. Kim położył się na ziemi, przytknąwszy ucho do szpary w splekanych od gorąca drzwiach cedrowych, a idąc za wrodzonym instynktem, natężył słuch i uwagę.

Przeważna¹⁴ część rozmowy była dlań całkiem niezrozumiała.

Lama, zrazu wahając się nieco, opowiadał kustoszowi o klasztorze Such-zen, leżącym naprzeciw Malowanych Skał, o cztery miesiące drogi od Lahory. Kustosz wyciągnął ogromny album z fotografiami i pokazał mu owo właśnie siedlisko, sterczące na urwistej grani, spozierające z wysoka na rozległą dolinę o różnobarwnym uwarstwieniu.

— Tak, tak! — wołał lama, osadziwszy na nosie okulary chińskiej roboty w rogowej oprawie. — Oto furtka, którą znosimy drzewo na zimę. A ty... więc Anglicy wiedzą o tym, wszystkim? Ten, który jest obecnie przełożonym klasztoru Lung-Cho, mówił mi o tym, ale nie chciało mi się wierzyć. Czy Pan nasz wszechpotężny odbiera cześć i tutaj? A życie jego jest i u was znane?

¹³ić w pąci — tzn. iść jako pątnik; pielgrzymować. [przypis edytorski]

¹⁴przeważny — dziś: przeważający; stanowiący większość. [przypis edytorski]

— Wszystko jest tu wryte na kamieniach. Chodź obejrzeć, jeżeli nie jesteś utrudzony.

Lama wykatował się do głównej sali i idąc obok kustosza, zwiedzał zbiory z uszanowaniem człowieka nabożnego i oceniającym spojrzeniem biegłego rzemieślnika. Sprawdzał szczególnie za szczególnie z pięknej opowieści wrytej na wyszarzonym kamieniu; niekiedy zbijały go z tropu nieswojskie mu greckie uogólnienia, lecz cieszył się jak dziecko za każdym nowym odkryciem. Gdzie brakło ciągłości, jak na przykład w Zwiastowaniu, kustosz uzupełniał treść, zasięgając pomocy w stosie książek francuskich i niemieckich z fotografiami i rysunkami.

Był tam pobożny Asita (coś jakby Symeon z dziejów biblijnych), trzymający na kolanach Świętą Dziecinę, obok niego zaś zasluchani ojciec i matka; były też zdarzenia z legend o cioteczonym bracie Devadatta. Była tam także i występna kobieta, która mistrza oskarżyła o nieczystość i została zawstydzona; było i kazanie w zwierzyńcu, a również i cud, który o brak zmysłów przyprawił czcicieli ognia; był Bodhisat jako władca, w królewskiej dostojności; było cudowne narodzenie, była śmierć w Kusinagarze, gdzie słaby jego uczeń postradał przytomność. Wprost niezliczone razy powtarzało się rozmyślanie pod drzewem Bodhi, a już na każdym miejscu było wyrażone uwielbienie jego miseczki żebraczej. W czas niedługi kustosz przekonał się, że jego gość nie był ot sobie dziadym klepiącym pacierze, lecz uczonym o wielkich zdolnościach. Chodzili tam i z powrotem, przyglądając się wszystkiemu, a lama zażywał tabaki, przecierał okulary i z szybkością pędzącego pociągu paplał bez przerwy jakąś wariacką mieszaniną Urdu i tybetańskiego. Słyszał o podróżach chińskich pątników, Fo-Hiana i Hwen-Thianga, i rad był się dowiedzieć, czy istnieje jaki przekład ich pamiętników. Wzdychał głęboko, przerzucając bezradnie stronicę książki Béala i Stanisława Julięna.

Wszystko jest tutaj. Cały skarbiec zamknięty!

Po czym przybrał postawę pełną szacunku, by posłuchać urywków naprędce przetłumaczonych na gwarę urduską. Po raz pierwszy posłyszał o pracach uczonych europejskich, którzy za pomocą tych oraz setki innych dokumentów stwierdzili tożsamość świętych miejsc czczonych przez buddystów. Następnie pokazano mu potężną mapę, poplamioną i wyżółkłą. Brunatny palec lamy posuwał się od znaku do znaku za ołówkiem kustosza. Tu była Kapilavastu, tam Królestwo Środka, indziej zaś Maha Bodhi, Mekka buddystów, a oto Kusinagara, smutne miejsce zgonu świętego. Starzec na chwilę pochylił w milczeniu głowę nad arkuszami, a kustosz zapalił nową fajkę. Kim dawno zasnął. Gdy się obudził, rozmowa, wciąż jeszcze w toku będąca, była już dlań bardziej zrozumiała.

— I tak się stało, o źródło mądrości, że postanowiłem udać się do miejsc świętych, po których stąpała jego noga: do miejsca narodzin, do samej Kapili... potem do Maha Bodhi, czyli Buddh Gaya... do klasztoru... do zwierzyńca... do miejsca jego zgonu.

Lama zniżył głos.

— Sam tu przychodzę... Od pięciu... siedmiu... ośmiu... czterdziestu lat dręczyła mnie myśl, że stary zakon religii naszej nie dochowuje się w stanie nieskałanym, gdyż wkradły się doń sprawy czartowskie, gusła i bałwochwalstwo. Nawet dziecko na ulicy powiedziało o tym przed chwilą. Tak właśnie, powiedziało dziecko: — *but parast!*

— Tak się dzieje z każdą religią.

— Tak sądzisz? Rozczytywałem się w księgach mego klasztoru i zdawało mi się, jak gdyby szpik w nich wysechł; a późniejszy obrządek, którym obarczyliśmy się sami, my zwolennicy prawa reformowanego, również nie miał wartości w moich starych oczach. Nawet wyznawcy Najdoskonalszego drą koty pomiędzy sobą. Wszystko to złudzenie, tak, *maya*, złudzenie. Ale ja pragnę czego innego...

Poryta, żółta twarz przysunęła się na trzy cale do twarzy kustosza, a długi paznokieć palca wskazującego pukał po stole.

— Wasi uczeni za pomocą tych książek wytropili błogosławione jego stopy we wszystkich jego wędrowkach, lecz są jeszcze rzeczy, których oni nic dociekli. Ja nie wiem nic... nic nie wiem... ale chcę się wyzwolić z błędnego koła wszechrzeczy, krocząc drogą szeroką i otwartą.

Uśmiechnął się triumfująco z wielką prostotą.

— Jako pątnik do miejsc świętych zdobywam sobie zasługę. Ale na tym nie koniec; posłuchaj rzeczy prawdziwej. Gdy nasz Pan łaskawy w leciech¹⁵ młodych szukał sobie towarzyszy życia, na dworze jego ojca mówiono, że jest on nazbyt wątpy, by mógł wstępować w związek małżeński. Czy wiesz o tym?

Kustosz skinął głową, zaintrygowany, co teraz nastąpi.

— Przeto ustanowiono trojaki zawody na siłę dla wszystkich, którzy przystąpią do turnieju. Gdy przyszło do próbowania łuku, Pan nasz najpierw złamał łuk, który mu podano, a potem zażądał takiego, którego nikt nie mógł napiąć. Wiesz o tym?

— Pisano o tym. Czytałem.

— Strzała, prześcignawszy wszystkie cele, osiągnięte przez innych, pomknęła hen w dal, aż znikła z oczu. Na koniec spadła; tam gdzie dotknęła ziemi, wytrysnął strumyk, który obecnie stał się rzeką, ta zaś (dzięki łaskawości Pana naszego i tych zasług, jakie zdobył sobie, zanim się wyzwolił) ma tę własność, iż zmywa wszelką zmacę i zakałę grzechu z każdego, kto się w niej wykąpie.

— Tak napisano — rzekł kustosz markotnie.

Lama odetchnął głęboko.

— Gdzie ta rzeka? O źródło mądrości, powiedz, gdzie utkwiał ów belt?

— Niestety, nie wiem tego, mój bracie — rzekł kustosz.

— Nie, jeżeli raczyłeś zapomnieć... to jedyna rzecz, o której mi nie powiedziałeś. Chyba i to jest ci wiadome? Patrz, jestem człowiekiem starym! Błagam cię, kładąc głowę u stóp twoich, o źródło mądrości! My wiemy, że On napiął łuk. Wiemy, że strzała upadła! Wiemy, że wytrysnął strumień! Więc kędyż jest owa rzeka? We śnie słyszałem głos, że ją odnajdę. Dlatego przybyłem... jestem tu... ale gdzie jest rzeka?

— Sądzisz, że gdybym wiedział, nie wołałbym na cały głos o tym?

— Przez nią zyskuje się wybawienie z Kołowrotu Wszechrzeczy — ciągnął dalej lama, nie zważając na jego słowa. — Rzeka Strzały! Pomyśl jeszcze nad tym!... Może jakiś mały strumyczek, wyschnięty od upałów? Lecz Najświętszy nigdy by tak nie oszukiwał starca.

— Nie wiem... nie wiem...

Lama znowu przybliżył na odległość dłoni swą twarz, tysiącem zmarszczek okrytą, do twarzy Anglika.

— Widzę, że nie wiesz. Ponieważ nie jesteś wyznawcą zakonu, sprawa ta zakryta jest przed tobą.

— Tak... zakryta... zakryta...

— Jesteśmy obaj związani, ja i ty, mój bracie. Lecz ja — (tu podniósł się, powłócząc miękkimi zwojami grubego sukna) — chcę wyzwolić się przebojem! Chodź razem ze mną!

— Mam obowiązki — rzekł kustosz — ale gdzie ty iść zamierzasz?

— Najpierw do Kashi (Benares)... gdzieżby indziej? Tam, w tym mieście spotkam jednego z wyznawców czystej wiary w świątyni *Jainów*. On również jest poszukiwaczem tajemnicy i może od niego nabędę jakichś wiadomości. Może pójdzie on wraz ze mną do Buddha Gaya, stamtąd na północ i zachód do Kapilavastu, tam zaś będę dowiadywał się o rzekę. Nie, będę szukał wszędzie, gdziekolwiek droga mi wypadnie, albowiem nieznanne jest miejsce, gdzie upadła strzała.

— A jak będziesz szedł? Do Delhi jest spory kawał drogi, a do Benares jeszcze dalej.

— Drogami i kolejami. Od Pathankot, gdy opuściłem góry, aż tutaj jechałem pociągiem. O, jak on jedzie prędko! Zrazu zdumiewałem się, widząc te wysokie drągi, sterczące wzdłuż toru, z których nieustannie wysnuwały się druty — (tu gestami naśladował wznoszenie się i opadanie słupów telegraficznych, migających koło pociągu. — Lecz później chwyciły mnie kurcze i zapragnąłem iść piechotą, jak miałem w zwyczaj.

— A czy jesteś pewny drogi? — zapytał kustosz.

— O, na to wystarczy się tylko rozpytywać i płacić, a osoby do tego wyznaczone odwołują każdego na właściwe miejsce. Tego dowiedziałem się z pewnego źródła w klasztorze — rzekł lama chępliwie.

— A kiedy pójdiesz?

¹⁵w leciech (daw.) — w latach. [przypis edytorski]

Kustosza rozśmieszyło to skojarzenie staroświeckiej pobożności i nowoczesnego postępu, które jest cechą dzisiejszych Indii.

— Zaraz, skoro będę mógł. Zwiedzę miejsca, gdzie On żył, aż dojdę do Rzeki Strzały. Zresztą... oto papier, na którym wypisano godziny odjazdu pociągów idących na południe.

— A jak z jedzeniem?

Lamowie zazwyczaj mają przy sobie sporo pieniędzy, lecz kustosz chciał się upewnić co do tego.

— W podróży noszę z sobą, za wzorem Mistrza, miskę żebraczą. Tak. Idę tak jak On, zapominając o wygodach mego klasztoru. Gdy opuściłem góry, był ze mną *chela* (żak), który żebrał dla mnie, jak tego wymagają przepisy, lecz gdyśmy niedługo popasali¹⁶ w Kulu, zmarł na febrę. Teraz nie mam *cheli*, lecz będę nosił miskę żebraczą i tak ludziom miłosiernym dam sposobność do pozyskania zasług.

Wstrząsnął odważnie głową. Uczeni mnisi-lamaisci nie chodzą po prośbie, lecz ten lama był zapaleńcem w swoich poszukiwaniach.

— No dobrze — rzekł kustosz, uśmiechając się. — Pozwól teraz, bym ja zdobył zasługę. Jesteśmy obaj z jednego cechu. Oto jest nowy zeszyt z białego angielskiego papieru, tu zaś kilka ołówków grubych i cienkich, dobrych dla pisarza. A teraz użyj mi swych okularów.

Kustosz spojrział przez nie. Były bardzo porysowane, ale siła szkieł była niemal ta sama co w jego okularach, które wręczył lamie, mówiąc:

— Spróbuj ich.

— Ależ, jak piórko! Jakbym piórko miał na twarzy! — starzec pokręcił głową z zachwytem i zmarszczył nos. — Prawie ich nie czuję, jakże wyraźnie przez nie widzę!

— One są *bilaur*, kryształowe, i nigdy się nie porysują. Niech ci one dopomogą zająć do twej rzeki, gdyż są twoją własnością.

— Wezmę je, jak też te ołówki i biały zeszyt — mówił lama — jako znak przyjaźni dwóch kapłanów... a teraz... — podłubał za pasem, wyciągnął inkrustowany piórnik żelazny i położył go na stole kustosza. — To na pamiątkę ode mnie... ten piórnik. Jest on nieco stary, jak i ja sam.

Był to wyrób chiński z żelaza, jakiego już dzisiaj nie leją, okryty starożytnym dese-niem, a kustoszowi, w którym ozwała się żyłka kolektorska, serce rwało się do niego od pierwszego wejrzenia. Lama żadną miarą, mimo namowy kustosza, nie chciał z powrotem przyjąć swego daru.

— Gdy powrócę, odnalazłszy rzekę, przyniosę ci opatrzony napisami obraz Padma Samthory, jeden z tych, jakie malowałem na jedwabiu w klasztorze. Tak... i jeszcze obraz Koła Życia — zachichotał — gdyż jesteśmy obaj mistrzami jednego cechu.

Kustosz miał chętkę jeszcze go zatrzymać; już niewiele w świecie było takich, którzy znali tajemnicę tradycyjnych pędzelkowych malowideł buddyjskich, co to są jakby na wpół malowane, a na wpół pisane. Lecz lama, zadarłszy głowę, ruszył krokiem posuwistym i przystanąwszy na chwilę w zamyśleniu przed wielkim posągami zadumanego Bodhisata, wymknął się przez drzwi obrotowe.

Kim poszedł za nim jak cień. To, co podsłuchał, podnieciło go niezmiernie. Ten człowiek był czymś zupełnie nowym we wszystkich jego przeżyciach, więc Kim postanowił go śledzić, całkiem jak gdyby chodziło tu o zbadanie nowego gmachu lub przyjrzenie się jakiemuś osobliwemu obchodowi w mieście Lahorze. Lama był jego odkryciem, więc chłopak zamierzał wziąć go w posiadanie. Matka Kima była też Irlandką!

Starzec zatrzymał się koło Zam-Zammah i rozejrzał się wokoło, aż wzrok jego padł na Kima. W tej chwili nie znał go, jakiegoż był w nim zapału, jaki ożywił go w pielgrzymce; czuł się starym, porzuconym¹⁷ i doznawał dziwnej pustki.

— Nie wolno siadać pod tą armatą! — huknął policjant wyniośle.

— Hu-hu! Ty sowo! — odciął się Kim w obronie lamy. — Siądź pod armatą, starszku, jeżeli masz ochotę. Kiedy to ukradłeś pantofle mleczarce, Dunnoo?

¹⁶popasać — robić postój w podróży. [przypis edytorski]

¹⁷czuł się starym, porzuconym — daw. konstrukcja z przym w N., dziś w B.: czuł się stary, porzucony. [przypis edytorski]

Była to potwarz zgoła nieuzasadniona, rzucona pod wrażeniem chwili, ale zdołała uciszyć policjanta Dunnoo, który wiedział, że donośny krzyk Kima potrafi zwołać, w razie potrzeby, zastępy złośliwych uliczników.

— Komu oddawałeś tam cześć? — ozwał się Kim uprzejmie, przycupnąwszy w cieniu obok lamy.

— Nie oddawałem czci nikomu, moje dziecię. Pokłoniłem się Wzniosłemu Prawu.

Kim bez wzruszenia posłyszał o tym nowym bożku; znał się już nieco na podobnych sprawach.

— A czym ty się zajmujesz?

— Żebrę. Przypomniałem sobie, że to już czas niemały, jak nie jadłem i nie piłem. Jaki jest w tym mieście zwyczaj zbierania jałmużny? W milczeniu, jak u nas w Tybecie, czy też głośno?

— Ci, którzy żebrzą po cichu, umierają też po cichu z głodu! — rzekł Kim, przytaczając ludowe przysłowie. Lama próbował powstać, lecz zwałił się z nóg i siadł powtórnie, wdychając za swoim uczniem, który zmarł w odległym Kulu. Kim, odchyliwszy w bok głowę, przypatrywał mu się z zaciekawieniem i w zadumie.

— Daj mi miseczkę. Znam ludzi w tym mieście... wszystkich, którzy są miłosierni. Daj, a odniosę ci ją pełną strawy.

Starzec potulnie jak dziecko wręczył mu miseczkę.

— Odpocznij sobie. *Ja* znam ludzi tutejszych.

Podreptał do straganu *kundźri* (przekupki z niskiej kasty), co znajdował się naprzeciwko toru tramwajowego, poniżej Bazaru Motee. Znała ona Kima od dawna.

— Oho! Czy stałeś się *yogi*, że chodzisz z tą miską żebraczą? — zawołała.

— Nie! — odparł Kim wyniośle. — W mieście zjawił się nowy kapłan... człowiek, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem.

— Stary kapłan, młody tygrys! — odezwała się z gniewem kobieta. — Oj, daj mi się we znaki ci nowi kapłani! Złażą się jak muchy do moich towarów! Czyż ojciec mego syna jest studnią miłosierdzia, by dawać wszystkim, którzy proszą?

— Nie! — rzekł Kim. — Twój mąż jest nie tyle *yogi* (świętobliwy), co *yagi* (złego charakteru). Lecz ten kapłan jest zupełnie nowym przybyszem. Sahib z Domu Cudów gwarzył z nim za pan brat. No, matko, napełnijcie mi tę miskę! On czeka.

— Miskę... ciewy¹⁸! Toć to cebrzyk wielkości krowiego brzucha! Jesteś tu w łaskach, jak święty byk Shivy. On mi tu już rano wygarnął co najlepsze cebule z koszyka, a teraz, dalibóg, muszę tobie napełniać michę! On tu znów nadchodzi!...

Ogromny, myszaty byk bramiński torował sobie drogę wśród różnokolorowej gawiedzi, a z pyska zwisał mu skradziony banan. Zmierzał wprost do straganu, znając dobrze przywileje poświęcanego bydłęcia; pochylił łeb i sapał ciężko nad rzędem koszyków, jak gdyby w nich przebierając. Naraz wystrzelił w górę mały twardy obcas Kima i trzasnął buhaja w oślizgłe, sine nozdrza. Ów parsknął gniewnie i przeszedł na drugą stronę szyn tramwajowych, z wściekłością wstrząsając garbem.

— Widzisz! Uratowałem ci trzy razy więcej, niżby cię kosztowało napełnienie tej miski. No a teraz, matko, daj krzynkę ryżu, a na to trochę suszonej ryby... tak, i jeszcze nieco zupy jarzynowej.

Z głębi kramika¹⁹, gdzie leżał jakiś człowiek, doszedł pomruk.

— On odpędził byka — ozwała się baba półgłosem. — Dobrze przecie dać coś ubogiemu.

Wzięła miskę i odniosła ją pełną gorącego ryżu.

— Ależ mój *yogi* nie jest krową! — rzekł Kim poważnie, wygrzebując palcami dziurę w wierzchołku kopiastej strawy. — Przydałoby się trochę polewki i pieczonego ciasta, a kęs smażonych owoców też by go ucieszył, jak sądzę.

— Ten dołek jest tak duży, jak twoja głowa! — sarknęła baba; mimo to napełniła wgłębienie smaczną, dymiącą zupą jarzynową, przywaliała to z wierzchu sucharem, na

¹⁸*ciewy* (gw.) — też coś. [przypis edytorski]

¹⁹*kramika* — dziś: kramiku. [przypis edytorski]

sucharku położyła wiórko²⁰ świeżo wybitego masła, a z boku pacnęła grudkę kwaśnej marmelady²¹ tamaryndowej. Kim z lubością wpatrywał się w ten stos.

— No, wystarczy! Ilekroć będę na targowicy²², byk nie zajrzy do tego domu. Bezczelny z niego żebrak!

— A ty? — zaśmiała się przekupka. — Ale wyrażaj no się dobrze o bykach. Czyżes mi sam nie opowiadał, że kiedyś tam ma przyjść do ciebie z pola Ryży Byk, by ci pomagać. A teraz zabieraj to żarcie i poprosz tego świątka o błogosławieństwo dla mnie. Może on też zna jakieś leki na bolące oczyska mojej córki. Zapytaj go o to, Mały Przyjacielu całego świata!

Lecz Kim wyfrunął jeszcze przed domówieniem tego zdania, wymykając się kundlom pariasów i zgłodniałym znajomkom.

— Tak zbieramy jałmużnę my, którzy wiemy, jak się brać do rzeczy! — rzekł chępliwie do lamy, który wybałuszył oczy, ujrawszy zawartość miski. — A teraz frygaj... i ja też z tobą się pożywię. *Ohe bhistie!* — zawołał na nosiwodę polewającego kleszczowiny²³ koło muzeum. — Daj no tu wody! Nam, *ludziom*, chce się pić!

— Nam, *ludziom!* — rzekł *bhistie*, śmiejąc się. — Czy jedna łagiew skórzana wystarczy na dwu takich ludzi? Pijciez sobie w imię miłosierdzia.

Wypuścił cienki strumień wody na ręce Kima, który pił na sposób gminu; lecz lama uznał za konieczne wydobyć kubek z niewyczerpanego zanadrza i pił z przejęciem.

— To *pardesi* (cudzoziemiec) — wyjaśnił Kim, gdy starzec niezrozumiałą gwarą wypowiedział coś, co ponoć było błogosławieństwem.

Zajadali pospołu z wielkim zadowoleniem, aż wyjedli do czysta całą miskę. Następnie lama zażył tęgi niuch z drewnianej tabakiery o baniastym, potwornym kształcie, przez chwilę przesuwiał paciorki różańca i tak nieznacznie, w miarę jak wydłużał się cień Zam-Zammah, staruszek zapadł w snadny²⁴ sen, właściwy jego wiekowi.

Kim powłókł się do najbliższej sklepikarki, co sprzedawała tytoń; była to mahometanka, osóбка jeszcze młoda i dość żwawa. Poprosił ją o mocno woniące cygaro z gatunku, jaki sprzedają słuchaczom uniwersytetu pendżabskiego, małpującym zwyczajnie angielskie. Zapalił je, usiadł pod łufą działa i podparłszy brodę kolanami, zamyslił się. Wynikiem rozmyślań była nagła wyprawa chyłkiem w stronę tartaku Nila Rama.

Lama nie obudził się, aż dopiero, gdy z nastaniem wieczoru zatętnił żywszy ruch w całym mieście, gdy rozbłysły latarnie i gdy biało ubrani urzędnicy oraz ich podwładni zaczęli wychodzić z biur rządowych. W oszołomieniu wytrzeszczał oczy na wszystkie strony, ale nikt nie zwracał nań uwagi, oprócz jakiegoś łobuziaka-Hindusa w brudnym zawoju i słomianego koloru szatkach. Nagle pochylił głowę na kolana i jęknął.

— Co ci to? — ozwał się chłopak, stając przed nim. — Czy cię okradziono?

— Mój nowy *chela* poszedł sobie precz ode mnie i nie wiem, gdzie się obraca.

— A jak wyglądał ten twój żak?

— Był to chłopiec zesłany mi z łaski niebios na miejsce tego, który umarł. Byłem przezeń wynagrodzony za zasługę, jaką pozyskałem, oddając tam oto pokłon Zakonowi — tu wskazał ręką w stronę muzeum. — Zjawił się, by pokazać mi drogę, którą straciłem był z oczu. Wprowadził mnie do Domu Cudów i swą gawędą ośmielił mnie do rozmowy ze Strażnikiem Wizerunków, tak iż stałem się rześki i silny na duchu. A gdy osłabłem z głodu, on żebrał o jadlo dla mnie, jakby to czynił *chela* dla swego nauczyciela. Był mi nagle zesłany i nagle też odszedł ode mnie... a ja miałem zamiar uczyć go Zakonu, idąc z nim razem do Benares!...

Kim stał, olśniony tymi słowy. Wszak podsłuchał był rozmowę w muzeum i wiedział, że starzec mówił prawdę; a jest to rzecz, którą krajowiec rzadko przypisze cudzoziemcowi.

— Lecz teraz widzę, że on był mi zesłany tylko dla jakiegoś celu. Z tego wnoszę, że odnajdę pewną rzekę, której poszukuję.

— Rzekę Strzały? — rzekł Kim z uśmiechem wyższości.

²⁰wiórko — dziś: wiórek. [przypis edytorski]

²¹marmelada — dziś: marmolada. [przypis edytorski]

²²targowica — tu: targowisko. [przypis edytorski]

²³kleszczowina — roślina, z której wyrabiają znany olejek rycynowy. [przypis tłumacza]

²⁴snadny (daw.) — łatwy. [przypis edytorski]

— Czyżby to był jeszcze jeden zesłaniec niebios? — krzyknął lama. — Nikomu prócz Strażnikowi Wizerunków nie mówiłem o mych poszukiwaniach. Ktoś ty?

— Twój *chela* — rzekł Kim prostodusznie, przysiadając na piętach. — W życiu nie widziałem nikogo, kto by był tobie podobny. Pójdę z tobą do Benares. Poza tym sądzę, że człek tak stary jak ty, mówiący szczerą prawdę ludziom przypadkowo napotkanym o zmroku, bardzo potrzebuje ucznia.

— Ale ta rzeka... Rzeka Strzały?

— Ee! Słyszałem o niej wtedy, gdy rozmawiałeś z Anglikiem. Leżałem pod drzwiami. Lama westchnął.

— Myślałem, że zostałeś mi z niebios zesłany na przewodnika. Takie rzeczy czasem się zdarzają... ale jam tego niegodzien. Więc ty nie wiesz nic o tej rzece?

— Nic mi do niej! — roześmiał się Kim jakoś przykro. — Ja chcę szukać... szukać byka... Ryżego Byka w zielonym polu, który ma mi pomagać.

Ilekcóż ktoś ze znajomych wystąpił z jakim zamiarem, Kim — iście po chłopięcemu — na poczekaniu snuł własne pomysły; i również, jak to chłopak, naprawdę ze dwadzieścia minut wszystkiego myślał o przepowiedni swego ojca.

— W czym pomagać, dziecino? — zapytał lama.

— Bogu to tylko wiadomo, ale tak mi mówił mój ojciec. Słyszałem w Domu Cudów twoje opowiadanie o tych najprzeróżniejszych dziwnych miejscowościach wśród gór; jeżeli więc ktoś tak stareńki i tak nawykły do mówienia prawdy może puszczać się w podróż dla rzeczy tak błahej, jak jakaś tam rzeka, to zdawało mi się, że i ja też powinienem ruszyć w drogę. Jeżeli naszym przeznaczeniem jest znaleźć te rzeczy, to je odnajdziemy — ty swoją rzekę, a ja swego Byka i te mocne Filary, i jeszcze kilka rzeczy, które już mi wyszły z pamięci.

— Ja chciałbym się uwolnić nie od Filarów, lecz od Błędnego Koła — rzekł lama.

— Wszystko jedno. Może mnie tam zrobią królem — rzekł Kim pogodnie, przygotowany na wszystko.

— W drodze nauczę cię innych i lepszych pragnień — odparł lama tonem zwierzchniczym. — Chodźmy do Benares.

— Nie teraz po nocy. Na drodze pełno zbójców. Zaczekajmy do dnia.

— Ależ tu nie ma gdzie zanoć.

Starzec przyzwyczajony był do klasztornej porządku i choć zgodnie z regułą sypiał na ziemi, jednak wołał i w tym przestrzegać przyzwoitości.

— Dostaniemy klawy nocleg w Seraju Kaszmirskim! — rzekł Kim, śmiejąc się z jego zafrasowania. — Mam tam przyjaciela. Chybaj za mną!

Skwarne i rojne targowiska świeciły blaskiem oślepiającym, gdy oni przebijali się przez ciżbę, złożoną ze wszystkich ras Górnych Indii; lama szedł po omacku, jak lunatyk. Była to pierwsza jego bytność w wielkim mieście fabrycznym, toteż przepelniony wagon tramwajowy przerażał go ustawicznym zgrzytem hamulców. Raz popychany, to znów ciągnięty za rękę, doszedł wreszcie do wysokich wrót Seraju Kaszmirskiego. Był to duży i odsłonięty plac naprzeciw dworca kolejowego, opasany sklepionymi podcieniami; obozowały tam karawany wielbłądów i koni powracających z Azji środkowej. Przebywali tu ludzie z wszelkich szczepów północnych, pilnując spętanych kucyków i klęczących wielbłądów; ładowali i wyładowywali juki i tłumoki; skrzypiącym żurawiem ciągnęli ze studni wodę na ugotowanie wieczery; rzucali sterty siana rżącym i lyskającym ślepiami ogierom; okładali razami warczące psy karawanowe, wypłacali należność poganiaczom wielbłądów, najmowali nową służbę, przeklinali, wrzeszczeli, klócili się i targowali na zatłoczonym dziedzińcu. Podcienia, do których wiodły po trzy lub cztery murowane schodki, tworzyły przystań bezpieczną dokoła tego burzliwego morza. Większość ich wynajęto przepukniom, tak jak się wynajmuje arkady wiaduktów; przestrzeń między słupami była zamurowana lub podzielona przepierzeniami na izby, których broniły ciężkie, drewniane dźwierze²⁵ i niezgrabne klódki wyrobu krajowego. Tu i ówdzie zamknięte na głucho dźwierze świadczyły, że właściciel wyjechał, a nieco koszlawe²⁶ — czasem nawet bardzo koszlawe — gryzmoły, wypisane kredą lub farbą, głosyły, dokąd się udał. Na przykład:

²⁵dźwierze (daw.) — drzwi. [przypis edytorski]

²⁶koszlawy — dziś: koślawy; krzywy, niezgrabny. [przypis edytorski]

„*Lutuf Ulah pojechał do Kurdystanu*”.

A poniżej rubaszny dopisek:

„*O Allahu, który pozwalasz wszom lazić po chalacie Kabula, czemuś pozwolił tej gnidzie, Lutufowi, żyć tak długo?*”

Kim, osłaniając lamę w ścisku rozgrzankowanych ludzi i zwierząt, szedł boczkim wzdłuż krużganków aż do najdalszego zakątka, tuż przy dworcu kolejowym, gdzie przemieszkiwał handlarz koni, Mahbub Ali, ilekroć powrócił z owego tajemniczego kraju za przełęczami północnymi.

Kim miał już wiele styczności z Mahbubem Ali w ciągu swego krótkiego żywota — zwłaszcza w wieku od dziesięciu do trzynastu lat, a rosły i otyły Afgańczyk o brodzie ubarwionej farbą na szkarłatno (był bowiem już podstarzały i nie chciał, by widziano, że ma siwe włosy), cenił w chłopcu wybornego donosiciela plotek. Czasem polecał Kimowi śledzić człowieka, który nie miał nic wspólnego z końmi, chodzić za nim przez cały dzień boży i donosić o każdym, z kim ów rozmawiał. Wieczorem Kim zdawał szczegółowo sprawę ze wszystkiego, a Mahbub przysłuchiwał się bez słowa, a choćby najmniejszego poruszenia. Kim wiedział, że to pachnie jakąś intrygą, ale jej wartość zasadzała się na tym, by nie pisać o tym nikomu prócz Mahbuba, który częstował go pysznymi, podanymi na gorąco, potrawami z jadłodajni u wnijścia do seraju, a raz nawet dał mu aż osiem *ann* w brzęczącej monecie.

— Stary jest w domu — rzekł Kim, palnąwszy w nos nadąsanego wielbłąda. — Hej, Mahbubie Ali!

Zatrzymał się pod mroczną arkadą i szusnął poza plecy oszołomionego lamy.

Koniarz, rozpuściwszy na sobie ciemny, wzorzysty pas bucharski, wylegiwał się na parze jedwabnych czapraków, pykając gnuśnie z ogromnej srebrnej *hookah*²⁷. Posłyszawszy wołanie, nieznacznie tylko odwrócił głowę, a widząc jeno wysoką, milczącą postać, zachichotał w głębi piersi:

— Allah! Lama! Czerwony lama! Z Lahory daleko do przełęczy górskich. Cóż ty tu porabiasz?

Lama odruchowo podniósł miskę żebracką.

— Klątwa boża na wszystkich niewiernych! — ozwał się Mahbub. — Nie dam nic wszawemu Tybetańczykowi, ale poproś moich Baltisów, tam poza wielbłędami. Oni ocenią twoje błogosławieństwa. Hej, koniuchy! Jest tu wasz krajan! Dowiedźcie się, czy nie głodny!

Wygolony, przygarbiony Baltis, który przybył z końmi, a był niejako niższego stopnia buddystą, jął nadszakać duchownemu i grubymi krtaniowymi dźwiękami zaprosił świątobliwego do ogniska koniuchów.

— Idź! — rzekł Kim, trącając go z lekka; lama oddalił się, pozostawiając Kima u węgła podcieni.

— Wynocha! — ozwał się Ali Mahbub, zabierając się znów do *hookah*. — Idźcie na cztery wiatry, mały Hindusie! Przekleństwo boże na wszystkich niewiernych! O jałmużnę proś tych z mojej drużyny, którzy wyznają twoją wiarę!

— Maharadźo! — zaskomlał Kim, używając hinduskiego sposobu tytułowania i wielce ubawiony tą sytuacją — ojciec mi umarł... matka mi umarła... w żołądku mam pustkę...

— Proś moich ludzi, którzy pilnują tabunu, powiedziałem ci już! Wśród mojej czeladzi musi być kilku Hindusów.

— Ach, Mahbubie Ali, czyż *ja* jestem Hindusem? — rzekł Kim po angielsku.

Koniarz nie okazał po sobie zdziwienia, lecz spojrzął spod krzaczastych brwi.

— Mały Przyjacielu całego świata — przemówił — co to ma znaczyć?

— Nic. Jestem obecnie żakiem tego świętego człowieka i razem udajemy się w pielgrzymkę... do Benares, jak powiada. On ma ćwieka w głowie, a mnie już się znudziło w mieście Lahorze. Pragnę innej wody i innego powietrza.

— Lecz dla kogo pracujesz? Po coś przybył do mnie? — w głosie jego opryskliwym można było wyczuć podejrzenie.

²⁷*hookah* — długa fajka z chłodnicą. [przypis redakcyjny]

— A do kogóż miałem przyjść? Nie mam pieniędzy. Niedobrze to podróżować bez grosza przy duszy. Ty sprzedasz oficerom wiele koni. Cacane konisie udało ci się nabyć!... jużem się im przyjrzał. Daj mi rupię, Mahbubie Ali, a gdy dochrapię się majątku, wystawię ci rewers i zapłacę.

— Hm! — rzekł Mahbub Ali, wpadłszy na nową myśl. — Nigdy mnie dotąd nie okłamałeś. Zawołaj tego lamę... i ukryj się w ciemności.

— O, nasze opowiadania będą zupełnie zgodne! — rzekł Kim, śmiejąc się.

— Idziemy do Benares — mówił lama, skoro zrozumiał treść pytań Mahbuba Alego. — Chłopiec i ja. Ja chcę szukać jednej rzeki...

— Niechta... ale chłopiec?

— Jest moim uczniem. Był mi, jak sądzę, zesłany z niebios, by zaprowadzić mnie do tej rzeki. Siedziałem pod armatą, gdy on nagle się zjawił. Oto, co zdarzyło się szczęśliwcowi, któremu dano mieć przewodnika. Ale przypominam sobie... on mówił, że jest z tego świata... jest Hindusem...

— A jak się nazywa?

— Nie pytałem go o to. Czy nie jest moim uczniem?

— A jego kraj... rasa... gmina? Muzułmanin, Hindus, *sikh* czy *jain*? Z niższej czy wyższej kasty?

— Na cóż go miałem o to pytać? Na Środkowej Drodze nie ma ani wysokich, ani niskich. Jeżeli on jest mym *chela*, to czyż ktoś zechce... zdoła... potrafi mi go odebrać?... Zważ, że bez niego nie odnajdę mej rzeki! — pokiwał uroczyście głową.

— Nikt ci go nie zabierze. Idź, siądź sobie pomiędzy moimi Baltisami — rzekł Mahbub Ali, a lama oddalił się uspokojony obietnicą.

— Czyż on nie jest zbzikowany całkowicie? — rzekł Kim, wysuwając się znów ku światłu — Czemuż bym miał cię okłamywać, Hadzi?

Mahbub pykał *hookah*, milcząc; nagle ozwał się niemal szeptem:

— Umballa jest na drodze do Benares... o ile rzeczywiście obaj tam idziecie...

— Pff! Pff! Mówię ci, że on nie umie kłamać... jak to my obaj umiemy.

— I jeżeli zajdziesz z mym zleceniem do samej Umballi, to dam ci pieniądze. Chodzi tu o konia... białego ogiera, którego sprzedałem jednemu oficerowi, ostatnim razem, gdy wracałem z przesmyków górskich. Lecz wtedy... stań bliżej i podnieś rękę, jakbyś żebrał... rodowód siwego ogiera nie został jeszcze całkowicie stwierdzony i ów oficer, który jest w Umballi, prosił mnie o wyjaśnienia — (tu Mahbub opisał konia i wygląd oficera). — Więc zlecenie, które ci dają do tego oficera, brzmi jak następuje: „Rodowód siwego ogiera jest całkowicie ustalony”. Tym sposobem on pozna, że przychodzisz ode mnie. On wtedy zapyta: „jaki masz dowód?” a ty odpowiesz: „Mahbub Ali dał mi dowód”.

— I to wszystko dla białego ogiera! — ozwał się Kim, parszcząc śmiechem, a oczy mu się zaświeciły.

— Ten rodowód dam ci zaraz... moim sposobem... a przy tym kilka przykrych słów.

Jakiś cień przemknął się za Kimem i za żującym wielbłądem... Mahbub Ali podniósł głos:

— Na Allacha! Czy jesteś jedynym żebrakiem w mieście? Matka ci umarła, ojciec umarł... tak to bywa u nich wszystkich! Dobrze, dobrze... — odwrócił się, jakby szukał czegoś na podłodze za sobą, i cisnął chłopcu pulchną i tłustą grzankę mahometańską. — Idź i prześpij się wraz z lamą pomiędzy koniuchami. Jutro dam ci jakieś zajęcie.

Kim wymknął się, a zatopiwszy zęby w grzance znalazł w niej, jak się spodziewał, mały zwitek welinowego papieru zawinięty w ceratę oraz trzy srebrne rupie... niebywała hojność! Uśmiechnął się i włożył pieniądze wraz z papierem do skórzanej sakiewki z amuletami. Lama, wspaniale nakarmiony przez Baltisów Mahbuba Alego, spał już w kącie stajni. Kim położył się obok niego i wybuchnął śmiechem. Wiedział, że wyświadczył jakąś przysługę Mahbubowi Ali, i ani na chwilę nie wierzył bujdzie o rodowodzie ogiera.

Atoli Kim nie podejrzewał wcale, że Mahbub Ali, znany jako jeden z najlepszych koniarzy w Pendżabie, bogaty i przedsiębiorczy kupiec, którego karawany docierały aż hen poza *tamtą* połąć świata, był zarejestrowany w jednej z tajnych ksiąg Indyjskiego Oddziału Topograficznego jako C-25 I. B. Dwa lub trzy razy do roku C-25 przysłał tam krótką opowieść, napisaną niewytwornie, ale bardzo zajmującą i zazwyczaj (potwierdzały

to raporty R-17 i M-4) najzupełniej prawdziwą. Była w niej mowa o najrozmaitszych odległych księstewkach górskich, o podróżnikach narodowości innej niżeli angielska, o handlu bronią... słowem była to drobna cząstka owej nieprzebranej ilości „otrzymanych wiadomości”, na jakich opiera się rząd indyjski. Lecz niedawno pięciu sprzymierzonych królów, którzy nie mieli powodu do zawierania przymierza, dostało wiadomość od pewnego życzliwego im mocarstwa północnego, że z ich obszarów przedostają się wieści do Indii angielskich. Przeto pierwsi ministrowie owych królów, poważnie zaniepokojeni, postanowili zaradzić temu istic wschodnim sposobem. Mieli w podejrzeniu, pomiędzy wielu innymi, gburowatego, rudobrodego koniarza, którego karawany brnęły przez ich warownie, zapadając się po brzuchy w śniegu; w każdym razie w tym właśnie czasie urządzono dwukrotnie zasadzkę na karawanę i ostrzeliwano ją, a ludzie Mahbuba donosili o trzech nieznanach opryszkach, którzy, kto wie, czy nie byli najęci do tej sprawy. Dlatego Mahbub nie popasał²⁸ w parszywym mieście Peshawur i nie zatrzymując się poszedł na przelaj do Lahory, gdzie, znając swoich ziomków, spodziewał się ciekawego obrotu dalszych wypadków.

To właśnie było powodem, że Mahbub Ali ani na godzinę dłużej, niż należało, nie chciał zatrzymywać przy sobie owego drobno złożonego świstka welinowego papieru, owiniętego w ceratę... inaczej mówiąc, owego bezimiennego, niezaadresowanego doniesienia z pięciu ledwo dostrzegalnymi nakłuciami w rożku, które w najhaniebniejszy sposób zdradzało pięciu sprzymierzonych królów, życzliwe im mocarstwo północne, hinduskiego bankiera w Peshawur, firmę rusznikarską w Belgii i wpływowego, na wpół niezależnego władcę mahometańskiego na południu. To ostatnie było sprawozdaniem R-17, które Mahbub zabrał z sobą za przełęczą Dora i przyniósł w zastępstwie R-17, gdyż ów wskutek okoliczności od niego niezależnych nie mógł opuścić swego posterunku. Dynamit był rzeczą niewinną i błahostką wobec tego raportu C-25; a nawet człowiek Wschodu, mający wschodnie poglądy co do wartości czasu, zdawał sobie sprawę, że im prędzej dostanie się to do rąk właściwych, tym lepiej dla niego. Mahbub nie miał zbyt wielkiej ochoty umrzeć śmiercią gwałtowną, ponieważ czekało go kilka niedokończonych krwawych porachunków rodzinnych za granicą, a dopiero po ich załatwieniu zamierzał osiąść gdzieś na stałe jako mniej więcej cnotliwy obywatel. Przez dwa dni po owym przybyciu nie przekroczył ani razu bramy seraju, tylko sterczał na widoku ludzkim, wysyłając telegramy to do Bombaju, gdzie umieścił część swych pieniędzy, to do Delhi, gdzie jego wspólnik, z tego co on plemienia, sprzedawał konie agentowi państwka radżputańskiego, to znów do Umballi, gdzie jakiś Anglik natarczywie domagał się rodowodu białego ogiera. Uliczny skrybent, umiejący po angielsku, układał świetne telegramy, jak np.: *Creighton, Laurel Bank, Umballa, Koń jest arabski, jak już donoszono. Zmartwiony opóźnieniem rodowodu, który tłumaczę. Później pod tymże adresem: Bardzo zmartwiony zwłoką. Rodowód pośle.* Do wspólnika w Delhi telegrafował: *Lutuf Ullah. Telegrafowałem dwa tysiące rupij twój rachunek bank Luchmana Naraina.* Były to sprawy czysto kupieckie, lecz każdy z owych telegramów był wielokrotnie omawiany przez ludzi postronnych, snadź bardzo w tym zainteresowanych, jeszcze zanim dostały się na stację kolejową, zanesione przez głupkowatego Baltisa, który wszelkim ludziom pozwalał odczytywać je po drodze.

Gdy Mahbub Ali, mówiąc własnym jego obrazowym językiem, zamącił źródła dociekań kijem ostrożności, spadł mu na kark Kim, jakby z nieba zesłany — więc równie sprytny, jak nie liczący się z niczym koniarz, nawykły do korzystania z wszelkich ryzykownych sposobności, zaprzął go natychmiast do roboty.

Wędrowny lama i chłopiec z gminu, pielgrzymując po Indiach, kraju pielgrzymów, mogli na chwilę wzbudzić czyjeś zaciekawienie, lecz nikomu nie przyszłoby na myśl, by ich podejrzewać o cokolwiek, lub, co gorsza, ograbić.

Kazał sobie podać nową fajerkę do *hookah* i zamyślił się nad tą sprawą. Gdyby się to stało, co mogło się stać najgorszego, tj. gdyby chłopcu przydarzyło się jakieś nieszczęście, to świstek papieru nie mógł obwiniać nikogo. A sam Mahbub wolnym czasem²⁹ udałby się do Umballi i — ryzykując nieco, że wzbudzi nowe podejrzenia — powtórzyłby ustnie swą opowieść osobom zainteresowanym.

²⁸popasać — robić postój w podróży. [przypis edytorski]

²⁹wolnym czasem — dziś: w wolnym czasie. [przypis edytorski]

Jednakowoż jądrem całej sprawy był raport R-17 i byłby to wyraźny pech, gdyby ów nie doszedł do rąk właściwych. Bądź co bądź, Bóg jest wielki, a Mahbub Ali miał przeświadczenie, że uczynił na razie wszystko, co się dało. Kim był jedyną w świecie istotą, która nigdy go nie okłamała. Byłoby to fatalną skazą w charakterze Kima, gdyby Mahbub nie wiedział, że wobec innych ludzi, dla własnych celów lub w interesach Mahbuba, Kim umiał łąć jak prawy syn Wschodu.

Następnie Mahbub Ali przetoczył się przez seraj ku bramie harpij, podmalowujących sobie oczy i zastawiających sidła na cudzoziemców, i zadał sobie niejaki wysiłek, by odwiedzić jedną z tych dziewczek; jak miał powody przypuszczać, była ona osobistą przyjaciółką gładkolicego *pandita* kaszmirskiego, który zaczepiał prostodusznego Baltisa na drodze, dopytując się o telegramy. Był to ze strony Mahbuba postępek bardzo niedorzeczny; albowiem wbrew przykazaniom proroka oboje zaczęli pić wonną wódkę, przy czym Mahbub przedziwnie się strąbił, iż rozwarły się wrzeczadze ust jego, zaś następnie jął na chwiejnych od trunku nogach uganiać się za Kwiatem Rozkoszy, aż upadł jak długi na poduszki, gdzie Kwiatuchna z pomocą kaszmirskiego gładysza-*pandita* obszukała go jak najstaranniej od stóp do głowy.

Mniej więcej o tej samej godzinie Kim posłyszał ciche stąpania w opuszczonej stajni Mahbuba. Koniarz (rzecz dość dziwna!) nie zaryglował był drzwi, wychodząc, a ludzie jego, otrzymawszy całą owcę z łaski pana, święcili uroczyste dzień powrotu do Indii. Gracki młodzieniec z Delhi, uzbrojony pękiem kluczy, które Kwiat Rozkoszy odwiązała nieprzytomnemu od pasa, przetrząsnął każdą z osobna skrzynkę, tobolek, siennik i kulbakę należącą do Mahbuba, jeszcze dokładniej, aniżeli Kwiat i *pandit* obmacali samego właściciela.

— A ja sądzę — odezwała się pogardliwie Kwiatuchna w godzinę później, opierając się zgiętym łokciem na chrapiącym cielsku — że on jest po prostu tylko pospolitą świnią, afgańskim koniarzem, co myśleć nie umie o niczym, ino o koniach i kobietach. Zresztą on mógł to już dawno wysłać... jeżeli w ogóle było coś podobnego.

— Nie... to, co się tyczy pięciu królów, kryje się pewno przy samym jego czarnym sercu! — rzekł *pandit*. — Czy tam nic nie było?

Człowiek z Delhi, który wszedł w tej chwili, roześmiał się i poprawił zawój.

— Szukałem pod podeszwami jego pantofli, tak jak Kwiatuchna przemyszkowała jego odzież. To nie ten człowiek, ale ktoś inny. Przed moim wzrokiem mało co się ukryje.

— *Oni* nie mówili, że to ten sam człowiek — rzekł *pandit* w zamyśleniu. — Powie-dzieli mi tylko: zbadaj, czy to on, ponieważ pokrzyżowano nasze zamysły.

— Ten kraj północny roi się od koniarzy jak stary chałat od wszy. Tam kupczą: Sikandar-chan, Nur Ali beg, Farrukh-szach... wszystko naczelnicy Kafilów — wtrąciła Kwiatuchna.

— Ci jeszcze tu nie zawitali — rzekł *pandit* — musisz ich później usidlić.

— Tfy! — ozwała się Kwiatuchna z głębokim obrzydzeniem, strącając ze swych kolan głowę Mahbuba. — Ale też haruję na te pieniądze! Farrukh-szach to niedźwiedź, Ali beg haraburda, a stary Sikandat-chan... o rety! No wynocha! idę spać. Ten wieprz ani się nie ruszy do białego dzionka.

Gdy Mahbub się ocucił, Kwiatuchna palnęła mu tęgie kazanie o grzechu pijaństwa. Azjaci ani okiem nie mrugną, gdy im się uda wywieść wroga w pole, atoli gdy Mahbub Ali przepłukał sobie gardło, przyciągnął pasa i zataczając się, wyszedł na świat, wyiskrzony jeszcze od zarannych gwiazd — niewiele brakowało, a byłby się zdradził.

— Ależ to szczeniący kawał! — mówił sam do siebie. — Jak gdyby pierwsza lepsza dziewczka w Peshawur już nie próbowała tej sztuczki! Ale wykonane było co się zowie! Teraz Bogu tylko wiadomo, ilu tam jeszcze po drodze jest takich, którzy mają polecenia, by zbadać mnie... może nawet nożem. Na tym więc stanęło, że chłopiec musi ruszyć do Umballi... i to kolejną... gdyż pismo jest rzeczą nagłą. Ja pobędę sobie tutaj, przywalając się do Kwiatuchny i trąbiąc wino, jak przystało na koniarza afgańskiego.

Zatrzymał się koło stajni sąsiadującej z jego własną. Ludzie jego spoczywali, ujęci twardym snem — Kim i lama zginęli bez śladu.

— Wstawaj! — trącił jednego ze śpiących. — Gdzie poszli ci, którzy tu dzisiaj nowowali... ten lama i chłopiec? Czy co nie zginęło?

— Nie — stęknął parobek. — Stary wariat zerwał się za drugim pianiem koguta, mówiąc, że chce iść do Benares, i a ten brzdąc kajsi³⁰ go wyprowadził.

— Przekleństwo Allacha na wszystkich niewiernych! — zaklął Mahbub siarczyście i wygramolił się do własnej stajni, mamrocząc coś pod nosem.

W istocie jednak to Kim zbudził lamę — Kim, który, przytknąwszy oko do dziury od sęka pozostającej w przepierzeniu, dostrzegł człowieka baraszkującego wśród skrzyń. Nie mógł to być zwykły złodziej, jeżeli przewracał listy, rachunki i siodła... ani też jakiś tam włamywacz, skoro nożykiem rozcinał po bokach podeszwy mahbubowych pantofli lub tak zręcznie wypruwał szwy w kulbakach. W pierwszej chwili Kim miał zamiar narobić rejwachu — wydając przeciągły okrzyk: *choor... choor* (złodziej! złodziej!), który nocą zdoła obudzić cały seraj i rozjaśnić go jak w dzień; lecz po chwili zaczął ostrożniej patrzeć na tę sprawę, a położywszy rękę na amulecie, wysnuł sobie właściwe przypuszczenia.

— Tu chodzi o rzekomy rodowód tego zmyślonego konia — rzekł sobie — właśnie o to, co mam zanieść do Umballi. Lepiej, żebyśmy ruszyli natychmiast w drogę. Ci, którzy nożami przeszukują tobołki, mogą też z kolei poszperać nożem w brzuchu. Ani chybi, w tym być musi jakaś kobieta. Hej, hej! — szepnął do lekko śpiącego staruszka. — Chybaj! Już czas... czas już iść do Benares.

Lama wstał posłusznie i obaj jak cienie wyszli z seraju.

ROZDZIAŁ II

Racz się swej pychy wyzbyć (nie lekceważ
Człeka ni zwierząt), skłoń ucho, ponieważ
Z duszą całego Wschodu styczność miewasz
Tu, koło Buddy w Kamakurze.

Wkroczyli na dworzec kolejowy, co, podobien³¹ warowni, czernił się w szarzyźnie ustępującej nocy. Elektryka lśniła, migotała nad dziedzińcem towarowym, gdzie skupia się wielki handel zbożowy całej północy.

— To dzieło czarta! — rzekł lama, wzdrygając się wobec glucho odbrzmiewającej ciemności, wobec połyskiwania szyn między murowanymi pomostami i labiryntu belkowania nad głową. Stanął w olbrzymiej hali kamiennej, brukowanej, zda się, pokotem leżących zwłok... byli to podróżni trzeciej klasy, co nabyli bilety na nocny pociąg i spali w poczekalniach. Dla ludzi wschodnich wszystkie godziny doby są jednakowe i ruch pasażerski tętni w nich zawždy równomiernie.

— Oto tutaj zajeżdżają wozy ogniste. Za tym otworem — tu Kim wskazał kasę biletową — stoi człowiek, który da ci papier na przejazd do Umballi.

— Ależ my jedziemy do Benares — odparł ów przekornie.

— Wszystko jedno. Więc do Benares. Prędko! Już nadjeżdża!

— Weź moją sakiewkę!

Lama, nie tak otrzaskany z koleją, jak się chlubił, zadrżał na całym ciele, gdy na dworzec wpadł z hukiem pociąg odjeżdżający na południe o godzinie 3 minut 25 rano. Śpiący zerwali się do życia, a dworzec napelnił się wrzawą i rwetesem, nawoływaniem sprzedawczy³² wody i łakoci, krzykami policjantów-krajowców i przeraźliwymi piskami niewiast, co zbierały do kupy koszyki, dziatwę i mężulków.

— To pociąg... zwykły *te-rain*³³. *On tu nie przyjdzie. Zaczekaj.*

Zdumiony niezmierną prostodusznością lamy, który wręczył mu trzosik pełny rupij, Kim poprosił o bilet do Umballi i uiścił należność. Zaspany urzędnik chrząknął i rzucił mu bilet do najbliższego przystanku, odległego tylko o sześć mil.

— Nie! — ozwał się Kim, odczytując go z wyszczerzonymi od śmiechu zębami. — Na to wziąć można chłopca, ale ja jestem z miasta Lahory. Mądrze to było zrobione, *babu* (panie)! Dajże mi teraz bilet do Umballi.

Babu spojrział nań spode łba i dał należyty bilet.

³⁰kajsi (gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

³¹podobien — dziś: podobny. [przypis edytorski]

³²sprzedawacz — dziś: sprzedawca. [przypis edytorski]

³³te-rain — przekręcone z ang. *train*: pociąg. [przypis redakcyjny]

— A teraz jeszcze drugi do Amritzar — rzekł Kim, który nie umiałby trwonić pieniędzy Mahbub Alego na coś takiego niedorzecznego jak płatna jazda do Umballi. — Cena wynosi tyle a tyle. Należy się akurat tyle drobnych reszty. Znam się na podróżowaniu kolejną... Nigdy żaden *yogi* nie potrzebował *cheli* tak jak ty — ciągnął dalej wesoło do zahukanego lamy. — Gdyby nie ja, kazaliby ci wysiadać w Biau Mir. Tędy droga! Chybaj!

Oddał mu pieniądze, zatrzymując sobie jedynie po *annie* od każdej rupii należnej za bilet do Umballi jako porękawiczne³⁴... odwieczne tu w Azji porękawiczne.

Lama znarowił się znowu u otwartych drzwi napchanego wagonu trzeciej klasy.

— Czy nie lepiej byłoby iść? — ozwał się bojaźliwie.

Opasły rzemieślnik sikhijski wytknął z wagonu brodaty łeb.

— Czy on się boi? Nie bójże się! Pamiętam czasy, gdy i ja się bałem pociągu. Wejdziesz! Przecież to rząd zbudował!

— Ja się nie boję — rzekł lama. — Czy macie tam miejsce dla dwóch?

— Nawet mysz nie znajdzie tu miejsca — pisnęła żona zamożnego rolnika, hinduskiego Dżata z bogatego okręgu Dżullundur. — Nasze pociągi nocne nie są tak wygodnie urządzone jak dzienne, gdzie płeć męska i żeńska jadą w oddzielnych wagonach.

— Ach, matko mego syna, możemy zrobić im miejsce — odezwał się jej małżonek w błękitnym zawoju. — Podnieś dziecko. Czy nie widzisz, że to człowiek święty.

— A mój podolek zawalony jest po siedemkroć siedemdziesięcioma tobołkami! Czemuż nie poprosisz go, by mi siadł na kolanach, bezwstydniku? Ale wy, mężczyźni, zawszeście jednacy!

Rozejrzała się wokoło, szukając poparcia. Lekkich obyczajów dziewczyna z Amritzar, siedząca przy oknie, prychnęła nosem pod ciężką namitką³⁵.

— Wchodźcie! wchodźcie! — krzyknął tłusty lichwiarz hinduski, biorąc pod pachę zmietoszoną książkę rachunkową, owiniętą w płótno. — Dobrze to być uprzejmym dla ubogich — dodał z obleśnym uśmiechem.

— Tak, na siedem procent miesięcznie wraz z zastawem nieurodzonego jeszcze cielęcia! — rzekł młody żołnierz dograński, jadący na urlop na południe. Wszyscy się roześmiali.

— Czy pociąg jedzie do Benares? — zapytał lama.

— Juści! Po cóż byśmy tu przyszli? Wchodź albo nas zostawia! — krzyczał Kim.

— Widzieliście! — zapisała dziewczka z Amritzar. — On nigdy nie wsiadał do pociągu. Patrzajcie, ludzie!

— No, pomóżcie mu! — rzekł kmieć, wysuwając potężną ogorzałą łapę i wciągając nieboraka. — Już po całej paradzie, ojcz!

— Ale... ale... siądę na ziemi. Byłoby to wbrew regule, gdybym usiadł na ławce — rzekł lama. — Zresztą nogi mi cierpną.

— Powiadam — zaczął lichwiarz, krzywiąc usta — że nie ma takich prawideł przyzwoitego życia, do których naruszenia nie zmuszałoby nas te koleje! Na ten przykład, siedzimy tu jeden obok drugiego, choć należymy do wszelkich kast i narodów.

— Tak, i nawet obok największych bezwstydników — odezwała się baba, patrząc złośliwie na dziewczkę z Amritzaru, strzelającą oczyma w stronę młodego sipaja.

— Mówiłem ci przecież, że mogliśmy jechać wasągiem³⁶ po gościńcu — rzekł małżonek — przez co zaoszczędzilibyśmy nieco grosza.

— Tak... i dwa razy więcej, niżby się zaoszczędziło, wydalibyśmy na jadło przez drogę. Mówiło się o tym dziesięć tysięcy razy!

— Tak, i dziesięcioma tysiącami języków! — mruknął chłop.

— Niechże Bóg ma w swej opiece nas, biedne kobiety, jeżeliby nie było nam wolno się wygadać. Oho! Ten to jest z tego rodzaju ludzi, co to ani spojrzy na kobietę, ani do

³⁴porękawiczne — opłata dla pośrednika, przez którego ręce (stąd nazwa) przechodzi transakcja między dwiema innymi osobami. [przypis edytorski]

³⁵namitka — kobiece nakrycie głowy, chusta okrywająca całą głowę wraz z czołem i ramionami. [przypis edytorski]

³⁶wasąg — prosty, czterokołowy powóz odkryty używany przez chłopów, bez resorów lub na półresorach poprzecznych, z nadwoziem drabinkowym opartym bezpośrednio na osiach. [przypis edytorski]

niej nie zagada! — (Albowiem lama, skępowany prawidłami zakonu, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.) — A czy jego żak jest taki sam?

— Nie, matko — wypalił Kim bez namysłu. — Wcale nie jestem taki, gdy kobieta jest ładna, a przede wszystkim litościwa dla głodnego.

— Odpowiedź godna żebraka — rzekł *sikh*, śmiejąc się. — Samaś wywołała wilka z lasu, siostrze!

Kim nadstawił ręce błagalnie.

— A dokąd ty się trajdasz? — zapytała kobieta, podając mu połowę placka, który wydobyła z zatuszowanego zawiniątka.

— Aż do Benares.

— Pewności kuglarze? — domyślał się młody wojak. — Nie pokazalibyście jakich sztuczek dla zabicia czasu? Czemu ten żółty człowiek ani ust nie otworzy?

— Dlatego — rzekł Kim wyniośle — że jest to człek święty i myśli o rzeczach, które są ci niedostępne.

— Niech sobie myśli zdrów! My, *sikhowie* loodhiańscy — wypowiedział to głosem dobitnym — nie zaprzątamy sobie głowy mądrościami. My walczymy!

— Bratanek mojej siostry jest *naikiem* (kapralem) w tym pułku — rzekł spokojnie rzemieślnik sikhijski. — Jest tam też kilka kompanii dograńskich.

Żołnierz przeszył go wzrokiem, gdyż Dogra jest z innej kasty niż *sikh*; bankier zachichotał.

— Dla mnie oni wszyscy jednacy — ozwała się dziewczka z Amritzaru.

— O, temu wierzymy! — parsknęła złośliwie wieśniaczka.

— Nie... ale ci, którzy z bronią w ręku służą rządowi, stanowią, bądź co bądź, jedno bractwo. Jest jedno braterstwo broni, ale poza tym... — rozejrzała się trwożnie dokoła — związek *Pulion*... pułk... he?

— Brat mój służy w pułku Jatów — rzekł wieśniak. — Dograsy to dobrzy ludzie.

— Tego przynajmniej zdania są twoi *sikhowie* — rzekł żołnierz, spojrzawszy z ukosa na spokojnego starca w kącie. — Twoi *sikhowie* tak myśleli, gdy dwie nasze kompanie nie dalej jak trzy miesiące temu przybyły im z pomocą pod Pirzai Kotal przeciwko ośmiu chorągwiom afrydyjskim, stojącym na szczytach gór.

Jął opowiadać dzieje bojów pogranicznych, w których dograńskie kompanie *sikhów* loodhiańskich dzielnie się spisały. Dziewka z Amritzaru uśmiechnęła się, gdyż wiedziała, że opowieść miała na celu zdobycie uznania z jej strony.

— Niestety! — ozwała się na koniec kmiotka. — Więc ich wioski zgorzały, a małe dzieci zostały bez dachu?

— Oni oszelmowali³⁷ naszych poległych. Przyplacili to porządnie, bo my, *sikhowie*, daliśmy im tęgą nauczkę. Tak to było! Czy to już Amritzar?

— Tak, i tu przecinają bilety — rzekł bankier, obmacując kaletkę u pasa.

Światło lamp już pobladło w rannym brzasku, gdy konduktor mieszanej rasy zaczął obchodzić wagon. Oglądanie biletów jest pracą nader żmudną na Wschodzie, gdzie ludzie ukrywają je po najosobliwszych schowkach. Gdy Kim pokazał swój bilet, kazano mu wyjść z wagonu.

— Ależ jadę do Umballi — sprzeciwił się. — Jadę z tym świętym człowiekiem.

— Nie pojedziesz ani do diabła zielonego, póki tu jestem. Bilet jest tylko do Amritzar. Fora ze dwora!

Kim zalał się łez strugą, upierając się, że lama jest jego ojcem i matką, on zaś sam jest podporą jego lat zgrzybiałych, przeto staruszek zginie bez jego opieki. Cały wagon jął błagać konduktora o litość (bankier był tu szczególnie wymowny) — lecz nieubłagany kolejarz wywlókł Kima na peron. Lama zmrużył oczy, niedowidząc, i nie mógł pojąć, co się stało; Kim podniósł głos i zaczął beczeć, nie odchodząc spod okna wagonu.

— Jestem bardzo biedny. Ojciec mi umarł, matuś pomarła. O litościwi ludkowie, jeżeli tutaj pozostanę, któż zaopiekuje się tym starowiną?

— Co... to ma znaczyć? — powtarzał lama. — On musi jechać do Benares. On musi jechać ze mną. To mój *chela*. Jeżeli trzeba zapłacić...

³⁷ *oszelmować* — okaleczyć; tu: okraść. [przypis edytorski]

— Bądźcie cicho! — szepnął Kim. — Czy jesteśmy radzami, by wyrzucać pieniądze, gdy świat tak jest miłosierny?

Dziewka z Amritzaru wysiadła właśnie z tobołkami; na nią to Kim zwrócił baczną uwagę. Wiedział, że damy i tej profesji bywają hojne.

— Bilet... małeńki *tikkut*³⁸ do Umballi... O kruszycielko serc! — (ona zaśmiała się). — Nie maszże litości?

— Czy święty człowiek przybywa z północy?

— Z bardzo, bardzo dalekiej północy — krzyknął Kim — aż z gór!

— Tam na północy jest śnieg pośród sosen... śnieg jest wśród gór. Moja matka była z Kulu. Naści, kup sobie bilet. Poproś go o błogosławieństwo.

— Dziesięć tysięcy błogosławieństw! — darł się Kim piskliwie. — O Najświętszy, oto kobieta obdarzyła nas litościwie tak, iż mogę jechać z tobą... kobieta o złotym sercu... Lecę po *tikkut*.

Dziewka podniosła oczy na lamę, który bezwiednie wyszedł za Kimem na peron. Ów pochylił głowę, by jej nie widzieć, i wymamrotał coś po tybetańsku, gdy minęła go wraz z tłumem.

— Lekko przyszła... lekko odeszła! — rzekła złośliwie wieśniaczka.

— Zdobyła sobie zasługę — odparł lama. — Pewno to była mniszka.

— W samym tylko Amritzar jest dziesięć tysięcy takich mniszek. Wracaj, dziadku, albo cię pociąg odjedzie³⁹! — krzyczał bankier.

— Nie tylko wystarczyło na bilet, ale nawet się okroiło na kęs jadła — odezwał się Kim, dając susa na swoje miejsce. — Wcinaj teraz, Najświętszy. Patrz, już dzień nadchodzi!

Mgły poranne, to złote, to rumiane, szafranowe i różowe, snuły się w dal po płaskich, zielonych równinach. Cały Pendżab, urodzajny i zamożny, rozciągał się w blasku promiennego słońca. Lama wzdrygał się nieco, gdy migać zaczęły słupy telegraficzne.

— Wielka jest szybkość pociągu — rzekł bankier z uśmiechem protekcyjnym. — Odjechaliśmy dalej od Lahory, niżbyś zdołał przejść w ciągu dwóch dni. Wieczorem przyjedziemy do Umballi.

— A i stamtąd jeszcze daleko do Benares — rzekł lama posępnie, mrużąc coś nad ciastkami, które podał mu Kim. Wszyscy rozwinęli węzłki i wzięli się do śniadania, po czym bankier, wieśniak i żołnierz nabili sobie lulki i napełnili cały przedział duszącym, gorzkim dymem, spluwając, kaszląc i gawędząc. *Sikh* i wieśniaczka żuli *pan* (mieszanka liści i orzeszków betelu); lama zażywał tabakę i liczył różaniec, natomiast Kim, skuliwszy nogi pod siebie, uśmiechał się, myśląc z rozkoszą o nasyceniu żołądka.

— Jakie rzeki macie koło Benares? — zagadnął nagle lama, zwracając się do całego wagonu.

— Jest Ganges — odparł bankier, gdy ustał pokątny śmiech.

— A jakie jeszcze inne?

— Jakaż inna, jeżeli nie Ganges?

— Nie... bo ja myślałem o pewnej rzece uzdrawiającej.

— To właśnie Ganges. Kto się w nim wykąpie, staje się czysty i idzie do bogów. Trzykrotnie odbywałem pielgrzymkę nad Ganges! — rozejrzał się dumnie wokół.

— Było ci to potrzebne! — ozwał się oschle młody sipaj, a śmiech pasażerów spadł tym razem na bankiera.

— Czysty... by powrócić znów do bogów... — mamrotał lama. — I na nowo podjąć bieg żywotów... i być wciąż przykutym do Koła... — potrząsnął głową markotnie. — Ale może to pomyłka. Któż więc stworzył Ganges na początku?

— Bogowie. Jakiegoś ty wyznania? — zapytał przerażony bankier.

— Wyznaję Prawo... najwznioślejsze Prawo. A więc to bogowie stworzyli Ganges? Jacyż to byli bogowie?

Wszyscy podróżni spojrzeli nań ze zdumieniem. Było rzeczą niepojętą, jak ktoś mógł nie słyszeć o Gangesie.

— Czym... czymże jest twój bóg? — rzekł na koniec lichwiarz.

³⁸*tikkut* — przekręcony wyraz ang. *ticket*: bilet. [przypis redakcyjny]

³⁹*albo cię pociąg odjedzie* — albo ci pociąg odjedzie. [przypis edytorski]

— Słuchajcie! — rzekł lama, przekładając różaniec do ręki. — Słuchajcie, bo oto mówię o Nim! O ludu Indii, słuchaj!

Zaczął gwarą urduską opowiadać o władcy Buddzie, lecz poniosły go myśli i z wolna przeszedł w narzecze tybetańskie, przytaczając długie, brzękliwe teksty z książki chińskiej, opisującej życie Buddy. Łagodne, wyrozumiałe pospólstwo patrzyło nań z szacunkiem. Całe Indie pełne są ludzi świętych, bełkocących kazania religijne w obcej mowie, wstrząsanych i trawionych ogniem żarliwości, marzycieli, gadułów, jasnowidzów. Tak było od wieków i będzie do końca.

— Uhm! — ozwał się żołnierz z pułku *sikhów* loodhiańskich. — W Pirzai Kotal obozował tuż koło nas pułk mahometański; ich duchowny (był on, o ile pamięć mnie nie zawodzi, *naikiem*), gdy go coś napadło, mówił też proroctwa. Ale szaleńcy są pod opieką bożą. Oficerowie niejedno wybaczały temu człowiekowi.

Lama powrócił do gwary Urdu, uświadomiwszy sobie, że znajduje się w obcym kraju.

— Posłuchajcie opowieści o strzale, którą nasz Pan wyrzucił z łuku.

To było im bardziej do smaku, więc słuchali ciekawie jego bajania.

— A teraz, o ludu Indii, idę szukać tej rzeki. Czy nie wiecie przypadkiem, jak mógłbym tam dotrzeć, gdyż wszyscy podlegamy złym przypadłościom?

— To *Gunga*... tylko *Gunga* (Ganges)... który zmywa grzechy... — poszedł pomruk po całym wagonie. — Bądź co bądź, mamy tu dobrych bogów koło Jullundur — odezwała się wieśniaczka, wyglądając przez okno. — Patrz no, jak pobłogosławili zbiory.

— Odszukiwanie każdej rzeki w Pendżabie niełatwym jest przedsięwzięciem — rzekł jej mąż. — Mnie wystarczy strumień, który zostawia mulny osad na mych gruntach, i dziękuję za to Bhumii, bóstwu pieleszy domowych.

Wzruszył muskularnym, ogorzałym ramieniem.

— Czy myślisz, że nasz Pan zaszedł tak daleko na północ? — rzekł lama, zwracając się w północną stronę.

— Być może — odparł Kim tonem pochlebającym, cyknąwszy na podłogę śliną czerwoną od soku z liści betelu.

— Ostatnim z wielkich — rzekł *sikh* tonem wyższości — był Sikander Julkarn (Aleksander Wielki). On wybrukował ulice Jullundur i zbudował wielki zbiornik wody koło Umballi. Te bruki zachowały się po dziś dzień, a cysterna też się tam znajduje. O twoim bogu zaś nigdy nie słyszałem.

— Zapuść długie włosy i mów po pendżabsku — przemówił żartobliwie do Kima młody żołnierz, przytaczając przysłowie północne. — Oto wszystko, na co stać *sikha!* — ale tego nie dopowiedział nazbyt głośno.

Lama westchnął i skurczył się w sobie, tworząc żółtawą, bezkształtną bryłę. W przerwach rozmowy można było posłyszeć stłumione mamrotanie: *Om mani pad me hum! Om mani padme hum!*... i poszczękiwanie drewnianych gałek różańca.

— Męczy mnie to — rzekł w końcu. — Chyżość jazdy i turkot kół wyczerpuje mnie... Poza tym, mój *chelo*, myślę, że możemy już przejechać ową rzekę.

— Cichajże, cichaj! — rzekł Kim. — Czyż ta rzeka nie znajduje się koło Benares? Jesteśmy jeszcze daleko od kresu podróży.

— Ale... jeśli nasz Pan poszedł na północ, tedy może to być jedna z tych rzeczulek, któreśmy przebyli.

— Nie wiem.

— Lecz tyś mi był zesłany, czyż nie byleś mi zesłany?... za zasługi, jakie sobie zdobyłem tam... w Such-zen. Wyszędłeś spoza armaty... miałeś dwie twarze... i dwa ubrania...

— Ciszey! Nie należy tutaj mówić o tym... — szepnęła Kim. — Byłem tam tylko w jednej postaci. Pomyśl jeszcze, a przypomnisz sobie. Chłopiec... chłopiec hinduski... przy wielkiej, zielonej armacie...

— Lecz czyż nie było tam również Anglika z białą brodą... świątnika pomiędzy obrazami... który jeszcze mnie bardziej utwierdził w przekonaniach co do Rzeki Strzały?

— On... my... myśmy poszli do Ajaib Gher w Lahorze, by się tam pomodlić do bogów — wyjaśnił Kim przysłuchującemu się towarzystwu. — Sahib z Domu Cudów rozmawiał z nim... tak, naprawdę... jak z bratem... Jest to człek bardzo świątobliwy, hen spoza gór. Usiądźże! Niezadługo będziemy w Umballi.

— Ależ moja rzeka... rzeka uzdrowienia?...

— Potem, jeżeli twoja wola, będziemy na piechty⁴⁰ uganiać się za tą rzeką. Nie omiemy niczego... nawet najmniejszej strugi w przekopie.

— Ale i ty masz czegoś poszukiwać?

Lama uradowany, że ma tak dobrą pamięć, wyprostował się jak struna.

— A juści! — odrzekł Kim, basując mu. Chłopak był wielce szczęśliwy, że wyrwał się w świat szeroki, gdzie mógł żuć *pan* i widzieć dobrze usposobionych ludzi.

— To był byk... Ryży Byk, co ma przyjść i pomagać ci... i porwać cię... dokąd?... wyleciało mi z pamięci. Ryży Byk w zielonym polu... nieprawdaż?

— Nie, nie porwie mnie nigdzie — rzekł Kim. — Opowiedziałem ci tylko taką bajkę.

— Co takiego? — wyrwała się wieśniaczka, pochylając się naprzód, aż zabrząkły⁴¹ bransolety na jej ramieniu. — Czy obaj śnicie na jawie? Ryży Byk na zielonym polu, który porwie cię do nieba... czy też co? Czy było to jasnowiedzenie? Czy ktoś gadał prorocтва? Dyc' my mamy Ryżego Byka w wiosce za miastem Jullundur... i on lubi się pasać na najzieleńszym z naszych pól!

— Daj kobiecie babską klehdę, a krawczykowi⁴² włókno i listek, to ci utkają różne dziwa! — rzekł *sikh*. — Wszyscy święci ludzie ciągiem roją, a ich uczniowie, idąc za mistrzami, też nabywają tej właściwości.

— A więc Ryży Byk... czyż nie tak? — powtórzył lama. — Może w poprzednim życiu pozyskałaś zasługę, a byk przyjdzie, by cię wynagrodzić.

— Nie... nie... była to tylko bajka, którą ktoś mi opowiedział... ot, żeby sobie zażartować. Mniejsza z tym! Lecz koło Umballi ja będę szukał Byka, a ty zaś możesz dopytywać się o rzekę i ochłonąć od turkotu pociągu.

— Może Byk wie o tym... że jest zesłany, by prowadzić nas obu — rzekł lama, pełen dziecięcej nadziei, po czym zwrócił się do obecnych, wskazując Kima: — Ten został mi zesłany dopiero wczoraj... Jak sądzę, nie jest on z tego świata.

— Spotykałam już wielu dziadów, a i świątków też niemało, aliści takiego *yogi* ani takiego żaka jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć! — rzekła baba.

Jej mąż stuknął się z lekka palcem w czoło i uśmiechnął się. Lecz niebawem, gdy lama zabierał się do jedzenia, częstowali go tym, co mieli najlepszego.

Na koniec — pomęczeni, senni i zakurzeni — wjechali na miejski dworzec w Umballi.

— Zatrzymujemy się tutaj z powodu procesu — odezwała się do Kima wieśniaczka. — Mieszkamy u młodszego brata stryjecznego mego męża. W podwórzu znajdzie się tam ciupka dla twego *yogi* i dla ciebie. Czy... czy on udzieli mi błogosławieństwa?...

— O mężu święty! Kobieta o złotym sercu daje nam nocleg. Ten kraj południowy jest ziemią wielce gościnną. Widzisz, jak nas wspierano od samego świtu?

Lama, błogosławiąc, pochylił głowę.

— Sprowadzać tych sowizdrzałów na kark bratu stryjecnemu... — zaczął chłop, zakładając na ramię ciężką lagę bambusową.

— Twój młodszy brat stryjeczny jest winien coś niecoś stryjecnemu bratu mego ojca jeszcze za ucztę weselną swej córki! — postawiła się okoniem jego połowica. — Niechajże im da żreć na rachunek tego długu. *Yogi* pójdzie na żebry, w to nie wątpię.

— A ino! Pójdę żebrać na niego — rzekł Kim, myśląc tylko o tym, żeby dać lamie jakie schronisko na noc, a żeby sam mógł tymczasem odszukać Mahbubowego Anglika i pozbyć się rodowodu siwego ogiera.

— A teraz — odezwał się, gdy lama znalazł przystań w podwórku wystawnej kamienicy hinduskiej poza koszarami — ja odejdę na chwilę... żeby... żeby kupić na rynku coś do jedzenia. Nie oddalaj się stąd, dopóki nie wrócę.

— Powrócisz? Na pewno powrócisz? — tu starzec uchwycił go w przegubie. — I czy powrócisz w tej samej postaci? Czy już za późno, by jeszcze dziś w nocy wyruszyć na poszukiwanie rzeki?

— Za późno i za ciemno. Uspokój się. Pomyśl, ile drogi mamy już za sobą... jużemy o sto *kos* odjechali od Lahory.

⁴⁰na piechty — dziś: na piechotę. [przypis edytorski]

⁴¹zabrząkły — dziś: zabrzączały. [przypis edytorski]

⁴²krawczyk — zwany tkaczem, ptak żyjący w Indiach i sporządzający sobie gniazdko z pozszywanych liści. [przypis tłumacza]

— Tak... a jeszcze dalej od mego klasztoru... O rety! Jakież to wielki i okropny kawał świata!

Kim wysmyknął się i dunął w miasto. Nigdy chyba tak niepozorna figurka nie niosła uwiązanego do szyi losu własnego i kilkudziesięciu tysięcy innych ludzi. Wskazówki Mahbuba Alego pozostawiały mu niewiele wątpliwości co do domu, w którym mieszkał rzeczony Anglik; w przekonaniu umocnił go fornał, wracający dwukolną bryczuszką z klubu. Pozostawało jedynie rozpoznać daną osobistość, przeto Kim przedarł się przez żywopłot i ukrył się w kępie bujnej trawy tuż koło werandy. Dom jarzył się od światła, a służba uwijała się dokoła stołów zastawionych kwiatami, szkłem i srebrem. Naraz wyszedł Anglik ubrany na białe i czarne i nucił sobie jakąś melodię. Było zbyt ciemno, by można było rozeznaczyć jego twarz, więc Kim, na sposób żebraków, chwycił się starego fortelu.

— Obrońco ubogich!

Anglik odwrócił się w stronę, skąd go doleciał głos.

— Mahbub Ali mówi...

— Aha! Cóż mówi Mahbub Ali?

Nie starał się nawet patrzeć na mówiącego i to potwierdziło domysły Kima.

— Rodowód białego ogiera jest całkowicie ustalony.

— Jakież dowód na to?

Anglik smagał laseczką po żywopłocie róż, rosnącym wzdłuż alei.

— Mahbub Ali dał mi ten dowód.

Kim pstryknął palcami, wyrzucając do góry świstek zwiniętego papieru, który upadł na ścieżkę obok mężczyzny; ten przystąpił go nogą, ponieważ w tej chwili koło węgła przechodził ogrodnik. Gdy sługa się oddalił, mężczyzna podniósł zwitek z ziemi i upuścił rupię (Kim wyróżnił jej brzęk), po czym ani się obejrawszy powłókł się do domu. Kim czym prędzej podniósł z ziemi pieniądze; lecz wbrew nawyczkom swego życia miał w sobie na tyle krwi irlandzkiej, że poczytywał srebro za najmniejszy zysk w każdej grze. Nade wszystko pragnął na własne oczy obaczyć skutki swego działania; toteż zamiast dać drapak, położył się plackiem w trawie i przyczołgał się pod sam dom.

Indyjskie *bungalow* bywają otwarte na przestrzał, więc chłopak zobaczył, że Anglik wszedł do małej szatni w rogu werandy, gdzie było coś w rodzaju biura zawalonego bezładnym stosem papierów i zatłoczonego szafkami na dokumenty; tam usiadł i zaczął zgłębiać doniesienie Mahbuba Alego. Jego twarz, oświetlona jasnym płomieniem lampy, mieniła się i posępniała, a Kim, nawykły jak każdy żebrak do obserwowania wyrazu twarzy ludzkich, poznał, że coś się święci.

— Willu! Willu, mój drogi! — zawołał głos kobiety. — Powinieneś być w salonie. Oni tu będą za chwilę.

Mężczyzna czytał wciąż z uwagą.

— Willu! — ozwał się ten sam głos w pięć minut później. — *On* już przyjechał. Słyszę już tętent jeźdźców w alei.

Mężczyzna wybiegł z gołą głową, właśnie w porę, gdy wielka landara, za którą jechało czterech kawalerzystów-krajowców, zatrzymała się przed gankiem, a z niej wyszedł wysoki brunet, wyprostowany jak strzała, wyprzedzany przez młodego oficera, który śmiał się z zadowoleniem.

Kim leżał plackiem na brzuchu, niemal dotykając wysokich kół pojazdu. *Jego* człowiek i czarny przybysz zamienili z sobą dwa zdania.

— Pewnie, panie łaskawy — ozwał się z ochotą młody oficer. — Wszystko na bok, gdy chodzi o konia.

— Nie zajmie to nam więcej nad dwadzieścia minut czasu — rzekł człowiek, o którego Kimowi chodziło. — Możesz czynić honory domu... zabawiać ich... i co tam będzie potrzeba.

— Każ poczekać jednemu z konnych — rzekł wysoki mężczyzna i obaj odeszli do szatni w chwili, gdy powóz ruszył z powrotem. Kim zobaczył ich głowy pochylone nad posyłką Mahbuba Ali i słyszał ich głosy — jeden cichy i pełen szacunku, drugi dobitny i stanowczy.

— Nie jest to kwestia tygodni, ale dni... niemal godzin — mówił starszy. — Oczekiwałem tego od dłuższego czasu, lecz to — tu plasnął ręką w papier przysłany przez Mahbuba — jest potwierdzeniem mych domysłów. Czy i Grogan jest tu dziś na kolacji?

— Tak jest, a Macklin również.

— Doskonale. Pomówię z nimi sam. Sprawa będzie, oczywiście, przedstawiona na Radzie, lecz jest to taki wypadek, w którym usprawiedliwione byłoby natychmiastowe podjęcie akcji przez nas. Trzeba ostrzec brygady w Pind i Peshawur. Wprowadzi to nieporządek w luzowaniu straży pogranicznej, ale na to nie ma rady. Nasza w tym wina, żeśmy nie rozbili ich doszczętnie za pierwszym razem. Osiem tysięcy wystarczy.

— A jak z artylerią?

— Muszę się porozumieć z Macklinem.

— Więc to ma być wojna?

— Nie. Ukaranie. Gdy jest się skrępowanym działalnością swego poprzednika...

— Ale C-25 mógł skłamać.

— On dostał wieści od innych. Ściśle rzecz biorąc, oni już przed sześciu miesiącami pokazywali pazury. Lecz Devenishowi się zdawało, że są pewne widoki pokoju. W rzeczywistości oni tylko skorzystali z tego, by się wzmocnić. Wyślij zaraz te telegramy... według nowego klucza, nie według starego... moje i Whartona. Sądzę, że nie powinniśmy dać paniom dłużej czekać na siebie. Resztę możemy obmyślić przy cygarach. Myślałem, że tak się stanie... To kara... nie wojna.

Gdy żołnierz klusem odjechał, Kim przeczołgał się na tyły domu, gdzie polegając na swych doświadczeniach z Lahory spodziewał się znaleźć strawę... i wyjaśnienia. W kuchni rojno było od krzątających się kuchcików, z których jeden go kopnął.

— Aj! — krzyknął Kim, udając łzy. — Przyszedłem tu jeno pomyć naczynia, w zamian za wyzerkę.

— Cała Umballa przychodzi tu po to. Idźże sobie precz! Zaraz poniosę zupe. Czy myślisz, że my, którzy służymy u Creigthona sahiba, potrzebujemy pomocy obcych kuchcików podczas wielkiej kolacji?

— O, to jakaś wielka wieczerza! — rzekł Kim, przyglądając się talerzom.

— Nie dziwota! Gościem, którego mamy zaszczyt przyjmować, jest ni mniej ni więcej tylko sam Jang-Lat Sahib (głównodowodzący).

— Oho! — rzekł Kim gardłowym głosem, doskonale oddając nutę podziwu. Dowiedziawszy się tego, o co mu szło, skorzystał z chwili, gdy kuchta się odwrócił, i odszedł.

— I tyle zachodów — rzekł do siebie, myśląc, jak zwykle, po hindostańsku — o głupi koński rodowód! Mahbub Ali powinien by chodzić do mnie na naukę kłamstwa. Dotychczas, ilekroć nosiłem jakieś zlecenia, była w to wmieszana kobieta. Teraz chodzi o mężczyzn. Tym lepiej. Ten wysoki mówił, że pošlę wielkie wojsko, by kogoś... gdzieś... ukarać... wyprawią wieści do Pindi i Peshawur. Są tam i armaty... Gdybym też podkraść się bliżej! To niebываłe nowiny!

Powróciwszy do domu, zastał stryjecznego brata wieśniaka omawiającego z wieśniakiem, jego żoną i kilkoma przyjaciółmi cały proces familijny z wszystkimi jego szczegółami i kruczkami, natomiast lama drzemał. Po wieczerzy ktoś podał mu fajkę chłodnicową, a Kim czuł się niemal mężczyzną, gdy wytrząsał ją nad gładką lupiną kokosową, wyciągnąwszy nogi poza próg obłany światłem księżycowym i od czasu do czasu trajkocąc językiem o byle czym. Gospodarze byli dlań bardzo uprzejmi, gdyż wieśniaczka opowiedziała im o tym, jak Kim miał ujrzeć Ryżego Byka, i o tym, iż prawdopodobnie pochodził z innego świata. Ponadto i lama był wielką i godną szacunku osobliwością. Później wśliznął się do izby kapłan rodziny, stary, dobrotliwy bramin sarsucki i, rzecz zrozumiała, rozpoczął spór teologiczny celem wywarcia wrażenia na krewniakach. Ma się rozumieć, że w rzeczach wiary stali oni, jak jeden mąż, po stronie kapłana, wszakoż lama był tu dziś gościem i nowością. Jego potulna uprzejmość i zawrotne cytaty chińskie, brzmiące jak zaklęcia, zachwycały ich niepomierne; on zaś w tej atmosferze sympatii i prostoty rozwijał się, niby lotos samego Bodhisata, opowiadając o swym życiu wśród wielkich gór w Such-zen, przed ową chwilą, w której (jak mówił) „powstał, by szukać oświecenia”.

Zgadało się także i o tym, że w owych dniach żywota ziemskiego był on mistrzem w stawianiu horoskopów i przepowiadaniu przyszłości. Kapłan skierował rozmowę na

i opisywanie sposobów wróżenia; każdy z rozmówców wymieniał nazwy planet, których drugi nie mógł zrozumieć, i wskazywali sobie wielkie gwiazdy żeglujące w nocnej pomrocy. Dzieci gospodarzy targaly bezkarnie jego różaniec, on zaś na śmierć zapomniał o przepisach zabraniających patrzeć na kobiety — tak się rozgadał o nietopniejących śniegach, urwiskach, zatarasowanych wąwozach, o odludnych turniach, kędy⁴³ ludzie znajdują szafiry i turkusy, tudzież o onej przedziwnej drodze górskiej, która w końcu prowadzi do samych Wielkich Chin.

— Cóż myślisz o tym człeku? — rzekł na uboczu rataj do kapłana.

— Święty człowiek... istotnie święty... Jego bogowie nie są bogami, ale jego stopy kroczą właściwą Drogą — brzmiała odpowiedź. — A jego sposoby przepowiadania, choć na tym się nie znasz, są prawdziwe i niezawodne.

— Powiedz mi — rzekł niedbale Kim — czy odnajdę Ryżego Byka w zielonym polu, jak mi obiecywano?

— Co wiesz o godzinie swych urodzin? — zapytał go kapłan, rosnąc w dumę.

— Było to między pierwszym i drugim pianiem kurów w noc pierwszego maja.

— Jakiego roku?

— Nie wiem; ale w godzinę, kiedy zakwililem po raz pierwszy, zdarzyło się wielkie trzęsienie ziemi w Srinagur, w Kaszmirze.

Kim wiedział o tym od kobiety, która miała nad nim pieczę, ona zaś wiedziała od Kimballa O'Harry. Trzęsienie ziemi wówczas dało się odczuć i w Indiach, a data jego na długo była w Pendżabie podstawą wszelkich obliczeń.

— Ojej! — ozwała się z ferworem jedna z kobiet, jakby ją coś piknęło. Ta okoliczność zdawała się jeszcze bardziej potwierdzać niesamowite pochodzenie Kima. — Czy to nie wtedy urodziła się komuś córka...

— A jej matka w ciągu czterech lat dała swemu mężowi czterech chłopaków... wszystko, zdaje się, chłopaki... — krzyczała wieśniaczka siedząca w cieniu poza kółkiem obecnych.

— Nikt wychowany w mądrości — rzekł kapłan — nie zapomni, jak ustawione były w swych domach planety w ową noc. — Zaczął rysować coś na piasku podwórka. — W każdym razie ty masz widoki na przyszłość, patrząc na nie ze strony domu Byka. Jak brzmi twoja przepowiednia?

— Pewnego dnia — rzekł Kim uradowany zajęciem, jakie obudzał — mam stać się wielkim człowiekiem za sprawą Ryżego Byka na zielonym polu; przedtem jednak przyjdą dwaj ludzie, którzy wszystko przysposobią.

— Tak; zawsze w ten sposób rozpoczynają się jasnowidzenia... Gęsta pomroka, która powoli się rozjaśnia... niebawem wchodzi ktoś z miotłą, przygotowując miejsce. Potem rozpoczyna się zjawa. Dwaj ludzie... powiadasz? Tak, tak! Słońce, opuszczając znak Byka, wstępuje pod znak Bliźniąt. Stąd to owi dwaj ludzie w prorocztwie. Zbadajmy to. Daj mi pręt, chłopcze.

Zmarszczył brwi, bazgrał na piasku jakieś dziwaczne znaki, zamazywał i znów rysował ku zdumieniu wszystkich, z wyjątkiem lamy, który, wiedziony poczuciem delikatności, ani myślał wtrącać się do tego. Po upływie pół godziny bramin odrzucił od siebie pręt i chrząknął.

— Hm! Oto co mówią gwiazdy: w ciągu trzech dni przyjdą dwaj ludzie, by przygotować wszystko. Za nimi przyjdzie Byk, ale znak ponad nim jest znakiem wojny i ludzi zbrojnych.

— A ino! Gdyśmy jechali z Lahory, w naszym wagonie był jeden z *sikhów* loodhiańskich! — ozwała się ufnie wieśniaczka.

— Ph! ph! Ludzie zbrojni... całe setki... Cóż ciebie obchodzi wojna? — rzekł kapłan do Kima. — Przypadł ci krwawy i srogi znak wojny, który rychło się ziści.

— Nie... nie... — odrzekł lama zafrasowany. — Szukamy jeno pokoju i naszej rzeki.

Kim uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, co podsłuchał w szatni. Stanowczo był wybrańcem gwiazd!

Kapłan nogą zatarł nagryzmołone horoskopy.

⁴³kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

— Ponadto nie potrafię już niczego się dopatrzeć. Za trzy dni, chłopcze, byk przyjdzie do ciebie.

— A moja rzeka, moja rzeka! — orędownał lama. — Spodziewałem się, że jego byk doprowadzi nas obu do rzeki.

— Niestety, o tej dziwnej rzece nic nie wiem, mój bracie! — odparł duchowny. — Takie rzeczy nie każdemu dano poznać...

Nazajutrz, mimo że namawiano ich do pozostania, lama uparł się, by wyruszyć. Dało więc Kimowi spory tobolek pełen smakołyków oraz bez mała trzy *anny* miedziaków na drogę i wśród wielu błogosławieństw przyglądano się obu wędrowcom zmierzającym w szarzyźnie świtu na południe.

— Szkoda, że ci ludzie i im podobni nie mogą się wyzwolić z Koła Wszechrzeczy! — ozwał się lama.

— Oj nie! A toż by na ziemi pozostali tylko źli ludzie i któż by nam wtedy dał żarcie i dach nad głową? — zawyrokował Kim, krocząc dziarsko ze swoim ciężarem.

— Hań dalej jest mała rzeczka. Chodźmy zobaczyć — rzekł lama i skręcił od białego gościńca na przelaj przez pola, aż wpadli w istne gniazdo szerszeni — pomiędzy rozjadłe psy *pariaskie*⁴⁴.

ROZDZIAŁ III

I tutaj wszelkich dusz pojdziesz wymowę,
Co szły przez życia szczeble i budowę,
Gdy Devadatty prawo — było nowe...
Wiatr ciepły tchnie od Kamakury.

Jakowś chłop rozjuszony, wypadłszy za nimi, jął wymachiwać palicą bambusową. Był to ogrodnik z kasty Arain, hodujący warzywa i kwiaty, które dostawał na targ w Umballi. Kim znał dobrze to plemię.

— Ten człowiek — rzekł lama, nie zważając na psy — jest nieuprzejmy względem obcych, niepowściągliwy w gębie i niemilosierny. Niechże jego postępowanie będzie ci przestrogą, mój uczniu!

— Hej! dziady bezczelne! — wrzeszczał chłop. — Fora stąd! A wynocha!

— Odchodzimy już — odpowiedział lama z godnością i spokojem. — Odchodzimy już z tych nieszczęsnych pól.

— Och! — ozwał się Kim, nabrawszy tchu. — Jeżeli nie dopiszą ci przyszłe zbiory, to możesz ino⁴⁵ sobie sam czynić wyrzuty za własne słowa!

Chłop pokręcił się niespokojnie.

— W okolicy pełno żebraków — zaczął tonem na wpeł usprawiedliwiający.

— A skądś to wiedział, że my chcemy żebrać u ciebie, o Mali — rzekł Kim z przekąsem, darząc go przezwiskiem, jakiego najbardziej nie lubią przekupnie jarzyn. — Jedyną rzeczą, o którą nam chodziło, było przyjrzenie się tej rzece... tam za polem.

— Rzece? Doprawdy! — parsknął śmiechem warzywnik. — Z jakiego miasta przywlekliście się tutaj, że nie poznaliście zwykłego kanału? Płynie on prościutko jak strzała, a ja płacę za wodę, jakby to było roztopione srebro. Tam jest odnoga rzeki. Ale jeżeli chcecie wody, to wam jej dam... a może mleka?

— Nie, pójdziemy do rzeki — rzekł lama, zabierając się do odejścia.

— Dam wam mleka... i jadła... — zaczął się chłop, przyglądając się wysokiej postaci osobliwego przybysza — ja... nie... nie chciałbym ściągnąć nieszczęścia na siebie... albo na moje płony... ale w obecnych ciężkich czasach jest tylu żebraków...

— Przypatrz no się — zwrócił się lama do Kima. — Czerwona mgła gniewu przywiodła go do grubiańskich słów. Gdy ta ćma zdarła się z jego oczu, staje się człowiekiem grzecznym i łagodnego serca. Błogosławione niech będą jego pola! Pamiętaj, gospodarzu, nie sądz ludzi zbyt pośpiesznie.

⁴⁴*psy pariaskie* — pariaskimi nazywają w Indiach włóczegowskie kundle, rasy niekształtnej, a maści żółtawej. [przypis tłumacza]

⁴⁵*ino* (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Spotykałem ludzi świętych, którzy by cię przeklęli od obory aż do ogniska — ozwał się Kim do zawstydzonego chłopca. — Czyż on nie jest człkiem iście świętym? Ja jestem jego uczniem.

Zadarł butnie nosa do góry i z wielką godnością jął kroczyć po wąskich miedzach.

— Nie bywa pychy — rzekł lama po chwili milczenia — nie bywa pychy u tych, co idą Drogą Środkową.

— Przecież sames powiedział, że był to człek z niskiej kasty i nieokrzesany.

— O niskiej kaście nie mówiłem, bo jakoż może być coś, czego nie ma? Później on żałował swej nieuprzejmości, więc zapomniałem o urazie. Zresztą i on jest, jako my, przywiązany do Koła Wszechrzeczy... tylko że nie kroczy drogą zbawienia.

Zatrzymał się przy małym strumieniu wijącym się przez niwy i wpatrzył się w brzeg podziurawiony kopytami.

— No, a jakże teraz poznasz swą rzekę? — zagadnął Kim, usiadłszy w kucki w cieniu kępki gibkich trzciny cukrowych.

— Gdy ją znajdę, na pewno doznam łaski oświecenia. Czuję, że nie jest to jeszcze owo miejsce. O najmniejszy z poników⁴⁶, gdybyś umiał mi ty powiedzieć, kędy płynie moja rzeka! Ale bądźże i ty błogosławion, że użyźniasz te niwy!

— Patrzaj, patrzaj! — krzyknął Kim, przyskakując doń i odciągając go w tył. Spośród kraśnych, szeleszczących badyli wypełzła ku brzegowi żółtobrunatna wstęga, wyciągnęła szyję ku wodzie, napiła się i legła spokojnie — był to ogromny wąż *kobra* o nieruchomych oczach pozbawionych powiek.

— Nie mam kija... nie mam kija! — ozwał się Kim. — Poszukam kija i przetrączę mu grzbiet.

— Za co? I on jest w Kole, jako i my... w żywocie zdążającym wzwyż lub ku dołowi... bardzo mu daleko do wybawienia. Wielkiego grzechu dopuścić się musiała dusza, która spadła do takiej postaci.

— Nie cierpię wszelkich gadów! — rzekł Kim. Wychowanie wśród krajowców nie zdoła w człowieku białym wykorzenić odrazy do węzów.

— Pozwól mu przeżyć należyty okres żywota. — (Zwinięta w kłębek gadzina zasyczała i nieco rozwarła zakapturzony łeb.) — Oby rychło, bracie, nastąpiło twe wybawienie! — prawil lama spokojnie. — A może przypadkowo ty coś wiesz o mojej rzece?

— Nigdy nie widziałem człowieka takiego jak ty — szepnął Kim oszołomiony. — Czyż nawet węże rozumieją twą gwarę?

— Kto wie? — i przeszedł o jaką stopę odległości od chybotającego się łba kobry. Wąż cały się splaszczyl w zapyłonych zwojach.

— Chodź ino! — zawołał, oglądając się przez ramię.

— Nie pójdę! — rzekł Kim. — Obejdę go dookoła.

— Chodź! On ci nic złego nie zrobi.

Kim zawahał się na chwilę. Lama poparł swój rozkaz jakimś brzękliwym wersem chińskim, który Kim poczytał za guślarskie zaklęcie. Usłuchał wezwania i przeskoczył rzeczulkę. Wąż istotnie ani się nie ruszył.

— Nigdy nie widział takiego człowieka — mówił Kim, ocierając pot z czoła. — A teraz gdzie pójdziemy?

— Tobie o tym mówić wypada. Jestem stary i cudzoziemiec... z dala od mego kraju. Gdyby nie to, że ten wóz *rel*⁴⁷ napelnia mi głowę zgiełkiem diabelskich bębnow, to chętnie bym w nim teraz pojechał do Benares... lecz w takiej przeprawie moglibyśmy ominąć Rzekę... Poszukajmy innego ruczaju.

Tam, kędy ciężko uprawiana rola daje żniwa trzy lub i cztery razy do roku — wśród poletek trzciny cukrowej, tytoniu, długich, białych rzodkwi i *nol-kol* — wałęsali się — obaj przez dzień cały, zbaczając z drogi za każdym ino połyskiem wody; budzili czujne psy po zagrodach i wioski drzemiące w ciszy południowej. Lama, nigdy nie zbity z tropu, z wielką prostotą odpowiadał na grad pytań, jakimi ich zasypywano. Szukali rzeki... rzeki cudownego uzdrowienia. Czy komukolwiek było co wiadomo o takiej strudze? Niekiedy

⁴⁶*ponik* — strumyk. [przypis edytorski]

⁴⁷*rel* — przekręcone z ang. *rail*: kolej. [przypis edytorski]

ludzie się śmiali, lecz częściej słuchano opowiadania od deski do deski, ofiarowano przychodniom spoczynek w cieniu, łyk mleka i posiłek. Kobiety były zawsze uprzejme, a mali smarkacze, jak to bywa z dziatwą w całym świecie, na przemian okazywali to onieśmienie, i to czupurność. Wieczór zastał ich pogwarzających z wójtem pod osłoną gminnego drzewa w małej wioszczynie złożonej z lichy skleconych lepianek; właśnie bydło wracało z pastwisk, a kobiety gotowały wieczerzę. Przebyli już pas ogrodów warzywnych okalających wygłodzoną Umballę i znajdowali się pośrodku milami rozpostartej zieloności urodzajnych zbóż.

Wójt był to siwobrody, uprzejmy starzec, nawykły do gawędy z cudzoziemcami. Przymurzał dla lamy łożko siatkowe, zastawił przed nim ciepłą strawę, nabił mu fajkę, a gdy w świątyni wioskowej skończyło się nabożeństwo wieczorne, posłali po miejscowego kapłana.

Kim opowiadał starszym dzieciom cudzeńka o wielkości i piękności Lahory, o jeździe koleją i tym podobnych dziwach miejskich, tymczasem starsi gwarzyli z wolna, tak jak ich trzody przeżuwały paszę.

— Nie umiem tego zgłębić — rzekł w końcu wójt do kapłana. — Co sądzisz o tym gadaniu?

Lama, skończywszy opowieść, odmawiał po cichu różaniec.

— To Poszukiwacz — odrzekł kapłan. — Pełno takich w naszym kraju. Czy pamiętasz tego... fakira z żółwiem... co tu był niespełna miesiąc temu?

— Tak, lecz ów człowiek miał do tego prawo i podstawę, gdyż zjawił mu się sam Krishna, obiecując mu raj bez przejścia przez czyściec, jeżeli odbędzie pielgrzymkę do Prayag. Ten zaś szuka jakiegoś boga, o którym zgoła nic nie wiem.

— Cichaj, to człek stary; idzie z bardzo daleka i jest obłąkany — odparł gładko wygolony świątnik. — Słuchaj no! — zwrócił się do lamy — trzy *kos* (sześć mil angielskich) na zachód stąd ciągnie się wielki trakt wiodący do Kalkuty.

— Ależ ja chciałbym dojść do Benares... do Benares.

— Także i do Benares... Przecina on wszystkie strumienie z tej strony Indii. A teraz zasylam prośbę do ciebie, o święty, byś tu pozostał do jutra. Potem wyjdź na drogę — (miał na myśli główny trakt) — i badaj każdy strumień, który ona przecina; albowiem, jak wnoszę, przymioty twej rzeki nie są związane z jedną jej łachą czy też jakąś miejscowością, lecz ujawiają⁴⁸ się przez całą długość jej biegu. Przeto, jeżeli taka wola twych bogów, bądź pewny, że dostąpisz wybawienia.

— Dobra rada — rzekł lama, wielce przejęty tym pomysłem. — Ruszymy jutro i niech błogosławieństwo spłynie na cię, iżś starym nogom ukazał tak bliską drogę.

Z głębi gardła wydobyty, niezrozumiały przyspiew chiński stanowił zamknięcie zdania. Uczyniło to wrażenie nawet na duchownym, a wójt zatrwożył się, czy nie jest to urok jakowś; lecz kto spojrział na prostoduszną, pełną zapału twarz lamy, nie mógł długo mieć go w podejrzeniu.

— Czy widzisz mego *chelę*? — ozwał się ów, gmerząc w tabakierze i dobywając sutą szczyptę; uważał za swą powinność, by odplacić grzecznością za grzeczność.

— Widzę... i słyszę — odpowiedział wójt, rzucając okiem w stronę, gdzie Kim przekomarzał się z dziewczyną w modrej sukni, podsycając ognisko trzaskającym chrustem cierniowym.

— On ma też własny przedmiot poszukiwań. Nie rzekę, ale byka. Tak, Ryży Byk na zielonym polu ma go kiedyś wynieść do wysokich dostojeństw. Zdaje mi się, że on niezupełnie należy do tego świata. Był mi nagle zesłany do pomocy w poszukiwaniach, a nazywają go Przyjacielem całego świata.

Kapłan uśmiechnął się.

— Hej tam, Przyjacielu całego świata! — krzyknął poprzez kłęby gryzącego dymu — któżś ty?

— Zak tego świątka! — odrzekł Kim.

— On mówi, żeś ty jest *but* (duch).

— Czyż *buty* mogą jeść? — ozwał się Kim, mrugając oczami. — Bo mnie się chce jeść.

⁴⁸ujawiać się — dziś: ujawniać się a. przejawiać się. [przypis edytorski]

— To nie żarty! — krzyczał lama. — Pewien astrolog... z miasta... którego nazwa wyszła mi z pamięci...

— Było to nie dalej jak w Umballi, gdzieśmy spędzili noc ostatnią! — szepnęła Kim do kapłana.

— Aha, czy to nie była Umballa? Ten astrolog stawiał horoskopy i oznajmił, że mój *chela* w przeciągu dwóch dni odnajdzie cel swych pragnień. Lecz co on mówił o znaczeniu gwiazd, Przyjacielu całego świata?

Kim odchrząknął i rozejrzał się po patriarchach wioskowych siedzących wokoło.

— Moja gwiazda wróży wojnę! — przemówił z przejęciem.

Kilku obecnych roześmiało się, widząc niepokaźnego obdartusa, stąpającego z dumą po ceglanych murku pod rozłożystym drzewem. Krajowiec w takiej sytuacji leżałby spokojnie, ale w Kimie zawrzała krew białego człowieka i postawiła go na równe nogi.

— A właśnie, że wojnę! — odciął się.

— O to niezawodne prorocstwo! — zagrział tubalny głos. — Dyc⁴⁹ na granicy ciągiem jest wojna... jak mi wiadomo.

Był to stary, sucherlawy człek, który za dni powstania⁵⁰ był w służbie rządowej jako oficer w świeżo wystawionym pułku jazdy krajowej. Rząd wynagrodził go pięknym kawałkiem gruntu w wiosce, a chociaż nadmierne wymagania synów (obecnie również siwobrodych oficerów) zubożyły go wielce, był jeszcze człowiekiem możnym i wpływowym. Urzędnicy angielscy — nawet wysłannicy parlamentu — zbaczali z głównego gościńca, by go odwiedzić; w takich okolicznościach ubierał się w dawny mundur i stawał wyprostowany jak stempel karabina.

— Ale to będzie wielka wojna... wojna ośmiu tysięcy ludzi! — rozbrzmiał wśród szybko gromadzącej się gawiedzi przeraźliwy głos Kima, który aż jego samego przejął zdumieniem.

— Czerwone kurty (Anglicy), czy nasze własne pułki? — pochwycił starzec, jak gdyby pytał równego sobie. Ton jego zapytania wzbudził w obecnych szacunek dla Kima.

— Czerwone kurtki — palnął Kim na chybił trafił — czerwone kurty i armaty...

— Ależ... ależ astrolog nie mówił o tym ani słowa — krzyknął lama, charcząc dziwnie przez nos w swym podnieceniu.

— Ale *ja* wiem o tym! Miałem o tym objawienie, ja, który jestem uczniem tego męża świętego. Wybuchnie wojna... wojna ośmiu tysięcy czerwonych kurt. Ściągną ich z Pindi i Peshawur. To rzecz pewna.

— Chłopak nasłuchał się plotek jarmarcznych — ozwał się kapłan.

— Ależ on był wciąż przy mnie — rzekł lama. — Skąd by on to wiedział? Ja nic nie wiedziałem.

— Będzie z niego sprytny kuglarz, gdy ten stary zemrze! — bąknął kapłan do wójta. — Cóż to za nowy figiel?

— Dowodu!... Daj mi dowód! — huknął naraz stary wojak. — Gdyby się zanosilo na wojnę, synowie moi dawno by mi o tym powiedzieli.

— Gdy wszystko będzie gotowe, twoi synowie na pewno będą o tym zawiadomieni. Ale od twoich synów daleka droga do człowieka, w którego rękach spoczywa wszystko.

Kim zapalił się do gry, bo mu to przypominało przygody na linii kolejowej, przewożącej pocztę, kiedy to dla zdobycia kilku *paisów*⁵¹ udawał, że wie więcej, niż wiedział w istocie. Ale teraz grał o wyższą stawkę — o samo tylko podniecenie i poczucie własnej mocy. Nabral więc tchu na nowo i mówił dalej:

— Staruszk, ty daj mi dowód. Czy podwładni mogą nakazać wymarsz ośmiu tysięcy czerwonych kubraków... z armatami?

— Nie! — odpowiedział wiarus wciąż takim tonem, jak gdyby Kim był jego rówieśnikiem.

— Czy wiesz, kto to jest taki, co wydaje rozkazy?

— Przecież go widział!

⁴⁹*dyc* (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

⁵⁰*powstanie* — oczywiście, mowa o powstaniu sipajów; [tj. masowych antybrytyjskich wystąpieniach zbrojnych w Indiach w latach 1857–1859, zainicjowanych przez wojskowych wywodzących się z miejscowej ludności, czyli tzw. sipajów; red. WL]. [przypis tłumacza]

⁵¹*pais* a. *paisa* — drobny pieniądz indyjski (miedziany), stanowiący ćwierć *anny*. [przypis tłumacza]

— Poznalbyś go znowu?
 — Znałem go jeszcze, gdy był porucznikiem w *topkhana* (artylerii).
 — Jest to człek wysoki... wysoki człek o czarnych włosach... a chodzi w ten sposób...
 — tu Kim przeszedł parę kroków, uwydatniając chód sztywny, jakby drewniany.
 — No tak. Ale to mógł zauważyć byle kto.
 Tłum przysłuchiwał się z zapartym tchem całej tej rozmowie.
 — To prawda — rzekł Kim. — Ale powiem ci jeszcze więcej. Przypatrz no się. Najpierw ten wielki człowiek chodzi w ten sposób... potem myśli w ten sposób... — (tu Kim przesunął palec wskazujący po czole, potem w dół, aż na koniec zatrzymał go w kącie ust)
 — następnie w ten sposób strzela palcami... potem bierze kapelusz pod lewą pachę...
 Kim unaoczniał cały ruch i stanął niby bocian. Stary wiarus warczał coś niezrozumiale z podziwu, a po tłumie przebiegł dreszcz.
 — Tak... taak... taak! Ale co on czyni, gdy ma wydać rozkaz?
 — Skrobie się w ten sposób po karku... Potem wyrzuca Jeden palec na stół i z lekka fuczy przez nos... Potem odzywa się:
 — Zluzować taki a taki pułk! Sprowadzić takie działa!
 Stary wiarus stanął na baczność i zasalutował.
 — Bo... — tłumaczył Kim na gwarę gminną dobitne zdania posłyszane w szatni domu w Umballi — bo, powiada on... powinniśmy to uczynić już dawno. To nie wojna, to kara. Fff!
 — Dosyć. Wierzę ci. Takim go widziałem w ogniu bitwy. Widziałem i słyszałem. To on!
 — Nie widziałem ognia bitwy! — tu głos Kima przeszedł w urywkowe gładzenie przydrożnego wróżbity. — Widziałem go w ciemności... Najpierw nadszedł człowiek, mający wyjaśnić położenie... Potem przybyli jeźdźcy... Potem przybył on, stojąc w obręczy świetlnej... Dalej było tak, jak mówiłem. Starcze, czy powiedziałem prawdę?
 — To on; to on bez najmniejszej wątpliwości.
 Tłum odetchnął przeciągle całą skalą głosów, wlepiając oczy na przemian to w starego wiarusa, wciąż jeszcze stojącego na baczność, to w obdarłego Kima. Zmierzch krasił się barwą purpury.
 — Czyż nie mówiłem... czyż nie mówiłem, że on nie z tego świata? — zawołał lama chełpliwie. — On jest Przyjacielem całego świata! on jest Przyjacielem gwiazd!
 — No, ale co nam do tego! — zawołał jeden z chłopów. — O młodociany wróżbito, jeżeli duch wieszczy zamieszkuje w tobie o każdej porze... to ja mam czerwono nakrapianą krowinę. Ona mogłaby być siostrą twego byka... o ile mi wiadomo...
 — Albo o ile mnie to obchodzi! — rzekł Kim. — Moje gwiazdy nie mają nic wspólnego z twoim bydłem.
 — Ależ nie... ona jest bardzo chora — wmieszała się jakaś babina. — Mój mąż to istny bawół, inaczej dobierałby lepiej wyrazów. Powiedz mi, czy ona się wylżyze?
 Gdyby Kim był zwyczajnym chłopcem, przeciągałby jeszcze tę zabawę; lecz jeżeli ktoś od lat trzynastu znał całe miasto Lahorę lub chociażby wszystkich fakirów przy bramie Taksali, to musiał już dobrze znać i naturę ludzką. Z boku nieco kwaśno spozierał nań kapłan — uśmiechając się oschle i jadowniczo.
 — Cóż? Czy w tej wsi nie ma kapłana? Zdaje mi się, że dopiero co widziałem, i to nie lada, kapłana!
 — Tak... ale... — zaczęła kobieta.
 — Ale ty i twój mąż przypuszczaliście, że ktoś wyleczy wam krowę za kopę podziękowań. — Strzał był celny, gdyż to stadło słyęło z największego sknerstwa w całej wiosce. — Niedobrze to oszukiwać świątynię. Daj młodego cielaka kapłanowi, a o ile bóstwa twoje nie palają nieodwołalnym gniewem, to za miesiąc krowa będzie dawała mleko.
 — Jesteś mistrzem w żebraniu — markotał niby kot udobruchany kapłan. — Nawet czterdziestoletnie doświadczenie nie mogłoby cię uczynić doskonalszym. Pewno bardzo wzbogaciłeś tego starucha?
 — Trochę mąki, trochę masła i garść rzeżuchy — odpowiedział Kim, rumieniąc się z pochwały, lecz mając się jeszcze na ostrożności — czyż można się tym wzbogacić? A jak sam pewno widzisz, on ma fioła w głowie. Ale przynajmniej tyle na tym korzystam, że poznaję drogę.

Wiedział, jak wyglądali fakirowie pod bramą Taksali, gdy gwarzyli ze sobą, i naśladował nawet same wyrażenia ich wyuzdanych uczniów.

— Czyż więc jego poszukiwanie jest prawdą czy też płaszczykiem do pokrycia innych celów? Może to skarby?...

— On jest szalony... bardzo szalony... Nie ma w tym nic więcej...

W tej chwili przykuszytał stary wiarus i zapytał, czy Kim zostanie u niego na noc. Kapłan namawiał go, by tak uczynił, lecz równocześnie twierdził uporczywie, że zaszczyt podejmowania lamy należy do świątyni, na co lama uśmiechnął się z całą szczerością. Kim rzucił okiem z twarzy jednego na oblicze drugiego — i wyciągnął odpowiednie wnioski.

— Gdzie masz pieniądze? — szepnął odprowadziwszy starca na bok w ciemności.

— Za pazuchą. Gdzieżby były?

— Daj mi je. Daj mi je prędko i po cichu.

— Na co? Po co? Tu nie trzeba kupować biletu.

— Czy jestem twoim *chela*, czy nie? Czyż nie jestem podporą twych starych nóg w podróży? Daj mi pieniądze, a oddam ci je o świcie.

Wsunął dłoń za pas lamy i wyciągnął stamtąd kieskę.

— Niechże tak będzie... niech będzie... — pokiwał głową starzec. — Świat ten jest wielki i straszny. Nigdy nie sądził, że tylu ludzi żyje na nim.

Nazajutrz rano kapłan był wielce nadąsany, natomiast lama czuł się rozkosznie. Kim zaś spędził wieczór bardzo zajmująco ze starym wojakiem, który wyciągnął skądś swą szablę kawaleryjską i kołysząc ją na chudych kolanach opowiadał mu o powstaniu i młodych kapitanach, spoczywających od trzydziestu lat w grobie... aż chłopca z wolna zmorzył sen.

— Zdrowe być musi powietrze w tej okolicy — ozwał się lama. — Sypiam zazwyczaj lekko, jak wszyscy starcy, ale tej nocy spałem jak zabity i nie obudziłem się do białego ranka.

— Łyknij sobie gorącego mleka — rzekł Kim, który nierzadko stosował takie lekarstwo względem znajomych palaczy opium. — Czas już ruszyć w drogę.

— Na długą drogę, co przecina wszystkie rzeki Indii — rzekł lama radośnie. — Chodźmy. Ale jak myślisz, *chelo*, odwdziżyć się tym ludziskom, nade wszystko zaś kapłanowi, za ich wielką uprzejmość? Wprawdzie są to *but-parast*, ale w przyszłych żywotach może doznają oświecenia? Czy dać rupię na świątynię? Przedmiot, który znajduje się wewnątrz tej świątyni, jest niczym innym, jak tylko kamieniem malowanym na czerwono, ale powinniśmy cenić serce człowieka, gdy jest dobre.

— O święty! Czy odbywałeś kiedy drogę samopas? — Kim spojrzał nań ostro, niby jedna z wron indyjskich, co się krzątają po polach.

— A juści, dziecię moje: od Kulu do Pathankot... z Kulu, gdzie zmarł mój pierwszy *chela*. Gdy ludzie byli dla nas dobrzy, składaliśmy datki, a na całym pogórzu okazywano nam życzliwość.

— Inaczej jest w Hind (na niżu indyjskim) — rzekł Kim oschle. — Ich bogi mają wiele ramion i są złośliwe. Zostaw je w spokoju.

— Chciałbym was odprowadzić przez kawałek drogi, Przyjacielu całego świata... ciebie i twojego złotego człowieka — ozwał się czyjś głos; to stary wiarus człapał stępa na chudym kucyku o nożycowatych pęcinach, mającąc w brzasku na uliczce wioski — ostatniej nocy w wym wyschlým sercu wytrysły zdroje wspomnień i było to dla mnie błogosławieństwem. Naprawdę wojna rozchodzi się w powietrzu; odczuwam ją... Patrz, wzięłem ze sobą pałasz.

Siedział, zwiesiwszy długie nożyska, na grzbiecie małego wierzchowca, a dłonią oparł się na głowicy sążnistego⁵² pałasza dyndającego mu przy boku; poglądał srogo hen ponad kraj⁵³ równinny, ku północy.

— Opowiedz no mi jeszcze raz, jak *on* wyglądał w tej zjawie. Hopnij i siądź za mną. Bestyjka udźwignie nas obu.

— Jestem uczniem tego świętego — rzekł Kim, gdy przejechali bramę wioski.

⁵²*sążnisty* — ogromny, bardzo długi; *sążeńi*: daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

⁵³*kraj* — tu: kraniec, kres. [przypis edytorski]

Wieśniacy byli, zda się, niemal zmartwieni rozstaniem z nimi, natomiast kapłan po-
zegał ich chłodno i z daleka. Zmarnował jeno niepotrzebnie tyle opium na człowieka,
który nie nosił z sobą pieniędzy.

— Wcale trafne powiedzenie. Nie bardzo się wdaję z ludźmi świętymi, ale szacunek
nigdy nie zawadzi. W dzisiejszych czasach już nie szanują człowieka... nawet gdy sa-
hib-komisarz przyjeżdża do mnie w odwiedzinę. Lecz czemuż to chodzić z człowiekiem
świętobliwym, jeżeli kogoś gwiazda prowadzi do wojny?

— Ależ on *jest* człowiekiem świętym — rzekł Kim z powagą. — Jest naprawdę święty
w słowach i czynach. On nie jest podobny innym: nigdy nie widziałem takiego jak on.
Nie jesteśmy wróżbitami ani kuglarzami, ani żebrakami.

— Ty nie jesteś... to widzę, ale nie znam tego drugiego. Bądź co bądź, maszeruje
rażnie.

Świeży dech poranku ożywił lamę, który śmigał wielkimi, rześkimi krokami podob-
nymi do chodu wielbłąda. Zatopiony był w rozmyślaniach i odruchowo pobrząkiwał róż-
żanem.

Szli drogą wiejską, pełną kolein i wybojów, co wila się po równinie wśród wielkich,
ciemnozielonych gajów mangowych⁵⁴; na wschodzie bledziuchno rysowały się śniegiem
przykryte Himalaje. Całe Indie wyroiły się na pola, do roboty; słychać było zgrzyt ko-
łowrotów studziennych, pokrzykiwanie oraczy za bydłem i swarczenie się wron. Nawet
kucyk poszedł za dobrym przykładem i ruszył prawie truchtem, gdy Kim położył rękę na
puślisku.

— Żałuję, że nie dał rupii na kaplicę — rzekł lama, przebiegłszy palcami wszystkie
osiemdziesiąt jeden paciorków różańca.

Stary wojak warknął coś pod wąsem, a lama teraz dopiero zauważył jego obecność.

— Czy i ty szukasz rzeki? — rzekł, odwracając się.

— Dzień ledwo się zaczął — brzmiała odpowiedź. — Po kiego licha mi rzeka? Chy-
ba do napojenia konia przed zachodem słońca! Jadę, żeby pokazać ci krótszą drogę do
wielkiego gościńca.

— Nie zapomnę ci tej grzeczności, człowiecze dobrej woli, ale na cóż ten pałasz?

Stary wiarus tak się zawstydził, jak dziecko przyłapanie na zmyślaniu.

— Ten pałasz... — odezwał się obmacując swój oręż — o, to jeno⁵⁵ moje upodobanie...
upodobanie starego człowieka... Wprawdzie był rozkaz z policji, że w całych Indiach
nie wolno nikomu nosić broni, ale — zaśmiał się i plasnął po rękojeści — mnie znają
wszyscy policjanci w okolicy.

— Niedobre to upodobanie — rzekł lama. — Cóż komu przyjdzie z zabijania ludzi?

— Niewiele... ile wiem; ale gdyby od czasu do czasu nie zabijano złych ludzi, niedobrze
byłoby na tej ziemi bezbronnym marzycielom. Nie wysłałem tego z palca, bom ci widział
kraj od Delhi na południe zalany krwią.

— Cóż to za szal ogarnął wówczas ludzi?

— Wiadomo to tylko bogom, którzy zesłali tę plagę. Wzał się ten szal w całą armię
i zaczęto buntować się przeciwko oficerom. Było to pierwsze zło, ale dałoby się jeszcze je
załagodzić, gdyby się pohamowali; alic oni woleli zabijać żony i dzieci sahibów. Wtedy
przybyli sahibowie zza morza i zrobili z nimi surowy porachunek.

— Pewne pogłoski o tym, jak mi się zdaje, dotarły do mnie przed wielu laty. Jak
sobie przypominam, nazwano ów rok „Czarnym Rokiem”.

— Jakimże ty żyłeś trybem, że nie wiesz o tym roku? Pogłoski, ciewy⁵⁶! Cała ziemia
wiedziała i trzęsła, się ze strachu.

— Nasza ziemia nigdy się nie trzęsła, tylko raz... i w dniu, gdy Najdoskonalszy doznał
oświecenia.

— Brrmh! Ja widziałem przynajmniej trzęsienie ziemi w Delhi, a Delhi jest pępkiem
świata.

— Więc oni zwrócili się przeciwko kobietom i dzieciom? To był czyn zły, za który
nie można uniknąć kary.

⁵⁴*mango* — (wyraz tamilski) owocowe drzewo rosnące w Indiach, a rodzące jadalne owoce, bardzo soczyste,
o żywicznym zapachu. [przypis tłumacza]

⁵⁵*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁵⁶*ciewy* (gw.) — a to dopiero; też coś. [przypis edytorski]

— Niektórzy starali się temu zapobiec, ale na nic to się nie zdało. Byłem wtedy w pułku konnicy. Ten się zbuntował. Z sześciuset osiemdziesięciu szabel ilu pozostało wiernie przy swych dowódcach? Jak sądzisz? Trzech tylko! Ja byłem jednym z nich.

— Tym większa zasługa.

— Zasługa! Nie uważaliśmy tego wówczas za zasługę. Moi ludzie, przyjaciele, bracia opuścili mnie, mówiąc: „Skończyły się czasy panowania Anglików. Niech każdy wywalczy sobie nieco mienia”. Lecz ja już mówiłem, był z ludźmi z Sobraon, z Chillianwallah, z Moodkee i Ferozeshah; przeto rzekę: „Poczekajcie no trochę, a wiatr się zmieni; te sprawy nie przyniosą wam szczęścia”. W owych to dniach przejechałem konno siedemdziesiąt mil, wioząc na łąku angielską *memsabib*⁵⁷ z dzieckiem. (Ej, to był wierzchowiec w sam raz dla sielnego chłopca!) Zawiozłem ich w miejsce bezpieczne i powróciłem do swego oficera, jedyne go z naszych pięciu, którego nie zabito. „Daj mi jaką posadę — powiadam mu — bo jestem wyrzutkiem mego rodu i szabla moja ocieka krwią bratnią”. „Bądź spokojny — rzecze ów — wielka praca jeszcze nas czeka. Skoro ten szal przeminie, przyjdzie nagroda”.

— Tak, czy to pewne, że przyjdzie nagroda, gdy szal przeminie? — mruknął lama na wpół do siebie.

— Nie obwieszano jeszcze wówczas medalami każdego, kto przypadkiem posłyszał huk działa. Nie! Uczestniczyłem w dziewiętnastu gorących bitwach, w czterdziestu sześciu potyczkach konnych, a drobnych utarczek było bez liku. Odniosłem dziewięć ran; mam medal, cztery odznaki i jeden order, bo moi kapitanowie, którzy obecnie są generałami, pamiętali o mnie, gdy *Kaiser-i-Hind* (cesarzowa Indii) dożyła pięćdziesięciolecia panowania, a cały kraj się radował. Powiedzieli: „Dać mu order *Berittish India*⁵⁸”. Noszę go teraz na szyi. Z rąk państwa otrzymałem też *jaghir* (posiadłość)... jako wolną darowiznę dla siebie i swoich. Moi znajomkowie z lat dawnych (obecnie są komisarzami) przyjeżdżają do mnie nieraz na przełaj przez oziminy... sadząc dumnie na koniach, iż widzi ich cała wieś... i gwarzymy sobie o dawnych bojach... a imię jednego z nieboszczyków zaraz nam przywodzi na myśl drugie...

— A potem? — ozwał się lama.

— O, potem oni odjeżdżają, ale nie wcześniej, aż im się cała wieś napatrzy.

— A w końcu co myślisz uczynić?

— W końcu umrę.

— A potem?

— Niech bogowie o tym stanowią! Nigdy nie naprzykrzałem się im modlitwami; sądzę, że i oni nie będą mnie dręczyć. Bo, widzisz, w ciągu długiego żywota mego zdołałem zauważyć, że ci, którzy ustawicznie napastują istoty nadziemskie utyskiwaniem, skargami, rykiem i płaczem, bywają co rychlej wezwani na tamten świat, podobnie, jak to nasz pułkownik zwykł był wzywać do siebie mazgajowatych chamów wiejskich, co za wiele pytlowali jęzorem. Nie, ja nigdy nie dokuczyłem bogom. Oni o tym będą pamiętali i dadzą mi cichy kącik, gdzie będę mógł spokojnie lancą wywijać i czekać przybycia mych synów; mam ich w wojsku ni mniej ni więcej, tylko trzech: wszyscy są *ressadar-majorami*⁵⁹.

— I oni tak samo, przykuci do Koła, przechodzą z żywota do żywota... z jednego zwątpienia w drugie — rzekł lama, westchnąwszy — zgorączkowani, znękani szarpią się w bezsilności...

— A jakże! — zachichotał wiarus. — Trzej rotmistrze w trzech pułkach! Trochę szulerzy, ale i jam od nich nie lepszy. Muszą jeździć na pięknych rumakach, a przecież nie można tak zdobywać koni, jak w dawnych latach zdobywało się kobiety. No, no, moje gospodarstwo mogłoby opędzić wszystkie wydatki. Jak ci się zdaje? Jest to szmat żywej ziemi, ale moja czeladź mnie podbiera. Ja nie umiem niczego dochodzić, chyba ostrzem lancy. Uuch! Srożę się i klnę, co wlezie, a oni udają skrucę, lecz poza plecami przezywają mnie starym, bezzębny malpisonem.

— Czy nigdy nie tęskniłeś do niczego innego?

⁵⁷*memsabib* — z ang. *madam*, *ma'am*: pani i hind. *sahib*. [przypis redakcyjny]

⁵⁸*Berittish India* — przekręcone z *British India*: Indie angielskie. [przypis tłumacza]

⁵⁹*ressaldar* (z hind. *risalah*: szwadron, chorągiew) — rotmistrz w pułku rekrutującym się z krajowców. [przypis tłumacza]

— O tak!... Tak!... Po tysiąc razy! Jeszcze bym raz chciał mieć grzbiet prosty i zwi-
rające się kolana... żwawy kułak i bystry wzrok... i ten szpik w kościach, co człeka robi
silnym... O dawne lata... szczęśliwe lata, gdym był krzepki i zdrowy!

— Ta krzepkość jest słabością.

— Na to ona zeszała; ale pięćdziesiąt lat temu pokazałbym co innego! — odrzekł stary
wiarus, bodąc kantem strzemia wychudły bok kucyka.

— Ale ja wiem o rzece wielkich uzdrowień.

— Piłem ci ja wodę z *Gungi* (Gangesu), co się zmieści, aż mi brzuszysko napęczniało.
Nabawiłem się ino biegunki, a nijakiej tam siły mi nie przybyło.

— To nie o Gangesie mowa. Rzeka, o której wiem, zmywa wszelką zmacę grzechu.
Wyszedłszy na brzeg przeciwny, jest się pewnym wybawienia. Nie znam twego życia,
lecz twarz twoja świadczy, żeś zacny i uprzejmy. Trzymałeś się swojej drogi, okazując wier-
ność wówczas, gdy ciężko było trwać w wierności... w owym „Czarnym Roku”, o którym
przypominam sobie teraz jeszcze inne opowieści. Wejdz teraz na drogę pomierną⁶⁰, która
jest ścieżką zbawienia. Słuchaj najwznioślejszego prawa, a nie idź za mrzonkami.

— Mów więc, staruszk — uśmiechnął się wiarus, salutując z lekka. — Wszyscy
w tym wieku stajemy się gadułami.

Lama przysiadł pod osłoną drzewa mangowego, którego cień igrał mu różnowzoro-
wymi cętkami po twarzy; wiarus siedział prosto jak pieniek na kucyku, a Kim, upew-
niwszy się, że tu nie ma węzów, położył się na kłębowisku splątanych korzeni.

Skroś jasnej spieki słonecznej rozbrzmiewał gnuśny szmer drobnego życia, gruchanie
gołębi i senny pobrzęk kołowrotów studziennych pośród pól. Lama jął mówić powoli
i z przejęciem. Po upływie dziesięciu minut wiarus ześliznął się z kucyka, by lepiej dosły-
szec (jak mówił), i usiadł, owinąwszy uźdę dokoła przegubu ręki. Głos lamy załamywał
się — okresy zdaniowe się wydłużały. Kim tymczasem uważnie śledził szarą wiewiórkę.
Gdy mały, przekorny kłębuszek sierści znikł, przywarłszy gdzieś do gałęzi, kaznodzieja
i słuchacz spali już jak zabici; stary oficer przyhołubił na ramieniu swą mocno pokie-
reszowaną głowę, a lama oparł swoją na wznak o pień drzewa, gdzie połyskiwała niby
żółtawa kość słoniowa.

Skądś przykatulał się mały, naguśki berbec, wytrzeszczył ślipięta⁶¹ i tknięty nagłym
odruchem szacunku złożył lamie uroczysty ukłon... atoli malec był tak krótki i tłusty, że
przewrócił się przy tym w bok, a Kim zaczął się śmiać z jego grubych nóżąt fikających
w powietrzu. Dziecko, przestraszone i obudzone, zaczęło drzeć się wniebogłosy.

— Hej, hej! — ozwał się wiarus, zrywając się na równe nogi. — Co się stało? Jakie
rozkazy? To... dziecko! Śniło mi się, że to alarm. No, małuśki... małuśki... nie bez... Czy
spalem? To doprawdy bardzo niegrzecznie z mej strony!

— Ja się boję, ja się boję! — zarykiwał się dzieciak.

— Czego tu się bać? Dwóch dziadów i chłopca? Jaki z ciebie będzie kiedyś żołnierz,
paniczku?

Lama też się obudził, lecz nie zwracał uwagi na dziecko i tylko klepał różaniec.

— Co to? — zapytało dziecko, zaprzestawszy nagle beków. — Nigdy nie widziałem
czegoś takiego. Daj mi ten dzyndzyk.

— W sam raz! — odrzekł lama, uśmiechając się i powłókł całym sznurkiem paciorków
po murawie, nucąc:

Pęczek rzeżuchy i oselka *ghi*⁶²,
Garsteczka ryżu i jagły
I suchych strączków — wystarczy nam dwom,
Aby uśmierzyć głód nagły.

Dziecko zakrzyczało z radości i pochwyliło ciemne, połyskujące paciorki.

— Ho, ho! — ozwał się stary wojak. — Kędy⁶³ żeś się nauczył takich śpiewanek, ty,
co gardzisz światem doczesnym?

⁶⁰pomierny — umiarkowany. [przypis edytorski]

⁶¹ślipięta — od: ślepią; oczy. [przypis edytorski]

⁶²ghi — masło z mleka bawolic. [przypis redakcyjny]

⁶³kędy — gdzie. [przypis edytorski]

— Nauczyłem się w Pathânkot... siedząc w progu jednego domu — rzekł lama nieśmiało. — Dobrze to być życzliwym dla dzieci.

— O ile pamiętam, to zanim nas zmorzył śpiak, opowiadałeś mi, że ożenek i płodzenie potomstwa są zaciemieniem prawdziwego świata, są zawadą na Drodze. Czy w twoim kraju dzieci spadają z nieba? Czy ową Drogą ma być śpiewanie takich piosenek?

— Nikt nie jest w zupełności doskonały — rzekł lama poważnie, zgarniając z powrotem różaniec. — Chybaj teraz do matysi, mój mały!

— Ciewy⁶⁴! — ozwał się wiarus do Kima. — On się tego wstydzi, że zrobił uciechę dziecku! No, brachu, świat stracił w tobie dobrego ojca rodziny! Hola, smyku! — cisnął dziecku *pais*. — Łakocie, to zawsze rzecz smaczna!

A kiedy maleństwo odbiegło w podskokach na rozłogi zalane blaskiem słonecznym, stary rębacz dodał:

— *Taki* to później wyrasta i bywają z niego ludzie. O święty człeczce, przykro mi bardzo, że zasnąłem w środku twego kazania. Przebacz mi!

— Obaj jesteśmy starzy — rzekł lama. — Mnie winę przypisać należy. Słuchałem twej gawędy o świecie i jego szaleństwach, a jeden błąd pociągnął za sobą drugi.

— Ludzie, słuchajcie! Cóż to szkodzi twoim bogom, że sobie pogwarzysz z takim basalykiem? A śpiewka to ci się udała! Chodźmy dalej, a ja ci zaśpiewam pieśń o Nikal Seynie pod Delhi... bardzo to stara pieśń.

Wyruszyli z pomroczy gaju mangowego; donośny, przenikliwy głos starego wygi niósł się po łąkach i łęgach, opiewając w kwilących, przeciągłych zawodzeniach dzieje Nikal Seyna (Nicholsona) — jest to dumka, którą po dziś dzień śpiewają w Pendżabie. Kim był oczarowany, a lama przysłuchiwał się jej z wielkim zaciekawieniem.

Hej — Hej! Nikal Seyn zginął... zginął pod Delhi!

Lance północy, pomścijcie śmierć Nikal Seyna!

Wywodził trele w zakończeniu każdej zwrotki i wybijał takt, uderzając płazem pałasza o zad koński.

— A teraz dochodzimy do wielkiego gościńca — rzekł, wysłuchawszy pochwał Kima, bo lama milczał znamiennie. — Od dawna już nie jeździłem tą drogą, ale rozruszało mnie to gadu-gadu z twoim chłopcem. Patrz no, święty człeczce: oto wielki trakt, który jest kością pacierzową całego Hindu. W znacznej części jest ocieniony, jak tutaj, czterema rzędami drzew; to środkowy, cały wybrukowany, jest przeznaczony do szybkiej jazdy; zanim nastaly koleje, sahibowie jeździli tędy całymi setkami tam i z powrotem; obecnie jeżdżą tędy tylko wasągi chłopskie i inne bryczki. Po prawej i lewej stronie jest gorzej utrzymana droga dla ciężkich fur... ze zbożem, bawełną, drzewem, *bhossa*, wapnem i skórami. Idzie się tędy bezpiecznie, gdyż co kilka *kos* jest posterunek w policji. Ci policjanci, to złodzieje i wydrwigrosze (ja, gdyby to ode mnie zależało, ustanowiłbym tu patrol konnicy z młodych rekrutów pod dowództwem surowego kapitana), ale przynajmniej nie znoszą konkurencji innych hultajów. Ciągną tędy ludzie wszelkich kast i pokrojów. Spójrz no! Bramini i *chumary*, bankierzy i kotlarze, golibrody i *bunniasi*, pątnicy i garn-carze... cały świat snuje się tędy. Wydaje mi się, jakby to była rzeka, z której zostałem wyrzucony jak kłoda po powodzi.

Istotnie wielki gościńiec przedstawia ciekawe widowisko. Biegnie jak strzelił i bez natłoku unosi cały ruch Indii na przestrzeni tysiąca pięciuset mil — takiej rzeki życia nie ma drugiej na całym świecie. Jęli się przyglądać tej długiej smudze nakrytej sklepieniem zieloności i usianej plamkami cieni; jej białe tło było przez całą szerokość nakrapiane gromadkami z wolna wlokącego się ludu, a z przeciwnej strony wznosiła się dwuizbowa wartownia policji.

— Któż to nosi broń na przekór ustawom? — zawołał z jej wnętrza roześmianym głosem policjant, ujrawszy pałasza wiarusa. — Czyż mało policji, by tępić opryszków?

— Kupiłem ją właśnie... przeciwko policji — brzmiała odpowiedź. — Czy wszystko w porządku w Hind (Indiach)?

— Wszystko w porządku, *ressaldar-sabibie* (panie rotmistrzu)!

⁶⁴ciewy (gw.) — a to dopiero; też coś. [przypis edytorski]

— Jestem, jak widzicie, niby stary żółw, co to umyka z głową, a potem ją znów na brzeg wystawi. Tak, to jest droga Hindostanu. Wszyscy tędy chodzą...

— A ty, świńskie pomiotło, czy wygodna strona gościńca ma służyć do tego, żebyś tu skrobał się po plecach? Ojczesz wszelkich rozpustnic i mężu dziesięciu tysięcy niecnotliwych podwik⁶⁵! Twoja matka zaprzedała się czartu, nastęczona przez rodzoną matkę! Twoje ciotki nie miały nosów od siedmiu pokoleń! Twoja siostra!... Jaki to głupi ciemięga kazał ci się tarabanić z wozami w poprzek ulicy? Co?... koło złamane? Naści tu jeszcze łeb rozbity i pozbieraj sobie to wszystko wolnym czasem do kupy!

Głos ten wraz ze zjadliwym trzaskiem bicia dobywał się z tumanu kurzawy, o jakie pięćdziesiąt sążni⁶⁶ opodał gdzie leżała złamana fura. Z tej całej bryndzy wystrzeliła jak rakietka smukła klacz katiwarska z rozognionymi chrapami i oczyma, parszając i wierzgając, gdy jeździec zwracał ją w poprzek drogi, w pogoni za wrzeszczącym człowiekiem. Był to mężczyzna rosły, z brodą szpakowatą, siedział na rozhukanym wierchowcu, jak gdyby tworzył jedno z nim ciało, i wśród jego szczupaków z wielką zręcznością smagał swą ofiarę.

Twarz starego wiarusa zajaśniała dumą.

— Mój syn! — ozwał się zwięźle i usiłował wędzidłem skierować swego kuca w odpowiednią stronę.

— Czyż wolno mnie bić w oczach policji? — jęczał woźnica. — Sprawiedliwości! żądam sprawiedliwości!...

— A czy mnie ma zagradzać drogę jakaś wrzaskliwa małpa, która wywala dziesięć tysięcy worków przed nosem mego konia? W ten sposób można klacz znarowić!

— On mówi prawdę, mówi prawdę! Ale też ona trzyma się swego pana! — ozwał się stary wiarus. Woźnica uciekł pod koła swej fury i stąd odgrażał się wszelkiego rodzaju zemstą.

— Ależ to walne chłopcy z twoich synów! — rzekł policjant pogodnie, dłubiąc w zębach. Jeździec wymierzył woźnicy jeszcze jeden bolesny cios i jechał dalej klusa.

— Mój ojciec! — zawołał, ściągając konia cugłami o dziesięć sążni⁶⁷, i zsiadł na ziemię.

Starzec w mig zeskoczył z kucyka i uściskali się tak, jak to zwykli czynić na Wschodzie ojciec i syn.

ROZDZIAŁ IV

To nie kobieta — bodaj ją trzysta!... —
Lecz najszczekliwsze pod słońcem babsko!
Harna, wierzgliwa i narowista —
Trudno ujeździć to dzikie szkapsko!
Gdy ją powitasz — huknie na przybysza!
Gdy ją zaczepisz — toś pewien odprawy!
Puść kantem trochę zajadłą zrzędziochę,
To cię jak na złość schwyty za rękawy!

Hojności! hojności, o doło!
Wolno ci dawać lub skąpić!
Chociaż o los się nie troszczę,
Los musi za mną postąpić!...

Czapeczki czarodziejskie.

Potem jęli rozmawiać przyciszonym głosem. Kim chciał spocząć pod drzewem, ale lama szarpnął go niecierpliwie za rękaw.

⁶⁵podwika (daw.) — dziewczyna. [przypis edytorski]

⁶⁶sążeń — daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

⁶⁷sążeń — daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

— Chodźmy dalej. Tu jeszcze nie ma rzeki.

— Tere-fere! Albośmy to dziś nie odwalili ładnego kawałka drogi? Rzeka nam nie ucieknie. Uzbrój się w cierpliwość, a ten stary nie poskąpi nam jałmużny.

— Ten oto — odezwał się nagle stary rębacz — jest Przyjacielem gwiazd. On to mi wczoraj przyniósł te nowiny. Widział ci on w objawieniu samego wodza naczelnego wydającego rozkazy do wojny.

— Hm! — rzekł syn głosem wydobytym aż kędyś ze samego dna rozrosłej piersi. — Pewno usłyszał jakąś plotkę na rynku i chce z niej skorzystać.

Ojciec zaśmiał się.

— W każdym razie nie przyjechał do mnie, by wycygnąć nowego konia i bogi wiedzą, ile rupij. Czy pułki, w których służą twoi bracia, otrzymały też rozkazy?

— Nie wiem. Wziąłem urlop w te pędy i pojechałem do ciebie na wypadek...

— Na wypadek, gdyby tamci ubiegli cię w tej prośbie. Ach, wy kostery i rozrzutniki! Ale tyś jeszcze nigdy nie brał udziału w szarzy kawaleryjskiej. Tam potrzeba dobrego konia, a juści! A w marszu też się przyda dobry foryś wraz z dobrym kucem. Zobaczymy... zobaczymy.

Brzęknął w rękojeść pałaza.

— Tu nie miejsce na obrachunki, mój ojczu. Jedźmy do domu.

— To przynajmniej zapłać temu smykowi; nie mam ni *paisa* przy duszy, a on przyniósł mi nader ważne wieści. Hej! Przyjacielu całego świata, jakaś wojna się kroi! Dobrześ przepowiedział.

— Nie, *ta* właśnie wojna, o której mi wiadomo! — odrzekł Kim z zimną krwią.

— He? — ozwał się lama, przebierając palcami po paciorkach i rwąc się całą duszą do drogi.

— Mój mistrz nie naprzykrza się gwiazdom dla zysku. Przynieśliśmy wieści, to je sprawdzaj; myśmy przynieśli wieść, a teraz idziemy dalej! — i wygiął rękę nieznacznie w bok.

Syn starego wojownika cisnął srebrny pieniądz połyskujący w słońcu i coś tam zrzędził na żebraków i kuglarzy. Pieniądz był wart cztery *anny* i mogli się za niego utrzymywać przez kilka dni. Lama widząc połysk kruszcu wygulgotał jakieś błogosławieństwo.

— Idź, kędy droga cię wiedzie, Przyjacielu całego świata! — krzyczał stary wojak, zawracając swego wierzchowca. — Raz przecie w życiu spotkałem prawdziwego proroka... który nie służył w wojsku...

Ojciec i syn razem ruszyli w dalszą drogę; starzec siedział w siodle tak prosto jak młodszy jego towarzysz.

Policjant-Pendzabczyk w żółtych płóciennych szarawarach zerkał z ukosa na drogę. Rzucony pieniądz nie uszedł jego baczności.

— Stój! — krzyknął piorunującą angielszczyzną. — Czy nie wiecie, że ci, którzy wchodzą na trakt z tej bocznej drogi, płacą *takkus* (takse) po dwie *anny* na głowę, co razem daje cztery *anny*? Taki jest rozkaz Sirkaru (rządu Indii), a pieniądze idą na sadzenie drzew i upiększenie dróg...

— ...i brzuchów policji — dodał Kim, dając susa w bok, gdzie go nie mogło dosięgnąć ramię strażnika. — Miejże choć na chwilę rozum w głowie, człowiecze, a nie kielbie we łbie! Czy sobie myślisz, żeśmy wyleźli z najbliższej kałuży jak ropucha, twoja teściowa? Czy słyszałeś kiedy o swym bracie?...

— No, kimże on był? Dajże chłopakowi święty spokój! — krzyknął starszy policjant, wielce ubawiony, przysiadłszy na ganku, by wypalić fajkę.

— Odkleił etykietę z butelki *belaittee-pani* (wody sodowej) i wywiesiwszy ją na moście pobierał przez cały miesiąc rogatek od przechodniów, mówiąc, że taki jest rozkaz Sirkaru. Aż na koniec przyszedł jakiś Anglik i rozbił mu łeb. Hoho, brachu! Jestem ci paszek z miasta, nie jakowys gawron wiejski!

Policjant cofnął się ze wstydem, a Kim hukał i pogwizdywał za nim przez całą drogę.

— Czy był kiedy taki żak jak ja? — zawołał wesoło do lamy. — Obdarto by cię do kości już o dziesięć mil od miasta Lahory, gdybym nie czuwał nad tobą.

— Sam nad tym nieraz się zastanawiam, czy nie jesteś czasem duchem, a niekiedy złośliwym chochlikiem — ozwał się lama z lekkim uśmiechem.

— Jestem twym *chelą* — i rzekłszy to, Kim ruszył wraz z nim krokami posuwistymi, owym niedającym się opisać chodem człapiącym i stukliwym, cechującym tych, co zesłali kawał świata.

— No, chodźmy, chodźmy — burknął lama i w takt pobrękiwania jego różańca szli w milczeniu milę za milą. Lama, jak zwykle, był pogrążony w rozmyślaniach, natomiast jasne oczy Kima były szeroko otwarte. Ta szeroka, roześmiana rzeka życia (myślał sobie) była czymś niezmiernie doskonałym wobec wykoślawionych i tłocznych ulic Lahory. Na każdym kroku zjawiały mu się nowe widoki i nowi ludzie... typy, jakie znał, i kasty, jakie po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się widzieć.

Spotkali czeredę długowłosych, srodze cuchnących Sansisów, którzy na plecach dźwigałi kosze jaszczurek i innej nieczystej strawy; chude psiska obwąchiwały im pięty. Ci ludzie trzymali się tylko jednej strony ulicy, posuwając się szybko i niepewnie, jakby ukradkiem, a inne kasty omijały ich z daleka, bo zetknięcie z Sansisem uważa się za splugawienie. Za nimi, szeroko powłócząc drętowymi girami, snadź nie wyzbywszy się jeszcze wspomnienia kajdan, kroczył jakiś człek, świeżo wypuszczony z więzienia; zaokrąglony brzuszek i świecąca cera świadczyły, że rząd żywi więźniów lepiej, aniżeli mogą się sami na własny koszt odżywiać najuczciwsi ludzie. Kim znał dobrze ten chód i przedrzeźniał go, gdy mijali tego człowieka. Następnie pysznym krokiem przeszedł koło nich *akali*, świętoszek sikhijski o mierzwiastych włosach i dzikim wejrzeniu, odziany na znak swej wiary w długą szatę w niebieskie kratki, a na stożku wysokiego, błękitnego turbanu lśniły mu krążki polerowanej stali; wracał z gościny w jednym z niezawisłych państweczek sikhijskich⁶⁸, gdzie śpiewał starodawną chwałę *Khalsy* książętkom wychowanym w wyższej uczelni, a noszącym buty z cholewkami i sznurowane pludry. Kim wystrzeżał się, by nie podrażnić owego człowieka, bo *akali* ma usposobienie gwałtowne i prędkie ramię. Tu i owdzie natknęły się na nich, ba, czasem i zagarnęły ze sobą, pstrokato przyodziane gromady z całych wiosek, zdążające na jakiś kiermasz w okolicy; kobiety z nieletnią dziatwą u boku szły za mężami, starsi chłopcy harcowali jak na koniach na prętach trzciny cukrowej, wlekli za sobą niezgrabne parowoziki miedziane, jakie sprzedają za pół pensa, lub z małych tandetnych lusterek puszczali starszym w oczy bastówki świetlne. Na pierwszy rzut oka postrzec można było, co kto kupił, a gdyby były jakieś wątpliwości, dość było przyrzeć się kobietom, które, przytykając wzajem jedna drugiej brązowe ramiona, porównywały świeżo nabyte bransolety z dymnego szkła, sprowadzane z północnego wschodu. Wszyscy ci weseli kumowie i kumoszki szli noga za nogą, nawołując się wzajemnie, stając, by wytargować się z piernikarzami lub zmówić pacierz przed jedną z kapliczek przydrożnych — czasem hinduską, czasem muzułmańską — którymi ze wzorową bezstronnością dzielą się pomiędzy sobą ludzie prości obu wyznań. Jednolita smuga błękitna, to wznosząc się, to opadając, niby obły grzbiet pelzającej szybko gąsienicy, wynurzała się z drgającego pyłu i mijala ich wśród rozhoworu i żwawych chichotań. Był to zastęp *changarek* — kobiet, które wzięły na siebie umacnianie wszelkich nasypów i grobel na kolejach północnych, w modre spódnice przyodziany cech robotnic ziemnych o płaskich stopach, wydatnych piersiach i potężnych odnóżach, śpieszący na północ, w poszukiwaniu zarobku i nigdy nietracący czasu w drodze. Należą do kasty, która nie liczy się z ludźmi, więc szły, potrącając przechodniów łokciami, kołysząc się w biodrach i zadzierając głowy do góry, jak przystało kobietom dźwigającym wielkie ciężary. Nieco później na wielki trakt wkraczał orszak weselny z muzyką i hukaniem, a woń kaczeńców i jaśminu była mocniejsza nawet od swędu kurzawy. Można było dostrzec lektykę panny młodej — pstrokaciznę szychu i czerwieni, kołyszącą się skroś tumanu, gdy równocześnie przybrany wieńcami kucyk pana młodego zwracał się w bok, by uszczknąć wiązkę z mijającego ich wozu z sianem. Wówczas Kim przyłączał się do burzy oklasków, powinszowań i pustackich żartów, życząc młodej parze, jak to mówią, stu synów i ani jednej córki. Jeszcze większe bywało zaciekawienie i większa zrywała się wrzawa, gdy wędrowny kuglarz z półoswojonymi małpami czy dychawicznym niedźwiedziem albo też kobieta z przywiązanymi do nóg rogami kozłimi, tańcząca na linie, budzili popłoch wśród koni a wśród bab długie, przeciągłe trele podziwu.

⁶⁸*sikhowie* — odłam Hindusów [tj. hinduizmu; red. WL], tworzący sektę monoteistyczną założoną w Pendźabie około r. 1500; część ich została w r. 1849 przyłączona do Indii angielskich. [przypis tłumacza]

Lama ani razu nie podniósł oczu. Nie zauważył lichwiarza, co śpieszył na krótko-ogoniastym kucyku, by gromadzić krwawe zyski; ani gromadki urlopowanych żołnierzy krajowców, idących jeszcze w szyku wojskowym a pokrzykujących przeciągle na całe gardło z radości, że się pozbyli już bryczesów i *puttee* (owijków), i bezczelnie zaczepiających najczcigodniejsze niewiasty. Nie widział nawet sprzedawcy wody gangesowej, choć Kim spodziewał się, że jego towarzysz kupi przynajmniej butelkę tego drogiego płynu. Starzec patrzył uporczywie w ziemię kroczył tak bez ustanku godzinę za godziną — snadź dusza jego czymś była zajęta. Atoli Kim był z radości w siódmym niebie. Wielki trakt był w tym miejscu zbudowany na nasypie, celem zabezpieczenia przed zimowymi wylewaniami ze wzgórz, tak iż szło się niejako wspaniałym korytarzem ponad okolicą, widząc całą krainę indyjską rozpostartą z obu stron. Miło było spoglądać na wielosprężne furgony ze zbożem i bawełną, wlokące się po chłopskich drogach; słychać było ich osie skwirzące na milę, coraz to bliżej, aż wreszcie same wozy, wśród krzyków, jazgotów, złorzeczeń i wzajemnej besztaniny woźniców, gramoliły się po stromej pochyłości i wylaniały się na bitym torze środkowym. Równie miło było przyglądać się ludziom — małym bryłkom czerwonym, błękitnym, różowym, białym i szafranowym, zbaczającym w stronę swych wiosek, rozpraszającym się po dwóch i trzech i coraz to malejącym na gładkiej równinie. Kim odczuwał piękno w tym wszystkim, ale i nie umiał wyjęzyczyć swych uczuć, więc poprzestał na kupieniu obłuskanej trzciny cukrowej i hojnym wypluwaniu jej miąższu przez całą drogę. Od czasu do czasu lama zażywał tabaki. Na koniec to milczenie zaczęło Kimowi ciężać nieznośnie.

— To ładny kraj... ta kraina południa! — przemówił. — Powietrze tu dobre, woda dobra... He?

— A oni wszyscy uwiązani do kołowrotu żywotów — rzekł lama. — Uwiązani w tym życiu i przyszłym. Żadnemu z nich nie pokazano Drogi! — otrząsnął się z zadumy, wracając na ten świat.

— Odbyliśmy już ciężką drogę — rzekł Kim. — Chyba niedługo zajdziemy do *parao* (na popas). Może się zatrzymamy? Patrz, już słońko się nachyliło.

— Kto nas dziś przyjmie na noc?

— To obojętne. W tej okolicy nie brak dobrych ludzi. Zresztą — (tu zniżył głos, domawiając szeptem) — mamy forsz!

Cizba na drodze robiła się coraz większa, w miarę jak zbliżali się do miejsca popasu, które stanowiło kres ich całodziennej podróży. Rząd klitek, gdzie sprzedaje się niewykwintnie wiktuały i tytoń; za nimi są drzewa opałowego, wartownia policyjna, studnia z korytem do wodopoju, kilka drzewek, a pod nimi wydeptane boisko, nakrapiane tu i owdzie szerniałymi zgliszczami starej watry oto wszystko, czym poszczycić się może *parao* na wielkim trakcie, jeżeli się wyłączy żebraków i wrony... jednakowo zgłodniałe.

Tymczasem słońce jęło już przesywać szerokimi promieniami złotolitymi niższe gałęzie drzew mangowych; papużki i gołębie setkami wracały na gniazda; swarliwe wrony o szarych grzbietach, gwarząc o wypadkach dnia, snuły się po dwie lub trzy tuż prawie pod stopami podróżnych, a wielkie szurum-burum wśród konarów wskazywało na to, że nietoperze gotowały się już do nocnej wyprawy. Potem światło skupiło się w sobie i na chwilę ubarwiło twarze ludzkie, koła wozów i rogi byczków. Niebawem zapadła noc, wionąc odmiennym powiewem, rozsnuwając po całej okolicy przyziemną, płaską mgłę, ni to błękitnawy całun pajęczyny, i roznosząc ostrą i wyrazistą woń dymu drzewnego i nawozu oraz miły zapach placków pieczonych w popiele. Z wartowni policyjnej wyruszył patrol wieczorny wśród znaczących pochrząkiwań i powtarzania rozkazów. Kawałek węgla drzewnego w fajce przydrożnego woźnicy jarzył się krwawo, a Kim bezmyślnie przyglądał się ostatnim odbłyskom słońca na mosiężnych szczypczykach.

Życie w *parao* bardzo przypomniało w pomniejszych tryb życia w Seraju Kaszmirskim. Kim pograżył się z głową w niefrasobliwym bałaganie azjatyckim, który, o ile na to komu czas pozwoli, może człowiekowi małych wymagań zapewnić wszystko, co potrzeba.

Jego wymagania były niewielkie, jako że lama nie uznawał żadnych zastrzeżeń kastowych i można by poprzestać na gotowanej stawie z najbliższego kramiku, ale Kim dla zbytku kupił garść mierzwy, by rozniecić watrę. Wszędzie dokoła krzątający się przy małych ogniskach ludkowie krzykiem domagali się to oliwy, to zboża, to łakoci, to tytoniu, szturchając się wzajemnie w oczekiwaniu swej kolei u studni, a pośród głosów męskich

słychać było z przysłoniętych, stojących wozów cienkie piski i chichoty kobiet, którym na miejscach publicznych nie wolno ukazywać twarzy.

Obecnie wykształceni krajowcy są zdania, że gdy ich niewiasty podróżują — a mają one dużo do zwiedzania — to lepiej przewozić je prędko koleją w specjalnych przedziałach; ten zwyczaj coraz bardziej się rozpowszechnia. Zawsze jednak trafiają się ludzie starej daty, którzy trzymają się obyczaju przodków; nade wszystko stare kobiety — bardziej zatwardziałe od mężczyzn — na schyłku swych dni udają się w pielgrzymkę. Te, wyniszczone już i niepowabne, w pewnych okolicznościach nie sprzeciwiają się odsłanianiu twarzy. Po długim odosobnieniu, podczas którego zawsze miały styczność z tysiącem spraw pozadomowych, lubią ruch i gwar na otwartej drodze, gromadzenie się przy kapliczkach i nieskończenie liczne sposobności plotkowania z im podobnymi kumoszkami. Bardzo często na rękę to bywa długo nękanej rodzinie, że długojęzyczna, stara herod-baba, matka rodziny, przewietrzy się w ten sposób po Indiach; albowiem pielgrzymki na pewno miłe są bogom. Przeto w całych Indiach, w najbardziej zapadłych dziurach jak i w najbardziej rojnych skupiskach ludzkich, można nadybać gromadkę przysiwiałych sług, rzekomo na rozkazach sędziwej matrony, która jest mniej lub więcej zasłonięta i schowana w wozie, zaprzężonym w byczki. Tacy ludzie są bardzo stateczni i dyskretni, a gdy zbliża się Europejczyk lub człowiek wyższej kasty, wypełniają swe obowiązki z największą ostrożnością; atoli w zwykłych, doraźnych okolicznościach taka ostrożność nie obowiązuje. Stara niewiasta jest, bądź co bądź, w każdym calu człowiekiem i lubi przyglądać się życiu.

Kimowi wpadł w oko jaskrawo przystrojony *ruth*, czyli wóz rodzinny, ciągnięty przez woły, a nakryty haftowanym baldachimem o dwóch kopułach, podobnym do dwubarbnego wielbłąda; wóz ów właśnie zajeżdżał do *parao*. Ośmiu ludzi tworzyło jego poczet, a dwaj z nich byli uzbrojeni zardzewiałymi szablami — znak to niezawodny, że towarzyszyli jakiejś wybitnej osobistości, gdyż gmin nie nosi broni. *Zza* kotar dobywał się rosnący zgłęb narzekań, rozkazów, żartów i słów, które Europejczyk nazwałby obelżywymi. Była tam widocznie kobieta nawykła do rozkazywania.

Kim krytycznym wzrokiem przyglądał się tej drużynie. Połowę z nich stanowili siwobrodzi Oriasi z nizin, o nogach jak tyczki; drugą zaś górąle z północy, odziani w wełniane gunie i pilśniowe kapelusze. Ta mieszanina starczyła Kimowi za całą opowieść o tych ludziach, nawet gdyby nie słyszał nieustannego czubienia się obu oddziałów. Stara jejmość jechała na południe w odwiedziny — zapewne do bogatego krewniaka, najprawdopodobniej do swego teścia, który wysłał eskortę na znak uszanowania. Górąle musieli być jej własnymi ludźmi — z plemienia Kulu lub Kangra. Było rzeczą najzupełniej jasną, że nie wiozła córki do ślubu, bo w takim razie kotary byłyby pozaciągane, a strażnik nie pozwoliłby nikomu podejść bliżej ku wozowi.

„Jakaś wesoła i rogata dama!” — pomyślał sobie Kim, wymachując krowim łajnem w jednej ręce a gotowanym jadem w drugiej i skierowując łamę w tę stronę lekkim szturchnięciem ramienia. Z tego spotkania można było coś niecoś skorzystać. Lama wprawdzie nie mógł mu niczym dopomóc, ale Kim, jako świadom rzeczy *chela*, chętnie zebrał za dwóch.

Rozłożył ognisko, ile można, najbliżej wozu, czekając, by ktoś z eskorty kazał mu się oddalić. Lama osunął się ciężko na ziemię, tak jak opada owocożerny nietoperz, i powrócił do różańca.

— Odknaj dalej, dziadu! — wrzasnął jeden z górąli tonem rozkazującym w łamanej gwarze hindostańskiej.

— Eech! To ino *pabari* (góral)! — ozwał się Kim, obejrawszy się przez ramię. — Odkąd to osły górskie wzięły Hindostan w posiadanie?

Odpowiedzią na to był żywy i barwny opis rodowodu Kima od trzech pokoleń.

— Ach! — ozwał się Kim głosem niebywale słodkim, krusząc nawóz na drobne kałki. — W *moim* kraju nazywa się to początkiem gruchania miłosnego.

Szorstkie, piskliwe szwargotanie za kotarami podbechtało górala do nowej napaści.

— Nie tak ostro nie tak ostro! — rzekł Kim spokojnie. — Miej się, brachu, na ostrożności, bo i my, *my*, powiadam, gotowiśmy ci się odplacić przekleństwem lub czymś podobnym. A nasze przekleństwa potrafią być bardzo jadowite.

Oriasi zaśmiali się: góral skoczył groźnie naprzód, lama podniósł zniecackaną głowę, wystawiając swój ogromny, sukieny kapelusz na jasny odblask ogniska, świeżo roznieconego przez Kima.

— Co takiego? — przemówił.

Góral zatrzymał się jak skamieniały.

— Ja... ja... zostałem wybawiony od wielkiego grzechu — wyjąkał.

— Cudzoziemiec nareszcie poznał w nim kapłana — szepnął jeden z Oriasów.

— Hej! Czemu nie objećcie, jak się należy, tego żebraczego pomiotła? — krzyczała stara jejmość.

Góral powrócił do wozu i szepnął coś przez kotarę. Nastąpiło głucho milczenie, a potem pomruk.

„Klawo się nam powodzi!” — myślał Kim, udając, że nic nie widzi ani nie słyszy.

— Kiedy... kiedy... on się pożywi — lasił się góral Kimowi — to... proszę, by mąż święty raczył porozmawiać z osobą, która pragnie jego rozmowy.

— Gdy mąż święty spożyje wieczerzę, położy się spać — odparł Kim czupurnie; nie wiedział, jaki nowy obrót wzięła sprawa, lecz uwziął się, że wyciągnie z niej korzyść. — A teraz postaram się o jedzenie dla niego.

Ostatnie zdanie, wypowiedziane głośno, zakończyło się westchnieniem — niby wskutek zmęczenia.

— Ja... ja sam i inni moi ziomkowie zajmiemy się tym... jeżeli pozwolicie...

— Pozwalamy — rzekł Kim jeszcze butniej. — O święty mężu, ci ludzie chcą tobie przynieść jadło.

— To dobry kraj... cały kraj południowy jest dobry... świat wielki i straszny... — bełkotał lama na wpół sennie.

— Daj mu spać — rzekł Kim — lecz postaraj się o to, żebyśmy byli dobrze nakarmieni po jego przebudzeniu. To jest człek ogromnej świętości.

Znów jeden z Oriasów burknął jakieś pogardliwe określenie.

— To nie fakir; to nie żebrak z nizin — mówił Kim surowo, zwracając się ku gwiazdom. — To najświętszy z świętych. On jest ponad wszelkimi kastami. Ja jestem jego *chelą*.

— Chodź no tu! — odezwał się przyciszony, cienki głos za kotarą. Kim poszedł, świadom tego, że oczy, których nie mógł dostrzec, były weń wlepione. Jakiś wychudły, brunatny palec, pokryty grubymi pierścieniami, spoczywał na krawędzi wozu. Taki był przebieg rozmowy:

— Kto jest ów człek?

— Człek nadzwyczaj świętobliwy. Przybywa z daleka, aż z Tybetu.

— Z jakich okolic Tybetu?

— Spoza śniegów... z miejscowości bardzo odległej. Zna się na gwiazdach, stawia horoskopy i odczytuje dni urodzin. Ale nie robi tego za pieniądze. Czyni to z dobroci wielkiego miłosierdzia. Ja jestem jego uczniem. Nazywają mnie też Przyjacielem gwiazd.

— Ty nie jesteś góralem?

— Jego zapytaj, a powie ci, że byłem zesłany mu z gwiazd, abym pokazał mu kres pielgrzymki.

— Phhii! Pamiętaj, skurczybyku, że jestem kobietą starą i do tego wcale nie głupią. Znam lamów i darzę ich szacunkiem, lecz ty tak jesteś jego prawowitym *chelą*, jak ten mój palec mógłby być dyszlem tego wozu. Jesteś Hindusem, bez kasty, zuchwałym i bezwstydnym żebrakiem, który pono⁶⁹ dla zysku przyczepił się do świętego człowieka.

— Czyż my wszyscy nie pracujemy dla zysku? — Kim zmienił natychmiast ton, dostrajając się do toku rozmowy. — Słyszałem... — (było to napięcie łuku na oślepe) — słyszałem...

— Cóżś słyszał? — fuknęła, stukając palcem.

— Dobrze nie pamiętam... były to takie sobie plotki jarmarczne, zapewne kłamliwe... że nawet radżowie... drobni radżowie górscy...

— Ale nie ci, co pochodzą z zacnej krwi Radżputów⁷⁰...

⁶⁹pono — podobno, prawdopodobnie; tu: zapewne. [przypis edytorski]

⁷⁰Radżputowie — rycerska kasta hinduska, szczytująca się pochodzeniem od Ksiastriasów (wojowników). [przypis tłumacza]

— Właśnie, że z dobrej krwi... Oni podobno dla zysku sprzedają nawet piękniejsze ze swych kobiet. Sprzedają je na południe... *zemindarom* (obszarnikom) i tym podobnym ludziom z Oudh.

Nie ma w świecie rzeczy, której by tak starali się zaprzeczyć drobni radzowie górscy, jak tej właśnie obmowie; atoli tak się składa, że jedynie te zarzuty znajdują posłuch u ludzi, gdy na rynku poczną rozprawiać o tajemniczym handlu niewolnikami w Indiach. Stara jejmość dobitnym i pogardliwym sykiem oznajmiła Kimowi aż nadto wyraźnie, jakiego pokroju i w jakiej mierze był kłamcą. Gdyby był pisał jej coś podobnego, gdy była panną, byłby tego samego wieczora zmiądzony przez słonia. To święta prawda!

— Ojej! Rety! Jestem tylko pomiotłem żebraczym, jak się wyraziła Żrenica piękności! — zajęczał Kim z przesadnym strachem.

— Żrenica piękności! Widzicie go! Kimże ja jestem, że obsypujesz mnie żebrackimi pochlebstwami? — Mimo to śmiała się z dawno niesłyszanego słowa. — Czterdzieści lat temu można było to powiedzieć i nie bez słuszności... ba, nawet przed trzydziestu laty. Ale oto skutki tego włóczenia się tam i z powrotem po całych Indiach. Wdowa po królu musi się ocierać o wszelkie szumowiny tego kraju i narażać się na drwiny żebraków!

— Wielka królowo — rzekł Kim pośpiesznie, gdyż słyszał, jak trzęsła się z oburzenia — ja sam jestem choćby i tym, czym mnie nazywa Wasza Królewska Mość, niemniej jednak mój mistrz jest człowiekiem świętym. On jeszcze nie słyszał rozkazu Wielkiej Królowej, ażeby...

— Rozkazu? Ja miałabym rozkazywać człowiekowi świętemu... nauczycielowi prawa... ażeby przyszedł i rozmawiał z kobietą?... Nigdy!

— Wybacz mej głupocie. Myślałam, że był to rozkaz...

— Nie... to była prośba... Czyż to nie wyjaśnia wszystkiego?

Srebrny pieniądz zadzwonił o krawędź wozu. Kim podniósł go i złożył głęboki *salaam* (pokłon wschodni). Stara jejmość poznała, że należało go sobie zjednać, jako tego, co był wzrokiem i słuchem lamy.

— Jestem tylko sługą świętego. Gdy on już się posili, może przyjdzie.

— O ty łajdaku i bezczelny francie! — Palec ozdobiony klejnotami pogroził karcąco w jego stronę; ale chłopak dosłyszał chichot starej damy.

— No, o cóż chodzi? — ozwał się, przechodząc w ton najbardziej uprzejmy i poufały, któremu, jak wiedział, mało kto mógł się oprzeć. — Czy... czy w rodzinie nie potrzeba syna... Mów śmiało, bo my kapłani... — Ostatnie zdanie było dosłownie ściągnięte z ust fakirów koło bramy taksalskiej.

— My kapłani! Jeszcześ nie dorósł do tego, żeby... — przerwała dowcip nowym wybuchem śmiechu. — Wierz mi, o kapłanie, że my, kobiety, niekiedy myślimy o czym innym niż o synach. Zresztą, moja córka już wydała na świat męskiego potomka.

— Dwie strzały w sajduku lepsze od jednej, a trzy jeszcze lepsze! — Kim przytoczył to przysłowie, kaszląc znacząco i patrząc dyskretnie w ziemię.

— Juści, prawda!... prawda! Ale może i do tego dojdzie. Pewno, że ci bramini z nizin są zgola psa warci. Posyłałam im dary i pieniądze i znów dary, a oni prorokowali...

— Ach! *Prorokowali!*... — wycedził Kim z nieopisaną wzgardą; nie uczyniłby tego lepiej zawodowy wróżbita.

— I modły moje nie były wysłuchane, póki sobie nie przypomniałam o swoich bóstwach. Wybrałam dobrą godzinę i... może twój święty słyszał o przełożonym klasztoru w Lung-Cho? Do niego to zwróciłam się w tej sprawie i oto w oznaczonym czasie wszystko stało się, jakem sobie życzyła. Bramin w domu ojca mego zięcia mówił odtąd, że stało się to dzięki jego modlitwom... ale to mała pomyłka, którą mu wyjaśnię, skoro dojdziemy do kresu podróży... A potem udam się do Buddh Gaya, by odbyć *sbraddha* za ojca mych dzieci.

— I my tam idziemy.

— W dwójnasób dobra wróżba — szczebiotała stara jejmość. — Co najmniej drugi syn!

— O Przyjacielu całego świata! — To lama się obudził i dobrodusznie niby dziecko, czując się nieswojo w obcym łóżku, zawołał na Kima.

— Idę już, idę, o święty! — rzekł chłopak i prysnął w stronę ogniska, gdzie zastał lamę, otoczonego już półmiskami z jadem; górale okazali mu wprost uwielbienie, natomiast południowcy spoglądali nań kwaśno.

— Wynocha! Usunąć się! — krzyczał Kim. — Czyż mamy jeść na widoku wszystkich jak psy?

W milczeniu spożyli wieszczę, nieco odwróciwszy się od siebie, a Kim uwieńczył ją papierosem krajowego i wyrobu.

— Czyż nie mówiłem po sto razy, że południe to dobry kraj? Oto tu przebywa cnotliwa i szlachetnie urodzona wdowa radży górskiego, udając się, jak mówi, w pielgrzymkę do Buddh Gaya. Ona to przysłała nam te potrawy, a kiedy sobie dobrze wypoczniesz, chciałaby z tobą porozmawiać.

— Czy i to jest twoim dziełem? — zapytał lama, grzebiąc głęboko w tabakierze.

— A któż jak nie ja, czuwał nad tobą od początku cudownej podróży? — Kim aż przewrócił oczyma, wypuszczając nosem cuchnący dym i rozwalając się na zapylonej ziemi. — Czyż omieszkalem⁷¹ starać się o twe wygody, święty?

— Błogosławię cię za to — lama pochylił z namaszczeniem głowę. — Znałem wielu ludzi w ciągu mego żywota, a uczniów też немало. Ale do żadnego z ludzi (o ile ciebie zrodziła kobieta) serce me nie przywiązało się tak, jak do ciebie... jesteś pomysłowy, rozgarnięty i gracki, choć jest w tobie i coś z diablaka.

— Ja też nigdy nie widziałem takiego kapłana jak ty! — Kim przyglądał się uważnie każdej kolejno zmarszczce na tej żółtej, dobrotliwej twarzy. — Jeszcze nie ma trzech dni, jak razem wędrujemy, a zdaje się, jakby to już sto lat zbiegło.

— Może w życiu poprzednim dane mi było wyświadczyć ci jakąś przysługę. Może — (uśmiechnął się) — uwolniłem cię z samolówki albo też schwytawszy cię na haczyk, wówczas kiedym jeszcze nie był oświecony, wrzuciłem cię z powrotem do rzeki.

— Być może — rzekł Kim spokojnie. O tego rodzaju teoriach słychniał⁷² niejednokrotnie z ust ludzi, których Anglicy nie uważaliby za urojeńców. — A teraz, co się tyczy tej kobiety w kibitce bawolej, *ja* sądzę, że ona pragnie drugiego syna dla swej córki.

— To nie ma związku z Drogą! — westchnął lama. — Ale, bądź co bądź, ona pochodzi z gór... Ach, góry!... i śnieg na górach!...

Powstał i majestatycznie podszedł ku kibitce. Kim oddałby wiele za to, by mógł również pójść i posłuchać, ale lama nie poprosił go z sobą, a nieliczne słowa, jakie chłopak zdołał uchwycić, były wypowiedziane w niezrozumiałym języku — albowiem rozmawiali jakąś gminną gwarą góralską. Kobieta, jak się zdaje, zadawała pytania, nad którymi lama zastanawiał się długo, zanim odpowiedział. Od czasu do czasu doleciało jakieś pęk-brzdęk rytmicznych wersetów chińskich. Osobliwy to był widok, który Kim obserwował przez przymrużone powieki. Lama, nadzwyczaj sztywny i wyprostowany — tak iż głębokie fałdy jego żółtej odzieży rysowały się czarnymi kresami w blasku ognisk *parao*, zupełnie jak sękaty pień drzewa przekreślają cienie padające od słońca w zenicie — przemawiał do brokatowego i lakierowanego *ruth*, które w tymże niepewnym oświetleniu połyskiwało niby różnobarwny klejnot. Desenie na złotem wyszywanych kotarach to biegły w górę, to w dół, zlewając się z sobą i przekształcając, w miarę jak ich zagięcia łopotwały lub drżały na wietrze; gdy zaś rozmowa stawała się poważniejsza, ubrylancony palec rozsiewał drobne isierki pomiędzy haftami. Za wozem wznosił się zwał niewyraźnej pomroki, nakrapiany małuchnymi ognikami i ożywiony na wpół uchwytnymi postaciami, twarzami, cieniami. Odgłosy przedwieczera stłumiły się w jednolity, kołyszący szmer, którego najniższą nutą było ustawiczne trykanie się byczków na zdeptanej ściółce, a najwyższym tonem brzęczenie *sitary* jakiejś taneczniczki bengalskiej. Mężczyźni, podjadłszy sobie, przeważnie zaciągali się głęboko dymem z bulgoczących i charkotliwych *hookak*, które podczas pełnego wdechu rechotały jak żaby-kumki.

Na koniec lama powrócił. Za nim szedł góral, niosąc watowaną koldrę bawełnianą, którą troskliwie rozścielił koło ogniska.

„Ona zasługuje na dziesięć tysięcy dzieci — myślał Kim. — Bądź co bądź, gdyby nie ja, nie spadłby nam tu żaden z tych podarków”.

⁷¹omieszkąć — zaniechać czego; przestać coś robić. [przypis edytorski]

⁷²słychniał — forma cz. przesz. czasownika dotycząca czynności powtarzanej; dziś tylko: słyszał (wielokrotnie). [przypis edytorski]

— Cnotliwa niewiasta... no, i mądra — mówił lama, układając się z wolna do spoczynku niby ociężyła wielbłąd. — Świat jest pełen dobroci dla tych, co kroczą Drogą wybawienia.

Przerzucił większą część koldry na Kima.

— A cóż ona mówiła? — pytał Kim, otulając się swoją częścią koldry.

— Zadawała mi wiele pytań i prosiła o rozwiązanie wielu zagadnień... były to przeważnie bzdurne bajania, jakich się nasłuchiwała od zaprzędanych czartu kapłanów, co to udają, iż kroczą Drogą wybawienia. Na niektóre odpowiedziałem, a niektóre określiłem jako niedorzeczne. Wielu ludzi nosi szaty kapłańskie, lecz niewielu trzyma się Drogi.

— Prawda! Tak, to prawda! — Kim użył roztropnego tonu pojednawczego, jakiego używają ci, którzy chcą z kogoś wydobyć zwierzenia.

— Ale w swoich poglądach jest bardzo rozsądna. Bardzo pragnie, żebyśmy z nią udali się do Buddh Gaya, ponieważ, ile zrozumiałem, przez wiele dni wypada nam ta sama droga na południe.

— I...?

— Chwilę cierpliwości. Odpowiedziałem jej na to, że nade wszystko są ważniejsze moje poszukiwania. Ona słyszała wiele niedorzecznych legend, ale o wielkiej prawdzie, o istnieniu mej rzeki, nigdy jej wieść nie doszła. Tacy to są duchowni na Niższym Pogórze! Znała przeora z Lung-Cho, ale nie dowiedziała się o mojej rzece ani też nie знаła podania o Strzale.

— I cóż...?

— Mówiłem więc o poszukiwaniu i Drodze, i o innych rzeczach zbawiennych, ona zaś tylko pragnie, ażebym jej towarzyszył i modlił się o przyjsie na świat drugiego syna.

— Aha! *My kobiety nie* myślimy o niczym, jak tylko o dzieciach... — wygłosił Kim sennie.

— Na razie, ponieważ drogi nasze przez czas jakiś idą razem, sądzę, że nie odstąpimy od naszych poszukiwań, jeżelibyśmy jej nawet towarzyszyli... przynajmniej do... zapomniałem nazwy tego miasta.

— Hej! — ozwał się Kim donośnym szeptem, zwracając się do jednego z Oriasów leżącego o parę sążni⁷³ opodal. — Gdzie znajduje się dom waszego dziedzica?

— Kawalek za Saharunpore, pośród sadów — i wymienił nazwę wioski.

— Oto to! Ta właśnie miejscowość! — przytaknął lama. — Otóż w każdym razie do tego miejsca możemy jej towarzyszyć.

— Muchy lecą do ścierwa! — ozwał się Orias roztargnionym głosem.

— Dla chorej krowy wrona, bramin dla chorego człeka! — wypalił Kim znanym przysłowiem w pomroc konarów drzewnych nad głową, nie stosując go zresztą osobiście do nikogo.

Orias chrząknął i umilkł.

— Czyż więc pójdziemy z nią, o święty?

— Czyż jest taki powód, który by przemawiał przeciwko temu? Mogę wciąż iść obok niej i badać wszystkie rzeki, które przecina droga. Ona pragnie, bym tam zaszedł. Ona bardzo tego pragnie...

Kim przydusił śmiech koldrą. Skoro już raz ta harda, stara kobieta wyzbyła się nawet wrodzonej nieśmiałości wobec lamy, uważał za rzecz możliwą, że była godna przysłuchiwać się jego słowom.

Już prawie śpił go zmorzył, gdy nagle lama wygłosił przysłowie:

— Małżonkowie kobiet gadatliwych otrzymują w przyszłości wielką nagrodę.

Potem Kim usłyszał, jak lama zażył po trzykroć tabaki: na koniec, wciąż śmiejąc się, zapadł w drzemkę.

Diamentowy promienny świt pobudził jednocześnie ludzi, byczki i wrony. Kim usiadł, ziewnął, otrząsnął się i drgnął z zachwyty. To się nazywało widzieć świat w najistotniejszej rzeczywistości, to było życie, jakiego pożądał: krzątania i wrzawa, spinanie rzemieni,

⁷³sążeń — daw. miara długości wynosząca w różnych okresach i różnych krajach od 176 do 2,15 m. [przypis edytorski]

chłostanie byczków i skrzywienie kół, rozniecanie ognisk i gotowanie stawy, oraz nowe widoki za każdym obrotem zadowolonych oczu. Mgła poranna rozwiewała się w srebrnych skrętach, papugi z wrzaskiem pomknęły zieloną gromadą ku jakiejś dalekiej rzece; kędy zasięgnąć słuchem, wszystkie kołowroty studzienne podjęły pracę. Zbudziła się kraina indyjska, a pośród niej stał Kim, baczniejszy i bardziej podniecony niż ktokolwiek inny i nagryzał witkę, której i chciał właśnie użyć jako szczoteczki do zębów — albowiem przyswajał sobie na prawo i lewo wszelkie obyczaje kraju, który znał i kochał. Nie trzeba było troszczyć się o żywność... nie trzeba było wydawać ani *kauri*⁷⁴ w zatłoczonych straganach. Był uczniem świętego człowieka, zagarniętego pod władzę fertycznej staruchy. Wszystko będzie dla nich przyrządzone i przysposobione, a skoro otrzymają pełne szacunku zaproszenie, wówczas raczą zasiąść do jadła... Ponadto — tu Kim zachichotał czyszcząc sobie zęby — jego chlebobawczyńi będzie jeszcze pomnażać uciechę całej drogi! Badawczo przyjrzał się jej buhajkom, które ruszyły, pochrząkując i sapiąc pod jarzmem. Gdyby poszły zbyt szybko — na co się nie zanosilo — toć było dla niego wygodne siedlisko na dyszlu; lama siadłby wówczas koło woźnicy. Eskorta, ma się rozumieć, iść będzie piechotą. Stara jejmość (też ma się rozumieć) będzie dużo gadała, a wnosząc z tego, co słyszał, gadanina ta nie obejdzie się bez pieprzu. Już teraz rozkazywała, wygłaszała przemówienia, lajała i (trzeba to powiedzieć) obrzucała przekleństwami służbę za opieszałość.

— Dajcie jej fajkę! Na miłość boską, dajcie jej fajkę i zatkajcie tę złowieszczą gębę! — krzychał jeden z Oriasów, podwiązując niezgrabne tłumoczki z pościelą. — Ona, to w sam raz jak te papugi. Skrzeczą od samego rana.

— Przednie byczki! Hej, uważaj na przednie byczki! — (Te cofały się i skręcały, bo ós wozu ze zbożem zaczepiła je za rogi). — Ty, synu puszczyka, którądy jeździsz? — krzyknął na wymizdrzonego woźnicę.

— Ojjoj! Tam w tej budzie jedzie królowa Delhi, by modlić się o syna! — odkrzyknął ów człek spoza wysokiej sterty. — Zróbcie miejsce królowej Delhi i jej pierwszemu ministrowi, szarej małpie, wspinającej się po własnym pałazie!

Tuż za nim nadjechał drugi wóz, naładowany korą przeznaczoną dla garbarni w nizinie, a woźnica dorzucił jeszcze kilka komplementów; tymczasem woły wraz z *ruth* cofały się i cofały coraz bardziej.

Spoza dygocących zasłon lunął grad obelżywych słów. Nie trwało to długo, ale rodzajem i jakością przeszło wszystko, co Kimowi kiedykolwiek zdarzyło się słyszeć — były to słowa wprost napęczniałe jadem i złośliwością. Ujrzał, że odsłonięta pierś woźnicy aż wgięła się ze zdumienia, gdy ten złożył pełen czci *salaam* w stronę, skąd dobywał się głos, po czym zeskoczył z dyszla i pomagał czeladzi wciągnąć ów wybuchowy gejzer z powrotem na główną drogę. Wówczas głos zza kotary opowiedział mu dokładnie, jaką to żonę poślubił i co ona czyniła w jego nieobecności.

— O! *Shabash!* — mruknął Kim, nie mogąc się powstrzymać, gdy ów człek umknął cichaczem.

— Niedobrze postąpiłam, co? To wstyd i hańba, że biedna kobieta nie może jechać, by się pomodlić do swych bogów, bo ją zaraz potrąca i znieważa hołota z całego Hindostanu!... że musi przetykać *gali* (obelgi), jak inni ludzie przetykają *ghi*. Ale ja jeszcze mam rozmach w języku, parę stosownych słówek przyda się przy sposobności. A jeszcze nie mogę się doczekać tytoniu! Któryż to ślepały i upośledzony niedojda nie przygotował mi jeszcze fajki?

Jeden z górali nabił ją czym prędzej, a niebawem smugi gęstego dymu z wszystkich rogów kotary wskazywały, iż spokój został przywrócony.

O ile dnia poprzedniego Kim kroczył dumnie jako uczeń świętego człowieka, o tyle dziś stapał z dziesięćkroć większą dumą w orszaku na pół królewskiego pochodu, mając przyznane sobie poczesne miejsce i szczególne względy u starej damy o zachwycającym obejściu i niewyczerpanych zasobach. Przyboczna drużyna, z głowami obwiązanymi według zwyczaju krajowców, snuła się z obu stron kibitki, wzbijając ogromne kłęby kurzu.

Lama i Kim szli nieco z boku. Kim żuł źdźbło trzciny cukrowej i nie usuwał się z drogi nikomu, kto nie piastował wysokiej godności kapłańskiej. Do ich uszu dochodził

⁷⁴*kauri* — (w pisowni ang. *cowrie*) oznacza po hindusku małą skorupkę mięczaka używaną zamiast monety zdawkowej. „Ani *kauri*”: tyle co u nas „ani złamanego szeląga”. [przypis tłumacza]

wciąż głos starej jejmości, która bez przerwy pytlowała językiem, niby młynek do łuskania ryżu. Nagabywała czeladź, by jej opowiadała, co cię dzieje na drodze, a skoro stracili z oczu *parao*, odsunęła kotary i zerknęła w świat, zasłaniając namitką⁷⁵ ledwie trzecią część twarzy. Jej ludzie nie patrzyli wprost na nią, gdy się do nich zwracała, wskutek czego pravidła przyzwoitości były mniej więcej zachowane.

Okręgowy nadkomisarz policji, chmurny, wyźółkły Anglik w przepisowym uniformie, przejeżdżał właśnie klusem na zziajanym wierzchowcu, a poznawszy po jej orszaku, co to za osobistość, zaczął ją drażnić.

— Matko! — zawołał. — Czy tak się robi w *zenanach*?⁷⁶. A nuż nadejdzie jaki Anglik i zobaczy, że nie masz nosa?

— Co? — pisnęła w odpowiedzi. — Czy twoja rodzona matka nie ma nosa? Po cóż więc to rozgłaszasz na otwartej drodze?

Było to pyszne odparowanie ciosu. Anglik wyrzucił rękę do góry z miną człowieka ugodzonego w fechtunku. Zaśmiała się i kiwnęła głową.

— Czy taka twarz zasługuje, by kusić czyjąś cnotę?

Odsłoniła całą namitkę i spojrzała mu w oczy.

Nie była bynajmniej ponętna, ale Anglik, zebrawszy cugle, nazwał ją Księżycem Raju, Kusicielką Niewinności i innymi jeszcze fantastycznymi przydomkami, które w dwójnasób napęłniły ją radością.

— A to ci dopiero hultaj! — ozwała się. — Wszyscy policjanci to hultaje, ale policjanci *wallah* (zawodowi) są najgorsi. Hej, mój synu, nie nauczyłeś się tego dopiero po przyjeździe z Belaitu (Europy). Któż to cię wykarmił?

— *Pahareen*, góralka z Dalhousji, moja matko. Ukryj w cieniu swą krasę, o Rozdawcy Rozkoszy! — i odjechał.

— On jest z tych... — zaczęła tonem subtelного sądu i zapchała sobie usta betelem. — On jest z tych, co dbają o sprawiedliwość. Inni, świeżo przybyli z Europy, wykarmieni przez białe kobiety i z książek uczący się naszych języków, są gorsi od zarazy. Oni krzywdzą królów.

I opowiedziała wszem wobec długą a długą gawędę o żółtodziobym policjancie, co to w jakimś błahym sporze granicznym pomieszał szyki pewnemu pomniejszemu radży z pogórza, który był dla niej dziesiątą wodą po kisielu; w całą opowieść wplatała cytaty z dzieła bynajmniej nie pobożnego.

Potem napadły ją inne fochy: rozkazała jednemu z przybocznych, by zapytał, czy lama raczy iść koło niej i roztrząsać zagadnienia religijne. Wtedy Kim z wolna cofnął się w kłęb kurzawy i powrócił do swej trzciny cukrowej. Przez godzinę albo i więcej pirogowaty kapeluch lamy przeblyskiwał jak księżyc skroś mgły; a Kim z tego, co doszło do jego uszu, nabrał przekonania, że stara jejmość płacze. Jeden z Oriasów omal że się usprawiedliwił ze swego grubiaństwa, okazanego w nocy ubiegłej, mówiąc, że nigdy nie widział swej pani w tak łagodnym usposobieniu: przypisywał to obecności cudzoziemskiego kapłana. On sam osobiście wierzył w braminiów, choć jak wszyscy krajowcy dobrze widział ich chytrość i chciwość; atoli, skoro bramini żebraćkimi żądaniem tylko drażnili teściową jego pana, a ona odprawiła ich w takim gniewie, że ci rzucili klątwę na cały orszak (to było istotną przyczyną, że drugi byczek po prawej stronie zaprzęgu okulał, a zeszłej nocy złamał się dyszel), gotów był zgodzić się na byle jakiego kapłana o innym tytule z Indii albo spoza Indii. Kim mu przytakiwał, kiwając mądrze głową i zwrócił uwagę Oriasowi, że lama nie bierze pieniędzy i że koszt wyżywienia jego i Kima będzie stokrotnie wynagrodzony szczęściem, jakie odtąd oczekuje całą karawanę. Opowiedział też różne zdarzenia z miejskiego życia Lahory i zaśpiewał kilka piosenek, które eskortę pobudziły do śmiechu. Jako bywalec miejski, doskonale znający najnowsze piosenki najmodniejszych kompozytorów (a w większej jeszcze mierze kompozytorek), Kim miał stanowczą przewagę nad mieszkańcami małej i pełnej sadów wioski koło Saharunpore, ale wyższość tę uważał za rzecz samo przez się zrozumiałą.

⁷⁵*namitka* — kobiece nakrycie głowy, chusta okrywająca całą głowę wraz z czołem i ramionami. [przypis edytorski]

⁷⁶*zenana* — (od *zen*: żona, kobieta) gineceum, alkierz, część domu przeznaczona dla kobiet. [przypis tłumacza]

W południe zeszli z drogi, aby się posilić, a obiad był dobry, obfity i pięknie podany na talerzach z czystej blachy, zupełnie przyzwoicie, z dala od tumanów kurzawy. Ochłapy oddali kilku żebrakom, żeby życzenia wszystkich mogły być zaspokojone, po czym zasiedli do długiego i rozkosznego palenia fajek. Stara jejmość schowała się za kotarami, niemniej jednak z całą swobodą wtrącała się do, rozmowy, a służba spierała się z nią i przekomarzała, jak to jest zwyczajem służby wszędzie na Wschodzie. Pani porównywała chłód i sosny z gór Kangra i Kulu z pyłem i mangowymi drzewami południa; opowiedziała baję o kilku starych bożkach krajowych znad granicy posiadłości jej męża; zrzędziła ustawicznie na tytoń, który paliła, zlorzeczyła braminom i bez ogródek obmyślała sposoby, jakby mieć wielu wnuków.

ROZDZIAŁ V

Oto wróciłem znów do mojej włości,
Zaznałem jada, względów, litości,
Rodzina do mnie znowu prawa rości
I ojciec lzy wylewa...
Thusty dziś cielec uczną mą podepcze,
Lecz dla mnie — młoto było w smaku lepsze...
Czułem się dobrze tam, gdzie były wieprze,
Więc wracam znów do chlewa.

Syn marnotrawny

Ociężały, sznurem wyciągnięty, człapiący pochód ruszył znów w drogę, a baba spała, póki nie dowlekli się do najbliższej stacji pocztowej. Marsz ten był nader krótki, a jeszcze brakowało godziny do zachodu słońca, toteż Kim rozmyślał o tym, jakby się zabawić.

— Czemu nie usiądziesz i nie wypoczniesz? — ozwał się któryś z czeladzi. — Tylko diabły i Anglicy włóczą się tam i sam po próżnicy.

— Nie zawieraj nigdy przyjaźni z diabłem, małpą i chłopcem! Nie wiadomo, co które z nich uczyni za chwilę! — rzekł jego towarzysz.

Kim pogardliwie odwrócił się do nich plecami (nie miał bowiem ochoty słuchać starej bajki, jak to czart bawił się z chłopcami i potem tego żałował) — i jął snuć się bezczynnie po okolicy.

Lama poszedł w trop za nim. Przez cały dzień, ilekroć mijali jakiś strumień, starszek zbaczał z drogi, by takowemu się przypatrzeć, ale ani razu nie otrzymał ostrzeżenia, że odnalazł swą rzekę. Co więcej, błogie uczucie, że może z kimś porozmawiać ucześniejszym językiem oraz że doznaje szczególnych względów i poważania od zacnie urodzonej niewiasty, której jest duchowym doradcą, niepostrzeżenie odwiodło po trosze jego myśli od poszukiwań. Ponadto był przygotowany na to, by spokojnie strawić całe lata na włóczędztwie, boć nie miał w sobie ani krzty niecierpliwości białego człowieka, jeno⁷⁷ wielką wiarę.

— Gdzie idziesz? — wołał na Kima.

— Nigdzie... marsz był niedługi, a to wszystko — (tu szeroko zatoczył rękoma w powietrzu) — jest dla mnie nowością.

— *Ona* jest bez wątpienia mądra i roztropna kobieta. Ale przykro pomyśleć, że...

— Wszystkie kobiety są jednakie! — przemówił Kim niby sam Salomon.

— U nas przed klasztorem — mrucał lama, wyciągając wytarty różaniec — był szeroki chodnik kamienny. Zostawiłem na nim ślady moich stóp... chodząc tam i na powrót... z tym oto...

Brzęknął w paciorki i nabożnie jął odmawiać swoje *Om-mani-padme-hum*, pełen dziękczynienia za chłód, ciszę i oddalenie od kurzu drogi.

⁷⁷*jeno* — tylko. [przypis edytorski]

Jeden po drugim szczegół na równinie przyciągał niefrasobliwe oko Kima. Jego włożęga nie miała upatrzonego celu... co najwyżej wygląd szalasów pobliskich wydał mu się osobliwym; więc pragnął je zbadać.

Wyszli na szeroki wygon pastwiska, brunatny i czerwieny w poblasku przedzachodnim; pośrodku sterczała przysadzista kępa drzew mangowych. Uderzyło to Kima, że — rzecz dziwna! — w tak stosownym do tego zakątku nie było wcale ołtarza; chłopak miał na tym punkcie wyrobioną spostrzegawczość, niby istny kapłan. Hen, przez równinę szli ramię w ramię czterej ludzie, którzy w tej odległości wydawali się bardzo małuścy. Przyglądał się im bacznie, przysłoniwszy oczy zgiętymi w pałąk dłońmi; spostrzegł błysk mosiądzu.

— Żołnierze! Biali żołnierze! — ozwał się. — Chodźmy ich zobaczyć!

— Zawsze ino⁷⁸ żołnierzy spotykać musimy, gdy idziemy samowtór⁷⁹. Ale jaszczem nie widział białych żołnierzy.

— Oni nikomu nie czynią nic złego, chyba że są podchmieleni. Schowaj się za to drzewo.

Weszli za grube pnie w chłodnej pomroczy zagajnika mangowego. Dwie małe figurki zatrzymały się, dwie drugie poszły naprzód niepewnym krokiem. Była to szpica maszerującego pułku, wysłana, jak zwykle, celem wytyczenia obozu. Nieśli tyczki długie na pięć stóp, z trzepoczącymi proporczykami, i nawoływali się wzajemnie, rozsypując się po równinie.

Na koniec, ciężko stąpając, weszli do zagajnika.

— Tu... albo gdzieś koło tego miejsca... namioty oficerskie, dajmy na to, pod drzewami, a reszta nas może rozmieścić się na zewnątrz. Czy oznaczono tam z tyłu miejsca dla taborów?

Znów krzyknęli na towarzyszy w oddali; w zamian doleciał chrapliwy odzew, przyciszony i niewyraźny.

— Zatknij więc tu chorągiewkę — rzekł jeden.

— Co oni tu zamierzają? — ozwał się lama przerażony. — Wielki i straszny jest ten świat. Jakie jest godło na tej chorągwi?

Jeden z żołnierzy zatknął o kilka stóp od nich jakiś drążek, chrząknął z niezadowoleniem, wyrwał go z powrotem, porozumiał się z towarzyszem, który zmierzył okiem cienisty schron zieloności, i wbił na nowo tyczkę.

Kim wpatrywał się w to wszystko całą siłą wzroku, a urywany dech świstał mu przez zęby. Żołnierze, tupiąc nożyskami, wyszli znów na przestrzeń oświetloną słońcem.

— O święty mężu!... — dyszał chłopak — moje horoskopy!... To co na piasku rysował kapłan w Umballi!... Przypomnij sobie, co mówił... Najpierw przyjdą dwaj... *ferashowie*⁸⁰... ażeby wszystko przysposobić... w miejscu ciemnym, jak to zawsze bywa na początku jasnowiedzenia.

— Ależ to nie jasnowiedzenie! — rzekł lama. — To jeno złuda światowa i nic więcej...

— A po nich nadejdzie byk... Ryży Byk na zielonym polu... Patrz, oto on!

Wskazał na chorągiewkę, która o jakie dziesięć stóp od nich łopotała z tchnieniem wietrzyka wieczornego. Była to sobie najzwyczajniejsza w świecie chorągiewka do wytyczania obozowiska, lecz pułk, zawsze niezmiernie skrupulatny we wszystkich ozdobach, przybrał ją jeszcze godłem pułkowym Ryżego Byka, który jest herbem Mavericków... godłem Ryżego Byka na tle irlandzkiej zieleni.

— Widzę i teraz sobie przypominam — ozwał się lama. — Ani chybi, to twój Byk. Tak samo też, ani chybi, przyszli już dwaj ludzie, by wszystko przysposobić.

— To żołnierze... biali żołnierze... Co mówił kapłan? „Znak nad Bykiem jest znakiem wojny i zbrojnych ludzi”. O święty, to ma związek z tym, czego szukam.

— Prawda... prawda! — Lama wlepił oczy w godło, które pałało niby rubin w pomroce. — Kapłan w Umballi mówił, że twój znak jest znakiem wojny.

— Co teraz czynić?

— Czekać... Zaczekajmy...

⁷⁸ino (gw.) — jedynie; tylko. [przypis edytorski]

⁷⁹samowtór (daw.) — sam z towarzyszem; we dwóch. [przypis edytorski]

⁸⁰ferashowie — przekręcone z ang. *forager*: furazer. [przypis tłumacza]

— Nawet mrok się rozjaśnia! — rzekł Kim. Było to rzeczą zgoła do przewidzenia, że zniżające się słońce przedrze się w końcu poprzez pnie drzewne, napelniając cały zagajnik na parę chwil złotym i sypkim blaskiem; atoli⁸¹ Kimowi wydało się to uwieńczeniem przepowiedni bramina umbalskiego.

— Słuchaj! — ozwał się lama. — Ktoś tam bębni... bardzo daleko...

Dźwięk ów, płynący z dala, jak gdyby precedzony przez cichy przestwór powietrza, z początku przypominał uderzenie tętnicy w skroniach. Niebawem dołączył się do niego dźwięk wyraźniejszy.

— E! Muzyka! — wyjaśnił Kim. Znał on odgłos kapeli wojskowej, ale lama popadł w zdumienie. Hen, na krańcu równiny ukazała się sunąca ciężkim krokiem kolumna wojska, cała w obłokach kurzawy; następnie z wiatrem przyleciała śpiewka:

Słuchajcie — jeśli łaska czyja —
Powieści i raportu
Jak idzie gwardia Mulligańska
Marszem do Sligo portu...

Tutaj w nutę wpadły przeraźliwe piszczalki:

Na ramię broń!
Marsz! Marsz! Marsz!
Szliśmy hen!
Od Phoenix Parku
Na dublińską przystań —
Wśród bębnow warku,
Wśród fletowych świstań
Szliśmy z gwardią Mulligańską, —
Marsz! Marsz! Marsz!

To kapela Mavericków grała pułkowi przychodzącemu na leże, albowiem żołnierze obciążeni rynsztunkiem odbywali drogę według oznaczonej marszruty. Falująca kolumna rozwinęła się na równinie, a poza nią wozy; następnie rozdzieliła się na lewo i prawo, rozbiegła się jak mrowisko i...

— Ależ to istne czary! — ozwał się lama.

Równina upstrzyła się namiotami, które w wielkiej rozsypce zdawały się wszędy wyraść z wozów. Jedna gromada ludzi wtargnęła do zagajnika, rozbiła tam ogromny namiot, obok niego wzniosła jeszcze osiem czy dziewięć innych, wydobywała sagany, patelnie i tłumoki, którymi natychmiast zajęła się czereła sługusów-krajowców... I oto w oczach dwóch widzów cały gaik mangowy zamienił się w niepodległe miasteczko!

— Chodźmy! — ozwał się lama, slaniając się z przerażenia, gdy zamigotały ognie, a biali oficerowie pobrzękując pałaszami udali się do namiotu stołowego.

— Schowaj się w cieniu. Nikt nie dostrzeże ciebie spoza światła ognisk — rzekł Kim, wciąż wpatrując się w chorągiewkę. Nigdy wprawdzie nie miał możliwości stwierdzić na własne oczy, z jaką to wprawą wyćwiczony pułk rozbija obóz w przeciągu trzydziestu minut.

— Patrz! Patrz! Patrz! — zakwokał lama. — Tam oto idzie kapłan!

Jakoż szedł, kulejąc, Bennett, anglikański kapłan pułkowy, przyodziany w zakurzoną czarną kapotę. Któraś z jego owieczek pozwoliła sobie być na szorstkie uwagi o gorliwości kapłańskiej, więc Bennett, by zawstydzić pyskacza, maszerował przez cały dzień krok za krokiem wraz z żołnierzami. Czarna suknia, złoty krzyż na łańcuszku od zegarka, wygolona twarz i miękki, czarny kapelus z szeroką krezą wyróżniłyby go na całym obszarze Indii jako osobę duchowną. Osunął się w krzesło polowe koło cnamiotu stołowego i zdjął buty. Otoczyło go kilku oficerów, śmiejąc się i żartując z jego rycerskiego czynu.

— Rozmowa białych ludzi jest zgoła pozbawiona godności — rzekł lama, który sądził jedynie z tonu. — Ale przyjrzałem się twarzy tego księdza i mniemam, że to człek uczony. Chyba on zrozumie naszą gwarę? Pomówię z nim omych poszukiwaniach.

⁸¹atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

— Nie rozmawiaj nigdy z człowiekiem białym, póki i się nie naje! — ozwał się Kim, przytaczając pospolite przysłowie. — Oni teraz zasiądą do jedzenia, a., nic zdaj mi się, by łatwo było coś u nich wyzebrać! Wracajmy na miejsce postoj. Gdy się posilimy, przyjdziemy tu znowu. To z pewnością był Ryży Byk... mój Byk Czerwony!

Obaj byli zastanawiająco roztargnieni, gdy czeladź starej jejmości zastawiała przed nimi wieczerzę, przeto nikt nie przeszkadzał ich skrytym myślom, boć niedobrze to przykrzać się gościom.

— A teraz — rzekł Kim dłużyć w zębach — powrócimy na to miejsce; ale ty, o święty, musisz krzynekę przyI zostać z tyłu, ponieważ twoje nogi są bardziej ociężałe od moich, a mnie pali niecierpliwość, by się dowiedzieć czegoś więcej o tym Ryżym Byku.

— Ale jak ty zrozumiesz tę ich mowę? Idź powoli. Droga tak ciemna — odparł lama niechętnie.

Kim puścił to mimo uszu.

— Widziałem koło drzew miejsce — ozwał się — gdzie możesz siedzieć, póki cię nie zawołam. Nie, ani-ani! — dodał, gdy lama bąknął coś na kształt sprzeciwu — pamiętaj, że to mój trop... mój Ryży Byk. Znak wśród gwiazd nie tobie był pisany. Znam trochę zwyczaje białych żołnierzy i zawsze mnie korci, by zobaczyć coś nowego.

— Czegóż ty jeszcze nie znasz na tym świecie? — rzekł lama i posłusznie przycupnął w małej jamce, niespełna sto łokci od kępy drzew mangowych czerniejącej na tle niebios usianych gwiazdami.

— Zostań tu, póki cię nie zawołam.

Kim chywał⁸² w ciemność. Wiedział, że wokół obozu według wszelkiego prawdopodobieństwa stoją wartownicy, i uśmiechnął się pod nosem, słysząc odgłos grubych butów jednego z nich. Smyka, który potrafi przekradać się w noc księżycową po dachach średmieścia Lahory, korzystając z każdego kącika i smużki ciemności, by zmylić czujność prześladowców, nie zdoła capnąć nawet linia najsprawniejszych żołnierzy. Zrobił im ten zaszczyt, że przeczołgał się pomiędzy wedetą, po czym, to biegnąc, to zatrzymując się, kurcząc się i padając plackiem, dotarł aż do namiotu oficerskiego; tam, przywarłszy do drzewa mangowego, czekał, czy jakieś przypadkowe słowo nie da mu odpowiednich wyjaśnień.

Jedyną rzeczą, która obecnie zaprzętała jego myśli, było uzyskanie dalszych wiadomości odnoszących się do Ryżego Byka. O ile mu było wiadomo — a określenia miewał Kim tak osobliwe i dorywcze jak i dociekania — to ci ludzie, inaczej mówiąc, owych dziewięciuset zatraconych diabłów z proroctwa jego ojca, powinni byli z nadejściem nocy modlić się do tego zwierzęcia, jak Hindusi modlą się do świętej krowy. Tak przynajmniej nakazywałaby słuszność i rozsądek, a duchowny ze złotym krzyżem byłby wówczas osobą, od której można by zasięgnąć zdania w tej mierze. Z drugiej strony — że tylko wspomnieć księży o surowym obliczu, których unikał w Lahorze — ksiądz mógł być ciekawskim nudziarą i kazalby mu się uczyć. Ale czyż w Umballi nie dowiedziono mu, że znak na niebiosach wróżył wojnę i ludzi orężnych? Czyliż on sam nie był Przyjacielem gwiazd, zarówno jak i całego świata, napchanym aż po gardło straszliwymi tajemnicami? Na koniec — a właściwie, najpierw w podświadomości jego chyżych myśli — ta awantura, chociaż nie znał angielskiego na to wyrażenia, była pysznym *ptaszkiem*⁸³: cudnym wznowieniem dawnych dyrdań po dachach domów, a jednocześnie wypełnieniem doniosłej przepowiedni. Położył się na brzuchu i podpełznął jak wąż do drzwi namiotu stołowego, obejmując ręką amulet wiszący na szyi.

Było tak, jak się domyślał. Sahibowie modlili się do swego bóstwa; albowiem na środku stołu kasynowego — jako jedyna ozdoba tegoż, gdy wojsko znajdowało się w podchodzie — stał złoty byk, stanowiący ongi część zdobyczy z pałacu letniego w Pekinie... czerwono-złoty byk z opuszczonym łbem, hasający po polu irlandzkiej zieleni. Sahibowie wyciągali ku niemu szklanki, pokrzykując głośno w bezładnym gwarze.

Otóż wielebny Artur Bennett zawsze odchodził od stołu po tym toaście, a ponieważ marsz dał mu się tego we znaki, ruchy jego stały się gwałtowniejsze, niż po inne czasy.

⁸²chywał — zanurzyć się; por. dziś: *wychynąć* skądś. [przypis edytorski]

⁸³być *pyszny* „*ptaszkiem*” — w oryginalne ang. *lark*, co oznacza skowronka lub psikusa. Celem zachowania gry słowa, w przekładzie użyłem pokrewnego wyrażenia, wziętego z gwary ulicznej (*puścić komuś ptaka*, tyle co: splatać figla). [przypis tłumacza]

Kim, podniósłszy nieznacznie głowę, jeszcze wlepił oczy w swe godło, gdy ni stąd ni zowąd pastor przydeptał mu prawą łopatkę. Kim umknął pod naciskiem obcasa, a staczając się w bok, obalił kapelana, który jako człek zawsze energiczny chwycił go za grdykę i omal nie zdusił na śmierć. Wówczas Kim z rozpaczy kopnął go w brzuch. Imć Bennett stęknął i zwinął się w kłęby, niemniej jednak, nie rozwierając garści, wydostał się znów na wierzch i w milczeniu zaciągnął Kima do własnego namiotu. Maverickowie są niepoprawnymi kawalarzami, więc Anglikowi przyszło na myśl, że najlepiej będzie, jeżeli zachowa milczenie, póki nie dojdzie do ostatecznych wyników śledztwa.

— Ha! To chłopiec! — ozwał się, przyciągnąwszy swą zdobycz pod światło latarni zatkniętej na kołku namiotu, a potem wytarłszy surowo nieboraka, huknął: — Coś tam robił? Jesteś złodziejem! *Choor! Mallum?* (rozumiesz?)

Jego znajomość hindostańczyzny była wielce skąpa, przeto zmiętoszony i skwaszony Kim zamierzał wytrwać w narzuconej mu roli. Nabrawszy tchu, zmyślał na poczekaniu cudownie prawdopodobną bujdę o swym pokrewieństwie z jednym z kuchcików oficerskich, a jednocześnie zerknął nieznacznie pod lewą pachę kapelana. Nadeszła sposobność... chłopiec dunął w stronę drzwi, lecz długie ramię znieacka wysunęło się ku niemu i capnęło go za kark, rozrywając tasiemkę amuletu i przyciągając amulet.

— Proszę mi to oddać! O, proszę oddać! Czy się nie zgubiło? Proszę oddać mi papiery.

Słowa te wypowiedziane były po angielsku — szczebiotliwą, wypilowaną angielszczyzną jaką spotyka się u krajowców. Kapelan odskoczył.

— Szkaplerz — rzekł, otwierając dłoń. — Nie, jakieś gusła pogańskie. Co... co? Ty mówisz po angielsku? Chłopcy dostają w skórę za kradzież... czy wiesz o tym?

— Ja nie... ja nie kradłem... — Kim wił się kurczowo jak jamnik na widok podniesionego kija. — O, proszę mi to oddać. To mój przedmiot czarnoksięski. Nie kradnij mi pan tego.

Kapelan nie zważał na to bynajmniej, ale podszedłszy ku drzwiom namiotu zawołał na kogoś głośno. Zjawił się człek dobrej tuszy, starannie wygolony.

— Chciałbym się ciebie poradzić, ojcie Wiktorze — rzekł Bennett. — Zdybałem tego basalyka w ciemności koło namiotu oficerskiego. W powszednim wypadku przetrzepałbym mu skórę i wygnał na cztery wiatry, bo uważam go za złodziejzka. Ale on, zdaje się, włada angielszczyzną i przywiązuje wielką wagę do jakowychś uroków, które nosił na szyi. Sądzę, że może będziesz łaskaw mi w tym dopomóc.

W przekonaniu Bennetta pomiędzy nim a rzymskokatolickim kapelanem wojska irlandzkiego leżała nieprzebyta przepaść; atoli, rzecz znamienita, ilekroć kościół anglikański miał do czynienia z zagadnieniem ziemskim, odwoływał się niechybnie do pomocy kościoła rzymskiego. Urzędową niechęć Bennetta do katolicyzmu i jego obrządków równoważył jedynie osobisty szacunek dla ojca Wiktora.

— Więc to złodziej mówiący po angielsku? Obejrzymy te jego czarnoksięstwa. Nie, to nie jest szkaplerz Bennecie — i wyciągnął rękę.

— Ale czy wolno nam to otworzyć? Tęga chłosta...

— Ja nie kradłem — zaprzeczył Kim. — Pan ponabijał mi guzy na całym ciele. Proszę mi oddać mój przedmiot czarodziejski, a pójdę sobie precz.

— Nie tak prędko; najpierw zbadamy ten przedmiot — ozwał się ojciec Wiktor, spokojnie rozwijając pergaminowy *ne varietur* śp. Kimbala O'Hary, jego zwolnienie czynnej służby i metrykę chrztu Kima. Na metryce O'Hara, mając niejasną świadomość, że czyni Bóg wie co dla swego syna, nagryzmolił wielokrotnie; *Dbajcie o chłopca. Proszę, dbajcie o chłopca...* i podpisał się w całej rozciągłości swym nazwiskiem i cyfrą pułku.

— Precz, moce ciemności! — ozwał się ojciec Wiktor, podając wszystko imć Bennettowi. — Czy pan wiesz, co to takiego?

— Tak — rzekł Kim. — To wszystko moje, a chcę już odejść.

— Zgoła nic nie rozumiem — rzekł imć Bennett. — On to pewno przyniósł umyślnie. Może to jakiś żebracki fortel.

— Nie widziałem zatem nigdy żebraka, który by mniej pragnął pozostać w towarzystwie swych bliźnich. Tu coś zakrawa na jakąś wesołą mistyfikację. Czy pan wierzysz w Opatrzność, Bennecie?

— No chyba!

— Dobrze, a ja wierzę w cuda, co wychodzi na jedno i to samo. Moce piekielne! Kimball O'Hara! I jego syn!... Ale przecie ten chłopak to krajowiec, a ja sam na własne oczy widziałem, jak Kim żenił się z Annie Shott! Od jak dawna masz, chłopcze, te szpargały?

— Jeszcze od czasu, gdym był małym pędrakiem.

Ojciec Wiktor postąpił prędko parę kroków w przód i rozpiął Kimowi ubranie na piersiach.

— Widzisz pan, Bennecie, on nie bardzo jest smagły. Jak ci na imię?

— Kim.

— Czyli Kimball?

— Być może. Czy pozwolicie mi odejść?

— I jak jeszcze?

— Nazywają mnie Kim Rishti-ke, to znaczy: Kim z Rishti.

— Co znaczy to *Rishti*?

— *Aj-rishti*... to był pułk... mego ojca...

— Irlandzki!⁸⁴ aha, rozumiem!

— Taak! Właśnie tak opowiadał mi tato... Mój ojciec jeszcze wtedy żył.

— Gdzie żył?

— Żył. *Oczywiście* umarł... zszedł ze świata.

— Och!... Czy masz zwyczaj zawsze odpowiadać tak zwięźle?

Tu w rozmowę wmieszał się Bennett.

— Możem skrzywdził tego chłopca. To z pewnością jest biały, chociaż widocznie zdziaczało niebożątka. Zdaje mi się, że go trochę potłukł. Sądzę, że trochę spirytusu nie...

— Daj mu więc szklanekę kseresu⁸⁵ i pozwól mu się wyciągnąć na łóżku polowym. No, Kimie — ciągnął ojciec Wiktor — teraz już nikt nie myśli ci dokuczać. Wypij to i opowiedz nam o sobie. Wyznaj szczerą prawdę, jeżeli ci nic nie stoi na przeszkodzie.

Kim zakaszał, odstawiając wypróżnioną szklanekę, i zamyślił się. Sytuacja zdawała się wymagać ostrożności — i głowy na karku. Mali chłopcy, którzy baraszkują koło obozowisk, bywają zazwyczaj wydalani po uprzedniej chłoście. Ale on nie otrzymał batów — widocznie amulet działa na jego korzyść i wszystko tak wyglądało, jak gdyby horoskop w Umballi i kilka słów, jakie zdołał zapamiętać z mamrotań swego ojca, sprawdzały się w sposób przecudowny. Gdyby tak nie było, to czemuż by tłusty *padre* (ksiądz) był tak wzruszony, a ten drugi, chudy, dawał mu szklanekę żółtego, rozgrzewającego wina?

— Mój ojciec zmarł w mieście Lahorze, kiedym był jeszcze maleńki. Kobieta, co miała sklep, *kabbarri* (gracianię) koło miejsca postoju dorożek... — zaczął Kim na chybił trafił, nie mając jeszcze pewności, o ile prawda może mu być przydatna.

— Twoja matka?

— *Nie!* — zachnął się Kim. — Matka zmarła po moim narodzeniu. Mój ojciec dostał te papiery z Jadoo-Gher, jak tam się u was to nazywa? — (Bennett kiwnął głową) — ponieważ był na... dobrym stanowisku... jak to się u was zowie? — (Bennett skinął powtórnie) — To mi opowiedział tato. A mówił mi też... i tak samo bramin, który dwa dni temu kreślił rysunki na piasku... *on* mi mówił, że znajdę Czerwonego Byka na zielonym polu i ten Byk będzie mi pomagał.

— Wprost niebywały młodociąny kłamca! — burknął Bennett.

— *Apage*⁸⁶, mocy nieczysta! Cóż to za kraj! — mruczał ojciec Wiktor. — Mów dalej, Kimie!

— Ja nie kradnę. Zresztą od niedawna jestem uczniem bardzo świętobliwego człowieka... siedzi on za obozem. Widzieliśmy dwóch ludzi nadchodzących z chorągiewkami celem wyznaczenia miejsca. Tak *zawsze* bywa we śnie albo przed spełnieniem... tego... przepowiedni... Toteż poznałem, że spełni się niezawodnie. Widziałem Czerwonego Byka na zielonym polu, a mój ojciec mawiał: „Dziewięciuset diablów... *pukka*⁸⁷ diablów...

⁸⁴*Aj-rishti* (...) irlandzki — po ang. *Irish* (czytaj: *ajrisz*). [przypis tłumacza]

⁸⁵*kseres* — białe wino hiszpańskie. [przypis edytorski]

⁸⁶*apage* (gr.) — idź precz; tu: urwana formuła egzorcytyczna *apage, Satanas*: precz, Szatanie. [przypis edytorski]

⁸⁷*pukka* (czyt. pakka) — tęgi, mocny, dobrze zbudowany. [przypis tłumacza]

i pułkownik jadący na koniu będą się tobą opiekowali, gdy znajdziesz Ryżego Byka! Kiedy zobaczyłem Byka, nie wiedziałem, co mam robić, więc oddaliłem się, a potem wróciłem, gdy było ciemno. Chciałem znów zobaczyć Byka... i zobaczyłem Byka... w otoczeniu sahibów, którzy się modlili do niego. Myślę, że Byk będzie mi pomagał. Tak samo mówię i święty człowiek. On siedzi tam na dworze. Czy zrobicie mu co złego, gdy go teraz przywołam? On jest bardzo świątobliwy. On może poświadczyć wszystko, co mówię, i wie, że nie jestem złodziejem.

— Oficerowie modlili się do byka! Cóż to za brednie, u licha! — ozwał się Bennett. — Uczeń świętego człowieka! Czyż ten chłopak ma bzika?

— O, to z pewnością syn O'Hary! Syn O'Hary sprzymierzony z wszystkimi mocami ciemności. Trzeba było widzieć, co wyprawiał jego ojciec, gdy był pijany. Lepiej sprowadźmy tu tego świątobliwca. On może coś wie.

— On nic nie wie — rzekł Kim. — Pokażę go wam, jeśli pójdziecie za mną. To mój mistrz. Potem pójdziemy sobie precz.

— Moce ciemności! — było to wszystko, co zdołał wymówić ojciec Wiktor, gdy tymczasem Bennett ruszył krokiem wojskowym, trzymając Kima za ramię krzepką dłonią.

Znaleźli lamę tam, gdzie się był wtulił.

— Moje poszukiwania już dobiegają końca! — huknął Kim w narzeczu. — Znalazłem Byka, lecz bogi raczą wiedzieć, co dalej się stanie. Oni ci nie zrobią nic złego. Chodź do namiotu tłustego księdza z tym cienkim człowiekiem i czekaj, jak to się skończy. Tam wszystko jest nowe, a oni nie umieją mówić po hindusku; są to tylko osły o niewyprawionej skórze.

— Wobec tego nie wypada żartować z ich nieświadomości — odparł lama. — Rad jestem, żeś się uweselił, *chelo!*

Z godnością i bez podejrzliwości wkroczył do małego namiotu, po kapłańsku pozdrowił obu duchownych i usiadł przy blasze z żarzącymi się węglami drzewnymi. Światło lampy, odbijając się od żółtej podszewki namiotu, narzuciło na jego twarz barwę złotawo-czerwoną.

Bennett spoglądał nań z wyniosłą obojętnością, charakterystyczną dla religii, która dziewięć dziesiątych całego świata nazywa w czambuł „poganami”.

— A jaki był koniec poszukiwań? Jaki dar przyniósł ci Ryży Byk? — zwrócił się lama do Kima.

— On się pyta: „co chcecie czynić?”.

Bennett niespokojnie wpatrywał się w ojca Wiktora, a Kim przyjął na siebie we własnym interesie obowiązki tłumacza.

— Nie wiem, co ma ten *fakir* do tego chłopca, który jest zapewne ofiarą jego oszustwa albo jego współnikiem — zaczął Bennett. — Nie możemy pozwolić, by chłopak, Anglik z rodu... przypuściwszy, że jest on synem masona, to im prędzej odda się go do ochrony masońskiej, tym lepiej dla niego.

— Aha, tak się zdaje panu jako sekretarzowi łożu pułkowej! — ozwał się ojciec Wiktor. — Ale przecie może powiemy temu staruchowi, co zamierzamy uczynić. On nie wygląda na prostaka.

— Wiem z doświadczenia, że nigdy nie podobna zgłębić umysłu wschodniego. A teraz, Kimballu, chciałbym, żebyś powtórzył temu człowiekowi słowo w słowo, co ci powiem.

Kim zebrał w pamięci treść kilku następujących potem zdań i zaczął tymi słowy:

— O święty, ten tyczkowany dureń, co podobny jest do wielbłąda, gada, że jestem synem sahiba.

— Skądże znowu?

— O tak, to prawda. *Ja* o tym wiedziałem od urodzenia, on zaś zdołał się o tym przekonać dopiero wtedy, gdy przeczytał amulet z mej szyi i wszystkie moje papiery. On myśli, że kto raz jest sahibem, jest nim zawsze, obaj zaś pomiędzy sobą uradzili, żeby mnie zatrzymać w pułku lub posłać do *madrissab* (szkoły). To już raz się zdarzyło i zawsze tego się wystrzegalem. Ten tłusty patalach plecie jedno, a ten wielbłądowaty zasię co innego. Ale nie ma się o co dąsać! Spędzę tu jedną noc, a może i następną. I to się zdarzało dawniej. Ale potem ucieknę i powrócę do ciebie.

Religia

— Ale powiedz im, że jesteś moim *chela*. Opowiedz im, jak przyszedłeś do mnie, gdy byłem słaby i zbłąkany. Opowiedz im o naszych poszukiwaniach, a oni z pewnością wypuszczą cię natychmiast.

— Jużem to im opowiedział. Oni się śmieją i wspominają o policji.

— Co tam mówicie? — zapytał pastor Bennett.

— O-wa! On tylko powiada, że jeżeli mnie nie puścicie, będzie to przeszkodą w jego zajęciach... w jego sprawie prywatnej, *niecierpiącej zwłoki*.

To podkreślenie było naśladowaniem rozmowy z pewnym Eurazjatą⁸⁸, pisarzem w wydziale kanalizacji, ale wywołało to tylko uśmiech, co dotknęło go do żywego.

— A gdybyście wiedzieli, jakie jest jego zatrudnienie, nie staralibyście się w sposób tak niehumanitarny temu przeszkodzić.

— Więc cóż to takiego? — rzekł ojciec Wiktor nie bez wyrozumiałości, przyglądając się obliczu lamy.

— W tym kraju jest rzeka, którą on *strasznie* życzy sobie znaleźć. Została ona wydobyta przez strzałę, która... — (Tu Kim niecierpliwie postukiwał nogą, przekładając sobie w myśli język krajowy na kulawą angielszczyznę). — Ech! zrobił ją pan nasz... no wiecie, Budda... a jeżeli się wykąpicie w niej, to będziecie obmyci z wszystkich grzechów i staniecie się biali jak bawełna... — (Kim swojego czasu przysłuchiwał się pogadankom misyjnym). — Jestem jego uczniem i *musimy* znaleźć tę rzekę. Jest to dla nas rzecz *strasznie* ważna.

— Powtórz to raz jeszcze! — ozwał się Bennett. Kim usłuchał rozkazu, nie szczędząc upiększeń.

— Ależ to bluźnierstwo! — krzyknął duchowny angielski.

— Pst! Pst! — rzekł ojciec Wiktor życzliwie. — Wiele bym dał za to, żebyś umiał mówić językiem krajowców. Rzeka, która obmywa grzechy! A jak dawno już jej szukacie?

— O, już długo! A teraz chcemy odejść i znów jej szukać. Pan widzi, że jej tu nie ma.

— Widzę! — rzekł poważnie ojciec Wiktor. — Ale on nie może nadal chadzać w towarzystwie tego starucha. Byłoby wszystko inaczej, Kimie, gdybyś nie był synem żołnierza. Powiedz mu, że pułk zaopiekuje się tobą i wykieruje cię na porządnego człowieka, jak twój... e-hm!... tak porządnego człowieka, jak tylko będzie można. Powiedz mu, że jeżeli wierzy w cuda, powinien uwierzyć, iż...

— Nie trzeba wcale grać na jego łatwowierności! — obruszył się Bennett.

— Wcale tego nie czynię. On musi wierzyć, że przybycie tego chłopca tutaj... do macierzystego pułku... gdy poszukiwał swego czerwonego byka... ma cechy cudu. Zważ, panie Bennecie, wszystkie szanse przeciwko temu! Że to na całe Indie ten właśnie jeden chłopczyzna... aż z tyłu pułków właśnie nasz jeden maszerował, żeby się z nim spotkać!... To już wszystko z góry było przewidziane w wyrokach niebios. Tak! Powiedz mu, że to *kismet*. *Kismet*, *mallum* (rozumiesz)?

Z tym zapytaniem zwrócił się do lamy, do którego równie dobrze mógłby mówić o Mezopotamii⁸⁹.

— Oni mówią — a oczy starca zaświeciły na te słowa Kima — mówią, że treść mojej przepowiedni już się ziszczyła i że skoro powróciłem (choć wiesz, że tylko przyszedłem tu z ciekawości) do tych ludzi i Czerwonego Byka, to muszę chodzić do *madrissah* i przeobrazić się w sahiba. Teraz udaję, że się zgadzam, bo w najgorszym razie zejdzie na to, że zjem kilka razy obiad z dala od ciebie. Potem czmychnę i podążę gościńcem do Saharunpore. Przeto, o święty, trzymaj się ciągiem tej kobiety z Kulu... żadną miarą nie walęśaj się daleko od jej kibitki, póki nie powrócę. Niewątpliwie mój znak jest znakiem wojny i ludzi zbrojnych. Patrz! Dali mi się napić wina i posadzili mnie na honorowym łożu! Mój ojciec musiał być tu grubą rybą! Więc jeżeli mnie zaszczycą u siebie wielkim dostojnictwem, to dobrze, a jeżeli nie, to drugie dobrze. Cokolwiek z tego wyniknie, ucieknę z powrotem do ciebie, gdy mnie to znuży. Ale trzymaj się Radżputani, bo inaczej zgubię twój ślad... Ooch, ta-ak! — przemówił po angielsku — opowiedziałem mu wszystko, coście mi polecili.

⁸⁸*Eurazjata* — Eurazjczykami nazywa się mieszańców krwi europejskiej z azjatycką. [przypis tłumacza]

⁸⁹*kismet* (...) *równie dobrze mógłby mówić o Mezopotamii* — *kismet* właśc. *gismat*: fatum, przeznaczenie; jest to wyraz arabski, używany przez mahometan, zatem zgoła obcy teologicznym i językowym wiadomościom lamy. Było to dlań jakby „tureckie kazanie”. [przypis tłumacza]

— Ja zaś nie widzę powodu, czemu by ten człowiek miał jeszcze zwlekać — ozwał się Bennett, obszukując kieszeń spodni. — Szczegóły możemy zbadać później... a ja dam mu ru...

— Daj mu jeszcze chwilkę czasu. Zdaje się, że on przywiązał się do tego chłopca — rzekł ojciec Wiktor, zatrzymując w połowie ruch pastora.

Lama wyciągnął różaniec i zaciągnął na oczy ogromną krezę kapelusza.

— Czego on teraz może chcieć?

— On mówi... — tu Kim wznosił dłoń w górę. — On powiada: bądźcie cicho! On chce porozmawiać ze mną sam na sam. Widzicie, że nie rozumiecie ani słówka z tego, co on mówi, a sądzę, że jeżeli będziecie gadali, może rzucić na was straszne klątwy. Ilekroć bierze w ten sposób te paciorki, wiedzcie, że wtedy zawsze domaga się ciszy.

Obaj Anglicy usiedli zgnębieni, ale w oczach Bennetta wyczytać można było obietnicę, że z Kimem będzie krucho, skoro chłopak będzie oddany pod władzę duchowną.

— Sahib i syn sahiba... — lamie głos zachrypl z bólu. — Ależ żaden z białych ludzi nie zna tego kraju i jego obyczajów tak, jak ty. Jakże to może być prawdą?

— O to mniejsza, o święty; ale pamiętaj, że to tylko na jedną noc lub dwie... Wspomnij, że umiem się zmieniać błyskawicznie. Wszystko się odbędzie jak wtedy, gdy m po raz pierwszy rozmawiał z tobą pod wielkim działem Zam-Zammah...

— Jako chłopak w stroju białych ludzi... gdy m po raz pierwszy podchodził do Domu Cudów. Za drugim razem byłeś Hindusem. Jakież będzie trzecie wcielenie? — zagderał posępnie. — Och, *chelo*, wyrządziłeś przykrość starcowi, bo moje serce przylgnęło do ciebie.

— I moje do ciebie. Ale skądże mogłem wiedzieć, że Czerwony Byk wciągnie mnie w takie korowody?

Lama ponownie zasłonił twarz i gorączkowo pobrzękiwał w różaniec. Kim przykucnął koło niego i uchwycił jeden z fałdów jego sukni.

— Więc teraz zrozumiano, że chłopiec jest sahibem? — ciągnął lama dalej przytłumionym głosem. — Takim sahibem, jakim był ten, który opiekował się wizerunkami w Domu Cudów. — (Wiadomości lamy o ludziach białych były bardzo szczupłe, wyglądało to, jak gdyby powtarzał wyuczoną lekcję.) — Wobec tego nie przystoi, by czynił co innego, jak to, co czynią inni sahibowie. On musi wrócić do swego narodu.

— Na dzień, noc i jeszcze jeden dzień! — wymawiał się Kim.

— Nie, nic z tego! — ozwał się ojciec Wiktor, widząc, że Kim boczkuje ku drzewom, i nogą zagroził chłopcu drogę.

— Nie rozumiem obyczajów białych ludzi. Kapłan wizerunków w lahorskim Domu Cudów był grzeczniejszy od tego chudzielca. Zabiorą mi tego chłopca. Chcąż zrobić sahiba z mego ucznia? Biadaż mi, jakże odnajdę swoją rzekę? Czyż *oni* nie mają uczniów? Zapytaj ich.

— On mówi, że bardzo jest tym strapiony, iż nie zdoła już wcale znaleźć swej rzeki. Pyta, czy nie macie własnych uczniów, że uwzięliście się jego właśnie nękać? On chce być obmyty z grzechów.

Ani Bennett, ani ojciec Wiktor nie zdobyli się na natychmiastową odpowiedź. Kim, przerażony bezsilnością starca, ozwał się po angielsku:

— Myślę, że jeżeli puścicie mnie na wolność, odejdziemy sobie spokojnie i nie ukradniemy niczego. Będziemy szukali owej rzeki, jak przed moim pojmaniem. Wolałbym tu wcale nie przychodzić po to, by znajdować Czerwonego Byka i inne bzdurstwa! Całkiem mi to niepotrzebne!

— Jest to najlepszy zarobek, jaki kiedykolwiek sobie zdobyłeś, młokosie! — rzekł Bennett.

— Miły Boże, nie wiem, jak pocieszyć tego biedaka — ozwał się ojciec Wiktor, wpatrując się uporczywie w lamę. — Nie można pozwolić, by wziął z sobą chłopaka, a przecie to człek dobry... mam pewność, że to człek dobry. Mości Bennecie, jeżeli dasz mu pan tę rupię, to on cię przeklnie z całym pokoleniem!

Przez trzy... przez całe pięć minut... przysłuchiwali się wzajemnie swym oddechom. Potem lama podniósł głowę i spojrzął kędyś poza nich — w pustkę i przestrzeń.

— I ja jestem pątnikiem Drogi Żywota — przemówił z goryczą. — Mój jest grzech i moja też kara. Wmówiłem w siebie... tak, teraz zdaję sobie sprawę z tego, że było to jeno

urojenie... żeś był zesłan, by pomagać mi w poszukiwaniach. Przeto serce moje przyłgnęło do cię za twoją dobroć, uprzejmość i wielką nad wiek twój roztropność. Ale ci, którzy idą Drogą Żywota, nie powinni dopuszczać do siebie ognia pożądliwości ani przywiązania, boć to wszystko jest złudą. Jak powiada... — tu przytoczył stary, niezmiernie stary tekst chiński, poparł go drugim, a wzmocnił jeszcze trzecim. — Zboczyłem z drogi, mój *chelo*. Nie poszło to z mej winy. Radowałem się widokiem życia i nowych ludzi spotykanych po drodze oraz twoją uciechą z oglądania tego wszystkiego. Byłem zadowolony wespół z tobą, ja, com winien był myśleć o swych poszukiwaniach i o niczym ponadto. Teraz jestem pełen smutku, bo zabierają mi ciebie, a rzeka moja jest daleko ode mnie. Otom złamał zakon!

— Przepadnijcie, moce ciemności! — wymówił ojciec Wiktor, który jako doświadczony spowiednik wyczuwał ból w każdym zdaniu lamy.

— Widzę teraz, że znak Czerwonego Byka był przestrogą zarówno dla mnie, jak i dla ciebie. Wszelka pożądliwość jest czerwona... i zła. Będę odbywał pokutę i sam na własną rękę szukać będę tej rzeki.

— W każdym razie powróć do tej kobiety z Kulu — rzekł Kim — bo inaczej zginiesz na drodze. Ona cię będzie żywiła, póki nie wrócę do ciebie.

Lama machnął ręką, dając do zrozumienia, że sprawę tę już obmyślił w głowie.

— A teraz — głos mu się zmienił, gdy się zwrócił do Kima — co oni z tobą uczynią? Ja, bądź co bądź, zdobywając sobie zasługi, mogę zmasać przeszłe zło.

— Zrobią ze mnie sahiba... tak im się zdaje... Pojutrze wrócę. Nie martw się.

— Jakiego? Czy takiego jak ten, czy takiego jak tamten? — (tu wskazał na ojca Wiktora.) — A może jednego z tych, których widzieliśmy dziś wieczorem... co noszą pałasze i chodzą ciężkim krokiem?

— Być może.

— To niedobrze. Ci ludzie idą za pożądliwością i dochodzą do pustki duchowej. Ty nie powinienes być taki.

— Kapłan w Umballi mówił, że moją gwiazdą jest wojna — wtrącił Kim. — Zapytam tych kpów... ale, prawdę mówiąc, jest to zgoła zbyteczne. Ucieknę jeszcze tej nocy, mimo że chciałbym się przyjrzeć nowym rzeczom.

Po czym zadał ojcu Wiktorowi parę pytań po angielsku, tłumacząc odpowiedzi lamie. Brzmiało to tak:

— On powiada: „Bierzcie go ode mnie i nie umiecie powiedzieć, na co go wykie-rujecie”. On powiada: „Powiedz mi, zanim odejdę, bo rzecz to niemałej wagi wychować dziecko”.

— Poślemy cię do szkoły. Co potem, zobaczymy. Kimballu, przypuszczam, że chciał-byś być żołnierzem?

— *Gorab-log* (białe pospólstwo)! Nie-e! Nie-e! — Kim gwałtownie potrząsnął głową. Karność i posłuch zgoła nie przemawiały mu do przekonania. — Nie chcę być żołnierzem!

— Będiesz tym, czym ci być każą — odezwał się Bennett — i powinienes być wdzięczny, że chcemy ci dopomóc.

Kim uśmiechnął się z politowaniem. Jeżeli ci ludzie ludzą się, że on będzie robił coś, co mu się nie podoba — tym więc lepiej dla niego.

Zapanowała znów dłuższa cisza. Bennett wiercił się z niecierpliwości i radził zawezwać wartę, by na zbity łeb wyrzuciła *fakira*.

— Czy u sahibów uczą darmo, czy za zapłatą? Zapytaj ich — ozwał się lama, a Kim to przetłumaczył.

— Mówią, że nauczycielowi się płaci... ale pieniądze na tołożyć będzie pułk... Ale na cóż tyle zachodów? To tylko na jedną noc.

— A... czy im więcej się płaci, tym lepszą pobiera się naukę? — lama puścił mimo uszu plany Kima co do rychłej ucieczki. — Nic w tym złego, że się płaci za naukę; zawszeć to zasługa, jeżeli nieukowi dopomaga się w zdobywaniu wiedzy.

Różaniec zachrobetał gwałtownie niby liczydło. Po chwili lama znów spojrzał w oczy swym prześladowcom.

— Zapytaj ich, za jaką sumę pieniężną udzielają oni mądrej i przyzwoitej nauki? I w jakim mieście ona się odbywa?

— No — odrzekł ojciec Wiktor po angielsku, gdy Kim przełożył powyższe słowa — to zależy. Pułk płaciłby za ciebie przez cały czas twego pobytu w sierocińcu wojskowym; albo zostałbyś wpisany na listę pendzabskiego przytułku masonskiego (ani on, ani ty nie zrozumielibyście, co to znaczy); ale najlepsze wykształcenie chłopiec może otrzymać, rzecz oczywista, w zakładzie św. Ksawerego *in partibus* koło Lucknow.

Tłumaczenie tych słów zajęło sporo czasu, bo Bennett chciał już raz z tym skończyć.

— On chce wiedzieć, jaka będzie cena? — ozwał się Kim spokojnie.

— Dwieście do trzystu rupii rocznie.

Ojciec Wiktor nie okazywał po sobie najmniejszego zdziwienia. Bennett, zniecierpliwiony, nic z tego nie rozumiał.

— On mówi: „Napisz tę nazwę i ilość pieniędzy na skrawku papieru i oddaj mu to”. I mówi też, że musisz pod spodem napisać swoje nazwisko, ponieważ on ma zamiar za parę dni napisać list do ciebie. Powiada, że z ciebie dobry człowiek. Powiada też, że ten drugi, to cymbał. On się już zabiera stąd.

Lama powstał raptownie.

— Idę na poszukiwania! — krzyknął i wyszedł z namiotu.

— On się natknie na wartowników! — zawołał, zrywając się z miejsca, ojciec Wiktor, ledwie lama wysunął się z namiotu. — Ale nie mogę opuścić chłopaka.

Kim poruszył się żywo, by iść za nim, ale się pohamował. Na dworze nie było słychać żadnych nawoływań. Lama zniknął.

Kim usiadł spokojnie na wyrku kapelana. Bądź co bądź lama obiecał, że zostanie przy Radżputance z Kulu, a reszta była drobnostką. Podobało mu się, że obaj duchowni byli tak widocznie podnieceni. Rozmawiali długo półgłosem; ojciec Wiktor do czegoś bardzo namawiał Bennetta, który zdawał się nie ufać tym radom. Wszystko to było osobliwe i intrygujące, ale Kima zaczęła ogarniać sennaś, potem zwołali jakichś ludzi do namiotu (jednym z nich był na pewno pułkownik, jak przepowiedział ojciec) — ci zaś zadawali chłopcu nieskończenie wiele pytań, zwłaszcza dotyczących się kobiety, która się nim opiekowała; Kim na wszystko odpowiadał zgodnie z prawdą. Oni ponoć nie uważali tej kobiety za dobrą opiekunkę.

Koniec końców dla Kima była to najnowsza z jego przygód. Prędzej czy później, jeśli mu się spodoba, będzie mógł czmychnąć w szeroki świat — pomiędzy szary, nierozróżnialny gmin indyjski, kędyś daleko od namiotów, księży i pułkowników. Na razie, jeżeli można czymś wywołać wrażenie u sahibów, powinien był uczynić, co w jego mocy, by im zaimponować. Wszak i on był białym człowiekiem.

Po długiej wymianie zdań, której nie mógł zrozumieć, oddano go pod opiekę sierżantowi, któremu surowo polecono, by go nie spuszczał z oka. Pułk udawał się do Umballi, a Kima miano wysłać — częścią na koszt łoża, a częścią za pieniądze ze składki — do miejscowości zwanej Sanawar.

— To ci cud nad wszelki podziw, panie pułkowniku! — rzekł ksiądz Wiktor, nagałdawszy się o wszystkim przez dobre dziesięć minut. — Jego przyjaciel, buddysta, zwił bez śladu, wzięwszy mój adres i nazwisko. Nie mogę się połapać, czy chce płacić za naukę chłopca, czy też własnym kosztem wyprawić jakieś sztuczki czarnoksiężskie.

Potem zwrócił się do Kima:

— Dożyjesz jeszcze chwili, gdy będziesz dziękował swemu przyjacielowi, Bykowi Ryżemu. W Sanawar zrobimy z ciebie człowieka... choć co prawda kosztem tego, że może zostaniesz protestantem.

— Z pewnością... z całą pewnością! — potakiwał Bennett.

— Ależ wy nie pójdzicie do Sanawar! — rzekł Kim.

— Właśnie, że pójdziemy do Sanawar, mój malcze. Taki jest rozkaz głównodowodzącego, który jest osobą nieco ważniejszą od syna O'Hary.

— Nie pójdziemy do Sanawar. Pójdziemy na wojnę.

W całym, zatłoczonym namiocie zahuczał gromki śmiech.

— Gdybyś nieco lepiej znał swój własny pułk, Kimie, nie mieszałbyś pogotowia marszowego z pogotowiem bojowym. Ale spodziewamy się, że kiedyś pójdziemy na wojnę.

— Oo! Ja wiem wszystko!

Kim znów naciągnął łuk na chybił trafił. Jeżeli oni nie idą na wojnę, tedy w każdym razie nie wiedzieli tego, co on, o rozmowie na werandzie w Umballi.

— Wiem, że teraz nie jesteście na wojnie, ale powiadam wam, że skoro dojdziecie do Umballi, będziecie wysłani na wojnę... nową wojnę... Jest to wojna ośmiu tysięcy ludzi, nie licząc armat.

— O, jak dokładnie! Czy obok innych zdolności masz i dar prorokowania? Weźże go z sobą, sierżancie. Wydostań dla niego mundur od doboszów i uważaj, żeby ci się nie wymknął z rąk. I mówić tu, że wieki cudów już minęły! Ale pono⁹⁰ czas mi już iść spać. Już biedna moja łepeta odczuwa zmęczenie.

W godzinę później kędyś na krańcu obozowiska siedział Kim, oniemiały jak dzikie zwierzątko, świeżo wymyty od stóp do głów i odziany w jakowyś straszny mundur ze sztywnego sukna, które drapało mu ręce i nogi.

— A to ci cudacznym ten młody kos! — gadał sierżant. — Włóczy się jako pacholek żółtogłowego capa-bramina, mając na szyi metryki wydane przez lożę jego ojcu, i bajdurzy, Bóg wie co, o jakimś czerwonym byku. Ten cap-bramin ulatnia się bez opowiedzenia, a chłopak siada z założonymi nogami na łóżku kapelana, prorokując wszem wobec krwawą wojnę. Te *Indyje*, to diabelski kraj stworzony na zgubę bogobojnego człowieka, Przywiążę mu zaraz nogę do kołka namiotu, na wypadek, gdyby chciał uciekać. Co tam mówiłeś o wojnie?

— Osiem tysięcy ludzi, nie licząc dział — odrzekł Kim. — Lada dzień się przekonacie.

— Pocieszny z ciebie hultaj. Połóż się pomiędzy doboszami i luli!... Ci dwaj chłopcy koło ciebie będą czuwać nad twym snem.

ROZDZIAŁ VI

Pamiętam jeszcze moich kamratów,
Na nowych morzach — starych wiarusów,
Jakośmy kiedyś *auripigmentem*
Kupczyli pośród dzikusów.

Dziesięć tysięcy mil na południe,
Trzydzieści lat żyję w dali —
Oni nie cnego Valdeza Diego,
Tylko mnie znali, kochali...

Pieśń o Diegu Valdezcie

Bardzo wczesnym rankiem białe namioty runęły i znikły, a Maverickowie pomaszzerowali boczną drogą w stronę Umballi. Droga ta nie przechodziła koło miejsca postoju na trakcie, toteż Kim, wlokąc się koło wozu taborowego i wystawiony na krzyżowy ogień docinków ze strony żon żołnierskich, nie był już tak pewny siebie, jak zeszłego wieczora. Zauważył, że był pilnie strzeżony przez ojca Wiktora z jednej strony a przez pastora Bennetta z drugiej.

Przed południem kolumna wojska zatrzymała się. Ordynans, który przygonił na wielbłądzie, wręczył pułkownikowi jakiś list. Ten przeczytał pismo i coś powiedział jednemu z majorów. Kim, znajdujący się w tylnej straży o jakie pół mili od nich, posłyszał chrapliwy i radosny zgiewek, posuwający się ku niemu skroś gęstej kurzawy. Potem ktoś trzepnął go w kark, krzycząc:

— Powiedz nam, skąd to wiedziałeś, mały diabluku? Ojczy drogi, spróbuj, czy ci się nie uda wydobyć z niego prawdy!

Kucyk kapelana zrównał się z nimi i Kima przytroczono do łęku siodła.

— No, mój synu, twoje prorocstwo wczorajsze się sprawdziło. Otrzymaliśmy rozkaz, by jutro zawagonować się w Umballi i ruszyć na front.

— Co to znaczy? — zapytał Kim, bo „zawagonować” i „front” były to słowa obce dla niego.

— My idziemy na wojnę, jakeś powiedział.

⁹⁰*pono* (gw., daw.) — prawdopodobnie, zapewne. [przypis edytorski]

— Istotnie idziemy na wojnę. Powiedziałem to wczoraj wieczorem.

— Tak, powiedziałaś; ale, na moce ciemności, skądś to wiedział?

Kimowi zaiskrzyły się oczy. Zaciął wargi, pokiwał głową i tak wyglądał, jak gdyby krył tajemnicę. Kapelan posuwał się naprzód w tumanach kurzu, a szeregowcy, sierżanci i oficerowie niższego stopnia zwracali jeden drugiemu uwagę na chłopca. Pułkownik, stojący na czele kolumny, wpatrzył się weń z ciekawością.

— Widocznie plotkowano już o tym coś niecoś po mieście — ozwał się — ale nawet i wtedy... — (Tu przyjrzał się listowi, który miał w ręce). — Pal go diabli! Wszak zaledwie upływa dwadzieścia cztery godziny, jak rzecz tę zdecydowano.

— Czy w Indiach jest wielu takich jak ty? — rzekł ojciec Wiktor — czy też ty masz stać się *lusus naturae*⁹¹?

— A skoro ci to opowiedział — ozwał się chłopak — czy pozwolisz mi wrócić do mego staruszka? Jeżeli on nie przyłączył się do tej baby z Kulu, boję się, że zginie.

— Z tego, com widział, wnoszę, że on umie dbać o siebie tak samo, jak i ty. Nie. Przyniosłeś nam szczęście i my chcemy wykierować cię na człowieka. Odprowadzę cię z powrotem do twego furgonu, a dzisiaj wieczorem przyjdiesz do mnie.

Przez resztę dnia osoba Kima stała się przedmiotem różnych roztrząsań ze strony kilkuset białych ludzi. W opowiadaniach nie pomijano ani jednego szczegółu z dziejów jego pojawienia się w obozie, rozpoznania jego rodowodu, jako też jego przepowiedni. Sążnista, niezgrabna baba białej rasy, siedząca na stosie piernatów, zapytała go tajemniczo, czy sądzi, że mąż jej wróci z wojny. Kim zamyślił się poważnie i odrzekł, że powróci, za co kobieta poczęstowała go jadem. Ten ogromny korowód, któremu od czasu do czasu przygrywała muzyka — ten tłum, co gwarzył i śmiał się wesoło — z wielu względów przypominał uroczyste obchody w śródmieściu Lahory. Na razie nie zapowiadało się, by Kima miała tu czekać jakaś ciężka praca, więc postanowił darzyć swymi względami to widowisko. Pod wieczór na ich spotkanie wyszły orkiestry wojskowe i odprowadzały Mavericków muzyką aż do obozu w pobliżu umbalskiego dworca kolejowego. Noc przechodziła bardzo interesująco. Żołnierze z innych pułków przychodzili odwiedzić Mavericków, a i Maverickowie ze swej strony też wybierali się w odwiedziny. Wypadały i patrole, by ściągnąć ich z powrotem, a spotykały się z patrolami innych pułków, wyprawiającymi się w tymże celu; I potem, w czas jakiś, trąby zaczęły ożywać się z wściekłością, wzywając większą ilość patroli z oficerami na czele, celem uśmierzenia zamętu. Maverickowie mieli opinię hulaków i haraburdów.

Lecz nazajutrz w doskonałej karności i porządku stawili się na dworcu, a Kim, pozostawiony wraz z chorymi, z kobietami i dziećmi, z uniesieniem wykrzykiwał słowa pożegnania mijającym go pociągom. Jak dotąd, życie jego jako sahiba było zajmujące, jednakowoż przyjmował je z wielką ostrożnością.

Następnie odesłano go, jako dobosza, do pustych, wybielonych koszar, gdzie podłogi były zasypane rumowiskiem, sznurkami i papierami, a powały dudniły odgłosem jego samotnych kroków. Zwyczajem krajowców zwinął się w kłębek na łóżku bez pościeli i zamierzał się zdrzemnąć; z werandy wytarabanił się jakiś człek nadąsany, zbudził go i oznajmił, że jest nauczycielem. Kim wiedział, czym to pachnie, więc zwinął się jak ślimak. Umiał odgadywać różne obwieszczenia policji angielskiej, ponieważ chodziło w nich często i o jego skórę, a pośród wielu gości, którzy odwiedzali jego opiekunkę, był swego czasu pewien dziwak, Niemiec, który malował dekoracje dla wędrownego teatru parsyjskiego⁹²; ten opowiadał Kimowi, że „w roku czterdziestym ósmym był na barykadach” i dlatego — przynajmniej tak Kim sobie wyrozumował — chciał nauczyć go pisania w zamian za jadło. Kim dobił się ostatecznie znajomości poszczególnych liter, ale nie uważał ich za rzecz wielce potrzebną.

— Ja nic nie wiem! Odwal pan ode mnie! — zachnął się przeto, węsząc coś niedobrego. Na to ów człowiek schwył go za ucho, zaciągnął do izby w oddalonym skrzydle budynku, gdzie siedziało kilkunastu doboszyków podzielonych na klasy, i zapowiedział mu, że jeżeli nic nie umie, tedy przynajmniej powinien cicho się zachowywać. To udało

⁹¹*lusus naturae* (łac.) — igraszką przyrody, cudownym dzieckiem. [przypis tłumacza]

⁹²*Parsowie* — (zwani pospolicie czcicielami ognia), sekta religii Zaratustry, która przed prześladowaniem ze strony mahometan uciekła w w. VII do Indii. [przypis tłumacza]

mu się znakomicie. Belfer przez pół godziny coś tam objaśniał za pomocą białych kresek na czarnej tablicy, a Kim dalej ciągnął przerwana drzemkę. Obecny stan rzeczy nie podobał mu się wcale, gdyż była to właśnie taka szkoła i taka karność, od jakiej dotychczas pilnie się wymigiwał przez dwie trzecie swego młodocianego żywota. Naraz strzelił mu do głowy pyszny pomysł, aż sam się zadziwił, że przedtem nigdy nie myślał o czymś podobnym.

Belfer wypuścił uczniów na pauzę, a pierwszym, który hulnął przez werandę na świeże powietrze, był Kim.

— Hej, ty! Zatrzymaj się! Stój! — zabrzmiał cienki głosik tuż za nim. — Dostałem cię pod swą opiekę. Dano mi rozkaz, bym nie spuszczał cię z oka. Gdzie się trajdasz?

Był do doboszyk, który kręcił się dokoła niego przez całe przedpołudnie — pucata i piegowata pokraka, lat może czternastu; Kim obmierzył go sobie od podeszew jego butów aż po naszywki na czapce.

— Na targ... by kupić słodczy... dla ciebie — odrzekł Kim po namyśle.

— No, targ jest poza rejonem koszarowym. Jeżeli tam pójdziemy, dostaniemy wciąranie. Wracaj no!

— Jak blisko możemy zajść? — Kim nie rozumiał, co znaczy „rejon”, ale pragnął być (na razie) uprzejmy.

— Jak blisko? Jak daleko, chciałeś powiedzieć? Możemy dojść aż do tego drzewa wedle drogi.

— Więc ja tam pójdę.

— I owszem. Ja nie pójdę. Za gorąco dzisiaj. Mogę cię stąd pilnować. Nie wyjdzie ci to na dobre, jeśliś chciał uciekać. Jeżeli drapniesz, wytropią cię... poznają po odzieży! Nosisz na sobie mundur pułku. Pierwszy lepszy patrol w Umballi odprowadziłby cię z powrotem prędzej, niżbyś stąd wyruszył.

Ostatnie słowa nie wywarły na Kimie takiego wrażenia, jak świadomość, że ubranie zdradzi go w razie usiłowania ucieczki. Przyłgnął do drzewa, stojącego na zakręcie szarej drogi wiodącej w stronę targowicy⁹³, i przyglądał się przechodzącym krajowcom. Byli to przeważnie posługacze koszarowi najniższej kasty. Kim zawołał na jednego z zamiataczy, który bez namysłu obrzucił go w odpowiedzi stekiem zgoła niewłaściwych złorzeczeń, przypuszczając, rzecz prosta, że mały Europejczyk nie zdoła mu się odwzajemnić. Grubiańska, prędka odpowiedź wywiodła go z błędu. Kim włożył w nią całą spętaną duszę, dziękując zrządzeniom losu, które na koniec pozwoliły mu zwymyślać kogoś tą mową, jaką znał najlepiej.

— A teraz idź do najbliższego skrybenta⁹⁴ na rynku i każ mu tu przyjść. Chciałbym napisać list.

— Ale... ale jaki z ciebie biały człowiek, że potrzeba ci skrybenta ulicznego? Czyż w koszarach nie ma nauczyciela?

— Tak, a w piekle jest też pełno tego nasienia! Wykonaj mój rozkaz, ty... ty ciemnego! Twoja matka brała ślub w kojcu! Sługo Lal Bega — (Kim znał boga zamiataczy) — wykonaj w te pędy moje zlecenie albo porozmawiamy znów z sobą.

Zamiatacz poleciał co sił.

— Tam koło koszar pod drzewem czeka jakiś biały chłopak, który nie jest białym chłopcem... — wyjąkał do pierwszego skrybenta, na jakiego się natknął. — On ciebie potrzebuje.

— Czy zapłaci? — ozwał się wymuskany pisarz, składając z wielką starannością pulpit, pióro i wosk do pieczętowania.

— Nie wiem. On nie jest podobny do innych chłopców. Idź i zobacz. Oplaci się.

Kim skakał z niecierpliwości, gdy ukazał się jego oczom młody, smukły Kayeth. Gdy już ów był od niego na odległość, gdzie mógł dojść głos, chłopak jął kląć nań zawzięcie.

— Najpierw odbiorę zapłatę — ozwał się przepisowacz. — Obelgi zmusiły mnie do podwyższenia ceny. Ale kimże ty jesteś, że ubierasz się jedną modą, a wyrażasz zgoła inną?

⁹³targowica — tu: targowisko; targ. [przypis edytorski]

⁹⁴skrybent — pisarz. [przypis edytorski]

— Oho! O tym właśnie będzie w liście, który masz napisać. To niebywała historia. Ale mnie się wcale nie śpieszy; może mi usłużyć i inny grypsak! W Umballi jest ich pełno, tak jak i w Lahorze.

— Cztery *anny* — ozwał się pisarz, siadając i rozwijając swój toból w cieniu opustoszałego skrzydła koszar.

Kim odruchowo przykucnął koło niego — tak jak to umieją kucać tylko krajowcy — pomimo że przeszkadzały mu ohydne, obciste spodnie.

Pisarz przyjrzał mu się z boku.

— Takiej ceny można żądać od sahibów — ozwał się Kim — teraz powiedz mi prawdziwą.

— Póltorej *anny*. Skąd mogę wiedzieć, że po napisaniu tego listu nie dasz drapaka?

— Nie wolno mi wychodzić poza to drzewo, a zresztą trzeba również pomyśleć o znaczku pocztowym.

— Nie robię interesu na cenie znaczka. Ale pytam cię jeszcze raz, jakież to z ciebie biały człowiek?

— O tym będzie mowa w liście do Mahbuba Alego, handlarza koni w Seraju Kaszmirskim, w Lahorze. Jest to mój przyjaciel.

— Dziw za dziwem! — mrucał przepisywacz, zanurzając pióro trzciniowe w kałamarzu. — Czy pisać po hindusku?

— A ino! Więc do Mahbuba Ali. Zaczynaj! *Aż do Umballi jechałem ze starym kolegą. W Umballi zaniósłem wiadomość o rodowodzie gniadej kobyły.*

Po tym, co widział w ogrodzie, nie miał zamiaru pisać o białych ogierach.

— Trochę wolniej... Co ta gniada klacz ma wspólnego... Zatem to Mahbub Ali, ów wielki handlarz?

— Któż, jak nie on? Byłem u niego w służbie. Nabierz więcej atramentu. Dalej. *Zrobiłem tak, jak nakazano. Potem pieszo ruszyliśmy w stronę Benares, ale na trzeci dzień spotkaliśmy pewien pułk. Czy już napisane?*

— Tak, *pulton* — mruknął pisarz, cały zamieniony w słuch.

— *Wszedłem do ich obozu i złapano mnie, a dzięki czarom, które, jak wiesz, noszę na szyi, stwierdzono, że jestem synem jakiegoś człowieka z tego pułku, zgodnie z przepowiednią o Czerwonym Byku, która, jak ci wiadomo, była przedmiotem częstych plotek na naszym placu targowym.*

Kim zaczekał przez chwilę, by ten pocisk mógł się pograżyć w sercu przepisywacza, po czym odchrząknął i znów podjął:

— *Pewien kapłan przebrał mnie i dał mi nowe imię. Jeden kapłan natomiast był bardzo głupi. Ubranie jest bardzo ciężkie, lecz jestem sahibem, a w sercu mi też ciężko... Wysyłają mnie do szkoły i biją mnie. Nie podoba mi się tutejsze powietrze i woda. Przybądź więc, Mahbubie Ali, i pomóż mi albo przyslij mi trochę grosza, bo nie stać mnie na to, by zapłacić skrybentowi, który to pisze.*

— „Który to pisze”. Moja to wina, żem się dał wziąć na kawał. Jesteś chytry jak Husain Bux, który podrabiał bilety Izby Skarbowej w Nucklao. Ale cóż to za opowieść! Czy aby tylko jest prawdziwa?

— Na nic się nie zda okłamywać Mahbuba Alego. Lepiej pomóc jego przyjaciółom, pożyczając im znaczek. Gdy pieniądze nadejdą, to ci zapłacę.

Przepisywacz chrząknął z niedowierzaniem, ale wyjął znaczek z pulpitu, zapieczętował list, wręczył go Kimowi i oddalił się. Nazwisko Mahbuba Alego znaczyło niemało w Umballi.

— Oto sposób zdobycia sobie zasługi u bogów — krzyknął Kim za nim.

— Zapłać mi w dwójnasób, skoro przyjdą pieniądze! — odkrzyknął pisarz poza siebie.

— Coście wy sobie tam przyświadczały z tym... Murzynem? — ozwał się dobosz, gdy Kim wrócił na werandę. — Przyglądałem się wam.

— Tak sobie z nim tylko rozmawiałem.

— Czy umiesz mówić po murzyńsku?

— Nie-e! Nie-e! Tylko trochę gadam. Co będziemy teraz robić?

— Za pół minuty zatrąbią na obiad. Mój Bo-o-że! Wolałbym pójść na front z pułkiem. To okropna nuda nic nie robić, tylko wciąż chodzić do budy. Czy i tobie to nie obrzydło?

— O, i jak jeszcze!

— Uciekłbym na cztery wiatry, gdybym wiedział, dokąd się udać, ale jak to ludzie pedają⁹⁵, w tych przeklętych Indiach wszędzie jesteś ino więźniem. Nie możesz drapnąć, żeby cię nie capnęli i nie odstawili z powrotem.

— Czy byłeś w Be... w Anglii?

— Juści! Dopiero w czasie ostatniego werbunku wyjechałem stamtąd z matką! Ma się rozumieć, że byłem w Anglii. Jaki z ciebie głupi łapserdak! Czyś się wychował w zlewie? Co?

— O, tak. Opowiedz mi coś o Anglii. Stamtąd pochodził mój ojciec!

Prawdę mówiąc, Kim (choć tego nie wyjawiał) nie wierzył ani słowu z tego, co dobo-szyk opowiadał o przedmieściach Liverpoolu, które były mu całą Anglią. Na tej rozmowie upłynęło sporo uciążliwego czasu aż do obiadu, a raczej wielce obrzydliwego jadła, które podano chłopcom i kilku inwalidom w rogu jednej z izb koszarowych. Gdyby nie napisanie listu do Mahbuba Ali, Kim czułby się niemal zgnębiony. Był przyzwyczajony do obojętności ze strony krajowców, ale to zupełne osamotnienie pośród białych było dlań udręką. Ucieszył się więc, gdy po południu jakiś sążnisty żołnierz zaprowadził go do ojca Wiktora, który mieszkał w innym gmachu za drugim dziedzińcem koszarowym pełnym kurzu. Ksiądz zajęty był odczytywaniem listu napisanego po angielsku szkarlatnym atramentem. Na wchodzącego Kima spojrzął z jeszcze większym zaciekawieniem niż kiedykolwiek.

— Jakże ci się tu podoba dotychczas, mój synu? Nie nadzwyczajnie, hę? Musi to być trudno... trudno takiemu dzikiemu rumakowi. No, a teraz słuchaj. Otrzymałem przedziwny list od twego przyjaciela.

— Gdzież on jest? Czy dobrze mu się powodzi? Jeżeli on wie, jak pisać do mnie listy, to wszystko w porządku.

— Więc ty go lubisz?

— A pewnie, że go lubię! On mnie lubi.

— Wygląda na to, przynajmniej, jeśli sądzić z pozorów. Czy on umie pisać po angielsku? Hę?

— O, nie! Nic o tym nie wiem... ale chyba on znalazł pisarza, który umie dobrze pisać po angielsku, i tak napisał. Myślę, żeście mnie zrozumieli?

— Wszystko za tym przemawia. Czy wiesz cokolwiek o jego sprawach pieniężnych?

Twarz Kima wskazywała, że nie wiedział.

— Skądże by znowu?

— O to się właśnie pytam. A teraz posłuchaj, czy zdołasz tu powiązać całość. Wstęp opuścimy... List ten pisany z gościńca Jagadhir... *W głębokiej zadumie siedzę przy drodze, ufając, że wasza wielebność zaszczyci swym uznaniem obecne postanowienie, które w imię Boga Wszchemmogącego polecam waszej wielebności wypełnić. Wykształcenie jest tym większym błogosławieństwem, im jest lepsze. Inaczej na nic się nie zda na ziemi.* Doprawdy, staruszek tym razem ugodził w sedno rzeczy! *Jeżeli wasza wielebność raczy dać memu chłopcu najlepsze wykształcenie Ksawerego (przypuszczam, że miało być: u św. Ksawerego in partibus), stosownie do warunków naszej rozmowy w waszym namiocie dnia 15 bm. (tu zupełnie jakby styl urzędowy!), tedy niech Bóg Wszchemmogący błogosławi poczynaniom waszej wielebności aż do trzeciego i czwartego pokolenia i (posłuchaj no teraz!) proszę zaufać pokornemu słudze waszej wielebności, że będzie rok rocznie wysyłał per hoondie⁹⁶ trzysta rupii jako opłatę wystarczającą na kosztowne kształcenie u św. Ksawerego w Lucknow i proszę dać trochę czasu na wyprawienie tego per hoondie w każdą okolicę Indii, jaką wskaże adres waszej wielebności. Ten sługa waszej wielebności obecnie nie ma miejsca, gdzie by mógł skłonić swą głowę, ale odjeżdża pociągiem do Benares z powodu prześladowania ze strony starej niewiasty, co tyle gada, nie chcąc przebywać w Saharunpore i być używanym do żadnych spraw domowych. Cóż u licha wszystko to znaczy?*

— Ja sądzę, że ona od niego żądała, ażeby być *puro*, jej kapłanem, w Saharunpore. On nie chciał tego uczynić ze względu na swą rzekę. Ona *umiała* mleć gębą!

⁹⁵pedają (gw.) — powiadają. [przypis edytorski]

⁹⁶hoondie — bank prywatny. [przypis redakcyjny]

— Więc dla ciebie to jasne, he? Dla mnie to rzecz zgoła niezwykła. *Przeto udaje się do Benares, gdzie znajdzie adres i wyśle rupie dla chłopca, który jest mu oczkiem w głowie; na miłość Boga Wszchemogącego proszę dopełnić tego wykształcenia, a zanoszący prośbę niniejszą będzie zawsze modlił się za was pokornie, jak nakazuje obowiązek wdzięczności. Co powyższe, napisał Sobrao Satai, niedoszły student uniwersytetu Allahabad, imieniem⁹⁷ czcigodnego lamy Teshoo, kapłana z Such-zen i poszukiwacza pewnej rzeki; adresować: Benares, zwierzchność świątyni Tirthankerów, p. g. Dnia... po południu. Proszę zapamiętać, że chłopak jest oczkiem w głowie, a rupie będą wysyłane per hoondie po trzysta na rok. Na miłość Boga Wszchemogącego.* A teraz niech no mi kto powie, czy to majaczenia obłąkanego, czy też propozycja kupiecka? Pytam się ciebie, bo mnie tu już zabrakło konceptu.

— Jeżeli mówi, że będzie mi dawał trzysta rupii rocznie, to będzie je dawał.

— Ach! Więc tak się na to zapatrujesz?

— Naturalnie! Jeżeli on tak mówi!...

Ksiądz zaczął pogwizdywać, a potem zwrócił się do Kima, jak do równego sobie:

— Ja temu nie wierzę... ale zobaczymy. Dzisiaj masz odjechać do sierocińca wojskowego w Sanawar, gdzie pułk będzie cię utrzymywał, póki nie dorośniesz, byś mógł zaciągnąć się do pułku. Będą cię tam wychowywali w duchu kościoła anglikańskiego, to sprawka Bennetta. Z drugiej strony, jeśli byś poszedł do zakładu pod wezwaniem św. Ksawerego, otrzymałbyś lepsze wykształcenie i... i mógłbyś być człowiekiem religijnym. Czy widzisz moje trudne położenie?

Kim nic nie widział, prócz obrazu lamy jadącego na południe i niemającego nikogo, kto by dlań zbierał jałmużnę.

— Tak, jakby to niemal każdy uczynił na moim miejscu, mam zamiar nieco zaczekać. Jeżeli twój przyjaciel przyśle ci pieniądze z Benares... precz, moce ciemności! Skąd taki dziad wytrzymań trzysta rupii?... Pojedziemy do Lucknow i zapłacę za twoje utrzymanie, boć nie mogę tknąć pieniędzy składowych, skoro zamierzam zrobić z ciebie katolika. Jeżeli nie przyśle, to pójdziesz do sierocińca wojskowego na koszt pułku. Dam mu trzy dni czasu, choć wcale w to nie wierzę... Nawet później, gdyby zalegał z opłatą... ale to już nie do mnie należy. Możemy, dzięki Bogu, tylko jeden krok stawiać naraz. A tu oni wysłali Bennetta na front, a mnie zostawili na tyłach. Niech się wiele nie spodziewa!

— O, tak! — rzekł Kim w roztargnieniu. Ksiądz pochylił się.

— Oddałbym miesięczną gażę, byle zbadać, co się tam dzieje w twojej okrągłej łepotyńce.

— Nic tam nie ma! — odparł Kim i poskrobał się w nią. Głowił się nad tym, czy Mahbub Ali przyśle mu choćby całą rupię. Wtedy mógłby zapłacić przepisywaczowi i kropnąć listy do lamy w Benares. Może Mahbub Ali odwiedzi go za najbliższą bytnością, w przejeździe z końmi na południe. Musiał on wiedzieć niechybnie, że list, doręczony przez Kima oficerowi w Umballi, wywołał wielką wojnę, o której tak głośno rozprawiali ludzie dorośli i chłopcy za stołem w koszarach. Lecz jeżeli Mahbub Ali nic nie wiedział, byłoby bardzo niebezpiecznie mówić mu o tym. Mahbub Ali był srogi dla chłopców, którzy wiedzieli za wiele lub mniemali, że wiele wiedzą.

— No dobrze, zanim otrzymam dalsze nowiny — wyrwał go z marzeń głos ojca Wiktora — możesz sobie biegać i bawić się z innymi chłopcami. Coś niecoś tu cię nauczą... ale zdaje mi się, że ci się to nie będzie podobało.

Dzień dowlókl się z wolna do końca. Gdy Kim zabierał się do spania, dawano mu wskazówki, jak ma składać ubranie i ustawiać buty; inni chłopcy natrzęsali się z niego. O świcie obudziły go sygnały trąb; po śniadaniu złapał go nauczyciel, wetknął mu pod nos stronicę z bezsensownymi gryzmołami, nadawał im zgoła niedorzeczne nazwy i tłukł go bez powodu. Kim myślał zatruć go za pomocą opium pożyczonego od zmiataacza koszarowego, ale przyszło mu na myśl, że ponieważ wszyscy jadali przy jednym stole na widoku publicznym (to szczególnie oburzało Kima, który wolał podczas jedzenia odwracać się do całego świata plecami), więc przedsięwzięcie było niebezpieczne. Potem czynił zabiegi, by uciec do wsi, gdzie kapłan usiłował usnąć lamę, wsi, gdzie żył stary wojak. Lecz dalekowiedzące straże za każdym wyjściem zawracały z drogi małą szkarłatną figurkę. Spodnie i kurtka krępowały mu zarówno ciało, jak duszę, więc porzucił ten projekt i wschodnim

⁹⁷imieniem — dziś: w imieniu. [przypis edytorski]

obyczajem jął oczekiwać czasu i sposobności. Trzy dni katuszy zbiegły mu w rozległych, pustych izbach, odbrzmiewających pogłosem. Po południu przechadzał się pod nadzorem doboszyka, a z ust swego towarzysza słyszał zawsze tylko parę blahych słów, które, zdaje się, stanowiły dwie trzecie przekleństw białego człowieka. Kim znalazł je wszystkie i dawno miał je w pogardzie. Ów chłopak (rzecz całkiem zrozumiała) odwzajemniał się biciem za to milczeniem i brak zainteresowania; nie interesował się żadnym ze sklepów w rejonie, a wszystkich krajowców nazywał „Murzynami”. Za to służący i zamiatacze rzucali mu w oczy ohydne przezwiska, a on, zmylony ich pełną szacunku postawą, nie domyślał się niczego; to przynajmniej nieco wynagradzało Kimowi otrzymane razy.

Na czwarty dzień rano owego dobosza dosięgła kara. Poszli razem w stronę umbalskiego toru wyścigowego. Dobosz wrócił sam, zapłakany, przynosząc wieść, że młody O’Hara, któremu on nie wyrządził nigdy nic złego, przywołał jakiegoś czerwonoobrodego „Murzyna” jadącego wierzchem; ów Murzyn wrzepił mu kilka wnyków jakimś dziwnie lgnącym do ciała harapem, porwał młodego O’Harę i uniósł go w pełnym galopie. Wieści te doszły wnet do ojca Wiktora, któremu jeszcze bardziej się wyciągnęła i tak już długa warga dolna. Był i bez tego dostatecznie zaskoczony listem ze świątyni Tirthankerów w Benares, zawierającym własnoręczny czek bankiera-krajowca na 300 rupii z przedziwną modlitwą do „Boga Wszchemogącego”. Lama byłby jeszcze bardziej zafrasowany niż ksiądz, gdyby wiedział, jak pismak uliczny przetłumaczył jego zwrot: „zdobywanie zasług”.

— Precz, moce ciemności! — burknął ojciec Wiktor mnąc kwit. — A on w sam raz czmychnął z jednym z dawnych swych przyjaciół! Nie wiem, czy większą będzie mi ulgą, gdy go odzyskam, czy też, gdy go utracę. Nie mogę go zrozumieć. Czart nadał... tak, to jego mam na myśli... skądże żebrak uliczny mógł wytrzasnąć pieniądze na kształcenie białych chłopców?...

O trzy mile stąd, na umbalskim torze wyścigowym, Mahbub Ali, trzymając za wodze szpaka-ogiera kabulskiego, a Kima mając przed sobą, przemawiał:

— Ale, mały Przyjacielu całego świata, trzeba mieć na uwadze *mój* honor i dobrą opinię. Wszyscy sahibowie oficerowie we wszystkich pułkach, także i cała Umballa, znają Mahbuba Alego. Widziano, że cię porwał i złożył skórę temu chłopakowi. A teraz widać nas z daleka na tej równinie. Jakże mogę cię zabrać hen z sobą lub usprawiedliwić się z twego zniknięcia, jeżeli puszcę cię na ziemię i pozwolę ci uciec kędyś w pole? Wtrącono by mnie do więzienia. Bądź cierpliwy! Zawsze, co sahib, to sahib. Jak dorośniesz... kto wie... może będziesz wdzięczny Mahbubowi Ali.

— Umieść mnie poza ich strażami, gdzie mógłbym zrzucić z siebie te czerwone chadry. Daj mi pieniędzy, a pójdę do Benares i będę znów chodził z lamą. Nie chcę być sahibem, a pamiętaj, że wykonałem *owo* polecenie.

Ogier rzucił się dzikim skokiem. Mahbub Ali przez nieostrożność drasnął go do żywego ostrokańciastym strzemieniem. (Nie był on z tych nowomodnych i grackich koniarzy, co to noszą angielskie buty i ostrogi). Z tej nieostrożności Kim wysnuł odpowiednie wnioski.

— O, to była drobnostka! Przecież było ci to po drodze do Benares. I ja, i sahib mieliśmy już czas o tym zapomnieć. Posyłam tyle listów i zleceń do ludzi, którzy dopytują się o konie, że nie mogę dobrze spamiętać, co było pomiędzy jednym a drugim. Czy chodziło tu o gniadą klacz, której rodowodu życzył sobie sahib Peters?

Kim od razu poznał zastawioną na siebie pułapkę. Gdyby powiedział „gniada klacz”, Mahbub z samej jego skwapliwości w powtórzeniu tego uzupełnienia domyśliłby się, że chłopak coś podejrzewa. Odpowiedział więc:

— Gniada klacz? Nie! *Ja* nie zapominam tak łatwo danych mi zleceń. Chodziło o białego ogiera.

— Tak, tak! Biały ogier arabski. Ale ty pisałeś do mnie o gniadej kobyle.

— Komuż na tym zależy, by wyznawać prawdę przepisywaczowi? — odrzekł Kim, czując na sercu dłoń Mahbuba.

— Hej Mahbubie, stary draniu! Zatrzymaj się! — ozwał się głos donośny i z boku przycwałował jakiś Anglik na małym kucyku, jakich używają do gry w *polo*.

— Pędzę za tobą przez połowę równiny. Ten kabulczyk ma dobry chód. Na sprzedaż, jak sądzę?

— Wpadł mi w rękę młody przychówek, jakby stworzony do delikatnej i trudnej gry w *polo*. Nie ma sobie równego... On...

— Gra w *polo* i usługuje do stołu. Tak. Znamy się na tym. Cóżes to za diaska wytrzasnął?

— Chłopca — rzekł Mahbub z powagą. — Bił go drugi chłopiec. Ojciec jego był niegdyś białym żołnierzem w czasie wielkiej wojny. Chłopiec spędził dzieciństwo w mieście Lahorze. Gdy jeszcze był pędrakiem, bawił się z moimi końmi. Teraz, zdaje mi się, chcą z niego zrobić żołnierza. Niedawno został schwytany przez pułk swego ojca... ten pułk, co to w zeszłym tygodniu poszedł na wojnę. Lecz tak mi się widzi, że on nie chce być żołnierzem. Wziąłem go na przejażdżkę. Powiedz mi, gdzie są twoje koszary, a ja cię tam odwiozę.

— Puść mnie. Sam trafię do koszar.

— A jeżeli wyrwiesz, ktoś powie, że to nie z mojej winy?

— On wyrwie tam, gdzie mu dają obiad. Dokądże miałby uciekać? — zapytał Anglik.

— On się urodził w tym kraju. Ma przyjaciół. Pójdzie, gdzie mu się spodoba. To *chabuk sawai* (chłopak rozzgnięty). Wystarczy mu tylko zmienić odzież, a w mig przeobrazi się w chłopaka-Hindusa z niskiej kasty.

— Diabłać on tam potrafi! — Anglik przyjrzał się chłopcu wzrokiem krytycznym, Mahbub zaś skierował się w stronę koszar. Kim zacisnął zęby, a Mahbub urągał mu, jak to umieją niewierni Afgańczycy:

— Poślą go do szkoły, dadzą ciężkie buty i obleką go w mundur. Wtedy zapomni wszystkiego, co umie. No, a teraz powiedz, który z baraków jest twój?

Kim, nie mogąc już głosu wydobyć, wskazał ręką na pobliski pawilon ojca Wiktora, aż rażący oczy blaskiem swej białości.

— Może on wyjdzie na dobrego żołnierza — rzekł Mahbub po namyśle — a przynajmniej będzie z niego dobry ordynans. Posłałem go kiedyś z Lahory z pewnym zleceniem. Zlecenie dotyczyło rodowodu białego ogiera.

Było to ciężkie urągawisko obok jeszcze cięższej krzywdy... A sahib, któremu chłopak kiedyś tak przemyślnie doręczył ów list, będący hasłem do wojny, słyszał to wszystko!... Kim już w duchu oglądał Mahbuba Alego smażącego się w ogniu piekielnym za zdradę, ale dla siebie widział tylko jeden długi sznur szarych koszar, szkół i znów koszar. Wpatrywał się błagalnie w starannie wygoloną twarz Anglika, w której ani błysk nie zdradzał, że ów go poznaje; atoli nawet w tej ostateczności nie przyszło mu ani raz przez głowę, by odwołać się do łaskawości białego człowieka lub wydać Afgańczyka. Mahbub z całą rozwagą wlepił oczy w Anglika, ten zaś równie rozważnie przyglądał się drżącemu Kimowi, któremu język zamarł z trwogi.

— Mój koń jest dobrze ujeżdżony — ozwał się koniarz. — Inny na pewno by wierzał.

— Aha! — rzekł wreszcie Anglik, trąc trzonkiem szpicruty wilgotne kłęby swego kucyka. — Kto tego chłopca chce zrobić żołnierzem?

— On mówi, że pułk, który go znalazł, a zwłaszcza *padre-sahib* (kapelan) tego pułku.

— Oto *padre*! — wykrztusił Kim, gdy ojciec Wiktor z obnażoną głową spłynął ku nim z werandy.

— *Apage*, moce ciemności! Toć O'Hara! Iluż to jeszcze najrozmaitszych przyjaciół masz w Azji! — zawołał, gdy Kim zsunął się na ziemię i stanął przed nim bezradny.

— Dzień dobry, ojczulku — ozwał się wesoło pułkownik. — Znam księdza doskonale ze słyszenia. Już przedtem wypadało mi przyjść z wizytą. Jestem Creighton.

— Z Inspektoratu Etnologicznego? — ozwał się ojciec Wiktor, co pułkownik potwierdził skinieniem. — Bardzo więc się cieszę, że się z panem spotkał; ponadto winieniem panu wdzięczność za odprowadzenie chłopca.

— Nie mnie dziękuj, księżo. Zresztą chłopiec nie uciekał. Ksiądz nie zna starego Mahbuba Alego — (koniarz siedział na skwarze słonecznym, jakby znieczulony) — ale go ksiądz pozna, skoro pobędzie miesiąc w garnizonie; od niego to kupujemy wszystkie nasze szkapska. Ale ten chłopak jest nie lada osobliwością. Czy mógłby mi ksiądz coś o nim powiedzieć?

— Czy mógłbym panu opowiedzieć? — obruszył się ojciec Wiktor. — Pan będziesz jedynym człowiekiem, który zdoła rozjaśnić moje wątpliwości. Powiedzieć panu? Moce piekielne, to mnie rozsada chęć, by opowiedzieć o tym komuś, kto zna krajowców!

Koło węgła przechodził jeden z fernali. Pułkownik Creighton podniósł głos, mówiąc narzeczem Urdu:

— Doskonale, Mahbubie Ali, ale na co mi opowiadasz te koszałki-opałki o kucyku! Dam trzysta pięćdziesiąt rupii... ani *paja* więcej!

— Sahib jest trochę zgrzany i gniewny po przejażdżce! — odciął się koniarz, zerkając z ukosa jak uprzywilejowany żartowniś. — Ale później przypatrzy się dokładniej zaletom mego konia. Zaczekam, aż pan skończy rozmowę z *padre*. Zostanę pod tym drzewem.

— A niechże cię!... — zaśmiał się pułkownik. — Oto skutki przyglądania się jednemu z koni Mahbuba. To ci dopiero stara pijawka, księżu! Czekać więc, Mahbubie, jeżeli masz tyle czasu do stracenia. Teraz jestem na twoje usługi, księżu. Gdzie ten chłopak? Aha, poszedł łasić się Mahbubowi. Dziwny to chłopak! Czy mogę prosić, by moją klaczkę zaprowadzono pod dach?

Zapadł w krzesło, z którego można było wyraźnie widzieć Kima i Mahbuba Alego, pogwarzających w cieniu drzewa. Książd poszedł do mieszkania po *szyruty*⁹⁸.

Creighton słyszał, jak Kim mówił z goryczą:

— Wierz braminowi więcej niż żmii, żmii więcej niż wszetecznicy, a wszetecznicy więcej niż Afgańczykowi, Mahbubowi Alemu!

— Wszystko jedno! — poruszyła się uroczyście czerwona broda. — Dzieci nie powinny przyglądać się kobiercowi na warsztacie tkackim, póki deseń nie stanie się wyraźny. Wierz mi, Przyjacielu całego świata, czynię ci wielką przysługę. Oni nie zrobią z ciebie żołnierza.

„Oho, stary przechero! — pomyślał Creighton. — Ale nie bardzo się omylił. Chłopca nie należy psuć, jeżeli on taki, za jakiego go podają”.

— Przepraszam na pół minuty — zawołał *padre* z wnętrza domu — ale muszę wy dostać odnośne dokumenty.

— Jeżeli przeze mnie spłynie na ciebie łaska tego dzielnego i światłego sahiba-pułkownika i będziesz zaszczycony dostojenstwami, to jak odwdzięczysz się Mahbubowi Alemu, gdy dorośniesz?

— Nie, nie! Prosiłem cię, żebyś pozwolił mi puścić się w drogę, gdzie byłbym bezpieczny; ty zaś sprzedałeś mnie znów Anglikom. Ile ci oni zapłacą za moją głowę?

— Rozkoszny diablik! — pułkownik zagryzł cygaro i zwrócił się uprzejmie do ojca Wiktora.

— Cóż to za listy, którymi ten gruby książd tak wymachuje przed pułkownikiem? Stań za ogierem, jak gdybyś przyglądał się uździenicy! — ozwał się Mahbub Ali.

— List od mego lamy, pisany z drogi Jagadhir, w którym oznajmia, że będzie płacił trzysta rupii rocznie za mą naukę.

— Ho, ho! więc to stary Czerwony Kapeluch na to się zdobył? W jakiejże szkole?

— Bóg wie. Zdaje mi się, że Nucklao.

— Tak. Jest tam wielka szkoła dla synów sahibów i pół-sahibów. Widywałem ją, gdy tam sprzedawał konie. Zatem lama też kochał Przyjaciela całego świata?

— A jakże. Ale *on* nie łął i nie oddawał mnie na powrót w niewolę.

— Nie dziwota, że *padre* nie umie rozwikłać tej gmatwaniny. Jak prędko on mówi do sahiba-pułkownika! — (Mahbub Ali zachichotał). — Na Allacha! — (bystre jego oczy przemknęły na chwilę po werandzie) — twój lama przysłał coś, co wygląda na czek. Miewałem ci ja drobne interesy w *hoondie*. Sahib-pułkownik przygląda się temu.

— Cóż mi z tego? — rzekł Kim posępnie. — Ty pójdziesz sobie precz, a oni odesła mnie do tych pustych izb, gdzie nie ma porządnego miejsca do spania i gdzie chłopcy mnie biją.

— Co innego sądzę. Uzbrój się w cierpliwość, moje dziecko. Nie każdy Pathan jest niewierny... chyba, co się tyczy koniny...

Upłynęło tak pięć... dziesięć... piętnaście minut, a ojciec Wiktor wciąż rozprawiał zawzięcie lub zadawał pytania, na które pułkownik odpowiadał.

⁹⁸*szyruty* (tamil. *szurutu*) — rodzaj cygar przyciętych na obu końcach. [przypis tłumacza]

— No, jużem panu opowiedział od deski do deski wszystko, co wiem o chłopcu, i jest mi to ulgą stokrotną. Czy pan słyszał kiedy coś podobnego?

— Koniec końców, stary przysłał forszę. Czeki z podpisem Gobinda Sahaia są ważne stąd aż do samych Chin — rzekł pułkownik. — Im więcej się zna krajowców, tym trudniej powiedzieć, co oni zrobią lub nie zrobią.

— To pociecha... ze strony naczelnika Inspektoratu Etnologicznego. Cały ten galimatias czerwonych byków i rzek zbawienia (biedny poganin, Boże bądź mu miłościw!), czeków i masonskich świadectw... Czy pan przypadkowo nie jest masonem?

— Na Jowisza, jestem nim i teraz dopiero przyszło mi to na myśl. Ale to uboczna racja — rzekł pułkownik w roztargnieniu.

— Cieszę się, że pan widzi w tym rację. Ale, jakem powiedział, ten zamęt wypadków przechodzi moją pomysłowość. A jak to on prorokował naszemu pułkownikowi, siedząc na moim łóżku, w tej koszulinie rozchelstanej, przez którą było widać jego białą skórę!... I jak to proroctwo się sprawdziło! Czy go wyleczą z tych wszystkich zabobonów u św. Ksawerego, hę?

— Pokrop go ksiądz święconą wodą — zaśmiał się pułkownik.

— Słowo daję, niekiedy marzę, że powinienem to uczynić. Ale nie tracę nadziei, że wychowają go na dobrego katolika. Niepokoi mnie jedynie, co się stanie, jeżeli stary żebrak...

— Lama, lama, kochany księżę dobrodzieju; niektórzy z nich są prawdziwymi panami w swym kraju.

— No, więc ten lama w przyszłym roku może będzie zalegał z opłatą? Umie on przepysznie układać sobie plany pod wrażeniem chwili, ale pewnego pięknego dnia musi przecie umrzeć. I brać pieniądze od poganina na wychowanie dziecka w duchu chrześcijańskim...

— Przecież on sam powiedział wyraźnie, czego chce. Widocznie, skoro dowiedział się, że chłopak jest z rasy białej, zaraz uzgodnił z tym swe rozporządzenia. Oddałbym gażę miesięczną, by słyszeć, jak on to wszystko wyjaśnił w świątyni Tirthankerów w Benares. Wiesz co, *padre*, nie chwaleb się wielkim zasobem wiadomości o krajowcach, ale jeżeli *taki* powie, że zapłaci, to zapłaci... za życia czy po śmierci. Chcę przez to powiedzieć, że spadkobiercy wezmą na siebie ten dług. Radzę księdzu wysłać Kima do Lucknow. Jeżeli wasz kapelan anglikański sądzi, żeś go ksiądz ubiegł...

— Bodajże tego Bennetta!... Posłano go na front zamiast mnie. Doughty uznał mnie za fizycznie niezdolnego. Wyklnę Doughty'ego, jeżeli powróci żyw! Pewnie, że Bennett winien przestać na...

— Sławie, zostawiając religię księdzu. Otóż, właśnie tak! Prawdę mówiąc, myślę, że Bennett się tym nie przejmie. Proszę całą winę zwalić na mnie. Ja... hrrm!... gorąco polecam wysłać chłopca do zakładu św. Ksawerego. Może jechać tam za przepustką, jako sierota po żołnierzu, przez co oszczędzi się wydatku na kolej. Możesz mu ksiądz sprawić całe oporządzenie za pieniądze ze składki pułkowej. Łoża uwolni się od ponoszenia kosztów jego wychowania i to wprawi ją tylko w dobry humor. Da się to łatwo uskutecznić. W przyszłym tygodniu mam jechać do Lucknow. Będę czuwał nad chłopcem w drodze... oddam go pod opiekę mej służbie i tak dalej...

— Dobry z pana człowiek.

— Bynajmniej. Niech ksiądz się nie myli co do tego. Lama przysłał nam pieniądze w określonym celu; nie możemy, ot, tak sobie ich odesłać. Powinniśmy zrobić tak, jak on poleca. A zatem sprawa ubita, czy tak? Powiedzmy, w najbliższy wtorek... to znaczy za trzy dni... ksiądz przyprowadzi mi go do nocnego pociągu jadącego na południe... zgoda? Tylko trzy dni. Przez te trzy dni chłopak nie potrafi wiele nabroić.

— Ciężar spadł mi z duszy, ale... ta oto rzecz? — mignął przekazem. — Nie znam Gobinda Sahaia ani też jego banku, który może jest tylko dziurą w murze.

— Widać, że ksiądz nigdy nie był zadłużonym poruczniczną! Pozwoli ksiądz, że zainkasuję to i przyślę kwity w należyтым porządku.

— Ale przy pańskich zajęciach!... To wymaga...

— Naprawdę, nie jest to żadną fatygą! Ot... Widzi ksiądz, mnie, jako etnologa, rzecz ta bardzo zaciekawia. Chciałbym o tym wspomnieć w pewnym memoriale, który właśnie

sporządzam dla rządu. Takie przeobrażenie herbu pułkowego, niby waszego Ryżego Byka, w jakiś rodzaj fetysza, za którym chodzi ten chłopiec, to rzecz niebywale ciekawa.

— Doprawdy, nie potrafię panu należycie się odwdziżyć.

— Jedną rzecz ksiądz potrafi. Wszyscy my, etnologowie, jesteśmy wzajemnie zazdrośni jak kawki co do swych odkryć. Pewnie, że nie obchodzi to nikogo prócz nas samych, ale ksiądz wie, do jakiej manii dochodzą zbieracze. Otóż, niech ksiądz nie wspomina słówkiem ani pośrednio, ani bezpośrednio o azjatyckich przywarach charakteru tego chłopca... o jego przygodach, przepowiedniach i tak dalej. Ja sam później wygrzebię je z tego chłopca i... ksiądz rozumie?

— Rozumiem. Pan chce z tego zrobić cudowną opowieść. Nie pisnę nikomu ni słowa, zanim nie obaczę wszystkiego w druku.

— Dziękuję. Trafia to wprost do serca etnologa. No, ale muszę wracać na śniadanie. Nieba miłosierne! Stary Mahbub jeszcze tutaj? — zawołał, gdy koniarz wyszedł spod cienia drzewa. — No i jakże?

— Co się tyczy tego młodego konia... — zaczął Mahbub — powiem panu, że jeżeli źrebak się urodził na kucyka do gry w *polo*... jeżeli bez trenowania idzie za piłką... gdy taki źrebak siłą przecucia rozumie się na grze... tedy powiadam ci, sahibie, jest rzeczą zgoła niewłaściwą marnować takie źrebię w ciężkim zaprzęgu.

— Ja też tak mówię, Mahbubie. Źrebak będzie używany tylko do gry w *polo*. (Te draby o niczym nie myślą, księżę, jak tylko o koniach). Zobaczę się z tobą jutro, Mahbubie, jeśli masz coś odpowiedniego na sprzedaż.

Koniarz odsalutował dłonią odsuniętą na zewnątrz, obyczajem ludzi swego zawodu.

— Bądź trochę cierpliwy, Przyjacielu całego świata — szepnął do struchlałego Kima. — Los twój się już rozstrzygnął pomyślnie. Wkrótce pojedziesz do Nucklao, a... naści tu trochę pieniędzy na opłacenie skrybenta. Sądzę, że się jeszcze zobaczymy wiele razy... — i odjechał kłusa gościńcem.

— Posłuchaj no — ozwał się z werandy gwarą krajową pułkownik. — Za trzy dni pojedziesz ze mną do Lucknow, a co chwilę będziesz widział i słyszał coraz to nowe rzeczy. Przeto siedź spokojnie przez te trzy dni i nie uciekaj. Pójdiesz do szkoły w Lucknow.

— Czy spotkam tam mojego świątka? — chlipnął Kim.

— Lucknow znajduje się, bądź co bądź, bliżej Benaresu niż Umballa. Być może, że pojedziesz tam pod moją opieką. Mahbub Ali wie o tym i bardzo by się gniewał, gdybyś teraz znów poszedł na wagary. Pamiętaj: opowiadano mi wiele rzeczy, których nie zapomnę.

— Będę czekał — rzekł Kim — ale chłopcy będą mnie bili...

Wtem zatrąbiono na obiad.

ROZDZIAŁ VII

Dla kogóż się na niebie wielkie słońca ważą,
A wraz blade księżycy i gwiazd sprzężne roje?
Wejdz w ich tłum — twego przyjscia tu nie zauważą...
Niebo — w górze, na dole ziemia toczy boje,
Dziedzicząc one swary, te trwogi, ów zamęt,
(Przez ciężki grzech Adama dolę cierpiąc wrażeń⁹⁹);
Patrz w górę i niebieski odczytuj firmament,
Jaka gwiazda naprawia, łamie losy twoje...

Sir John Christie.

Po południu czerwonołicy belfer oznajmił Kimowi, że „zwolniono go z rygoru”; nic mu to nie wytłumaczyło, póki nie otrzymał polecenia, by wyszedł się pobawić. Wtedy chłopak pobiegł na targowicę¹⁰⁰ i odnalazł młodego pisarza, któremu był winien za list.

⁹⁹wraży (daw.) — obcy, wrogi, zły. [przypis edytorski]

¹⁰⁰targowica — tu: targowisko, targ. [przypis edytorski]

— Teraz płacę — rzekł Kim z królewską wyniosłością — ale musisz mi zaraz napisać nowy list.

— Mahbub Ali jest w Umballi — ozwał się pisarz uprzedzająco grzecznym tonem. Był on, ze względu na swój zawód, istnym biurem wszelkich fałszywych wiadomości.

— To nie do Mahbuba, lecz do pewnego kapłana. Bierz pióro i pisz w te pędy: *Do lamy Teshoo, męża świętego z Bhotiyal, poszukującego rzeki, który obecnie przebywa w świątyni Tirthankerów w Benares. Weź no więcej atramentu! Za trzy dni mam pojechać do Nucklao, do szkoły w Nucklao. Nazwa tej szkoły brzmi Ksawer. Nie wiem, gdzie znajduje się ta szkoła, ale jest ona w Nucklao.*

— Ależ ja znam Nucklao! — przerwał pisarz. — Widziałem tę szkołę.

— Opowiedz mu, gdzie ona, a dam ci pół *anny*.

Trzciniowe pióro skrzypiało zawzięcie.

— No, już się nie pomyli! — rzeki pisarz, podnosząc głowę. — Któż to się nam przygląda z tamtej strony ulicy?

Kim spojrział czym prędzej w górę i zobaczył pułkownika Creightona we flanelowym stroju tenisowym.

— Ach, to pewien sahib, co zna grubego księdza w koszarach. Właśnie kiwa na mnie ręką.

— Cóż tu robisz? — zapytał pułkownik, gdy Kim przydreptał ku niemu.

— Ja... ja nie uciekam. Posyłam list do mojego świątka w Benares.

— Nie przyszło mi to na myśl. Czy doniosłeś mu, że zabieram cię do Lucknow?

— Nie, nie napisałem mu. Proszę przeczytać list, jeżeli pan wątpi.

— Więc czemu opuściłeś moje nazwisko, pisząc do tego męża świętego? — uśmiechnął się jakoś dziwnie pułkownik. Kim zebrał całą odwagę.

— Powiedziano mi raz, że nie należy wypisywać nazwisk ludzi obcych, biorących udział w danej sprawie, gdyż wymienianie nazwisk pokrzyżowało już wiele dobrych zamierzeń.

— Dobrze cię pouczono — odparł pułkownik, a Kim zarumienił się. — Zostawiłem u księdza na werandzie pudełko z cygarami. Przynies je dziś wieczorem do mego domu.

— Gdzie ten dom? — ozwał się Kim. Silnie rozwinięta domyślność mówiła mu, że chciano go zażyć z mańki w ten lub inny sposób, przeto miał się na ostrożności.

— Zapytaj kogokolwiek na wielkim placu targowym.

Pułkownik oddalił się.

— On zapomniał pudełko z *szyrutami* — mówił Kim, powracając — a ja mam mu przynieść je dziś wieczorem. To wszystko, co miałem powiedzieć w liście, jeszcze tylko trzeba dodać trzykrotnie: *Przyjedź do mnie! Przyjedź do mnie! Przyjedź do mnie!* A teraz zapłacę za list i wrzucę go do skrzynki.

Powstał, by odejść, i jakby od niechcenia zapytał:

— Któż to jest ten sahib o srogiej twarzy, co zgubił pudełko z cygarami?

— O, to tylko chyba sahib Creighton... bardzo głupi sahib, który jest pułkownikiem, a nie ma pułku.

— Czym on się zajmuje?

— Bóg raczy wiedzieć. Wciąż kupuje konie, na których nie umie jeździć, i wypytuje się o różne dzieła boże... takie jak rośliny, kamienie i zwyczaje ludzkie. Handlarze nazywają go ojcem głupców, bo tak łatwo ocyganić go na koniach. Mahbub Ali mówi, że jest to największy bzik ze wszystkich sahibów.

— Aha! — rzekł Kim i oddalił się. Dotychczasowe przejścia wyrobiły w nim już pewne pojęcie o charakterze ludzkim i miał przekonanie, że głupcom nie dawano by informacji, które powołują do broni osiem tysięcy ludzi, nie licząc armat. Naczelnym wódz całych Indii nie rozmawia z głupcami w ten sposób, jak to słyszał Kim na własne uszy. Gdyby pułkownik był głupcem, to i głos Mahbuba Alego nie zmieniałby się za każdym razem, gdy wzmiankował jego nazwisko. Stąd wniosek (i to pobudzało Kima do żywej radości), że kryła się tu jakaś tajemnica, zaś Mahbub Ali zapewne szpiegował na rzecz pułkownika, jak Kim na rzecz Mahbuba. A jak koniarz, tak i pułkownik widocznie szanował ludzi, którzy nie wydawali się sami sobie zbyt mądrzy.

Cieszył się, że się nie zdradził, iż zna dom pułkownika; a gdy, powróciwszy do koszar, przekonał się, że nie pozostawiono tu żadnego pudełka z cygarami, rozpromieniał

z zachwytu. To ci był człowiek w jego guście: wykrętna i skryta osobistość prowadząca jakąś grę tajemniczą. Jeżeli taki człowiek mógł być głupcem, to równie dobrze mógł być nim i Kim.

Nie dał nic poznać po sobie, gdy ojciec Wiktor przez trzy dłużące się poranki wykladał mu o zgoła nowym zastępie bogów i bożków — zwłaszcza o Bogini, zwanej Marią, która, jak się Kim domyślał, była jednoznaczna z Bibi Miriam w teologicznych pojęciach Mahbuba Alego. Nie okazywał najmniejszego wzruszenia, gdy po nauce ojciec Wiktor ciągnął go od sklepu do sklepu, kupując różne szczegóły wyprawy, ani też nie skarżył się, gdy zazdrośni dobosze kopali go za to, że wybierał się do wyższej szkoły — lecz z ciekawością w duszy oczekiwał gry zdarzeń. Pocziwy ojciec Wiktor odprowadził go na dworzec, wsadził go do pustego przedziału drugiej klasy, tuż obok pierwszej klasy zajmowanej przez pułkownika Creightona, i pożegnał go ze szczerą serdecznością.

— U św. Ksawerego zrobią z ciebie człowieka, O'Haro... człowieka białego i, mam nadzieję, dobrego. Wiedzą tam już wszystko, co potrzeba, o twoim przybyciu, a pułkownik będzie czuwał, ażebyś gdzie nie przepadł ani nie zawieruszył się po drodze. Wyrobiłem w tobie jakieś takie pojęcie o rzeczach religii... tak mi się przynajmniej zdaje... więc gdy cię zapytają o religię, będziesz wiedział, że jesteś katolikiem. Lepiej mów, że rzymskim katolikiem, choć nie lubię tego słowa.

Kim zapalił siarczystego papierosa (był na tyle przezorny, że kupił ich cały zapas na targu) i położył się, by rozmyślać. Ta samotna jazda była zgoła odmienna od owej wesołej podróży z lamą w trzeciej klasie.

„Sahibowie nie mają wielkiego upodobania do włóczęgi — rozmyślał. — Hej-hej! Ja to przelatuję z miejsca na miejsce jak piłka. To mój *kismet*. Nikt nie uchroni się od *kismet*. Ale mam teraz modlić się do Bibi Miriam i jestem sahibem — spojrzal z żalostí na swe buty. — Nie; jestem Kimem. Świat ten jest wielki, a ja jestem tylko Kimem. Któż to jest Kim?”

Zaczął się zastanawiać nad własną jaźnią, co mu się dotąd nigdy nie zdarzało, aż wreszcie zamąciło mu się w głowie. Był jedną tylko, niepozorną osóbką w tym wielkim, huczącym odmieńcu Indii i jechał na południe... sam nie wiedział, na jaką dolę...

Potem zawezwał go pułkownik i gawędził z nim czas dłuższy. O ile Kim zdołał wyrozumować, miał być pilny i wstąpić jako geometra do Indyjskiego Instytutu Mierniczego. Jeżeli będzie sprawował się wzorowo i zda wymagane egzaminy, tedy, mając lat siedemnaście, będzie mógł zarabiać trzydzieści rupii miesięcznie, a pułkownik Creighton postara się dla niego o przyzwoite stanowisko.

Kim zrazu udawał, że rozumie zaledwie co trzecie słowo z tej rozmowy. Wówczas pułkownik, widząc omyłkę, jął mówić płynnie i obrazowo narzeczem urdyjskim, co przemówiło do przekonania Kimowi. Nie mógł być durniem człowiek, który tak biegle władał tą mową, człowiek, który poruszał się z taką wytwornością i spokojem, i którego oczy tak się różniły od głupawych, wybałuszonych oczu innych sahibów.

— Tak jest... i musisz się nauczyć, jak rysować drogi, góry i rzeki... nosić te obrazy w oku, póki nie nadejdzie czas odpowiedni, byś mógł nakreślić je na papierze. Może pewnego pięknego dnia, gdy będziesz miernikiem i będziemy wespół pracowali z sobą, powiem ci: „Idź za te góry i zobacz, co leży za nimi”. Wtedy ktoś powie: „W tych górach żyją źli ludzie, którzy zabijają mierniczego, jeżeli będzie wyglądał na sahiba”. Cóż ty na to?

Kim zamyślił się. Czy bezpiecznie było odpowiadać na to, na co naprowadzał go pułkownik?

— Opowiedziałbym, co mówił ten ktoś.

— Lecz jeżelilibym ci odpowiedział: „Dam ci sto rupii za wiadomość o tym, co jest za tymi górami... za rysunek pewnej rzeki i parę wieści o tym, co mówią ludzie po wsiach?”

— Cóż mam odpowiedzieć? Jestem dopiero chłopcem. Niech pan zaczeka, aż będę duży. — A widząc, że pułkownik nachmurzył brwi, podjął za chwilę: — Ale zdaje mi się, że za parę dni zarobilbym sto rupii.

— W jaki sposób?

Kim potrzęsnał czupurnie głową:

— Gdybym powiedział, jak je zdobędę, kto inny mógłby mnie podsłuchać i uprzędzić. Nie należy sprzedawać swych umiejętności za darmo.

— Powiedźże teraz — rzekł pułkownik, podnosząc rupię. Ręka Kima już podniosła się ku niej do połowy drogi i znów opadła.

— Nie, sahibie, nie! Wiem, ile płaci się za odpowiedź, ale nie wiem, w jakim celu mnie pytają.

— Weź więc to w podarunku — rzekł Creighton, rzucając mu pieniądź. — Masz nie lada zdolności, nie dajże im zmarnieć u św. Ksawerego. Jest tam wielu chłopców, co gardzą czarnymi.

— Ich matki były przekupkami — rzekł Kim. Wiedział doskonale, że żadna nienawiść nie dorównywa tej, jaką odczuwają mieszańcy rasowi ku swym powinowatym.

— To prawda: ale ty jesteś sahibem i synem sahiba. Przeto nigdy nie daj się nakłonić do pomiatania czarnymi. Znałem chłopców świeżo przyjętych do służby rządowej, którzy udawali, że nie rozumieją mowy lub zwyczajów ludzi czarnych. Obcięto im płacę za nieuctwo. Nie ma grzechu większego nad nieuctwo. Zapamiętaj to sobie.

W ciągu przewlekłej, dwudziestoczerogodzinnej jazdy na południe pułkownik jeszcze kilkakrotnie przywoływał Kima i zawsze rozwijał dopiero co wspomniany wątek rozmowy.

„Aha, więc jesteśmy wszyscy u jednego dyszla — rzekł sobie Kim na koniec — pułkownik, Mahbub Ali i ja... o ile zostanę „omentrą”. On pono¹⁰¹ będzie się mną wyręczał, jak wyręczał się mną Mahbub Ali. Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli pozwoli mi powrócić znów do życia włóczęgowskiego. Ta moja obecna odzież nie staje się wcale lżejszą, gdy ją dłużej nosić”.

Gdy wyszli na ludny dworzec w Lucknow, nie było tam lamy ani śladu. Chłopak przelknął cisnące mu się na usta rozgoryczenie. Tymczasem pułkownik zapakował go wraz ze schludniutkiemi manatkami do *ticcagharii* (dorożki) i wyprawił samopas do zakładu św. Ksawerego.

— Nie żegnam się z tobą, ponieważ zobaczymy się wkrótce — krzyknął. — Zobaczymy się, i to wiele razy, jeżeli jesteś coś wart. Ale jeszcze nie dałeś się wypróbować.

— Nawet w ową noc, gdy przyniósł ci — (Kim odważył się użyć tu poufalego tykania ludzi równych sobie) — rodowód białego ogiera?

— Wiele się zyskuje przez zapomnienie, braciszku! — ozwał się pułkownik, rzucając spojrzanie, które przeszło Kima aż pod łopatkę, gdy schronił się do powozu.

Upłynęło z jakie pięć minut, nim ochłonął; następnie wprawnym wędchem jął rozpoznawać nowe powietrze.

— Bogate miasto — rzekł. — Bogatsze od Lahory. Jakie muszą tu ładne być place targowe. Dorożkarzu, powoź mnie trochę po tutejszych bazarach!

— Kazali mi zawieźć ciebie do szkoły.

Dorożkarz odezwał się do niego *per ty*, co jest grubiaństwem, jeżeli się zwracać do ludzi białych. Kim w najczystszej i najpotoczniejszej gwarze wytknął mu omyłkę, wdrapał się na kozioł i usadowiłszy się tak, że mógł wszystko doskonale pojąć, jeździł przez parę godzin to tu, to tam, oceniając okiem wszystko, co widział, porównywając i radując się wszystkim. Z wyjątkiem Bombaju, królowej wszech stolic, nie ma miasta piękniejszego w swej wytworności jak Lucknow, czy to przyjrzeć mu się z mostu na rzece, czy ze szczytu Imambari, skąd widać złocone kopuły Chutter Munzillu i drzewa, w których chowa się całe miasto. Królowie przyozdabiali to miasto fantastycznymi budowlami, wyposażali je łaskami, napełniali gwardią przyboczną i pławili we krwi. Jest ono środowiskiem wszelkich zbytków, lenistwa i knowań i na równi z Delhi rości sobie jedyne prawo do czystej wymowy języka Urdu.

— Uroczne miasto... cudne miasto!

Dorożkarz, jako rodowity mieszkaniec Lucknow, bardzo był ujęty tą chwałbą i opowiadał Kimowi wiele zdumiewających rzeczy o tym, co przewodnik angielski nazwałby buntem sipajów.

— A teraz pojedziemy do szkoły! — rzekł na koniec Kira.

Wielka stara szkoła św. Ksawerego *in partibus infidelium*, tworząca zwartą masę niskich białych budynków, wznosi się na rozległej równinie nad rzeką Gumti, w pewnej odległości od miasta.

— Jacy to ludzie są w tej szkole? — ozwał się Kim.

¹⁰¹pono (gw., daw.) — prawdopodobnie, zapewne. [przypis edytorski]

— Młodzi sahibowie... same diabły; lecz prawdę powiedziawszy, to choć ich wielu wozilem tam i sam z dworca, nigdy nie widziałem, żeby który miał w sobie tyle wcielonego diabła, co ty... co ten młody sahib, którego teraz wiozę.

Ma się rozumieć, że ponieważ nigdy go nie uczono, by takie towarzystwo miało być w jakimkolwiek względzie nieodpowiednie dla niego, Kim zmitrężył sporo czasu na pewnej ulicy za sprawą kilku swawolnych dam w oknach pierwszego piętra, i rzecz równie zrozumiała, że wywiązał się doskonale z wymiany obopólnych komplementów. Miał właśnie odwdziżyć się woźnicy za świeżą obelgę, gdy naraz w zapadającym zmroku wzrok jego padł na jakowąś postać siedzącą pod jednym z pobielanych filarów bramy na długim zwale rumowiska muru.

— Stój! — krzyknął. — Zatrzymaj się tutaj. Nie pojedę jeszcze do szkoły.

— Ale co trzeba mi zapłacić za to dryndanie się tam i nazad? — ozwał się zuchwale woźnica. — Czy ten chłopak zwariował? Przedtem tancerka, teraz znowu kapłan!

Kim w lot był już na drodze i klepał starca po zakurzonych stopach, wystających spod zbrukananej, żółtej sukni¹⁰².

— Czekałem tu już półtora dnia — zaczął lama spokojnym głosem. — Nic straszego! Miałem przy sobie ucznia. Dał mi go mój przyjaciel w świątyni Tirthankerów za przewodnika w tej podróży. Wyjechałem koleją z Benares zaraz po doręczeniu mi twego listu... Tak, jestem najedzony. Nie potrzeba mi niczego.

— Ale czemu nie pozostałeś u tej Kuluinki, o święty? Jakimże sposobem dostałeś się do Benares? Ciężko mi było na sercu, odkądśmy się rozstali.

— Kobieta nużyła mnie ciągłym zalewem gadulstwa i żądaniem czarów na rodzenie dzieci. Oddaliłem się od tego towarzystwa, pozwalając jej, by zdobywała sobie zasługi hojnością. Bądź co bądź, jest to kobieta szczerobliwa, więc obiecałem, że powrócę do jej domu, gdy zmusi mnie potrzeba. Potem, że jestem samotny jak palec w tym wielkim i strasznym świecie, przypomniałem sobie o *te-rain* jadącym do Benares, gdzie mam znajomego, co podobnie jak ja zajmuje się poszukiwaniem.

— Ach, twoja rzeka! — wtrącił Kim. — Zapomniałem o rzece.

— Tak prędko, mój *chelo*? Ja nigdy o niej nie zapominałem; lecz skorom ciebie opuścił, wydało mi się, że lepiej będzie, gdy pójde do świątyni i zasięgnę rady, bo widzisz, Indie są bardzo rozległe, a kto wie, czy kilku z tych mędrców, co byli przed nami, nie pozostawiło jakiej wzmianki o miejscu, gdzie płynie nasza rzeka. Nad tą sprawą toczy się właśnie narada w świątyni Tirthankerów: jedni twierdzą tak, drudzy inaczej. To ludzie bardzo uprzejmi.

— Niechże sobie będą; ale co ty teraz porabiasz?

— Zdobywam sobie zasługę przez to, że tobie, mój *chelo*, pomagam w nabywaniu wiedzy. Kapłan tego zgromadzenia, które służy Czerwonemu Bykowi, pisał mi, że stanie się wszystko, czego sobie życzyłem dla ciebie. Posłałem kwotę pieniężną, wystarczającą na rok, a potem, jak widzisz, przybyłem, by czuwać nad twym wstąpieniem w podwoje wiedzy. Czekałem półtora dnia... nie jakoby mnie wiodło jakieś uczucie względem ciebie... to nie ma związku z mą Droga... lecz ponieważ stosownie do tego, co mówiono mi w świątyni Tirthankerów, wypadało mi po zapłaceniu pieniędzy za naukę dopilnować końca sprawy. Moje wątpliwości rozwiano najoczywistszymi dowodami. Obawiałem się, że może tu jadę wiedziony chęcią zobaczenia ciebie... omamiony czerwoną mgłą uczucia. Ale tak nie jest... Zresztą zaniepokoił mnie pewien sen...

— Ale, o święty, chyba nie zapomniałeś o naszej włóczędze i o wszystkim, co się nam zdarzyło po drodze? Chyba przybyłeś po trosze i dlatego, by zobaczyć się ze mną?

— Konie mi zmarły i już czas by dać im obroku! — skamlał dorożkarz.

— Wynoś się do piekła i zamieszkaj tam ze swą bezwstydną ciotką! — warknął Kim poza siebie. — Jestem sam jak palec w tym kraju; nie wiem, gdzie idę, ani co się ze mną stanie. Serce moje było w tym liście, który wysłałem do ciebie. Z wyjątkiem Mahbuba Alego (a ten jest Pathan) nie mam przyjaciela, jak tylko ciebie. Nie odchodź już na zawsze ode mnie.

— I o tym pomyślałem — rzekł lama drżącym głosem. — Jest rzeczą zrozumiałą, że od czasu do czasu winienem zdobywać sobie zasługę (o ile przedtem nie znajdę mej

¹⁰²klepał starca po (...) stopach — tak oddaje się w Indiach cześć rodzicom, starszym braciom, przełożonym i w ogóle ludziom starszym. [przypis tłumacza]

rzeki), upewniając się, czy stopy twoje ugruntowane są na fundamencie mądrości. Nie wiem, czego cię tu będą uczyć, ale książdź pisał mi, że żaden syn sahiba w całych Indiach nie otrzyma lepszego wykształcenia jak ty. Przeto od czasu do czasu będę tu wracał. Może będziesz takim sahibem, jak ten, co dał mi te okulary — (lama przetarł je starannie) — w Domu Cudów w Lahorze. W tym cała moja nadzieja, bo on był źródłem mądrości... mądrzejszy był od wielu znanych mi przeorów... Ale też być może, że zapomnisz o mnie i o naszych spotkaniach...

— Jeśli jem twój chleb — krzyknął Kim w uniesieniu — jakże mogę kiedy zapomnieć o tobie?

— Nie... nie... — tu lama odsunął chłopca od siebie. — Muszę powracać do Benares. Teraz, skoro już wiem o istniejącym w tej krainie zwyczaju wyręczania się skrybentami, będę ci co pewien czas przysyłał listy, a czasami przyjadę, by cię odwiedzić.

— Lecz dokądże mam posyłać listy? — kwilił Kim, chwytając się jego szaty i zapominając, że jest sahibem.

— Do świątyni Tirthankerów w Benares. To miejsce sobie obrałem, póki nie znajdę swej rzeki. Nie płacz; zważ, że wszelkie pragnienie jest jeno złudą i nowym przykuciem do Koła. Wnijdź w Podwoje Wiedzy. Niech zobaczę, że wchodzisz... Czy mnie kochasz? Więc idź, bo mi się serce kraje... Przyjdę jeszcze. Na pewno powrócę.

Lama powiódł oczyma za *ticcagharri* wjeżdżającą z turkotem na dziedziniec i odszedł z wolna, za każdym posuwistym krokiem zażywając tabaki.

„Podwoje Wiedzy” zatrzasnęły się z loskotem.

Chłopiec, który urodził się i wychował wśród krajowców, ma swoiste maniery i nawyczki, jakim podobnych nie spotyka się w żadnym innym kraju; przy tym nauczyciele starają się go sobie zjednać sposobami, których nie zdołałby pojąć angielski pedagog. Dlatego mało kto zaciekawilby się przygodami Kima jako wychowanka zakładu św. Ksawerego pośród dwustu czy trzystu gołowąsów, z których większość nigdy nie widziała morza. Powszednią była mu kara za samowolne wychodzenie poza obręb szkoły, gdy w mieście szerzyła się cholera; było to, zanim jeszcze nauczył się pisać biegle po angielsku i wskutek tego był zmuszony uciekać się do pomocy przepisywacza. Skarżono się też na niego, rzecz prosta, za palenie papierosów i używanie tak cuchnących złorzeczeń, jakich jeszcze dotąd nie słyszano w tej szkole. Nauczył się myć z lewicką skrupulatnością, cechującą rodowitego krajowca, który w głębi serca zawsze uważa Anglika za nie dość czystego. Płatał pospolite figle cierpliwym *kulisom* (służącym), poruszającym wielkie wachlarze, zwane *punkah* w sypialniach, gdzie w czasie upalnych nocy chłopcy robili głośny harmider, opowiadając sobie dykteryjki aż do białego rana — i spokojnie mierzyli się z najzarozumialszymi kolegami.

Kolegami jego byli synowie niższych urzędników kolejowych, funkcjonariuszów wydziału telegrafów lub kanalizacji, oficerów policyjnych, często dymisjonowanych lub pełniących obowiązki głównodowodzącego w sojuszniczej armii któregoś z radzów, synowie kapitanów marynarki indyjskiej, faktorów rządowych, plantatorów, kupców Kompanii Angielsko-Indyjskiej i emisariuszy. Niektórzy byli młodszymi latoroślami starych rodów eurazjatyckich, które silnie zakorzeniły się w Dhurumtollah, jak Pereirowie, De Souza i D'Silwowie. Ich rodzice mogliby doskonale wychowywać ich w Anglii, ale cóż robić, kiedy pokochali tę szkołę, gdzie kształcili się sami w młodości, toteż jedno po drugim śniadolice pokolenie szło do św. Ksawerego. Ich gniazda rodzinne były rozsiane na przestrzeni od Howrah, gdzie mieszka ludność jeżdżąca koleją, aż do głuchych zakątków, jak Monghyr i Chunar, po schowane kędyś ogrody herbatnie wzdłuż nurtów Shillong; po wioski w Oudh i Dekanie, gdzie ich ojcowie byli wielkimi obszarnikami; po stacje misyjne odległe o tydzień drogi od najbliższej kolei; po miasta portowe leżące tysiąc mil na południe i wpatrzone w brązowe przewały Oceanu Indyjskiego; i aż po plantacje chinowych drzew na samym Południu. Na samą opowieść o ich przygodach, doznanych w czasie jazdy do szkoły lub z powrotem, zjeżyłyby się włosy na głowie chłopca z Zachodu; oni zaś nie uważali tego nawet za przygody. Przywykli włóczyć się samopas sto mil w głąb dżungli, gdzie zawsze można mieć przemiłą sposobność, że człeka przydybią tygrysy; ale

żaden z nich nie wykapałby się w angielską pogodę sierpniową w kanale La Manche, tak samo jak żaden z ich pobratymców na szerokim świecie nie wyleżałby spokojnie, gdyby mu lampart sapnął koło palankinu. Trafiali się chłopcy piętnastoletni, którzy spędzali niekiedy półtora dnia na wysepce na środku wezbranej rzeki, biorąc, jak się należy, pod swą opiekę kompanię szalonych pątników wracających z miejsca odpustowego. Byli i starsi, którzy pewnego razu w imię św. Franciszka Ksawerego zażądali słonia od przypadkowo napotkanego radży, gdy deszcze zmyły doszczętnie drogi kołowe, wiodące do majątku ich ojca, i doszli cało, postradawszy tylko olbrzymie zwierzę w ruchomych piaskach. Był też chłopak, który, jak mówił (a nikt nie wątpił w słów jego prawdziwość), pomógł ojcu swemu wystrzelać z werandy szajkę Akasów, w owym czasie, gdy opryszkowie rzucali się zuchwale na ustronne plantacje.

A każda z tych gawęd wypowiedana była spokojnym, beznamiętnym głosem, cechującym rodowitych krajowców, i urozmaicona osobliwymi uwagami przejętymi bezwiednie od piastunek z ludu oraz zwrotami, które świadczyły, że tłumaczono je naprędce z języka krajowego. Kim przyglądał się, przysłuchiwał i chwalił sobie to wszystko. Nie była to już niedorzeczna i urywkowa pogwarka doboszów. Wszystko w tych opowieściach dotyczyło życia, jakie znał i częściowo rozumiał. Czuł się dobrze w tej atmosferze i rósł w niej nad podziw. Gdy nastąpiła pora skwarniejsza, dano mu biały kostium ćwiczebny i chłopak radował się ze świeżo poznanych wygod fizycznych, podobnie jak radował się z biegłości swego bystrego umysłu, z jaką rozwiązywał wyznaczone mu zadania. Jego pojętność zachwyciłaby pedagoga angielskiego, ale w zakładzie św. Ksawerego wiedziano, jak to w dwudziestym drugim lub trzecim roku życia marniej umysły rozwijające się zrazu szybko pod wpływem słońca i otoczenia.

Niemniej pamiętał, by zachowywać należytą powściągliwość. Gdy w duszne noce opowiadano sobie różne baję, Kim nie wygrywał zakładów swoimi wspomnieniami; albowiem w zakładzie św. Ksawerego wzgardą otaczają takich chłopców, którzy „zeszli całkiem na krajowców”. Nigdy nie wolno zapominać, że się jest sahibem, i kiedyś, po zdaniu egzaminów, będzie się rządziło krajowcami. Kim zakarbował to sobie w pamięci, gdyż zaczął rozumieć, do czego prowadzą egzaminy.

Tymczasem nadeszły wakacje trwające od sierpnia do października... wielkie wakacje, narzucone przez upały i deszcze. Zawiadomiono Kima, że pojedzie na północ do jakiejś stacji w górach za Umballą, gdzie zajmie się nim ojciec Wiktor.

— Czy do szkoły koszarowej? — ozwał się Kim, zadawszy wiele pytań, a więcej jeszcze przetrawiwszy w myśli.

— Tak mi się zdaje — rzekł nauczyciel. — Nic by nie szkodziło ustrzec cię od złego. Możesz jechać aż do Delhi z młodym De Castro.

Kim rozważył wszechstronnie tę sprawę. Był pilny, tak właśnie, jak mu zalecał pułkownik. Dni wolne były całkowitą własnością uczniaka — tego przynajmniej nauczyły go rozmowy z kolegami — a szkoła koszarowa mogła być tylko udręką po zakładzie św. Ksawerego. Ponadto (a była to sztuka nie bez wartości) umiał już pisać. W ciągu trzech miesięcy dowiedział się, jak ludzie mogą porozumiewać się z sobą bez pośrednictwa osoby trzeciej, kosztem pół *anny* i odrobiny wiedzy. Od lamy nie otrzymał ni słówka wieści, ale zawsze świat był otwarty przed nim szeroko. Kim tęsknił do pieszczoty grząskiego błota, przeciskającego się między palcami nóg, a usta jego łaknęły baraniny duszonej z masłem i kapustą, ryżu natykanego woniejącą silnie rzeżuchą, ryżu barwionego szafranem, czosnku, cebuli i zakazanych tłustych smakołyków ze straganu. W szkole koszarowej żywiono by go stale niedopieczoną wołowiną na półmisku, a palić mógłby tylko ukradkiem. Tak czy owak był przecie sahibem i wychowankiem zakładu św. Ksawerego, a ten wieprz Mahbub Ali... Nie, Kim nie będzie szukał gościnności Mahbuba Alego, a jednak... Myślał o tym w samotni sypialnego pokoju i doszedł do wniosku, że był niesprawiedliwy względem Mahbuba.

Szkoła już była pusta; prawie wszyscy nauczyciele wyjechali. Kim trzymał w ręce bilet wolnej jazdy otrzymany od pułkownika Creightona i pysznił się tym, że pieniędzy Creightona sahiba czy Mahbuba nie roztrwonil na hulaszczę życie. Był jeszcze posiadaczem dwóch rupii siedmiu *ann*. W pustej sypialni leżał jego nowy kuferek z cielęcej skóry, opatrzone literami K. O. H., i tobolek z pościelą. Kim pokiwał nad nimi głową.

— Sahibowie zawsze są związani ze swymi bagażami — ozwał się. — Zaczekajcież wy sobie tutaj.

Uśmiechnął się po lotrowsku i wyszedłszy na ulicę, pomimo że mżył ciepły deszcz, odnalazł pewien dom, którego fasadę już dawniej zapisał sobie w pamięci...

— *Arrè!* Czy nie wiesz, cośmy za kobiety... tu... w tej dzielnicy? O, wstyd!

— Czyż urodziłem się dopiero wczoraj? — Kim przykucnął sposobem krajowców na poduszkach w owym pokoju na górze. — Potrzeba mi trochę farby i trzy łokcie materiału do splatania figła. Czy wiele?

— Kimże jest *ona*? Jak na *sahiba*, jesteś jeszcze zgoła za młody na podobne wybryki.

— Ach *ona*? Ona jest córką pewnego nauczyciela w kwaterującym tutaj pułku. Obił ci on mnie dwa razy, że w tym ubraniu przelażem przez mur jego ogrodu. Teraz chciałbym się wkraść tam w przebraniu ogrodniczka. Starzy bywają bardzo zazdrośni.

— To prawda. Trzymajże teraz gębę spokojnie, a namażę cię sokiem.

— Tylko nie nazbyt czarno, *Naikan*. Nie chciałbym przed nią wyglądać na *hubsbi* (Murzyna).

— O, miłość nie zważa na takie drobnostki! A ile ona ma lat?

— Dwanaście, jak mi się zdaje, — rzekł bezczelnie Kim. — Posmaruj mi także piersi. Może jej ojciec zedrze ze mnie ubranie, a jeżeli okaże się, żem srokaty... — i roześmiał się.

Dziewczyna pracowała gorliwie, maczając gałganek w małym dzbanuszkę brunatnej farby, która trzyma się dłużej niż jakikolwiek sok orzechowy.

— A teraz poślij no kogo, by mi kupił materiału na turban. Niedoloż moja! Łepetę mam nieogoloną, a on z pewnością ściągnie mi zawój z głowy.

— Nie jestem golibrodą, ale zrobię, co potrafię. Urodziłeś się na zdobywcę serc! I cała ta maskarada ma służyć na jeden wieczór? Pamiętaj, że farba się nie zmywa! — Zatrzęsła się od śmiechu, aż zabrzączały bransolety na jej rękach i nogach. — Ale kto mi za to zapłaci? Sama Huneefa nie dałaby ci lepszej farby.

— Ufaj bogom, siostró moja — ozwał się Kim poważnie, krzywiąc twarz, gdy zasychała na niej farba. — Zresztą czyż nigdy przedtem nie pomagałaś *sahibowi* umalować się w ten sposób?

— Nigdy, w rzeczy samej. Ale figiel nie jest jeszcze pieniądzem.

— Dobry żart więcej wart niż pieniądze.

— Dzieciaku, nie ma dwóch zdań, jesteś najbezczelniejszym synem szatana, jakiego w życiu zdarzyło mi się widzieć! Zabierać czas biednej dziewczynie, a potem powiedzieć: „czy nie dość ci hecy?”. Daleko zajdziesz na tym świecie!

Z szyderstwem złożyła mu ukłon — niby baletnica.

— Wszystko jedno! Spiesz się i zgot mi do reszty głowę!

Kim przebrał się od stóp do głów, a oczy mu się skrzyły radością na myśl o czekających go dniach hulanki. Dał dziewczynie cztery *anny* i zbiegł ze schodów; wyglądał teraz w każdym calu na małego Hindusa z niższych warstw społeczeństwa. Pierwszym celem jego odwiedzin była jadalnia, gdzie ucztował w zbytku i tłustej obfitości.

Na dworcu lucknowskim zobaczył, jak młody De Castro, cały zlany rześistym potem, wchodził do przedziału drugiej klasy. Kim zaszczycił swą obecnością trzecią klasę i był jej duszą i życiem. Wyjaśnił towarzyszącej podróży, że jest pomocnikiem kuglarza, który pozostawił go tu chorego na febrę, i że on teraz chciałby zdybać swego mistrza w Umballi. W miarę, jak zmieniali się podróżni w wagonie, Kim urozmaicał swą opowieść lub przyozdabiał ją wykwitami rozwijającej się fantazji, tym bujniejszej, że od tak dawna nie było mu dane wypowiadać się w języku krajowym. Tej nocy nie było w całych Indiach istoty tak wesołej jak Kim. W Umballi wysiadł i skierował się na wschód, chlupiąc po rozkisłych polach, ku wsi, gdzie mieszkał stary wiarus.

Mniej więcej w tym czasie pułkownik Creighton w Simli otrzymał telegraficzną wiadomość, że młody O'Hara gdzieś się zapodział. Mahbub Ali bawił podówczas w mieście, handlując końmi; jemu to pewnego poranku zwierzył się z wiadomością o całym zdarzeniu pułkownik Creighton, cwałując po anandalskim torze wyścigowym.

— O, to fraszki! — rzekł koniarz. — Ludzie są jak konie. Co pewien czas potrzeba im soli, a jeżeli tej soli nie ma w żłobie, to będą zlizywały ją z ziemi. On poszedł na pewien czas w szeroki świat. Znudzila go *madrissah*. Wiedziałem, że tak będzie. Kiedy indziej sam

zabiorę go z sobą w podróż. Nie martw się, sahibie Creightonie. To zupełnie, jak gdyby kucyk, używany do gry w *polo*, urwał się i pobiegł uczyć się sam tej gry.

— Więc on nie umarł? Tak sądzisz?

— Mogłaby go zabić chyba febra; poza tym nie mam żadnych obaw co do chłopca. Małpa nie spadnie na ziemię, gdy hasa po drzewach.

Nazajutrz na tym samym torze ogier Mahbuba mknął znów równoległe z wierzchowcem pułkownika.

— Jest tak, jak sądziłem! — ozwał się koniarz. — W każdym razie przechodził przez Umballę i tam, dowiedziawszy się o moim pobycie, napisał do mnie list.

— Przeczytaj — rzekł pułkownik z westchnieniem ulgi. Było to wprawdzie rzeczą niezbyt stosowną, by człowiek na jego stanowisku miał się zajmować losem małego obywatela rodem z tego kraju; lecz pułkownik pamiętał rozmowę w pociągu i w ciągu kilku ostatnich miesięcy niejednokrotnie łapał się na tym, że myślał o dziwnym, milczącym chłopaku, tak umiejącym panować nad sobą. Jego wyprawa była oczywiście postępkiem nad wyraz bezczelnym, ale dowodziła nie tyle jakiej pomysłowości i zręczności.

Mahbub zamrugał oczyma, kierując konia na środek małej kotliny, gdzie nikt nie mógł podejść ku nim niepostrzeżenie.

— *Przyjaciel gwiazd, który jest Przyjacielem całego świata...*

— Cóż to takiego?

— To przydomek, nadany mu przez nas w Lahorze. *Przyjaciel całego świata wziął urlop, by iść ku swoim stronom. Powróci na dzień oznaczony. Kufer i toból z pościelą każ mi przysłać; a jeżeli cięży na mnie jakaś wina, spraw, by ręka przyjaźni odwróciła bicz kłęski.* Jeszcze jest tu coś niecoś, ale...

— Mniejsza o to, czytaj!

— *Peune rzeczy są nieznanne tym, którzy jadają z pomocą widelców. Czasami lepiej jest jadać oburącz palcami! Przemów łagodnymi słowy do tych, którzy tego nie rozumieją, i niech mój powrót będzie pomyslny.* Otóż sposób wyrażenia jest niewątpliwie dziełem skrybenta, lecz niech pan zważy, jak dowcipnie ten chłopak ujął samą treść, tak iż dociec jej może tylko wtajemniczony.

— Czy ręka przyjaźni ma odwracać bicz kłęski? — zaśmiał się pułkownik.

— Proszę zważyć, jaki to smyk przebiegły! Chciałby powrócić znów do włóczęgi, jakem przepowiedział. Nic znając jeszcze pańskiego zawodu...

— Nie dałbym za to trzech groszy! — burknął pułkownik.

— ...zwraca się do mnie, bym był rozjemcą między wami. Czy to nie łepak? Mówi, że powróci. On tylko doskonalili się w swej umiejętności. Pomyśl, sahibie! Był trzy miesiące w szkole, a on jeszcze za miękki w pysku do tego wędzidła! Ja ze swej strony jestem rad: kucyk uczy się grać w *polo*.

— No, tak! Ale na przyszły raz nie powinien iść sam.

— Czemu? Chodził sobie luzem, zanim dostał się pod opiekę sahiba-pułkownika. Kiedy dorośnie do wielkiej gry, będzie musiał chadzać luzem... luzem... i z niebezpieczeństwem nad głową. A *wtedy*, jeżeli splunie, kichnie lub usiądzie inaczej niż ludzie, których podpatruje, ci mogą go zabić. Po *coż* mu więc teraz czynić wstręty? Pamiętaj, jak mawiają Persowie: szakal, co przemieszkuje w rozłogach Mazanderanu, da się schwytać jeno ogarom z Mazanderanu.

— Prawda. To prawda, Mahbubie Ali. Jeżeli więc temu basalykowi nie zdarzy się nic złego, to nie wiem, czego nadto mam sobie życzyć. Ale z jego strony jest to wielka bezczelność.

— On nawet mi nie mówi, dokąd się wybiera — rzekł Mahbub. — Oho, on nie głupi! Gdy minie czas naznaczony, przyjdzie hultaj sam do mnie! Już czas go oddać w ręce Lekarza Perel... Chłopak za szybko się rozwija... jak utrzymują sahibowie.

Przepowiednia ta spełniła się co do joty w miesiąc później. Mahbub udał się znów do Umballi, przywożąc nowy tabun koni; Kim spotkał go o zmierzchu, jadącego samotnie gościńcem kalkańskim. Poprosił go o jałmużnę i otrzymał jedynie wymyślenie, odciął się po angielsku. Na odległość głosu nie było nikogo, by mógł usłyszeć, jak Mahbub sapnął z podziwu.

— Ho, ho! Kędy żeś to bywał?

— Tu i tam... tam i tutaj...

— Chodź pod drzewo, gdzie nie jest tak mokro, i opowiedz.

— Przez jakiś czas mieszkałem u starego czelaka koło Umballi; potem u znajomej mi rodziny w Umballi. W towarzystwie jednego z tej rodziny pojechałem na południe aż do Delhi. To ci cudowne miasto! Potem byłem za poganiacza bawołu u *teli* (olejarza) jadącego na północ; ale posłyszałem o wielkiej zabawie urządzonej w Puttiali i pojechałem tam w towarzystwie pirotechnika. O, było to wielkie święto! — (Kim pogładził się po brzuchu). — Widziałem radzów i słonie w złotych i srebrnych czaprakach; zapalono naraz wszystkie ognie sztuczne, przy czym zginęło jedenastu ludzi, między nimi mój pirotechnik ja zaś przekopyrtnąłem się przez namiot, ale mi się nic nie stało. Potem powróciłem na *rél*¹⁰³ z pewnym koniuchem sikhijskim, u którego za wikt byłem fonałem... i otom tutaj.

— *Shabash!* — ozwał się Mahbub Ali.

— Ale co na to mówił sahib-pułkownik? Bo nie chciałbym brać wnyków!

— Ręka przyjaźni odwróciła bicz nieszczęścia, lecz na przyszły raz, gdy puścisz się na wertepy, to już w moim towarzystwie. Teraz jeszcze było za wcześnie.

— Dla mnie aż za późno: W *madrissab* nauczyłem się czytać, a po trosze i pisać po angielsku. Wkrótce będę już do reszty sahibem.

— Ciewy¹⁰⁴! — zaśmiał się Mahbub, spoglądając na małe przemoknięte lichy, podskakujące wśród pluchy. — *Salaam*, sahibie! — pokłonił mu się złośliwie. — No, sprzykrzyła ci się włóczęga czy też pojedziesz ze mną do Umballi i będziesz mi znów oporządzał konie?

— Pojadę z tobą, Mahbubie Ali.

ROZDZIAŁ VIII

Chwałę ja ziemię za jej plody plenne,
Chwałę dań życia... lecz jakimiż słowy
Sławić Allacha, że mi dał odmienne
Oblicza z dwóch stron mej głowy?
Wolałbym chodzić bez butów lub giezła,
Stracić przyjaciół, tytoń, chleb razowy,
Niż żeby jakimś przypadkiem mi szczyła
Jedna z dwóch stron mojej głowy...

— A więc w imię Boże, zamień błękit na czerwień! — rzekł Mahbub, przymawiając Kimowi z powodu hinduskiej barwy jego turbanu.

Kim odparował docinek starym przysłowiem:

— Zmienię wiarę i legowisko, ale *ty* za to zapłacisz.

Koniarz tak się śmiać zaczął, że omal nie spadł z konia. W sklepiku na przedmieściu dokonano przemiany i Kim stał się, przynajmniej z powierzchowności, mahometaninem.

Mahbub wynajął pokój naprzeciw dworca i wysłał chłopaka po świeżo upieczone, wyborne ciasta, wysadzone migdałami (zwiemy je *balushai*) oraz po cienko krajany tytoń lucknowski.

— To lepsze niż to osobliwe mięso, jakie jadałem u *sikba!* — rzekł Kim, szczerząc zęby, skoro usiadł — a i w mojej *madrissab* nie dają z pewnością takich przysmaków.

— Pragnąłbym usłyszeć coś o tej waszej *madrissab*. — To mówiąc, Mahbub napychał się wielkimi kęsami pieprznej i korzennej baraniny smażonej w tłuszczu, z kapustą i złotawo-brunatną cebulą. — Ale wpierw opowiedz mi dokładnie i szczerze, jakim sposobem drapnąłeś? Albowiem, o Przyjacielu całego świata — (tu popuścił trzeszczącego pasa) — zdaje mi się, że nieczęsto się zdarza, by sahib i syn sahiba dawał stamtąd drapaka.

— Jakżeby mogli? Przecież nie znają kraju. To drobnostka! — rzekł Kim i zaczął opowieść o swoich przygodach. Gdy doszedł do sceny swego przebrania i pogawędki z dziewczyną uliczną, Mahbuba Alego opuściła zwykła powaga i jął się śmiać do rozpuku, uderzając się dłonią po udzie.

¹⁰³*rél* — przekręcone z ang. *railway*: kolej. [przypis redakcyjny]

¹⁰⁴*ciewy* (gw.) — a to dopiero; też coś. [przypis edytorski]

— *Shabash, shabash!* O, pysznie, mój mały! Cóż na to powie uzdrowiciel turkusów? No, opowiedz mi teraz z kolei, co się działo później... szczegół za szczegółem, niczego nie pomijając.

Więc Kim opowiadał szczegół za szczegółem ze swych przygód, pokaszliwając niekiedy, gdy wonny tytoń podrażnił mu płuca.

— Mówilem — mruczał Mahbub Ali pod nosem — *mówilem*, że jest to kucyk, wyrwywający się do gry w *polo*. Bestyjka już dorosła... trzeba ją tylko wdrożyć do wyścigów i chodu, do różgi i ryzów. Posłuchaj no! Odwróciłem bizun pułkownika od twojej skóry, a jest to niemała przysługa.

— Prawdać to! — dmuchnął Kim pogodnie. — Święta prawda!

— Ale nie myśl sobie, że takie włóczenie się tam i sam wyjdzie ci na dobre.

— To były moje wakacje, Hadzi! Przez wiele tygodni byłem niewolnikiem. Czemuż nie miałem sobie pohasać, gdy szkołę zamknięto? Zważ ponadto, że żyjąc kosztem przyjaciół lub zarabiając na chleb, jak u tego *sikha*, oszczędziłem pułkownikowi wielkich wydatków.

Mahbubowi drgnęły wargi pod pięknie wymuskany bisurmańskim wąsem.

— Cóż to dla sahiba-pułkownika znaczy parę rupii — tu Pathan machnął niedbale ręką. — On je wydaje w wiadomym jemu celu, a nie dla twoich pięknych oczu.

— O tym — wycedził Kim — wiedziałem od dawna.

— Kto ci mówił?

— Sahib-pułkownik we własnej osobie. Nie tymi akurat słowami, niemniej jednak dość zrozumiale dla tego, kto nie jest kompletnym półglówkiem. Ba, nawet powiedział mi to w *te-rain*, gdyśmy jechali do Lucknow.

— Dajmy na to! Wobec tego powiem ci jeszcze więcej, Przyjacielu całego świata, choć tym wyznaniem oddaję swoją głowę w twe ręce.

— Oddałeś mi ją — ozwał się Kim z głębokim upodobaniem — już w Umballi, gdy porwałś mnie na koń z rąk dobosza, który mnie bił.

— Mów nieco jaśniej. Cały świat może opowiadać łgarstwa, prócz ciebie i mnie. Albowiem i twoje życie również zależy od mojej woli, jeśli mi przyjdzie ochota choćby palcem kiwnąć.

— Wiem i to! — rzekł Kim, przykładając do cygara żarzący się węgielek. — Rzecz ta stanowi silny węzeł pomiędzy nami. Oczywiście, twój chwyt jest silniejszy nawet od mojego, bo któż by odczuł stratę chłopca zatłuczonego na śmierć albo może nawet wrzuczonego do przydrożnej studni? Natomiast wielu ludzi i tutaj, i w Simli, i poza przełęczami górskimi pytałoby: „cóż się przydarzyło Mahbubowi Ali?“, gdyby znaleziono go niezwyłego wśród tabunu koni. Zapewne i pułkownik wszcząłby śledztwo Lecz zresztą — (tu twarz Kima zmarszczyła się przebiegle) — nie przeciągałby nazbyt śledztwa, żeby ludzie nie pytali: „cóż to ten sahib-pułkownik zajmuje się tak owym szkapowłókiem?“. Ale ja... gdybym żył...

— Ależ zginąłbyś na pewno...

— Być może; lecz powiadam, *gdybym żył*, to tylko sam... ja jedynie... wiedziałbym, że ktoś tam, może niby pospolity złodziejasek, przyszedł nocą do zagrody Mahbuba Alego w seraju i tam go zabił; przedtem zaś lub potem ów złodziejasek przetrząsnąłby dokładnie jego kulbaki i podeszwy jego pantofli. Czy należałoby tę wiadomość zanieść pułkownikowi, czy też powiedziałby mi (nie zapomniałem, jak posłał mnie po pudełko z cygarami, którego wcale nie zostawił)... powiedziałby mi może: „A cóż mnie obchodzi Mahbub Ali?“.

Kłęb ciężkiego dymu wytrysnął w górę. Nastąpiła długa chwila ciszy, następnie Mahbub Ali przemówił głosem pełnym podziwu:

— Więc mając to wszystko w głowie, chcesz przycupnąć jak trusia i znów ukazać się pomiędzy małymi synami sahibów w *madrissah* i potulnie przyjmować wskazówki swych nauczycieli.

— Taki jest rozkaz — rzekł Kim słodko. — Kimże ja jestem, bym miał krytykować dane mi rozkazy?

— Jesteś najsprawniejszym z synów Eblisa¹⁰⁵ — odrzekł Mahbub Ali. — Ale cóż to oznacza owa bajka o złodzieju i poszukiwaniach?

— To, com widział — rzekł Kim — w ową noc, gdyśmy obaj z lamą nocowali koło twojej izby w Seraju Kaszmirskim. Drzwi pozostawiono niezaryglowane, co, jak mi się zdaje, nie jest twoim obyczajem, Mahbubie. Ten człowiek wszedł do środka, jakby upewniony, że nierychło powrócisz. Przytknąłem oko do dziury w przepierzeniu, pozostałej po wypadłym sęku. Przybysz jakby czegoś szukał... nie derki, nie strzemienia, nie wędzidla, nie garnka mosiężnego... szło mu o jakąś rzecz drobną i starannie ukrytą. Gdyby było inaczej, to czemuż by rozpruwał żelazem podeszwy twych pantofli?

— He! — uśmiechnął się Mahbub Ali. — A jakie wysnułeś przypuszczenia na ten widok, o studnio prawdy?

— Żadnych. Położyłem rękę na amulecie, który noszę zawsze na samym ciele, i przypomniawszy sobie rodowód siwego ogiera, który wygryzłem z kromki chleba muzułmańskiego, odjechałem do Umballi, domyślając się, że widocznie powierzono mi ważne zlecenie. Gdyby mi się spodobało, byłoby już w ową godzinę po tobie! Wystarczyłoby, żebym odezwał się do owego człowieka: „Mam tu jakiś papier tyczący się pewnego konia i nie mogę nic z tego odczytać”. A wtedy?...

Kim spojrział przenikliwie spod brwi na Mahbuba.

— Wtedy byś się napił wody jeszcze dwa razy... a może trzy... Zdaje mi się, że nie więcej jak trzy razy!... — rzekł Mahbub bez ogródek.

— To prawda. Myślałem po trosze i o tym, ale najwięcej myślałem o tym, że Kocham cię, Mahbubie. Dlatego pojechałem, jak wiesz, do Umballi, ale (o czym nie wiesz) potem przyciłem się na trawniku ogrodowym, by zobaczyć, co uczyni pułkownik Creighton, odczytawszy rodowód białego ogiera.

— A co on zrobił? — zapytał Mahbub, gdyż Kim na tym uciął rozmowę.

— Czy ty dostarczasz wiadomości z amatorstwa, czy też sprzedajesz? — zapytał Kim.

— Sprzedaję... i kupuję... — tu Mahbub wydobyl z kalety monetę czteroannową i podniósł ją w górę.

— Osiem! — rzekł Kim, bezwiednie idąc za żyłką targowania się, właściwą ludziom Wschodu.

Mahbub roześmiał się i odłożył pieniądz.

— Zbyt łatwo się targuję na tym rynku, Przyjacielu całego świata. Powiedz mi dla samej przyjaźni. Każdy z nas ma życie drugiego w swoim ręku.

— Doskonale. Widziałem, jak sahib Jang-i-lat (naczelný wódz) przybył na wielką ucztę. Widziałem go w gabinecie sahiba Creightona. Widziałem, że obaj razem odczytywali rodowód białego ogiera. Słyszałem nawet sam rozkaz rozpoczęcia wielkiej wojny.

— Ha! — skinął głową Mahbub, a ogień żarzył mu się w głębi źrenic. — Gra przeprowadzona wspaniale! Ta wojna już stała się czynem, a zło, miejmy nadzieję, uległo zmrożeniu, zanim zdołało rozkwitnąć... Stało się to dzięki mnie... i tobie. Cóżes później czynił?

— Zrobiłem sobie z tej wieści niejako haczyk do poławiania jądla i zaszczytów pośród mieszkańców jednej wsi, gdzie kapłan chciał uspić mego lamę. Ale ja zabrałem staruszkowi sakiewkę i bramin nie znalazł ani szeląga. Toteż ci się pieklił na drugi dzień! Ho-ho! Z owej wieści skorzystałem również, gdy wpadł w ręce białego pułku wraz z ich Bykiem!

— Była to nierozwaga z twojej strony! — nadął się Mahbub. — Wiadomości nie trzeba rozrzucać jak nawóz, ale używać ich oszczędnie jak *bhang*¹⁰⁶.

— I ja jestem tego zdania; zresztą nie wyszło mi to na pożytek. Lecz było to dawno — uczynił taki ruch, jak gdyby chciał wszystko zetrzeć chudą, brązową ręką — a od tego czasu, zwłaszcza w noc spędzane pod *punkah* w *madrissah*, rozważyłem tę sprawę bardzo poważnie.

— Czy wolno zapytać, dokąd to dążyła myśl Niebianina? — wysilił się Mahbub na złośliwość, gładząc szkarłatną brodę.

¹⁰⁵*Eblis* — „Eblis albo Iblis, albo Garazel jest to Lucyfer u mahometanów”. (Objaśnienie Mickiewicza do *Sonetów krymskich*). [przypis redakcyjny]

¹⁰⁶*bhang* — rodzaj konopi rosnących w Indiach, a używanych jako narkotyk, do żucia lub palenia. [przypis tłumacza]

— Wolno, wolno! — rzekł Kim i odciął się tymże tonem — W Nucklao mówią, że żaden sahib nie powinien wobec czarnego przyznawać się do pomyłek.

Mahbub pochwyił go ręką za pierś, gdyż nazwanie Pathana „czarnym człowiekiem” (*kala admi*) jest dlań śmiertelną zniewagą. Naraz opamiętał się i rzekł ze śmiechem:

— Mów, sahibie; twój czarny słucha.

— Ależ — wyjaśnił Kim — ja nie jestem sahibem i powiem ci, Mahbubie Ali, iż zblądziłem w Umballi w ów dzień, gdym kłął, mniemając, że jestem zdradzony przez Pathana. Byłem nierozsądny; ale zważ, że byłem świeżo pojmany i chciałem tego powsinogę dobić... Teraz mówię ci, Hadzi, że stało się dobrze; widzę teraz przed sobą całkiem wyraźną drogę wiodącą do dobrej służby. Pozostanę w *madrissab*, póki nie dorosnę.

— Dobrze mówisz. W tej grze nauczyć się trzeba przede wszystkim oceny odległości, znajomości liczb i sposobów używania cyrkla. Tam wysoko w górach mieszka ktoś, co cię z tym zapozna.

— Będę się uczył ich mądrości, ale pod jednym warunkiem... że gdy zamkną *madrissab*, dadzą mi bez żadnych zastrzeżeń swobodę rozporządzania czasem wolnym. Wyjednaj mi to u pułkownika.

— Ale czemu nie poprosić o to pułkownika językiem sahibów?

— Pułkownik jest sługą rządu. Za jednym słówkiem posyłają go to tu, to tam, a musi też myśleć o awansie. (Widzisz, ilem się już nauczył w Nucklao!) Zresztą pułkownika znam dopiero od trzech miesięcy, a niejakiego Mahbuba Alego znam od sześciu lat. Tak! Będę chodził do *madrissab*. W *madrissab* będę się uczył. W *madrissab* będę sahibem. Ale gdy zamkną *madrissab*, wtedy muszę być wolny i pójść pomiędzy swoich ludzi. Inaczej umrę.

— A cóż to są ci twoi ludzie, Przyjacielu całego świata?

— Wszyscy, co zamieszkują cały ten kraj wielki i piękny! — rzekł Kim, zataczając ręką krąg dookoła małej, gliną utykanej izdebki, oświetlonej mdłym blaskiem lampki oliwnej, przezierającym z wnętrza poprzez smugi dymu tytoniowego. — Następnie chciałbym zobaczyć się znów z lamą. Wreszcie, potrzeba mi pieniędzy.

— Tego każdemu potrzeba! — rzekł Mahbub z żalem. — Dam ci osiem *ann*, bo niewiele pieniędzy da się wykrzesać z kopyt końskich, a i to musi wystarczyć na wiele dni. Co się zaś tyczy reszty, jestem zupełnie zadowolony i dalsza gawęda jest zgoła zbyteczna. Spiesz się z nauką, a za trzy lata... może i wcześniej... będziesz pomocnikiem, nawet moim.

— Czyż dotychczas byłem ci kulą u nogi? — zapytał Kim, chichocząc po chłopięcemu.

— Nie odpowiadaj za mnie — sarknął Mahbub. — Jesteś teraz moim nowym fornałem. Idź, połóż się spać wśród moich ludzi. Znajdują się wraz z końmi w pobliżu północnego narożnika dworca kolejowego.

— Wyżeną¹⁰⁷ mnie kijem aż na południowy narożnik, jeżeli przyjdę bez upoważnienia.

Mahbub podłubał w kalecie, potarł zwilżony kciuk o laskę chińskiego tuszu i namazał odcisk palca na skrawku miękkiego papieru wyrobu krajowego. Od Balkhu do Bombaju znano dobrze kształt tego ostro zarysowanego palca wraz z biegnącą w poprzek niego zastarzałą blizną.

— Wystarczy pokazać to temu pomocnikowi. Rano wyjeżdżam.

— Jaką drogą?

— Od strony śródmieścia; jest tylko jedna. Potem zaś wrócimy do sahiba Creightona. Ocaliłem cię od ciągów.

— Allah! Co znaczy bicie, gdy sama głowa ledwo się trzyma ramion?

Kim wysunął się nieznacznie w pomrocz nocną, obszedł dom półkolem, przyciskając się do samej ściany, potem zaś odszedł przeszło milę od dworca. Wówczas, nakładając kołowaniem kawał drogi, siedł nieskwapliwie, gdyż potrzeba mu było czasu, by zmyślić jakąś bujdzę na wypadek, gdyby któryś z pachółków Mahbuba wziął go na spytki.

Obozowali na skrawku pustego pola koło kolei, a ponieważ byli krajowcami, więc oczywiście nie wyładowali dwóch wagonów, w których stały rumaki Mahbuba pośród transportu koni krajowych, zakupionych przez bombajską spółkę tramwajową. Nadzor-

¹⁰⁷wyżeną (daw., gw.) — wygnają. [przypis edytorski]

ca, przygarbiony muzułmanin wyglądający na suchotnika, huknął z góry na Kima, lecz uspokoił się na widok odręcznego znaku Mahbuba.

— Hadzi w swej łaskawości przyjął mnie na służbę — rzekł mrukliwie Kim. — Jeżelibyś wątpił, zaczekaj, aż on przyjdzie nad ranem. Tymczasem dajcie mi miejsce przy ognisku.

Wszczęła się pospolita, bezpretensjonalna gadanina, jaką przy lada sposobności podejmuje nieodbitcie każdy krajowiec niskiej kasty. W jakiś czas gawęda zamarła i Kim położył się za małą gromadką parobków Mahbuba, prawie pod samymi kołami wagonu, mając za okrycie wypożyczoną derkę. Takie legowisko wśród ułamków cegły, drzazg i śmieci, pomiędzy natłoczonymi końmi i niechlujnymi Baltisami nie nęciłoby wielu białych chłopców, ale Kim był nad wyraz szczęśliwy. Zmiana dekoracji, służby i otoczenia niosły rzeźwiący powiew jego małym nozdrzom, a myśl o czystych białych domkach zakładu św. Ksawerego, osłoniętych *punkab* budziła w nim taką uciechę, jak powtarzanie tabliczki mnożenia po angielsku.

„Jestem już bardzo stary! — myślał przez sen. — Z każdym miesiącem staję się o rok starszy. Byłem jeszcze bardzo młody i głupi jak but, gdy zanosilem zlecenie Mahbuba do Umballi. Nawet gdy byłem w tym białym pułku, byłem bardzo młody i za grosz nie miałem oleju w głowie. Ale teraz uczę się z każdym dniem; za trzy lata zabierze pułkownik mnie z *madrissah* i puści wraz z Mahbubem w szeroki świat, by polować na rodowody końskie... a może pójdę na własną rękę. Kto wie, może odnajdę lamę i pójdę z nim, Juści! Tak byłoby najlepiej. Poszedłbym znów ze swym lamą, jako jego *chela*, gdy on powróci do Benares”.

Myśli snuły się coraz to wolniej i bez związku. Już wpływał w piękną krainę sennych marzeń, gdy wtem pochwycił uchem jakiś szept, ostry i przenikliwy, górujący nad jednostajnym gwarem dokoła ogniska. Szept ten pochodził spoza wagonu końskiego okutego żelazem.

— Więc go tu nie ma?

— Gdzieżby był, jak nie na hulance w mieście? Kto tam zważa na szczura w żabim bajorze? Idź stąd. To nie nasz człowiek.

— On nie powinien przejść powtórnie za przełęcz. Taki rozkaz.

— Wynajmij jaką kobietę, żeby go otruła. Wystarczy parę rupii i nikt nie będzie wiedział.

— Oprócz kobiety. Trzeba pewniejszego sposobu. A pamiętaj o cenie na jego głowę.

— A jakże! Ale policja ma długie ramię, a granica daleko. Gdyby to było w Peshawar!

— Tak, w Peshawar! — zadrwił drugi głos. — W Peshawar pełnym jego krewniaków... pełnym szpiegowskich nor i kobiet, za których spódnicę szelma potrafi się schować. Taki Peshawar czy piekło byłoby nam jednakowo dogodne.

— Jakż więc plan działania?

— O durniu! Czyż ci tego nie mówiłem ze sto razy? Poczekaj, aż on wróci na spoczynek... a potem: jeden celny strzał! Wagony dzielą nas od pogoni. Wystarczy przebiec tor i iść spokojnie drogą. Nie poznają, skąd wypadł strzał. Poczekaj tu przynajmniej do świtu. Jaki z ciebie *fakir*, że boisz się czuć przez chwilę?

„Oho! — myślał Kim, nie otwierając powiek. — Znów chodzi o Mahbuba. Doprawdy, niedobrze to handlować z sahibami rodowodem białego ogiera! A może Mahbub sprzedał jakieś nowe wiadomości? Cóż teraz czynić, Kimie? Nie wiem, gdzie kwateruje Mahbub, a jeżeli on tu przyjdzie przed świtem, to go zastrzeli. Nie wyjdzie ci to na korzyść, Kimie. Do policji z tym zwracać się nie można; nie wyszłoby to na korzyść Mahbubowi... a — (tu omal w głos się nie roześmiał) — nie mogę sobie przypomnieć żadnej lekcji z Nucklao, która by mi się tu mogła przydać. Allah! Tu jest Kim, a tam są oni. Najpierw więc Kim musi się obudzić i odejść w taki sposób, żeby oni nie podejrzewali. Zły sen zrywa człowieka na nogi... zatem...”

Odrzucił derkę z twarzy i zerwał się nagle, ozywając się przeraźliwym, belkotliwym, niezrozumiałym krzykiem, jaki wydaje Azjata obudzony przez zmorę.

— Urr-urr! Urr-urr! Ya-la-la-la! *Narain!* *Churel!* *Churel!*

Churel jest to szczególnie złośliwy upiór kobiety zmarłej w połogu. Straszy ona na odludnych drogach, ma stopy wykręcone w kostkach i ciągnie ludzi na męki.

Coraz to głośniejsz rozlegały się wrzaski Kima; na koniec chłopak skoczył na równe nogi i odszedł, zataczając się. Obozujący zwymyślali go, że ich pobudził. Uszedłszy jakie dwadzieścia jardów wzdłuż toru, położył się, starając się, by ludzie, którzy szeptali z sobą, słyszeli jego chrząkania i niby przedsenne poziewania. Po kilku minutach spokojnego leżenia stoczył się w stronę gościńca i jał się przekradać w gęstwę ciemności.

Machał szybko naprzód, aż doszedł do kamiennego mostka; ukrył się za nim, kładąc podbródek na poziomie obrzeża. Tu mógł objąć wzrokiem cały ruch uliczny, nie będąc sam widziany przez nikogo.

Kilka wozów przejechało, pobrzękując żelastwem, w stronę przedmieścia; przeszedł kaszlący policjant i przemknęło się kilku pieszych przechodniów, którzy śpiewali jakieś zaklęcia, aby odegnać złe duchy. Wtem zatętniły podkowy kopyt końskich.

„O! to chyba Mahbub!” — pomyślał Kim, gdy koń sploszył się na widok małej główki nad mostkiem.

— Hola! Mahbubie Ali! — syknął chłopak. — Strzeż się!

Jeździec ściągnął cugle, aż koń niemal przysiadł na zadzie, po czym dał szczupaka w stronę mostku.

— Nigdy już — mówił Mahbub — nie wezmę podkutego konia na nocne przejażdżki. W mieście zrywają sobie nogi i gwoździe. — Zsiadł z konia, by obejrzeć przednią nogę konia, i zbliżył głowę na odległość piędzi ku głowie Kima.

— Na dół... schowaj się! — mruknął. — Noc ma tysiące oczu.

— Za wagonem z końmi dwaj ludzie czekają twego przybycia. Chcą cię zastrzelić, gdy będziesz spał, ponieważ nałożono cenę na twoją głowę. Słyszałem to, drzemając w pobliżu.

— Czyś ich widział?... Stójże spokojnie, diabelska mości! — krzyknął z wściekłością na konia.

— Nie.

— Czy jeden był ubrany jak *fakir*?

— Jeden mówił do drugiego: „jakiż z ciebie *fakir*, że boisz się czatować przez chwilę?”

— Dobrze. Wracaj do obozu i połóż się spać. Nie zginę dziś w nocy.

Mahbub skierował konia w bok i zniknął. Kim odbył drogę powrotną rowem, aż dotarł do miejsca na wprost drugiego miejsca noclegu, przemknął się przez drogę jak łasica i otulił się znów derką.

„Przynajmniej Mahbub już zawiadomiony — myślał z zadowoleniem. — Przy tym, ani chybi, mówił tak, jakby się tego spodziewał. Zdaje mi się, że ci dwaj ludzie nic nie wskórają na dzisiejszych czatach”.

Upłynęła godzina; a Kim mimo najlepszych usiłowań, by nie zmrużyć oka przez całą noc, zasnął twardo. Raz po raz w odległości dwudziestu stóp od niego dudnił po szynach pociąg nocny; ale chłopak odznaczał się istic wschodnią niewrażliwością na pospolity hałas, który nawet nie wplątał się w jego senne widziadła.

Mahbub nie spał bynajmniej. Bardzo go to niepokoiło, że ludzie nie z jego plemienia i niemający doń urazy za przygodne miłostki czyhali na jego życie. Pierwszym jego i naturalnym odruchem był zamysł, by przejechać tor nieco dalej, nadjechać znów z powrotem i, zaskoczywszy czatowników z tyłu, zgładzić ich jednym zamachem. Ale pomyślał sobie ze smutkiem, że wtedy inny wydział rządu, zgoła niezwiązany z pułkownikiem Creightonem, mógłby zażądać wyjaśnień, których niełatwo byłoby mu udzielić; wiedział też, że na południe od granicy nieraz o byle truposza ludzie wszczynają śmieszny wprost rwetes. Odkąd wyprawił Kima ze zleceniem do Umballi, nie dybano nań jeszcze w ten sposób, tak iż przypuszczał, że w końcu poniechano podejrzeń.

Naraz strzelił mu do głowy wspaniały pomysł.

— Anglicy wszędzie zawsze mówią prawdę — powiedział sobie — dlatego my w tym kraju wychodzimy na dudków. Na Allacha, czyż mam powiedzieć prawdę Anglikowi? Od czegoż jest policja państwowa, jeżeli biednemu kabalczykowi kradną konie z angielskich wagonów? Zupełnie jakby to było w Peshawar! Wniosę zażalenie na stacji... albo jeszcze lepiej, pójdę ze skargą do jednego z młodych sahibów na kolei. Są oni wielce służbiści, a jeżeli złapią złodzieja, liczy się to im za zasługę.

Przywiązał konia koło dworca i wyszedł na peron.

— Hola! Mahbubie Ali! — ozwał się młody pomocnik okręgowego kierownika ruchu, wybierający się na oględziny toru; był to wysoki, kołtuniasty i dziobaty młokos w popielatym ubraniu płóciennym. — Cóż tu porabiasz? Sprzedajesz szkapy... he?

— Nie; nie chodzi mi o konie. Przyszedłem szukać Lutufa Ullaha. Mam naładowany wagon na torze. Czy mógłby kto zabrać towar bez wiedzy władz kolejowych?

— O to nie miej obawy, Mahbubie. Mógłbyś wnieść na nas zażalenie, gdyby tak ktoś uczynił.

— Widziałem dwu ludzi, którzy prawie przez całą noc czatują pod jednym z wagonów. *Fakirowie* nie kradną koni, więc nie zaprzętnąłem sobie nimi głowy. Chciałbym znaleźć Lutufa Ullaha, mego współnika.

— A bodajże cię! Toś ty sobie tym nie zaprzętał głowy? Słowo daję, przynajmniej dobrze, żem ciebie spotkał. Jak oni wyglądali, he?

— Byli to po prostu *fakirowie*. Potrafią co najwyżej ukraść nieco zboża z jednego z wagonów. Państwo na tym nie traci ni ociupinki... Przyszedłem tu, by odszukać mego współnika, Lutufa Ullaha...

— Co mi tam twój spółnik! Gdzie twoje wagony z końmi?

— Trochę z tej strony... na samym końcu... tam gdzie ustawiają lampy dla pociągów...

— Na semaforze. Aha!

— Na szynach najbliższych drogi po prawej ręce... patrząc... o tak! Wzdłuż toru. Lecz co się tyczy Lutufa Ullaha... jest to człek słusznego wzrostu, ma nos złamany... i chodzi z chartem perskim... Ojej!

Młodziak biegł już w te pędy, by obudzić młodego i zapalczywego policjanta, bo, jak mówił, kolej poniosła niemało strat wskutek kradzieży w magazynach. Mahbub Ali tłumił śmiech pod umalowanym wąsem.

— Oni tam pójdą w butach i narobią hałasu, a potem będą zachodzić w głowę, czemu z *fakirów* nie zostało ani słyhu-dychu. Grackie to chłopaki... sahib Barton i sahib Young!

Czekał beczynnie przez parę chwil, spodziewając się, że zobaczy ich biegnących wzdłuż ogrodzenia toru na miejsce działania. Przez stację przemknął się mały parowóz, a na jego tendrze Mahbub ujrzał w przelocie postać Bartona.

— Skrzywdziłem tego smarkacza. On wcale nie głupi. Wziąć wóz ognisty na złodzieja to całkiem niezwykła zabawa!

Gdy Mahbub Ali o świcie przybył do obozowiska, nikt na razie nie uważał za stosowne opowiedzieć mu o zajściach tej nocy. Nikt, z pewnością nikt, oprócz chłopca stajennego, świeżo przyjętego do służby, którego Mahbub zawołał do swego maciupkiego namiotu, bo mu potrzeba było wyręki w jakimś pakowaniu.

— Wiem o wszystkim — szeptął Kim, pochylając się nad kulbaką. — Dwaj sahibowie przyjechali w *te-rainie* (pociągu). Biegałem w ciemności tam i z powrotem z tej strony wagonów, w miarę jak *te-rain* posuwał się z wolna tam i sam. Wpadli na dwóch ludzi siedzących pod wagonem... Hadzi, co mam zrobić z tą paczką tytoniu?... Czy zawinąć w papier i położyć ją pod worek z solą? Tak... i obalili ich na ziemię. Lecz jeden z tych ludzi ugodził sahiba rogami koźlimi... — (Kim miał na myśli połączone rogi czarnego kozła, które są jedynym przygodnym uzbrojeniem *fakirów*) — trysnęła krew. Wtedy drugi sahib, ogłuszony wpiersw swego przeciwnika, postrzelił zbója z krótkiej strzelby, która wypadła z ręki pierwszego. Tłukli się z sobą jak wariaci.

Mahbub uśmiechnął się z pogodną rezygnacją.

— Jest to nie tyle *dewane*¹⁰⁸, co *nizamut* (sprawa gardłowa). Strzelba, powiadasz? Dobre dziesięć lat więzienia!

— Potem obaj leżeli cicho, lecz zdaje mi się, że tam ledwo który zipał, gdy ich zanieśli do *te-rain*. Głowy im, o-o, tak się kiwały. A na torze pełno krwi. Czy pójdziesz zobaczyć?

— Widziałem ci już nieraz krew. Więzienie jest miejscem bezpiecznym... zapewne podadzą zmyślane nazwiska i pewno przez długi czas nikt ich nie odnajdzie. To byli moi nieprzyjaciele. Twój los jest, zdaje się, związany z moim. Będę miał co opowiadać Uzdra-

¹⁰⁸*dewane* — szaleństwo lub sprawa przed sądem cywilnym, dwuznacznika tego można używać obosiecznie. [przypis autorski]

wiaczowi Pere! A teraz zwijaj się raźnie z tą kulbaką i patelnią. Wyładujemy konie i hajże do Simli!

Z pośpiechem — jak to pośpiech rozumieją ludzie Wschodu — czyli wśród długich objaśnień, lajań i gadania na wiatr, a za to bez najmniejszego ładu, zatrzymując się po sto razy celem odszukania zgubionych fatalaszków, ruszył ten cały niesforny obóz w chłodzie poranku deszczem zmytego, wyprowadzając na gościniec kalkański pół tuzina krnąbrnych i narowistych koni. Kim, uważany przez wszystkich, którzy chcieli być w dobrych stosunkach z Pathanem, za ulubieńca Mahbuba Alego, nie był zapędzany do roboty. Wlekł się niewielkimi etapami, zatrzymując się co parę godzin w stanicach-przydrożnych. Gościńcem kalkańskim przeciąga wielu sahibów, a jak powiada Mahbub Ali, każdy młody sahib nieodwołalnie musi uważać się za znawcę koni i chociażby siedział po uszy w długach u lichwiarza, musi udawać, że chciałby nabyć wierzchowca. To było przyczyną, że sahibowie, przejeżdżający dylizansem, jeden po drugim zatrzymywali się i nawiązywali rozmowę. Niektórzy nawet schodzili z pojazdów i obmacywali koniom pęciny, zadawali głupie pytania albo też, wskutek gruntownej nieznajomości języka krajowego, wymyślali w sposób grubiański niestropionemu handlarzowi.

— Gdy po raz pierwszy handlowałem z sahibami, a było to wtedy, gdy pułkownik-sahib Soady był gubernatorem twierdzy Abazai i na złość komisarzowi zalał mu błonia — zwierzał się Kimowi Mahbub, gdy chłopak, siedząc w cieniu drzewa, nabijał mu fajkę — nie wiedziałem jeszcze, jacy to durnie, i postępowanie ich napełniało mnie gniewem. Na przykład... — i opowiedział Kimowi anegdotkę o pewnym wyrażeniu źle użytym w najlepszej wierze, co w dwójnasób rozweseliło chłopaka. — Teraz jednak widzę — mówiąc to wyzionął z siebie z wolna smugę dymu — że z nimi tak bywa, jak z innymi ludźmi... w jednych rzeczach są mądrzy, a w innych głupi jak drągi. Dowodem wielkiej głupoty jest używanie słów obraźliwych w stosunku do cudzoziemca; bo choć oni w głębi serca zapewne nie myślą, by kogoś obrazić, to jednak skądże o tym może wiedzieć człek obcy? A nuż (co bardziej prawdopodobne) dochodzić będzie prawdy sztyletem?

— Istotnie! Prawdę mówisz — rzekł Kim uroczyście. — Na przykład, głupcy mówią o kociaku, gdy kobieta urodzi dziecko. Słyszałem to na własne uszy.

— Przeto w takim położeniu, w jakim ty się znajdujesz, powinienes pamiętać o tym, że masz jednocześnie jak gdyby dwa oblicza. Między sahibami nie zapominaj nigdy, że jesteś sahibem; pomiędzy ludem hinduskim pomnij zawsze, że jesteś... — tu przerwał, uśmiechając się z zakłopotaniem.

— Czym jestem? Muzułmaninem, Hindusem *jainem*¹⁰⁹ czy buddystą? Twardy to orzech do zgryzienia!

— Bez wątpienia, jesteś niewierny i za to będziesz potępion. Tak mówi moja wiara... przynajmniej tak mi się zdaje. Ale ty jesteś zarazem dla mnie Przyjacielem całego świata, a ja kocham cię. Tak mówi mi serce. Z wierzeniami to tak jak z końmi. Człek mądry wie, że konie są dobre... że z każdego można wyciągnąć zysk; a co się mnie tyczy, to choć jestem prawowiernym *sunitą*¹¹⁰ i nienawidzę Tyrasów, mogę mieć jednak to samo przekonanie o wszystkich religiach. Bo klacz katiwarska zabrana z piasków stron rodzinnych i przeniesiona do zachodniego Bengalu, ochwaci się niechybnie... a nawet ogier z Balkh (nie ma lepszych koni nad balkhijskie, szkoda, że trochę za ciężkie w łopatkach) wśród wielkich pustyń północnych nie może iść w zawody z wielbłędami-śnieżnikami, jakie widywałem. Przeto mówię sobie w sercu, że wiary są jak konie. Każda ma zalety we własnym kraju.

— Ale mój lama mówi zgoła co innego.

— Ech, ten stary marzyciel z Bhotiyal! Jestem w duchu trochę zły na to, że ty, Przyjaciel całego świata, upatrujesz tyle dobrego w człowieku, którego znasz tak mało.

— To prawda, Hadzi, ale widzę, co w kim cenić; a do niego ciągnie mnie serce.

— A jego do ciebie, jak słyszałem. Serca są jak konie; zbiegają się i rozbiegają na przekór wędziłdom i ostrodze. Krzyknij na Gula Sher-Khana, żeby silniej zawarł przegrodę tego gniadego ogiera. Nie potrzeba nam końskich brykań na każdym postoju, a tego my-

¹⁰⁹*jain* — *dżajnowie* jest to sekta zbliżona do buddyzmu. [przypis tłumacza]

¹¹⁰*sunita* — tradycjonałisci mahometańscy w przeciwieństwie do *szytów*. [przypis tłumacza]

szatego i karego należy trochę zamknąć... A teraz posłuchaj. Czy dla pocieszenia swego serca musisz koniecznie zobaczyć się z tym lamą?

— Jest to jeden z mych warunków — rzekł Kim. — Jeżeli nie będę go widywał i jeżeli mi go zabiorą, to pójdę sobie precz z tej *madrissab* w Nucklao... a gdy raz odejdę, kto potrafi mnie odszukać?

— To prawda. Żadne źrebie nigdy nie było trzymane tak lekko na postronku jak ty! — pokiwał głową Mahbub.

— Nie bój się — mówił Kim, jak gdyby mógł zniknąć za chwilę. — Lama mówił mi, że przyjdzie mnie odwiedzić w *madrissab*...

— Żebrak z miską wobec tych młodych sa...

— Wcale nie! — parsknął Kim. — Wielu z nich ma oczy zblękitnione i paznokcie poczernione od krwi niskiego rodu. Synowie *metbeeranee*... a szwagrowie kominiarzy.

Reszty rodowodu nie ma co wymieniać; wszakoż Kim przedstawił tę kwestię jasno i bez uniesienia, żując przez cały czas lodygę trzciny cukrowej.

— Przyjacielu całego świata — rzekł Mahbub, podając chłopcu fajkę do oczyszczenia — spotykałem wielu mężczyzn, kobiet, dzieci, chłopców, a niemało też i sahibów. Ale w życiu mym nie spotkałem takiego hultaja jak ty.

— Co znowu? Przecież zawsze mówię ci prawdę...

— Może dlatego, że na tym świecie niezbyt jest bezpiecznie ludziom uczciwym! — to rzekłszy, Mahbub Ali podniósł się z ziemi, wdział pas i ruszył ku koniom.

— A może ci ją sprzedać?

W brzmieniu tych słów było coś takiego, że Mahbub stanął i odwrócił się.

— Cóż to za nowe psikusy?

— Daj osiem *ann*, a powiem — rzekł Kim, szczerząc zęby. — Chodzi o twój spokój.

— Ach, szatanie! — rzekł Mahbub, wręczając mu pieniądze.

— Czy pamiętasz małą sprawkę złodziei... w nocy, tam w Umballi?

— Ponieważ wiem, że czyhali na moje życie, więc jeszcze nie zdołałem zapomnieć. I cóż?

— Czy pamiętasz Seraj Kaszmirski?

— Natrę ci zaraz uszu, sahibie!

— Nie potrzeba... Pathanie. Dość na tym, że drugi *fakir*, którego sahibowie zbili do utraty przytomności, był to ten sam człowiek, który przetrząsał twoją komorę w Lahorze. Widziałem jego twarz, gdy go niesiono do parowozu. Ten samusieńki człowiek.

— Czemuś mi tego wpieryw powiedział?

— Oho, on pójdzie do kozy i posiedzi cicho przez parę lat. Nie potrzeba mówić więcej, niż to jest konieczne w danej chwili. Zresztą wtedy nie potrzeba mi było pieniędzy na frykasy.

— *Allach kerim!* — zawołał Mahbub Ali. — Czy pewnego dnia nie przyszlaby ci fantazja sprzedać moją głowę za garstkę łakoci?

Kim do śmierci nie zapomni tej przewlekłej, ociężałej jazdy z Umballi przez Kalkę i obok ogrodów pindzorskich aż do Simli. Nagły prąd na rzece Gugger zniósł im jednego z koni (oczywiście najcenniejszego!), a Kim omal nie utonął wśród niesionych wodą otoczków. W dalszej drodze konie spłoszyły się na widok rządowego słonia, a ponieważ znalazły w bród paszy, więc zmitrężono półtora dnia na ich pochwylenie. Potem spotkali Sikandar-Khana jadącego z kilku szkapami nienadającymi się na sprzedaż — ostatkami swej stadniny; Mahbub, który w małym palcu lepszym był koniarzem niż Sikandar-Khan we wszystkich namiotach, musiał koniecznie kupić dwie najlichsze chabety, co pociągnęło za sobą osiem godzin uciążliwych targów i Bóg wie ile tytoniu. Ale wszystko to było istną rozkoszą; ta włóczęga gościńcem, wspinanie się, zjeżdżanie, okrążanie występów skalnych, piętrzących się coraz to wyżej; rumieniec świtu hen na wiecznych śniegach; świecznikowate kaktusy sterczące szeregiem na gładkich zboczach; odgłosy tysiąca strumieni; paplanina małp; majestatyczne deodary (cedry himalajskie) strzelające jedne ponad drugimi w warstwicach obwisłych gałęzi; rozległy widok na równiny staczające

się hen w dal u ich podnóża; ustawiczne pojękiwanie trąbek *tongi*¹¹¹ i dzikie szamotanie się prowadzonych koni, gdy *tonga* wypadła z zakrętu; przystanki poświęcone modłom (Mahbub wypełniał sumiennie obrzędowe obmywania i nie szczędził gardła w modlitwie, gdy mu na to czas pozwalał); wieczorne pogawędki na popasach, gdy wielbłądy i bawoły żuły z przejściem obrok, a ciemni-poganiacze zwierali się z nowinek zasłyszanych po drodze. Wszystko to rozśpiewało i rozkołysało serce Kima.

— Ale gdy się skończy ten śpiew i te płąsy — mawiał Mahbub Ali — wtedy przyjdzie sahib-pułkownik... a to będzie mniej miłe!

— Jakież czarowny kraj... przepięknym krajem jest Hind (Indie)... a kraj Pięciu Rzek (Pendżab) jest nade wszystko uroczy — mówił Kim półśpiewem. — Do niego powrócę, jeżeli pułkownik zechce przeciwko mnie choć palcem ruszyć... Gdy raz drapnę, któż mnie odnajdzie? Spójrz, Hadzi, czy tamto miasto, to Simla? Allah! Co za miasto!

— Ojciec mego brata (a był on starcem, gdy studnia sahiba Mackersona była nowością w Peshawar) pamiętał te czasy, gdy stały tu zaledwie dwa domy.

Poprowadził tabun poniżej głównego gościńca na dolny rynek simlański — w tę rojną królikarnię, co spiętrza się pod kątem 45° od doliny aż popod sam ratusz. Człek, co zna tutejsze przejścia i kryjówki, może drwić sobie z całego korpusu policyjnego letniej stolicy Indii; tak sprytnie tu połączono werandę z werandą, chodnik z chodnikiem, furtkę z furtką. Tu mieszkają ci, którzy zaspokajają potrzeby tego wesołego miasta: *dżampanisowie* (najemnicy), którzy w późną noc popychają *riksze*¹¹² pięknych dam i prowadzą szulerkę aż do świtu; korzennicy, olejarze, handlarze osobliwości, dostawcy drewna, kapłani, rzeźmieszkni i tubylczy urzędnicy państwowi; tu gamratki plotkują o rzeczach, które uważa się za najgłębsze tajemnice przybocznej rady namiestnika Indii; tam też zbierają się wszyscy tajni ajenci z połowy państwów udzielnych. Również i Mahbub Ali tutaj właśnie, w domu mahometańskiego handlarza bydła, wynajął pokój, zaryglowany o wiele bezpieczniej niż jego komora w Lahorze. Było snadź tutaj i miejsce cudów, gdyż o zmierzchu wszedł tam pacholik-mahometanin, a w godzinę później wyszedł stamtąd młodzik-Euroazjata (farba dana przez dziewczkę w Lucknow była istotnie w najlepszym gatunku!) w źle skrojonym ubraniu sklepowego pochodzenia.

— Rozmawiałem z sahibem Creightonem — prawil Mahbub Ali — i ręka przyjaźni po raz wtóry odwróciła bicz plagi. Powiada, że zmarnowałeś zupełnie sześćdziesiąt dni na wagarach, więc już za późno byłoby posyłać cię do jakiej szkółki w górach.

— Mówiłem, że wakacje należą do mnie. Nie potrzebuję chodzić dwa razy do szkoły. To był jeden z mych warunków.

— Pułkownik nic jeszcze nie wie o umowie. Masz zamieszkać w domu sahiba Lurgana, aż przyjdzie pora, że będziesz musiał powrócić do Nucklao.

— Wolałbym z tobą mieszkać, Mahbubie.

— Nie umiesz ocenić szacunku. Sahib Lurgan sam ciebie zaprasza. Pójdiesz na górę, a później gościńcem aż na sam szczyt, a tam powinienes zapomnieć na czas jakiś, że kiedykolwiek widywałeś się lub rozmawiałeś ze mną, Mahbubem Alim, co sprzedaje konie sahibowi Creightonowi, którego też nie znasz. Zapamiętaj sobie to zlecenie.

Kim kiwnął głową.

— Dobrze — ozwał się — ale któż to jest ów sahib Lurgan? Nie — (tu pochwycił przenikliwe spojrzenie Mahbuba) — naprawdę nigdy nie słyzałem jego nazwiska. Czy to może — (tu zniżył głos) — jeden z naszych?

— Jak to z *naszych*, sahibie? — wywinął się Mahbub Ali tonem, jakim odzywał się do Europejczyków. — Ja jestem Pathan, ty zaś jesteś sahibem i synem sahiba. Sahib Lurgan ma sklep wśród sklepów europejskich; zna go cała Simla. Zapytaj tam... a jest to, Przyjacielu całego świata, człowiek, którego należy słuchać za najmniejszym skinieniem brwi. Gadają o nim, że się para czarnoksięstwem... ale tobie nic do tego. Tu zaczyna się wielka gra...

¹¹¹*tonga* a. *tanga* — lekka bidka, dwukolna dryndulka [tj. bryczka; red. WL] używana w Indiach. [przypis tłumacza]

¹¹²*riksza* (z jap. *dżin-riki-sza*: wóz o sile ludzkiej) — lekki wózek dwukolny, zazwyczaj kryty, używany w Japonii, Chinach, Syberii wschodniej i Indiach. [przypis tłumacza]

ROZDZIAŁ IX

S'doaks był synem mądrego Yeltha —
Co rządził plemieńce-Kruki.
Niedźwiedź mu Itswoot był opiekunem.
Lekarskiej uczył go sztuki.
Uczeń był z każdym dniem pojętniejszy.
Rosła w nim śmiałość i buta:
Tańczył okropny taniec Kloo-Kwallee.
Radując misia-Itswoota.

Legenda oregońska.

Kim z całej duszy przejął się nowym trybem życia. Chciał znowu przez czas pewien być sahibem. W tej myśli, zaledwie dotarł do szerokiej drogi poniżej ratusza, szukał kogoś, komu mógłby zaimponować. Pod słupem latarni siedziało dziecko hinduskie, lat może dziesięciu.

— Gdzie jest dom pana Lurgana? — zapytał Kim.

— Nie rozumiem po angielsku — brzmiała odpowiedź, więc Kim ją przemawiać językiem krajowym.

— Pokażę ci — rzekło dziecko.

Ruszyli razem w tajemniczy mrok, pełen gwarów dolatujących ze śródmieścia, od stóp zboczyska, oraz przepojony tchnieniem chłodnego wiatru nadbiegającego od Jakko, co koroną deodarów podpira gwiazdy. Światelka domostw rozsypane na najróżniejszych poziomach tworzyły jak gdyby drugi firmament. Niektóre z nich były nieruchome na kształt gwiazd stałych, inne znajdowały się na *rikszach* beztroskich i szczerych Anglików jadących na kolację.

— Tutaj! — rzekł przewodnik Kima i zatrzymał się na werandzie znajdującej się na jednym poziomie z główną ulicą. Nie zatrzymały ich żadne drzwi; stanęli dopiero wtedy, gdy znaleźli się przed roletą z ponawlekanych trzcin, przez którą przeblyskiwało światło lampy.

— On przyszedł — ozwał się chłopiec głosem niewiele co silniejszym od westchnienia, po czym zniknął. Kim zmiarkował od razu, że tego berbecia umyślnie postawiono na czatach, ażeby go tu przyprowadził; nie zbity jednak z tropu wszedł poza zasłonę. Za stołem siedział człowiek z czarną brodą i przysłoniwszy oczy zielonym daszkiem, raz wraz białymi krótkimi rękoma chwycił z tacy leżącej przed nim jakieś kulki świetlne, nizał je na lśniący sznurek jedwabny, a mruczał sobie przy tym wciąż pod nosem. Kim miał świadomość, że poza kręgiem światła cały pokój pełen był przedmiotów wydających taki zapach, jaki cechuje wszystkie świątynie na całym Wschodzie. Cuch piżma, tchnienie drzewa sandałowego i mdły zaduch olejku jaśminowego podrażniły mu otwarte nozdrza.

— Oto jestem! — ozwał się na koniec Kim, używając języka krajowego: wszystkie te wonie sprawiły, iż zapomniał o swym sahibstwie.

— Siedemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt jeden... — liczył ów człowiek półgłosem, nawlekając perłę za perłą tak szybko, że Kim ledwo potrafił nadążyć wzrokiem za poruszeniami jego palców. Naraz zdjął zielony daszek i przez całe pół godziny wpatrywał się w Kima przenikliwie, a źrenice to mu się rozszerzały, to zwężały do wielkości koniuszka szpilki, jak gdyby naumyślnie. Koło bramy taksalskiej przebywał pewien *fakir*, który odznaczał się tą samą zdolnością i niemało zarabiał w ten sposób, zwłaszcza gdy rzucał uroki na zabobonne kobiety. Toteż Kim patrzył z zaciekawieniem. Jego przyjaciel wydrwigrosz umiał ponadto strzyc uszami jak kozioł, przeto Kim wielce się zmartwił, że ten nowy znajomek nie potrafił go w tym naśladować.

— Nie bój się! — rzekł nagle pan Lurgan.

— Czemuż bym się miał bać?

— Zanocujesz tu dzisiaj i pozostaniesz u mnie, aż nadejdzie czas powrotu do Nucklao. Taki rozkaz.

— Taki rozkaz — powtórzył Kim. — Ale gdzie mam spać?

— Tu, w tym pokoju — to mówiąc, sahib Lurgan machnął ręką w stronę ścielącego się poza nim mroku.

— Niechże i tak będzie! — odrzekł Kim z zimną krwią. — No i cóż?

Ów skinął nań i wznosił lampę nad głowę. Gdy światło rozlało się wokół nich, ze ściany wynurzyła się kolekcja masek tybetańskich, używanych w tańcu diabelskim; wisiały one na haftowanych diabłami chustach, co również służyły do owych piekielnych obrzędów. Były tam maski rogate, spoglądające złowrogo lub nacechowane głupkowatym przestraczem. W jednym kącie jakiś wiciędz japoński, strojny zbroją i pióropuszem, zamierzył się na Kima halabardą, a kilkanaście dzid, *kbandasów* i *kuttarów* odświeżało pochwiejnym blaskiem. Co jednak zajęło uwagę Kima więcej niż te wszystkie przedmioty (wszak maski do tańców diabelskich widywał już w muzeum lahorskim) — to przelotny widok potulnie patrzącego chłopca Hindusa, który rozstał się z nim w sionce, teraz zaś podwinąwszy nogi siedział pod stołem z perłami, a na rumianych wargach miał nieznaczny uśmiech.

— Zdaje mi się, że sahib Lurgan chce mnie nastraszyć, a ja jestem pewny, że ten diabli pokurcz, co siedzi pod stołem, chciałby zobaczyć mnie w strachu... To miejsce — rzekł głośno — przypomina mi Dom Cudów. Gdzie tu łóżko dla mnie?

Sahib Lurgan wskazał mu koldrę krajowego wyrobu, leżącą w kącie koło okropnych masek, wziął z sobą lampę i zostawił pokój w ciemności.

— Czy to był sahib Lurgan? — zagadnął Kim, skuliwszy się na ziemi. Nikt nie odpowiedział. Słyszał jednak oddech małego Hindusa; kierując się tym głosem przeczołgał się po podłodze i szturchnął kulakiem w ciemność, krzycząc:

— Odpowiadaj, biesie! Czy to wolno okłamywać sahiba?

Z ciemności (tak mu się przywidziało) doleciał go jakiś chichot. Nie mógł on pochodzić od jego towarzysza; gdyż ten dzieciak o wrażliwym ciałku zanosił się płaczem. Przeto Kim podniósł głos i krzyknął:

— Sahibie Lurganie! Sahibie Lurganie! Czy i to rozkazano, by twój sługa nie rozmawiał ze mną?

— Taki jest rozkaz.

Głos ten wyszedł kędyś spoza niego, aż Kim się wzdrygnął.

— Dobrze, dobrze! Ale pamiętaj — mruczał, odszukując koldrę — że rano cię obję. Nie lubię Hindusów.

Niewesoła to była noc. Cały pokój pełen był dziwnych głosów i gędźby. Dwa razy ktoś zbudził Kima, wołając go po imieniu. Za drugim razem Kim puścił się w poszukiwania i skończyło się na tym, że rozbił sobie nos na jakiejś skrzynce, która mówiła nieomylnie ludzkim językiem, ale zgoła nieludzkim akcentem. Zdawało się, że kończyła się blaszaną trąbą i łączyła się drutami z mniejszą skrzynką na podłodze — tyle przynajmniej zdołał wyczuć po omacku. Z tej to trąbki wychodził głos jakiś, bardzo chrapliwy i bzykliwy. Kim roztarł sobie nos i wpadł w pasję, wyrażając w duchu swe myśli, jak zwykle, po hindusku.

„To mogłoby być dobre dla dziada jarmarcznego, ale... ja jestem sahibem i synem sahiba, a ponadto, co znaczy jeszcze dwa razy więcej, jestem uczniem z Nucklao. Tak! — (tu jął myśleć po angielsku) — wychowankiem zakładu św. Ksawerego! A niechże diabli odejmą ślipia panu Lurganowi! To jakaś maszyneria jak w maszynie do szycia. O, to za wielka poufałość z jego strony... My lucknowiacy nie boimy się znowu byle czego... Nie! — A potem dla odmiany po hindusku — Ale cóż on na tym zyska? On jest sobie zwykłym kupcem... ja jestem w jego sklepie. Ale sahib Creighton wydał rozkaz, by to czynić. Ale jakże ja wytlukę rano tego Hindusa! Cóż to takiego?”

Skrzynka opatrzona trąbą właśnie wyrzucała z siebie serię najwyszukańszych obelg, jakie zdarzyło się Kimowi kiedykolwiek słyszeć, i to głosem tak stanowczym, że chłopakowi zjeżyły się na chwilę krótkie włosy nad karkiem. Gdy owa nikczemna istota nabierała tchu, Kima uspokoiło znowu ciche turkotanie, przypominające maszynę do szycia.

— *Chùp* (cicho!) — krzyknął i znów posłyszał chichot, który rozstrzygnął jego postanowienia. — *Chùp*... bo ci łeb rozbije!

Skrzynka nie zwracała nań uwagi. Kim pochwyił za blaszaną trąbę i coś podniosło się z trzaskiem. Widocznie zerwał nakrywkę. Jeżeli w środku siedziało jakieś lichy, to już czas

z nim coś uczynić... Pociągnął nosem... taką woń wydają maszyny do szycia. Postanowił wypędzić tego *szeitana*. Zdjął kubrak i wepchnął go w paszczę skrzynki. Coś długiego i okrągłego zgięło się pod naciskiem, dało się słyszeć jakieś bzykanie i głos umilkł — jak to musi stać się z każdym głosem, jeżeli złożonym we troje kubrakiem przywalić walec woskowy oraz maszynierę kosztownego fonografu. Kim odtąd mógł już spać spokojnie do końca nocy.

Rano po obudzeniu ujrzał sahiba Lurgana, który patrzył nań spod oka.

— Och! — rzekł Kim, postanowiwszy sobie święcie, że ani na krok nie odstąpi od swego sahibstwa. — W nocy była tu jakaś skrzynka, która mi wymyślała, więc ją uciszyłem. Czy to pańska skrzynka?

Sahib wyciągnął rękę.

— Jak się masz O'Haro — odezwał się. — Tak, to była moja skrzynka. Trzymam u siebie taki towar, ponieważ mogę tym zrobić frajdę moim przyjaciółom, radżom. Ta skrzynka zepsuła się, ale nic wielkiego: warta była psie pieniądze. Tak jest, moi przyjaciele — królowie bardzo lubią zabawki... a ja też czasami...

Kim przyjrzał mu się kącikami oczu. Był on o tyle sahibem, że nosił ubranie europejskie; ale akcent jego hinduszczyzny i brzmienie jego angielszczyzny świadczyły, że mógł być Bóg wie czym, tylko nie sahibem. Zanim jeszcze Kim otworzył usta, on już zdawał się rozumieć, co się roiło w głowie chłopaka, i nie zadawał sobie trudu, by się tłumaczyć, jak to miał we zwyczaju ojciec Wiktor lub nauczyciele z Lucknow. Co najprzyjemniejsze — odnosił się do Kima, jak gdyby ów był równym mu Azjatą.

— Przykro mi, że nie będziesz mógł sprać dziś mego chłopca. On powiada, że cię sprzątnie ze świata nożem lub trucizną. Taki hycel zazdrosny! Postawiłem go więc do kąta i nie odezwę się do niego dziś ani słowem. On nawet mnie niedawno usiłował zabić. Musisz mi więc pomóc w przyrządzeniu śniadania. On zanadto się naczupurzył i nie można mu jeszcze teraz zaufać.

Otóż rodowity sahib, przybyły z Anglii, opowiedziałby z ogromnym wzburzeniem tę całą przygodę; Sahib Lurgan natomiast zdał z niej sprawę tak po prostu, jak zwykł był wspominać Mahbub Ali o swych drobnych sprawkach na północy.

Tyłna weranda sklepu była wybudowana ponad stromym zboczem wzgórza; przeto patrzyło się tu z góry na kominy sąsiadów, jak to bywa pospolicie w Simli. Atoli więcej niż czysto perskie śniadanie, przyrządzone własnymi rękoma sahiba Lurgana, w zachwyt wprawiało Kima wnętrze sklepu. Muzeum lahorskie było większe, ale tu było więcej dziwów. Były sztylety skuteczne przeciw upiorom i modlitewne młynki tybetańskie; naszyjniki turkusowe i z nieszlifowanych bursztynów; naramienniki z zielonego akwamarynu, zwane *bangri*; dziwnie opakowane trociczki kadzielne w czarkach wysadzanych nieogładzonymi granatami; maski diabelskie widziane nocy ubiegłej i ściana cała obwieszona pawio-modrymi draperiami; złożone posążki Buddy i małe przenośne ołtarzyki czarno politurowane; samowary rosyjskie z turkusami na pokrywkach; jajowate zastawy chińskie w misternych ośmiokątnych kobiałeczkach trzciniowych, żółte krucyfiksy z kości słoniowej — z „wszędobylskiej Japonii”, jak się wyraził sahib Lurgan; zakurzone walki dywanów, wydające zatęchłą woń i porzucane za zdrapanymi i nadbutwiałymi parawanami o geometrycznych deseniach; perskie dzbany do mycia rąk po jedzeniu; ciężkie miedziane kadzielnice, ni to perskie, ni chińskie, obwiedzione płaskorzeźbą, przedstawiające najprzeróżniejsze wciórniastki; poczerńnięte pasy srebrnolite, które się tu wałyły jak niewyprawna skóra; szpilki do włosów wyrobione z kwarcytu, kości słoniowej lub akwamarynu; broń we wszelkich odmianach i rodzajach i tysiące innych jeszcze osobliwości spoczywało w pakach, tłamsiło się w stertach lub po prostu leżało w nieładzie po całym pokoju, tak iż jedyna wolna przestrzeń była dokoła kulawego stołu, za którym pracował sahib Lurgan.

— To wszystko fatalaszki! — mówił gospodarz, idąc za spojrzeniem Kima. — Kupuję je, bo są ładne, a czasem je sprzedaję... jeżeli mi się podoba wygląd nabywcy. Moja robota leży na stole... przynajmniej jej cząstka.

Tam w świetle poranka grały przeróżne blaski czerwone, niebieskie i zielone, tu i owdzie przetykane skażonym siwym blaskiem diamentu. Kim wytrzeszczył oczy.

— O, te kamienie mają się zupełnie dobrze. Nie szkodzi im, gdy się je wystawia na słońce. Zresztą są tanie. Ale zgoła inaczej bywa z kamieniami chorymi. — Tu nałoży

znów Kimowi jadła na talerz. — Nikt prócz *mnie* nie umie leczyć chorych perel i przywracać błękitną barwę turkusom. Zgadzam się na opale... byle dureń umie leczyć opale... ale chorą perlę tylko ja umiem ożywić. Przypuśćmy, że miałbym umrzeć! Wtedy nie byłoby nikogo... Ach, nie! *Ty* nie znasz się na kamieniach. Zupełnie wystarczy, jeżeli kiedy dowiesz się coś niecoś o turkusie...

Udał się na koniec werandy, by pod filtrem napelnić wodą ciężki, porowaty dzbanek gliniany.

— Chce ci się pić?

Kim kiwnął głową. Sahib Lurgan podszedłszy na piętnaście kroków położył rękę na kрузy. W jednej chwili naczynie stało tuż przy łokciu Kima, napelnione wodą aż na pół cała od brzegu, a tylko mała zmarszczka na białym obrusie wskazywała, którądy się przesunęło.

— U-ach! — ozwał się Kim w niezmiernym podziwieniu. — To sztuczki czarodziejskie!

Uśmiech sahiba Lurgana świadczył, że komplement był dobrze przyjęty.

— Odrzuć je.

— Rozbije się.

— Odrzuć, mówię.

Kim odepchnął je na chybił trafił. Zleciało i roztrzaskało się na pięćdziesiąt odłamków, a woda jęła przeciekać przez tarcice w podłodze werandy.

— Powiedziałem, że się rozbije.

— Mniejsza o to. Przypatrz się temu... przypatrz się największemu odławkowi.

Ów leżał na podłodze, iskrząc się niby gwiazda od wody zawartej w jego zagłębieniu. Kim patrzył z uwagą. Sahib Lurgan złożył mu z lekka dłoń swą na karku, pogłaskał go kilkakrotnie i szepnął:

— Patrz, kruza znów odżyje po kawalku. Najpierw wielki okruch złączy się z dwoma drugimi po prawej i lewej stronie... po prawej i lewej stronie. Patrz!

Nawet gdyby szło teraz o życie, Kim nie potrafiłby odwrócić głowy. Lekkie dotknięcie trzymało go jakby w imadle, a krew tętniła w nim oszalamiająco i przyjemnie. Tam, gdzie leżały trzy okruchy, była już jedna skorupa, a ponad nią mglisty zarys całego naczynia. Mógł widzieć przezeń całą werandę, lecz z każdym uderzeniem tętna majak gęstniał i ciemniał. Przecież kruza — jakże wolno snuły się myśli! — kruza została strzaskana tuż przed jego oczyma... Nowa fala piekącego ognia przebiegła mu kark, gdy sahib Lurgan poruszył ręką.

— Patrz! Oto dzban odzyskuje dawną postać! — ozwał się sahib Lurgan.

Dotychczas Kim myślał po hindusku, lecz napadł go nagły dreszcz... i myśl jego, z wysiłkiem pływaka, co opadnięty przez żarłaczę wyskakuje na wpół z wody, próbowała wydrzeć się z zalewającego ją mroku i znalazła wybawienie — w angielskiej tabliczce mnożenia!

— Patrz! Oto odzyskuje kształt! — szepnął sahib Lurgan.

Dzban był pogruchotany — tak! pogruchotany — (Kim wyraził to angielskim słowem *smashed*, nie myśląc dobierać odpowiedniego wyrazu z języka krajowego) — ależ pogruchotany! — na pięćdziesiąt kawalków... a dwa razy trzy było sześć, trzy razy trzy dziewięć, a cztery razy trzy dwanaście.

Uchwycił się rozpaczliwie tego powtarzania i oto widmowy zarys dzbana rozwiął się jak mgła, skoro Kim przetaił oczy. Oto leżały potłuczone czerepy; oto rozchlapana woda wysychała w słońcu, przez szczeliny werandy widać było, niby przegowaną, białą ścianę domu u podnóża... a trzy razy dwanaście wyniosło trzydzieści sześć!

— Patrz! Czy odzyskuje kształt? — zapytał sahib Lurgan.

— Ależ dzban *jest* naprawdę pogruchotany... pogruchotany! — ziewnął Kim, bo sahib Lurgan przez ostatnie pół minuty mruczał coś z cicha. Chłopak odwrócił głowę. — Popatrz! *Dekho!* Jest wszystko tak, jak było.

— Jest tak, jak było — przemówił Lurgan, przypatrując się uważnie chłopakowi, który tymczasem rozcierał sobie kark. — Ale ty jesteś pierwszy, który to widzi.

Obtarł szerokie czoło.

— Czy to była też sztuka czarnoksiężska? — zapytał podejrzliwie Kim. Szum ustał mu w żylach; czuł się niezwykle rześki.

— Nie, to nie było czarodziejstwo. Chciałem tylko zobaczyć, czy nie ma... skazy w pewnym kamieniu. Czasem bardzo piękne kamienie rozleca się w kawałki, gdy weźmie je w rękę człowiek, co zna się na tym. Dlatego też trzeba być ostrożnym, zanim się je oprawi. Powiedz mi, czyś widział kształt tego naczynia?

— Przez krótką chwilę. Zaczął wyrastać niby kwiat z ziemi.

— A wtedy co robiłeś? To znaczy, coś myślał?

— O! Wiedziałem, że naczynie było stłuczone i o tym to, zdaje się, myślałem... i ono *było* stłuczone.

— Hm! Czy przedtem pokazywał ci ktoś taką samą sztuczkę?

— Gdyby tak było — rzekł Kim — czy myślisz, że pozwoliłbym znów na to? Zrobiłbym fugas chrustas¹¹³!

— A teraz się nie boisz, hę?

— Nie!

Sahib Lurgan przyjrzał mu się jeszcze uważniej.

— Zapytam Mahbuba Alego... nie teraz, ale nieco później — zamruczał. — Jestem z ciebie zadowolony... tak!... i nie!... Jesteś pierwszy, któremu udało się wyjść cało. Chciałbym wiedzieć, czemu to przypisać... Ale masz rację. Nie powinienes o tym wspominać... nawet mnie...

Zawrócił w szary półmrok sklepu i usiadł za stołem, z lekka zacierając ręce. Spoza zwału dywanów wydobyło się ciche, ochryple szlochanie. Był to mały Hindus, posłusznie stojący twarzą ku ścianie; chude jego ramiona drgały gniewem.

— Oho! To ci złośnik, jeszcze jaki złośnik! Ciekawym, czy jeszcze kiedy spróbuje mnie otruć śniadaniem i zmusi mnie do tego, bym je gotował powtórnie?

— *Kubbee... u kubbee nabin!* — zabrzmiała odpowiedź przerywana łkaniem.

— I czy zechce zabić tego drugiego chłopca?

— *Kubbee... kubbee nabin* (Nigdy... nigdy. Nie!)

— *Cóż tobie się zdaje, że on zrobi?* — zwrócił się nagle Lurgan do Kima.

— Ech! Nie wiem. Może dajmy mu spokój. A czemuż on chciał cię otruć?

— Ponieważ tak mnie kocha. Gdybyś ty, na ten przykład, kochał jaką osobę i zobaczyłbyś, że przyszedł ktoś obcy, a osoba, którą kochasz, woli jego niż ciebie... *cóż* byś wtedy uczynił?

Kim zamyślił się. Lurgan z wolna powtórzył to zdanie w języku krajowym.

— Nie otrulbym tej osoby — ozwał się Kim z namysłem — ale obiłbym owego chłopca... *gdyby* ów chłopiec kochał mojego człowieka. Wpierw jednak zapytałbym owego chłopca, czy to prawda.

— Ach! Jemu się wydaje, że mnie każdy musi kochać.

— Wobec mnie się wydaje, że on jest głupi.

— Słyszysz? — ozwał się sahib Lurgan w stronę trzęsących się ramion. — Syn sahiba myśli, że jesteś głuptaskiem. Wyjdź no z kąta, a na przyszły raz, gdy cię serce zaboli, nie próbuj białego arseniku w sposób tak widoczny. Zapewne bies Dasim był wówczas panem naszej biesiady! Mogło mnie to wpędzić w chorobę, moje dziecko, a wtedy obcy człowiek pilnowałby klejnotów. Chodź no.

Berbec, z oczami obrzękłymi od płaczu, wygramolił się spoza zwoju kobierca i rzucił się w uniesieniu do stóp sahiba Lurgana, okazując tak niepomierłą skruchę, że aż to uderzyło Kima.

— Będę się wpatrywał w plamy atramentowe... będę wiernie pilnował klejnotów! O, mój ojciec i moja matka, odpraw jego stąd precz!

Tu, wierzącawszy w tył bosą nogą, wskazał na Kima.

— Jeszcze nie... jeszcze nie zaraz... Niezadługo on sobie odejdzie. Lecz teraz jest on w szkole, w nowej *madrissah*, a ty masz być jego nauczycielem. Zagraj z nim w grę klejnotów. Ja będę liczył.

Dzieciak zaraz obtarł łzy i smyrgnął w głąb sklepu, skąd powrócił z miedzianą tacą.

— Nałóż mi! — ozwał się do sahiba Lurgana. — Niech wyjdą z twej ręki, bo on mógłby powiedzieć, że ja już przedtem je widziałem.

¹¹³*fugas chrustas* — przekrecone z łac. i pol.; żart.: ucieczka w krzaki. [przypis edytorski]

— Spokojnie... spokojnie... — odparł gospodarz i z szuflady pod stołem wysypał na tacę garść brzęczących drobiazgów.

— A teraz — mówił dzieciak wymachując starą gazetą — przypatruj im się, przybłądo, dopokąd ci się podoba. Przelicz je, a jeżeli potrzeba, to i przewracaj ręką. *Mnie* dość jednego spojrzenia! — i odwrócił się dumnie plecami.

— Ale na czymże polega gra?

— Skoro policzysz, poobracasz rękoma i będziesz pewny, żeś już wszystko zapamiętał, nakryję te cacka papierem, a ty musisz wyliczyć je wobec sahiba Lurgana. Ja zapiszę swoje.

— Ooo! — ozwał się Kim, w którym zbudził się duch rywalizacji. Schylił się nad tacę; było tam tylko piętnaście kamyków.

— To fraszka! — rzekł po chwili. Dzieciak nakrył gazetą migotliwe kamienie i jął gryzmolić w hinduskim zeszytku.

— Pod tym papierem jest pięć niebieskich kamieni... jeden duży, drugi mniejszy, a trzy drobne — wypalił Kim jednym tchem — Następnie cztery zielone kamienie, a jeden dziurkowany; nadto jeden żółty, przezroczysty, a jeden podobny do cybucha. Są i dwa czerwone kamienie i... i... naliczyłem ich piętnaście, lecz dwa zapomniałem. Nie! Daj mi chwilę czasu. Jedno było z kości słoniowej, małe a żółtawe i... i... jeszcze chwila...

— Jeden... dwa... — liczył Sahib Lurgan aż do dziesięciu. Kim potrząsnął głową.

— Posłuchaj mego rachunku! — wmieszał się dzieciak, zanosząc się od śmiechu. — Najpierw dwa szafiry ze skazami: jeden ważył dwie *ruttie*, a drugi cztery, ile mogłem ocenić. Ten, co ma cztery *ruttie*, jest nadkruszony na krawędzi. Jest też jeden turkus turkiestański, gładki z czarnymi żyłkami, a dwa z napisami: jeden zawiera imię Boga ułożone złoconymi literami, drugiego zaś pękniętego w poprzek, bo wypadł ze starego pierścienia, nie mogłem odczytać. Oto mamy wszystkie pięć niebieskich kamieni. Są też cztery skażone szmaragdy, lecz jeden jest przewiercony w dwóch miejscach, a jeden jest trochę rżnięty...

— A ważą? — odezwał się sahib Lurgan obojętnie.

— Trzy... pięć... pięć... i cztery *ruttie*, jak mi się zdaje. Jest też kawałek zielonkawego bursztynu fajkowego i szlifowany topaz europejski. Jest i rubin z Barmy, bez skazy, wagi dwóch *ruttii*, a ponadto rubin badakszański ze skazą, ważący dwie *ruttie*. Jest też rzeźba z kości słoniowej, pochodząca z Chin, a przedstawiająca szczura wypijającego jaję; a na koniec... aha!... kulka kryształowa wielkości grochu, oprawiona w złotą blaszkę.

Klasnął w ręce na zakończenie.

— Oto twój mistrz! — rzekł sahib Lurgan, uśmiechając się.

— Phhi! On znał nazwy kamieni — sarknął Kim, czerwieniąc się. — Spróbujmy jeszcze raz... ale z innymi przedmiotami, które obaj znamy dobrze.

Napełnili więc znowu tacę najprzeróżniejszymi rupieciami i odpadkami zbieranymi w sklepie, a nawet po kuchni; za każdym razem dzieciak zwyciężał, aż Kim nie mógł wyjść z podziwu.

— Zawiaż mi oczy... niech no tylko pomacam palcami, a nawet i wtedy zakasuję ciebie, choć będziesz miał oczy odsłonięte! — wyzywał go malec. Kim tupnął ze złości, gdy chłopczyzna stwierdził słuszność swej chluby.

— Gdyby to byli ludzie... lub konie — odezwał się — poszłoby mi lepiej. To granie szczypcami, nożami i nożyczkami jest rzeczą zbyt błahą.

— Najpierw się naucz... potem będziesz uczył innych! — upomniął go sahib Lurgan. — Czy uznajesz go za swego mistrza?

— Juści¹¹⁴. Lecz jak tej sztuki dokazać?

— Powtarzając to wiele razy, póki się nie dojdzie do wprawy... Trud się oplaci.

Mały Hindus, wielce spanoszony¹¹⁵, poklepał Kima po plecach.

— Nie rozpaczaj! — rzekł. — Ja cię tego nauczę.

— A ja się przekonam, że cię dobrze nauczono — rzekł sahib Lurgan, posługując się wciąż językiem krajowym — bo oprócz mego chłopca... (wprawdzie to głupio z jego strony, że kupił tyle białego arseniku, bo przecież dałbym mu sam, gdyby mnie poprosił)... a więc oprócz tego oto chłopaka nie spotkałem już od dawna nikogo, kto by

¹¹⁴juści (gw.) — pewnie, oczywiście. [przypis edytorski]

¹¹⁵spanoszony — zachowujący się jak pan sytuacji; po pańsku. [przypis edytorski]

był godniejszy nauki. A upłynie jeszcze dziesięć dni, zanim będziesz mógł powrócić do Lucknow, gdzie nie uczą niczego... co by miało dłuższą wartość. Zdaje mi się, że będziemy przyjaciółmi.

Przez dziesięć dni dopuszczali się najgorszych wybryków, jak istne wariaty, lecz Kim zanadto był rozbawiony, by mógł nazbyt zdawać sobie sprawę z tego szaleństwa. Rano grywali w grę klejnotów — raz prawdziwymi kamieniami, to znowu stosami mieczów i sztyletów, kiedy indziej zaś fotografiami krajowców. Po południu obaj odbywali wartę w sklepie, siedząc jak trusie za zwalem kobierców lub za skrzynią i przyglądając się wielu osobliwym gościom pana Lurgana. Bywali tam drobni radzowie, których orszak pokaszliwał na werandzie; przybywali, by kupować różne cuda — takie jak fonografy i nakręcane zabawki. Przychodziły i panie poszukujące naszyjników, i mężczyźni, którzy, jak się zdawało Kimowi (lecz umysł jego może był zepsuty przedwczesnym doświadczeniem), poszukiwali kobiet. Przybywali też krajowcy z niezawisłych i lennych dworów królewskich; niby przywiodła ich tu naprawa pokruszonych naszyjników (strugi światła wylewały się na ladę) — istotnym jednak celem było pono¹¹⁶ wydebienie forsy dla gniewnej maharani (królowej) lub młodych radzów. Zjawiali się też i *babu*¹¹⁷ do których sahib Lurgan przemawiał surowo i poważnie, wszakoż pod koniec każdej pogwarki dawał im pieniądze srebrem lub w banknotach obiegowych. Od czasu do czasu zdarzały się dorywcze zebrania jakichś wystoperczonych krajowców w długich chałatach, którzy rozprawiali po angielsku i bengalsku o metafizyce, ku wielkiemu zbudowaniu pana Lurgana. Kwestie religijne zawsze go interesowały. Na schyłku dnia Kim i mały Hindus (którego imię zmieniało się zależnie od widzi mi się Lurgana) musieli zdawać szczegółowo sprawę ze wszystkiego, co widzieli i słyszeli, wypowiadać poglądy o charakterze każdego człowieka, ujawniającym się w twarzy, rozmowie i zachowaniu, oraz snuć przypuszczenia co do rzeczywistego celu jego przybycia. Po obiedzie słabostką sahiba Lurgana była zazwyczaj tak zwana maskarada; w tej zabawie uczestniczył z całym oddaniem, nie szczędząc rad i wskazówek. Umiał cudownie podmalowywać twarze: tu pacnął pędzlem, tam namazał krechę — i już twarz zmieniała się do niepoznaki. W sklepie było zatrzęsienie najprzeróżniejszych ubrań i zawojów, więc Kim stroił się rozmaicie: raz występował jako młody mahometanin z dobrej rodziny, jako olejarz — to znowu jako syn ziemianina z Oudh w kompletnym przyodziewku tubylczym. Sahib Lurgan jastrzębim okiem umiał odkryć nawet najdrobniejszą usterkę w wykonaniu. Spoczywając na starym tapczanie z drzewa *tekkowego*¹¹⁸, wykladał chłopcom jednym ciągiem przez pół godziny, jak jaka kasta mówi, chodzi, kaszle, pluje, kicha; a ponieważ „jak” niewiele znaczy na tym świecie, dodawał przy każdej rzeczy też: „dlaczego”. W tej grze mały Hindus okazywał się niezdarą. Jego rozumek, cięty jak sople lodowy, gdy szło o liczenie kamieni, niezdolny był do tego, by wnikać w cudzą duszę; natomiast w Kimie budził się istny diabeł, śpiewał z uciechy, gdy ustawicznie zmieniał odzież, odmieńając jednocześnie mowę i ruchy.

Uniesiony zapalem, jednego wieczoru dobrowolnie pokazał sahibowi Lurganowi, jak uczniowie pewnej kasty *fakirów*, starzy jego znajomi lahorscy, wyludzają jałmużnę przy drodze oraz jakim językiem przemawiałby w takich okolicznościach do Anglika, do pendzabskiego zagrodnika idącego na jarmark i do kobiety bez namitki¹¹⁹. Sahib Lurgan śmiał się do rozpuku i prosił Kima, by tak jak był — z podwiniętymi nogami, zapapraną popiołem i lypiąc oczyma — pozostał jeszcze przez pół godziny nieruchomo w drugim pokoju. Po upływie tego czasu wszedł do pokoju przysadzisty, opasły *babu*, którego łody odziane w pończochy trzęsły się od sadła. Kim przywitał go gradem łobuzerskich docinek. Sahib Lurgan, co gniewało Kima, przypatrywał się *babu*, a nie grze.

— Zdaje mi się — mówił *babu* ociężale, zapalając papierosa — jestem zdania, że jest to gra wyborna i wielce sprawną. Gdybyś mi pan tego nie był opowiedział, sądził-

¹¹⁶*pono* (gw., daw.) — prawdopodobnie, zapewne. [przypis edytorski]

¹¹⁷*babu* (hind.: pan) — nadaje się ten tytuł najczęściej Hindusom na pół zanglicztałym. [przypis tłumacza]

¹¹⁸*tekk* (ang. *teak*) — drzewo rosnące w Indiach, odznaczające się niezwykłą twardością i trwałością, używane zwłaszcza do budowy okrętów. [przypis tłumacza]

¹¹⁹*namitka* — kobiece nakrycie głowy, chusta okrywająca całą głowę wraz z czołem i ramionami. [przypis edytorski]

bym, że... że... zwalasz mnie pan z nóg. Kiedyż to on mniej więcej może stać się dobrym topografem? Bo *utedy* ugodzę go do służby¹²⁰.

— Tego właśnie ma on się uczyć w Lucknow.

— Tedy powiedz mu, żeby był dziarskim zuchem. Dobranoc, Lurganie.

Babu wyszedł z domu chodem krowy utyłanej w błocie.

Gdy potem wyliczali goście, którzy bawili tutaj w ciągu tego dnia, sahib Lurgan zapytał Kima, kto, zdaniem jego, był ów człowiek.

— Bóg raczy wiedzieć! — rzekł Kim wesoło. Ten ton może by i oszukał Mahbuba Alego, ale nie taka to łatwa była sprawa z lekarzem chorych pereł.

— Juści¹²¹. Bóg wie o tym; ale chciałbym wiedzieć, co ty o tym myślisz.

Kim rzucił okiem w bok na swego towarzysza, którego spojrzenie zniewalało go niemal do powiedzenia prawdy.

— Ja... ja myślę, że on mnie będzie potrzebował, gdy już wyjdę ze szkoły, ale — (tu przeszedł w ton poufaty, gdy sahib Lurgan skinął głową potwierdzająco) — nie rozumiem, jak on może ubierać się rozmaicie i mówić wieloma językami.

— Zrozumiesz później wiele rzeczy. Píše on raporty pewnemu pułkownikowi. Ma wielkie poważanie tylko w Simli, a rzecz szczególna, że nie posiada nazwiska, tylko liczbę i literę... taki to u nas zwyczaj.

— A czy też nałożono cenę na jego głowę... jak na Mah... na wszystkich innych?

— Jeszcze nie; lecz gdyby pewien chłopiec, który teraz tu siedzi, powstał i poszedł (patrz, drzwi są otwarte!) do pewnego domu z czerwono malowaną werandą, za dawnym teatrem na Dolnym Bazarze, i szepnął tam przez okiennice: „Hurree Chunder Mookerjee przyniósł złe nowiny z zeszłego miesiąca”, to taki chłopiec otrzymałby zapewne kaletę pełną rupii.

— Ile? — nie omieszkiał zapytać Kim.

— Pięćset... tysiąc... ile by zażądał.

— Dobrze. A jak długo żyłby taki chłopiec po wyjawieniu tej nowiny? — i roześmiał się wesoło w samą brodę sahibowi Lurganowi.

— No-o! Dobrze, że ci to przyszło na myśl. Gdyby był bardzo przebiegły, przeżyłby może dzień... ale nie przeżyłby nocy... Żadną miarą.

— Jakaż więc płacę pobiera *babu*, jeżeli na tyle ceni się jego głowę?

— Osiemdziesiąt... może sto... może sto pięćdziesiąt rupii; lecz płaca jest rzeczą najmniejszą w tym zawodzie. Co pewien czas Bóg zsyła na świat ludzi... i ty jesteś jednym z nich... którzy mają ochotę wyprawiać się z narażeniem życia hen w świat i zasięgać wieści... dziś, dajmy na to, o sprawach dalekich, jutro o jakiejś ukrytej górze, a dnia następnego o jakichś ludziach z sąsiedztwa, którzy zbroili coś niemądrego przeciwko państwu. Takich niespokojnych duchów jest bardzo mało, a jeszcze z tych niewielu, za ledwie dziesięciu się może na coś przydać. Do tych dziesięciu zaliczam, rzecz szczególna, tego *babu*... Jakże więc wielkie i upragnione musi być zajęcie, które bezczelnością napawa serce Bengalczyka!

— A ino¹²². Ale mnie jeszcze długo na to czekać. Jestem jeszcze chłopcem i dopiero przez dwa miesiące uczyłem się pisać *Angrezi* (po angielsku). Nawet dotychczas czytać nie umiem porządnie w tym języku. Jeszcze przejdą lata, lata, długie lata, zanim stanę się choćby tym „omentrą”.

— Bądź cierpliwy, Przyjacielu całego świata! — (Kim aż się wzdrygnął na to nazwanie.) — Chciałbym ci ja mieć te lata, na które tak się dąszasz. Wypróbowałem cię w kilku drobnych okolicznościach. Nie będzie ci to zapomniane, gdy będę zdawał raport sahibowi pułkownikowi.

Naraz jął mówić po angielsku, śmiejąc się do głębi duszy:

— Na Jowisza! O'Haro, zdaje mi się, że z ciebie będą ludzie; ale nie powinienś zhardzieć ani też gadać za wiele. Masz wrócić do Lucknow, być grzecznym chłopakiem i myśleć tylko o książce, jak mawiają Anglicy, a na przyszłe wakacje, jeżeli będziesz miał ochotę, może jeszcze zawitasz do mnie.

Kim opuścił głowę.

¹²⁰ *ugodzić kogo do służby* — przyjąć kogo do pracy (służby). [przypis edytorski]

¹²¹ *juści* (gw.) — oczywiście, pewnie. [przypis edytorski]

¹²² *a ino* (gw.) — no pewnie. [przypis edytorski]

— No, to znaczy, *jeżeli* będziesz miał ochotę. Wiem, gdzie chciałbyś się udać.

W cztery dni później dla Kima i dla jego walizeczki urządzono siedzenie na tyłach *tongi* (dwukołowej bryczki) kalkańskiej. Jego towarzyszem był znany już, wielorybiej tuszy *babu*, który owinąwszy sobie łepetę frędzlistym szalem i podwinąwszy pod siebie mięsiłą lewą nogę, odzianą w kraciatą pończochę, trząsał się i odchrząkiwał pod wpływem porannego przymrozku.

„Jak to wytłumaczyć, że ten człowiek jest jednym z *naszych*?” — rozmyślał Kim, przyglądając się jego plecóm, które trzęsły się jak galareta, gdy wóz podskakiwał na wybojach drogi; to rozważanie pobudziło go do wielce uciesznych rojeń. Sahib Lurgan dał mu pięć rupii (wspaniała suma!) oraz zapewnienie swego poparcia, jeżeli będzie pracował. Sahib Lurgan, zgoła inaczej niż Mahbub, mówił całkiem wyraźnie o nagrodzie za posłuszeństwo — więc Kim był zadowolony. Gdyby tylko mógł, jak *babu*, dostąpić tego zaszczytu, by mieć swą liczbę i literę... i cenę nałożoną na swą głowę! Kiedyś będzie on tym wszystkim albo nawet czymś więcej. Kiedyś będzie prawie tak wielki, jak sam Mahbub Ali! Myszkować będzie już nie na dachach domów, ale na połowie obszaru Indii; będzie śledził królów i ministrów, jak niegdyś śledził *vakilów*¹²³ lub dependentów adwokackich w Lahorze na rzecz Mahbuba Alego. Na razie miał przed sobą fakt bliższy, a niepozbowiony uroku, mianowicie, że niebawem znajdzie się znów w konwikcie św. Ksawerego. Tam będzie można okazać swą wyższość wobec nowych uczniów i posłuchać opowiadań o przygodach wakacyjnych. Marcinek, syn plantatora herbaty w Manipur, przechwalał się wprzód, że pójdzie ze strzelbą na wojnę przeciwko opryszkóm. Niech mu ta będzie! Ale to rzecz pewna, że Marcinek nie był rzucony wybuchem fajerwerków przez pół dziedzińca pałacu patialskiego, ani też nie...

I Kim zaczął sobie opowiadać własne przygody z trzech miesięcy ostatnich. Gdyby mu wolno było, opowieścią swą wprawiłby w osłupienie cały zakład św. Ksawerego — nawet najstarszych chłopców, co już się golili. Ale opowiadać mu nie wolno! Trzeba trzymać język za zębami! Gdy przyjdzie czas po temu, wówczas, jak zapewniał go sahib Lurgan, nałożą cenę na jego głowę; więc gdyby teraz wygadał się po głupiemu, nie tylko nigdy nie nałożono by tej ceny, ale co gorsza, pułkownik Creighton puściłby go w trąbę... i Kim stałby się pastwą gniewu sahiba Lurgana i Mahbuba Alego — na niedługie dni życia, jakie by mu jeszcze pozostały.

„W ten sposób dla jednej ryby utraciłbym Delhi!” — streścił swe poglądy przysłowiem. Wypadało mu teraz zapomnieć o wakacjach (w każdym razie pozostało mu jeszcze tyle dowcipu, by zmyślać niebywałe przygody) i, jak się wyraził sahib Lurgan, trzeba się było wziąć do pracy.

Ze wszystkich chłopców śpieszących z powrotem do zakładu św. Ksawerego, od piaszczystych okolic Sukkur aż po palmowe gaje Galie, żaden nie czuł takiego upojenia i fantazji jak Kimball O'Hara, mknący do Umballi w podrygującej kałamazce za plecami imć Hurree Chundera Mookerjee, którego nazwisko w księgach jednego z oddziałów Instytutu Badań Etnologicznych zapisane było jako R-17.

A jeżeli było ponadto potrzeba jakiej podniety, to starczył za nią sam *babu*. Po sutym posiłku w Kalce rozgadał się tak, że mu się gęba nie zamykała. Pytał Kima: czy jedzie do szkoły? Tak? Wobec tego on, jako *magister artium* uniwersytetu w Kalkucie, wytłumaczy mu, jakie są korzyści nauki. Można zdobyć odznaczenie przez pilne wykuwanie łaciny i *Wycieczki Wordswortha*¹²⁴ (wszystko to było dla Kima tureckim kazaniem). Język francuski był też ważnym przedmiotem, a najlepiej można się było w nim wprawić w Chandernagore, o kilka mil od Kalkuty. Również daleko można było zajść (jak tego sam na sobie doświadczył) przez dokładne zgłębianie dramatów zatytułowanych *Lear* i *Juliusz Cezar*, których znajomości bardzo wymagali egzaminatorzy. *Lear* nie był tak przepelniony odnośnikami historycznymi jak *Juliusz Cezar*; książka ta kosztuje cztery

¹²³*vakil* — dosłow. ambasador, dworzanin; tytuł ten nadaje się w Indiach adwokatóm lub posłóm-krajowcom. [przypis tłumacza]

¹²⁴*Wycieczki Wordswortha* — chodzi o dziewięcioczęściowy poemat ang. poety romantycznego, Williama Wordswortha (1770–1850) *The Excursion* z 1814, wydany pośmiertnie. [przypis edytorski]

anny, ale na Krzywym Bazarze można ją nabyć za dwie. Jeszcze ważniejszą od Wordswortha lub wybitnych autorów, jak Burke i Hare, była sztuka i umiejętność miernictwa. Chłopiec, który zdał egzamin w tej dziedzinie (do której, mówiąc nawiasem, nie było kluczów i streszczeń podręcznych), potrafi, idąc sobie — ot tak po prostu — uzbrojony jedynie w kompas, śródwagę i bystre oko, zdjąć obraz danej okolicy ...a za ten obraz można dostać niemalą sumę w brzęczącej monecie srebrem. Ale ponieważ noszenie z sobą łańcuchów mierniczych bywa niekiedy rzeczą niedogodną, przeto chłopiec powinien znać dokładnie długość własnego kroku, tak iż nawet wtedy, gdy będzie pozbawiony (jak się wyrażał Hurree Chunder) „przygodnych środków pomocniczych”, może odmierzyć własnymi nogami potrzebną mu odległość. Ażeby nie zatracić rachunku, gdy szło o tysiące kroków, doświadczenie Hurree Chundera pouczyło go, iż nie ma nic przydatniejszego jak różaniec z osiemdziesięciu jeden albo stu ośmiu paciorków, albowiem „te liczby są podzielne i podpodzielne przez wiele mnożników i podmnożników”. Wśród hucznych, rwących potoków angielszczyzny Kim chwycił główne wytyczne tej gawędy — i bardzo go to zaciekawiało. Oto jawił mu się nowy kunszt, zdolny pomieścić się w ludzkiej głowie: zaś na widok wielkiego, rozległego świata, odsłaniającego się jego oczom, przychodzi mu na myśl, że im więcej ktoś umie, tym lepiej dla niego.

Po półtoragodzinnym mówieniu *babu* nadmienił:

— Spodziewam się, że kiedyś będę miał przyjemność znać się z tobą oficjalnie. *Ad interim*¹²⁵ (niechże mi będzie darowane to wyrażenie) ofiaruję ci to pudełko z betelem, które jest przedmiotem bardzo cennym i cztery lata temu kosztowało mnie dwie rupie.

Było to tanie pudełko mosiężne w kształcie serca, z trzema przegrodami na wieczny orzech betelowy¹²⁶, cytrynki i liście *pan*; znajdowały się w nim jednak małe słoiczki z pigułkami leczniczymi.

— To daję ci w nagrodę za odgrywanie roli owego świątka. Bo widzisz, jesteś jeszcze tak młody, iż ci się zdaje, że będziesz żył wiecznie, i nie troszczysz się o zdrowie. Oj, bieda! to zachorować podczas pracy! Sam lubię lekarstwa, a przydadzą się one też nieraz, by uleczyć jakiego chudzińca. Są tu dobre lekarstwa z apteki okręgowej... chinina i inne tym podobne. Daję ci je na pamiętkę. A teraz do widzyska. Mam tu po drodze załatwić pilny interes osobisty.

Cichuteńko niby kot zesunął się na gościniec wiodący do Umballi, zawołał na przejeżdżającą *ekkę* i odjechał z turkotem. Kim, nie mogąc wymówić ani słowa, obracał w rękach mosiężne pudełko od betelu.

Akta odnoszące się do nauki chłopca obchodzą mało kogo oprócz rodziców; Kim zaś, jak wiadomo, był sierotą. W księgach zakładu św. Ksawerego *in partibus infidelium* zapisano, że sprawozdanie z postępów Kima posyłano z końcem każdego okresu szkolnego na ręce pułkownika Creightona i ojca Wiktora, od których w zamian zawsze punktualnie przychodziły pieniądze na kształcenie chłopca. W tychże księgach były dalej wzmianki, że okazywał wielkie zdolności w matematyce, jako też w kreśleniu map, i że za wyróżnianie się w tych przedmiotach dostał nagrodę (*Żywot pana Wawrzyńca*, dwa tomy, oprawa w skórkę cielęcą, co wyniosło — dziesięć rupii, osiem *ann*); drugą nagrodą było to, że grał w palanta jako jeden z jedenastu przedstawicieli zakładu św. Ksawerego przeciwko allighurskiemu kolegium mahometańskiemu — miał wtedy czternaście lat i dziesięć miesięcy. Był też szczeniakiem powtórną (z czego można wnosić, że w Lucknow znów wybuchła epidemia ospy) — mniej więcej w tym samym czasie. Ołówkowe notatki na rogu starego dziennika klasowego wspominają, że Kim był kilkakrotnie karany za „przestawanie z nieodpowiednimi osobistościami”, a raz podobno poniósł ciężką karę za „samowolne oddalenie się w towarzystwie ulicznego żebraka”. Było to wtedy, gdy chłopak wykradł się poza furtkę i chodząc wzdłuż brzegów Gomtee nalegał na lamę, by ów pozwolił mu powłóczyć się z sobą w czasie następných wakacji... przez miesiąc... a choćby przez ty-

¹²⁵*ad interim* (łac.) — tymczasem, póki co. [przypis edytorski]

¹²⁶*betel* — Piper Betle; roślina, której liście Hindusi palą albo też żują z orzechami areki (odmiana palmy); przez pomyłkę zwykło się i owe orzeszki nazywać betelowymi. Ową mieszaninę nazywa się powszechnie *pan*, nazwa ta często określa i sam betel. [przypis tłumacza]

dzień; lecz lama opierał się temu jak głaz, zapewniając go, że jeszcze nie nadeszła pora po temu. Powinnością Kima (mówił starzec, gdy razem zjadali placki) było zdobywanie wiedzy sahibów; co potem — to jeszcze się zobaczy. Wszakże dłoń przyjaźni widocznie jakimś sposobem odwracała bizun kłęski, bo coś w sześć tygodni potem Kim zdał z oznaczeniem egzamin z miernictwa elementarnego; miał wówczas lat piętnaście i osiem miesięcy. Od tej daty w aktach o nim głucho. Jego nazwiska nie spotyka się w spisie tych, którzy w owym roku wstąpili do niższego Indyjskiego Instytutu Pomiarów — zamiast tego znajdują się słowa: „przeniesiony na stanowisko”.

W ciągu tych trzech lat niejednokrotnie do świątyni Tirthankerów w Benares przybywał skądś lama, nieco chudszy i kapkę żółciejszy (ile to możliwe), lecz zawsze jednak cichy i nieskażony na duchu. Czasem przybywał z południa... z południowego Tuticorinu, skąd odjeżdżają dziwne łodzie ogniste do Cejlonu, gdzie przebywają kapłani znający *pali*¹²⁷; czasem znowu przybywał z dżdżystego, zielonego zachodu, z tych stron, gdzie przedzalnie bawelny wieńcem kominów otaczają Bombaj; to znowu z północy, gdzie przeszedł osiemset mil tam i z powrotem, aby pogwarzyć przez dzień cały z nadzorcą wizerunków w Domu Cudów. Za każdym razem wchodził do swej celi rżniętej w chłodnym marmurze (kapłani świątyni byli dobrzy dla starca), splukiwał z siebie pył podróży, odmawiał pacierze i wyjeżdżał do Lucknow trzecią klasą, bo już zupełnie się oswoił z koleją. Rzecz zastanawiająca (wyznawał jego przyjaciel-badacz arcykapłanowi), że ilekroć powrócił, na czas jakiś zaprzestawał się martwić zniknięciem rzeki i nie kreślił dziwnych obrazów przedstawiających koło życia, lecz wołał gwarzyć o piękności i mądrości jakiegoś tajemniczego *cheli*, którego żaden ze świątników nigdy nie widział na oczy. Tak, on — lama — chodził po całych Indiach śladami błogosławionych stóp. (Kustosz ma jeszcze po dziś dzień przedziwny opis jego wędrówek i rozmyślań.) W życiu nic mu już nie pozostawało, jak tylko odnaleźć Rzekę Strzały. Wszakże we śnie miał objawienie, że nie może spodziewać się pomyślnych rezultatów, jeżeli ów poszukiwacz nie będzie miał przy sobie *cheli*, który byłby zdolen¹²⁸ wszystko ziszczyć szczęśliwie i zdobyć wielką wiedzę — jaką słynie siwy strażnik wizerunków. Dla przykładu (tu sięgał do tykwy z tabaką, a uprzejmi kapłani dżeińscy milkli natychmiast) głosił taką przypowieść:

— Wiele, wiele lat temu, gdy Devadatta był królem Benaresu... niech wszyscy słuchają *Dżataki*¹²⁹!... łowcy królewscy schwytali słonia; zanim zwierzę zdołał wydostać się na wolność, zakuto go w bolesne dyby żelazne. Ze złością i wściekłością w sercu usiłował zrzucić te pęta, a biegnąc tam i sam po lasach, błagał inne słonie, swe pobratymy, ażeby je zerwali. Jeden po drugim dobierali się do kajdan potężnymi trąbami — żaden nie zmógł żelaza. W końcu wyrazili przekonanie, że obręcz nie skruszy żadna moc zwierzęca. Zasię w krzewinie leżało wśród stada jednodniowe, dopiero narodzone słoniątko, jeszcze mokre od wilgoci porodowej, któremu zdechła matka. Skowany¹³⁰ słoń zapomniawszy o własnej katuszy rzekł: „Jeżeli nie poratuję tego cysioka, to jeszcze roztarasimy takie chuchro swymi nożyskami”. Stał więc nad maleństwem, czyniąc ze swych nóg zaporę przed włóczącym się nieuważnie stadem. Od którejsiś pocziwej słonichy wyżebrał mleka dla niebożęcia; słoniątko podchowało się, a skowany słoń był mu przewodnikiem i obrońcą. Otóż, niech wszyscy słuchają *Dżataki*! — słoń potrzebuje lat trzydziestu pięciu, by dojść do pełni sił; przez trzydzieści pięć pór deszczowych skowany stary słoń opiekował się młodszym, a przez ten czas obręcz coraz to bardziej wżerała mu się w ciało. Pewnego razu młody słoń dostrzegł wpół wrośnięte żelazo i zwracając się do starego, zagadnął: „Cóż to takiego?”. „To właśnie mnie boli” — odparł ów, który nim się opiekował. Wtedy tamten wysunął trąbę i w gnieniu oka skruszył obręcz mówiąc: „Nadszedł czas oznaczony”. Tak więc pocziwy słoń, który czekał cierpliwie i spełniał uczynki miłosierdzia, został w czasie oznaczonym wybawion przez tego słonika, którego pielęgnował, zawróciwszy ze swej drogi... niech wszyscy słuchają *Dżataki*!... bo słoniem tym był Ananda, a słoniątkiem, które zerwało mu okowy, był nie kto inny, jak sam Pan nasz najmiłościwszy...

¹²⁷*pali* a. *bhasa* — język używany w świętych księgach buddyjskich [przypis tłumacza]

¹²⁸*zdolen* — dziś: zdolny. [przypis edytorski]

¹²⁹*Dżataka* — w buddyzmie: pouczająca opowieść mająca cechy bajki, legendy i przypowieści. [przypis edytorski]

¹³⁰*skowany* — dziś: skutny. [przypis edytorski]

Po czym potrząsał głową dobrotliwie i chrobocząc bez przerwy różańcem, wykazywał, jak owo słońce było wolne od grzechu pychy. Był tak pokorny, jak pewien *chela*, który widząc swego mistrza siedzącego w kurzu wedle Podwojów Wiedzy przeleciał przez wrzeczadze (mimo że były zaryglowane) i przycisnął mistrza do serca wobec pychę nadętych mieszczuchów. Sowitaż¹³¹ będzie nagroda takiego mistrza i takiego *cheli*, gdy przyjdzie na nich czas wspólnego szukania wolności!

Tak se¹³² pogwarzał lama, przelatując wzdłuż i wszerz nad całymi Indiami, cichuśko jak nietoperz. Pewna swarliwa starucha mieszkająca poza Saharunpore, w dworku okolonym drzewami owocowymi, czciła go, jak to kobieta umie czcić proroka, ale pokój jego nie był wcale murowany. Lama tam siadywał w ogrodzeniu dziedzińca, gdzie z góry nań poglądały gruchające gołębie; ona zaś odrzucała z twarzy zbędną namitkę i bajdurzyła o duchach i biesach buluańskich, o nienarodzonych jeszcze wnuczętach i o wyszczekanym bachorze, który rozmawiał z nią kiejs¹³³ na popasie. Kiedyś zasię starzec powlókł się sam w bok od głównego traktu pod Umballą — do onej wioski, gdzie to kapłan chciał go odurzyć odwarem; łaskawe niebiosy, które czuwają nad lamami, doprowadziły go, gdy zadumany i niefrasobliwy szedł pośród łąnów o zmierzchu, przed wrota *ressaldara* (rotmistrza). Tu, zdaje się, zaszło wielkie nieporozumienie, gdyż stary wiarus zapytał go, czemu Przyjaciel gwiazd nieledwie przed sześciu dniami przechodził tą drogą.

— To niemożliwe! — rzekł lama. — On powrócił do swych rodaków.

— Dyc¹³⁴ on tu siedział w tym kącie pięć dni temu i opowiedział mi kopę¹³⁵ zabawnych dykteryjek — obstawał przy swoim gospodarz. — Po prawdzie, to nad ranem znikł nagle jakoś bez śladu, nagadawszy się trzy po trzy z moją wnuczką. Rośnie chłopak jak na drożdżach, ale jest zawsze tym samym Przyjacielem gwiazd, który przyniósł mi niemyślną wieść o wojnie. Czyżście się rozeszli?

— Tak... i nie... — odparł lama. — My... my... nie rozłączyliśmy się zupełnie, tylko jeszcze nie nadszedł czas, byśmy się razem mieli puszczać w drogę. On znajduje się w pewnej miejscowości, gdzie zdobywa wiedzę. Musimy jeszcze czekać.

— Mniejsza z tym... ale gdyby to nie był ów chłopak, to czemużby on tak ustawicznie mówił o tobie?

— A cóż on mówił? — zapytał lama gorączkowo.

— A, same dobre słowa... ze sto tysięcy ich było: że jesteś jego matką i ojcem i tak dalej. Szkoda, że nie wstąpi w służbę Królowej. To ci chwata!

Ta nowina zdumiała lamę, który wówczas jeszcze nie wiedział, jak święcie Kim dotrzymywał układu zawartego z Mahbubem Alim i zatwierdzonego siłą rzeczy przez pułkownika Creightona...

— Młodego kuca nie odwodzi się od gry! — rzekł koniarz, gdy pułkownik wytykał mu, że ta wakacyjna włóczega po Indiach nie prowadzi do niczego. — Jeżeli mu się nie pozwoli chadzać tam i sam wedle jego upodobania, to on złamie zakaz... a wtedy, kto go złapie? Sahibie-pułkowniku, chyba tylko raz na tysiąc lat trafi się koń tak wyborny do gry, jak ten nasz źrebak. A ludzi nam potrzeba!

ROZDZIAŁ X

Za długoż ptak twój w klatce, miłościwy panie!
Toć bujawy krogulec, nie chowańczyk młody!
Nimeśmy go pojмали¹³⁶, hasał na swobodzie...
Wierę¹³⁷! bych go posiadał¹³⁸ (jak tę rękawicę,
Co mu miasto¹³⁹ kaptura nakładam na głowę),

¹³¹sowitaż — konstrukcja z partykulą -ż; tu: w funkcji wzmacniającej; *sowity*: obfity, wielki. [przypis edytorski]

¹³²se (gw.) — sobie. [przypis edytorski]

¹³³kiejs (gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

¹³⁴dyc (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

¹³⁵kopa (daw.) — sześćdziesiąt sztuk; przen.: mnóstwo. [przypis edytorski]

¹³⁶nimeśmy go pojмали — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nim go pojmałiśmy. [przypis edytorski]

¹³⁷wierę (daw.) — zaprawdę, zaiste. [przypis edytorski]

¹³⁸bych go posiadał (daw.) — gdybym go posiadał. [przypis edytorski]

¹³⁹miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Puściłbych¹⁴⁰ go w przegony z sokołem. Tu w dworze
Ułożono go pięknie... zna wiatry i łowy...
Puść go w przestwór niebieski, który Bóg dlań stworzył,
I któż mu tam dorówna?...

Ze staroświeckiego widowiska.

Sahib Lurgan nie miał zwyczaju mówić tak bez ogródek, ale jego pogląd na tę sprawę zgadzał się ze zdaniem Mahbuba Alego i koniec końców sprawa wzięła obrót pomyślny dla Kima. Umiał już lepiej się urządzać niż wtedy, gdy w przebraniu tubylczym opuszczał miasto Lucknow; jeżeli Mahbub znajdował się w miejscu, dokąd mógł go dojść list, chłopak pędził wprost do jego obozowiska i tu, pod przezornym okiem Pathana, dokonywał swej przemiany. Gdyby miernicza kasetka z farbami, której poprzednio na lekcjach używał do malowania map, umiała opowiedzieć o jego sprawkach wakacyjnych, kto wie, czy nie wypędzono by go ze szkoły. Razu pewnego w towarzystwie Mahbuba przyjechał z trzema wagonami koni aż do uroczego miasta Bombaju, a Mahbub omal że się nie rozplynął z radości, gdy Kim poddał mu myśl, by nająć *dhow*¹⁴¹ i kopnąć się za Ocean Indyjski celem zakupu koni arabskich znad zatoki, za które — (jak się dowiedział od jednego z pieczeniarzy kupca Abdul Rahmana) — lepiej płacono niż za konie kabulskie.

Z owym wielkim kupcem Kim maczał rękę w jednej misie, gdy Mahbub wraz z kilkoma współwynawcami zostali zaproszeni na wielką biesiadę hadżyjską (dla wiernych). Wracali morzem przez Karaczy; wówczas to Kim, siedząc koło przedniej luki wchodowej¹⁴² na pobrzeżnym parowcu, po raz pierwszy w życiu zaznał choroby morskiej i miał niezbitą pewność, że go struto. Słynne puderko z lekami, które miał od *babu*, okazało się bezużyteczne, chociaż Kim dobrze je zaopatrzył w Bombaju. Mahbub miał interesy w Quetcie; tutaj Kim, jak przyznawał Mahbub, zarobił sobie na utrzymanie (a może i nieco więcej), przepędziwszy w sposób osobliwy cztery dni na służbie za kuchcika w domu otyłego sierżanta policji, z którego szafy urzędowej wykradł w chwili odpowiedniej małą książkę w welin oprawną (na pozór „pisało” w niej jeno o sprzedaży bydła i wielbłądów) i przepisał ją całą przy świetle księżycy przez jedną ciepłą noc, leżąc za dobudówką domu. Potem włożył ów rejestr z powrotem na swoje miejsce i zgodnie z poleceniem Mahbuba uciekł ze służby, nie wzięwszy nawet zapłaty; o sześć mil dalej na drodze dogonił Mahbuba, mając w zanadru czysty odpis.

— Ten żołnierz, to jeszcze niewielka ryba — wyjaśnił Mahbub Ali — ale z czasem złowimy i grubszą. On jedynie sprzedaje woły za podwójną cenę; jedną dla siebie, a drugą dla rządu, czego nie uważam za grzech.

— Czemuż nie mogłem zabrać tej książeczki i dać z nią drapaka?

— Ten człowiek byłby się zatrwożył i powiedziałby swemu zwierzchnikowi, a wtedy może byśmy utracili sporo nowych karabinów, które z Quetty docierają na północ. Gra jest tak wielka, że za jednym razem można tylko niewiele zobaczyć.

— Oho! — rzekł Kim i zamilkł.

Było to w czasie *monsunowych*¹⁴³ wakacji, właśnie podówczas, gdy Kim otrzymał nagrodę za postępy w matematyce. Święta Bożego Narodzenia (urwawszy z nich dziesięć dni na własną rozrywkę) spędził u sahiba Lurgana; tu najczęściej przesiadywał przed ogniem huczącym w kominie (gościniec wiodący do Dżakko był na cztery stopy przysypany śniegiem) i pomagał Lurganowi nawlekać perły — mały Hindus odjechał w sprawach ożenku. Lurgan kazał chłopcu uczyć się na pamięć całych rozdziałów Koranu aż w końcu Kim potrafił wypowiadać je z całą śpiewnością i z wszystkimi spadkami głosu prawdziwego mułły. Ponadto nauczył go nazw i własności wielu leków krajowych i wyjaśniał, jakie zakłęcia należy stosować przy ich podawaniu. Wieczorami zasię wypisywał

¹⁴⁰*puściłbych* (daw.) — puściłbym. [przypis edytorski]

¹⁴¹*dhow* a. *dow* — arabski statek jednomasztowy, używany zwłaszcza przez handlarzy niewolnikami. [przypis tłumacza]

¹⁴²*luka* — otwór w pokładzie. [przypis tłumacza]

¹⁴³*monsuny* — wiatry wiejące latem z południowego zachodu, a zimą z północnego wschodu; „porą monsunową” nazywa się porę deszczową. [przypis tłumacza]

mu na pergaminie znaki guślarskie: misterne pentagramy uwieńczone imionami biesów Murry i Awana, przyjaciela królów — wypisywanymi fantastycznie w narożnikach. Nade wszystko zaś dawał Kimowi rady, jak ma przestrzegać zdrowotności, jak leczyć się z ataków febry oraz jakie lekarstwa podręczne ma mieć przy sobie podczas podróży. Na tydzień przed odjazdem pułkownik Creighton sahib (nieładnie to było z jego strony) przysłał mu zapisaną kartę egzaminacyjną, gdzie była mowa tylko o prętach i łańcuchach mierniczych, kołach i kątach.

W czasie następných wakacji wyruszył znów z Mahbubem; po drodze o mało nie umarł z pragnienia, wlokąc się z wolna na wielbłądzie przez piaszczyste ugory aż do tajemniczego miasta Bikanir, gdzie studnie dosięgają głębokości 400 stóp, a bywają wokoło zasypane wielbłądzimi piszczelami. Zdaniem Kima była to wycieczka zgoła niezabawna, gdyż pułkownik, na przekór umowie, kazał mu rysować plan tego dzikiego, warownego miasta; ponieważ zaś od muzułmańskich koniuchów i fajczarzy nie można było wymagać, by ciągli łańcuchy miernicze dokoła stolicy niepodległego kraiku, więc Kim był zmuszony odmierzać wszelkie odległości za pomocą różańca. By wyznaczyć położenie jakiegoś miejsca, posługiwał się kompasem, gdy mu się nadarzyła sposobność — przeważnie o zmierzchu, gdy już nakarmiono wielbłądy — a przy pomocy małej kasetki mierniczej z sześciu guzikami farby i sześciu pędzlami wykonał coś, co miało niejaki podobieństwo do stolicy Jeysalmir. Mahbub tego się uśmieł i poradził mu, by jednocześnie sporządził raport pisemny. Kim wziął się do roboty na okładce ogromnej księgi rachunkowej, która leżała pod klapą ulubionego siodła Mahbubowego.

— Powinno się tam zawierać wszystko, co widziałeś, z czym się zetknąłeś i o czym myślałeś. Pisz tak, jak gdyby sam Jang-i-Lat sahib we własnej osobie miał przyjść tu cichcem z olbrzymią armią i wydać wojnę.

— Z jak wielką armią?

— No, dajmy na to, z pół *lakh*¹⁴⁴ żołnierzy.

— Czyste wariactwo! Przypomnij sobie, jak nieliczne i kiepskie są studnie w piaszczyskach. Nawet tysiąc ludzi nękaných pragnieniem nie doszłoby tutaj.

— Zatem opisz to wszystko... a także i wszystkie wyłomy w murze... i skąd wyrębują drzewo na opał... tudzież jaki jest charakter i usposobienie króla. Pozostanę tu, aż sprzedam wszystkie konie. Wynajmę pokój koło bramy miejskiej, a ty będziesz moim rachmistrzem. Drzwi są opatrzone silnym zamkiem.

Raport, wypisany bez omyłek wprawną kaligrafią świętoksawerską, oraz mapę upstrzoną na brązowo, żółto i karmazynowo, można było oglądać jeszcze przed kilku laty (nie-dbały urzędnik pobazgrał ją niezdatnymi znakami pochodzącymi od E-23 z II seistańskiego biura mierniczego), lecz litery kreślone ołówkiem są już dzisiaj chyba całkiem nieczytelne. W drugim dniu powrotnej podróży Kim, ślęcząc w świetle lampki oliwnej, przetłumaczył to wszystko Mahbubowi. Pathan powstał i pochylił się nad cętkowanymi trokami swych siodeł.

— Wiedziałem, że praca twa będzie godna szacunku, więc zawczasu przysposobiłem odzież takową — ozwał się z uśmiechem. — Gdybym był emirem Afganistanu (a zobaczymy go kiedyś zapewne), zapchałbym ci gębę złotem.

To mówiąc, z przesadną czołobitnością złożył wspomniany przyodziewek u stóp Kima. Był tam złotolity kołpak peshawarski sterzcący stożkowato i olbrzymi zawój zakończony szeroką frędzlą ze złota. Była i wyszywana kamizela delhijska, którą się wdziewało na mlecznej białości koszule, zapinaną z prawego boku, szeroką a powłóczystą; był i zielony kaftan z pętlcami jedwabnymi w różne wywijasy na piersiach; ażeby snadź niczego nie brakowało, na dokładkę były i trepy z rosyjskiej skóry, bosko woniejące, o zuchwale zadartych nosach.

— Dobra to wróżba, ubierać się w nowe szatki w środę rano — rzekł Mahbub uroczyście. — Lecz nie należy zapominać, że na świecie są też źli ludzie. Naści¹⁴⁵!

I na domiar tego przepychu, który zapierał Kimowi dech w piersiach, obdarzył go automatycznym rewolwerem niklowanym, wykładanym perłową macicą (*kal*¹⁴⁶. 4,50).

¹⁴⁴*lakh* (sansk. *lakhsā*) — sto tysięcy; krocie. [przypis tłumacza]

¹⁴⁵*naści* (daw., gw.) — masz, weź. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*kal*. — kaliber. [przypis edytorski]

— Myślałem zrazu o lżejszym kalibrze, lecz później zważyłem, że do tego nadają się kulki rządowe; te zaś można zawsze dostać... zwłaszcza z tamtej strony granicy. Wstań, niech no ci się przypatrzę! — poklepał Kima po ramieniu. — Obyś był niezmordowany, Pathanie! O, jakże będziesz kruszył serca! Ach, te oczy pod powiekami, tak strzelające boczkami!

Kim obrócił się w kółko, wspiął się na palcach, wyprostował i odruchowo sięgnął do wąsika, który mu się właśnie sypał. Następnie skłonił się do nóg Mahbubowi, aby dygocącymi dłońmi wyrazić mu swą wdzięczność, bo serce nazbyt miał wezbrane, by mógł przemówić. Mahbub uprzedził go, chwytając chłopaka w objęcia.

— Mój synu — ozwał się — na cóż nam słów? Ale czy ta mała pukawka nie jest rozkoszna? Wszystkie sześć nabojów wyjdzie od jednego pociągnięcia. Nosi się ten rewolwer na piersiach przy samym ciele; tam nie zardzewieje. Nie kładź go nigdy gdzie indziej, a da Bóg, zabijesz nim kiedyś człowieka.

— *Hej-mej!* — rzekł Kim żałośliwie. — Jeżeli sahib zabije kogoś, to go wsadzają do więzienia...

— Prawdać to, ale krok za granicą ludziska stają się mądrzejsi. Schowaj go, ale wpierw winienes go nabić. Cóż ci przyjdzie z nienabitej broni?

— Gdy powrócę do *madrissab*, będę musiał go oddać. Tam nie pozwalają mieć rewolwerów. Czy mi go przechowasz?

— Synku, mnie już kością w gardle stoi ta *madrissab*, gdzie człowiekowi zabierają najlepsze lata życia, aby go nauczyć tego, czego on zdoła się nauczyć tylko na włóczędze. Głupota sahibów jest bezdenna i niebotyczna. Ale pal ich sześć! Może twój raport pisemny wybawi cię z dalszej niedoli, a Bogu to wiadomo, że coraz więcej ludzi potrzeba nam do gry.

Potem, sznurując usta wobec siekającej ich kurzawy piasku, szli przez słoną pustynię aż do Jodhpur, gdzie Mahbub i jego miły siostrzeniec Habib-Ullah mieli sporo spraw kupieckich; stąd zaś, przebrawszy się w odzienie europejskie, z którego już wyrastał, Kim odjechał markotnie drugą klasą do zakładu św. Ksawerego. W trzy tygodnie później pułkownik Creighton zaszedłszy do sklepu Lurgana, by oszacować tybetańskie sztylety do odpędzania upiorów, zastał Mahbuba Alego zbuntowanego już na dobre. Sahib Lurgan działał niby oddział posiłkowy w odwodzie.

— Kucyk jest już ułożony... sprawny... okiełznany i nauczony chodu, sahibie. Odtąd już z każdym dniem będzie tracił swe zalety, jeżeli nie pozwoli mu się brykać. Rzuć mu cugle na kark i niech sobie pohasa — mówił koniarz. — On się nam przyda.

— Ależ on taki młody, Mahbubie... ileż mu tam? Chyba co najwyżej szesnaście lat...

— Miałem piętnaście, gdym zabił człeka i spłodził człowieka, sahibie.

— O stary, niepoprawny pohańcze! — to mówiąc, Creighton zwrócił się do Lurgana. Czarna broda skinęła, przytakując mądrości szkarłatnej brody Afgańczyka.

— *Ja* dawno bym już go zaprzął do roboty — rzekł Lurgan. — Im młodszy, tym lepszy. Dlatego to pilnowanie naprawdę cennych klejnotów powierzałem zawsze dziecku. Pan przysłał go do mnie na próbę. Wypróbowałem go na wszystkie sposoby! Jest to jedyny chłopiec, którego nie zdołałem zmusić, by widział to, co mu każe.

— W kryształach... w kałamarzu? — zapytał Mahbub.

— Nie. Pod dotknięciem mej dłoni, jakem to wam opowiadał. Nigdy mi się nie zdarzało wpierw nic podobnego. Znaczy to, że on ma dość sił, by wykonać wszystko, czego zapagnie, ale pan, panie pułkowniku, sądzi, że to gra w kręgielki. A od tego czasu upłynęły już trzy lata i nauczyłem go przez ten czas wielu rzeczy, pułkowniku Creightonie. Zdaje mi się, że pan go teraz marnuje.

— Hm! Może macie rację. Ale jak wiecie, na razie nie mamy dla niego żadnych prac mierniczych...

— Niech sobie pohasa... niech sobie pohasa! — przerwał Mahbub. — Któż wymaga od źrebięcia, by od razu dźwigało wielkie ciężary? Niech sobie pobiega z karawaną, jak nasze wielbłądźta... ot tak, na los szczęścia. Wziąłbym go z sobą, ale...

— Przydałby się on w pewnej drobnej sprawie... na południu... — przemówił Lurgan ze szczególną słodyczą w głosie, opuszczając ciężkie, sinawe powieki.

— Sprawa ta jest w rękach E-23 — rzekł pospiesznie Creighton. — Jego nie powinno się tam posyłać. Zresztą on nie umie po turecku.

— Niech mu pan jeno opiszę wygląd i zapach listów, jakich mu potrzeba, a on nam je przyniesie — nalegał Lurgan.

— Nie. To robota dla dorosłego — oświadczył Creighton.

W grę tu wchodziła karkołomna sprawa niedozwolonej a wichrzycielskiej korespondencji pomiędzy osobistością uważającą się za najwyższą powagę w rzeczach religii mahometańskiej na całym świecie a jednym z młodych członków pewnej rodziny królewskiej, którego nieraz notowano w aktach z powodu porywania kobiet na terytorium angielskim. Arcykapłan muzułmański był pyszny i zuchwały nad miarę; natomiast młody książę tylko dąsał się, że ograniczono jego przywileje, nie powinien był wszakże prowadzić korespondencji, która go mogła kiedyś skompromitować. Jakoż istotnie jeden list wpadł w ręce niepowołane, ale tego, który go wytropił, znaleziono później nieżywego przy gościńcu, przebranego za kupca-Araba; tak donosił skrupulatnie E-23, podejmując w dalszym ciągu jego robotę. Te wypadki i kilka innych, których nie można było ogłaszać, sprawiły, że Mahbub i Creighton pokiwali głowami.

— Niech sobie wyruszy w świat ze swym czerwonym lamą — rzekł koniarz z widocznym wysileniem. — On kocha tego starucha. Nauczy się przynajmniej mierzenia kroków za pomocą różańca.

— Z tym staruchem jużem załatwił parę spraw... listownie — rzekł pułkownik Creighton, uśmiechając się sam do siebie. — Gdzież on się wybiera?

— Będzie chodził tam i z powrotem po całym kraju, jak to czynił przez te trzy lata. Szuka jakiejś rzeki zbawienia. Klątwa boża niech spadnie na wszyst... — tu Mahbub zagryzł usta. — Ilekroć powróci z włóczęgi, modli się w świątyni Tirthankerów lub w Buddh Gaya. Potem idzie do *madrissah*, by odwiedzić chłopca, o czym zresztą wiadomo, gdyż chłopca karano za to kilkakrotnie. Jest to skończony wariat, ale człek spokojny. Spotykałem się z nim. *Babu* też miewał z nim do czynienia. Mieliśmy go na oku przez trzy lata. Czerwonych Lamów nie ma znów tak wielu w Indiach, by można było zgubić ich ślad.

— *Babu* bywają wielce dziwni — rzekł Lurgan zadumany. — Czy wiecie, czego się doprawdy zachciewa Hurree Babu? Chciałby zostać członkiem Królewskiego Towarzystwa za zbieranie notatek etnologicznych. Mówię panu, opowiedziałem mu o lamie wszystko, com wiedział od Mahbuba i chłopaka. Hurree Babu jedzie do Benares... zdaje mi się, że na własny koszt.

— *Ja* nie wiem nic o tym! — rzekł zwięźle Creighton. On to sam opłacał koszty podróży Hurreego, powodowany niezmiernym zaciekawieniem, kto zacz mógł być ów lama.

— Zasię kilkakrotnie w ciągu tych lat kilku przyczepiał się do lamy, nagabując go o wyjaśnienia dotyczące lamaizmu, tańców diabelskich, zaklęć i czarów. Panno święta! *Ja* bym mógł o tym wszystkim dawno mu powiedzieć. Zdaje mi się, że Hurree Babu już jest nieco za stary do włóczęgi. Woli gromadzić wiadomości o zwyczajach i obrzędach. Tak, on chce być F. R. S¹⁴⁷.

— Hurree ma o chłopcu dobre wyobrażenie... czy nie tak?

— O, tak... bardzo dobre! Spędziliśmy parę miłych wieczorów w moim zaciszu... ale sądzę, że byłoby marnotrawstwem wypuszczać go z Hurreem na badania etnologiczne.

— Nie na początek. Co o tym sądzisz, Mahbubie? Pozwól chłopcu pohasać z lamą przez sześć miesięcy. Potem zobaczymy. On tam nabierze doświadczenia.

— On je już posiada, *sahibie*... Wodę, w której pływa, opanował jak ryba. W każdym razie dobrze będzie wypuścić go ze szkoły.

— Więc doskonale! — rzekł Creighton na wpół do siebie. — Niech sobie idzie z lamą, a jeżeli Hurree Babu będzie miał ich na oku, to nawet i lepiej! On nie narazi chłopca na różne zgryzoty, jak to czynił Mahbub. Dziwne... to jego pragnienie, by zostać F. R. S. Zresztą przymiot to zgoła ludzki. On, ten Hurree, istotnie celuje najlepiej w poszukiwaniach etnologicznych.

Za żadne skarby i odznaczenia pułkownik Creighton nie dałby się odwieść od pracy w Indyjskim Instytucie Mierniczym, ale w głębi serca i on żywił pragnienie, by mógł

¹⁴⁷F. R. S. — Fellow of Royal Society; członek Królewskiego Tow. Naukowego, założonego w r. 1622 celem popierania nauk, zwł. przyrodniczych. [przypis tłumacza]

kiedyś dopisać „F. R. S.” pod swoim nazwiskiem. Odznaczenia, na jakich się znał, można zdobyć dzięki zdolnościom lub poparciu ze strony przyjaciół, natomiast w jego największym przekonaniu, jedynie praca (tj. skrypty przedstawiające jej żywotność) mogła kogoś wprowadzić do Towarzystwa, do którego szturmował już od wielu lat monografiami o dziwacznych kultach i nieznanych obyczajach azjatyckich. Na dziesięciu ludzi zapewne dziewięciu, znudzonych do ostateczności, uciekłoby z *soirée* Towarzystwa Królewskiego; ale Creighton był tym dziesiątym, który czasami tęsknił w duszy do rojnych sal w niefraszliwym Londynie, gdzie siwowłosi lub łysi jegomościowie, niemający zielonego pojęcia o wojsku, uwijali się wśród doświadczeń spektroskopicznych, maluchnych roślinek z zamarych tundr, wśród maszyn elektrycznych do mierzenia szybkości i przyrządów do krajania lewego oka samicy moskita na ułamki milimetrów. Według wszelkiej sprawiedliwości i słuszności winien był raczej apelować do Królewskiego Instytutu Geograficznego, lecz dorosłi jak dzieci, wybierając zabawę, zdają się często na przypadek. Przeto Creighton uśmiechnął się i nabrał lepszego wyobrażenia o Hurree Babu, którego ponosiły podobne pragnienia. Upuścił sztylet służący do zażegnania biesów i spojrzął na Mahbuba.

— Kiedyż to możemy wypuścić źrebię ze stajni? — ozwał się koniarz, czytając w jego spojrzeniu.

— Hm! Jeżeli go wyciągnę rozkazem, to cóż on zrobi... jak ci się zdaje? Nigdy przedtem nie zajmowałem się kształceniem takiego chłopaka.

— Przyjdzie do mnie — rzekł Mahbub bez namysłu. — Sahib Lurgan i ja przygotujemy go do drogi.

— Niechajże tak będzie. Przez sześć miesięcy może sobie biegać, gdzie mu się podoba. Ale kto będzie ręczył za niego?

Lurgan z lekka pochylił głowę.

— On nie wygada się z niczym... jeżeli pan się tego właśnie boi, pułkowniku Creighton.

— Bądź co bądź, jest to zawsze tylko chłopak.

— Ta-ak; ale po pierwsze on nie ma z czym się wygadać, a po wtóre wie, co by go za to spotkało. Zresztą on bardzo lubi Mahbuba, a i mnie po trosze.

— Czy będzie pobierał jaką płacę? — zapytał przezorny koniarz.

— Jedynie strawne na chleb i wodę. Dwadzieścia rupii miesięcznie.

Jedyną korzyścią służby tajnej jest to, że nie ma w niej kłopotliwej kontroli wydatków. Wynagrodzenie jest co prawda śmiesznie chude, lecz funduszem zarządza kilku ludzi, którzy nie żądają pokwitowań ani nie przedstawiają uwierzytelnionych rachunków. Oczywiście Mahbuba błyszczały prawie sikhijską chciwością pieniędzy. Nawet niewrażliwa twarz Lurgana jęła się mienić. Rozmyślał o tych nadchodzących latach, kiedy Kim będzie zaprawiony i wciągnięty w Wielką Grę, która odbywa się ustawicznie, dniem i nocą, w całych Indiach. Przewidywał, że dzięki temu uczniowi spłyną nań zaszczyty i zaufanie ze strony kilku wybranych. Wszak to sahib Lurgan już przedtem dzikiego, bezczelnego i kłamliwego prostaczka z prowincji północnozachodniej ukrzeszał na dzisiejszego E-23.

Wszakże radość tych nauczycieli była błada i mętna w porównaniu z radością Kima, gdy przełożony zakładu św. Ksawerego odwołał go na bok i oznajmił, że pułkownik Creighton wzywa go do siebie.

— Domyślałem się, O'Haro, że on wynalazł ci posadę geometry-asystenta w Wydziale Kanalizacji: zawdzięczasz to dobrym postępom w matematyce. Wygrałeś wielki los, boć masz zaledwie lat siedemnaście; ale chyba to rozumiesz, że nie staniesz się *pukka*¹⁴⁸, dopóki nie zdasz egzaminu powakacyjnego. Przeto nie powinienes sądzić, że idziesz w świat dla zabawy albo że masz już zapewnioną karierę. Czeka cię jeszcze pracy niemało. Dopiero, gdy ci się uda zostać *pukka*, możesz, jak ci wiadomo, awansować na czterysta pięćdziesiąt rupii miesięcznie.

W związku z tym zwierzchnik udzielił mu jeszcze wielu dobrych rad dotyczących sprawowania, obycia towarzyskiego i obyczajności; zaś koledzy, zwłaszcza starsi, których jeszcze nie powoływano na stanowiska, sarkali, jak to potrafią jeno dryblasy anglo-indyjskie, na protekcję i przekupstwo. Co więcej, młody Cazalet, którego ojciec był niższym

¹⁴⁸*pukka* — dosł. mocny, pewny, stały; tu: „etatowy”. [przypis tłumacza]

urzędnikiem w Chunarze, napomykał tu i ówdzie półgębkiem, że pieczołowitość, jaką okazywał pułkownik Creighton Kimowi, płynęła wręcz z rodzicielskich pobudek; Kim, zamiast odeprzeć potwarz, nie raczył nawet ust otworzyć. Rozmyślał nad czekającym go nie lada kawałem, nad wczorajszym listem Mahbuba, bardzo porządnie napisanym po angielsku, a naczynającym mu dziś po południu spotkanie w domu, którego sama już nazwa zjeżyłaby grozą wszystkie włosy na głowie przełożonego.

Tego wieczora na stacji lucknowskiej, ponad wagą towarową, Kim mówił do Mahbuba:

— Bałem się, czy na koniec nie zawali się dach nade mną i czy mnie nie wystrychną na dudka. Czy naprawdę już wszystko się skończyło, o mój ojczy?

Mahbub strzyknął w palce, na znak, że wszystko na amen skończone, a oczy mu płonęły jak rozżarzone węgle.

— Więc gdzież mój pistolet? Niechże już go sobie przywieszę.

— Powoli, powoli! Przez pół roku możesz sobie pobiegać bez postronka u pęcín. Wyjednałem ci to u sahiba-pułkownika Creightona. No, i dwadzieścia rupii miesięcznie. Stary czerwony kapelusz wie, że przyjeżdżasz.

— Zapłacę ci *dastoorie* (faktorne) z mej trzymiesięcznej pensji — rzekł Kim pośpnie. — O tak, dwie runie miesięcznie. Ale wpierw musisz mnie uwolnić od tych łańców (skubnął się w cienkie płócienne porcięta i szarpnął kołnierzyk). — Przyniosłem z sobą wszystko, co potrzeba do drogi. Kufer odesłałem do sahiba Lurgana.

— ...który zasyła ci *salaamy* (ukłony)... sahibie.

— Sahib Lurgan to człek wielce grzeczny. Lecz co ty porabiasz?

— Jadę znów na północ, by uczestniczyć w wielkiej grze. I cóż by więcej? Czy jeszcze się wciąż napierasz, by iść za starym czerwonym kapeluchem?

— Nie zapominaj, że on mnie zrobił, czym jestem... choć sam o tym nie wiedział. Rok rocznie posyłał pieniądze na moją naukę.

— I ja bym to zrobił... gdyby ta myśl mi weszła w twardą łepetę! — burczał Mahbub. — Pódzi¹⁴⁹ no ze mną. Lampy już zapalono i na rynku nikt cię nie spostrzeże. Podrałujemy do domu Huneefy.

Gdy tam szli, Mahbub udzielał mu takich samych przestróg, jakich Lemuelowi udzielała jego matka i, rzecz osobliwa, Mahbub wprost usiłował dowiedzieć, jak Huneefa i jej podobne niewiasty niejednego króla przyprawiły o zgubę.

— Przypominam sobie też — (podchwytywał złośliwie) — czyjeś słowa: „Ufaj wężowi bardziej niż kobiecie rozwiązłej, a kobiecie rozwiązłej więcej niż Pathanowi Mahbub Ali”. Otóż, pominąwszy Pathanów, do których i ja się zaliczam, słowa powyższe są w zupełności prawdziwe. Najprawdziwsze zaś bywają w wielkiej grze, ponieważ właśnie dzięki kobietom wszystkie zamysły spelzają na niczym, a nas samych potem ludziska o świecie znajdują z poderżniętym gardłem. Tak właśnie przydarzyło się jednemu... — i opowiedział całą rzecz, nie pomijając najjaskrawszych szczegółów.

— Więc cóż...?

Kim zatrzymał się przed obskurną klatką schodową, co wspinała się w parne pomrocze pokoju na piętrze, w tej połaci domu, która znajduje się za sklepem tytoniowym Azima Ullaha. Ci, którzy znają tę izbę, nazywają ją „klatką ptaszęcą” — tyle tu szeptów, poświstywań, świegotów.

Izba, zawalona brudnymi poduszkami i niedopalonymi *hookah*, cuchnęła obrzydliwie zatęchłym tytoniem. W jednym kącie spoczywało ogromne, niezdarne babsko, odziane w zielonkawą gazę; jej brwi, nos, uszy, przeguby rąk, ramiona, kibić i kostki były obwieszane ciężkimi ozdobami krajowego wyrobu. Gdy się odwróciła, rozległ się chrzęst niby garnków miedzianych. Na balkonie za oknem miauczało zgłodniałe, chude kocisko. Kim oszołomiony stanął przy kotarze w drzwiach.

— Czy to nowy towar, Mahbubie? — odezwała się Huneefa gnuśnie, ledwie racząc wysunąć z ust cybuch. — O Buktanoo! — (jak większość kobiet jej cechu, zaklinała się na *dżinny*¹⁵⁰ — o Buktanoo! Bardzo jest przystojny!

¹⁴⁹pódzi (gw.) — pójdź. [przypis edytorski]

¹⁵⁰dżinny (arab.) — według wierzeń mahometańskich, są to duchy mogące przybierać postać ludzką lub zwierzęcą. [przypis tłumacza]

— To przedgrywka do sprzedaży konia — tłumaczył Mahbub Kimowi; ten roześmiał się.

— Takiej gadaniny nasłuchałem się od pierwszego tygodnia po urodzeniu — odparł, siadając w miejscu oświetlonym. — Do czego to prowadzi?

— Do zabezpieczenia. Dziś zmienimy twą cerę. To sypianie pod dachem wybieliło cię jak migdał. Ale Huneefa zna farbę, która trzyma się dobrze; nie będzie to malowanie na parę dni. Ponadto uzbroimy cię przeciwko przygodom podróży. Taki to *ode mnie* otrzymasz podarunek, mój synu. Wyjmij wszystkie blachy, jakie masz na sobie, i złóż je tutaj. Zwijaj się prędzej, Huneefo!

Kim wydobyl kompas, mierniczą skrzynkę z farbami i świeżo napełnione pudełko z lekarstwami. Wszystko to towarzyszyło mu stale we wszystkich podróżach, a on, jak to chłopak, bardzo sobie cenil te sprzęty.

Kobieta podniosła się z wolna i posuwała się, wyciągając ręce nieco przed siebie. Kim zmiarkował, że była ślepa.

— Nie, nie — mruzczała — Pathan mówi prawdę... moja farba nie schodzi w tydzień ani też w miesiąc, a ci, których zabezpieczę, mają niechybną ochronę.

— Gdy się jest samemu gdzieś w obczyźnie, niedobrze jest nabawić się ni stąd ni zowąd jakichś wrzodów lub trądu — rzekł Mahbub. — Gdy żyłes ze mną, mogłem wszystkiego dopilnować. Zresztą Pathan ma delikatną skórę. Rozbierz się do pasa i przypatrz się, jak wybielałes.

Huneefa właśnie wracała z pokoju w głębi, macając drogę.

— Nie przejmuj się niczym, ona nie widzi — i wziął cynowy kubek z jej dłoni pokrytej pierścieniami.

Farba okazała się niebieska i kleista. Kim, umoczywszy w niej płatek bawełny, spróbował jej na przegubie ręki; ale Huneefa dosłyszała to.

— Nie, nie! — zawrzała¹⁵¹. — Nie tak to się przystępuje do dzieła, ale z należytymi obrzędami. Malowanie nie jest tu rzeczą najważniejszą. Zabezpieczę cię zupełnie od przypadłości tej włóczęgi.

— Czy to *dżadu* (czary)? — zapytał Kim, wzdrygnąwszy się nieco. Nie lubił patrzeć w białe, wzroku pozbawione źrenice. Mahbub, położywszy mu rękę na karku, zgiął go ku podłodze, tak iż nos chłopaka znalazł się na cal od desek.

— Zachowaj się spokojnie. Nic ci się złego nie stanie, mój synu. Jestem twoją ofiarą.

Nie mógł dostrzec, do czego wzięła się kobieta, ale przez kilka minut słyszał chrzęst jej ozdób. Zapalka rozkwieciła ciemności; wyróżnił dobrze mu znane parkotanie i mdły zapach ziarenek kadzidla. Potem izba napełniła się dymem... ciężkim, wonnym, odurzającym. Poprzez wzmagającą się senność słyszał imiona czartów: Zulbazana, syna Eblisa (Belzebuba), który przemieszkuje w bazarach i *parach*, powodując wszelkie nagle, lubieżne szaleństwa spotykane na postojach przydrożnych; Dulhana, czającego się koło meczetów, który przebywa wśród pantofli wiernego spóółstwa¹⁵², odwodząc ludzi nabożnych od modlitwy; a także imię Mazbuta, pana kłamstwa i lęku. Huneefa, to szepcząc chłopcu do ucha, to znów przemawiając jak gdyby z niezmiernej odległości, dotykała go obrzydliwie miękkimi palcami, lecz Mahbub nie wypuszczał jego karku ani na chwilę z silnego uchwytu. Na koniec Kim, wyrwawszy się z westchnieniem, runął bez zmysłów na ziemię.

— Allah! Jakże on się opiera! Nigdy byśmy tego nie zdziałali inaczej, jak tylko ziołami. Przypuszczam, że to za sprawą jego białej krwi... — rzekł Mahbub zrzędnie. — Klepże dalej *dawut* (zakłęcia). Obdarz go pełnym bezpieczeństwem.

— *O, Słuchający! Ty, który słyszysz uszami, bądź obecny! Usłysz, o Słuchający!* — jęczała Huneefa, zwracając zmartwiałe oczy w stronę zachodu. Ciemna izba napełniła się jękami i charczeniem.

Z balkonu, od strony dworu, jakaś przysadzista postać wytknęła baniastą głowę i zakaszlała nerwowo.

¹⁵¹zawrzała — dziś: zawrzasnęła. [przypis edytorski]

¹⁵²wśród pantofli wiernego spóółstwa — wiadomo, że do meczetów nie wolno wchodzić w obuwiu. [przypis tłumacza]

— Nie przeszkadzaj tej brzuchomównej czarownicy, przyjacielu! — dały się słyszeć angielskie słowa. — Wyobrażam sobie, że dla ciebie stanowi to wielką rozrywkę, ale żaden z oświeconych widzów nie da się tym zbić z tropu.

— ...*Wszystko sprzysięgnę na ich zgubę! O proroku, miej wyrozumiałość dla niewiernych. Niech przez czas jakiś zostaną na uboczu!* — twarz Huneeyi, zwrócona na północ, wykrzywała się okropnie, a zdawało się, że spod pułapu odpowiadają jej jakowej głosu.

Hurree Babu zagłębił się znów w notatniku opartym na parapecie okna, ale ręce mu się trzęsły. Huneefa, jak gdyby oszołomiona blekotem, siedziała w kucki przy bezwładnej głowie Kima, widać się na wszystkie strony, i wywoływała diabły — jednego za drugim, według starożytnej kolejności obrzędu, nakłaniając ich, by omijali wszelkie sprawy chłopaka.

— *W jego rękę są klucze rzeczy Tajemnych! Nikt ich nie zna, prócz jego samego. On wie, co jest na lądzie i morzu!*

I znów posypały się nieziemskie, świszczące odpowiedzi.

— Ja... ja się obawiam, czy te wszystkie zaczynki nie są aby szkodliwe? — ozwał się *babu*, przyglądając się muskułom na grdyce Huneefy, co drgały i targały się w skurczach, gdy baba przemawiała w przeróżnych modulacjach głosu. — Czy... czy nie zanosi się na to, że one mogą nam zabić chłopaka? W razie czego uchylam się od stawiania za świadka w sądzie. Jakiegoż to domniemanego diabła wspomniała na końcu?

— Babudzi — odrzekł Mahbub po hindusku. — Nie żywię szacunku dla biesów indyjskich, ale z synami Eblisa to zgoła inna sprawa: czy są *dzumali* (łaskawi), czy *dzullali* (groźni), nie lubię kafirów¹⁵³.

— Więc sądzisz, że powinienem raczej się wynieść? — rzekł Hurree Babu, podnosząc się. — Są to, prawdę powiedziawszy, zjawiska zdematerializowane. Spencer mówi...

Opetanie Huneefy, jak to bywa nieodbitie w takich razach, przeszło w paroksyzm wycia, a na wargi jej wybiegła piana. Wyczerpana i bezwładna spoczęła koło Kima; owe wariackie głosy ucichły.

— Uff! Już się skończyła ta robota. Żeby to tylko chłopcu wyszło na dobre; a Huneefa to ćwik-baba w robieniu *dawut*. Pomóż mi ją przenieść, *babu*. Nie bój się!

— Jakżebym mógł się obawiać rzeczy zgoła nieistniejących? — odparł Hurree Babu, umyślnie mówiąc po angielsku, by nabrać otuchy. — Byłoby to rzeczą okropną bać się guseł, które się bada z miną wyższości... zbierać przyczynki ludoznawcze dla Towarzystwa Królewskiego, a jednocześnie wierzyć szczerze we wszystkie moce ciemności.

Mahbub parsknął śmiechem. Bywał ci on już przódziej¹⁵⁴ nieraz na włączędze z Hurreem.

— Dokończmyż tego malowania — rzekł. — Chłopak jest już zabezpieczony na dobre, jeżeli... jeżeli panowie przestworza mają uszy do słuchania. Sam jestem *sufi* (wolnomyślny), lecz kiedy można utrafić w słabą stronę kobiety, ogiera lub diabła, to czemuż napraszać się guza? Pokieruj no nim teraz, *babu*, i uważaj, żeby go ten stary czerwony kapelusz nie zaprowadził w jakieś miejsce, gdzie byśmy chłopaka nie mogli capnąć. Ja wracam do swych koni.

— *All raight*¹⁵⁵ — rzekł Hurree Babu. — Na razie mamy z niego ciekawe widowisko.

Około trzeciego piania kogutów Kim ocknął się jakby z tysiącletniego snu. Huneefa chrapała ciężko w kącie, ale Mahbuba już nie było.

— Przypuszczam, że kawaler się nie przestraszył — ozwał się ckliwy głos tuż za jego plecami. — Przyglądałem się całej brewerii, która była wielce ciekawa z etnologicznego punktu widzenia. Był to wyśmienity *dawut*.

— Phu! — rzekł Kim, poznając Hurreego Babu, który uśmiechał się przychylnie.

¹⁵³*kar* a. *kaffir* (arab.) — niewierny, to samo co *giafir* lub *giaur*; nb. pierwsze dwie nazwy często stosowane i do Murzynów bantuańskich określanych jako Kafrowie. [przypis tłumacza]

¹⁵⁴*przódziej* — wcześniej; por. daw. *wprzódy*. [przypis edytorski]

¹⁵⁵*All raight* — przekręcone z [ang.] *all right* [tj. dobrze; red. WL]. [przypis tłumacza]

— Ponadto doznałem tego zaszczytu, żem ci przywiózł od Lurgana obecną twą odzież. Nie jest to mym zwyczajem zanosić oficjalnie takie stroje podwładnym, ale — parsknął śmiechem — ten wypadek ciebie się dotyczący oznaczono w księgach jako wyjątkowy. Spodziewam się, że pan Lurgan zakarbuje sobie w pamięci mój postępek.

Kim ziewnął i przeciągnął się. Tak mu było lubo wykręcać się znowu i obracać z boku na bok w swobodnych szatach.

— Cóż to takiego? — zapytał, spoglądając z zaciekawieniem na ciężką wełnianą materię przesiąkniętą zapachami dalekiej północy.

— Oho! To jest nie budzące podejrzeń ubranie, jakie winien nosić *chela* w służbie u lamaistycznego lamy. Najdokładniejsze we wszystkich szczegółach! — rzekł Hurree Babu, wytaczając się na balkon, by wypłukać sobie zęby nad miską. — Jestem zdania, że twój stary jegomość nie wyznaje akurat tej religii, lecz jedną z jej odmian. Uwagi na ten temat posłałem do *Kwartalnika Azjatyckiego*, ale je odrzucono. Otóż rzecz dziwna, że sam stary jegomość jest całkowicie pozbawiony religijności. Nie ma w nim nic osobliwego.

— Czy go pan zna?

Hurree Babu podniósł rękę na znak, że jest zajęty przepisowymi obrządkami, które towarzyszą czyszczeniu zębów i innym tego rodzaju czynnościom u szlachetnie urodzonych Bengalczyków. Potem zmówił po angielsku teistyczną modlitwę *Aria-Samadžu*¹⁵⁶ i zapchał sobie usta betelem i *pan*.

— Oo, tak! Kilka razy nagabywałem go w Benares, a także i w Buddh Gaya o różne kwestie religijne i o kult szatanów. Jest to istny niedowiarek... coś jak ja.

Huneefa ruszyła się we śnie. Hurree Babu poskoczył nerwowo ku miedzianej kadzielnicy, całej zakopconej i przyćmionej światłością poranku, umazał palec w warstwie sadzy i zrobił nim krychę na ukos twarzy.

— Kto zmarł w tym domu? — ozwał się Kim językiem krajowym.

— Nikt. Ale ta jędma mogłaby mnie urzec swym diabelnym okiem.

— A więc, coż teraz zamysłasz?

— Wyprawię cię do Benares, jeżeli się tam wybierasz, i powiem ci, co winni znać wszyscy „nasi”.

— Jadę tam. O której godzinie odjeżdża *te-rain*?

Powstał na równe nogi, obejrzał całą izbę i żółtą jak wosk twarz Huneefy; promienie wschodzącego słońca słały się nieznacznie na podłodze.

— Czy trzeba zapłacić tej wiedźmie?

— Nie. Ona cię zaczarowała przeciwko wszelkim diaskom i wszelkim niebezpieczeństwom... w imieniu swoich czartów. Takie było życzenie Mahbuba.

Po czym dodał po angielsku:

— Zdaje mi się, że jest on bardzo zacofany, skoro ulega takim przesądom. Przecież to wszystko polega na brzuchomówstwie... gadaniu brzuchem... he?

Kim mimowolnie strzelił palcami, by zażegnać wszelkie licho (wiedział, że Mahbub nie życzył mu nic złego) — jakie mogło się zaplatać w zakłątki Huneefy. Hurree zaśmiał się ponownie; lecz gdy przechodził przez izbę, baczył pilnie, żeby nie przydeptać skulonego, krępego cienia Huneefy na podłodze. Jędze, gdy przyjdzie ich pora, mogą capnąć za piętę człowieka, który by się ważył to uczynić.

— Teraz musisz słuchać uważnie! — rzekł *babu*, gdy wydostali się na świeże powietrze. — Do obrzędów, których byliśmy świadkami, należy między innymi dostarczenie skutecznego amuletu dla członków naszego wydziału. Poma-acaj się po szyi, a znajdziesz srebrny amulecik, ba-arrdzo tani. To jest *nasz* amulet. Rozumiesz?

— O tak, *hawa-dilli* (podnosiciel serc) — rzekł Kim, obmacawszy szyję.

— Huneefa wyrabia je po 2 rupie 12 *ann* wraz... z wszelkimi zażegnaniem. Są zupełnie pospolite, z tą różnicą, że są miejscami czarno-emaliowane, a w każdym znajduje się papier zapisany imionami miejscowych świętków i innymi bazgrota. Widzisz, tak to się przedstawia Huneefa! Huneefa robi je ty-ylko dla nas, lecz w razie, gdyby tego nie uczyniła, to my, dostawszy je, wkładamy dla uniknięcia wątpliwości okruszek turkus; daje nam je pan Lurgan. Nie ma innego źródła ich nabywania; ale to wszystko moim jest pomysłem. Oczywiście jest to rzecz zgoła nieofi-icjalna, ale wygodna dla podwładnych.

¹⁵⁶*Samadž* — oznacza kongregację, kościół lub sektę religijną w Indiach. [przypis tłumacza]

Pułkownik Creighton nie wie o tym; on jest Europejczykiem. Turkus jest zawinięty w papier... Tak, tędy idzie się do dworca... Dajmy na to, że podróżujesz z lamą lub chociażby kiedyś i ze mną, czy z Mahbubem. Dajmy na to, że znajdziemy się w opałach. Jestem człkiem bojaźliwym... bardzo bojaźliwym... ale bywa-alem w niemałych tarapatach więcej razy, niż mam włosów na głowie. Mó-ówisz tedy: „Jestem synem czaru”. I wszystko idzie jak z pła-atka.

— Nie wszystko rozumiem. Ale niech ludzie tu nie słyszą, że mówimy po angielsku.

— Zupełna ra-acja. Jestem tylko *babu*, co chce się wobec ciebie popisać znajomością angielszczyzny. Wszyscy my, *babu*, mówimy po angielsku dla popisu — odpowiedział Hurree, owijając się wdzięcznie szalem. — Jakem ci właśnie miał wyjaśnić, słowa „syn czarów” oznaczają, że pono jesteś członkiem *Sat Bhai*... związku siedmiu braci... jest to po hindusku i tantryku¹⁵⁷. Powszechnie mniemają, że ten związek już należy do przeszłości, ale ja napisałem rozprawy dowodzące jego istnienia po dziś dzień. Widzisz, że wszystko to jest moim pomysłem. Ba-ardzo dobrze. *Sat Bhai* ma wielu członków, a kto wie, czy zanim nie poderzną ci sprawnie gardła, właśnie im nie będziesz zawdzięczał życia. Bądź co bądź, może się to przydać. Co więcej, te półgłówki-krajowcy, o ile nie są zanadto rozdrażnieni, zawsze zastanawiają się długo, zanim odważą się zabić kogoś, kto powiada, że należy do jakiejś odrębnej organizacji. A widzisz? Gdy więc znajdziesz się w opałach, powiesz: „jestem synem czarów”, a może... ach... może... natrafisz na wiatr pomyslny. Ale to tylko w razach ostatecznych lub dla nawiązania stosunków z cudzoziemcem. Czy ci to wszystko jasne? Ba-ardzo dobrze. Lecz, dajmy na to, że ja (lub ktoś z departamentu) przychodzę do ciebie ubrany zgoła odmiennie. Głowę daję, że nie poznałbyś mnie, chyba żeby mi się tak podobało. Kiedyś ci te-ego dowiodę. Przychodzę więc w stroju przekupnia ladakhijskiego... czy jakim innym... i mówię do ciebie: „Chcesz kupić drogie kamienie?”. Ty na to: „Czyż wyglądam na człowieka, co kupuje drogie kamienie?”. Wówczas ja rzekę: „Nawet człek ba-ardzo biedny może kupić turkus lub *tarkeean*”.

— Toć przecie jest *kichree*... barszcz jarzynowy! — rzekł Kim.

— Juści, że tak. Ty powiesz: „Niech no zobaczę ten *tarkeean*”. Jać na to: „Gotowała go kobieta i może to zaszkodzi twej kaście”. Ty zaś rzeczesz: „Mniejsza o kastę, gdy ktoś chce... skosztować *tarkeean*”. Zawahasz się na chwilę między słowami „chce” i „skosztować”. Na tym polega cała tajemnica. Mały przestanek między wyrazami.

Kim powtórzył całe hasło.

— Doskonale. Wtedy ja za nadarzoną sposobnością pokażę ci swój turkus; ty poznasz, ktom ja, i nastąpi wymiana spostrzeżeń, dokumentów itp. Tak też się sprawa przedstawia z każdym z nas. Mówimy raz o turkusach, to znowu o *tarkeeanie*, ale zawsze uwzględniając ten mały przestanek między wyrazami. To rzecz ba-ardzo wygodna. Najpierw więc „syn czarów”, gdy znajdziesz się w tarapatach. Może ci to pomóc... może i nie. Po wtóre to, com ci mówił o *tarkeeanie*, jeżeli chcesz załatwić sprawę urzędo-ową z obcym człowiekiem. Na razie, ma się rozumieć, nie masz jeszcze żadnych spraw urzędo-owych. Jesteś... aha!... nadliczbowym, wziętym na próbę. Stanowisko całkiem wyjątkowe. Gdybyś był rodowitym Azjata, mógłbyś już być użyty do odpowiedniej służby; ale ten półroczny urlop ma cię do cna... odangielszczyć, rozumiesz? Lama ciebie wyczekuje, bo doniosłem mu półurzędo-ownie, żeś już zdał wszystkie egzaminy i wkrótce otrzymasz posadę rządową. Oho! Jak widzisz, pobierasz pła-acę jako tymczasowy zastępca; przeto, jeżeli cię wezwą na pomoc „synom czaru”, pamiętaj spisywać się gracko. Muszę się z tobą teraz pożegnać, mój miły kolego, a spodziewam się, że... ach... zajdziesz ba-ardzo wysoko...

Hurree Babu cofnął się parę kroków, wmieszał się w tłum u wejścia na dworzec lucknowski... i znikł. Kim odetchnął głęboko i obmacał się dokładnie. W zanadrzu posępnej żalobnej szaty wyczuł niklowany rewolwer, na szyi wisiał amulet; tykwa żebracza, różaniec i sztylet przeciwko upiorom (pan Lurgan o niczym nie zapomniał) — wszystko to było na podporządku wraz z lekarstwami, pudełkami farb i kompasem; zaś w starej, wyszarzanej kalecie, wyszywanej w różne desenie kolcami jeżowca, spoczywała pensja całomiesięczna. I król nie mógł być bogatszy. U sklepikarza-Hindusa nakupił sobie słodczy zawiniętych w liść i zajadał je z radosnym zachwytem, póki policjant nie kazał mu się wynosić na cztery wiatry.

¹⁵⁷ *Tantra* (sanskryt.) — późno sanskryckie dzieła religijne, zajmujące się przeważnie gusłami. [przypis tłumacza]

ROZDZIAŁ XI

Gdyby człek taki, co się nie wykształci
W swym fachu, chciał ci
Rzucać sztylety — i znów je poławiać,
Chwytać monety — i sztuki wyrabiać,
Wyrządzać krzywdę mężom — i znów ich uzdrawiać,
Narzucać urok węzom — i znów je przywabiać,
Ten się skaleczy sam własnym żelazem,
Węże nie pójdą za jego rozkazem,
Niezgrabność swoją da poznać naocznie:
Ludzkie języki nie puszcza mu płazem!...

Kuglarz z krwi-kości inaczej se pocznie:
Garść piachu, owoc trafem spadły z drzewa,
Kwiatek uwiędły albo laska cudza
Służy w potrzebie, do czynu zagrzewa,
Wiąże czar albo do śmiechu pobudza!

Ale człek taki, co *itd.* *Op. 15.*

Nagle przyszło łatwe do zrozumienia opamiętanie. „Oto jestem sam... samiutki... — rozmyślał. — W całych Indiach nie ma człowieka tak osamotnionego, jak ja! Jeżeli dziś kitę odwałę, to kto zanieś o tym wieść... i komu? Jeżeli będę żyw, a Pan Bóg łaskaw dla mnie, to na głowę moją nałożą cenę, bom ci jest synem czaru... ja, Kim”.

Zdarza się to bardzo niewielu ludziom białym, a za to wielu Azjatom, że zapadają w pewien stan oszołomienia przez ustawiczne powtarzanie własnego nazwiska, przy czym umysł ich zapuszcza się w dociekania co do tzw. tożsamości osobistej. Gdy człek się posunie w latach, siła ta zazwyczaj zanika, lecz dopóki jeszcze trwa, zdolna jest ovladnąć człowiekiem o każdej chwili.

— Któż jest Kim... Kim... Kim?

Przycupnął w kącie gwarnej, echem dzwonnej poczekalni, oderwany od wszelkich innych myśli; założył ręce na brzuchu, a źrenice mu się zrobiły maleńkie ni to koniuszki szpilek. Czuł, że w jednej chwili... może w pół sekundy... doszedłby do rozwiązania tej straszliwej zagadki; lecz jak to bywa, tutaj właśnie jego myśl niby raniony ptak runęła z tych wyżyn... Przetarłszy oczy, potrząsnął głową.

Długowłosej *bairagi* (pokutnik) hinduski, który przed chwilą kupił bilet, stanął w tej chwili przed Kimem i jał się weń wpatrywać uważnie.

— Jam także *ja utracił* — ozwał się pośepnie. — Jest to jedna z bram ku drodze zbawienia, lecz była mi ona zamknięta przez wiele lat.

— O czymże mowa? — rzekł Kim stropiony.

— Oto w duchu zastanawiałeś się, czym jest twa dusza. Napadło cię to nagle. Ja się na tym znam. Któż by się znał, jak nie ja? Gdzież to dążysz?

— Do Kashi (Benares).

— Tam nie ma bogów. Zbadałem ich naturę. Ja wybieram się po raz piąty do Prayag (Allahabad)... szukając drogi oświecenia. Jakiejże ty jesteś wiary?

— Jestem również poszukiwaczem — rzekł Kim, używając jednego z ulubionych wyrażenń *lamy*. — Chociaż... — (zapomniał na chwilę o swym północnym stroju) — chociaż jedynie Allah wie, czego szukam.

Stary *bairagi* wysunął spod pachy dziadowskie szczudło i usiadł na skrawku rudawej skóry lamparciej. Kim powstał, bo oznajmiono nadejście pociągu idącego w stronę Benares.

— Idź z ufnością, braciszku — ozwał się świętobliwiec. — Długać to droga do stóp Jedynego, ale tam wędrujemy wszyscy.

Po tych słowach Kim nie odczuwał już takiej pustki, a zanim ujechał dwadzieścia mil, już swych sąsiadów w natłoczonym przedziale ubawił całą serią najprzedziwniejszych bająn o zdolnościach czarnoksiężskich swoich i swego mistrza.

Benares wydało mu się miastem niezwykle brudnym, choć miło mu było się przekonać, jak tu szanowano jego odzienie. Przynajmniej trzecia część ludności tutejszej modli się do tej lub owej gromadki spośród kilkumilionowej rzeszy bożków, przeto czczą tu wszelkich ludzi świętych. Do świątyni Tirthankerów leżącej prawie o milę za miastem, koło Samath, zaprowadził Kima spotkany przypadkowo dzierżawca pendżabski, Kamboh spod Dżullundur, który od dawna nadaremnie modlił się kolejno do wszystkich bogów ojczystych, by wyleczyli mu nieletniego synka, aż wreszcie, próbując ostatniej deski ratunku, udał się do Benares.

— Czy pochodzisz z północy? — zagadnął wieśniak, przebijając się przez ciżbę ludzi na manowcach wąskich, cuchnących uliczek i prąc w nich całą siłą swego ciała, niby jego ulubiony byk w rodzinnej zagrodzie.

— A jakże! Znam Pendżab. Matka moja była *Pabareen* (góralka), ale ojciec pochodził z Amritzar koło Dżandiali — odrzekł Kim, naoliwiając sobie już zawczasu sprawny język do wędrówki.

— Dżandiala... Dżullundur? Oho! Więc jesteśmy poniekąd sąsiadami. — pokiwał tkliwie głową nad kwilącym dzieckiem na rękę. — Komuż to służysz?

— Wielce świątobliwemu człowiekowi w świątyni Tirthankerów.

— Wszyscy oni są wielce świątobliwi i... wielce łakomi — ozwał się Dżat z goryczą. — Obszedłem wszystkie słupy i wydeptałem wszystkie świątynie, aż sobie poodparzałem stopy... a dziecko nie wydobrzało ani troszeczkę. A matka też choruje... Cichoj, cichojże, maluśki... Zmieniliśmy mu imię, gdy go napadła febra. Ubieraliśmy go w szatki dziewczęce. Niczegośmy nie omieszkali, chyba... mówiłem to jego matce, gdy mnie wyprawiała do Benares... chyba i ona powinna była jechać ze mną... mówiłem, że Sakhi Sarwar Sultan najwięcej nam pomoże. Znamy jego łaskawość, natomiast te dolskie bóstwa są nam obce.

Dziecko trzymane w objęciu jego olbrzymich, splecionych ramion obróciło się i spojrzało spod ociężałych powiek na Kima.

— I wszystko to było bezskuteczne? — zapytał Kim z uprzejmym zainteresowaniem.

— Wszystko bezskuteczne... wszystko bezskuteczne! — odrzekło dziecko wargami spękanyymi od gorączki.

— Przynajmniej bogowie dali mu roztropność — rzekł ojciec z dumą. — Pomyśleć sobie, że on słuchał nas tak rozsądnie! Tam oto jest twoja świątynia. Otóż jestem człowiekiem ubogim... wielu kapłanów brało mnie w obroty... ale syn jest zawsze synem, więc jeżeli ofiara złożona twemu mistrzowi może uleczyć mi dziecko... Już doprawdy sam nie wiem, co począć...

Kim zamyślił się na chwilę, oszołomiony dumą. Trzy lata temu wyzyskałby natychmiast taką sytuację, a potem poszedłby w swoją drogę, nie zaprzatając sobie już niczym głowy; ale teraz sama cześć, jaką okazywał mu Dżat, świadczyła, że brano go już za mężczyznę. Zresztą sam już kilkakrotnie miewał febrę, więc na pierwszy rzut oka poznał wielkie wycieńczenie z głodu.

— Przywołaj go tu, a ja mu dam kwit na najlepszy mój zaprząg, byle wyleczył mi dziecko.

Kim zatrzymał się przed rzeźbionymi wrotami świątyni. Biało ubrany bankier oswaliński z Adżmiru, który dopiero co zmył z siebie grzechy lichwiarstwa, zapytał go, czego tu szuka.

— Jestem *chelą* lamy Teshoo, świątka z Bhotiyal... który tu mieszka. Kazał mi tu przybyć. Powiedz mu, że czekam.

— Nie zapominaj o dziecku! — jęczał mu poprzez ramię natrętny Dżat, a potem jął się wydzierać po pendżabsku: — O święty... o uczniu świętego... o bóstwo nad wszystkimi światami... spójrzcie na boleść siedzącą u wrót!

Ten krzyk słyszy się tak często w Benares, że przechodnie nawet nie odwracali głów. Oswał, pojednany z bliźnimi, poniósł zlecenie kędyś w mrok przed siebie. Płynęły chwile za chwilami, gnuśnie, bez liczby, bez końca, jak to bywa na Wschodzie; albowiem lama spał, a nikt z kapłanów nie ważył się go budzić. Gdy pobrzęk jego różańca przerwał znów

ciszę wewnętrznego¹⁵⁸ dziedzińca, gdzie stoją spokojne wizerunki Arhatów, jeden z nowicjuszków szepnął:

— Twój *chela* przybył.

Starzec wypadł co rychłej na dwór, nie dokończywszy nawet pacierza. Za ledwie jego wyniosła postać ukazała się w sieni, na spotkanie wybiegł Dżat i wznosząc dziecko zawołał:

— Spójrz na niego, mężu święty; a jeśli bogi tego chcą, on będzie żył... będzie żył!

Pogmerał w kalecie i wyciągnął drobny srebrny pieniążek.

— Cóż to takiego? — zapytał lama, patrząc na Kima; rzecz godna uwagi, że mówił językiem Urdu o wiele czystiej niż ongi¹⁵⁹, pod Zam-Zammah. Ale ojciec nie zezwolił na prywatne pogawędki.

— Nic innego, tylko febra — rzekł Kim. — Dziecko jest źle odżywiane.

— Ono zapada w chorobę z byle powodu, a nie ma tu jego matki.

— Jeżeli pozwolisz, mogę go uleczyć, o święty.

— Co? Zrobili cię lekarzem? Zaczekaj no! — rzekł lama, siadając obok Dżata na najniższym stopniu świątyni; tymczasem Kim, rozglądając się ukradkiem, otworzył nieznacznie pudreczko betelu. W szkole roił sobie, że powróci do lamy jako sahib... że będzie się droczył ze staruszkami, zanim da mu się poznać... ot takie fanaberie dziecinne! Ale więcej intrygi było w tym namarszczeniu brwi i tym niesamowitym przerzucaniu słoiczek z lekarstwami, którą to czynność od czasu do czasu przerywały chwile zadumy lub mamrotania zaklęć. Miał tam Kim chininę w tabletkach i ciemnobrunatne kostki bulionu — zapewne wołowego, ale *jego* to nie obchodziło. Maleństwo nie chciało jeść, ale chciwie jeło wysysać jedną z tabletek mówiąc, że mu to przypomina smak soli.

— Weź więc sześć takich — rzekł Kim, wręczając je dzierżawcy. — Wysławiaj bogów i ugotuj w mleku trzy takie pastylki, a trzy w wodzie. Gdy wypije mleko, daj mu to — (było to pół dawki chininy) — i owiń go ciepło. Gdy się obudzi, daj mu trzy drugie rozpuszczone w wodzie i drugą połówkę tej białej pigułki. A tymczasem masz tu jeszcze inne brązowe lekarstwo, niech je sobie liże, wracając do domu.

— Bogowie! Co za mądrość! — rzekł Kamboh, chwytając to wszystko.

Było to wszystko, co Kim zdołał sobie przypomnieć z własnej kuracji podczas ataku jesiennej malarii... jeżeli pominąć całą tę paplaninę, dodaną na przyczynę, celem oczarowania lamy.

— A teraz odejść! Przyjdź znowu jutro rano.

— Ależ zapłata... zapłata... — ozwał się Dżat, odwracając rozrosłe bary. — Dyć¹⁶⁰ mój syn, to mój syn. Teraz, gdy on wyzdrowieje, jakoż wrócę do jego matki i powiem, że po drodze doznałem wspomnienia, a w zamian nie dałem memu dobroczyńcy nawet misy zsiadłego mleka?

— Wszyscy ci Dżatowie są jednacy! — rzekł Kim z pobłażliwą wyrozumiałością. — Stał raz Dżat na swym śmietniku, a obok przejeżdżały słonie królewskie. „Hej, pogania-czu! — zawołał — za ile mi sprzedasz te osły?”

Dżat wybuchnął hucznym śmiechem, który jednak stłumił niebawem, i jął tłumaczyć się przed lamą.

— Tak to istotnie mawiają w moich stronach rodzinnych... ot takie prześmiewki. Tacyśmy to wszyscy, Dżatowie. Jutro przyjdę z dzieckiem, a błogosławieństwo bóstw domowych... które są dobrymi bożętami... niech spłynie na nas obu... No, chłopysiu, nabierzemy znów zdróweczka i krzepy! Nie wypływaj tego, moje książątko! Królu mego serca, nie wypływaj tego, a do rana wyrośniemy na silnych ludzi, zapaśników, władców buławy.

Oddalił się, bełkocząc coś i nucąc sobie pod nosem. Lama zwrócił się do Kima, a ze zwężonych jego oczu wyjrzała cała dusza, stara i miłująca.

— Uzdrowienie chorego jest zdobywaniem zasługi, lecz wprzód należy pozyskać wiedzę. Mądrześ postąpił, Przyjacielu całego świata.

— Stałem się mądry dzięki tobie, o święty — rzekł Kim. Zapomniał o odegranej przed chwilą komedii, zapomniał o szkole św. Ksawerego, zapomniał o swej białej krwi; zapomniał nawet o Wielkiej Grze i schylił się na sposób mahometański, by ucisnąć stopy

¹⁵⁸wewnętrzny — dziś: wewnętrzny. [przypis edytorski]

¹⁵⁹ongi (daw., gw.) — dawniej, niegdyś. [przypis edytorski]

¹⁶⁰dyć (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

swego mistrza, obsypane pyłem świątyni Dżeinów. — Tobie zawdzięczam swą naukę. Przez trzy lata jadłem twój chleb. Czas mój się dopełnił. Wypuszczono mnie ze szkół. Przybywam do ciebie.

— W tym dla mnie nagroda. Wejdźże, wejdź! I dobrze ci się powodzi? — Weszli na dziedziniec w głębi, gdzie wdzierał się złocisty blask słońca staczającego się ku zachodowi. — Stań no, niechże ci się przypatrzę! No, no! — Przyjrzał mu się badawczym okiem. — To już nie dziecko, lecz mężczyzna, dojrzały w mądrości, biegły w sztuce lekarskiej. Dobrzem uczynił... dobrzem uczynił w ową noc czarną, kiedy cię oddałem ludziom zbrojnym. Czy pamiętasz pierwsze nasze spotkanie pod Zam-Zammach?

— A ino¹⁶¹! — rzekł Kim. — Czy pamiętasz, jak wyskoczyłem z powozu, pierwszego dnia, gdy przybyłem do...

— Do wrót wiedzy? No chyba! A ten dzień, kiedyśmy razem jedli placki nad rzeką koło Nucklao? Oho! Wiele razy chodziłeś dla mnie po prośbie, ale w ów dzień ja zebrałem dla ciebie.

— Nie bez kozery! — podchwycił Kim. — Byłem wówczas uczniem w podwojach nauki i ubrany za sahiba. Nie zapominaj, o świątyni — mówił dalej żartobliwie — że jestem jeszcze sahibem... z twojej łaski...

— Prawda! I to jeszcze sahibem bardzo poważanym; chodź no, *chelo*, do mojej celi.

— Skądże ty wiesz o tym?

Lama uśmiechnął się.

— Najpierw z listów dobrotliwego księdza, któregośmy spotkali w obozie zbrojnych ludzi; ale ów odjechał do swej ojczyzny, a ja posyłałem pieniądze jego bratu...

(Pułkownik Creighton, na którego ojciec Wiktor, odjeżdżając z Maverickami do kraju, przelał swe pełnomocnictwa, nie był wcale bratem kapelana).

— ...ale listy sahibów nie są mi nazbyt zrozumiałe; trzeba mi je tłumaczyć. Wybieram drogę pewniejszą. Wielekroć, gdy ze swych poszukiwań powracał do świątyni, która zawsze mi była gniazdem, przybywał tu człek szukający oświecenia... rodem z Leli... mówił o sobie, że był przody wyznawcą religii hinduskiej, ale sprzykrzyły mu się te oto wszystkie bóstwa.

Lama wskazał ręką Arhaty.

— Człek dobrej tuszy? — zapytał Kim, a oczy mu się zaiskrzyły.

— O, bardzo otyły!... Ale wkrótce zmiarkowałem, że umysł jego był zaprzątnięty bezużytecznymi fraszkami... dowiadywał się o diabły, gusła, o sposoby i obrzędy picia herbaty w naszych klasztorach oraz o procedurę przyjmowania nowicjuszków. Człek niewyczerpany w pytaniach; ale on był twoim przyjacielem, *chelo*. Opowiadał mi, że miałeś pozyskać wielkie zaszczyty jako pisarz. Ja zaś widzę, że jesteś lekarzem.

— Tak, jestem... pisarzem, dopóki jestem sahibem, ale z tym wszystkim teraz kwita, skoro występuję jako twój uczeń. Jużem przebył lata przepisane dla sahibów.

— Więc jakby nowicjat? — zapytał lama, kiwając głową. — Czy cię już zwolniono ze szkół? Nie chciałbym mieć w tobie niedouka.

— Jestem już wolny jak ptak. Gdy nadejdzie czas po temu, obejmę posadę rządową jako pisarz...

— Nie jako wojownik. To dobrze.

— Lecz wprawdzie powałam się... z tobą. Dlatego tu przybyłem. Kto teraz zebrze dla ciebie? — przebiegł prędko na inny temat, niby czując kruchość lodu pod stopami.

— Bardzo często sam zebrzę; lecz, jak ci wiadomo, jestem tu rzadkim gościem, co najwyżej przybywałem tu, by zobaczyć się znów z mym uczniem. Z jednego krańca Indii na drugi podróżowałem pieszo i *te-rainem*. Jakaż to wielka i czarowna kraina! Lecz gdy tu wstąpię, to mi się zdaje, że jestem we własnym Bhotiyalu.

Rozejrzył się z zadowoleniem po schludnej celi. Za siedzisko miał niską sofę, na której usadowił się, podwinąwszy nogi pod siebie na wzór Bodhisata budzącego się z zadumy; przed nim stał czarny stół z drzewa tekkowego, wysoki nieledwie na dwadzieścia cali, a zastawiony miedzianymi filiżankami. W kącie widniał maluchny ołtarzyk, również z niezdarnie dłutowanej *tekki*, na którym wznosił się miedziany, lecz złożony posąg

¹⁶¹a ino (gw.) — oczywiście; no pewnie. [przypis edytorski]

siedzącego Buddy, przed tym zaś stała lampa, kadzielnica i kilka miedzianych doniczek z kwiatami.

— Strażnik wizerunków w Domu Cudów pozyskał zasługę w roku ubiegłym, ofiarując mi to wszystko — wyjaśnił lama, idąc za spojrzeniem Kima. — Gdy się jest daleko od kraju rodzinnego, takie przedmioty budzą wspomnienia; a winniśmy czcić Pana, że wskazał drogę. Patrz no! — i wskazał na dziwacznie usypany kopiec farbowanego ryżu, uwieńczony fantastycznym wywijasem metalowym. — Gdy byłem przeorem w swoich stronach... zanim nie doszedłem do lepszego zrozumienia rzeczy... składałem co dzień taką ofiarę. Jest to ofiarowanie wszechświata Panu. Tak to my w Bhotiyalu ofiarujemy codziennie cały świat Najwyższemu Prawu. A czynię to nawet obecnie, choć wiem, że Najdoskonalszy jest niedosiężny, zarówno niedolą, jak i pochlebstwem.

Zażył tabaki z tytkwy.

— Pięknie to zrobiłeś, o święty — mruzczał Kim, bardzo szczęśliwy, choć nieco znudzony, opadając z lubością na poduszki.

— A oprócz tego — terkotał staruszek — rysuję sobie wyobrażenie Koła żywota. Obraz bywa gotów w ciągu trzech dni. Byłem nim właśnie zajęty... a może tylko na chwilę zamknąłem oczy... gdy mi przyniesiono wieść o twym przybyciu. Dobrze, że cię tu mam; pokażę ci moje malowidła... nie dla przechwałki, ale żebyś się z nich uczył. Sahibowie nie posiadli jeszcze całej mądrości świata.

Wydobył spod stołu arkusz dziwnie woniejącego żółtego papieru chińskiego, pędzelki i tafelkę tuszu indyjskiego. W przedziwnie czystych, surowych zarysach nakreślił wielkie koło o sześciu szprychach, którego piasta mieściła złączoną postać wieprza, węża i gołębia (ciemnota, gniew i pożądlivość), a w przegrodach były uwydatnione wszystkie kręgi piekła i nieba oraz wszelkie koleje życia ludzkiego. Powiadają, że sam Bodhisat pierwszy wyrysował je ziarnkami ryżu na piasku, by przedstawić swym uczniom podstawę wszechrzeczy. W ciągu wielu wieków skryształizowało się w precudaczny symbol, zatłoczony setkami figurek, których każda kreska ma odrębne znaczenie. Niewielu ludzi potrafi wytłumaczyć alegorię malowidła; w całym świecie nie ma i dwudziestu takich, którzy umieją rysować to wszystko pewną ręką, nie mając wzoru przed oczyma; a takich, którzy by potrafili i wyrysować, i wyjaśnić, jest zaledwie trzech.

— Uczyłem się nieco rysunków — rzekł Kim. — Lecz to jest cud nad cudy.

— Rysowałem takie rzeczy całymi latami — rzekł lama. — Był czas, że potrafiłem to narysować pomiędzy jednym a drugim zapaleniem lampy. Nauczę cię tej sztuki... po należyтым przygotowaniu... i ukażę ci znaczenie koła.

— A więc wyruszamy w drogę?

— W drogę i na poszukiwania. Czekałem tylko na ciebie. W stu widzeniach sennych... zwłaszcza w jednym, w noc następną po owym dniu, kiedy za tobą zamknęły się po raz pierwszy podwoje wiedzy... miałem objawienie, że bez ciebie nigdy nie znajdę rzeki. Raz po raz, jak ci wiadomo, odrzucałem od siebie tę myśl, bojąc się złudzenia. Dlatego to nie chciałem wziąć cię z sobą owego dnia, gdyśmy razem jedli placki w Lucknow. Nie chciałem cię brać, póki nie nadejdzie pora odpowiednia i pomyślna. Chodziłem od gór do morza, od morza do gór, lecz nadaremnie. Wtedy wspomniałem sobie *Dżatakę*.

Opowiedział Kimowi przypowieść o słoniu w kajdanach, tak jak ją często opowiadał kapłanom dżeińskim.

— Nie potrzeba dalszych dowodzeń — zakończył ufnie. — Byłeś mi zesłany do pomocy. Gdy mi odjęto tę pomoc, poszukiwania moje speliły na niczym. Przeto wyruszmy znów razem, a na pewno wyprawa nie będzie bezowocna.

— Dokądże się udamy?

— Na cóż o tym myśleć, Przyjacielu całego świata? Mówię ci, poszukiwania nasze nie będą bezowocne. Gdy czas nadejdzie, rzeka wytryśnie z ziemi przed nami. Zdobyłem sobie zasługę, gdy cię posłałem w podwoje wiedzy, i dałem ci ten klejnot, jakim jest mądrość. Dopiero co widziałem, że powróciłeś jako naśladowca lekarza Sakyamuniego¹⁶², tego, który posiada wiele ołtarzy w Bhotiyal. To wystarcza. Jesteśmy razem i wszystko jest, jak było... Przyjacielu całego świata... Przyjacielu gwiazd... mój *chelo!*

¹⁶²Sakyamuni — twórca buddyzmu (V w. przed Chr.); nadano mu tytuł *Budda*, tj. oświecony, rozjaśniony. [przypis tłumacza]

Potem jęli gawędzić o sprawach świeckich; jednakowoż, rzecz osobliwa, lama ani razu nie zapytał o szczegóły życia w zakładzie św. Ksawerego ani nie zaciekawiał się, nawet w najmniejszym stopniu, zwyczajami i obyczajami sahibów. Dusza jego cała nurzała się jeno w przeszłości, a pamięć wskrzeszała każdy krok ich pierwszej wspólnej podróży, tak pełnej cudów i dziwów; staruszek zacierał ręce i chichotał, aż wreszcie z lubością zapadł w nagły sen, właściwy jego wiekowi.

Kim, przyglądając się ostatnim promieniom słońca, co rozedrgane pyłem schodziły z podwórza, bawił się różańcem i sztyletem do odpędzania upiorów. Wrzawa Benaresu, najstarszego z miast ziemskich, co dniem i nocą czuwa przed obliczem bogów, uderzała zewsząd o mury, niby huk zwałów morskich wokoło kamiennego mola. Od czasu do czasu jakiś kapłan dżeiński, niosąc bożkom drobną ofiarę, szedł przez podwórze i zamiatał drogę dokoła siebie, by przypadkiem nie odebrać życia jakiej istotce żyjącej. Zamigotała lampa i ozwał się pogłos pacierzy. Kim patrzył i patrzył, jak gwiazdy jedna po drugiej jawiły się w cichej kleistej pomrocy — aż w końcu usnął u podnóża ołtarza. Tej nocy śniło mu się wszystko już po hindostańsku, bez przymieszki choćby jednego angielskiego słowa...

— O święty, a jakże będzie z tym dzieckiem, któremu daliśmy lekarstwo? — ozwał się Kim około godziny trzeciej z rana, gdy lama, obudziwszy się też ze snu, chciał natychmiast wyruszyć w pielgrzymkę. — Dżat będzie tu o świcie.

— Dobrześ mi odpowiedział. W pośpiechu omal nie dopuściłem się przewiny. — Usiadł na poduszkach i powrócił do różańca. — Juści, ludzie starzy są jak dzieci! — rzekł z przejęciem. — Zachciewa im się szybki z okna... ciewy¹⁶³, już trzeba im to dać zaraz, bo będą się ciskać ze złości i beczeć! Niejednokrotnie, gdym odbywał podróż, miałem ochotę tupać nogami, gdy mi drogę zagroziła maża¹⁶⁴ zaprzężona w woły lub tylko tuman kurzu. Nie tak to bywało niegdys... gdym był w pełni sił męskich. Bądź co bądź, to rzecz zdrożna.

— Ależ tyś naprawdę stary, o święty!

— Stało się. Świat podlega odwiecznej Przyczynie i któż, stary czy młody, chory czy zdrowy, świadomy czy niewiedzący, może wpłynąć na działanie tej Przyczyny? Czy zatrzyma się koło, jeżeli kręci nim dziecko... lub człek pijany? *Chelo*, ten świat jest wielki i straszny!

— Mnie wydaje się on dobry! — ziewnął Kim. — Czy masz co do jedzenia? Akurat od wczoraj nic nie miałem w ustach.

— Zapomniałem o twoich potrzebach. Tam oto jest dobra herbata bhotiyalska i zimny ryż.

— Niedaleko zajdziemy o takiej stawie!

Kim czuł iście europejski apetyt na mięso, którego tknąć nie wolno w świątyni dżeińskiej. Jednakowoż zamiast puścić się od razu z miską po prośbie, nabił sobie żołądek porcją zimnego ryżu. Z białym dniem nadciągnął dzierzawca, bardzo ożywiony, bełkocząc z radości.

— W nocy gorączka spadła i wystąpiły poty — krzyczał. — Pomacajcie... jaką ma skórę gładką i świeżą! Bardzo mu smakowały słone tabletki i chciwie pił mleko.

Ściągnął zasłonę z twarzy dziecka, a ono uśmiechnęło się sennie do Kima. U wrót świątyni zebrała się gromadka kapłanów dżeińskich i milcząc, nie mniej bacznie przyglądała się wszystkiemu. Wiedzieli (a Kim wiedział, że wiedzieli), jak to stary lama powitał swego ucznia. Jako ludzie uprzejmi, nie narzucali się w ciągu nocy swą obecnością, słowami lub wyrazem twarzy; Kim odwdzieczył się im za to o wschodzie słońca.

— Podziękuj, bracie, bogom dżeińskim — przemówił, nie wiedząc, jak się nazywały te bożki. — Gorączka istotnie przeminęła.

— Spójrzcie no! Patrzcie! — mówił rozpromieniony lama, stojąc pośród tych, co gościli go przez trzy lata. — Czy był kiedy taki *chelo*? On idzie w ślady naszego Pana-uzdrowiciela.

Otóż Dżeinowie oficjalnie uznają wszystkie bóstwa wiary hinduskiej, jako też Lingam i Węża. Ubierają się krojem bramińskim i skłonni są do wszelkich uroszczeń kastowego prawa hinduskiego. Ponieważ lamę znali i miłowali, ponieważ był człekiem sędziwym, ponieważ szukał drogi, ponieważ był ich gościem i ponieważ całymi nocami gawędził

¹⁶³ciewy (gw.) — a niech to. [przypis edytorski]

¹⁶⁴maża — wóz, zwykle zaprzężony w woły. [przypis edytorski]

poufale z arcykapłanem (był to najwolnomysłniejszy z metafizyków, jacy kiedykolwiek bawili się w przesubtelnione dociekania), więc rozległ się szmer zgody.

— Pamiętaj — mówił Kim, schylając się nad dziecieniem — że to nieszczęście może jeszcze powrócić.

— Nie wróci, jeżeli wypowiesz odpowiednie zaklęcie — rzekł ojciec.

— Ale niebawem odejdziemy stąd precz.

— Istotnie — rzekł lama do wszystkich Dżeinów. — Idziemy teraz razem na poszukiwania, o których wam często opowiadałem. Czekałem, aż mój *chela* dorośnie. Przypatrzcie mu się! Idziemy na północ. Nigdy już nie obaczę tego miejsca mego odpoczynku, o ludzie dobrej woli.

— Ależ ja nie jestem żebrakiem — mówił wieśniak, podnosząc się na nogi i trzymając dziecko w objęciach.

— Ucisz się! Nie naprzykrzaj się świętemu — krzyknął jeden z kapłanów.

— Odejdź — szepnął Kim. — Czekaj nas pod wielkim mostem kolejowym, a na wszystkie bogi naszego Pendżabu, przynieś nam dużo jadła... *karri*¹⁶⁵, włoszczyzny, ciastek smażonych na tłuszczu i słodczy. Przede wszystkim słodczy. No, chybaj¹⁶⁶!

Bardzo do twarzy było Kimowi z tą bladocią głodową, gdy stał, wysoki a szczupły, odziany w przydługie suknie posępnej barwy, trzymając jedną rękę na różańcu, a drugą jakby do błogosławieństwa... co było żywcem przejęte od lamy. Anglik, widząc go, powiedziałby, że przypomina młodego świętego z witrażu... gdy tymczasem był to jeno podrastający młodzian osłabiony czczością żołądka.

Długie i ceremonialne było pożegnanie; trzy razy już się kończyło i trzykrotnie zaczynało na nowo. Ów „poszukiwacz”, który zaprosił był lamę z dalekiego Tybetu do tego schroniska — srebrnolicy, łysy asceta — nie uczestniczył w tej ceremonii, ale jak zawsze dumiał samotnie wśród wizerunków. Inni okazali się nadzwyczaj uprzejmi, wciskając staruszkowi drobne upominki — pudełko z betelem, piękny nowy piórnik żelazny, tajstrę z żywnością itp. — przestrzegając go przed niebezpieczeństwami świata i wróżąc pomyślny kres poszukiwaniom. Tymczasem Kim, bardziej opuszczony niż zazwyczaj, siedział w kucki na schodach i kłął sam do siebie językiem zakładu św. Ksawerego.

— No, przecież to ino¹⁶⁷ moja wina! — zawnioskował. — U Mahbuba jadałem chleb Mahbuba lub sahiba Lurgana. W zakładzie św. Ksawerego dziennie trzy razy żreć dawali. Tutaj trzeba samemu porządnie dbać o siebie; zresztą jeszcze się dobrze nie zaprawiłem. O, *jakżeby* teraz sfręgał talerz wołowiny!... Czy to już koniec, o święty?

Lama podniósłszy obie dłonie, wygłaszał półspiewem końcowe błogosławieństwo okraszane chińszczyzną.

— Muszę się oprzeć na twym ramieniu — rzekł, gdy zawarły się wrzeciędzie świątyni. — Zdaje się, żeśmy nieco zestabli.

Nie łatwo to dźwigać na sobie całymi milami wśród rojnych ulic ciężar człowieka wysokiego na sześć stóp; przeto Kim, objuczony tobołkami i paczkami podróznymi, odetchnął z radością, gdy dowlekli się w cień mostu kolejowego.

— Tu będziemy jedli — rzekł rezolutnie, gdy ukazał się Kamboh, błękitno ubrany i uśmiechnięty, trzymając w jednej ręce kosz, a w drugiej dziecko.

— Pódcież ino¹⁶⁸, o święci ludkowie! — wołał już z odległości pięćdziesięciu jardów; siedzieli bowiem przy wydnie pod pierwszym przęsłem mostu, z dala od spojrzeń wygłodniałych kapłanów. — Jest tu ryż i dobry bigos, ciastka świeżuteńkie i zaprawione tego woniejącym *hing*¹⁶⁹, zsiadłe mleko i cukier. Królu mych włości — (tu zwrócił się do synka) — pokażmy tym ludziom świętym, że my, Dżatowie z Dżullundur, umiemy odplacić się za przysługę... Słyszałem, że Dżeinowie nie wezmą do ust żadnej strawy, której nie ugotują własnoręcznie, lecz, po prawdzie — to mówiąc, spozierał jako człek grzeczny hen, na szeroką rzekę — gdzie nikt nie widzi, tam furda wszelkie kasty!

¹⁶⁵*karri* — indyjska potrawa z mięsa i jarzyn, zaprawna korzeniami; coś w rodzaju naszego bigosu. [przypis tłumacza]

¹⁶⁶*chybaj* (gw.) — idź. [przypis edytorski]

¹⁶⁷*ino* (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

¹⁶⁸*pódcież ino* (gw.) — chodźcie tylko. [przypis edytorski]

¹⁶⁹*hing* — *hing-dyfeldrek*, czarcie-lajno, asafetyda. [przypis tłumacza]

— My zaś — rzekł Kim, odwracając się plecami i nakładając lamie kopiasto blaszany talerzyk — jesteście ponad wszelkimi kastami.

Jęli w milczeniu opychać się dobrym jadem. Dopiero oblizawszy resztkę lepkiej słodyczy z małego palca, Kim zauważył, że Kamboh był również objuczony do drogi.

— Jeżeli nasze drogi idą razem — prosto z mostu oświadczył Dżat — pójdę z wami. Nieczęsto spotyka się cudotwórcę, a dziecię moje jest jeszcze słabe. Ale ze mnie nie fujara! — Tu podniósł w górę *lathi*, czyli pięciostopową palicę bambusową, okutą kółkami z gładkiego żelaza, i śmignął nią w powietrzu. — Nazywają Dżatów haraburdami, ale to nazwa niezgodna z prawdą. Chyba że nam kto wejdzie w drogę... to stajemy się podobni do naszych buhajków!

— I owszem — rzekł Kim. — Tęgi kij tęgim jest argumentem.

Lama poglądał spokojnie w stronę przeciwną prądowi, kędy¹⁷⁰ w długiej, zatartej perspektywie snuły się nieustannie smugi dymu z ognisk krematoriów na przystaniach nadrzecznych. Od czasu do czasu, wbrew wszelkim zarządzeniom władz miejskich, na pełnym nurcie kołysały się, wartko płynąc, szczątki na pół zwęglonego trupa.

— Gdyby nie ty — ozwał się Kamboh, przytulając dziecko do włochatej piersi — i ja może bym dzisiaj tam popłynął... wraz z tym maleństwem.. Kapłani powiadają, że Benares jest miejscem świętym, nikt w to nie wątpi, i że należy pragnąć, by tu człeka śmierć zaskoczyła. Lecz ja nie znam ich bogów, zaś oni sami domagają się pieniędzy; a gdy ktoś złoży im ofiarę, golone łby utyskują, że ofiara będzie bezskuteczna, jeżeli się im nie da drugiej. Kap się tu! Kap się tam! Syp ofiary, pij, skrapiaj się i rozrzucaj kwiaty... zawsze zapłacić musisz kapłanom. Nie! Nie masz to jak w Pendźabie, a w nim zasię najlepsza jest ziemia dżulundarska!

— Mówiłem wielekroć... w świątyni, jak mi się zdaje... że w razie potrzeby rzeka wytryśnie spod naszych stóp. Pójdziemy przeto na północ! — rzekł lama, powstając. — Przypominam sobie uroczą miejscowość, obsadzoną wokoło drzewami owocowymi, gdzie można przechadzać się i rozmyślać... i powietrze tam jest chłodniejsze. Chłód ten ciągnie od gór i śniegów górskich.

— Jak się zowie ta miejscowość? — rzekł Kim.

— Skądże mogę to wiedzieć? Czy ty nie... Nie, prawda, to było zaraz potem, jak ciebie zabrało to wojsko, co wyrosło spod ziemi. Przepędzałem tam czas na rozmyślaniach w izbie naprzeciw gołębnika... o ile mi nie przeszkadzała ta wieczna gadulska...

— Aha! Kobieta z Kulu. Było to koło Saharunpore — zaśmiał się Kim.

— Jakie zamiary ma twój mistrz? Czy idzie piechotą, pokutując za dawne grzechy? — zapytał Dżat ostrożnie. — Dyc¹⁷¹ to kawał drogi do Delhi.

— Nie! — odparł Kim. — Wyżebrzę *tikkut* na *te-rain*.

W Indiach nie bywa w zwyczaju przyznawać się do posiadania pieniędzy.

— Więc w imię bogów, pojedźmyż wozem ognistym. Mój syn najlepiej się poczuje w objęciach matki. Rząd obłożył nas wielu podatkami, ale dał nam jedną rzecz dobrą: *te-rain*, który łączy przyjaciół i jednoczy ludzi zaniepokojonych. Cudowny wynalazek ten *te-rain*.

W parę godzin później wpakowali się do pociągu i przespali całą skwarną porę dnia. Kamboh zasypywał Kima tysiącnymi zapytaniami dotyczącymi życia i działalności lamy i otrzymał parę przedziwnych odpowiedzi. Kim czuł radość, że się tu znajduje, że przygląda się krajobrazowi równiny północno-zachodniej i może gwarzyć ze zmieniającą się wciąż gawiedzią towarzyszków podróży. Jeszcze po dziś dzień kupno biletów i ich kasowanie stanowi ciężką mordęgę dla wieśniaków indyjskich. Nie mogą pojąć, czemu to tak bywa, że oni zapłacili za czarodziejskie skrawki papieru, a jacyś tam cudzoziemcy mają odcinać znaczną część tego czaru. Wskutek tego pomiędzy podróżnymi a euroazjatyckimi kontrolerami powstają długie i zajadłe swary. Kim uczestniczył w nich kilkakrotnie, służąc rozsądną radą, to jest dbając o to, by zawikłać jeszcze więcej całą sprawę, a następnie popisać się swą mądrością wobec lamy i zdumionego Kamboha. Atoli koło Somny losy zesłały mu coś, co mu dało wiele do myślenia. Gdy już pociąg ruszył, do przedziału wtoczył się niepozorny, chudy człowieczek — jakiś Mahratta¹⁷², ile Kim miarkował

¹⁷⁰kędy (gw., daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

¹⁷¹dyc (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

¹⁷²Mahratta a. Marhatta — wojownicze plemię w Dekanie. [przypis tłumacza]

z kokardy obcisłego turbanu. Na twarzy widać było szramę, muslinowe ubranie zwierzchnie było szpetnie podarte, a jedną nogę miał obandażowaną. Opowiedział towarzyszom jazdy, że przewrócił się z wasągiem¹⁷³ i o mało się nie zabił. Celem jego podróży było Delhi, gdzie mieszkał jego syn.

Kim bacznie przyglądał się przybyszowi. Gdyby ów istotnie, jak opowiadał, toczył się był po ziemi, na jego skórze byłoby znać odciski żwiru. Tymczasem wszystkie jego okaleczenia wydawały się wprost ranami ciętymi, a sam tylko upadek z wasąga nie sprawiłby nikogo w tak niebywale przerażenie. Gdy drżącymi palcami zawiązywał poszarpany chałat pod szyją, odsłonił amulet z rodzaju tych, które zowią podnosicielami serc. Otóż amulety takie są wprawdzie czymś pospolitym, ale zazwyczaj nie bywają nawleczone na tego skręcony drut miedziany, a jeszcze mniej amuletów miewa czarną emalię na srebrze. Prócz Kamboha i lamy nie było ponadto żywej duszy w przedziale, który, jako starego typu, miał na szczęście obie ściany przez całą szerokość wagonu. Kim udał, że się skrobie w pierś, i przy sposobności podniósł własny amulet. Na ten widok Mahratta poprawił swój amulet na piersi, a twarz mu się zmieniła do niepoznaki.

— Tak — mówił dalej do Kamboha — jechałem na łeb na szyję, a że woźnica był ciemnięga, więc uwadził¹⁷⁴ kołem o przykópkę i nie dość, że mnie potłukł, ale ponadto wywalił całą misę *tarkeeanu*. Nie byłem dziś „synem czaru” (szczęśliwym człowiekiem).

— O, to wielka strata! — ozwał się Kamboh, nie okazując wielkiego zainteresowania; przejścia benarskie zrodziły w nim podejrzliwość.

— Kto go gotował? — zapytał Kim.

— Pewna kobieta — odrzekł Mahratta, podnosząc oczy.

— Dyc każda baba umie gotować *tarkeean* — zauważył Kamboh. — O ile mi wiadomo, jest to dobra potrawa.

— O tak, to dobra potrawa! — potwierdził Mahratta.

— I tania — rzekł Kim. — Lecz jakże z kasą?

— Ach, mniejsza o kasę, gdy człek chce... zakosztować *tarkeean* — odpowiedział Mahratta, zachowując przepisany spadek głosowy. — W czyjej jesteś służbie?

— W służbie tego świątobliwego — i Kim wskazał palcem na błogo drzemiącego lamę, który od razu się przecknął na swojskie mu słowo.

— Ach, on był mi z niebios zesłany ku pomocy. Nazywają go Przyjacielem całego świata, a zowią go także Przyjacielem gwiazd. Obecnie, gdy już dorósł, został lekarzem. Wielka jest jego mądrość.

— ...i „synem czaru” — dopowiedział Kim półgłosem, gdy Kamboh nabijał czym prędzej fajkę, by Mahratta nie zwrócił się do niego z prośbą o jałmużnę.

— A *tamten* któż to taki? — zapytał Mahratta, rzucając w bok niespokojne spojrzenie.

— Człek pewien, któremu ja... któremuśmy wyleczyli dziecko, za co jest nam bardzo zobowiązany... Siądz koło okna, człecze z Dżullundur. Mam ci tu chorego.

— Ph! Nie pragnę bynajmniej wdawać się z pierwszym lepszym powsinogą. Nie mam długich uszu ani nie jestem babą, by podsłuchiwać sekrety — zachnął się Dżat, powłókłszy się ociężale w najdalszy kąt przedziału.

— Więc z ciebie jest kawał znachora? Oj, bo mnie to potłukło od siedmiu boleści! — darł się Mahratta, podchwytyjąc przerwany wątek rozmowy.

— Ten człowiek jest cały pokiereszowany i potłuczony. Chcę go leczyć — wywinął się Kim. — Przecie nikt nie wtrącał się do mnie, gdym leczył twe dziecko.

— Alem ci dostał burę! — rzekł Kamboh skruszony. — Jesteś cudotwórcą... wiem o tym.

— Pokaż mi rany! — to mówiąc, Kim schylił się nad karkiem Mahratty, a serce w nim niemal zamierało, bo była to wielka gra wraz z odwetem. — No, a teraz, brachu, opowiedz miгіem wszystko, a ja tu nad tobą będę mruczał zaklęcia.

— Przybywam z południa, gdzie jest teren mej pracy. Jednego z naszych zabito koło gościńca. Słyszałeś? — Kim potrząsnął głową; w istocie nie słyszał nic o poprzedniku E-23 zabitym na południu, w ubiorze kupca arabskiego. — Znalazłszy pewien list, na

¹⁷³*wasąg* — prosty, czterokołowy powóz odkryty używany przez chłopów; bez resorów lub na półresorach poprzecznych, z nadwoziem drabinkowym opartym bezpośrednio na osiach. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*uwadzić* — tu: zawadzić. [przypis edytorski]

którego poszukiwanie mnie tam wyprawiono, dałem drapaka. Wydostałem się z miasta i uciekłem do Mhow. Tak byłem pewny, że nikt o mnie nie wie, iż nie odmieniłem wyglądu. Gdy przybyłem do Mhow, pewna kobieta wniosła przeciwko mnie skargę, że w mieście, które opuściłem, ukradłem klejnoty. Wtedy zmiarkowałem, że panował tu wrogi dla mnie nastrój. Uciekłem nocą z Mhow przekupiwszy policję, której poprzednio dano łapówkę, by bez pytania wydała mnie w ręce mych nieprzyjaciół z południa. Potem przez tydzień kryłem się jako pokutnik w świątyni, w starym mieście Chitor, ale nie mogłem się pozbyć listu, który był dowodem obciążającym. Zagrzebałem go przeto w Chitor pod Kamieniem Królowej, w miejscu, o którym wiedzą wszyscy nasi.

Kim nie wiedział, ale za nic w świecie nie chciał przerywać wątku opowiadania.

— Zważ no, że Chitor znajduje się jeszcze całkiem w posiadłościach królów; albowiem Kotah, po stronie wschodniej, znajduje się poza obrębem panowania królowej, a jeszcze bardziej na wschód leży Dżejpur i Gwalior. Ani tu, ani tam nie lubią szpiegów, a nie ma tam sprawiedliwości. Szczuto mnie niczym zmokłego szakala, ale się wydarł im w Bandakui, gdzie, jak słyszałem, oskarżono mnie, że w mieście, z którego uciekłem, popełniłem zabójstwo... zamordowałem rzekomo chłopaka. Czekają tam na mnie i zwłoki, i świadkowie.

— Ale czyż rząd nie mógł cię osłonić?

— My, gracze, wyjęci jesteśmy spod wszelkiej opieki. Jak kto z nas kipnie, to kipnie. Wymażą z książki nasze nazwisko... i kwita. W Bandakui, gdzie mieszka jeden z naszych, postanowiłem zatrzeć węż po sobie przez zmianę wyglądu... i zrobiłem ze siebie Mahrattę. Potem przybyłem do Agra i chciałem powrócić do Chitor, by odszukać list; tak dalece byłem pewny, że się im wymknął. Przeto nie wysłałem do nikogo *tar* (telegramu) z wiadomością, gdzie spoczywa ów list. Pragnąłem wziąć na siebie niepodzielnie całą zasługę.

Kim kiwnął głową. Rozumiał dobrze to uczucie.

— Lecz w Agrze, gdy włóczyłem się po ulicach, jakiś człek krzyknął, że mu coś winien, a nadszedłszy z wielu świadkami jął raz po raz pozywać mnie przed sąd. O, ci południowcy, to nie w ciemną bici ludzcie! Rozpoznał we mnie swego ajenta z plantacji bawełny. Oby za to zgorzał w piekle!

— A byłeś nim?

— Ech, jesteś kiep! Byłem człowiekiem, którego oni szukali z powodu owego listu! Wpadłem do rzeźni, a stamtąd do domu Żyda; Żydzisko bał się burdy, więc wypchnął mnie z domu drugim wyjściem. Przybyłem pieszo do gościńca somnańskiego, miałem pieniądze tylko na *tikkut* do Delhi; tam zaś, gdy leżałem w rowie trzęsiony febrycznym dreszczem, naraz z krzaków wyskoczył jakiś człowiek, otłukł mnie, poranił, a potem przeszkalał od stóp do głów. Stało się to tuż koło *ter-rain*... że głos mógł zalecieć...

— Czemuż on cię nie zabił na miejscu?

— Nie tacy oni głupi! Jeżeli w Delhi dostaną się w ręce sprawiedliwości, to na podstawie dowodami popartej skargi o zabójstwo wydadzą mnie państwu, które sobie tego życzy. Odeślą mnie z powrotem pod strażą, a potem... zginę powolną śmiercią dla postrachu reszty naszych. Nie dla mnie południowa kraina. Biegam wciąż w kółeczko... niby kozioł jednooki. Od dwu dni nie miałem ni kęsa w gębie. Jestem oszelmowany — (tu wskazał brudny opatrunek na nodze) — więc poznają mnie w Delhi od razu.

— Przynajmniej w *te-rain* jesteś bezpieczny.

— Przepędź roczek w wielkiej grze, a zobaczymy, czy powiesz to samo. W Delhi będą już rozesłane o mnie wieści telegraficzne, opisujące każdy mój strzęp i każdą chadzę. Dwudziestu... a w razie potrzeby i stu ludzi... poświadczą, że widzieli, jak zabiłem tego chłopca. A ty tu siedzisz po próżnicy!

Kim, znając doskonale tutejsze sposoby walki, nie wątpił, że w tym wypadku wszystko było dokładnie obmyślane... nie wyłączając trupa... Mahratta co pewien czas strzykał palcami z bólu. Kamboh ze swego kąta patrzył posepnie; lama zajęty był pacierzami, a Kim, obmacując niby to po lekarsku szyję towarzysza, mruczał zaklęcia i obmyślał plan działania.

— Czy masz jakie czary, by odmienić mą postać!? Inaczej zginę. Pięć... dziesięć minut sam na sam... i gdybym nie był tak przynaglony koniecznością... może bym...

— Czy on już wyleczony, cudotwórco? — ozwał się Kamboh z zazdrością. — Już dość długo go czarujesz!

— Nie, na jego rany nie ma, jak widzę, lekarstwa, jak tylko żeby trzy dni pobyl w stroju *bairagi*.

Jest to zwykła pokuta, jaką często tłustym kupcom naznaczają kierownicy duchowni.

— Klecha to zawsze drugiego chce zrobić klechą! — zabrzmiała złośliwa uwaga... Kamboh, jak to się trafia zazwyczaj u zabobonnych prostaków, nie umiał trzymać języka za zębami, gdy szło o wyszydzenie zwierzchności duchownej.

— Więc, czy twój syn będzie klechą? Już mu czas, by zażył znów chininy.

— Każdy z nas, Dżatów, jest naprawdę bawołem! — ozwał się Kamboh spokojniejszy na nowo.

Kim roztarł szczyptę goryczy na ufnych usteczkach dziecięcia.

— Nie prosiłem cię o nic — rzekł poważnie do ojca — oprócz jadła. Czyż mi tego załujesz? Chcę uleczyć drugiego człowieka. Czy dasz mi urlop... księżę?

Olbrzymie łapska chłopca podniosły się błagalnie.

— Nie... nie... Nie szydź tak ze mnie.

— Mam wolę uleczyć tego chorego. Winienes pomóc mi w tym, byś pozyskał zasługę. Jakiej barwy jest popiół w twojej fajce? Białej. O, to dobra wróżba. Czy masz wśród zapasów żywności nieco surowej *kurkumy*¹⁷⁵?

— Ja... ja...

— Rozewrzyj tłumok!

Był to, jak się często spotyka, istny kramik towarów mieszanych: znajdowały się tam kawałki sukna, szarlatańskie leki, tanie cacka jarmarczne, zawiniątko z razową, pośledniejszej uprawy mąką krajową, pokrętki nizinnego tytoniu, jaskrawe cybuchy i paczka włoszczyzny do *karri*, a wszystko to owinięte kocem. Kim, z miną czarodzieja znajdującego się na rzeczy, przetrząsnął całą tę zawartość, mruczając zaklęcia mahometańskie.

— Tej mądrości nauczyłem się od sahibów — szepnął do lamy; a jeżeli miało się na myśli jego ćwiczenia u Lurgana, to mówił prawdę. — Tego człowieka czeka wielkie nieszczęście, jak mu objawiły gwiazdy, i to... to go niepokoi. Czy mam je zażegnać?

— Przyjacielu gwiazd, we wszystkim postępowałeś dobrze. Niech się stanie, jak ci się podoba. Czy to nowe uleczenie?

— Prędko! Spiesz się! — westchnął Mahratta. — Pociąg może się zatrzymać.

— Uleczenie z mroków śmierci — rzekł Kim, mieszając mąkę Kamboha z rozartym węglem drzewnym i tytoniem w glinianej nasadzie fajki. E-23, nie mówiąc już ni słowa, ściągnął turban i rozpuścił długie krucze włosy.

— Toć to moje jedzenie... kapłanie!... — burczał Dżat.

— Bawół w świątyni! Toś ty ważył się dotychczas mnie podpatrywać! — ozwał się Kim. — Muszę odbywać tajne obrzędy wobec głupców, ale zważaj no na swe oczy! Czy nie zachodzą już bielmem? Uratowałem ci bachora, a ty mi za to... o bezwstydney!

Chłop bał się teraz patrzeć przed siebie, bo Kim uniósł się nie na żarty:

— Czy mam cię przekląć, czy też...! — i porwawszy pokrowiec tłumoka zarzucił go na schyloną głowę Kamboha. — Spróbuj no choćby w myśli mnie podpatrywać, a... a... nawet ja nie będę mógł cię ocalić. Sza! Milcz jak pień!

— Jestem ślepy... niemy. O, nie chciej mnie przeklinać! Cho... chodź, dziecino; zabawimy się w chowankę. Jeżeli mnie kochasz, mój mały, nie wierzaj spod tego nakrycia.

— Nabieram otuchy — ozwał się E-23. — Jakiż masz plan?

— Zaraz go wykonam — odparł Kim, zrywając z niego cienką koszulę. E-23 zaważał się, czując, jak wszyscy ludzie z północo-zachodu, niechęć do obnażania swego ciała.

— Czymże jest kasta wobec poderżnięcia gardła? — mówił Kim, zdzierając mu koszulę do pasa. — Przede wszystkim musimy z ciebie zrobić żółtego Saddhu. Zerwij to, zerwij to co żywo i nasuń włosy na oczy, a ja tymczasem posypię cię popiołem. A teraz znak kastowy na czole... — wyciągnął zza pazuchy skrzynkę z farbami i kawałek karmionowego tuszu.

¹⁷⁵*kurkuma* — zółcień (ang. *turmeric*, fr. *terre-mérite*); odmiana indyjskiego imbiru, używana jako barwnik lub przyprawa. [przypis tłumacza]

— Czy jesteś dopiero początkującym? — odezwał się E-23, z wysiłkiem naprawdę broniący swego życia, skoro już wyzbył się wszystkich osłon swego ciała i stał ino w gatkach, gdy tymczasem Kim napacykował mu dostojny znak kastowy na popiołem wysmarowanych brwiach.

— Dopiero od dwóch dni przystąpiłem do gry, brachu — odparł Kim. — Rozetrzyj jeszcze bardziej popiół na piersi.

— Czy spotkałeś... lekarza chorych perel? — rozwiązał długi, ciasno okręcony zawój i czym prędzej owinął nim sobie łądzwie, to wyżej, to niżej, według skomplikowanych sposobów noszenia przepaski przez Saddhu¹⁷⁶.

— Ha! Więc poznałeś jego dotknięcie? Był on czas jakiś mym nauczycielem. Musimy ci obnażyć nogi. Popiół leczy rany. Posmaruj się nim jeszcze.

— Byłem niegdyś jego chlubą, ale tyś lepszy ode mnie. Bogowie są na nas łaskawi! Daj mi to.

Było to pudełko z pigułkami opium, znajdujące się wśród przeróżnych rupieci w tobołku Dżata. E-23 przełknął ich całą garść.

— Dobre to na głód, bojaźń i przeziębienie... no, i oczy stają się od tego czerwone — wyjaśnił. — Teraz będę mógł śmiało prowadzić grę. Brak nam tylko obcęgów Saddhu. Co zrobić ze starymi szmatami?

Kim zwinął je w mały węzełek i wepchnął pomiędzy obwisłe fałdy swego chałatu. Żółtą ochrą wysmarował Mahrattcie nogi i piersi, tworząc wielkie plamy na tle mąki, popiołu i kurkumy.

— Krew na tych szmatach wystarczy, by cię powieszono, bracie.

— Być może; ale nie ma potrzeby wyrzucać je za okno... Już koniec! — Głos mu dźwięczał dziecinną uciechą z tej zabawy. — Obróć no się i patrz, Dżacie!

— Bogi mają nas w swej opiece! — ozwał się zakapturzony Kamboh, wynurzając się niby bawół z oczeretów. — Ale... gdzie się podział Mahratta? Coś ty uczynił?

Kim odbył dobrą szkołę u sahiba Lurgana, a E-23, dzięki swemu zawodowi, był niezłym aktorem. Zamiast drżącego, bojaźliwego przekupnia rozpierał się w kącie nagusieńki, wysmarowany popiołem, pręgowany ochrą Saddhu o zmierzwionych włosach; jego opuchnięte oczy (opium szybko skutkuje, gdy się jest na czczo) płonęły zuchwałością i zwierzęcą pożądlivością; nogi skulił pod siebie, na szyi miał brunatny różaniec Kima, a na plecach kawałek wyszarganej chusty cycowej, wyszywanej w kwiatki. Dziecko schoowało głowę w ramionach osłupiałego ojca.

— W górę głowa, książątko! Podróżujemy z czarodziejami, ale oni nie zrobią ci nic złego. Oj, nie bez!... Na cóż to leczyć dziecko jednego dnia, by nazajutrz zabijać je przetrachem?

— Dziecko będzie szczęśliwe przez całe życie. Widziało wielkie uleczenie. Gdy byłem dzieckiem, wyrabiałem z gliny konie i ludzi.

— Ja też je lepiłem. Sir Banàs przychodzi w nocy i ożywia je na zapiecku! — zapisało dziecko.

— A przecież nie bałeś się niczego, hę, książątko?

— Przestraszyłem się, bo tato się przestraszył. Czulem, jak mu drżały ramiona.

— O pisklątko! — ozwał się Kim, tak iż nawet zawstydzony Dżat się roześmiał. — Uleczyłem tego biedaka kupca. Musi on teraz zapomnieć o swych zyskach i rachunkach i siedzieć przez trzy noce koło drogi, aby przemoc złośliwość swych wrogów. Gwiazdy są mu przeciwne.

— Im mniej lichwiarzy, tym lepiej, moim zdaniem; lecz czy on Saddhu czy nie Sad-dhu, musi mi zapłacić za moją chustę, co ją ma na plecach.

— Tak? Ależ tak niósłbyś na plecach swoje dziecko niespełna dwa dni temu... by je rzucić do krematorium. I jeszcze pozostała jedna sprawa. Dokonałem tego czaru w twej obecności, bo była sprawa nie cierpiąca zwłoki. Odmieniłem mu postać i duszę. Wszakóż, mężu z Dżullundur, jeżelibyś kiedykolwiek czy to pośród starszyny siedzącej w cieniu drzewa gminnego, czy we własnej chacie, czy wobec kapłana błogosławiącego twej trzodzie wspomniał o tym, co tu widziałeś, tedy pomór nawiedzi twe bawoły i pożar twą strzechę,

¹⁷⁶Saddhu — pokutnicy bramińscy noszą na biodrach kunsztowny fartuszek, zazwyczaj z wyszytą torebką, zresztą całe ciało mają nagie. Na czole mają znamię malowane zwykle mulem Gangesu. [przypis tłumacza]

szczury rozmnożą się na twym sąsięku¹⁷⁷, a przekleństwo naszych bogów spadnie na twe niwy, iż będą jałowe przed twymi stopy i za twym lemieszem.

Był to wyimek ze starożytnej klątwy, którą Kim jeszcze w latach bezgrzesznych podchwycił z ust *fakira* spod Taksalskiej Bramy; klątwa ta nie straciła nic a nic przez powtórzenie.

— Zaprzestań, o święty! Na miłość boską, zaprzestań! — krzyczał Dżat. — Nie przeklinaj mego dobytku! Nie widziałem niczego. Nie słyszałem niczego! Jestem twoją krową! — i próbował objąć bosc stopy Kima, które stuknęły rytmicznie w podłogę wagonu.

— Ale że danym ci było użyć mi pomocy... żeś dał szczyptę mąki, krzywkę opium i parę drobiazgów, którym uczyniłem zaszczyt, używając ich w swym dziele, przeto bogi wynagrodzą ci to błogosławieństwem... — i udzielił go w końcu, co chłopca bardzo skrzepiło na duchu. Tęgo nauczył się od sahiba Lurgana. Lama wytrzeszczał oczy przez okulary, jak ich nie wytrzeszczał poprzednio podczas ceremonii przebrania.

— Przyjacielu gwiazd! — rzekł na koniec — zdobyłeś wielką wiedzę. Strzeż się, by się to nie stało zarodkiem pychy! Żaden człek mający prawo przed oczyma nie mówić skwapliwie o tym, co widział lub spotkał.

— Nie... nie... doprawdy nie! — krzyczał dzierzawca, załęczony, by mistrz nie zamierzał wpłynąć na ucznia. E-23, rozdziawiwszy gębę, raczył się opium, które jest strawą, tytoniem i lekarstwem zmęczonego Azjaty.

Tak wśród milczenia, wywołanego grozą i wielkim nieporozumieniem, przyjechali do Delhi, w sam raz, gdy zapalano światła.

ROZDZIAŁ XII

Tęskniłże kto za morzem —
za wielką roztoczą wód słonych?
Za wstrząsem, porywem i zgiełkiem
wód szumnych, wichrem zjeżonych?...
Za bezdnią, co burzy czekając,
nadyma się szara i śliska?...
Za martwą ciszą równika...
orkanem, co w szale się ciska?
Za morzem, w zjawiskach tak zmiennym —
i większym nad wszystkie zjawiska?
Za morzem, co duszy gra wtór?...
.....
Tak, nie inaczej... tak — nie inaczej —
górale tęsknią do swych gór!...

— Odzyskałem znów odwagę — przemówił E-23, korzystając z rwetesu na peronie. — Głód i strach odbierają ludziom przytomność; gdyby nie to, sam dawno bym pomyślał o podobnym wybiegu. Miałem rację. Oto idzie oblawa na mnie. Ocaliłeś mi życie.

Przez tłum dokoła wagonów rozsypał się zastęp pendzabskich policjantów w żółtych spodniach; na czele oddziału szedł młody Anglik, zgrzany i spocony. Za nimi, niepostrzeżenie niby kot, szedł sobie z wolna niski a pękaty jegomość, wyglądający na wywiadowcę policyjnego.

— Spójrz na młodego sahiba, który coś odczytuje z arkusza. Ma on w ręce mój rysopis — rzekł E-23. — Przechodzą od wagonu do wagonu jak rybacy łowiący niewodem¹⁷⁸ w stawie.

Gdy ten pochód zbliżył się do ich przedziału, E-23 miarowym ruchem ręki liczył różaniec; Kim podrwiwał sobie z niego, że się tak odurzył opium, iż zgubił okrągłe kleszcze do węgli, które są odznaką Saddhu. Lama, zatopiony w rozmyślaniach, zapatrzył się przed siebie, a dzierzawca, rzucając ukradkiem spojrzenie, zbierał do kupy swe manatki.

¹⁷⁷sąsiek — pomieszczenie do przechowywania zboża. [przypis edytorski]

¹⁷⁸niewód — rodzaj sieci. [przypis edytorski]

— Tu nie ma nikogo oprócz zgrai nabożnisiów! — ozwał się głośno Anglik i przeszedł dalej, budząc wokoło rozruch niezadowolenia; albowiem w całych Indiach krajowcy uważają policję krajową za czynnik przemocy.

— Teraz cała trudność w tym — rzekł E-23 — by posłać depeszę donoszącą o miejscu, gdzie schowałem list, który mi kazano wytropić. W tym przebraniu nie mogę iść do urzędu telegraficznego.

— Czy ci nie dość, żeś dzięki mnie ocalił głowę na karku?

— Nie dość mi na tym, skoro jeszcze nie dokończyłem roboty. Czy lekarz pereł nigdy nie mawiał tak do ciebie? Idzie jeszcze jeden sahib! Och!

Był to dość wysoki, bladawy nadkomisarz okręgu policji; miał szablę na rapciach, kask i błyszczące ostrogi, słowem wszystko jak trzeba — stąpał butnie i muskał czarne wąsy.

— Ależ to osły z tych sahibów, co służą w policji! — rzekł Kim wesoło.

E-23 zerknął nań spod powiek.

— Klawo gadasz! — mruknął głosem zmienionym. — Idę się napić wody. Zajmij moje miejsce.

Zatoczył się, wpadając niemal w ramiona Anglika, za co ów go zbesztła niedołązną urduszczyzną.

— *Tum mut?* Czyś pijany? Nie rozbijaj no się na wszystkie strony, mój przyjacielu, jak gdyby dworzec w Delhi należał do ciebie!

E-23, nie drgnąwszy ani jednym muskulem twarzy, odpowiedział Anglikowi stekiem najplugawszych obelg, co, rzecz oczywista, rozweseliło Kima, bo mu przypomniało doboszyków i zamiataczy koszarowych w Umballi za okropnych dni początkowej nauki szkolnej.

— Mój pocziwy głuptasku — wycedził Anglik przez zęby. — *Nickle jao!* Wracaj do wagonu!

Złoty Saddhu, cofając się ulegle krok za krokiem i zniżając głos, wgramolił się z powrotem do wagonu, przeklinając nadkomisarza okręgu policji aż do najdalszych pokoleń kłątwą (tu Kim o mało nie podskoczył)... kłątwą Kamienia Królowej, napisem u stóp tego kamienia oraz całą gromadą bogów o zgoła nieznanym nazwiskach.

— Nie wiem, co mówisz — zaperzył się Anglik — ale zaraz ci z głowy wybije te jakieś tam zuchwalstwa. Wylaż no stamtąd!

E-23, udając, że nie rozumie, wyciągnął z powagą bilet; Anglik z gniewem wyrwał mu go z ręki.

— Och *zulam!* Jakież gwałt! — gderał Dżat z kąta. — I to jeszcze z powodu takiego głupstwa! — (Sam bowiem szczerze śmiał się z onych zuchwałych odezwań się Saddhu.) — Twoje czary niedobrze dziś działają, o święty!

Saddhu poszedł za przedstawicielem policji, łasząc mu się i błagając. Pozostająca za nimi ciżba spieszących się podróżników, zajętych wyłącznie dzieciakami i tobołkami, nie zwracała uwagi na to zajście. Kim wymknął się za kamratem; błysło mu bowiem w pamięci, że tego gniewnego, głupowatego sahiba słyszał już był przed trzema laty w pobliżu Umballi, rozmawiającego głośno o różnych osobistościach z pewną sędziwą damą.

— Dobrze się złożyło! — szepnął Saddhu, mocno poturbowany w nawołującym się, hałaśliwym, bezładnym tłoku ludzkim, gdzie perski chart plątał mu się między nogami, a klatka skwirzących przeraźliwie jastrzębi, niesiona przez radżputańskiego sokolnika, siedziała mu niemal na plecach. — Teraz on poszedł, by wysłać wiadomość o liście, który ukryłem. Opowiadano mi, że znajduje się w Peshawar. Mogłem być już się przekonać, że ma on w sobie coś z krokodyla... przebywa coraz to na innej mieliźnie. On mnie wybawił z obecnego kłopotu, ale tobie zawdzięczam życie.

— Więc on też jest jednym z naszych? — tu Kim przemknął się pod pachą tłustego wielbłądnika mewarskiego i rozgromił gromadkę jazgotliwych kumoszek sikhijskich.

— Nie kto inny, jeno sam naczelnik. Mamy obaj szczęście! Zdam mu raport o tym, czego dokazałeś. Jestem bezpieczny pod jego opieką.

Przedarł się przez tłum oblegający wagony i przycupnął pod ławką koło urzędu telegraficznego.

— Wracaj albo ci zajmą miejsce! Nie bój się, brachu, o robotę... ani o moje życie. Dałeś mi jeszcze czas, by odsapnąć, a sahib Strickland wyciągnął mnie na ląd. Może jeszcze kiedy popracujemy razem w grze. Do widzenia!

Kim podrałował do wagonu; był dumny z siebie, oszołomiony, lecz nieco zbity z tropu tym, że nie miał klucza do otaczających go tajemnic.

— Jestem dopiero frycem w tej grze, to rzecz pewna. *Ja* bym nie potrafił uciec w miejsce bezpieczne, tak jak uciekł Saddhu. On wiedział, że pod lampą było najciemniej. Mnie nie przyszłoby na myśl, by pod pozorem przekleństwa oznajmić nowiny... a jak się gracko znalazł sahib! Bądź co bądź, ocaliłem życie jednemu z... Gdzie jest Kamboh, o święty? — szepnął, zajmując miejsce w nowo zapełnionym przedziale.

— Chwycił go strach — odparł lama z odcieniem lekkiej złośliwości. — Widział, jak w oka mgnieniu przemienił Mahrattę w Saddhu, chroniąc go od złego; to już go przeraziło. Potem zobaczył, jak Saddhu wpadł wprost w ręce *polisa* (policjanta)... wszystko za twą sprawą. Wtedy zabrał syna i uciekł; powiadał bowiem, że przemieniłeś spokojnego przekupnia w łzycała¹⁷⁹ sahibów, on zaś obawiał się podobnego losu. Gdzie jest Saddhu?

— W rękach *polisa* — rzekł Kim. — ...a przecież wyratowałem dziecko Kamboha.

Lama ofuknął go łagodnie:

— Ach, *chelo*, widzisz, jak dałeś się złapać! Uleczyłeś dziecko Kamboha jedynie po to, by zdobyć sobie zasługę. Ale potem, przejęty pychą, rzucałeś czary na Mahrattę (jam ci się przyglądał), spoglądając co chwila w bok, by otumanić starego człowieka i biednego dziewczawkę, z czego wynikło nieszczęście i podejrzliwość.

Kim opanował się wysiłkiem przechodzącym jego młodzieńcze usposobienie. Podobnie jak inni jego rówieśnicy nie lubił otrzymywać połań lub niesłusznych wymówek, ale widział, że jest w potrzasku. Pociąg wytoczył się z Delhi w pomroc nocną.

— To prawda — mruknął. — Żłem zrobił, że cię obraziłem.

— Nie dość na tym, *chelo*. Wysłałeś hen w świat pewne Dzieło, co niby kamień rzucony w staw zataczać będzie kręgi następstw... nie wiadomo dokąd idących.

Ta niewiadomość¹⁸⁰ była zarówno dobrą dla próżności Kima, jak i dla spokoju umysłu lamy, jeżeli pomyślimy o tym, że niebawem w Simli doręczono komuś depezę szyfrową donoszącą o przybyciu E-23 do Delhi i, co ważniejsza, o tym, gdzie znajduje się list, który polecono mu... przepisać. Nawiasowo można wspomnieć, że jeden z policjantów grzeszący nadmiarem gorliwości przyaresztował pod zarzutem zabójstwa popełnionego w którymś z państw południowych jakiegoś faktora bawelny z Adźmiru, który, oburzając się strasznie, tłumaczył się wobec pana Stricklanda na dworcu delhijskim, w tym samym czasie gdy E-23 zakazanymi drogami przekradał się w sam środek niedostępnego miasta Delhi. W dwie godziny później do nadąsanego ministra jednego z państw południowych nadeszło kilka telegramów donoszących, że zaginął wszelki ślad nieco potłuczonego Mahratty; a kiedy beztroski pociąg zatrzymał się w Saharunpore, ostatnia zmarszczka fali, wywołanej kamieniem rzuconym z pomocą Kima, osiadła na stopniach meczetu w dalekim Roum... gdzie przerwała modlitwę jednemu z nabożnych ludzi.

Za to lama odmawiał swoje modlitwy z całą wspaniałością koło rosą pokrytego żywopłotu bougainville'owego¹⁸¹ w pobliżu peronu, radując się jasnym blaskiem słońca i obecnością ucznia.

— Zostawimy te rzeczy za sobą — odezwał się, wskazując okuty miedzią parowóz i pośniewający tor kolejowy. — Tarmszenie się na kolei (choć uważam ją za rzecz cudowną) zbiło mi kości na miazgę. Odtąd już zażywać będziemy świeżego powietrza.

— Chodźmy do domu kobiety z Kulu.

Kim objuczony tobołkami ruszył radośnie w drogę. Wczesnym rankiem droga wiodąca z Saharunpore jest czysta i pełna lubej woni. Chłopcu przyszły na myśl zgoła inne poranki w zakładzie św. Ksawerego, a to dopełniło miary jego i tak już w trójnasób wezbranego zadowolenia.

— Skądże ci się wziął ten nowy pośpiech? Ludzie mądrzy nie biegają tędy owędy jak kurczaki w słońcu. Przebyliśmy już setki i setki *kos*, a jak dotychczas, byłem z tobą zaledwie

¹⁷⁹łzycał — ten, który łży; rzuca obelgi. [przypis edytorski]

¹⁸⁰niewiadomość — tu: nieświadomość. [przypis edytorski]

¹⁸¹*bougainvillea* — roślina podzwrotnikowa, nazwana na cześć Bougainville'a, podróżnika francuskiego XVIII w. [przypis tłumacza]

przez chwilę. Jakże możesz pobierać naukę, gdy cię będą potraçały rzesze przechodniów? Jakoż ja, ogarnięty przyplywem gadulstwa, będę mógł rozmyślać o Drodze zbawienia?

— Więc język jej nie przykrócił się z latami? — uśmiechnął się uczeń.

— Niestety nie! I zawsze jednakowo żądna jest czarów. Pamiętam, jakem jej raz opowiadał o Kole Życia — lama jął gmerać w zanadru, szukając świeżo sporządzonego rysunku — dopytywała się jeno o strzygonie, które napastują dzieci. Ona powinna zdobyć zasługę przez zabawianie nas rozmową... za jakiś czas... przy jakiej ubocznej sposobności... powoli, powoli. Teraz powędrujemy noga za nogą, oczekując łańcucha zdarzeń. Poszukiwanie jest niezawodne.

Przeto wędrowali zgoła leniwie pośród rozległych, okwieconych sadów — koło Amnadabu, Sahaigandzy, Akroli, nad brodem położonej, i koło małej Fulesy — mając zawsze od strony północnej pasmo Sewalików, za nimi zaś pasmo śniegów. Po długim, błogim śnie pod gołym niebem przychodziła kolej na przepyszną, beztroskliwą przechadzkę przez budzące się sioło. Kim wyciągał w milczeniu miskę żebraczą, ale oczy jego, wbrew ustawom zakonu, błędziły od jednego krańca niebios na drugi. Potem powoli wracał po grząskim kurzu do swego mistrza, siedzącego pod osłoną drzewa mango lub w niklejszym cieniu białego *sirisu* dońskiego, gdzie jedli i pili, ile wlezie. W południe, po gawędzie i małej wędrówce, drzemali, a gdy powietrze ochłodziło, witali znów świat snem pokrzepieni. Za nadejściem nocy zapuszczali się śmiało w nowe terytorium... do jakiejś pokaźniejszej wioski, którą na trzy godziny przedtem upatrzyli sobie pośrodku tej żywej okolicy, stoczywszy wprawdzie długi spór na drodze.

Tam opowiadali swoje dzieje — które, ile chodzi o Kima, były coraz to inne każdego wieczora — i byli podejmowani bądź przez wójta, bądź przez kapłana, według zwyczaju gościnnego Wschodu.

Gdy cienie stawały się krótsze i lama silniej opierał się swym ciężarem na ramieniu Kima, wydobywano zawsze Koło Życia, rozprostowywano je na ziemi otartymi z kurzu kamieniami i objaśniano krąg za kręgiem za pomocą długiej słomki. Tu na wysokości siedzieli bogowie — a byli oni tylko zwidami zwidów. Tu było ich niebo i świat półbogów — jeźdźców walczących pomiędzy wzgórzami. Oto tam dalej widać było obumierania wyobrażone w postaciach zwierzęcych oraz dusze to wstępujące, to zstępujące po drabinie — którym przeto nie należy stawać na zawadzie. Dalej było piekło gorące i zimne oraz siedziby widm potępionych. Niechajże *chela* przyjrzy się, jakie to nieszczęścia wynikają z obżarstwa: oto wydęte brzuchy i płonące jelita! Jakoż *chela* pochyliwszy głowę i trzymając brunatny palec w pogotowiu, by iść w ślad mistrza, posłusznie oglądał rzecz całą; lecz gdy doszli do Koła Świata Ludzkiego, pełnego ruchu i korzyści, a znajdującego się tuż poniżej piekła, umysł chłopca uległ roztargnieniu. Albowiem po bokach gościńca toczyło się samo właśnie ono Koło, jedząc, pijąc, kupcząc, kojarząc się w stadła i kłócąc... całe kipiące życiem. Często lama objaśniał swój wykład żywymi obrazami, prosząc Kima (aż nazbyt pochopnego), ażeby przypatrzył się, jak to ciało przyjmuje tysiączne i tysiączne postacie, ponętne lub odrażające — według mniemania ludzi, ale w istocie zgoła pozbawione wartości; i jak głupi duch, niewolnik wieprza, gołębia i węża — pożądając orzechów betelu, nowego zaprzęgu wołów, kobiet lub łaski królewskiej — musi iść za ciałem przez wszystkie nieba i wszystkie piekła, aż przejdzie znów cały okrąg. Czasami, gdy wielka, żółta karta leżała rozwinięta, jakaś kobieta lub jakiś człek biedny, przyglądający się temu obrządkowi (boć nie mogło to być nic innego), rzucali na jej rożek parę kwiatów lub garść *kauri* (muszelki używane jako zdawkowa moneta). Tym prostaczkom wystarczało, że spotkali świętą osobę, którą można było zjednać, by pamiętała o nich w swych modlitwach.

— Leczyć ich, jeżeli są chorzy — mówił lama, gdy w Kimie budziły się figlarskie nalogi. — Uzdrawiaj ich, jeżeli mają febrę, ale nigdy przenigdy nie odbywaj czarów. Pamiętaj, co się zdarzyło onemu Mahratcie.

— Więc wszelki czyn jest złem? — odparł Kim, leżąc pod wielkim drzewem na rozwidleniu gościńca wiodącego do Doon i przyglądając się mrówkom biegającym mu po ręce.

— Wstrzymywanie się od działania jest rzeczą chwalebną... chyba że mamy zdobywać zasługę.

— W Podwojach Wiedzy uczono nas, że powstrzymywanie się od działania jest rzeczą niegodną sahiba: ja zaś jestem sahibem.

— Przyjacielu całego świata! — tu lama spojrział wprost na Kima — jestem człek stary... który, jak dzieci, lubi widowisko. Dla tych, którzy idą Drogą zbawienia, jest rzeczą obojętną, czy kto czarny, czy biały, czy z Hindu, czy z Bhotiyalu. Wszyscy posiadamy dusze łąkające wybawienia. Mniejsza o to, jakiej mądrości uczono cię wśród sahibów; gdy dojdziemy do mej rzeki, będziesz wyzwolon z wszelkiej ułudy... pospołu ze mną. Hej! Kości we mnie doznają bólu z powodu tej rzeki, jak cierpiały w pociągu; ale duch mój wyższy jest od moich kości, jest cierpliwy. Poszukiwanie jest niezawodne!

— Otrzymałem odpowiedź. Czy wolno mi zadać pytanie?

Lama nakłonił dostojną głowę.

— Jadłem, jak ci wiadomo, twój chleb przez trzy lata.. Skądże to pochodziło, o święta osobo?...

— W Bhotiyalu jest wiele tego, co ludzie poczytują za bogactwo — odpowiedział lama z zimną krwią. — W mych stronach ojczystych doznają złudy dostojeństwa. Żądam zawsze, czego mi potrzeba; nie troszczę się o rachunki: to rzecz mego klasztoru. Hej! Wy czarne, wyniosłe siedliska klasztorne i wy zastępy braci zakonnych!

I kreśląc palcem po piasku, jał opowiadać o wspaniałych i kosztownych obrzędach w głębi tumów obwarowanych lodowcami; o procesjach i tańcach diabelskich; o przemianach mnichów i mniszek w świnie; o świętych miastach na wysokości piętnastu tysięcy stóp w powietrzu; o zatargach pomiędzy klasztorami; o głosach wśród gór i owym tajemniczym mirażu, co płąsa po suchym śniegu. Mówił nawet o Lhassie i o Dalajlamie, którego widział i uczcił pokłonem.

Każdy z długich, przepysznych dni tak spędzonych piętrzył się poza Kimem, niby zaporą odgradzająca go coraz bardziej od rodzimego plemienia i rodzimej mowy. Chłopak zaczął ponownie myśleć i śnić w języku krajowym oraz bezwiednie naśladował ceremonialną regułę lamy dotyczącą jedzenia, picia itp. Dusza staruszka rwała się coraz to bardziej do klasztoru, jak oczy jego lgnęły do wieczystych śniegów. Swą rzeką zgoła się nie traził. Wprawdzie od czasu do czasu przyglądał się długo, długo jakiejś krzewinie lub gałęzi, oczekując, jak mówił, czy ziemia nie pęknie i nie użyczy swego błogosławieństwa; lecz na ogół poprzestawał na tym, że jest ze swym uczniem i że jest mu lubo w tchnieniach łagodnego wiatru nadciągającego z Doon. Nie był to Cejlon, nie Buddh Gaya ani Bombaj, ani też jakieś trawą porośłe zwaliska, po których pono stąpał przed dwoma laty. Mówił o tych miejscowościach jako uczeń wolen próżności, jako poszukiwacz idący w pokorze, jako starzec mądry a umiarkowany, okraszający mądrość z głębokim znawstwem rzeczy. W ten sposób opowiadał szczegół za szczegółem ze wszystkich swych wędrówek odbytych wzdłuż i wszerz po całych Indiach — choć opowieści te nie wiązały się w składną całość i tylko bywały dorywczo wywołane tym lub owym zdarzeniem przydrożnym; toteż Kim, który kochał go odąd bezinteresownie, jał go teraz kochać z wielu słusznych powodów. Radowali się tedy obaj górną szczęśliwością, wystrzegając się, jak tego wymagała reguła, niezbożnych słów i chuci zmysłowych, nie objadając się, nie spoczywając na wyniosłych łożach, nie nosząc szat zbyt kownych. Żołądek głosił im swą porę, a ludziska znosili im ja-dło, jak się to zwykło mawiać. Byli panami wioski: Aminadabu, Sahaigandży, Akroli, co jest u przewozu, i małej Fulesy, gdzie Kim udzielił błogosławieństwa omdlałej kobiecie.

Ale w Indiach szybko wędrują nowiny, więc też niebawem poprzez łąny zbożowe dotarł do nich siwobrody sługa, chudy i wyschnięty Orias, niosąc koszyk owoców oraz skrzynkę kabulskich winogron i złotych pomarańcz i prosząc ich, by obecnością swą zaszczylic jego panią, której w duszy markotno, że lama zapomniał o niej od tak dawna.

— Teraz sobie przypominam — mówił lama, jak gdyby ta myśl dopiero po raz pierwszy zaświtała mu w głowie. — Jest to kobieta zacna, ale niepowściągliwie gadatliwa.

Kim siedział na krawędzi krowiego koryta, opowiadając baję dzieciom kowala wiejskiego.

— Ona będzie się ino dopraszała o drugiego syna dla swej córy. Nie zapomniałem o niej — odezwał się. — Niechajże zdobędzie sobie zaslugę. Oznajmij, że przybędziemy.

W przeciągu dwu dni przebyli jednaście mil polami, a u celu podróży zostali przyjęci z wielką paradą; albowiem stara jejmość utrzymywała piękną tradycję gościnności i nagięła do niej też swego zięcia, który był zawojowany przez swe niewiasty i okupywał

spokój pożyczkami u lichwiarza. Wiek wcale nie nadwątlił jej języka ni pamięci, toteż spoza dyskretnie zatarasowanego okna na piętrze — a głosu jej słuchał co najmniej tuzin służących — obsypała Kima komplementami, które słuchaczom europejskim zjeżyłyby włosy na głowie.

— Ale ty jesteś wciąż tym samym bezwstydnym żebrakiem z *paraol*! — krzyczała piskliwym głosem. — Nie zapomniałam cię, drapichruście! Umyjcie się i przekąście coś niecoś. Ojciec syna mej córki oddał się z domu na pewien czas, więc my, biedne kobiety, siedzimy tu beczynnym jak głuchonieme.

By tego dowieść, łąła wciąż bez litości wszystkich domowników, póki nie przyniesiono jadła i napoju; zaś gdy nadszedł wieczór — wonny od dymów, ścielący się po polach barwą turkusową i szaro-miedzianą — przysła jej ochota wydać rozkaz, by jej palankin ustawiono na niechlujnym podwórku, gdzie przy kopcących smolnych łuczycach gawędziła z gośćmi swymi do syta spoza niezbyt szczelnie zasuniętych kotar.

— Gdyby mąż święty przybył sam, przyjąłabym go inaczej, ale z tym hultajem któż by się bawił w ceregiele?

— *Maharanee* — rzekł Kim, dobierając, jak zwykle, co najwspanialszego tytułu — czy to moja wina, że jakiś sahib... sahib z policji... nazwał *Maharanee*, której twarz...

— Cyt! To było w podróży. Gdy pielgrzymujemy... znasz przysłowie.

— ...że nazwał *Maharanee* kruszycielką serc i rozdawczynią rozkoszy?

— Że też to pamiętasz? Prawda. Tak on mówił. Było to w okresie rozkwitu mej piękności — zachichotała jak papuga zadowolona z otrzymanego kawałka cukru. — Teraz opowiedz mi o swoich przygodach... o ile to możliwe bez wstydu. Ileż to dziewcząt, ile mężatek zaglądało ci w oczy? Czy przybywacie z Benares? Byłabym tam poszła znów w tym roku, ale moja córka... mamy tylko dwóch synów. Fe! Takie są skutki mieszkania na tych nizinach! W Kulu mężczyźni są jak słonie. Lecz chciałam prosić męża świętego (odejdz na bok, hultaju!), by zażegnał wielce bolesne odęcie i klucie, które w okresie dojrzewania mango nawiedziło pierworodnego syna mej córki. Dwa lata temu udzielił mi nader skutecznego zaklęcia.

— O mężu święty! — rzekł Kim, podrwiwając sobie wesoło ze skruszonego oblicza lamy.

— To prawda. Dałam jej coś na usunięcie parcia...

— Na zęby... zęby... zęby... — obruszyła się stara jejmość.

— Uzdrawiaj ich, gdy są chorzy — cytował Kim z upodobaniem — lecz żadną miarą nie odbywaj guseł. Pamiętaj, co się przytrafiło Mahratcie.

— Było to przed dwiema porami deszczowymi, a ona dała mi się we znaki swym wiekuistym natręctwem — zajęczał lama, jak gdyby go oczekiwał sąd niesprawiedliwy. — Tak się zdarza... bacz na to, mój *chelo*... że nawet ci, którzy chcą postępować Drogą zbawienia, dają się z niej sprowadzić przez próżne niewiasty. Gdy dziecko było chore, gadała ze mną przez trzy dni bez przerwy.

— *Arrè!* A z kimże miałam gadać? Matka chłopaka na niczym się nie znała, a ojciec... noce bywały wtedy chłodne... mawiał: „Módl się do bogów” i chrapał, odwróciwszy się na drugi bok.

— Dałam jej środek czarnoksięski. Cóż miał począć człek stary?

— Powstrzymanie się od działania jest rzeczą chwalebną... chyba że się chce zdobyć „zasługę”.

— Ach, *chelo*, jeżeli mnie porzucisz, będę sam, samiuteńki.

— Bądź co bądź, z mlecznymi ząbkami poszło mu łatwo! — rzekła stara jejmość. — Lecz wszyscy kapłani są jednakowi.

Kim zakaszłał poważnie. Choć był młody, jednak nie podobało mu się jej gadulstwo.

— Narzucac się mędrcom w chwili niestosownej jest to tyle, co ściągać na siebie nieszczęście.

— Tam ponad stajniami jest gadatliwy *mynah* — (to odparowanie sztychu zostało poparte znamienym stukiem palca wskazującego, przybranego w diamenty) — który przybiera nawet tony kapłana domowego. Może zapominam o czci należnej gościom, ale gdybyście widzieli mojego malca, jak składa obie piąstki na brzuszku, co podobny jest do na pół dojrzałej dyni, i jak woła: „Tu boli!”, to byście mi wybaczyli!... Jużem się na poły zdecydowała wziąć lekarstwo od tego *hakima* (lekarza). Sprzedaje tanio i pewno to na nim

on tak się upasł jak byk samego Shiwy. Mój malec nie wzbrania się przyjąć lekarstwa, ale ja wahałam się dać je dziecku z powodu podejrzanej barwy flakoników.

Lama, korzystając z tego monologu, zniknął w ciemności, udając się do przygotowanego dla siebie pokoju.

— Widocznies go uraziła! — rzekł Kim.

— O, nie! On jest zmęczony, a ja zapomniałam o tym, ponieważ jestem babką. (Nikt nie umie tak dopatrzeć dziecka jak babka; matki są zdatne tylko do rodzenia.) Jutro, gdy zobaczy, jak urósł mój wnuk, pewno przepisze jakieś uroki. Wtedy też będzie mógł powiedzieć prawdę o skuteczności leków nowego *hakima*.

— Któż to jest ów *hakim*, *Maharanee*?

— Wędrowiec jak i ty, ale po za tym jest to wielce rozsądny Bengalczyk z Dakki... magister medycyny. Za pomocą małej pigułki, co działała jak sam bies rozpętany, wyleczył mnie z parcia w żołądku, jakie przytrafiło mi się po jedzeniu. Teraz on jeździ po świecie, sprzedając bardzo cenne mikstury. Ma nawet papiery, drukowane po *angrezyjsku* (angielsku), poświadczające, jak to on się przysłużył ułomnym mężczyznom i słabowitym kobietom. Bawił tu cztery dni, ale słysząc o waszym przybyciu (na całym świecie *hakimowie* i kapłani żyją z sobą jak wąż z tygrysem) podobno gdzieś się schował.

Gdy po tej mównicy nabierała tchu na nowo, stary sługa, siedzący nieporuszenie przy pochodni, mruknął:

— Ten dom jest dalibóg istnym szałasem wszelkich wydrwigroszów i... kapłanów. Niechby już chłopak przestał jadać owoce mango... ale jakże tu klócić się z babką?

Po czym z uszanowaniem podniósł głos:

— Sahiba, *hakim* urządził sobie drzemkę poobiednią. Można go zdybać w izbie za gołębnikiem.

Kim zjeżył się jak węszący jamnik. Zaczepienie i upokorzenie Bengalczyka kształconego w Kalkucie, zwinnego olejkarza dakkańskiego, wydało mu się grą nie lada. Nie zanosilo się na to, by lama, a przygodnie i on sam, miał być usunięty w cień przez kogoś tam przybędę. Znał on te pocieszne ogłoszenia w niezdarnej angielszczyźnie, znajdujące się na końcowych stronicach gazet krajowych. Uczniowie zakładu św, Ksawerego przynosili je nieraz po kryjomu, by natrząsać się z nich w gronie kolegów, albowiem wyrażenia wdzięcznego pacjenta wyliczającego swe dolegliwości bywają wielce naiwne, a nieraz i dwuznaczne. Orias, który był nie od tego¹⁸², by podjudzić jednego pieczeniara przeciwko drugiemu, pomknął w stronę gołębnika.

— Tak! — ozwał się Kim trochę urągłiwie. — Ich towarem jest odrobina zabarwionej wody i wielka doza bezczelności. Ich pastwą stają się podupadli królowie i opasli Bengalczycy. Zarabiają na dzieciach... które się nie urodziły.

Stara jejmość zachichotała.

— Nie bądź no zazdrosny. Czary więcej się przydadzą, he? *Ja* nigdy temu nie przeczyłam. Przypilnuj, by twój świętek zapisał mi rano dobry amulet.

— Tylko ludzie nieoświeceni zaprzeczają... — wypłynął z głębi ciemności jakiś głos ciężki a gruby i jakaś postać usiadła opodal, podwinąwszy nogi pod siebie. — Tylko ludzie nieoświeceni odmawiają skuteczności czarom, tylko ludzie nieoświeceni odmawiają wartości lekarstwom.

— Szczur znalazł kawałek imbiru i powiada: „Założę sklep korzenny! — odciął się Kim.

Oto więc zaczęła się walka na ostre; stara jejmość cała w słuch się zamieniła.

— Syn kapłana zna imiona trzech bogów i swojej piastunki, a powiada: „słuchaj mnie, bo inaczej przeklnę cię imionami trzech milionów wielkich potęg”. Niewątpliwie ten niewidzialny miał kilka strzał w swym kołczanie i mówił dalej: „jestem jedynie nauczycielem abecadła. Nauczyłem się całej mądrości sahibów”.

— Sahibowie nigdy się nie starzeją. Gdy są dziadkami, tańczą i bawią się jak dzieci. To chwackie plemię! — zapiszczał głos w głębi palankinu.

— Mam też i nasze lekarstwa skuteczne na rozpraszenie humorów w głowach ludzi krewkich i porywczych. Mam *sina*, doskonale przyrządzoną w czasie odpowiedniej przemiany księżycy; mam i żółte glinki... *arplan* z Chin, zdolne odmłodzić człowieka ku

¹⁸²być nie od czegoś — nie mieć nic przeciwko czemuś. [przypis edytorski]

zdumieniu wszystkich domowników; mam szafran z Kaszmiru i najlepszy *salep kabulski*¹⁸³. Wielu ludzi umierało... zanim...

— O, temu wierzę w zupełności! — rzekł Kim.

— ...zanim poznano skuteczność mych lekarstw. Ja *swoim* pacjentom daję nie sam atrament, którym pisane są zaklęcia, lecz doraźne i niezawodne lekarstwa, które wnikają w ciało i zwalczają chorobsko.

— Oj, czynią to sposobem bardzo gwałtownym! — westchnęła stara jejmość.

Głos nieznanego rozmówcy ją wywołał i rozwlekłą opowieść o niepowodzeniach i bankructwie, naszpikowaną mnóstwem podań zaniesionych do rządu.

— Gdyby nie los, który mi we wszystkim psuje szyki, byłbym teraz na posadzie rządowej. Mam stopień naukowy otrzymany w wyższej szkole kalkuckiej, dokąd zapewne pójdziesz kiedyś i *infant*¹⁸⁴ tego domu.

— Jużci, że pójdziesz. Jeżeli bękart naszego sąsiada może w ciągu lat kilku uzyskać F.A.¹⁸⁵. — (użyła terminu angielskiego, który często obijał się jej o uszy) — to chyba tym bardziej osiągną to dzieci mądre niczym człek poniekąd, co, jak mi wiadomo, otrzymywał nagrody w bogatej Kalkucie.

— Nigdy mi się nie zdarzyło widzieć takiego dziecka! — ozwał się głos. — Urodzone w szczęśliwą godzinę i... gdyby nie te kolki w brzuchu, które, niestety, przeszedłszy w chorobę żółci mogą zmieść go ze świata jak gołąbka... może dożyć lat długich... godzin zazdrości.

— *Hai mai!* — ozwała się stara jejmość. — Dyc chwalenie dzieci przynosi złą wróżbę, inaczej mogłabym przysłuchiwać się tej gawędzie. Ale tyły domu są niestrzeżone, a właśnie wśród takiego nastroju ludzie knują sobie to i owo... Ponadto odjechał ojciec dziecięcia, a ja na stare lata muszę być *czaukedar* (dozorczynią). Wstawać, wstawać! Podnieście palankin! Niech no *hakim* i młody klecha dojdą z sobą do porozumienia, czy więcej przydadzą się gusła, czy lekarstwa. Hej, nicponie, podajcie gościom tytoniu a... ja obejmę całe gospodarstwo!

Palankin potoczył się dalej, a za nim sunęły w rozsypce pochodnie i zgraja psów. Dwadzieścia wiosek znało sahibę... jej wady, jej ozór i jej hojną uczynność. Dwadzieścia wiosek oszwabiało ją według zwyczaju sięgającego niepamiętnych czasów, ale nikt za nic w świecie nie okradłby jej ani nie ograbił w obrębie jej posiadłości. Mimo to odbywała z wielką paradą tę urzędową inspekcję, której wrzawa dolatywała niemal do Mussoorie.

Kim rozpoznał oblicze, jak to bywa, gdy augur spotyka się z augurem. *Hakim*, siedząc wciąż w kucki, podał mu po przyjacielsku swą *bookah*, a Kim zaciągnął się dymem przepysznego zioła. Wyjadacze domowi spodziewali się poważnej dyskusji zawodowej, a zapewne po trosze i bezpłatnej fatygi lekarskiej.

— Rozprawiać o medycynie w obecności nieuków jest to samo, co uczyć pawia śpiewu! — rzekł *hakim*.

— Prawdziwą uprzejmością — basował mu Kim — jest często brak uwagi.

Były to, ma się rozumieć, formy towarzyskie mające na celu wywołanie wrażenia.

— Hej! Mam ci ja wrzód na nodze... — zabecztał jeden z kuchcików. — Patrzcie ino!

— Fora stąd! Wynocha! — ozwał się *hakim*. — Czy jest tu zwyczajem naprzykrzać się znamienitym gościom? Ciśniecie się jak bawoły.

— Gdyby *sahiba* wiedziała... — zaczął Kim.

— Ojej! Wynosmy się stąd! To nie dla nas kąsek... pani zagarnęła ich całkowicie. Gdy uleczą jej młodego *szejtana* (diabełka) z tych kolek w brzuchu, może nam chudzinom pozwolić...

— Pani żywiła twą żonę, gdyś ty siedział w ciupie za rozbicie łba lichwiarzowi. Kto śmie wygadywać coś na nią? — ozwał się stary sługa, pokręcając groźnie siwego wąsa w świetle księżyca, co był właśnie na młodziku¹⁸⁶. — *Ja* tu jestem odpowiedzialny za honor domu! Huzia! — i pognął przed sobą za wrota całą gromadę podwładnych.

Hakim ledwo trochę otwierając, usta przemówił:

— Jak się masz, panie O'Haro? Ogromnie się cieszę, że widzę się znów z tobą.

¹⁸³*salep kabulski* — odżywka wyrabiana z kłączy roślin storczykowatych. [przypis tłumacza]

¹⁸⁴*infant* — następca tronu; dziecko, potomek. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*FA* — *First Arts*; dyplom wykształcenia niższego. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*księżycyca (...)* na młodziku — tzn. w nowiu. [przypis edytorski]

Ręka Kima wpiła się w cybuch. Gdzieś na otwartej drodze może by się i nie zdumiał, ale tu, w tej zacisznej łasze, odległej od prądu życia, nie spodziewał się zastać Hurreego Babu; gniewało go i to, że się dał tak wziąć na kawał.

— Aha! Mówiłem ci w Lucknow: *res-surgam*... zmartwychwstanę, a ty mnie nie poznasz. O ileś się zakładał... he?

Przeżuwał spokojnie parę ziarek rzeżuchy, ale oddychał jakoś z trudnością.

— Ale po coś ty tu przybył, Babudzi?

— Ach! Ot-to pytanie, jak mówi Szekspir. Przybywam, by ci powinszować wspaniałe uda-anej hecy w Delhi. Ooch! Mówię ci, że wszyscy szcycimy się tobą. Ładnie i zręcznie to zrobiliś. Nasz wspólny znajomy jest z dawna moim przyjacielem. Bywał ci on nieraz w tęgich opałach, a teraz jeszcze więcej ich zak-kosztuje. On mi o tym opowiadał, ja zaś panu Lurganowi, który jest rad, że sprawiasz się tak gracko. Cały wydział cieszy się z tego.

Po raz pierwszy w życiu Kim uniósł się szczerą dumą (mogła to być, bądź co bądź, śmiertelna pułapka) z powodu pochwały udzielonej przez wydział; była to wprost usidlająca pochwała ze strony kolegów, którzy mieli go za równego sobie w pracy. Nic w świecie równać się nie mogło z tą pochwałą... Ale chyba taki *babu* (tak wołał wschodni instykt w duszy Kima) nie puszcza się w daleką podróż li tylko dla wyrażenia komplementów...

— Opowiedz, *babu*, co się z tobą działo! — rzekł nakazująco.

— Ooch, to bagatela! Byłem po prostu w Simli, gdy nadeszła depesza o tym, co pono ukrył nasz wspólny przyjaciel; zaś stary Creighton...

Spojrzał na Kima, chcąc się przekonać, jakie wrażenie wywrze na nim to zuchwalstwo.

— Sahib pułkownik! — poprawił go uczeń zakładu św. Ksawerego.

— A jakże! Dowiedział się, że jestem lozakiem, więc kazano mi iść do Chitor i odnaleźć ten pieski list. Nie lubię południa... za wiele tej jazdy koleją... ale udało mi się wydebić ładną sumkę na drogę. Ha, ha! w Delhi spotkałem naszego kmotra już w drodze powrotnej. Wypoczywa on sobie teraz spokojnie i mówi, że w ubiorze Saddhu jest mu do twarzy pod każdym względem. No, wtedy dopiero posłyszałem, jakieś ty się spisał sprawnie i szybko, pod naciskiem naglącej konieczności. Powiadam naszemu kmotrowi, że z ciebie spryciarz nie lada. Na Jowisza, to był świetny kawał! Przybywam, by ci o tym powiedzieć.

— Hm!

Żaby w przykropkach czyniły harmider co się zowie; księżyc już zniżał się ku zachodowi. Jakiś podochocony sługus wyszedł na dwór, by nacieszyć się nocą, i walił co sił w bęben. Następne zdanie Kim wypowiedział już po hindusku.

— Jak ci się udało nas wytropić?

— O to! To drobnostka! Od naszego wspólnego przyjaciela wiedziałem, że jedziesz do Saharunpore, więc się tam udałem. Taki czerwony lama nie jest osobistością niepozorną. Kupiłem sobie apteczkę podręczną, a jestem też po prawdzie niezłym lekarzem. Przez bród dostałem się do Akroli i dowiedziałem się o was wszystkiego, a zagadywałem to tu, to tam. Wszyscy ludzie prości wiedzą, co się z wami dzieje. Wiem, kiedy gościnną stara jejmość wysłała *duli* (lektykę). Mają tu wiele wspomnień o dawniejszych pobytach starego lamy. Wiem, że stare dziedziczki nie mogą wytrzymać bez lekarstw. Stałem się więc lekarzem i... słyszysz, co mówię? *Ja* sądzę, że to rzecz bardzo dobra. Słowo daję, panie O'Hara, ludzie tutejsi, wieśniacy, na pięćdziesiąt mil wokoło wiedzą o tobie i o lamie. Dlatego przybyłem. Czy uważasz?

— Babudzi — rzekł Kim, patrząc w szeroką, nieco drwiącą twarz — jestem przecie sahibem.

— Szanowny panie O'Haro...

— I spodziewam się, że wezmę udział w wielkiej grze.

— Na razie z ramienia wydziału jesteś moim podwładnym.

— Więc na cóż było rzecz całą obwijać w bawełnę? Przecież nie po to przychodzi się z Simli i to w przebraniu, by powiedzieć komuś parę pochlebnych słówek. Nie jestem dzieckiem. Mów po hindusku i dojdźmy do samego jądra rzeczy. Przybyłeś tu... i na dziesięć twych słów ledwo jedno zawiera odrobinę prawdy. Po coś tu przybył? Odpowiedz bez wykrętów.

— Ależ to rzecz tak bardzo krępująca w stosunku do Europejczyka, panie O'Hara. Gdy dojdiesz swych lat, będziesz się na tym rozumiał o wiele lepiej.

— W każdym razie chcę wiedzieć — rzekł Kim, śmiejąc się. — Jeżeli chodzi o grę, może potrafię w tym dopomóc. Jakże mogę uczynić cokolwiek, jeżeli ty tylko ciągiem pleciesz w kółko androny!

Hurree Babu sięgnął po fajkę i ciągnął dym, póki w niej nie zabulgotało.

— Teraz będę mówił językiem krajowym. Siądź bliżej, panie O'Haro... Chodzi o rodowód białego ogiera.

— Jeszcze? Przecież to już dawno skończone.

— Wielka gra kończy się dla każdego dopiero ze śmiercią... nie wcześniej. Wysłuchaj mnie do końca, Trzy lata temu, gdy Mahbub Ali dał ci rodowód ogiera, pięciu królów czyniło przygotowania, by zniemacka rozpocząć wojnę. Wskutek owego meldunku nasza armia napadła na nich, zanim jeszcze zdolali się przygotować. Pamiętam ową noc.

Ale wojna nie doszła do skutku. Taki to zwyczaj rządu. Wojsko odwołano, ponieważ rząd uwierzył, że królowie stchórzyli, a zresztą wyżywienie wojska w wąwozach górskich kosztuje niemało. Radżowie Hilàs i Bunàr, obdarzeni bronią, podjęli się za wynagrodzeniem strzec wąwozów przeciwko wszelkim przybyszom z północy. Zapewnili nas zarówno o swej bojaźni, jak i przyjaźni.

Parsknął śmiechem i znów ją¹⁸⁷ mówić po angielsku.

— Oczywiście mówię to, panie O'Hara, nieurzędowo, zabroniono mi wszelkiego kryt-tykowania działalności zwierzchników. Teraz wracam do rzeczy... Podobało się to rządowi, który pragnął uniknąć wydatków, i zawarto układ, że za tyle a tyle rupii miesięcznie Hilàs i Bunàr mają po wycofaniu wojsk państwowych pilnować przełęczy górskich. W tym czasie (było to wkrótce po naszym pierwszym spotkaniu) ja, który trudniłem się sprzedażą herbaty w Leh, zostałem mianowany urzędnikiem rachunkowym w wojsku. Gdy wojska wycofano, ja pozostałem na miejscu, by opłacić kulisów, którzy budowali w górach nowe gościńce; to budowanie gościńców było jednym z punktów układu zawartego pomiędzy Bunàrem, Hilàsem i rządem.

— No i cóż dalej?

— Z przejściem lata, powiadam ci, nastaly tam pieskie mrozy — mówił Hurree Babu poufale. — Bałem się, że te draby bunarskie za pieniądze gotowi mi są kiedy w nocy poderznąć gardło. Moja drużyna przyboczna, złożona z tubylczych sipajów, śmiała mi się w oczy! Na Jowisza! Jestem człek bojaźliwy! Ale mniejsza o to. Wracam do toku opowiadania... Wielokrotnie posyłałem meldunki, że ci dwaj królowie są przekupieni przez państwo północne; potwierdzał to w zupełności Mahbub Ali, który był jeszcze dalej na północy. Na nic się to nie zdało. Odmroziłem sobie tylko stopy i straciłem jeden palec u nogi. Posłałem meldunek, że drogi, za które płaciłem tyle pieniędzy robotnikom, buduje się dla wygody cudzoziemców i wrogów...

— Dla kogo?

— Dla Rosjan. Kulisowie kpili sobie z tego całkiem otwarcie. Wtedy zawezwano mnie, bym ustnie opowiedział, co mi było wiadomo. Mahbub też pojechał na południe. Patrz, co z tego wynikło! Tego roku, po stopieniu śniegów — tu wzdrygnął się ponownie — przedostali się przez wąwozy dwaj cudzoziemcy niby to w zamiarze polowania na kozice. Mieli ze sobą strzelby, ale nieśli też łańcuchy miernicze, wodowagi i cyrkle.

— Oho! Sprawa zaczyna się wyjaśniać.

— Radżowie Hilàs i Bunàr przyjęli ich uprzejmie. Przybysze czynili wielkie obietnice; przemawiali imieniem pewnego Kaisara (cara), wręczając dary. Chodzili tam i sam dolinami i mówili: „W tym miejscu należałoby zbudować szaniec; tu można zbudować warownię. Tu można zatarasować drogę całej armii”... były to właśnie owe drogi, za które płaciłem miesięcznie tyle rupii. Rząd wie o tym, lecz nic nie działa. Trzej inni królowie, którym nie zapłacono za strzeżenie wąwozów, wysłali gońca, donosząc o wiarołomstwie radżów Bunàr i Hilàs. Gdy się stało całe to nieszczęście, zważ sam... gdy ci dwaj cudzoziemcy z wodowagami i cyrklami upewniają pięciu królów, że jakieś wielkie wojsko lada dzień przejdzie przez wąwozy (wszyscy górale są skończonymi durniami)... naraz ja, Hurree Babu, otrzymuję rozkaz: „Jedź na północ i zbadaj, czego chcą ci cudzoziemcy”. Ja wtedy rzekę do sahiba Creightona: „Toć to nie proces, byśmy mieli gromadzić dowody”.

Uśmiechnął się drwiąco i powrócił znów do angielszczyzny:

¹⁸⁷jąć — zacząć. [przypis edytorski]

— „Na Jowisza”, mówię na to, „po kiego di-abła takie zachody? Czemu pan, na ten przykład, nie wyda rozkazu jakiemu śmiałkowi, by ich otrul? Niech pan się nie pogniewa za tę uwagę, lecz nazwę to wielkim niedbalstwem z pańskiej strony”. Ale pułkownik Creighton wyśmiał mnie tylko! Oj, ta wasza dia-ab-belna zarozumiałość angielska! Mniemacie, że nikt nie waży się przeciwko wam spiskować. Cóż za głupota!

Kim ćmił fajkę pomaluszku, rozważając w swej bystrej głowie całą sprawę, ile ją zdołał zrozumieć.

— Więc idziesz tropić cudzoziemców?

— Nie; powitać ich. Przybywają do Simli, by stamtąd odesłać rogi i lby upolowanej zwierzyny, które mają oporządzić w Kalkucie. Są to... tylko myśliwi, a rząd zapewnił im specjalne udogodnienia. Oczywiście, my zawsze tak postępujemy; jest to chlubą dla nas, Anglików.

— Więc czemuż się ich obawiać?

— Na Jowisza, to nie są czarni. Z czarnymi, ma się rozumieć, poszłoby mi wszystko jak z płatka. To Rosjanie, ludzie zgoła pozbawieni skrupułów. Ja... ja nie mam ochoty wdawać się z nimi bez świadków.

— Czy chcą cię zabić?

— O, o to jeszcze najmniejsza. Jako wierny wyznawca filozofii Herberta Spencera, gotów jestem, sądzę, każdej chwili powitać śmierć, która, jak ci wiadomo, i tak jest mi przeznaczona. Ale... ale oni mogą mnie obić...

— Za co?

Hurree Babu trzasnął w podrażnieniu palcami.

— Oczywiście, przystanę do ich obozu w charakterze nadliczbowego członka wyprawy... może jako tłumacz, może jako jakiś półgłówek lub głodomór, czy jeszcze co innego. A wtedy, przypuszczam, muszę wydostać ich tajemnice, co się zrobić da bez wielkiego trudu. Jest to dla mnie rzecz tak łatwa, jak udawanie pana doktora wobec starej jejmości. Tylko... tylko... widzisz, panie O'Hara, jestem na nieszczęście Azjatą, co w pewnych względach jest poważną ułomnością. A co więcej, jestem Bengalczykiem... człowiekiem lęklwym.

— Bóg stworzył pospołu zającą i Bengalczyka; czegoż się mają wstydzić? — przytoczył Kim znane przysłowie.

— Zdaje mi się, że był to proces ewolucji wywołany pierwotną koniecznością, lecz sam fakt istnieje nadal z całym swym *cui bono*¹⁸⁸. Jestem, ach, okropnie bojaźliwy!... Pamiętam, jak raz chciano mi uciąć głowę na drodze do Lhassy (nie, ja nigdy nie dotarłem do Lhassy!). Usiadłem i krzyczałem, panie O'Hara, przeczuwając, że czekają mnie chińskie tortury. Nie przypuszczam, by ci dwaj panowie mieli mnie torturować, lecz w razie czego wolałbym towarzystwem Europejczyka zabezpieczyć się od możliwej przygody.

Zakaszłał się i wypluł nasiona rzeżuchy.

— Jest to zgoła nieurzędo-owa propozycja, na którą możesz odpowiedzieć: „Nie, *ba-bu*”. Jeżeli nie masz jakich pilnych zamierzeń wraz ze swym staruszkciem... może będziesz mógł go nieco zabawić; może ja potrafię dogodzić jego fantazjom... chciałbym utrzymywać z tobą łączność służbową, póki nie odnajdę tych polujących kanciarzy. Mam do ciebie wielkie zaufanie, odkąd spotkałem się ze swym przyjacielem w Delhi. Gdy sprawa ostatecznie się wyświetli, włączę twoje nazwisko do raportu urzędowego. Będzie to dla ciebie wielką chlubą. Taki to jest istotny powód mego przybycia.

— Hmm! Koniec opowiadania wydaje mi się prawdziwy, lecz co sądzić o części poprzedzającej?

— O pięciu królach? O-o! W tym jest tyle samo prawdy; znacznie więcej, niżbyś przypuszczał — rzekł Hurree poważnie. — Pójdiesz... co? Udam się stąd wprost do Doon. Tam jest bardzo zielono i łąki jak malowanie. Mam iść do Mussoorie... do starego poczciwego Mussoorie, jak mawiają panowie i damy. Stąd przez Rampur do Chini. Jest to jedyna droga, jaką oni mogą iść. Nie lubię czekać na zimnie, ale musimy na nich poczekać. Chcę iść z nimi do Simli. Trzeba ci wiedzieć, że jeden z tych Rosjan jest Francuzem, a ja doskonale władam francuszczyzną. Mam przyjaciół w Chandernagore.

¹⁸⁸*cui bono* (łac.) — dosł. na czyją korzyść; tu: konsekwencje. [przypis edytorski]

— *On* zapewne się cieszy, że zobaczy znów swe góry! — rzekł Kim w zamyśleniu. — Wszystkie prawie jego rozmowy w ciągu ostatnich dziesięciu dni obracają się dokoła tego tematu. Jeżeli pojedziemy razem...

— Oo! Jeżeli twój lama woli, możemy być sobie w drodze zgoła nieznajomi; owszem, mogę iść o kilka mil przed wami. *There is no hurry for Hurree*¹⁸⁹. Udał mi się europejski kalambur, cha cha cha!... Wy zaś nadejdziecie później. Czasu jest dość; oni, rzecz oczywista, będą tu spiskowali, mierzyli i rysowali mapy. Ja mogę iść jutro, a ty pojutrze, jeżeli masz ochotę. He? Możesz myśleć nad tym do rana. Na Jowisza, toć to już prawie świt.

Ziewnął potężnie i nie wyrzekłszy ani grzecznego słówka na dobranoc powlókł się na swe legowisko. Kim natomiast spał bardzo mało, a przez głowę toczyły mu się myśli wyrażające się mową hindostańską:

„Słusznie tę grę nazwano wielką! Byłem przez cztery dni kuchnikiem w Quetcie, czekając na żonę owego męża, któremu wykradłem książkę. I to było częścią wielkiej gry! Z południa, Bóg wie z jak daleka, przybył Mahratta, z narażeniem życia uczestnicząc w wielkiej grze. Teraz ja pójdę hen daleko na północ, biorąc udział w wielkiej grze. Doprawdy, ona się przesnuwa przez całe Indie niby czółenko tkackie. A ten udział i tę swoją radość — uśmiechnął się do otaczającej go ciemności — zawdzięczam temu oto lamie. Poniekąd też Mahbubowi Alemu... a także i pułkownikowi Creightonowi, ale przede wszystkim świętemu mężowi. Ma on rację... świat jest wielki i pełen dziwów... a ja jestem Kim... Kim... Kim... sam jeden... jednostka... wśród tego wszystkiego. Ale chciałbym zobaczyć tych cudzoziemców z libelami i łańcuchami mierniczymi...”

— Jakież było zakończenie wczorajszej pogawędki wieczornej? — ozwał się lama, odprawiwszy modły.

— Nadszedł jakiś wędrowny olejkarz... dybigarnek w domu sahiby. Pobilem go dowodami i modlitwami, stwierdzając, że nasze czary są skuteczniejsze od jego farbowanych cieczy.

— Och, te moje czary! Czy cnotliwa niewiasta domaga się nowych?

— Bardzo stanowczo.

— Więc trzeba je zapisać, bo inaczej ona mnie ogłuszy swym wrzaskiem.

Jał domacywać się swego piórnika.

— Na równinach — rzekł Kim — zawsze bywa ludzi za wiele. W górach, o ile zdołałem pojąć, jest ich mniej.

— Ach, te góry... i śnieg na górach!... — to mówiąc, lama oddał cienki skrawek papieru nadający się do umieszczenia w amulecie. — Ale co ty wiesz o górach?

— Są one bardzo blisko — odrzekł Kim, pchnąwszy drzwi na oścież i zapatrzył się w długie, pełne ciszy pasmo Himalajów, gorejące poźlotą brząsku. — Nigdy nie wstąpiłem tam nogą, co najwyżej w przebraniu sahiba.

Lama węszył uważnie, skąd wiatr nadciąga.

— Jeżelibyśmy poszli na północ — mówił Kim, zwracając się z tym zapytaniem do wschodzącego rąbka słońca — to czyż nie uniknęlibyśmy skwaru w czasie południa, idąc chociażby wśród tych niższych wzgórków?... Czy czar już gotów, o mężu święty?

— Napisałem imiona siedmiu bzdurnych diabłów... z których żaden naprawdę nie wart jest i ziarenka piasku. Tak to głupie baby zwodzą nas z Drogi zbawienia.

Spoza gołębnika wytarabanił się Hurree Babu, ostentacyjnie według rytuału czyszcząc sobie zęby. Ten otyły mężczyzna, obdarzony tęgimi łydami, byczym karkiem i potężnym głosem, nie wyglądał wcale na „bojaźliwego człeka”. Kim prawie nieuchwytnym ruchem dał mu znak, że sprawa jest na dobrej drodze; przeto Hurree Babu, dokończywszy rannej toalety, podszedł do lamy i powitał go kwiecistym przemówieniem. Śniadanie, ma się rozumieć, zjedli oddzielnie; niebawem zaś stara jejmość, mniej więcej przysłonięta firankami okna, zagadnęła ich znów w żywotnej kwestii kolek w żołądku infanta, wywołanych niedojrzałymi owocami mango. Prawdę powiedziawszy, wiadomości lekarskie lamy oparte były jedynie na... sympatii. Wierzył, że łajno czarnego konia zmieszane z siarką i noszone w skórce węzowej było skutecznym środkiem przeciw cholerze; w każdym razie jednak symboliczność interesowała go więcej niż wiedza. Hurree Babu z czarującą

¹⁸⁹ *There is no hurry for Hurree* (ang.) — Hurree nie potrzebuje się spieszyć. Kalamburu tego po polsku oddać nie podobna, więc zostawiłem go w brzmieniu oryginalnym. [przypis tłumacza]

uprzejmością odnosił się do tych poglądów, tak iż lama nazwał go grzecznym doktorem, na co Hurree Babu odparł, że jest sam po prostu zwykłym partaczem w dziedzinie mistyki, ale przynajmniej — za co Bogu niech będą dzięki — wie, że znalazł się wobec prawdziwego mistrza; wprawdzie ongi pobierał naukę we wspaniałych salach wykładowych w Kalkucie, u sahibów, którzy nie szczędzą na to grosza; lecz po raz pierwszy zaczął sobie uświadamiać, że poza ziemską mądrością była jeszcze inna mądrość — wzniosła i dalekosiężna nauka zdobyta rozmyślaniami.

Kim przyglądał się z zazdrością. Oto ten Hurree Babu, którego znał dotychczas — ckliwy, rozwlekły, nerwowy ślamazara — zginął bez śladu; również przepadł gdzieś bezczelny olejkarz wczorajszy. Zamiast niego był tu człek wytworny, ugrzecziony, uważny — rozsądny i światły wychowaniec surowej szkoły życia, chłonący mądrość płynącą z ust lamy. Stara jejmość zwierzyła się Kimowi, że te niebawem wyżyny rozmowy są jej niedostępne. Lubiała czary suto zapisane atramentem, który można było splukać wodą, przelknąć i kwita. Na cóż innego mogliby się jeszcze przydać bogowie? Lubiała mężczyzn i kobiety i umiała o nich gwarzyć: o książkach, których ongi znała; o swej młodości i urodzie; o spustoszeniach wyrządzanych przez lamparty i wybrykach zakochanych Azjatów; o podatkach i ubezpieczeniach, obrzędach pogrzebowych. O swoim zięciu (o tym tylko napomykała, z czego łatwo było wysnuć dalszy wątek), o opiece nad młodzieżą i o zgorzeniu naszego wieku. Kim, tak przejęty życiem tego świata, jak ona rychłym tegoż opuszczeniem, chłonął wszystko uważnie, podwinąwszy nogi pod rąbek swej sukni; tymczasem lama kruszył jedną po drugiej teorię leczenia ciała wysuwaną przez Hurreego Babu.

W południe Babu przytroczył do pleców skrzynkę z lekarstwami okutą mosiądzem, wziął w jedną rękę patentowane buciki skórzane, używane na ceremonialnych przyjęciach, w drugą zaś modro-biały¹⁹⁰ parasol i ruszył na północ w stronę Doon, gdzie, jak mówił, czekali go z utęsknieniem pomniejsi książęta tamtejszych okolic.

— My, *chelo*, wyruszymy z nastaniem wieczornego chłodu — rzekł lama. — Ten lekarz, obeznany z medycyną i grzecznością, utrzymuje, że wśród tych niższych wzgórz mieszka ludność bogobojna, zacna i bardzo spragniona nauczyciela. Za czas niedługi, jak mówi hakim, wejdziemy w chłodne sfery powietrza, przesycone wonią sosen.

— Idziecie w góry... i to przez Kulu? O trzykroć szczęśliwi — jęła się drzeć babina. — Gdyby nie to, że na kark mi spadła piecza nad gospodarstwem, wzięłabym palankin... ale to byłoby zuchwalstwem i mogłoby narazić moje imię. Oho! Znam tę drogę... znam każdą jej odległość. Wszędzie doznacie tam miłosierdzia... nie odmawiają go ludziom, którym dobrze patrzy z oczu. Wydam zlecenia, by zaopatrzone was w żywność. Czy może dać wam służącego, by wam wskazywał drogę? Nie?... To przynajmniej nagotuję wam dobrego jadła.

— Jakaż to kobieta z tej sahiby! — ozwał się siwobrody Orias, gdy w izbie czeladnej rozlegała się wrzawa. — Nigdyć ona nie zahaczyła swego przyjaciela, ale też przez całe życie nie zahaczy tego, kto jej krzyw¹⁹¹. A jej frykasy... cmok! — i pogłaskał się po zapadłym brzuchu.

Były tam ciasta, były słodczyce, było zimne kurczę duszone z ryżem i śliwkami — co wystarczyło, by objuczyć Kima nikiem¹⁹² muła.

— Jestem stara i do niczego — rzekła jejmość. — Nikt mnie teraz nie kocha... i nikt nie szanuje... ale mało kto pójdzie ze mną w zawody, gdy chodzi o składanie czci bogom i wystawanie nad garnkami w kuchni. Przyjdźcie tu jeszcze kiedy, o ludzie dobrej woli. Przyjdźcież, mężu święty i ty uczniu. Pokój zawsze będzie dla was przygotowany, zawsze was spotka serdeczne przyjęcie... Uważaj, bo tam kobietki nazbyt lgną do twego *cheli*. Znam ci ja kobiety kuluzańskie. Miej się na baczności, *chelo*, żeby ci staruszek nie uciekł, kiedy poczuje znów swoje góry... Hej! Nie wysyp no bokiem worka z ryżem!... Pobłogosław memu domowi, o mężu święty, i wybac swjej słudze jej przywary!

Brzegiem namitki¹⁹³ otarła stare, szcerwienione oczy i załkała na całe gardło.

¹⁹⁰*modry* — niebieski. [przypis edytorski]

¹⁹¹*krzyw* — nieprzychylny, nieżyczliwy, nieprzyjazny. [przypis edytorski]

¹⁹²*nikiej* (gw.) — niczym, niby; tak jak. [przypis edytorski]

¹⁹³*namitka* — kobiece nakrycie głowy, chusta okrywająca całą głowę wraz z czołem i ramionami. [przypis edytorski]

— Kobiety są gadatliwe — ozwał się lama na koniec — ale to pochodzi jeno z ich słabości. Dałem jej czar. Ta kobieta jest przykuta do Koła żywota i całkowicie oddana pozorom doczesnym, lecz niemniej, *chelo*, jest ona cnotliwa, łaskawa i gościnna... z całej gorącości swego serca. Kto zaprzeczy, iż ona mogłaby osiągnąć zasługę!

— Ja nie przeczę! — rzekł Kim, przewieszając sobie przez ramię obfite zapasy żywności. — W głębi ducha... gdzieś poza obrębem wzroku... starałem się wyobrazić sobie jej podobną istotę całkiem wyzwoloną z Koła... niepożądaną niczego, nierozkazującą... jak gdyby jaką mniszkę...

— I cóż, diabliku? — roześmiał się lama prawie w głos.

— Nie mogłem jej sobie taką wyobrazić.

— Ja też. Ale ona ma jeszcze przed sobą wiele, wiele milionów żywotów. W każdym z nich zapewne zdobędzie sobie nieco mądrości.

— A czy zapomni wtedy, jak przygotować na drogę potrawkę z szafranem?

— Twój umysł lgnie do błahostek. Bądź co bądź, nie brak jej zręczności. Czuję się pokrzepiony na całym ciele. Gdy dojdziemy do przedgórzy, przybędzie mi jeszcze sił. *Hakim* miał słuszność, gdy mówił mi dziś rano, że dech ciągnący od śniegów zdmuchuje z człowieka dwadzieścia lat życia. Na czas pewien pójdziemy w góry... pomiędzy wierzchy¹⁹⁴... kędy huczą śnieżne roztopy i szumią drzewa... *Hakim* mówił, że w każdej chwili możemy wrócić na równiny, bo pójdziemy se¹⁹⁵ ino¹⁹⁶ brzeżkiem tych uroczych okolic. *Hakim* jest pełen mądrości, jednakowoż wcale nie masz w nim pychy. Wspomniałem mu... było to, gdyś ty rozmawiał z sahibą... wspomniałem mu o zawrotach głowy, jakie chwytają mnie w nocy, on zaś na to powiada, że pochodzi to z nadmiernego gorąca... i że wyleczy mnie tylko chłodniejsze powietrze. Po zastanowieniu mnie samemu dziwnym się wydawało, że nie pomyślałem o tak prostej kuracji.

— Czy opowiadałeś mi o swych poszukiwaniach? — zapytał Kim z odcieniem zdradzieństwa. Wolał wpływać na lamę własną jego mową a nie szalbierstwami *Hurreego Babu*.

— A pewnie. Opowiadałem mu swój sen, a nadmienilem też, jakim sposobem zdobyłem sobie zasługę, przyczyniając się do twego wykształcenia.

— Nie mówiłeś, że jestem sahibem?

— Po co? Mówiłem ci już wiele razy, że jesteście jedynie dwiema duszami szukającymi wybawienia. On powiedział... i ma w tym słuszność... iż rzeka zbawienia wytryśnie tak, jak mi się śniło... choć nawet pod moimi stopami, gdyby tak było potrzeba. Otóż widzisz, gdy znajdę Drogę, która wyzwoli mnie z Koła, czyż potrzebuję się kłopotać o znalezienie drogi wiodącej przez ugory ziemskie... co są jeno złudą? Byłoby to niedorzecznością. Mam sny powtarzające się noc po nocy; mam *Dżatakę* i mam ciebie, Przyjacielu całego świata. W tych horoskopach było napisane, że Czerwony Byk na zielonym polu (nie zapomniałem ci tego) doprowadzi cię do zaszczytów. Któż oprócz mnie przewidywał ziszczenie się tego proroctwa? Istotnie, ja byłem twym narzędziem. Ty w zamian, będąc moim narzędziem, winieneś wykryć moją rzekę. Poszukiwanie jest niezawodne.

To mówiąc twarz swą, żółtą jak kość słoniowa, pogodną i pozbawioną trwogi, zwrócił w stronę wabiących go gór, a cień jego, idąc przodem, przebiegał się gdzieś daleko przez kurzawę.

ROZDZIAŁ XIII

Tęskniłże kto za morzem —
gdzie bezmiar nurtów szydarczy
Łomoce i miota okrętem,
aż bukszpryt¹⁹⁷ pod niebo hen sterczy?
Za ciągłą kurzawą targowisk —
za toni huczącym błękitem?...
Za raf zdradnymi paściami¹⁹⁸ —

¹⁹⁴*wierch* — szczyt, wierzchołek. [przypis edytorski]

¹⁹⁵*se* (gw.) — sobie. [przypis edytorski]

¹⁹⁶*ino* (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

¹⁹⁷*bukszpryt* — inaczej: dziobak; drzewce wystające poziomo a. lekko wznosząco do przodu z dziobu żaglowca. [przypis edytorski]

¹⁹⁸*paść* — przepaść a. pułapka. [przypis edytorski]

za żagli piorunnym skowytym?...
Za morzem niezmiennym w swych cudach —
i w cudach swych wciąż rozmaitym?...
Za morzem, co duszy gra wtór?
.....
Tak... nie inaczej! — tak... nie inaczej
górale wždy¹⁹⁹ tęsknią do swych gór!

Kto idzie w góry, idzie do swej matki!

Przebyli Sewaliki i Doon, co ma klimat prawie podzwrotnikowy; zostawili za sobą Mussoorie i szli prosto na północ wąskimi drogami górskimi. Z każdym dniem zapuszczał się coraz głębiej w bezładnie spiętrzone turnie, a Kim przekonał się, że lama z dniem każdym nabierał męskości i siły. Na wzgórkach Doonu wspierał się był na ramieniu chłopca, rad korzystając z postojów przydrożnych. Lecz pod wielką spadzistością wiodącą do Mussoorie zebrał się w sobie, niby stary łowca stający naprzeciwko dobrze znanej nory... i tam, gdzie powinien by upaść ze znużenia, podkasał długie szaty, pełną piersią zaczerpnął w dwójnasób kryształowego powietrza i poszedł raźnie, jak to umieją jedynie górale. Kim, urodzony i wychowany w nizinach, pocił się i dyszał pełen zdumienia.

— Oto *moja* kraina — rzekł lama. — W porównaniu z Such-zen te okolice są równe niczym łąn ryżowy.

I jął wdzierać się na górę krokiem sążnistym, miarowym, aż mu furkotał z wiatrem płaszcz wokół lędźwi. Ale dopiero w czasie schodzenia w dół po urwisku, po przebyciu trzech tysięcy stóp w ciągu trzech godzin, zostawił daleko za sobą Kima, który od ciągłego prostowania się czuł niemały ból w krzyżach, a ponadto słomianym sznurowadłem trepów obtarł sobie wielki palec u nogi. Skroś przesiewnego półmroku wielkich borów deodarowych, pośród dębów opierzonych wystrzygankami²⁰⁰ paproci, wśród brzoź, wiążozołdów, różodrzewów i sosen... aż na śliską, słońcem wypaloną trawę górskiej poloniny... i znów z powrotem w chłód leśny, póki dąb nie ustąpił miejsca bambusowi i palmom nizinnym — szedł i szedł, a raczej pędził niestrudzony lama...

O zmierzchu, oglądając się na potężne szczyty, które pozostawili za sobą, i na ledwo dostrzegalną, cieniuchną linię drogi, którą tu przyszli, starzec z wrodzonym góralowi rozmachem układał plany nowych marszów na dzień następny albo też przystanąwszy na grzbiecie jakiej wyniosłej przełęczy wychodzącej na Spiti i Kulu wyciągał z utęsknieniem dłoń do wiecznych śniegów na widnokręgu. W godzinach świtu, gdy Kedarnath i Badrinath — króle²⁰¹ tej pustaci²⁰² — brały na się pierwsze promienie słońca, wówczas te śnieżyska gorzały jaskrawą czerwienią ponad bryłami zakrzepłego błękitu; przez cały dzień leżały w słonecznych odbłaskach ni to roztopione srebro, zasię pod wieczór ubierały się znowu w drogocenne klejnoty. Zrazu łagodnie owiewały podróżnych, a dobrze to się spotkać z takim powiewem, gdy się człek wspina na jakowyś hruby²⁰³ wierch; ale po kilku dniach, na wysokości dziewięciu lub dziesięciu tysięcy stóp, te wietrzyki zaczęły po trosze dawać się we znaki, przeto Kim łaskawie zgadzał się na to, by jakaś wioska góralska zaskarbiła sobie łaskę niebios, używając mu kosmatej guni²⁰⁴ do przykrycia. Lama był z lekka zdziwiony, że ktoś mógł mieć coś przeciwko ostrym cięciom tych powichrów, co jemu zerwały z ramion brzemię starości.

— To dopiero niższe górze, *chelo*. Zimno zacznie się dopiero wtedy, gdy wejdziemy w prawdziwe góry.

— Powietrze i woda są tu dobre, ludziska bogobojne, ale jadło zgoła kiepskie — zrzędził Kim — a drałujemy jak wariaty... lub Anglicy. No, i nocą czuje się mróz w kościach.

¹⁹⁹wždy (daw.) — przecież, jednak; w końcu. [przypis edytorski]

²⁰⁰wystrzyganka — wycinanka. [przypis edytorski]

²⁰¹króle — dziś popr. forma M.lm: królowie. [przypis edytorski]

²⁰²pustać — pustkowie. [przypis edytorski]

²⁰³hruby — gruby, bogaty; tu: wspaniały, potężny. [przypis edytorski]

²⁰⁴gunia — męskie odzienie wierzchnie górali karpackich; płaszcz o kroju poncza z szerokimi rękawami, wykonany z grubego, spłśnionego sukna. [przypis edytorski]

— Może tylko troszeczkę, tyle, żeby można było na słońcu rozgrzać stare kościska. Nie możemy zawsze rozkoszować się miękką pościelą i obfitą strawą.

— Przynajmniej moglibyśmy trzymać się gościńca.

Kim jako mieszkańca nizin nęciła tu przede wszystkim porządnie wydeptana droga, szeroka niespełna sześć stóp, wijąca się wężykowato wśród gór; ale lama, jako Tybetańczyk, nie mógł się powstrzymać od drapania się na przełaj przez krawędzie i cyple na usianych piargami²⁰⁵ zboczach. Swemu kulejącemu uczniowi tłumaczył, że rodowity góral może snadnie²⁰⁶ odgadnąć bieg górskiej przeprawy i choć dla cudzoziemca idącego na krótsze drogi będą zapewne przeszkodą nisko osiadłe chmury, to człek rozważny wcale nie będzie na nie zważał. W ten sposób po wielu godzinach marszu, który w krajach cywilizowanych uznano by za przepyszną wycieczkę turystyczną, siadali na groniku²⁰⁷, by nieco odsapnąć, schodzili boczkami po niejednej spadzistości i nurkując lasem dochodzili z ukosa (45°) znów do drogi. Wzdłuż ścieżyny, co ich wiodła, znajdowały się osady górskie — zwykle lepianki z ziemi i błota, gdzieś tam koliby²⁰⁸ z kłód z grubsza ociosanych toporem — to przyczepione niby jaskółcze gniazda do urwisk, to porozrzucane bezładnie po niewielkich płasienkach²⁰⁹ w połowie oślizgłej krzesanicy²¹⁰, wysokiej na trzy tysiące stóp; to wtłoczone w zakątki skał, które wchłonęły i skupiały w sobie każdy przelotny wydmuch wiatru, to znowu przykucnięte na garbie górskim, który w zimie był niewątpliwie przysypany na dziesięć stóp śniegiem — snadź²¹¹ pobudowali je na lato juhasy pasący trzodę. Mieszkańcy — śniadawi, brudni, w grube wełniaki ubrani ludziska o krótkich, bosych nogach i prawie eskimoskich twarzach — wybiegali tłumnie i oddawali im cześć. Niziniacy, uprzejmi i łagodni, widzieli w lamie człeka świętego wśród świętych. Natomiast górale czcili go z lękiem niby jakiegoś zausznika wszystkich diabłów. Wyznawali buddyzm, zatarty już niemal do niepoznaki, przeładowany kultem przyrody, fantastycznym jak krajobrazy tutejsze, kunsztownym jak spiętrzenia ich poletek; wszakoż wielką dla nich powagą miał wielki kapelusz, pobrządkujący różaniec i osobliwe wersety chińskie, a wielką czcią darzyli osobę noszącą ten kapelusz.

— Widzieliśmy, jak przechodziłeś przez czarne piersi Euy — mówił któregoś wieczoru pewien Betań częstując ich serem, zsiadłym mlekiem i chlebem stwardniałym na kamień. — My nieczęsto zdobywamy się na to... chyba latem, gdy haw²¹² zabłąkają się cielne krowy. Wśród tych głazów zrywa się nagły wicher, co i w najcichszy dzień strąca człeka w przepaść. Ale cóż sobie tacy ludzie robią z diabła Euy!

Potem już Kim, choć go bolały wszystkie ścięgna, choć nogi miał poranione od rozpaczliwego kurczenia stóp na nierównościach żlebów, jął się radować tym codziennym marszem — jakby się radował uczeń zakładu św. Ksawerego, który odniósł zwycięstwo w ćwierćmilowym biegu, zdobywając sobie pochwały kolegów. Z kości wyparowało mu wraz z potem sadło *ghi* i łojek cukrowy; ostre powietrze, które wciągał był w siebie niemal z płaczem u wnijscia do okrutnych wąwozów, wzmocniło i rozwinęło mu klatkę piersiową, a wspinanie się na coraz to wyższe poziomy nadało twardość nowym mięśniom w łdkach i udach.

Rozmyślali często o Kole życia — tym bardziej że jak mówił lama, byli tu wyzwoleni od jego widomych pokus. Gdyby nie szary orzeł i czasem dostrzeżony w dali niedźwiedź wyrrywający na zboczu pniaki i korzenie, gdyby nie widok lamparta, którego o świcie raz zastali pożerającego kozicę w zacisznej dolinie, i gdyby nie świetnie upierzony ptak przelatujący od czasu do czasu, byłiby tu sam na sam z wichrami i trawami, co świszczwały pod tchnieniem wiatru. W kurnych szałasach, ponad których dachami przechodzili we dwójkę, schodząc z gór, kobiety były nieładne i brudne, miewały wielu mężów, a szyję im szpeciło wole. Mężczyźni, o ile nie gospodarowali, trudnili się drwalką — byli potulni i niezwykle prostoduszni.

²⁰⁵piarg — rumowisko skalne; okruchy skalne nagromadzone u wylotu żlebu u podnóża stromych, skalistych stoków. [przypis edytorski]

²⁰⁶snadnie (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

²⁰⁷gronik — szczyt, wzgórze. [przypis edytorski]

²⁰⁸koliba — szałas pasterski w górach. [przypis edytorski]

²⁰⁹płasienska — mała płaszczyzna, tj. taras. [przypis edytorski]

²¹⁰krzesanica — urwisko. [przypis edytorski]

²¹¹snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²¹²haw a. hawok (gw.) — tu. [przypis edytorski]

Atoli, izby nie zabrakło im milej pogawędki, niebo zsyłało im to wyprzedzającego ich, to doganiającego wytwornego lekarza z Dakki, który góralom za strawę płacił maściami pomocnymi na leczenie wola i radami, które godziły zwaśnionych mężczyzn i kobiety. Ponoć znał te góry tak dobrze, jak znał górskie narzecza, przeto udzielał lamie wyjaśnień o położeniu kraju między Ladakh i Tybetem. Mówił, że każdej chwili mogą wrócić na niziny. Na razie dla tych, którzy lubią góry, prawdziwą rozrywką może być przeprawa na drugą ich stronę. Wszystko to wyjawiał nie jednym tchem, lecz w ciągu wielu spotkań na kamiennych klepiskach — gdy doktor załatwiwszy się z pacjentami palił fajkę, lama zażywał tabakę, a Kim przyglądał się krowinom żującym paszę na dachach szałasów lub bujał wzrokiem i duszą po głębokich toniach błękitu pomiędzy łańcuchami gór. Wiedli też rozmowy na uboczu, w mrocznych lasach, gdzie doktor zbierał zioła, a Kim, jako początkujący lekarz, musiał mu towarzyszyć.

— Widzisz, panie O'Hara, nie wiem doprawdy, co u wszystkich diasków będzie ze mną, gdy odnajdę naszych kamratów-myśliwych; jeżeli jednak będziesz łaskaw znajdować się w takiej odległości, byś mógł widzieć mój parasol, który jest doskonałym punktem wytycznym dla pomiarów gruntowych, podniesie mnie to wielce na duchu.

Kim spojrział na knieję wierchów.

— To nie mój kraj, *bakimie*. Łatwiej pono²¹³ znaleźć wesz w kudłach niedźwiedzia.

— Oo! To już moja w tym głowa. *There is no hurry for Hurree*. Oni niedawno byli w Leh. Opowiadano, że zeszedli z Karkorum wraz z rogami i łbami upolowanej zwierzyny i wszystkim, co mają. Boję się tylko, że z Leh odeślą na terytorium rosyjskie wszystkie swe listy i rzeczy mogące ich skompromitować. Oczywiście, pójdą jak najdalej na wschód... żeby pokazać, że nigdy nie byli w państewkach zachodnich. Ty nie znasz gór? — tu zaczął rysować gałązką po ziemi. — Patrz! Powinni tu przyjść przez Srinagar lub Abbotabad. To dla nich droga najkrótsza... wzdłuż rzek koło Bandzi i Astor. Ale narobili psoty na zachodzie; przeto teraz ma-aszerują i ma-aszerują na wschód — to mówiąc kreślił rowek od lewej ręki ku prawej — do Leh (o, jakże tam zimno!) i wzdłuż Indusu do Han-lé (znam tę drogę), a potem, jak widzisz, do doliny Bushahr i Chini. Przekonałem się o tym, stosując metodę rugowania i wypytyując chłopów, których leczę tak znakomicie. Nasi przyjaciele zabawiali się przez długi czas wszędzie dokoła i robili duże wrażenie, więc wieści o nich rozchodzą się daleko. Zobaczysz, że ich zdybieć gdzieś w dolinie Chini. Proszę cię, zważaj bacnie na mój parasol.

Kołysał się ten parasol po dolinach i dokoła zboczy górskich, jak wiatrem szarpany dzwonek leśny, a wieczorami, w chwili stosownej, lama i Kim, który kierował się kompasem, spotykali *bakima* sprzedającego maści i proszki.

— Przybyliśmy drogą taką a taką! — mówił lama, wskazując niedbale palcem na przebytą grań górską, a parasol rozplywał się w zachwytach.

Jedną przełęcz śniegiem zasypaną przebyli w mroźną noc księżycową, a lama, lekko żartując sobie z Kima, wszedł po kolana w zaspę niby wielbłąd dwugarbny z rodzaju tych kudłatych, wychowanych w krainie śniegu, co to przybywały do Seraju Kaszmirskiego. Brnęli przez złoża wiotkiego śniegu i łupku przyprószonego śniegiem, gdzie wobec nadchodzącej zadymki szukali schronienia w obozowisku Tybetańczyków spędzających z gór swe chude owce, z których każda objuczona była workiem boraksu. Wydostali się na hale, jeszcze gdzieś usiane śniegiem, a potem lasem znów na pastwiska. Mimo że tyle odbywali marszów, Kedarnath i Badrinath były jak gdyby niewrażliwe na to zmniejszanie się przestrzeni; zawsze pozostawały co do joty takie same. Dopiero po wielu dniach podróży Kim, wspiąwszy się na niewielki gronik, na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, mógł zauważyć, że ten czy ów garb albo wierzch zmienił się w zarysie — ot, zawsze o małą ociupinę.

W końcu wkroczyli w nowy świat; w tym świecie — w dolinę ciągnącą się milami, gdzie piętrzyły się turniczki utworzone z samych odłamów i odrugów wyżnich gór. Tu po całodziennym marszu zaszli nie dalej (tak im się widziało), jak zajdzie człek śpiący, któremu nogi obezwładniła zmora. Całymi godzinami wlekli się znojnje brzeżkiem jednego ze zboczy — i patrzcie no! — była to tylko najdalsza wypukłość w filarze wysterkającym z głównego trzonu górskiego! Jakiś upłaz, z dala przez nich widziany, okazał się,

²¹³ *pono* — podobno, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

skoro doń dotarli, ogromnym płaskowyzem wdzierającym się daleko w dolinę. W trzy dni później przedstawiał się im jako ciemna zmarszczka ziemi mająca na południu.

— Tu mieszkają chyba bogowie! — odezwał się Kim, przytłoczony panującą tu ciszą oraz przerażającymi przelotami cieni chmur pierzchających po deszczu. — To miejsce nie dla ludzi!

— Dawno, dawno temu — odrzekł lama jakby sam do siebie — pytano Pana naszego, czy świat jest wiecznotrwały. On, Najdoskonalszy, nie dał na to odpowiedzi... Gdy byłem na Cejlonie, jeden z mądrych dociekaczy potwierdził mi to na podstawie ksiąg objawienia, pisanych językiem pali²¹⁴. Zapewne, odkąd znamy drogę do wyzwolenia, pytanie to uważać należy za jałowe, ale... patrz i poznaj, co to złudzenie, *chelo!* Oto są prawdziwe góry! Przypominają mi moje góry koło Such-zen. Nigdy nie było takich gór!

Ponad nimi, wciąż jeszcze strasznie wysoko, piętrzyła się ziemia hen aż do śnieżnej granicy, gdzie od wschodu ku zachodowi na przestrzeni setek mil zatrzymywały się równo, niby nożem ucięte, ostatnie z zuchwałych brzoź. Jeszcze wyżej skalne wierchy, usadzone na granicach i cyplach, usiłowały przebić czołami białą osnowę mgieł. Zaś jeszcze nad nimi, niezmiennie od świata początku, lecz mieniające się za każdym kaprysem słońca i chmur, spoczywały wieczne śniegi. Na ich obliczu widzieli plamy i cętki, gdzie harcowały burze i wędrownie zawieje.

Poniżej zaś tego miejsca, gdzie stali, snuł się całymi milami modro-zielony szmat boru; pod borem widniała wioska, opadając siklawą²¹⁵ tarasowatych pól i urwistych pastwisk; a u stóp wioski, choć tam w tej chwili huczała dąsała się piorunna trzaskawica, rozpoznawali kopę wzniesioną na dwadzieścia do piętnastu tysięcy stóp ponad młaką²¹⁶, gdzie gromadzą się strumienie dające początek małej tu jeszcze rzece Sutludź.

Lama, jak zwykle, prowadził Kima po perciach juhaskich i po bezdrożach, z dala od głównej drogi, kędy przed trzema dniami przeprowiał się Hurree Babu, ów „człek bojaźliwy”, wśród burzy tak strasznej, że na dziesięciu Anglików dziewięciu na pewno by się wyrzekło całej tej podróży. Hurree nie był zawołanym strzelcem — mienił się na twarzy już za samym pociągnięciem cyngla — był natomiast, jakby się sam wyraził o sobie, „ba-ardzo sprawa-awnym dojeżdżaczem”, przeto nie bez celu przepatrywał tanią lornetką ogromną dolinę. Zresztą i tak białość zszarganych płóciennych namiotów z daleka odbijała na tle zieleni. Hurree Babu, siedząc na klepisku w Ziglaur, widział wszystko, co chciał widzieć, na dwadzieścia mil w dał, licząc według lotu orła, i czterdzieści, licząc wzdłuż drogi: widział mianowicie dwa punkciki, które jednego dnia były tuż pod linią śniegów, a nazajutrz posunęły się o jakie sześć cali w dół po zboczu. Jego tłuste, odsłonięte nogi, raz wprawione w ruch, mogły przebyć zdumiewająco duży kawał drogi i to było powodem, że gdy Kim i lama, leżąc w podziurawionym szałasie w Ziglaur, czekali, aż przejdzie burza, pewien tłusty, zmoknięty, lecz zawsze uśmiechnięty Bengalczyk, posługując się w lada frazesach najwyszukańszą angielszczyzną, nadskakiwał dwom cudzoziemcom zlanym do suchej nitki i nieco zakatarzonym. Przybył on tu, snując przeróżne dzikie zamysły, tuż w tropy za trzaskawicą, która zdruzgotała sosnę naprzeciw ich obozu i przekonała w ten sposób kilkunastu kulisów, że dzień był niepomyślny dla dalszej podróży — ci zaś pod tym wrażeniem rzucili jak jeden mąż swe toboły i odmówili posłuszeństwa. Byli to poddani jednego z radzów górskich, który, wedle zwyczaju, wynajmował ich do służby w celach osobistego zysku; ku większemu zaś ich utrapieniu ci nieznanzi sahibowie grozili im już strzelbami. Większość z nich od dawna otrzaskała się z sahibami i bronią palną; byli to tropiciele i *shikarrisowie* (szczwacze, naganiacze) z północnych dolin, mający węż na kozicę i niedźwiedzia; jednakowoż nigdy w życiu nie obchodzono się z nimi w ten sposób co dzisiaj. Przeto schronili się na łono ostępu i mimo wszelkich nawoływań i złożeń wzbierali się wrócić do służby. Nie było więc potrzeby udawać wariata lub... gdyż *babu* już obmyślił inne sposoby, by zapewnić sobie dobre przyjęcie. Wykręcił mokre odzienie, wdział buciki z patentowanej skóry, rozpostarł biało-niebieski parasol i drobiać kroki, przy czym serce biło mu aż po gruczoły na szyi, przedstawił się:

²¹⁴*pali-bhasa* — język kanonicznych ksiąg buddyjskich. [przypis tłumacza]

²¹⁵*siklaw* (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]

²¹⁶*młaka* — powierzchniowy, nieskupiony wypływ wód podziemnych, także wokół źródła, zwykle zatorfiony lub zabagniony wskutek utrudnionego odpływu wody. [przypis edytorski]

— Jestem pełnomocnik jego królewskiej mości, radzy z Rampur, czym wam mogę służyć, łaskawi panowie?

Panowie byli oczarowani. Jeden był niewątpliwie Francuzem, drugi Moskalem, ale mówili po angielsku niewiele gorzej od *babu*. Prosimi go o łaskawą pomoc. Mówili, że krajowcy znajdujący się w ich służbie pochorowali się w Leh, oni zaś sami szli tu co sił, bo zależało im na tym, by dowieźć łupy myśliwskie do Simli, zanim skóry zostaną pogryzione przez mole. Mieli z sobą generalny list polecający (*babu* zwyczajem wschodnim złożył przed nim *salaam*) do wszystkich władz rządowych. Czy spotkali po drodze jaką inną drużynę myśliwską? Nie. Działali na własną rękę. Mieli sporo zapasów. Jedynym ich życzeniem było ruszyć jak najprędzej w drogę.

Wtedy *babu* zastąpił drogę góralowi przyczajonemu wśród drzew, a trzyminutowa pogadanka oraz garstka srebra (nie można być oszczędnym w służbie państwowej, wszakoż Hurreemu krwawiło się serce wobec tego marnotrawstwa) miały ten skutek, że jedenastu kulisów i trzech fagasów zjawilo się z powrotem. W razie czego *babu* mógł zawsze stawać za świadka w sprawie okrutnego z nimi postępowania.

— Mój władca i król będzie bardzo zmartwiony, ale ci ludzie są to ty-yłko prostytutki i nieoświecone ciemięgi. Jeżeli czcigodni panowie raczą puścić w niepamięć to nieszczęsne zajście, będę nader uszczęśliwiony. Deszcz niebawem ustanie i będziemy mogli iść dalej. Panowie polowali... he? To ładne widowisko!

Skakał zręcznie od jednej *kilty* do drugiej, udając, że poprawia każdy ze stożkowatych koszów. Anglik nie bywa zazwyczaj poufaly z Azjata, lecz nie uderzyłby nigdy po łapie uprzejmego *babu*, który przypadkowo przewrócił *kiltę* o wierzchołku nakrytym czerwoną ceratą; z drugiej strony nie zmuszałby żadnego *babu* do picia ani też nie zapraszałby go do jadła. Cudzoziemcy czynili właśnie to wszystko i wypytywali o wiele rzeczy — zwłaszcza o kobiety — na co Hurree dawał wesołe i niewymyślne odpowiedzi. Oni dali mu szklankę jakiegoś białego płynu, podobnego do jałowcówki, a potem jeszcze urządzili poprawiny, tak iż wkrótce cała jego powaga znikła bez śladu. Stał się skłonny do coraz częstszych wynurzeń i posługując się stekiem plugawych wyrazów, opowiadał o pewnym rządzie, który narzucił mu wychowanie europejskie, a nie dbał o to, by go uposażyć europejską płacą. Plótł baję o uciemienieniach i krzywdach, aż łzy mu pociekły po policzkach na wspomnienie biedy, jaką cierpiała ojczyzna. Potem jął się zataczać, śpiewając piosenki miłosne z Dolnego Bengalu, a w końcu runął na mokry pień drzewa. Nigdy jeszcze tak nieszczęśliwy wytwór rządów angielskich w Indiach nie wpadł gorszym sposobem w ręce obcych.

— Oni wszyscy są jemu podobni — odezwał się jeden z myśliwych do drugiego po francusku. — Przekonasz się o tym, skoro wejdziemy do Indii właściwych. Chciałbym odwiedzić jego radzę, można by z nim porozmawiać do rzeczy. Możliwe, że słyszał o nas i pragnie zaznaczyć swą przychylność.

— Nie mamy czasu. Musimy jak najrychlej dostać się do Simli — odparł jego towarzysz. — Ja ze swej strony wołałbym, żeby nasze raporty zostały odesłane z Hilàs, a nawet z Leh.

— Poczta angielska jest lepsza i bezpieczniejsza. Przypomnij sobie, że zapewniono nam wszelkie udogodnienia... i... na miłość boską! ...jeszcze nam je dają! Czy nie jest to niewiarogodna głupota?

— To pycha... która poniesie karę, jak na to zasługuje.

— Tak! Pozyskać współmieszkańca kontynentu do naszej gry, to także nie fraszka. Wprawdzie to ryzyko, ale ci ludzie... ba! To rzecz aż nadto łatwa.

— Pycha... wszystko to tylko pycha, mój przyjacielu.

„No, jakież z tego pożytek, u licha, że Chandernagore jest tak blisko Kalkuty — mówił sobie w duszy Hurree leżący na przeciwnym mchu, chrapiąc otwartymi ustami — jeżeli nie mogę zrozumieć ich francuszczyzny! Rozmawiają tak osob-bliwie prędko! O wiele lepiej byłoby poderżnąć im te sobacze gardła!”

Gdy znów przyszedł do siebie, dręczony silnym bólem głowy, był już skruszony i przejęty nagłą obawą, że w swym opilstwie mógł się z czymś wygadać. Zaręczał, że przywiązany jest do rządu angielskiego — jest to bowiem źródło wszelkiego dobrobytu i zaszczytów, a władca Rampuru jest tego samego zdania. Wówczas obaj mężczyźni jęli go wyśmiewać i przytaczać mu niedawne słowa, aż z wolna wśród błagalnych przymilań,

obleśnych mizdrzeń i niesłuchanie przebiegłych pozerkiwań, biedny *babu*, widząc bezskuteczność swych wykrętów, został zmuszony do wyznania... prawdy. Gdy w czas jakiś po tym sahib Lurgan słyszał tę opowieść, żałował, że nie mógł się znajdować na miejscu głupowatych, obojętnych kulisów, co zarzuciwszy na głowę słomiane rogoże i rozbryzgując nogami krople deszczowe oczekiwali pogody. Wszyscy sahibowie, jakich owi znali (byli to ludzie grubo odziani, którzy corocznie wracali wesoło w upatrzone jary), mieli służących, kucharzy i posyłkowych rekrutujących się nierzadko z górali. Ci zaś sahibowie (tak sobie pogwarzali tragarze) podróżowali bez orszaku. Byli więc zapewne ubodzy, a przy tym głuptasy... bo żaden sahib przy zdrowych zmysłach nie szedłby za radą Bengalczyka. Zasię ów Bengalczyk, nie wiadomo skąd przybyły, dał im, kulisom, dużo pieniędzy i był obeznany z ich gwarą. Biedacy, przyzwyczajeni do łatwo zrozumiałego znęcania się nad nimi ze strony ludzi o tej samej barwie skóry, wietrzyli w tym jakąś pułapkę i postanawiali drapnąć przy lada sposobności.

Niebawem, gdy odświeżone powietrze pełne oparów woniało lubymi zapachami gleby, *babu* stał się przewodnikiem w przeprawie przez stoki... krocząc z dumą przed kulisami, a w pokorze za cudzoziemcami. W głowie mu się snuło wiele najrozmaitszych myśli, a najblahsza z nich zaciekałaby niewymownie jego towarzyszy. Był wszakoż miłym przewodnikiem, zawsze umiejącym sprytnie ukazać im piękność krajobrazów w posiadłościach swego króla pana. Zapęniał te góry wszelką zwierzyną, jaką radzi byliby upolować; były tu więc koziorożec i lamparty, i niedźwiedzie. Z niezbyt wielką ścisłością, czego mu za złe brać nie można, omawiał kwestie botaniczne i etnologiczne, a zapas znanych mu podań miejscowych (proszę pamiętać, że był od lat piętnastu zaufanym pełnomocnikiem państwem) był wprost niewyczerpany.

— Oryginalny człek z tego draba! — ozwał się wyższy z dwóch cudzoziemców. — Mógłby być upiorem kuriera wiedeńskiego.

— On wyobraża *in petto*²¹⁷ Indie w okresie przejściowym... ten potworny dziwoląg, powstały ze zrostu Zachodu ze Wschodem — odpowiedział Rosjanin. — My tylko jedni wiemy, jak postępować z ludźmi Wschodu.

— On zatracił własną ojczyznę i nie znalazł drugiej. Ale rozwinęła się w nim ogromna nienawiść ku zdobywcom. Słuchaj no. Ostatniej nocy zwierzał mi się, że... itd.

Hurree Babu pod swym pasiastym parasolem natężył pilnie słuch i mózgowicę, by nadążyć za szybko płynącą strugą francuszczyzny, a jednocześnie wlepił obie źrenice w *kiltę* pełną map i dokumentów — była ona szczególnie duża i miała podwójne przykrycie z czerwonej ceraty. Kraść nie zamierzał niczego; pragnął jedynie wiedzieć, co warto ukraść i jak następnie czmychnąć, w razie gdyby mu się kradzież udała. Dziękował wszystkim bogom Hindostanu i Herbertowi Spencerowi, że pozostało jeszcze kilka cennych rzeczy godnych kradzieży.

Na drugi dzień droga zaczęła pięć się stromo na trawiastą połoninę ponad lasem; tu właśnie o zachodzie słońca spotkali wiekowego lamę — oni wszakże nazwali go bonzą — siedzącego po turecku nad jakąś tajemniczą kartą, umocnioną kamieniami, którą objaśniał młokosowi, widocznie neoficie, niezwykle przystojnemu, choć i brudnemu zarazem. Naraz zobaczyli zbliżający się pasiasty parasol, więc Kim radził zatrzymać się na chwilę, aż przybysz podejdzie ku nim.

— Ha! — ozwał się Hurree Babu obrotny niczym kot w butach. — To jakiś wybitny świętek miejscowy. Zapewne poddany mego króla i władcy.

— Co on tam robi? To nader ciekawe!

— Objaśnia święte ma-alowidło... *całe* wykonane własnoręcznie.

Obaj mężczyźni, odkrywszy głowy, stanęli w strudze blasków zachodzącego słońca, ścielących się nisko po ozłoconej murawie. Posępni kulisowie, radzi zwłoce, zatrzymali się i zdjęli z ramion bagaże.

— Patrz no! — rzekł Francuz. — Jest to jakby obrazek przedstawiający narodziny jakiejś religii... oto pierwszy mistrz i pierwszy uczeń. Czy to buddysta?

— To jakaś z wypaczonych odmian buddyzmu — odrzekł drugi — W górach nie ma prawdziwych buddystów. Ale przyjrzyj się fałdom jego odzieży. Przyjrzyj się jego oczom... jakie beczelne! Czemuż daje on nam odczuć, że jesteśmy narodem tak młodym? — to

²¹⁷*in petto* (wl.) — dosł. w piersi; w sekrecie, prywatnie. [przypis edytorski]

mówiąc, kopnął ze złością jakieś bujne zielsko. — Myśmy tu jeszcze nigdzie nie zostawili swych śladów. Nigdzie! To właśnie, rozumiesz, nie daje mi spokoju! — i spojrzął spode łba na łagodną twarz i posągowy spokój postaci.

— Bądź cierpliwy! Wyciśniemy tu jeszcze wspólnie nasze ślady... my i wasz młody naród. Tymczasem narysuj no jego portret.

Babu ruszył naprzód buńczucznie, a z tyłu nie można było dostrzec ani jego kornego przemówienia, ani znaku danego Kimowi.

— O święty mężu, ci ludzie są sahibami. Jednego z nich wyleczyłem z biegunki za pomocą mych lekarstw, teraz zaś jadę do Simli, by mieć pieczęć nad jego przyjściem do zdrowia. Oni pragną obejrzeć twój obraz...

— Leczenie chorych dobrą zawdy²¹⁸ jest rzeczą. To zaś jest Koło żywota — odparł lama — które pokazywałem był ci w Ziglaur, gdy padały deszcze.

— ...i posłuchać twych objaśnień.

Lamie oczy zabłysły radością w przewidywaniu nowych słuchaczy.

— Objasnienie Najdoskonalszej Drogi jest rzeczą zbawienną. Czy oni znają cokolwiek *hindi* (mowę hinduską), jak ów opiekun obrazów?

— Zdaje się, że troszkę znają.

Wtedy lama z prostotą dziecka, oddanego nowej zabawie, rzucił głowę w tył i z całego gardła podjął przedśpiew Nauczyciela boskości, poprzedzający rozpoczęcie właściwego nauczania. Cudzoziemcy oparli się na laskach turystycznych i zaczęli się przysłuchiwać. Kim przycupnąwszy w pokorze przyglądał się czerwonej poświatli słonecznej na ich twarzach oraz wydłużonym ceniom ich postaci, zacierającym się i niknącym. Mieli oni nagolenniki nieangielskiego fasonu, a ponadto jakieś cudaczne pasy i popręgi, które przypomniały mu, jak przez mgłę, ryciny w książce z księgozbioru świętoksawerskiego; zwała się *Przygody młodego przyrodnika w Meksyku*. Ba, wyglądali prawie jak przepysny pan Sumichrast w owej opowieści, a zgoła nie zakrawali na ludzi „wyzutych ze wszelkich skrupułów”, jakich sobie utroił Hurree Babu. Kulisi, zakurzeni i oniemiałi, zatrzymawszy się o jakie dwadzieścia do trzydziestu jardów opodal, zgarbili się w pokorze; zaś *babu* stanął obok z miną szczęśliwego władcy, a końce sznura, którym przewiązywał wytworne swe odzienie, łopotały na wietrze jak chorągiewka wytyczna.

— To są ci ludzie — szepnął Hurree korzystając z tego, że obrzęd przeciągał się, a obaj biali wodzili wzrokiem za słomką posuwającą się od piekła do nieba i z powrotem. — Wszystkie ich książki są w wielkiej *kilcie* z czerwoną przykrywką... są tam książki, raporty i mapy... a widziałem też list królewski pisany albo przez radzę Bunar, albo radzę Hilas. Pilnują tego bardzo starannie. Nie odesłali nic ani z Hilas, ani z Leh, to pewna.

— Kto jest z nimi?

— Tylko paru tych pańszczyźnianych kulisów. Służby nie mają. Są to takie sknery, że sami sobie gotują jadło...

— Lecz jakaż mnie tu czeka robota?

— Czekaj i miej oczy otwarte. Gdyby się nadarzyła mi jakaś sposobność, będziesz wiedział, gdzie masz szukać papierów.

— Lepiej by to było oddać w ręce Mahbuba Alego niż w ręce Bengalczyka — rzekł Kim zgryźliwie.

— Zawždy łatwiej znaleźć sposób zdobycia kochanki niż przebijania muru głową.

— Patrzcie, tutaj jest piekło przeznaczone dla skąpstwa i chciwości. Po jego bokach z jednej strony pożądliwość, z drugiej zaś przesycenie.

Lama zapalał się do swego dzieła, a jeden z cudzoziemców szkicował jego postać w oświetleniu szybko zmierzchającego się dnia.

— Dość już tego — ozwał się w końcu szorstko ów mężczyzna. — Nie rozumiem wcale jego mowy, ale chcę mieć ten obraz. On jest lepszym artystą ode mnie. Zapytaj, czy tego nie sprzeda.

— On mówi: „Nie, *sar*” (panie) — odpowiedział *babu*. Istotnie, lama nie odstąpiłby swej karty napotkanemu przypadkowo pątnikowi, podobnie jak arcybiskup nie oddałby w zastaw świętych naczyń kościelnych. W całym Tybecie pełno tanich wizerunków

²¹⁸*zawdy* (gw., daw.) — zawsze. [przypis edytorski]

Koła żywota; ale lama był artystą, a jednocześnie bogatym przeorem w swoich stronach rodzinnych.

— Może za jakie trzy, cztery lub dziesięć dni, skoro się przekonam, że ten sahib jest dociekaczem i to pojętnym, mogę mu z własnej woli narysować drugi taki obraz. Ale *ten* był już używany do wtajemniczania nowicjusza. Powiedz mu to, *hakimie*.

— On chce mieć obraz natychmiast... za pieniądze.

Lama potrząsnął z wolna głową i zaczął zwijać arkusz z namalowanym Kołem życia. Moskal ze swej strony widział w nim jedynie niechlujnego dziadygę targującego się o zasmolony kawałek papieru, przeto wyjął garść rupii i półzartem szarpnął kartę; ponieważ lama zacisnął pięść silnie, karta rozdarła się na dwoje. Głuchy pomruk zgrozy rozległ się wśród kulisów... dyc wielu z nich pochodziło ze Spiti i jak na swój poziom oświaty byli dobrymi buddystami. Lama porwał się na tę zniewagę, a ręka mu spoczęła na ciężkim piórniku, który jest orężem kapłana. *Babu* wił się z przerażenia.

— Teraz widzisz... teraz widzisz, czemu chciałem mieć świadków; to są ludzie wyzuci ze wszelkich skrupułów. O *sar, sar!* Nie wolno ci bić świętego człowieka!

— *Chelo!* On pokalał Pisane Słowo!

Było za późno. Zanim Kim zdołał odepchnąć napastnika, już Moskal z całej siły uderzył staruszka w twarz. W tejże chwili Kim pochwycił brutala za grdykę i zaczął się staczać wraz z nim po pochyłości góry. Cios zadany lamie rozpętał w krwi chłopca wszystkie nieznane mu diabły irlandzkie, a nagły upadek wroga dokonał reszty. Lama padł na kolana, na wpół ogłuszony; kulisi, porwawszy bagaże pomknęli na szczyt góry tak chyżo, jak niziniacy biegają po równinie. Oto widzieli niesłychane świętokradztwo, więc wypadało im uciec daleko z tego miejsca, zanim bogowie i strzygonie górskie nie powezmą pomsty. Francuz, szukając nerwowo rewolweru skoczył ku lamie, snadź zamierzając zrobić go zakładnikiem za swego towarzysza, lecz grad ostrych kamieni (a górale rzucają nader celnie) zmusił go do odwrotu, zaś jeden z kulisów pochodzący z Ao-chung pociągnął za sobą lamę w szeregi pierzchających. Wszystko odbyło się tak prędko, jak szybko zapada zmrok w górach.

— Oni nam zabrali wszystkie pakunki i całą broń palną! — wrzasnął Francuz, strzelając na oślep w szary półmrok.

— Dobrze, *sar!* Dobrze! Tylko nie strzelaj! Ja idę z pomocą! — zawołał Hurree i zwa-liwszy się ze zbocza runął całym ciałem na upojonego i zdumionego Kima, który właśnie rozbił głowę nieprzytomnego wroga o jakiś okrągły głazik.

— Zmykaj do kulisów — szepnął mu *babu* do ucha. — Oni mają toboły. Papiery są w *kilcie* o czerwonej pokrywie, ale przeszkuj ją całą dokładnie. Zabierz ich papiery, a zwłaszcza *murasę* (orędzie królewskie). Ruszaj! Drugi człowiek nadchodzi!

Kim drapnął na górę. Kula rewolwerowa łupnęła w skałę tuż obok niego, więc przy-padł do ziemi niby kuropatwa.

— Jeżeli pan będzie strzelał — krzychał Hurree — oni tu zejda i pobiją nas na dru-zgi²¹⁹. Ja ocaliłem tego pana. To sprawa szczególnie niebezpieczna.

„Na Jowisza! — myślał Kim z zawziętością po angielsku. — Znalazłem się w tęgich opałach, ale *ja* też potrafię się bronić!”

Wymacał za pazuchą podarek Mahbuba i dość niepewnie (boć, nie licząc kilku strza-łów ćwiczebnych na pustyni bikanerskiej, nie robił dotychczas użytku z rewolweru...) nacisnął cyngiel.

— A co mówiłem, *sar!* — prawie zapłakiwał się *babu*. — Zejdz na dół i pomóż mi go ocucić. Powiadam panu, że znajdziemy się wszyscy na gałęzi.

Strzały ucichły i rozległo się szurgotanie potykających się wciąż stóp. Kim, nie szczę-dząc przekleństw, pobiegł rąco w ciemności pod górę, jak kot — lub jak andrus.

— Czy cię nie zranili, *chelo?* — zawołał lama nań z góry.

— Nie. A ty? — i dał nura w kępę karłowatej smreczyny.

— Anim draśnięty. Chodźmy stąd. Udamy się z tymi ludźmi do Shamlegh, co leży pod śniegami.

— Ale nie wcześniej, zanim stanie się zadość sprawiedliwości — krzyknął jakiś głos. — Zdobyłem strzelby sahibów... wszystkie cztery. Zejdzmy w dół.

²¹⁹*druzga* — drzazga. [przypis edytorski]

— On uderzył świętego męża... a myśmy to widzieli! Nasze bydło wychudnie i żalowieje... nasze kobiety przestaną rodzić! Śniegi zwałą się na nas, gdy będziemy iść do domu... I to jeszcze na domiar wszystkich okrucieństw, jakichśmy doznali!

Kępka smreczyny napelniła się jazgotliwymi kulisami... ogarnięci byli strachem, a zgroza czyniła ich gotowymi na wszystko. Ten, który był z Ao-chung, zaciskał w garści niecierpliwie komorę wybuchową swej strzelby i zabierał się do zejścia w dół.

— Poczekaj krzynę²²⁰, mężu święty; oni nie mogli ujść daleko; zaczekaj, aż wrócę.

— Wszak oto ta osoba doznała krzywdy... — rzekł lama, kładąc dłoń na swym czole.

— Właśnie też o to chodzi — brzmiała odpowiedź.

— Więc jeżeli ta osoba przebacza krzywdę, tedy wasze ręce są czyste. Co więcej, zdobędziecie sobie zasługę przez posłuszeństwo.

— Poczekaj, a pójdziemy wszyscy razem do Shamlegh! — upierał się ów człowiek.

Przez chwilę w sam raz tak długą, jakiej trzeba do nabicia strzelby, lama zawahał się, po czym zerwał się na równe nogi i położył palec na ramieniu górala.

— Czy słyszałeś? *Ja* to mówię... ja, com był przeorem w Such-zen, mówię, że nie wolno zabijać nikogo. Czy masz ochotę odrodzić się w postaci szczura lub wężem na podstrzeszu... robakiem w żołądku najpodlejszego ze zwierząt? Czy życzysz sobie...

Człowiek, co był rodem z Ao-chung, padł na kolana, bo głos lamy huczał jak tybetański gong do odpędzania diabłów.

— Ojej! Ojej! — zaczęli ludzie ze Spiti. — Nie przeklinaj nas... nie przeklinaj tego człowieka. To był jeno objaw żarliwości nabożnej, o mężu święty!... Ciśnij tę strzelbę, durniu!

— Gniew nad gniewy! Zło nad wszelkie zło! Nikogo nie wolno zabijać. Niech ci, którzy biją kapłany, chodzą w kajdanach własnych postępków. Sprawiedliwe i niezawodne jest Koło życia, co nie zbacza ani na włos! Ich czeka jeszcze wielokrotne odrodzenie... w katuszach.

Głowa mu obwisła i wsparł się ciężko na ramieniu Kima.

— O mało co nie dopuściłem się wielkiego grzechu, *chelo* — wyszeptał wśród śmiertelnej ciszy, co zaległa pod sosnami. — Doznawałem pokusy, by wysłać im kulę... a w Tybecie spotkałaby ich za to śmierć ciężka i powolna... Uderzył mnie w twarz... w ciało...

Osunął się na ziemię, dysząc ciężko, a Kim słyszał, jak wysilone jego serce tłukło się głośno w piersiach, to znów ustawało.

— Czy oni zathukli go na śmierć? — ozwał się człek i rodem z Ao-chung, podczas gdy inni stanęli w oniemiaeniu. Kim śmiertelnie przerażony uklęknął nad ciałem lamy.

— Nie! — krzyknął przejęty do głębi. — To tylko choroba! — tu przypomniał sobie, że był białym człowiekiem i że ma na podporządku przybory podrózne innego białego człowieka. — Otwórzcie *kilty*! Sahibowie mają za pewne jakieś lekarstwo!

— Oho! Jeżeli tak, to ja je znam! — przemówił, śmiejąc się, człowiek z Ao-chung. — Nie na to byłem przez pięć lat *shikarrim* sahiba Yanklinga, żebym nie miał znać tego lekarstwa. Ba, nawet go kosztowałem. Patrz!

Wyciągnął z zanadru butelkę taniej gorzałki — takiej, jaką w Leh sprzedają przybyszom — i zręcznie wlał jej kapkę lamie między zęby.

— Tak czyniłem, gdy sahib Yankling zwichnął sobie nogę z tamtej strony Astoru. Aha! Ja już przejrzałem zawartość ich koszów... lecz podzielimy się tym, jak należy, dopiero w Shamlegh. Daj mu jeszcze trochę. To dobre lekarstwo. Pomacaj! Serce mu już teraz lepiej bije. Połóż go głową na dół i nacieraj mu z lekka pierś. Gdyby był czekał spokojnie, aż policzę się z sahibami, nigdy by się tak nie stało. Ale nuż sahibom przyjdzie ochota polować tu na nas? Wtedy nieźle byłoby puknąć do nich z własnej ich broni, hę?

— Jednemu już zapłaciłem, jak mi się zdaje — ozwał się Kim przez zęby. — Kopnąłem go w pachwinę, gdyśmy się toczyli z góry. O gdybym go zabił!

— Łatwo to być odważnym, gdy kto nie mieszka w Rampur — rzekł jeden, którego chatynka znajdowała się o mil parę od koślawego dworzyszczka radży. — Jeżeli osławimy się wśród sahibów, żaden nie zechce mieć w nas *shikarrisów*.

²²⁰krzyną — odrobina. [przypis edytorski]

— O, ale ci dwaj sahibowie nie są *Angrezi* (Anglikami)... nie są to tacy pogodni ludzie, jak sahib Fostum i sahib Yankling. To cudzoziemcy... bo nie umieją mówić po *angrezyjsku* jak inni sahibowie.

W tej chwili lama zakaszła i usiadł, po omacku szukając różańca.

— Nie będzie tu nikt zabijał — mamrotał. — Sprawiedliwe jest Koło życia. Grzech nad grzechy...

— Nie, święty mężu. Wszyscyśmy z tobą — ozwał się człowiek z Ao-chung, gładząc mu stopy lekliwie. — Nikogo nie zabijemy, chyba na twój rozkaz. Odpocznij sobie tymczasem. Założymy tu małe obozowisko, a potem, gdy wszędzie księżyc, ruszymy do Shamlegh, które znajduje się poniżej śniegów.

— Po uderzeniu — przemówił sentencjonalnie jeden ze Spityjczyków — najlepiej się przespać.

— Czuję jakby jakiś zawrót w tyle głowy i dziwny ucisk w tym miejscu. Pozwól mi położyć głowę na twym łonie, *chelo*. Jestem człowiekiem starym, ale nie jestem wolny od wzruszeń i bólów... Winniśmy myśleć o przyczynie wszechrzeczy.

— Daj mu derkę. Nie możemy palić ognia, żeby sahibowie nas nie spostrzegli.

— Lepiej czmychnąć do Shamlegh. Nikt nie pójdzie za nami do Shamlegh.

Mówił to ów gorączkowo usposobiony Rampurczyk.

— Byłem *shikarrim* sahiba Fostuma i jestem *shikarrem* sahiba Yanklinga. Gdyby nie ta przeklęta *beegar* (pańszczyzna), byłbym teraz towarzyszył sahibowi Yanklingowi. Niechaj dwaj ludzie czuwają w dole, żeby sahibowie znów nie splatali jakiej brewerii. *Ja* nie odstąpię od tego męża świętego.

Usiedli w pewnej odległości od lamy; przez chwilę nadsluchiwali, potem zaś puścili w kolej fajkę chłodnicową, której zbiornikiem był stary słoik od czernidla „Day and Martin”. Rozbłysk czerwonego węgielka drzewnego, w miarę jak fajka przechodziła z rąk do rąk, oświecał wąskie, zmrużone oczy, wystające jak u Chińczyków kości policzkowe oraz bawole podgardla, co barwą zlewały się z ciemnymi zmarszczkami wołłoku dokoła ramion. Wyglądali niby czarcieta z jakiejś zaklętej kopalni... jak wiecujące w górach karły-złośliwce. A gdy tak pogwarzali, szmery ściekających roztopów śniegowych cichły jedno po drugim, w miarę jak nocny przymrozek ścinał lodem i zatrzymywał w biegu rwące potoki.

— Ciewy²²¹, jak on się nam postawił! — wyrażał swój podziw jeden ze Spityjczyków. — Przypominam sobie, jakeśmy poszli za Ladakh (a było to siedem kwartałów temu), spotkaliśmy starego koziorożca; sahib Dupont strzelał, celując mu pod łopatkę i chybił; całkiem ci on tak się nam dziś postawił jak tamten kozioł! Sahib Dupont był dobrym *shikarri*...

— Nie tak dobrym jak sahib Yankling — ozwał się człowiek z Ao-chung, lyknąwszy gorzałki i podawszy butelkę następnemu. — A teraz posłuchajcie mnie.... chyba że ktoś z was myśli, że mądrzejszy?

Nikt nie przyjął wyzwania.

— Gdy księżyc wszędzie, wyruszymy do Shamlegh. Tam podzielimy pięknie tobołeczki między siebie. Ja poprzestanę na tej nowiuńskiej strzelbinie ze wszystkimi jej nabojami.

— Czy niedźwiedzie napadają tylko na twoje gospodarstwo? — zagadnął go jeden z kamratów, ciągnąc dym z fajki.

— Nie, ale gałki muszkatu są obecnie po sześć rupii za sztukę, a twoje kobiety mogą dostać płótno namiotowe i trochę przyborów kuchennych. Zrobimy to wszystko w Shamlegh przed świtem. Wtedy każdy pójdzie w swoją drogę, a pamiętajcie, żeśmy nigdy nie widzieli na oczy ani też nie służyli u tych sahibów, którzy, rzecz prosta, niechybnie rozgłoszą, żeśmy rozkradli ich bagaże.

— Dobrze ci tak mówić, ale co powie na to nasz radża?

— Któż ma mu donieść o tym? Ci sahibowie, którzy nie umieją mówić po naszymu, czy ten *babu*, który dawał nam pieniądze dla jakichciś tam celów osobistych? Czyżby on mógł sprowadzić na nas wojsko? Jakież pozostaną dowody naszej winy? To, czego nie potrzebujemy, możemy wyrzucić na śmietnik w Shamlegh, gdzie jeszcze nie powstała stopa ludzka.

²²¹*ciewy* (gw.) — też coś; a to dopiero. [przypis edytorski]

— Kto przebywa tego lata w Shamlegh?
W onej miejscowości było tylko kilka szałasów i zagroda dla bydła pasącego się po halach.

— Kobieta z Shamlegh. Ona, jak wiadomo, nie lubi sahibów. Innych można zadławić małymi podarkami i jeszcze każdemu z nas sporo się okroi.
Poklepał pękate boki najbliższego kosza.

— Ależ... ależ...

— Powiedziałem, że to nie są prawdziwi sahibowie. Wszystkie skóry i łby zwierzyny zakupili na bazarze Leh. Poznałem to po śladach kul. Pokazywałem je wam w czasie ostatniego marszu.

— Juści prawda. Wszystkie te skóry i łby były kupne. W niektórych nawet załęgły się mole.

Był to argument chytrze obmyślany, a człowiek z Ao-chung znał swych towarzyszy.

— W najgorszym razie opowiem o tym sahibowi Yanltlingowi, który jest człowiekiem hecownym, to się uśmieje do rozpuku. Nie wyrządzamy żadnej krzywdy sahibom, których znamy. Ci zaś biją kapłanów. Nastraszyli nas, więc my w nogi! Kto tam wie, gdzieśmy pogubili pakunki? Czy myślicie, że sahib Yankling pozwoli, by policja nizinna rozbijała się wszędzie po górach i przeszkadzała mu w łowach? Ładny to kawał drogi z Simli do Chini, a jeszcze dalej z Chini do śmietnika w Shamlegh.

— Niech i tak będzie, ale ja poniosę tę dużą *kiltę*... ten kosz z czerwoną pokrywą, który sahibowie pakowali własnoręcznie co rana.

— Zatem to rzecz stwierdzona — rzekł sprytnie człowiek z Ao-chung — że żadną miarą nie mogą to być sahibowie. Słyszałem kto, żeby sahib Fostum czy sahib Yankling, choćby i mały sahib Peel, co zaczają się po nocach, polując na dzikie plectwo... kto, powiadam, słyszał, żeby który z tych sahibów przybywał w góry, nie mając przy sobie kucharza, tragarza i... i całej zgrai dobrze płatnych, rozrzutnych i dokuczliwych pachotków? Jak oni mogą nam zaszkodzić? No, i cóż w tej *kilcie*?

— Nic... pełna jest ino pisanych słów... książek i papierów, na których pisali, i dziwnych przyrządów, jak gdyby do jakiegoś nabożeństwa.

— Wszystkie się znajdują na śmietniku w Shamlegh.

— A jakże! Ale cóż będzie, jeżeli w ten sposób obrazimy bóstwa sahibów? Nie lubię w ten sposób rzucać pisanego słowa. Zasię te ich bożki mosiężne, to już całkiem dla mnie niezrozumiałe. To nie powinno stawać się lupem prostych górali.

— Ten starzec jeszcze śpi. Pst! Zapytamy jego *chelę*! — i człowiek z Ao-chung ożywił się, pyszniąc się, że rej wodził pomiędzy kamraty²²².

— Mamy tu — szepnął — *kiltę*, której zawartości nie znamy.

— Ale ja znam — rzekł Kim przezornie. Lama oddychał spokojnie przez sen, więc Kim już na chwilę przedtem rozmyślał o ostatnich słowach Hurreego, gdyż jako uczestnik wielkiej gry miał właśnie teraz obowiązek szanować jego wolę. — Jest to *kilta* o czerwonej pokrywie, pełna wielce osobliwych przedmiotów, których żaden głupiec nawet się tknąć nie powinien.

— Mówiłem ci! Mówiłem ci — krzyknął ten, co niósł jej brzemień. — Czy myślisz, że ona mogłaby nas zdradzić?

— Nie grozi wam to, jeżeli mnie ją oddacie. Wyciągnę z niej czary. Inaczej wyrządzi ona wiele szkody.

— Kapłan zawsze bierze swą dziesięcinę! — burknął człowiek z Ao-chung, na którego widocznie wódka działała znieprawiająco.

— Mnie to ani parzy, ani ziębi — odpowiedział Kim z istic hinduską przebiegłością — — Podzielcie to między siebie, a zobaczycie, co z tego wyniknie!

— Ani mi się nie śni. Ja tylko żartowałem. Rozkazuj nam! Każdemu okroi się aż nadto zdobywszy. Rankiem każdy z nas pójdzie z Shamlegh, gdzie go oczy poniosą!

Z dobrą godzinę tak pogwarzyli, układając sobie, to znów zmieniając różne drobne zamysły, a tymczasem Kim drżał z zimna i — z dumy. Zabawność całej sytuacji radowała jego na poły irlandzką, na poły wschodnią duszę. Oto wysłannicy potężnego mocarstwa

²²² *pośród kamraty* — dziś: *pośród kamratami*. [przypis edytorski]

północnego zapewne mający tyle znaczenia w swoim kraju, co u nas Mahbub lub pułkownik Creighton, zostali nagle ukarani i bezradni, a jeden z nich (był to osobisty sekret Kima) mógł być czas jakiś kaleką. Obiecywali królom złote góry — i oto w noc dzisiejszą leżą tam gdzieś w dole, nie mając mapy, żywności, namiotu, broni, a nawet przewodnika... oprócz Hurreego Babu. Zaś to niepowodzenie ich Wielkiej Gry (Kim zachodził w głowę, komu by oni mogli o tym meldować), ta paniczna ucieczka na łeb na szyję w pomrokę nocy — dokonały się nie dzięki podstępom Hurreego ani pomysłowości Kima, lecz ot tak sobie po prostu, pięknie i nieuchronnie, jak pojmanie *fakirów*, przyjaciół Mahbuba, przez służbistego młodego policjanta w Umballi.

„Zostali tam... bez niczego... a na Jowisza, mrozik dziś siarczysty! Ja tu mam wszystkie ich pakunki. O, muszą się też oni wściekać! Żal mi Hurreego Babu”.

Niepotrzebnie Kim się litował, bo choć w tej chwili Bengalczyk był wielce obolały na całym ciele, to jednak duszę rozpierała mu fantazja i buta. O jaką miłą poniżej, na stoku góry, dwaj na wół skostniałi mężczyźni, z których jeden doznawał straszliwych cierpień, na przemian to obrzucali się wzajemnymi wyrzutami, to w sposób wielce uszczypliwy wymyślali Hurreemu, który prawie omdlewał ze strachu. Domagali się od niego, by im wyjaśnił, co mają czynić. Odpowiedział, że powinni niebu dziękować, iż wyszli cało; że kulisi, o ile na nich nie dybią, uciekli już nieodwołalnie; że radża, któremu on podlegał, znajdował się stąd o dziewięćdziesiąt mil i że nie tylko nie użyczyłby im pieniędzy i eskorty na drogę do Simli, ale nawet na pewno wtrąciłby ich do więzienia, gdyby posłyszał, że znieważyli kapłana. Rozwodził się nad tym przestępstwem i jego skutkami, póki nie nakazali mu, by zmienił przedmiot rozmowy. Przeto mówił, że jedynym ich ratunkiem będzie przemykanie się niepostrzeżenie od wioski do wioski, póki nie zajdą w okolice cywilizowane; po czym po raz setny, rozplywając się w łzach, zapytywał gwiazdy na niebie, czemu sahibowie „uderzyli człowieka świętego”.

Gdyby Hurree zechciał postąpić tylko dziesięć kroków dalej, znalazłby się w nieprzebytych ciemnościach, gdzie już ci dwaj ludzie nie mogliby go osiągnąć, a w najbliższej wiosce, gdzie rzadkością bywają wymowni lekarze, znalazłby dach nad głową i strawę. On jednak wolał znosić mróz, kurcze żołądka, obelgi, a czasem i szturchańce, dla towarzystwa swych czcigodnych dostojników. Przytulony do pnia drzewa wzdychał boleściwie.

— A czy pomyślałeś o tym — mówił z zapalczywością ten, który nie poniósł okaleczeń — jakie to będziemy ze siebie robić widowisko, włócząc się po tych górach, wśród tych dzikusów?

Hurree Babu myślał właśnie o tym niemal ustawicznie od kilku godzin, ale ta uwaga była skierowana nie do niego.

— Nie możemy iść! Ja ledwo mogę chodzić — jęczała ofiara Kima.

— *Sar*, może ów święty przebaczy wspaniałomyślnie, bo inaczej...

— Zapowiadam, że z całą przyjemnością wpakuję wszystkie kule mego rewolweru temu młodemu bonzie, skoro tylko go spotkamy! — brzmiała niechrześcijańska odpowiedź.

— Rewolwery! Zemsta! Bonzowie! Tobie tylko to w głowie! — zaczęła się na nowo sprzeczka, aż Hurree przygiął się jeszcze niżej. — Czy nie zastanowisz się nad naszą stratą? Nasze pakunki! Pakunki! — (Hurree słyszał, jak ten, który to mówił, wprost cisnął się po trawie). — Wszystko, cośmy przynosili! Wszystko, czegośmy tak pilnowali! Ośmiomiesięczne zachody! Wiesz, co to znaczy? „Ma się rozumieć, tylko my wiemy, jak postępować z ludźmi Wschodu!...” Niechże cię!... Ładnieś się spisał!

I tak sobie dogryzali w kilku językach, a Hurree tylko się uśmiechał. *Kilty* były w ręku Kima, a w *kiltach* spoczywały plony ośmiomiesięcznych zabiegów dyplomatycznych. Nie było sposobów, by porozumieć się z chłopcem, ale można było na nim polegać. Zresztą łatwo było tak zainscenizować przeprawę przez góry, że w Hilàs, w Bunàr i po wszystkich traktach górskich na czterysta mil wokół mogła o tym przejść opowieść aż do następnego pokolenia. Ludzie, którzy nie umieją w garści utrzymać swych kulisów, nie cieszą się w górach poważaniem, a górale mają bardzo żywe poczucie humoru.

„Nie mogło stać się lepiej — myślał sobie Hurree — choćbym nawet ja sam sprawą tą pokierował... a, na Jowisza, teraz przychodzi mi na myśl, że to właściwie ja tym wszystkim pokierowałem. Jakże byłem obrotny! Nawet gdym zbiegał z góry, myślałem, co należy czynić! Zniewaga lamy była przypadkiem, lecz ty-yłko ja potrafiłem ją wyzy-

skać... ach... bo to się też diabelnie udało! Pomyśleć sobie, jaki to wpływ mo-oralny na tych głuptasków! Nie mają ani jednego tra-aktatu... ani jednego papieru... w ogóle żadnych doku-umentów na piśmie... a ja służę im za tłumacza! Jakże się uśmiejemy obaj z pułkownikiem! Chciałbym mieć z sobą też te ich papiery; ale nie można jednocześnie zajmować dwóch miejsc w przestrzeni... to *jest* pewnik”.

ROZDZIAŁ XIV

Powiada Kabir: „Mój bliźni uklęka
Przed bożyszczami z kamienia lub miedzi; —
Lecz w jego głosie brzmi także udręka,
Jaka w mym sercu brzmi — bez odpowiedzi.
Jego Bóg jest tym, w co losy go stroją,
Jego pacierz modlitwą jest świata... i moją.

Kabir

Gdy księżyc już wzeszedł, ostrożni kulisowie ruszyli w drogę. Lama pokrzepiony snem i okowitą nie potrzebował już wspierać się ustawicznie na ramieniu Kima, szedł w milczeniu, krocząc raźnie, po męsku. Z dobrą godzinę szli po trawie zasypanej odrugami lupku, obeszli wokoło występ jakiejś przeogromnej turni i wdarli się w nową, odmienną okolicę, gdzie zgoła już był zatarasowany wszelki widok na dolinę Chini. Ogromna hala pięła się wachlarzowato aż po same wieczne śniegi. U jej podnóża było może z pół akra równej powierzchni, na której znajdowało się małe zagnojone boisko oraz parę drewnianych chatek. Za tymi chatami (albowiem według zwyczaju góralskiego były przychepione do samej krawędzi) grunt obrywał się prostopadle na dwa tysiące stóp — tworząc ów słynny śmietnik shamległski, gdzie jeszcze nie powstała stopa ludzka.

Ludzie nie ruszyli się do podziału zdobyczy, póki nie postarali się o to, by umieścić lamę w najlepszej izbie, jaką tu można było znaleźć; Kim usiadłszy koło niego, zaczął nacierać mu nogi na sposób mahometański.

— Przysłemmy wam jadlo i *kiltę* z czerwoną pokrywą mówił człowiek z Ao-chung. — O świecie nie będzie tu nikogo, kto by mógł w jakikolwiek sposób stawać za świadka. Jeżeli w *kilcie* jest coś niepotrzebnego... to patrz!

Wskazał palcem za okno, które wychodziło na przestrzeń pełną miesięcznej poświaty odbijającej się od śniegów — i wyrzucił tam pustą butelkę od wódki.

— Na próżno byś nadśluchiwał, kiedy spadnie. Ta czeluść dosięga dna ziemi — rzekł i czmychnął z izby. Lama, uchwyciwszy się ręką za futrynę, wyjrzał przez okno w świat, a oczy mu się skrzyły jak żółte opale. Z bezdennej przepaści roztaczającej się przed nim wynurzały się białe wierchy, niby tęskniąc do miesięcznej światłości. Reszta była jak gdyby pomroczą śródgwiezdnej przestrzeni.

— Oto — rzekł z wolna — są naprawdę moje góry. Tak powinno by się mieszkać, wysoko ponad światem, w oderwaniu od rozkoszy i w rozmyślaniu o sprawach bezgranicznych.

— I owszem — mruknął Kim — jeżeli się tylko ma *chelę*, który by takiemu pustelnikowi zagotował herbatę, podkładał mu zwiniętą derkę pod głowę i wyganiał stąd cielne krowy.

Gdzieś tam we wnętrzu ściany palił się kopający kaganek, ale jasność pełni księżycowej przyćmiewała jego światło; Kim, pochylając się nad kobiałką z jadłem i filiżankami, poruszał się w tych płaczących się z sobą blaskach niby jakaś wysoka mara.

— Oj! Teraz, gdy już krew we mnie ochłodziła, w głowie mi jeszcze wciąż huczy i tętni, a zdaje mi się, jakby mi ktoś szyję skrępował powrozem.

— Nic dziwnego. Był to cios silny. Bodaj ten, co to zrobił...

— Gdyby nie moja popędliwość, nie stałoby się żadne nieszczęście.

— Jakież nieszczęście? Przecież wybawiłeś sahibów od śmierci, na którą zasłużyli sto razy.

Zło, Przemoc, Zdrowie,
Ciało

— Niedobrze nauczyłeś się tego, com ci wyłożył, *chelo* — mówił lama, który ułożył się do spoczynku na złożonej derce, gdy tymczasem Kim czynił przygotowania do wieczery. — Uderzenie było jeno cieniem przeciw cieniowi. Zło zaś samo w sobie!... nogi mi bardzo osłabły w ciągu tych dni ostatnich!... spotkało się ze złem we mnie... z gniewem, zażartością i żądzą złego odwetu. To wszystko działało mi na krew, wywołało zaburzenie w żołądku i ogłuszyło moje uszy.

Tu wzięwszy z rąk Kima filiżankę, jął pić uroczyście wrzątek cegiełkowej herbaty.

— Gdybym nie okazał namiętności, niecny cios wyrządziłby tylko zło cielesne... obrzęk lub potłuczenie... co jest jeno uludą. Ale mój umysł nie oderwał się od pożądlivosti, które podzęgały mnie wprost do tego, by pozwolić Spityjczykom na zabójstwo. Zwalczenie tej pożądlivosti targało i dręczyło mą duszę gorzej niżli tysiąc uderzeń. Odzyskałem spokój dopiero wtedy, gdy jąłem powtarzać błogosławieństwa — (miał na myśli buddyjskie błogosławieństwa ewangeliczne). — Atoli zło, które zakorzeniło się we mnie w ową chwilę nierozwagi, działa aż po swój kres. Sprawiedliwe jest Koło życia, nie zbaczając ani na włoskę! Zapamiętaj to sobie, *chelo*.

— To, co mówisz, jest dla mnie zbyt górne — burknął Kim. — Jestem jeszcze dotąd wstrząśnięty do głębi. Cieszę się, że okaleczył tego łotra.

— Czuję to, śpiąc na twoich kolanach, tam w boru, na dole. Niepokoilo mnie w marach sennych... to zło w twej duszy przedostające się do mojej... Wszakoz z drugiej strony — to mówiąc, opuścił różaniec — pozyskałem zasługę, ocalając dwa życia... życia tych, którzy mnie skrzywdzili. Teraz muszę zagłębić się w Przyczynę Wszechrzeczy. Chyboce się łódź mojej duszy.

— Śpij i nabierz sił. Tak będzie najmądrzej.

— Będę rozmyślał; jest to rzecz potrzebniejsza, niż ci się zdaje.

Mijały godzina za godziną i nastawał świt, przy którym bladła na wierchach księżycowa poświata, a to, co było jeno czarnym rąbkiem na zboczach dalekich gór, okazało się powabną zielenią lasu. Lama przez cały ten czas wpatrywał się nieruchomo w ścianę, a od czasu do czasu wzdychał. Za zatarasowanymi wrotami, gdzie wygnane krowy przychodziły dowiadywać się o dawną swą oborę, mieszkańcy Shamlegh i kulisi zajęci byli podziałem łupów i innymi sprawami pełnymi gwaru i życia. Rej wśród nieb wodził człowiek z Ao-chung, a gdy się dobrali do puszek z konserwami zdobytymi na sahibach i przekonali się, że to smaczna strawa, nic już nie mogło ich skłonić do zwrotu. Opakowania wrzucono do śmietnika shamleghskiego.

Gdy Kim po źle przespanej nocy wymknął się na dwór, by w chłodzie poranku oczyścić sobie zęby, jakaś rumiana dziewczyna w czepku wysadzonym turkusami odciągnęła go na stronę.

— Inni już się rozeszli. Zostawili ci *kiltę* stosownie do obietnicy. Ja nienawidzę sahibów, lecz ty winienesz mi się za to odwdzińczyć, obdarzając mnie urokiem. Nie pragniemy, ażeby małe Shamlegh pozyskało złą sławę z powodu... wypadku. Jestem kobietą z Shamlegh.

Spojrzała nań zuchwale, błyszczącym wzrokiem, zgoła nie przypominającym zwykłego ukradkowego spojrzenia góralek.

— Juźci²²³ że tak. Ale trzeba to uczynić w tajemnicy.

Podniosła ciężką *kiltę* jak cacko i wrzuciła ją do własnej chaty.

— Wyjdź i zatarasuj wrota! Nikomu nie wolno się zbliżyć, póki nie skończę.

— Ale potem... będziemy mogli pogadać?

Kim wywalil *kiltę* na podłogę... posypała się cała kaskada narzędzi mierniczych, książek, dzienników, listów, map i osobliwie woniejącej korespondencji z krajowcami. Na samym dnie znajdowała się haftowana sakiewka ukrywająca jakiś dokument opieczętowany, złożony i barwnie zdobiony, jaki zwykle posyłają sobie wzajemnie królowie. Kim aż dech w sobie wstrzymał z zachwytu i rozpatrzył się w sytuacji ze stanowiska sahiba.

— Książek mi nie potrzeba. Zresztą to tylko logarytmy do pomiarów, jak sądzę.

Odłożył je na bok.

²²³juźci a. juści (gw.) — oczywiście, pewnie. [przypis edytorski]

— Listów nie rozumiem, ale pułkownik Creighton je rozumie. Trzeba je wszystkie schować. Mapy... oni malują mapy lepiej niż ja, ma się rozumieć. Wszystkie listy krajowców... oho!... zwłaszcza *murasłę*.

Powąchał haftowaną sakiewkę.

— To musi być od radży Hilàs lub radży Bunàr, więc Hurree Babu mówił prawdę. Na Jowisza! Ładny połów! O gdybyż Hurree Babu mógł wiedzieć!... Resztę muszę wyrzucić za okno.

Obmacał przepyszny pryzmatyczny kompas i błyszczący wierzch teodolitu. Ale, koniec końców, sahibowi nie bardzo wypada kraść, a te przedmioty mogły być później niepożądanym dowodem. Wybrał starannie każdy skrawek rękopisu, każdą mapę i wszystkie listy krajowców. Zrobiła się z tego niezbyt twarda paczka czworokątna. Trzy zamknięte teki o okutych grzbietach i pięć wytartych notatników kieszonkowych odłożył na bok.

— Listy i *murasłę* muszę nosić pod kabatem i za pasem, a te książki ręcznie zapisane muszę włożyć do tobołka z żywnością. Będzie to bardzo ciężkie... Nie, sędzę, że więcej już tu nic nie ma. Jeżeliby coś nawet było, to trzeba zrobić tak, jak kulisi, mianowicie rzucić to w przepaść i wszystko będzie w porządku. No idźże i ty teraz za innymi.

Napakował *kiltę* wszystkim, czego zamierzał się pozbyć, i wywindował ją na parapet okienny. O tysiąc stóp poniżej spoczywała gnuśna, obła i podługowata ławica mgły, snadź²²⁴ nietknięta jeszcze promieniami porannego słońca; jeszcze na tysiąc stóp pod nią wznosił się stuletni bór sosnowy. Skoro wir wiatru rozrzedził mgłę, Kim dostrzegł zielone wiechy sosen wyglądające ni to ścielisko mchu.

— Nie! Zdaje mi się, że nikt nie pójdzie za tobą!

Kosz, spadając w koziolkach, wysypał całą swą zawartość. Teodolit hrymnął w jakiś wystający cypel skalny i roztrzaskał się z hukiem jak bomba; książki, kałamarze, pudełka farb, cyrkle i linijki leciały przez czas jakiś niby rój pszczół, po czym znikły — i chociaż Kim, wychylając się z okna do połowy ciała, wyteżał słuch, to jednak ani jeden odgłos nie doszedł go z otchłani.

„Za pięćset... za tysiąc rupii nie kupiłby człek tego wszystkiego — myślał ze smutkiem. — Było to wielkie marnotrawstwo, ale poza tym mam całą resztę ich rupieci... wszystko, nad czym pracowali — przynajmniej tak mi się zdaje. A teraz, jak u licha mam zawiadomić Hurreego i co u licha mam robić? Na dobitkę mój staruszek się rozchorował. Muszę zawiązać listy w ceratę. To trzeba najpierw uczynić... inaczej przesiąkłyby potem... I jestem tu sam jak palec!”

Związał je w zgrabny pakiecik, zaginając pod spód grubą, kleistą ceratę na rogach, bo włóczęgowskie życie uczyniło chłopaka tak skrupulatnym, niby starego myśliwca, gdy szło o przygotowania do wyprawy. Potem ze zdwojoną starannością upakował książki na dnie sakwy z żywnością.

Kobieta zakołatała do drzwi.

— Ależ tyś tu nie odprawiał czarów!... — rzekła, rozglądając się wokoło.

— Nie ma potrzeby.

Kim na śmierć zapomniał o konieczności małej pogadanki. Kobieta roześmiała się lekceważąco z jego zakłopotania.

— Nie ma... dla ciebie. Możesz rzucić urok jednym skinieniem oka. Ale pomyśl, co będzie z nami biedakami, gdy od nas odejdiesz! Wszyscy dziś byli zanadto pijani, by mieli słuchać kobiety. Chyba nie jesteś pijany?

— Jestem kapłanem.

Kim już oprzytomniał, a ponieważ kobieta była wcale powabna, więc uznał, że najlepiej będzie podkreślić swe stanowisko.

— Przestrzegaliśmy ich, że sahibowie wpadną w gniew i rozpoczną śledztwo, a nawet posłają radży doniesienie. Jest też tam z nimi ów *babu*. Urzędnicy mają długie ozory.

— Czy to całe twoje zmartwienie?

W głowie Kima wylągl się już plan zupełnie sformułowany, więc chłopak uśmiechnął się po uwodzicielsku.

— Niezupełnie — odpowiedziała kobieta, wyciągając krzepką, brązową dłoń pokrytą turkusami oprawnymi w srebro.

²²⁴snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

— Mogę to zażegnać w mig — mówił żywo Kim. — Ów *babu* jest to ten sam *bakim* (zapewne o nim słyszała?), który wędrował po górach koło Ziglaur. Znam go dobrze.

— On wszystko wygada, byle wziąć nagrodę. Sahibowie nie potrafią odróżnić jednego górala od drugiego, ale *babu* mają oko na chłopców... no i na kobiety.

— Zanieś mu wiadomość ode mnie.

— Nie ma rzeczy, której bym nie zrobiła dla ciebie.

Przyjął ten umizg spokojnie, jak powinni czynić mężczyźni w kraju, gdzie kobiety narzucają się z miłością; następnie wydarł kartkę z notesu i wzięwszy niewycieralny ołówek kopiowy jął gryzmolić, co następuje, niezdarnym *Shikastem*, jak zowią pismo, którym posługują się złośliwe andrusięta, bazgrając plugastwa po murach:

„*Mam wszystko, co oni pisali: ich malowidła z tutejszych okolic i wiele listów, zwłaszcza murasłę. Powiedz, co czynić. Jestem w Shamlegh pod śniegami. Staruszek choruje*”.

— Doręcz mu to, a zamkniesz mu tym gębę. On nie mógł jeszcze zejść daleko.

— Istotnie niedaleko. Znajdują się jeszcze w lesie za grzbietem góry. Nasze dzieci poszły ich śledzić o świcie i donosiły nam krzykiem o każdym ich poruszeniu.

Kim zdumiał się; lecz hen z krańca połoniny przyleciał przeciągły, przenikliwy pisk podobny do głosu kani. Był to odzew, podjęty przez dziecko pasące trzodę, na hasło dane przez brata lub siostrę hen tam na zboczu, co panuje nad doliną Chini.

— Moi mężowie też poszli tam zbierać drzewo.

Wyciągnęła zza pazuchy garść orzechów włoskich, rozłupała równiusek na półówki jeden z nich i zaczęła jeść. Kim udawał, że nie rozumie nic a nic.

— Czy nie wiesz, co oznacza orzech, kapłanie? — rzekła nieśmiało i wręczyła mu dwie lupinki.

— Dobry pomysł! — rzekł Kim i wetknął w ich środek kawałek papieru. — Czy masz trochę wosku, by zapieczętować ten list?

Kobieta westchnęła, a Kim złagodniał.

— Nie otrzymasz zapłaty, póki nie wyświadczysz mi przysługi. Zanieś ten orzech owemu *babu* i powiedz mu, że przysłała mu go syn czarów.

— A ino! Prawda! Prawda! Czarodziej... który wygląda na sahiba.

— Nie, syn czarów... i zapytaj go, czy będzie odpowiedź.

— Lecz jeżeli on odpowie na to grubiaństwem? Ja... ja się boję.

Kim roześmiał się.

— E, daję głowę, że jest on zanadto głodny i zmęczony. Góry ochładzają frantów. Hej, moja... — już na końcu języka miał słowo „matko”, ale zmienił je na „siostrę” — jesteś mądrą i sprytną kobietką!... W chwili obecnej pewno już wszystkie wioski wiedzą, co stało się z sahibami... hej?

— Jużci²²⁵. O północy doszły wieści do Ziglaur, a jutro rano dojdą do Kotgarh. Wszystkie wsie przejęte są zarówno gniewem, jak i trwogą.

— Zupełnie niepotrzebnie. Ogłoś po wioskach, by żywiły sahibów i pozwoliły im spokojnie iść dalej. Musimy ich po cichu wydalic z naszych dolin. Co innego kraść, co innego zabijać. *Babu* zrozumie, o co idzie, i nie będzie żadnych pokątnych donosów. Chybaj²²⁶, co żywo. Muszę pilnować mego mistrza, skoro się obudzi.

— Niechże ci będzie. A po tej przysłudze (...sam powiedziałeś...) przyjdzie zapłata. Jestem kobietą z Shamlegh i wasalką radzów, nie zaś ot taką sobie, co tylko rodzi bachory. Do ciebie należy Shamlegh i cały jego dobytek: kopyta, skóry, mleko, masło. Bierz lub nie bierz, jak ci się podoba.

Odwróciła się rezolutnie i pobrękując srebrnymi naszyjnikami tłukącymi o jej szerokie piersi, jęła iść pod górę ku porannym blaskom słońca połyskującym na wysokości tysiąca pięciuset stóp nad ich głowami. Kim, zalepiając woskiem ceratowe brzegi pakietów, rozmyślał... tym razem po hindusku:

„Idźże tu, czleku, Droga zbawienia lub za Wielką Grą, gdy ci się ustawicznie naprzykrzają kobiety! Na ten przykład, ta dziewucha w Akroli nad brodem; potem żona kuchty za gołębnikiem, już nie licząc innych... a teraz ta znowu! Można się było z tym zgodzić, póki byłem dzieckiem, ale obecnie jestem już mężczyzną, a one nie chcą uważać

²²⁵juźci a. juści (gw.) — oczywiście, pewnie. [przypis edytorski]

²²⁶chybaj (gw.) — idź. [przypis edytorski]

mnie za mężczyznę! Orzechów jej się zachciewa! Ciewy²²⁷! Ho, ho! To tyle, co migdały na równinach!”

Wyszedł na wieś, by zbierać haracze — nie z miseczką żebracza, jaka przystoi ludziom z gminu, ale z postawą iście książęcą.

Ludność Shamleghu składa się tylko z trzech rodzin, w czym cztery kobiety i ośmiu czy dziewięciu mężczyzn. Wszyscy mieli pod dostatkiem blaszanek z konserwami i najróżnorodniejszych napitków, począwszy od chininy rozpuszczonej w amoniaku, a skończywszy na okowicie, albowiem otrzymali pełny udział w nocnej zdobyczy. Wytworne płótna namiotowe wyrabiane na kontynencie zostały już dawno pocięte i porozbierane, a wały się wszędzie jeszcze tylko patentowane rondle aluminiowe. Jednakowoż mieszkańcy uważali obecność lamy za doskonałą ochronę przeciwko wszelkim następstwom niedawnego wypadku, więc bez skrupułów przynosili Kimowi, co mieli najlepszego, nie wyłączając napoju *czang* — piwa jęczmiennego sprowadzanego z Ladakh. Potem poszli grzać się na słońcu i zwiesiwszy nogi nad bezdennymi przepaściami, siedzieli, gwarząc, śmiejąc się i ćmiąc fajki. O Indiach i ich rządzie wyrokowali jedynie na podstawie znajomości z podróżującymi sahibami, którzy ich lub ich przyjaciół najmowali za *sbikarrisów*. Kim słyszał opowieści o sahibach już od dwudziestu lat leżących w grobie, jak nieraz spudłowali do kozła skalnego, do rosomaka lub żbika; każdy szczegół w tych opowieściach uwydatniał się wyraziście niby gałązki na wierzchołkach drzew widziane na tle błyskawicy. Dalej opowiadali mu o swoich małych dolegliwościach i, co najważniejsza, o dolegliwościach swego chudego, pewną nogą stąpającego bydelka; o wyprawach aż do Kotgarh, gdzie żyją cudzoziemcy misjonarze, a nawet do uroczej Simli, gdzie ulice są brukowane srebrem i każdy (uważacie!) może znaleźć służbę u sahibów, którzy jeżdżą w dwukolnych dryndulkach i sypią krociami pieniędzy.

W końcu i sam lama, dotąd posępny i mrukliwy, przywłókszy się ociężałym krokiem, przyłączył się do tej gawędy na przyzbie, a obecni dali mu poczesne miejsce w swoim gronie. Rozrzedzone powietrze orzeźwiło go, więc usadowił się pomiędzy starszyzną nad samą krawędzią otchłani, a skoro rozmowa umilkła, rzucił kamyki w bezdnie. O trzydzieści mil stąd, idąc za lotem orła, wznosiły się najbliższe grzbiety obramowane, podkreślone i pocętkowane we wszystkich wgłębieniach małymi łatkami *szczeciatych*²²⁸ regli — każda z nich była ciemnym borem, do którego przebycia potrzeba było całodziennego marszu. Poza wioską cały widok ku południowi zasłaniała góra Shamlegh; wydawało się, jak gdyby siedzieli w gniazdku jaskółczym pod krokwiami dachu wszechświata.

Od czasu do czasu lama wyciągał dłoń przed siebie i poszeptując z cicha, stłumionym głosem, wskazywał drogę do Spiti, a stąd ku północy poprzez Parungę.

— Z tamtej strony, gdzie góry zwały się najgęściej, znajduje się De-czen²²⁹ — (miał na myśli Han-lê) — wielki klasztor. Budował go s³Tag-stan-ras-czen i krąży tam o nim podanie.

Zaraz potem je opowiedział: była to fantastyczna opowieść o czarach i cudach, której całe Shamlegh słuchało z rozdziawionymi gębami. Odwróciwszy się nieco na zachód śledził zielone kopy Kulu i poszukiwał Kailungu, położonego pod lodowcami.

— Stamtąd przybyłem dawno już, dawno temu. Przyszedłem z Leh przez Baralaczy.

— Tak, tak, znamy te strony — odrzekły obieżyświaty shamleghskie.

— I spędziłem dwie noce u kapłanów z Kailung. Te góry są dla mnie prawdziwą radością! Są to mary błogosławione ponad inne mary! Tam to po raz pierwszy otworzyły mi się oczy na świat; tam dostałem łaski oświecenia, tam też przepasałem biodra swoje do podróży za cel mającej poszukiwanie. Wyszedłem z gór... z wysokich gór i od silnych wichrów. O, sprawiedliwież jest Koło życia!

Błogosławił wszystkiemu po kolei: tym wielkim lodowcom, tym nagim opokom, tym spiętrzoną zwałom gładnych²³⁰ otczaków i piargom łupkowym; bezwodnym wyżynom, ukrytym słonym jeziorom, wiekowym puszczo i urodzajnym dolinom, kędy²³¹

²²⁷ *ciewy* (gw.) — a to dopiero; też coś. [przypis edytorski]

²²⁸ *szczeciaty* — dziś: *szczeciniasty*. [przypis edytorski]

²²⁹ *De-czen* — klasztor buddyjski; po buriacku i mongolsku nazywa się *dacan*. [przypis tłumacza]

²³⁰ *gładny* — tu: usypany z gładów. [przypis edytorski]

²³¹ *kędy* (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

szumiały siklawy²³²; błogosławił jednemu po drugim, jak człek umierający błogosławił swym domownikom, a Kim dziwował się jego wzruszeniu.

— Tak... tak! Nie ma takiej krainy świata jak nasze góry! — przytakiwali ludkowie shamleghscy i jęli się dziwić, jak to można mieszkać na straszliwych, skwarnych nizinach, gdzie chadza bydło wielgachne jak słonie, które by nie wydoliło orać na zboczach górskich; gdzie, jak slychowali²³³, przez jakie sto mil bez przerwy ciągnie się wioska za wioską: gdzie włóczą się szajki rzezimieszków, a co ujdzie rąk tych łotrów, staje się lupem policji...

Tak zbiegł im spokojnie cały ranek; przed samym południem ze stromej połoniny zesunęła się wysłanka Kima, wcale nie zdyszana, jak gdyby dopiero co wyruszyła.

— Posłałem parę słów do *hakima* — wyjaśnił Kim, gdy ona składała mu ukłon.

Lama otworzył oczy szeroko.

— Więc on przystał do tych bezbożników? Ach nie, przypominam sobie, że on leczył jednego z nich. Pozyskał sobie tym zasługę, choć ów człek uleczony źle później użył swej siły. Sprawiedliwe jest Koło! Czegóż tam chciałeś od *hakima*?

— Bałem się, że odniosłeś poważniejsze potłuczenia i... i... wiedziałem, że to człek mądry... — to mówiąc, Kim wziął w rękę zalepione woskiem łupinki orzecha i na odwrotnej stronie swej zapiski odczytał następujące słowa pisane po angielsku:

„Otrzymałem dowód twojej życzliwości. Na razie nie mogę rozstać się z obecnym towarzystwem, ale muszę odprowadzić ich do Simli, po czym spodziewam się spotkać znów z tobą. Rzecz to przykra towarzyszyć gniewnym jegomościom. Wracaj tą samą drogą, którą przybyłeś, a zdybiesz mnie. Wielce jestem zobowiązany za korespondencję spełniającą moje przewidywania”.

— On powiada, o święty, że ucieknie od bezbożników i powróci do nas. Czyż więc nie zabawimy trochę w Shamlegh?

Lama spojrział długo i z miłością na swe góry, ale potrząsnął głową.

— Nie podobna, mój *chelo*. Pragnę tego sercem całym, ale mi nie wolno. Wejrzałem w przyczynę wszechrzeczy...

— Czemu? Jeżeli góry z każdym dniem wzmacniają cię na siłach?... Przypomnij sobie, jak czułeś się słabo i jak opadałeś z sił tam na nizinach, w Doon.

— Nabrałem sił po to, by czynić zło i zapominać o swych celach. W górach stałem się hałaburdą i zawiadką. — (Kim ledwo mógł się powstrzymać od uśmiechu.) — Sprawiedliwe i doskonałe jest Koło życia niezaczające ani na włos. Gdy byłem w pełni sił męskich... wiele lat temu... wybrałem się w pielgrzymkę do Guru Ch'wan zarosłego topolami — (wskazał w stronę Bhotan) — gdzie chowają świętego rumaka...

— Cichoście, cichoście! — przebiegł krzyk po całym Shamlegh, które jęło się kupić wokoło. — On mówi o Dżamli-nin-korze, rumaku, który w jeden dzień oblecieć może cały świat.

— Mówię tylko do swojego *cheli* — rzekł lama z lekkim wyrzutem, a ludziska w mig zniknęli, jak nikt nie rankiem szron na południowym podstrzeszu. — W owych dniach nie szukałem prawdy, ale jeno gwaru uczoności. Wszystko to złuda! Piłem piwo i jadałem chleb z Guru Ch'wan. Nazajutrz ktoś się odezwał: „Pójdziemy walczyć z Sangor Gutokiem w dolinie, by rozstrzygnąć (zważ, jak żądza wiąże się z popędliwością!), który przeor ma sprawować rządy nad doliną i ciągnąć zyski z pacierzy, jakie tam oni drukują w Santor Gutoku. Poszedłem i biliśmy się cały dzień.

— Ale czym, święty człowieku?

— Naszymi długimi piórnkami, jak tego o mało co nie pokazałem niedawno... Powiadam ci, walczyliśmy pomiędzy topolami, zarówno przeorowie, jak i wszyscy mnisi, a jeden rozciął mi czoło aż do kości. Przypatrz się! — (odsłonił kapelusz i pokazał srebrzystą, pomarszczoną bliznę). — Sprawiedliwe i doskonałe jest Koło żywota! Wczoraj świerzbiała mnie ta blizna; po latach pięćdziesięciu uświadomiłem sobie na nowo, w jaki sposób mi ją zadano, i stanęła mi w oczach twarz tego, który mi ją zadał; przeżyłem znów chwilę omamienia. Nastąpiło to, coś widział... uderzenie i zaślepienie. Sprawiedliwe jest Koło! Cios bezbożnika spadł na mą bliznę. Wtedy w duszy doznałem wstrząśnienia; zaćmiło mi się w duszy, a łódź mej duszy zakołysała się na falach złudzenia. Dopiero

²³²sikława (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]

²³³slychować — forma cz. przesz.: slyszec od czasu do czasu. [przypis edytorski]

gdym przybył do Shamlegh, mogłem się zastanowić nad przyczyną rzeczy i dociec biegu zakorzonego chwastu zła. Walczyłem dziś z sobą przez całą noc...

— Ależ, o święty mężu, tyś nie winien całemu nieszczęściu! Obym ja mógł być twą ofiarą!...

Kim był szczerze strapiiony smutkiem staruszka i mimo woli wymknęło mu się jedno z wyrażeń Mahbuba Alego.

— O świecie — ciągnął dalej lama o wiele poważniej, a różaniec pobrzękiwał żwawo w przerwach między powoli wlokącymi się zdaniem — przyszło oświecenie. Tutaj to... Jestem człek stary... urodziłem się, wychowałem w górach... lecz nigdy już nie osiedę wśród mych gór. Trzy lata wędrowałem po Indiach, ale... czy proch ludzki może być silniejszy od Matki Ziemi? Moje lichotne ciało tęskniło tam z nizin do gór i do śniegów górskich. Mówiłem sobie, i to jest prawdą, że poszukiwania moje nie będą bezowocne. Przeto z domu Kuluanki skierowałem się w stronę gór, dawszy się namówić samemu sobie. Nie należy tu winić *bakima*. On, folgując mej tęsknocie, przepowiedział, że góry dadzą mi siłę. Dodały mi one siłę, ale do złego, do zapomnienia o celu mych poszukiwań. Radowałem się życiem i żądzą życia. Pragnąłem wdzierać się na uciążliwe zbocza; chadzałem tędy i owędy, by je wynajdować. Mierzyłem się na siłę ciała z górami... co jest przewinieniem. Drwiłem z ciebie, gdy ci zabrakło tchu pod Dżamnotri. Żartowałem, gdy nie chciałeś przebywać śniegowisk pośród wąwozu.

— Cóż w tym złego? Ja *bałem* się naprawdę. Rzecz zrozumiała. Nie jestem górale. A za twą nową krzepkość jeno cię pokochałem.

— Pamiętam, że nieraz — tu podparł smutno dłoń policzek — dobijałem się pochwał od ciebie i *bakima* li tylko z powodu siły mych nóg. Tak grzech szedł w ślad za grzechem, aż przepełniła się czara. Sprawiedliwe jest Koło życia! Całe Indie przez trzy lata darzyły mnie wszelkimi zaszczytami. Począwszy od Krynicy Mądrości w Domu Cudów a skończywszy na... — (tu uśmiechnął się) — na małym chłopaku, co bawił się pod wielką harmatą... wszyscy udogadniali mi drogę. Czemuż to?

— Bośmy cię kochali. Ty ino²³⁴ majaczysz z gorączki po tym uderzeniu. Ja sam jestem jeszcze słaby i wstrząśnięty do głębi.

— Nie! Było to dlatego, że szedłem Drogą zbawienia... nastrojony, jak *si-nen* (cymbały), do celów zakonu. Wyłamałem się spod tego kierownictwa: melodia się urwała i nastąpiła kara. Wśród mych rodzinnych gór, na rubieży mej ojczystej ziemi, w samej krainie mej grzesznej tęsknoty, dostałem uderzenie kulakiem... tu! — to mówiąc dotknął się brwi. — Jak biją nowicjusza, gdy źle ustawia czarki, tak uderzono mnie, com był przeorem w Such-zen. Nie skarcono mnie, jak widzisz, słowem, ale czynnie, mój *chelo*.

— Ależ sahibowie nie znali cię, o mężu święty!

— Dobraliśmy się z sobą. Zaślepienie i żądza weszły w drogę zaślepieniu i żądzy, a z tego zrodził się gniew. Dla mnie, który nie jestem niczym lepszym od zbłąkanego jaka²³⁵, uderzenie to było skazówką, że nie tu jest moje miejsce. Kto potrafi odczytać przyczynę jakiegoś uczynku, jest już w połowie drogi do wyzwolenia. „Wróć na swą ścieżkę”, mówił ten cios. „Góry nie są dla ciebie. Jeżeli obrałeś zbawienie, nie możesz wlec się w kajdanach ponęt życiowych”.

— Bodajemy nigdy nie spotkali tego po trzykroć przeklętego Moskala!

— Sam nasz Pan nie może cofnąć Koła wstecz. A za zasługę, jaką sobie zdobyłem, otrzymałem jeszcze inny znak. — Włożył rękę w zanadrze i wyciągnął stamtąd Koło życia. — Przypatrz się. Po rozmyślniach zacząłem sobie z tego zdawać sprawę. Z rąk tego bezbożnika, który mi je podarł, zdołałem wyrwać w całości tylko skrawek ledwo szerokości mego paznokcia.

— Widzę.

— Taki więc skrawek życia pozostał jeszcze w mym ciele. Przez całe życie służyłem Kołu; teraz Koło mi się przysłużyło. Lecz za zasługę, jaką sobie zdobyłem, naprowadzając cię na Drogę zbawienia, będzie mi jeszcze przydany kawał żywota, póki nie znajdę swej Rzeki. Czy ci to jasne, *chelo*?

²³⁴*ino* (gw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

²³⁵*jak* — długowłosy, garbaty wół, żyjący w Tybecie. [przypis tłumacza]

Kim wlepił oczy w brutalnie zniekształconą kartę. Rozdarcie biegło ukośnie od lewej ręki ku prawej — od jedenastego przybytku, gdzie pożądlivość wydaje na świat dziecko (jak rysują Tybetańczycy) — poprzez światy ludzkie i zwierzęce aż do piątego przybytku — pustego przybytku zmysłów. Na takie rozumowanie nie było odpowiedzi.

— Zanim nasz Pan dostał łaski oświecenia — mówił lama, związując z szacunkiem rysunek — doznawał pokus. Ja też doznawałem pokus, ale już to się skończyło. Strzała spadła na niziny... nie na góry. Cóż więc tu mamy do roboty?

— Czy przynajmniej nie zaczekamy na *hakima*?

— Ja wiem, jak długo jeszcze pożyję w tym ciele. Cóż tu poradzi *hakim*?

— Ale jesteś jeszcze chory i wstrząśnięty tym, co zaszło. Nie możesz chodzić.

— Jakże mogę być chory, jeżeli widzę już wybawienie?

Podniósł się z wysiłkiem i chwiejnie.

— W takim razie muszę zebrać żywność z wioski. O, uciążliwa to droga! — Kim czuł, że i jemu potrzeba wytchnienia.

— To rzecz słuszna. Posilmy się i chodźmy. Strzała spadła na niziny... ale ja uległem tęsknocie. Spiesz się, *chelo*.

Kim zwrócił się do kobiety w turkusowym czepku, która bawiła się niefrasobliwie staczaniem kamyków ze skały. Uśmiechnęła się doń bardzo uprzejmie.

— Znalazłam go... tego *babu*... w zbożu niby zbłąkanego bawołu; parskał i kichał z zimna. Był tak głodny, że zapomniał o swej godności i prawil mi słodkie słówka. Sahibowie nie mają nic — to mówiąc, wyrzuciła przed siebie pustą dłoń. — Jeden jest bardzo chory. Czy to twoja sprawka?

Kim skinął głową, a oczy mu się zaiskrzyły.

— Mówiłam najpierw z Bengalczykiem... a potem z mieszkańcami sąsiedniej wioski. Sahibowie dostaną jadła, ile im będzie potrzeba... i ludziska nie będą od nich brać pieniędzy. Zdobyć już rozdzielono. Ten *babu* okłamuje wciąż sahibów w żywe oczy. Czemu ich on nie opuści?

— Bo ma tak wielkie serce.

— Jeszcze nie było Bengalczyka, który by miał serce większe od dziurawego orzecha. Ale mniejsza o to... A teraz pogadamy względem tych orzechów. Za przysługę winna być zapłata. Powiedziałam, że wieś należy do ciebie.

— Jakaż to dla mnie strata! — zaczął Kim. — Dopiero układałem sobie w sercu uroczne plany, że...

Nie potrzeba przytaczać komplementów, dostosowanych do tego rodzaju okoliczności. Westchnął głęboko...

— Ale mój mistrz porwany widzeniem...

— Phh! Cóż stare oczy mogą widzieć, prócz pełnej misy?

— ...chce powracać z tej wsi znów na niziny.

— Proś go, by pozostał.

Kim potrząsnął głową.

— Znam mego świątka i wiem, jak się gniewa, gdy mu się kto sprzeciwi — odparł przekonywająco. — Jego klątwa wstrząsa posady gór.

— Szkoda, że go nie uchroniła od rozbicia sobie głowy! Słyszałam, że tyś to był owym tygrysem, co poharatał sahiba. Pozwól staruszkowi jeszcze trochę pomarzyć. Zostań!

— Góralko! — rzekł Kim z powagą, która nie zdołała nadać surowości rysom jego młodej owalnej twarzy. — Te sprawy są dla ciebie nazbyt wzniosłe.

— Bądźcież nam, bogi, miłościwie! Odkądże to mężczyźni i kobiety są czym innym jak kobietami i mężczyznami?

— Kapłan jest kapłanem. *On* powiada, że pójdzie za godzinę. Ja jestem jego *chelo*, więc pójdę wraz z nim. Potrzeba nam żywności na drogę. *On* jest w każdej wiosce mile widzianym gościem, ale — tu zrobił grymas iście urwisowski — nie masz jadła jak tutaj. Daj mi trochę.

— Cóż będzie, jeżeli ci nie dam? Jestem panią tej wsi.

— Wtedy cię przeklnę... trochę... nie bardzo... ale tyle, że popamiętasz.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Jużś mnie przeklnął swą rzęsą obwisłą i zadartym podbródkiem. Phi, przekleństwo? Co mi się ta troszczyć o próżne słowa?... — i złożyła ręce na piersiach. — Ale nie

chciałabym, żebyś odchodził ode mnie zagniewany, myśląc lada co o mnie... bo choć jam tu w Shamlegh ino zbieraczka krówskiego²³⁶ nawozu i paszy, to jestem kobieta majątna.

— Nic nie myślę — odrzekł Kim — co najwyżej martwię się, że odchodzimy, bo jestem zmęczony i potrzeba nam strawy. Oto sakwa.

Kobieta porwała ją ze złością.

— Byłam głupia — odezwała się. — Jakąż masz tam dzierlatkę na nizinach? Rumianą czy czarną? Ja kiedyś byłam urodziwa. Śmiejesz się ze mnie? Kiedyś, dawno, możesz wierzyć lub nie wierzyć, podobałam się bardzo pewnemu sahibowi. Kiedyś, już dawno, ubierałam się po europejsku... tam daleko, w domu misyjnym — wskazała w stronę Kotgarh. — Kiedyś, lat temu wiele, byłam *Ker-listi* (chrześcijanką) i mówiłam po angielsku... jak sami sahibowie. Tak, tak! Mój sahib mówił, że powróci i poślubi mnie... tak, poślubi mnie. Odjechał... pielęgnowałam ci go przódziej²³⁷, gdy był chory... ale on już nigdy nie powrócił. Wtedy przekonałam się, że bogowie chrześcijan kłamią, i powróciłam do swych rodaków... Odtąd już nigdy ani nie spojrzalam na żadnego sahiba. (Nie śmiej się ze mnie. Uniesienie już przeszło, mały klecho). Twoja twarz, twój chód i twój sposób przemawiania przywiodły mi na myśl mojego sahiba, choć jesteś jeno włóczęgą-żebrakiem, któremu daję jałmużnę. Chcesz mnie przekląć? Ty nie możesz ani przeklinać, ani błogosławić! — Oparła ręce na biodrach i roześmiała się gorzko. — Twoje bogi są kłamstwem, twoje czyny są kłamstwem, twoje słowa są kłamstwem. Nie ma bogów pod żadnym niebem. Wiem o tym... Lecz przez czas jakiś wydawało mi się, że to powrócił mój sahib, a on był moim bóstwem. Tak, kiedyś grywałam na *pianno* w domu misyjnym w Kotgarh. Teraz daję jałmużnę kapłanom, co są *heatthen*²³⁸.

Zapieczetowawszy angielskim wyrazem swe przemówienie, jęła zawiązywać sakwę napełnioną po brzegi.

— Czekam na ciebie, *chelo* — ozwał się lama oparty o węgar²³⁹ dzwierz²⁴⁰.

Kobieta powiodła oczyma po jego rosłej postaci.

— Co? On chce iść! On nie ujdzie i mili! Dokądże to on chce tłuc swe stare kości?

Na to Kim i tak już zafrasowany osłabieniem lamy i przewidując ciężar sakwy, stracił zupełnie panowanie nad sobą.

— Cóż cię to obchodzi, złowieszca niewiasto, gdzie on idzie?

— Mnie nic... ale ciebie trochę, kapłanie o twarzy sahiba. Czy będziesz go dźwigał na plecach?

— Idę na równiny. Nikt nie powinien udaremniać mi powrotu. Zmagalem się był z własną duszą, aż postradałem siły. Wiotkie to ciało już dogorywa, a do nizin stąd daleko.

— Ciewy²⁴¹! — rzekła po prostu i odeszła na bok, by Kim mógł uświadomić sobie całą beznadziejność swego położenia. — Przeklnij mnie. Może to doda mu sił. Odpraw gust! Wzywaj swego wielkiego Boga! Dyc jesteś kapłanem! — odwróciła się i znikła.

Lama przysiadł niby człek kulawy, wciąż trzymając się drzwi. Gdy starzec zaniemoże, trudno, by miał w ciągu jednej nocy, niby chłopak, przyjść do siebie. Słabość pochyliła go ku ziemi, lecz oczy, które wpił w Kima, miały wyraz ożywiony i błagalny.

— Wszystko pójdzie jak z płatka — rzekł Kim. — To rozrzedzone powietrze tak cię osłabia! Za małą chwilkę wyruszymy! To choroba góraska! Ja też nieco niedomagam na żołądek... — to mówiąc, uklęknął i pocieszał go najprostszymi słowami, jakie tylko nawinęły mu się na usta.

Naraz zjawiła się kobieta, jeszcze bardziej harda niż przedtem.

— Twoje bóstwa na nic się nie zdały, hę? Spróbujże moich. Ja to jestem kobietą z Shamlegh.

²³⁶krówski — krowi. [przypis edytorski]

²³⁷przódziej — wcześniej. [przypis edytorski]

²³⁸pianno (...) heatthen — mieszkańcy Indii, używając wyrazów angielskich, mają zwyczaj podwajania głosek. Wyrazy tu przytoczone brzmią po angielsku *piano* (fortepian) i *heathen* (poganin). [przypis tłumacza]

²³⁹węgar — element architektoniczny stanowiący wzmocnienie ościeżnicy w otworze okiennym a. drzwiowym oraz służący uszczelnieniu otworu, wysunięcie ściany wzdłuż pionowej krawędzi. [przypis edytorski]

²⁴⁰dzwierze (daw.) — drzwi. [przypis edytorski]

²⁴¹ciewy (gw.) — też coś; a to dopiero. [przypis edytorski]

Krzyknęła schryplym głosem, na ten zew wyszli ze strągi²⁴² dwaj jej mężowie oraz trzech innych chłopów, niosąc *dooli*, domorosłą lektykę góralską, jakiej używają do przenoszenia chorych i do wizyt urzędowych.

— Te bydlęta — nie była łaskawa nawet na nich spojrzeć — są na twe usługi, dopóki będziesz ich potrzebował.

— Ale my nie pójdziemy na Simłę. Nie chcemy zadawać się z sahibami! — zawołał pierwszy z małżonków.

— Oni nie uciekną jak tamci ani nie ukradną bagażu. Tych dwóch znam jako ludzi słabowitych. Stańcie przy tylnych dragach, Sono i Taree.

Uśluwali w mig.

— A teraz się schylcie i wsadźcie tego męża świętego do lektyki. Aż do waszego powrotu będę pilnowała wsi i waszych cnotliwych małżonek.

— Kiedyż wrócimy?

— Zapytaj kapłanów. Nie nudź mnie. Worek z jadem połóżcie w nogach, żeby była lepsza równowaga.

— O święty, twoje góry są uczynniejsze od naszych nizin! — zawołał Kim z ulgą, gdy lama wtoczył się do lektyki. — Toć to istic królewskie łoże... siedlisko szczytu i wygody. A zawdzięczamy to...

— Złowieszczej niewieście! Tak mi potrzeba twych błogosławieństw, jak mi było potrzeba twych przekleństw. Stało się to na *mój* rozkaz, a nie za twym staraniem. Podnieście lektykę i... wio! Chodź no tutaj! Czy masz pieniądze?

— Nie potrzebuję niczego — rzekł Kim z gniewem, zamiast okazać wdzięczność. — Już i tak jestem obciążony twymi dobrodziejstwami.

Spojrzała nań z dziwnym uśmiechem i złożyła mu rękę na ramieniu.

— Podziękujże mi przynajmniej. Jestem góralka i twarz mam nieładną, ale jak sam się wyrażasz, zdobyłam sobie zasługę. Czy mam ci pokazać, jak sahibowie okazują wdzięczność — i czy jej zawzięte nabrały łagodniejszego wyrazu.

— Jestem ino²⁴³ wędrownym klechą — rzekł Kim, podnosząc oczy w odpowiedzi. — Tobie nie potrzeba ani moich błogosławieństw, ani klątw.

— O nie... Lecz pozwól na chwilkę... możesz i tak dziesięcioma rączymi krokami dogonić *dooli*... *gdybyś* ty był sahibem, czyż trzeba by ci było pokazywać, co masz czynić?

— A cóż by było, gdybym przecie się domyślił? — rzekł Kim i opasawszy ramieniem jej kibić, ucałował ją w policzek, dodając po angielsku:

— Dziękuję ci bardzo, moja droga!

Całusy są Azjatom zgoła nieznanne i to zapewne było powodem, że kobieta cofnęła się, otwierając oczy szeroko i całą twarzą wyrażając przestrah.

— Na przyszy raz — mówił Kim dalej — nie powinnaś tak ufać swym kapłanom pogańskim.

Wyciągnął do niej rękę zwyczajem angielskim; ona uściśnęła ją odruchowo.

— Do widzenia, moja droga.

— Do widzenia i... i... — przypominała sobie wyrazy angielskie jedne po drugich — ty powrócisz znów do mnie? Do widzenia i... niech Bóg cię błogosławi.

W pół godziny później, gdy skrzypiąca lektyka chybotwała się i trzęsła na górskiej ścieżynie prowadzącej z Shamlegh na północo-wschód, Kim spostrzegł małą postać, co stała u wrót szałas, wymachując białą płachtą.

— Ona zdobyła zasługę większą niż inni — ozwał się lama. — Albowiem wyprawienie człowieka w drogę ku wyzwoleniu jest w połowie równe zasłudze, jaką by zyskała, gdyby sama odnalazła tę drogę.

— Umm! — ozwał się Kim w zadumie, rozmyślając nad tym, co się stało. — Być może, że i ja zdobyłem zasługę... Przynajmniej nie obchodziła się ze mną jak z dzieckiem.

Poprawił sobie suknię na piersi, gdzie spoczywała paka dokumentów i map, zapakował na nowo drogocenną sakwę z żywnością u stóp lamy, oparł się ręką o krawędź lektyki i przystosował się do powolnego chodu postępujących małżonków.

— Oni też zdobywają sobie zasługę — ozwał się lama, gdy już przebyli trzy mile.

²⁴²*strąga* — zagroda do dojenia owiec w górach. [przypis edytorski]

²⁴³*ino* (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Nie dość na tym, bo zapłacę im srebrem — odrzekł Kim.

Pieniądze te dała mu kobieta z Shamlegh, a chłopak wyrozumiał sobie, że rzeczą jedynie przyzwoitą będzie wypłacić je z powrotem jej mężom.

ROZDZIAŁ XV

Cesarzowi samemu nie ustąpiłbym miejsca,
Królom z drogi nie zeszedłbym precz,
Przed Zwierzchnikiem Kościoła nie uchyliłbym czoła!
Ale teraz — to inna wszak rzecz!

Nie chcę walczyć przeciwko napowietrznym Potęgom —
Przejdź mu dajcie, odźwierni gwardziści!
Most zwodzony niech spadnie: boć tu nami On władnie²⁴⁴,
Ów marzyciel, co w prawdę sen iścił.

Dwieście mil na północ od Chini, wśród sinych łupków Ladakhu, czatuje wesoly człek, sahib Yankling, wypatrując zawzięcie lunetą po górskich grzbietach, czy nie ujrzy choć śladu swego ulubionego tropiciela — człowieka z Ao-chung. Tymczasem ów zaprzaniec uzbrojony nowym karabinem systemu Mannlichera i dwustu nabojami chadza sobie kędyś daleko, polując, jako dostawca, na piźmowce... a sahib Yankling dowie się w następnym kwartale, jaki to był niegodziwiec.

Dolinami Bushahr pospiesza pewien Bengalczyk, niegdyś otyły i zdrową mający cerę, dziś wychudły i wyniszczony niepokodą; dalekowzroczne orły himalajskie zbaczają z drogi na widok jego niezwyklego parasola zdobnego w pasy błękitne i białe. Niedawno zacny ten człowiek otrzymał wiele podziękowań od dwóch dostojnych cudzoziemców, których nie bez zręczności przeprowadził do tunelu Machobra, skąd wiedzie droga do wielkiej i wesolej stolicy Indii. Nie było to jego winą, że zmylony wilgotnymi mgłami, ominął stację telegraficzną i kolonię europejską w Kotgarh. Nie było też jego winą, ale winą bogów, o których rozprawiał tak zajmująco, że wprowadził obu swych towarzyszków w granice Nahanu, gdzie miejscowy radza wziął ich przez pomyłkę za zbiegów z wojska angielskiego. Hurree Babu zaczął tedy opowiadać, jak wielkimi i sławnymi osobistościami byli jego towarzysze w swym własnym kraju, aż nareszcie rozjaśnił lice ociężałego królika. Głosił też to każdemu, kto go zapytał — wielokrotnie — buńczucznie — na różne sposoby. Napraszał się jadła, starał się o wszelkie wygody, dowodził, że zręcznie niczym felczer potrafi wyleczyć ból w pachwinie... ból od uderzenia wywołany stoczeniem się w ciemności ze zbocza górskiego, zasypanego złomem... słowem, był nieoceniony w każdej rzeczy. Uzasadniona jego życzliwość sprawiła, że darzono go zaufaniem; wszak on, wraz z milionami uciemienionych braci, nauczył się uważać Rosję za wielką wybawicielkę z Północy. Był zaś człowiekiem bojaźliwym. Przerażało go to, że nie potrafił uchronić swych znakomitych dostojników przed gniewem wzburzonego chłopstwa. Jemu samemu byłoby wszystko jedno, obić czy nie obić jakiegoś tam świątka, ale... Był pełen głębokiej wdzięczności i szczerzej radości, że uczynił choć tę troszkę, która była w jego mocy, by ich odważne przedsięwzięcie uwieńczyć (pominąwszy utratę bagażu) pomyślnym skutkiem. O uderzeniach już zapomniał i zaprzeczał temu, jakoby miały go spotkać jakiekolwiek cięgi w ową nieszczęsną pierwszą noc pod sosnami. Nie domagał się ani zapłaty, ani wynagrodzenia służbowego, lecz — jeżeli poczytują go za godnego — czy nie byłiby łaskawi napisać mu zaświadczenia? Mogłoby mu się to bardzo przydać później, jeżeliby po nich jeszcze inni (ich przyjaciele) przechodzili przez wąwozy. Prosił, by pamiętali o nim i na przyszłość, gdy dobiją się wysokich godności, gdyż „wnosił delikatnie”, że on sam, właśnie on — Mohendro Lal Dutt, magister sztuk wyzwolonych uniwersytetu w Kalkucie, „oddał państwu pewne przysługi”.

No i dali mu zaświadczenie, w którym chwalili jego uprzejmość, usłużność i nieomylną zręczność w roli przewodnika. Włożył je do kalety i zaszlochał ze wzruszenia: wszak przeżyli razem tyle niebezpieczeństw! W samo południe poprowadził ich przez

²⁴⁴władnie (daw.) — dziś popr. forma: władza. [przypis edytorski]

rojne podcienia simlańskie do Simlańskiego Banku Związkowego, gdzie chcieli uzyskać potwierdzenie swej tożsamości. Odtąd on już gdzieś znikł niby ranny obłok na Dżakko.

Patrzcie no! Oto ubrany za wykwintnie, by miał się pocić, zanadto spiesząc się, by miał zachwalać lekarstwa w małej skrzynce o mosiężnych skuwkach, wstępuje na zboczce Shamlegghu ten człek, sprawiedliwy w całej doskonałości. Przypatrzcie Się, jak pozbył się swego *babuństwa* i siadłszy na tapczanie, kurzy sobie fajkę, korzystając z poobiedniej pory, a tymczasem jakaś kobieta w czepcu wysadzonym turkusami wskazuje ręką na południowy wschód, hań za te gołe hale. Lektyka (tak ci powiada ta niewiasta) nie wędruje tak prędko, jak człek idący w pojedynkę, ale te ptaki, które on ściga, pewnikiem już są na nizinach. Święty mąż nie chciał tu dłużej popasać, choć Lispeth nalegała nań gorąco... *Babu* wzdycha ciężko, przepasuje znów swe potężne lędźwie i rusza w dalszą drogę. Nie myśli wcale podróżować po zapadnięciu zmierzchu; natomiast marsze, jakie odbywa w ciągu dnia (nie masz nikogo, kto by uwiecznił je w księdze), zdumiałyby ludzi, którzy drwią sobie z jego rasy. Uprzejmi wieśniacy, pamiętając dobrze dakkańskiego olejkarza sprzed dwóch miesięcy, udzielają mu schronienia przed złymi duchami leśnymi. Tam śni o bogach bengalskich, o uniwersyteckich podręcznikach naukowych, o Towarzystwie Królewskim, o Londynie i Anglii. Nazajutrz o świcie dyndający się biało-niebieski parasol idzie znów dalej.

Na rubieży Doon, w sporej odległości od Mussoorie, a przed sobą mając równiny rozpościerające się w złotej poświeli²⁴⁵ słonecznej, odpoczywa stara lektyka, w której (wiadomo o tym w całych górach) leży stary lama szukający rzeki zbawienia. Wioski były się niemal z sobą o zaszczytne prawo noszenia tej lektyki, bo nie dość, że lama obdarzał ich błogosławieństwami, ale i uczeń płacił sownie pieniędzmi — aż trzecią część tego, co płacą sahibowie. *Dooli* przebywała dwanaście mil dziennie, o czym świadczą zatłuszczone i wytarte końce jej drągów, i to drogami, którymi pójdzie mało który sahib. Szła ona przez wąwóz Nilang w czasie zadymki, gdy tuman śniegowy wciskał się w każdy fałd chałatu niewrażliwego lamy; szła pośrodku czarnych turnic Raiengu, gdzie spomiędzy chmur słyszeli świst kozicy; czepiała się i słała po oślizgłych lupkach; podtrzymywano ją silnie ramieniem i zaciśniętą szczęką, gdy okrążano okropne zakręty gościńca kutego w skałe pod Bhagirati; bujała i skrzypiała w jednostajnym żółwym pochodzie podczas schodzenia w Dolinę Wód; przyspieszała biegu na oparnych gładzinach onej kotliny i znów szła w górę i w górę na samą grań, by natknąć się na huczące fujawice²⁴⁶ nadlatujące od Kearnathu; w godzinach południowych przysiadła w szarawym półmroku błogich lasów dębowych; szła niestrudzenie od wioski do wioski w mroźne przedświty, kiedy nawet ludziom nabożnym można było darować, że przeklinali niecierpliwych świętków, lub też przy blasku pochodni, gdy nawet człowiekowi nielekliwemu przywidzą się upiory... *dooli* szła i szła, aż oto przybyła na miejsce ostatniego postoju. Chudziny-górale, cali spocony od łagodnego skwaru niższych Sewalików, skupiają i się dokoła kapłanów, czekając należnego im błogosławieństwa i zapłaty.

— Zyskaliście zasługę — mówi lama. — Zasługę większą, niż możecie pojąć. I powrócicie do gór... — tu westchnął.

— Jużci²⁴⁷. Aby ino²⁴⁸ prędzej do tych wysokich gór!

Tragarz rozciera sobie łopatki, żłopie wodę, znów ją wypluwa i przezuwa²⁴⁹ słomiane łapcie. Kim (twarz ma zmęczoną i wychudłą) płaci tą odrobiną grosiwa, którą ma w kalcie, wytacza z lektyki sakwę z żywnością, chowa jakowyś pakiecik ceratowy (są w nim święte pisma) za pazuchę i pomaga lamie stanąć na nogi. Oczy starca odzyskały znów spokój i nie lęka się on już, by góry spadły i przygniotły go sobą, jak się obawiał w ową straszną noc, gdy zostali zatrzymani przez wezbraną rzekę...

Górale podnoszą *dooli* i znikają między kępami zarośli.

Lama wznosi rękę w stronę, kędy sterczy wyniosły mur Himalajów.

— Nie pośród was, o przebłogie góry, upadła strzała naszego Pana! Nigdy już, nigdy nie będę oddychał waszym powietrzem!

²⁴⁵poświeta — dziś: poświata. [przypis edytorski]

²⁴⁶fujawica a. dujawica (gw.) — zadymka, zawierucha śnieżna. [przypis edytorski]

²⁴⁷juźci a. juści (gw.) — oczywiście; pewnie. [przypis edytorski]

²⁴⁸ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

²⁴⁹przezuwać — poprawiać obuwie; zakładać raz jeszcze obuwie. [przypis edytorski]

— Ależ w zdrowym powietrzu tutejszym staniesz się dziesięciokrotnie silniejszy — mówi Kim, bo do jego stęsknionej duszy przemawiają urodzajne, pogodne niziny. — Tak, tutaj lub gdzieś w tych okolicach upadła owa strzała. Będziemy iść pomału, może jedną *kos* dziennie, bo poszukiwanie jest niezawodne, natomiast wór bardzo mi cięży.

— Tak, nasze poszukiwanie jest niezawodne. Pozbyłem się wielkiej pokusy.

Odtąd już nigdy nie uszli więcej jak dwie mile dziennie, a Kim dźwigał na barkach cały ich ciężar — brzemię ciała staruszka, brzemię ważkiej sakwy naładowanej żywnością i zamkniętymi tekami, pakiet pism złożony na sercu, a wreszcie wszelkie trudy dotyczące zwykłych porządków dziennych. O świcie chodził po prośbie i rozścielał derki dla lamy oddanego rozmyślaniom; w czasie skwaru poobiedniego trzymał na swych kolanach jego utrudzoną głowę i odganiał muchy, póki nie zabolą go w przegubie; wieczorami znów zebrał i rozcierał lamie stopy, za co ów odwdzięczał mu się obietnicą rychłego wyzwolenia... dziś, jutro lub co najdalej pojutrze.

— Nie było jeszcze nigdy takiego *cheli*. Powątpiewam niekiedy, czy Ananda wierniej niańczył naszego Pana. I tyżes jest sahibem? Gdy byłem w pełni sił męskich... dawno temu... zapomniałem o tym. Teraz często ci się przypatruję i wciąż sobie przypominam, żeś ty jest sahibem. To rzecz dziwna.

— Sam przecież mówiłeś, że nie uznajesz różnicy między czarnymi i białymi. Czemuż mi dokuczasz taką mową, o święty? Pozwól, że ci rozetrę drugą nogę. To mi sprawia przykrość. Ja nie jestem sahibem. Jestem twoim *chela* i czuję, że głowa cięży mi na ramionach.

— Jeszcze trochę cierpliwości! Obaj razem dostąpimy wyzwolenia. Wtedy na przeciwnym brzegu Rzeki będziemy, i ja, i ty, poglądać wstecz na nasze żywoty, jak w górach spoglądaliśmy na drogę przebytą w ciągu dnia. Może i ja kiedyś byłem sahibem.

— Przysięgnę, że nie było nigdy sahiba, co by był tobie podobny.

— Jestem przekonany, że opiekun wizerunków w Domu Cudów był w poprzednim życiu bardzo uczonym Opatem. Lecz nawet jego okulary nie dodają siły memu wzrokowi. Gdy patrzę dłużej, jakieś cienie spadają na moje oczy. Mniejsza z tym... znamy się już na psotach nędznego i głupiego cielska... które jest jeno cieniem zmieniającym się w inne cienie. Jestem jeszcze skrępowany złudą czasu i przestrzeni. Jak daleko zaszliśmy dziś naszym ciałem?

— Z jakie pół *kos*.

Trzy ćwierci mili — a i to było podróżą wielce uciążliwą.

— Pół *kos*... Ha! Duchem przebyłem dziesięćkroć razy tysiąc tysięcy. O, jakżeśmy wszyscy oplątani, skrępowani i spowici tymi błahostkami! — spojrzął na chudą dłoń pokrytą sinymi żyłkami, która z taką trudnością odnajdowała paciorki różańca. — *Chelo*, czy nie pragniesz kiedy mnie opuścić?

Kimowi przyszedł na myśl pakiet ceratowy oraz księgi spoczywające w sakwie. Jeżeli tylko człek jakiś, należycie do tego upoważniony, mógł go uwolnić od tych szpargałów, byłoby mu już zgoła obojętne, jakby tam potoczyła się Wielka Gra. Był zmęczony i w głowie go paliło, a kaszel dobywający się aż z głębi brzucha dręczył go okropnie.

— Nie — rzekł prawie surowo. — Nie jestem psem ani zmiją, by kasać, gdy nauczo mnie kochania.

— Jesteś dla mnie zanadto tkliwy.

— Wcale nie. Jedną sprawę rozstrzygnąłem, nie zasięgając twej rady. Przez tę kobietę, która dała nam dziś rano koziego mleka, posłałem parę słów do kobiety z Kulu, donosząc, żeś trochę zasłabł i że przydałaby się lektyka. Sam siebie biczuję w duchu za to, że tego nie uczynił wtedy, gdyśmy wchodzili do Doon. Pozostaniemy na tym miejscu, póki nie nadejdzie lektyka.

— Rad jestem temu. Ta kobieta ma złote serce, jak sam powiadasz, ale gadulska... oj, kawał gaduły!

— Nie będzie ci się naprzykrzała. Postarałem się i o to. O święty, serce mnie bardzo boli, że tyle razy nie myślał o tobie! — Spazmatyczny kurcz chwycił go za gardło. — Chodziłem z tobą za daleko; nie zawsze zdobywałem ci dobre jedzenie; nie zważałem na

upał; zagadywałem ludzi po drodze i zostawiałem cię samego... Ja też... ja... *Hai mai!* Ale ja cię kocham... i to już wszystko za późno... Byłem dzieckiem... O, czemuż nie byłem mężczyzną!

Zmożony wysiłkiem, zmęczeniem i ciężarem nie na swoje lata, Kim runął, szlochając do stóp lamy.

— Na co te płacze? — ozwał się lama łagodnie. — Przecież nigdy ani na włoskę nie odstąpiłeś od drogi posłuszeństwa. Tyś o mnie nie dbał? Dziecino, toż ja żyłem twą siłą, jak stare drzewo żyje dzięki spojeniom nowego podmurowania. Od czasu zejścia z Shanglegh dzień po dniu kradłem ci twe siły. *Dlatego* to, a nie z winy jakiegoś twojego grzechu jesteś tak osłabiony. To jeno ciało... głupie, niedołążne ciało... przemawia teraz przez ciebie... a nie ufności pełna dusza. Nabierz otuchy. Poznaj przynajmniej moce czartowskie, z którymi walczysz; zrodzone są z ziemi... są dziećmi uludy. Pójdziemy do niewiasty kuluńskiej. Ona pozyska zasługę przez to, że nas ugości, a szczególnie, że będzie mnie pielęgnować. Ty pohaszasz sobie swobodnie, póki znów siły nie powrócą. Zapomniałem o głupim ciebie; jeżeli to zasługuje na naganę, biorę ją na siebie... atoli zanadtośmy już blisko bram zbawienia, by sobie ważyć naganę. Mógłbym cię chwalić, ale czy to potrzebne? Maluczko... maluczko, a znajdziemy się tam, gdzie już nie ma potrzeb.

Toteż hołubił i pocieszał Kima mądrymi przypowieściami i arcygłębokimi sentencjami dotyczącymi tego mało pojętnego stworzenia, jakim jest nasze ciało, które, będąc tylko marą, uporczywie udaje duszę, powodując zaćmienie Drogi i nieskończone rozmnażanie się niepożądanych biesów.

— Hej! hej! Pogwartzmy sobie o kobiecie z Kulu. Czy przypuszczasz, że ona znów będzie prosić o jakieś czary dla swych wnuków? Gdym był silnym mężczyzną (a było to dawno), dokuczwały mi fochy takie i owakie, więc udałem się do pewnego przeora... był to człek wielce świątobliwy i poszukiwacz prawdy, choć mi o tym nie było wiadomo. Usiądź i słuchaj, o dziecie mej duszy! Opowiedziałem mu swoje dzieje, a on na to: „Zakarbij sobie to w pamięci, mój *chelo!* Na świecie jest wiele kłamstwa i niemało kłamców, ale z wyjątkiem wrażeń cielesnych nie ma gorszych kłamców jak nasze ciała”. Rozważając to, doznałem ukojenia, on zaś w dowód wielkiej łaski pozwolił mi pić herbatę w swej obecności. Pozwól mi teraz napić się herbaty, bo mam pragnienie.

Kim, śmiejąc się przez łzy, ucałował stopy mistrza i zakrzętał się koło przyrządzenia herbaty.

— Ty opierasz się na mnie swym ciałem, o święty, ale ja opieram się na tobie w innych sprawach. Czy wiesz o tym?

— Może się domyśliłem — rzekł lama, mrugając oczami. — Musimy to zmienić.

Przeto gdy wśród bójek, zwad i gorączkowego nastroju służby przejętej ważnością spraw przytarabanił się... cóż by innego jak ulubiony palankin sahiby poprzedzany przez tegoż ochmistrza, starego, szpakowatego Oriasa?... i skoro na koniec dostali się w niestateczny stateczek wydłużonego białego dworu, w ustroniu za Saharunpore — lama rozważył już, co mu czynić wypada.

Sahiba, powitawszy go, odezwała się wesoło z okna na pięterku:

— I na cóż się zdadzają rady dane starcowi przez starą kobietę? Mówiłam ci... *mówiłam* ci, o święty, ażebyś pilnował swego *cheli*. Jakaś się z tego wywiązał? Wcale nie potrzebujesz mi odpowiadać! *Ja* już wiem. Biegał za kobietami. Przypatrzył się jego oczom... jak mu wpadły i zakłęśły... a ta zdradliwa rysa od nosa w dół! Wylazło szydło z worka! Fe, fe! I to ma być kapłan!

Kim, nazbyt zmęczony, by móc się uśmiechnąć, podniósł oczy i potrząsnął głową na znak zaprzeczenia.

— Nie żartuj z niego — rzekł lama — Te czasy już minęły! Byliśmy zajęci ważniejszymi sprawami. W górach chwyciła mnie choroba duszy, jego zaś choroba ciała. Od owej chwili żyłem jego siłą... objadałem go...

— Obaj jesteście dzieciaki... młody i stary... — parsknęła stara jejmość, ale dała już spokój nowym żartom. — Oby terażniejsza gościna wróciła wam siły. Zatrzymajcie się na chwilę, a przyjdę do was pogawędzić o kochanych wysokich górach.

W porze wieczornej (jej zięć już był powrócił, więc nie potrzebowała chodzić wokoło i doglądać gospodarstwa) doszła do samego sedna rzeczy i jęła się wywnętrzać półgłosem przed lamą. Obie stare głowy poczęły kiwać się poważnie ku sobie. Kim już przedtem

powłókł się do pokoju, gdzie znajdowało się wyrko, leżał jak długi i spał jak kłoda. Lama nie pozwolił mu rozkładać derek ani przynosić jadła.

— Wiem... wiem. Kto jak nie ja? — trąkotała stara. — My, którzy już zstępujemy ku pogrzebnym popieliskom, chwytamy za ręce tych, którzy wychodzą znad rzeki żywota z dzbanami pełnymi wody... tak, dzbanami pełnymi po brzegi. Skrzywdziłam tego chłopaka. On więc używał ci siły? Prawda to, że stary zjada co dzień młodego. Powinniśmy go teraz pokrzepić.

— Zdobyłaś już wielokrotnie zasługę...

— Moja zasługa?... jakąż tam znowu? Cóż z tego, że ten stary worek kości przyrządza potrawy ludziom, którzy nawet nie zapytają: „Kto to zgotował?”. No, gdyby to zastawić memu wnukowi...

— Temu, którego bolał brzuszek?

— Pomyśleć, że też święty człowiek jeszcze o tym pamięta! Muszę to opowiedzieć jego matce. Toć to nadzwyczajny zaszczyt! „Ten, którego bolał brzuszek!”... jak święty człowiek to pamięta!... Ona będzie dumną z tego.

— Mój *chela* jest dla mnie tym, czym jest syn dla człowieka nieoświeconego.

— Powiedz raczej: wnuk. Matki nie mają jeszcze mądrości właściwej naszym latom. Jeżeli dziecko beczy, powiadają, że niebo się wali. Zaś babka, którą dość czasu dzieli od boleści porodu i od rozkoszy karmienia, potrafi wymiarkować, czy płacz pochodzi li tylko ze złości czy parcia w żołądku. A skoro znów mówisz o rozdęciu brzuszka, to może za ostatnią bytnością twoją u nas, mężu święty, obraziłam cię, domagając się czarów.

— Sostro — rzekł lama, nazywając ją tym mianem, jakim posługują się niekiedy mnisi buddyjscy w przemówieniach do mniszek — jeżeli czary są ci pomocne...

— Są lepsze niż dziesięć tysięcy doktorów.

— Powiadam więc, jeżeli są ci one pomocne, tedy ja, były przeor w Such-zen, zrobię ci ich tyle, ile zapagniesz. Nie widziałem nigdy twego oblicza...

— O, *temu* mogłyby być rade nawet małpy, które nam kradną pomarańcze. He, he, he!

— Lecz, jak słusznie powiedział ten, który tam śpi — tu ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi pokoju gościnnego po drugiej stronie podwórza — ty masz naprawdę złote serce... A on jest mi w duchu prawdziwie „wnuczkiem”.

— Dobrze! Więc ja jestem krową świętego męża — był to zwrot hinduistyczny²⁵⁰, ale lama nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. — Jestem stara. Z ciała swego urodziłam synów. O, kiedyś umiałam podobać się ludziom! Teraz umiem ich leczyć. — (Lama usłyszał brzęk jej naramienników, jak gdyby zakasywała ręce, przygotowując się do roboty.) — Wezmę chłopca do siebie, będę mu dawała lekarstwa, pakowała w niego jedzenie, aż doprowadzę go do zdrowia. Hej! hej! Jeszcze my starzy przydamy się na coś w świecie!

Dlatego to, gdy Kim obolały we wszystkich stawach otworzył oczy i chciał udać się do izby czeladnej, by przyrządzić strawę dla swego nauczyciela, przekonał się, że otoczono go srogim rygorem, a jakaś stara, zakwefiona postać stojąca przy drzwiach w asyście szpakowatego sługi oznajmiła mu, jakich to rzeczy nie wolno mu robić.

— Musisz mieć... nie powinieneś mieć niczego. Co znowu? Zamkniętą skrzynkę, w której masz trzymać święte księgi? O, to całkiem inna sprawa. Niech mnie niebo uchowa, żebym miała odrywać kapłana od jego ksiąg! Przyniosą ci ją, a ty będziesz miał klucz u siebie...

Wsunęła mu pod tapczan kuferek, a Kim z westchnieniem ulgi zamknął w jego wnętrzu pistolet Mahbuba, ceratowy pakiecik z listami oraz teki i dzienniki. Z jakiejś niedorzecznej przyczyny mniejszym były mu one ciężarem dla ramion niż dla biednej łepetyny. Z ich powodu po całych nocach odczuwał ból w karku.

— Taka choroba, jak twoja, nieczęsto przytrafia się tegoczesnej młodzieży... odkąd młodziki przestały darzyć starszych pieczołowitością. Środkiem na nią jest sen i pewne lekarstwa — tak mówiła sahiba; a Kim z całą lubością oddawał się bezczynności, która była dlań jednocześnie przyczyną lęku i ukojeniem.

Przesiadując w tajemniczej izbie, która w domu Azjatów odpowiada destylarni, sahiba gotowała przedziwne odwary... iście końskie lekarstwa, co miały woń odrażającą,

²⁵⁰ *hinduizm* — religia hinduska, politeistyczna, oparta na pojęciach kastowych. [przypis tłumacza]

a smak jeszcze gorszy. Stała nad Kimem, dopóki wstępowały one w niego, a następnie badała go aż do znudzenia, gdy z niego wystąpiły. Na podwórzu rzuciła tabu²⁵¹, a chcąc wzmocnić skuteczność tegoż, ustawiła ponadto zbrojnego pacholka. Prawda, że ów miał siedemdziesiąt lat z okładem, że jego miecz schowany w pochwie kończył się na rękojeści, w każdym razie jednak był wyobrażeniem władzy sahiby, a tym samym utrzymywał w przyzwoitej odległości od owego miejsca wszelkie ładowne wozy, gadatliwą służbę, cielęta, psy, kury i tym podobną gawieź. Na domiar wszystkiego, gdy ciało Kima się przeczyściło, wyszukała z całej masy biednych krewnych zaludniających czworaki dworskie — takie osobki nazywają u nas brysiami podwórzowymi — wyszukała więc wdowę po ciotecznym bracie, doświadczoną w tym, co nie znając się na rzeczy Europejczycy nazywają masażem; po czym obie kobiety, położywszy go w kierunku od wschodu na zachód (ażeby tajemne prądy ziemskie, przenikające glinę naszego ciała, mogły pomagać, a nie przeszkadzać), skubały go po kawałku przez całe długie popołudnie — kość po kości, ścięgno za ścięgnem, staw po stawie, a na koniec i nerw za nerwem. Ugnieciony na jakąś nieokreśloną miazgę, na wpół zahipnotyzowany ciągłym chwianiem się i poprawianiem niewygodnych *chudderów* zasłaniających im oczy, Kim uleciał na dziewięć tysięcy mil w krainę snu... Trwał ów sen trzydzieści sześć godzin, a wsiąkł w duszę Kima jak deszcz po długiej posusze.

Potem jęła²⁵² go odżywiać, a cały dom aż zadudniał od jej nawoływań. Kazała zabić kurczęta, posłała po jarzyny, a poważny, wolno myślący ogrodnik, prawie tak stary jak ona, zwijał się jak piskorz w ukropie; brała korzenie, mleko, cebulę, a także małe rybki z potoków — niebawem zaś cytrynki do *szerbetu* (chłodnik turecki), przepiórki świeżo schwytane w sidła, potem wątróbki kurczące na drewnianych szpikulcach, obłożone imbirem pokrajanym w plasterki.

— Widziałam i ja trochę świata — mówiła, stojąc nad pozastawianymi tacami — i przekonałam się, że są na nim dwa rodzaje kobiet: takie, które pozbawiają mężczyznę siły, i takie, co mu znów jej dodają. Niegdyś należałam do pierwszych, teraz zaś do drugich. Nie... nie udawaj klechy przede mną! Był to tylko żart z mej strony. Jeżeli teraz nie zrobi ci się dobrze, to w każdym razie później, gdy znów wyruszysz w drogę. Kuzynko — zwróciła się do ubogiej krewniaczki, która nieznużenie wysławiała swą opiekunkę za jej miłosierdzie — jego skóra nabrała połysku skóry końskiej świeżo wyczyszczonej zgrzeblem. Nasza praca podobna jest do szlifowania drogich kamieni... w tym celu, by je później rzucić tancerce... he?

Kim siadł i uśmiechnął się. Straszliwa słabość spadła zeń niby zdarty bucik. Świerzbiał go znów język do swobodnej pogawędki, a przecież dopiero tydzień temu najmniejsze słówko szło mu jak po grudzie. Ból w karku (musiał go się nabawić od dźwigania lamy) ustąpił bez śladu wraz z ciężkimi bólami febrycznymi i gorzkim posmakiem w ustach. Obie staruszki, troszkę bardziej teraz uważające na swe welony, gdały sobie wesoło jak te kwoczki, co dziobiąc ziarna weszły przez otwarte drzwi do pokoju.

— Gdzie jest mój świętek? — zapytał Kim.

— Słyszycie go!... Twój święty ma się dobrze! — fuknęła gniewnie. — Chociaż nie jest to *jego* zasługą. Gdybym znała jakieś czary, od których by on zmądrzał, sprzedałabym wszystkie me drogocności, byle je kupić. Gdy ktoś gardzi doskonałymi potrawami, które sama gotowałam... gdy przez dwie noce błąka się na czczo po polach... i w końcu wpada do strumienia... ty nazywasz to świętością? A potem, gdy omal nie skruszył tej resztki mego serca, jaka pozostała po tych obawach o ciebie... opowiada ci mi on najspokojniej, że zdobył zasługę. O jakże są jednacy wszyscy mężczyźni! Nie, to nie tak było... on opowiada, że jest zbawiony od wszelkiego grzechu. *Ja* mogłabym mu powiedzieć to samo, zanim jeszcze przemoczył się do suchej nitki! Obecnie czuje się całkiem dobrze... owa przygoda zdarzyła się tydzień temu... ale niech gromy biją taką świętobliwość! Trzyletni smarkacz lepiej by sobie postąpił. Nie obruszaj się na świętego. Wpatruje się wciąż w ciebie jak w tęczę... o ile nie brodzi po naszych strumieniach.

²⁵¹*tabu* — wyraz polinezyjski, oznacza urok, wyodrębnienie rzeczy świętych lub przeklętych, coś jakby czarowane koło. [przypis tłumacza]

²⁵²*jęć* (daw.) — zacząć; tu: forma 3 os.łp r.ż.: *jęła* (zaczęła). [przypis edytorski]

— Nie pamiętam, bym go tu widział. Pamiętam jeno, że dnie i noce migały mi to białe, to czarne, niby otwierająca się i znów zamykająca zaporą. Nie byłem chory. Byłem tylko zmęczony.

— Był to letarg, jaki siłą rzeczy przychodzi w kilkadziesiąt lat później. Lecz obecnie już to przeszło.

— *Maharanee* (królowo)... — zaczął Kim, lecz spojrzawszy w jej oczy, zastąpił ten przydomek nazwaniem pełnym tkliwej miłości: — matko, zawdzięczam ci życie. Jakże ci się wywdzięczę? Dziesięć tysięcy błogosławieństw na twój dom i...

— Dom ten nie jest błogosławion... — (Nie podobna przytoczyć dosłownie wyrażenia starej jejmości). — Bogom, jeżeli ci się podoba, dziękuj po kapłańsku, ale mnie, jeśli ci o to chodzi, dziękuj jak syn matce. O niebiosa nad nami! Czyż na tom cię piastowała, przebierała, na tom klepała i miętosila każdy z dziesięciu palców na twych nogach, byś w zamian cisnął parę zakłęb na moją głowę? Przecież musiałeś mieć kiedyś matkę, co cię urodziła ku swemu utrapieniu? Na cóżeś ty jej się przydał... synku?

— Nie miałem matki, moja matko — odrzekł Kim. — Opowiadano mi, że umarła, gdy byłem młody.

— *Hej-mej!* Wobec tego nikt nie powie, że jej odebrała jakiekolwiek prawa macierzyńskie, jeżeli... gdy ruszysz znów w podróż, a ten dom będzie tylko jednym z tysiąca domów, w których gościłeś, by później puścić je w niepamięć, rzuciwszy im naprędce błogosławieństwo. Ale to fraszka. Mnie nie potrzeba błogosławieństwa, tylko... tylko... — tupnęła nogą na biedną krewniczkę — Odnieś te tace do mieszkania! Na cóż ty trzymasz w pokoju zatęchłe jedzenie, ty złowieszcza babo!

— Ja... ja t... też miałam kiedyś syna, ale zmarł niebożatko! — jęła chlupać schylona postać siostrzana, okryta zasłoną. — Wszak wiesz, że umarł! Czekałam tylko na rozkaz, bym mogła zabrać tacę.

— To ja jestem złowróbną babą!... — rozbeczała się ze skrucłą stara gospodyni. — My, które już zstępujemy do *chattrisów*²⁵³, z całej siły chwytamy tych, którzy niosą *chatti*²⁵⁴. Gdy już nie można płaszać na zabawie, trzeba poprzestawać na wyglądanu przez okno, a niańczenie wnuków staje się całym zajęciem kobiety. Twój mistrz daje mi wszelkie czary, jakich tylko teraz zażądam dla pierworodnego syna mej córki, ponieważ... czy tak?... jest wolny zupełnie od grzechu. *Hakim* bardzo podupadł ostatnimi czasy, a w braku lepszych pacjentów truje mi ciągle moją służbę.

— Jaki to *hakim*, matko?

— Ten sam dakkańczyk, co dał mi tę pigułkę, która o mało co nie rozdarła mnie na trzy części. Przywłókł się tu przed tygodniem niby zbłąkane wielbłądzisko, klnąc się na wszystkie świętości, żeś ty z nim żył jak z bratem rodzonym przez całą drogę do Kulu, i udaje, że się wielce niepokoi o twe zdrowie. Był bardzo wycieńczony i zgłodniały, więc dałam rozkaz, żeby go napasiono... jego i jego niepokój...

— Chciałbym się z nim widzieć, o ile on się tu znajduje.

— On tu jada pięć razy dziennie i przecina wrzody moim chłopom, by uchronić się od apopleksji. Tak jest pełen obawy o twe zdrowie, że ciągiem tkwi jak przylepiony koło drzwi kuchennych i napycha się ochłapami. On tu jeszcze posiedzi; nigdy nie zdołamy go stąd wykurzyć.

— Przyślij go tu, matko — Kim mrugnął okiem, które mu zabłysło z radości — a spróbuję tego dokazać.

— Przyślę go, lecz wypędząć go byłoby dowodem wielkiej niewdzięczności. Miał on przynajmniej tyle przytomności, że wyłowił świętego ze strumienia i zdobył sobie zastugę... choć święty tego *nie* powiedział...

— Jest to *hakim* wielce uczony. Przyślij go, matko.

— Kapłan wychwala kapłana? Co za dziwo? Jeżeli on ci jest jakimś kmotrem (darliście z sobą koty, gdyście tu byli za ostatnim razem), przyciągnę go tu postronkami i... i dam mu potem obiad, jak przystoi jego kaście, mój synu... Wstawaj i spojrzij na świat! Ta

²⁵³*chattri* — wielki parasol nad krematorium, gdzie kapłani odprawiają ostatnie obrzędy. [przypis autorski]

²⁵⁴*chatti* — dzban na wodę; kobieta ma tu na myśli młodzieńców pełnych życiowego rozmachu, ale koncept jest niezręczny. (Obj. Kiplinga.) Przenośnia, tu zastosowana, ponieważ przypomina polskie przysłowie: „Dopóty dzban wodę nosi...”. [przypis tłumacza]

bezczyność, ta mitręga na barłogu jest matką siedemdziesięciu diabłów... mój synu! Mój synu!

Podreptała na dwór, by rozpuścić całą burzę w izbie czeladnej, a niebawem tuż za jej cieniem wtoczył się *babu* udrapowany płaszczem zarzuconym na barki, niby u jakiegoś cesarza rzymskiego, opasy na gębie niczym Tytus, z odsłoniętą głową, obuty w nowe buciki z patentowanej skóry — słowem w całym rozkwicie dobrobytu i tuszy, rozlewny w radości i w powitaniach.

— Na Jowisza, panie O'Haro, ależ ja *jestem* nad wyraz szczęśliwy, że cię widzę. Pozwolisz, że zamknę drzwi. Szkoda, że jesteś chory. Czy bardzo źle się czujesz?

— Papiery... papiery z *kilty*. Mapy i *murasla!* — i niecierpliwie podał mu klucz, gdyż obecnie jedynym pragnieniem, jakie miał w duszy, było pozbyć się zdobyczy.

— Masz całkowitą słuszność. Co to znaczy być człowiekiem! Zdobyłeś co?

— Wziąłem wszystkie rękopisy, jakie były w *kilcie*. Resztę rzuciłem w przepaść.

Posłyszał zgrzyt klucza w zamku, kleiste trzeszczenie rozdieranej z wolna ceraty i szybkie szeleszczenie papierami. W ciągu beczynnych dni przewlekłej choroby dręczył się bez najmniejszego uzasadnienia świadomością, że one tam leżą pod nim... jako ciężar, którego nie podobna zanieść na miejsce przeznaczenia. Toteż zatętniła mu krew w całym ciele, gdy Hurree, czyniąc słoniowate podrygi, zatarł znów ręce.

— To ślicznie! O przesłicznie, panie O'Haro! Tyś... Ha, ha, ha!... tyś mi dychnął cały wór różnych szachrajstw... wszystkie ich materiały i tajniki... wszystko, jak się patrzy! Zwierzali mi się, że ośmiomiesięczna robota poszła na marne! Na Jowisza, jak mnie oni tłukli!... Patrz, oto list od radży Hilàs! — wyrecytował parę wierszy pisanych językiem dworu perskiego, bo tą mową posługuje się urzędowa i nieurzędowa dyplomacja na Wschodzie. — Mości radża sahib już wdepnął w pułapkę. Będzie musiał się tłumaczyć, czemu to, u kroćset diabłów, pisuje listy miłosne do cara. A tu jakie doskonałe mapy... a oto kilku ministrów z tych krajów też dało się uwikłać w tę korespondencję. Na Boga, *sar!* Rząd angielski zmieni prawo następstwa tronu w Hilàs i Bunàr i zamianuje nowych dziedziców korony. „Co robisz zdra-dziecko, to najbardziej nieprawe²⁵⁵... ale ty nie rozumiesz, hę?

— Czy już masz w rękach te szpargały? — zapytał Kim, którego poza tą jedyną myślą nic nie obchodziło.

— Może chcesz się ze mną założyć, czy je mam? — i powtykał wszystko, co znalazł, w przestwory swych szat dokoła całego ciała, jak to umieją tylko ludzie Wschodu. — Co więcej, wszystko to już idzie do biura. Stara jejmość myśli, że będę tu wiekuiście przyklepą; tymczasem ja wyruszę z całą zdobyczą prosto, jak strzelił — i to natychmiast. Pan Lurgan będzie dumny. Urzędo-ownie jesteś moim podwładnym, ale ja wspomnę o tobie w raporcie ustnym. My Bengalczycy odznaczamy się dokła-adnością wiadomości.

Szasnął kluczem i pokazał puste dno skrzynki.

— Dobrze. Dobrześ zrobił. Byłem bardzo zmęczony. Mój święty też chorował. Podobno wpadł do...

— Oo tak! Jestem mu z całej duszy przyjacielem, słowo ci daję. Gdym przybył tu za wami, on zachowywał się jak ostatni dziwak, więc mi przychodziło na myśl, że może to on przechowuje te papiery. Towarzyszyłem mu w czasie rozmyślań, po trosze w tym celu, by roztrząsać kwestie et-tnologiczne. Jak widzisz, jestem tu teraz mało znaczącą osobistością wobec jego przeróżnych czarów. Na Jowisza, O'Haro, czy wiesz, że on miewa czasem parokszymy?... i to kat-taleptyczne, jeśli nie epileptyczne! W takim stanie zdybałem go raz pod drzewem *in articulo mortis*²⁵⁶; naraz podskoczył i dalejże brnąć przez strumień... gdyby nie ja, byłby się utopił. Wyciągnąłem go na brzeg.

— To dlatego, że mnie tam nie było! — rzekł Kim. — On przecie mógł umrzeć.

— Tak, niewiele mu brakowało... ale teraz już się wysuszył i utrzymuje, że przeżył transfigurację. — Tu *babu* stuknął się znacząco w czoło. — Z jego dowodzeń porobiłem wyciągi dla Towarzystwa Królewskiego... *in posse*²⁵⁷. Musisz czym prędzej wyzdrowieć i przyjechać do Simli, a u Lurgana opowiem ci wszystkie swe przygody. Pyszny był to

²⁵⁵ *Co robisz zdra-dziecko, to najbardziej nieprawe* — Hurree Babu, wielki zawsze amator kalamburów, wyraża to z kiepską po angielsku: *Trea-son most base*, [tj.] czyniąc ze zdrady (*treason*) syna (*son*). [przypis tłumacza]

²⁵⁶ *in articulo mortis* (łac.) — w obliczu śmierci; tu: w stanie przedśmiertnym. [przypis edytorski]

²⁵⁷ *in posse* (łac.) — potencjalnie. [przypis edytorski]

kawał. Nogawki spodni zdarły się im *doszczętnie*, a stary radża Nahan wziął ich za zbiegłych żołnierzy europejskich.

— Aha! Ci Moskale? Dokądże to oni trzymali się ciebie?

— Jeden z nich był Francuzem. Ach, byłoż tych dni i dni, i dni! Teraz cała ludność górską jest święcie przekonana, że wszyscy Moskale są ostatnimi dziadami! Na Jowisza! Nie było takiej mordęgi, jakiej bym ich nie nabawił! A com naopowiadał ludziom prostym... ach, *jakie* bujdy i dykterie! Opowiem ci to wszystko, gdy zawitasz do starego Lurgana. Będziemy mieli o czym gadać... ach!... przez noc całą! Mamy się obaj czym szczyścić! Taak... a oni mi jeszcze za to wydali list uwierzytelniający! Ależ to wyśmienity psikus! Trzeba ci było ich widzieć, jak stwierdzali swą tożsamość w Banku Związkowym! Dzięki Wszechmocnemu, że tak pięknie zdobyłeś te papiery! Teraz nie ba-ardzo się śmiesz, ale będziesz się śmiał, gdy wyzdrowiejesz. Teraz idę wprost na kolej i... wio! Odniesiesz z tej gry swojej wiele różnych korzyści. Bardzośmy z ciebie dumni, choć nabawiłeś nas wielkich strachów. Tyczy się to zwłaszcza Mahbuba.

— A jakże, Mahbub! Gdzież on teraz bawi?

— Sprzedaje konie tu w sąsiedztwie... jakżeby inaczej?

— Tutaj? Po co? Mów powoli. W głowie mi się jeszcze wciąż kręci.

Babu skromnie spuścił w dół oczy.

— No widzisz, ja jestem człek bojaźliwy i boję się odpowiedzialności. Ty, widzisz, byłeś chory, a ja nie wiedziałem gdzie, do kroćset diasków, znajdują się papiery i ile ich ta jest. Toteż ledwom tu przybył, wysłałem poufny telegram do Mahbuba (był właśnie w Meerut na wyścigach) i opowiedziałem mu, jak rzeczy stoją. On w te pędy przyjeżdża z ludźmi, pokumał się z lamą, potem nazwał mnie durniem i był bardzo opryskliwy...

— Ale z jakiejże przyczyny?

— Właśnie o to *ja* się pytam. Ja tylko miałem to na myśli, że jeżeli ktoś ukradł te papiery, to przydałoby mi się kilku mocnych i dzielnych chłopca, by wywalczyć je z powrotem. Sam wiesz, że są one niezmiernie ważne, a Mahbub Ali nie wiedział, gdzie ty się znajdujesz.

— Mahbub Ali miał splądrować dom sahiby? Zwariowałeś, *babu!* — ozwał się Kim z oburzeniem.

— Potrzeba mu było papierów. A przypuśćmy, że ona je skradła? Był to pomysł jedynie praktyczny, *moim* zdaniem. Nie podoba ci się... hę?

Przysłowie ludowe — nie dające się powtórzyć — ujawniło całą krańcowość odmiennych zapatrywań Kima.

— No, niech ci będzie! — rzekł Hurree, ruszając ramionami — trudno tu liczyć się z gu-ustem. Mahbub też się rozeźlił. Posprzedawał tu naokoło wszystkie swe konie, a powiada, że stara jejmość jest *pukka* (mocno, tego, całkiem) starego pokroju i nie dopuściłaby się tak nieszlachetnych sprawek. *Ja* o to nie dbam. Zdobyłem papiery i byłem rad moralnej pomocy ze strony Mahbuba. Powtarzam ci, że jestem człek bojaźliwy, ale im większego mam pietra, zawsze tak czy inaczej wpadam w gorsze tarapaty. Dlatego to cieszyłem się, że poszłicie ze mną do Chini, a teraz cieszę się, że Mahbub był tuż koło mnie. Stara jejmość często odnosi się w sposób wielce grubiański do mnie i moich świetnych pigulek.

— Niechże się Allah zmiłuje! — rozweselił się Kim wsparty na łokciu. — Jakąż to dziwną bestyją jest taki sobie *babu!* I ten to człowiek szedł sam jeden... jeżeli szedł... w towarzystwie dwóch obrabowanych i rozjuszonych cudzoziemców!

— Oo! To był-ło błahostką... skoro mnie już zaprzestali bić. Ale gdybym zgubił papiery, byłaby to sprawa nader poważna. Mahbub o mało co też mnie nie obił, a potem poszedł do lamy i bez końca świecił mu bakę²⁵⁸. Odtąd już poświęcę się całkiem badaniom etnologicznym. A teraz do widzenia, panie O'Haro. Przy dobrym pośpiechu zdążę jeszcze na pociąg odjeżdżający do Umballi o 4.25 po południu. Będzie to beczka śmiechu, gdy zejdziemy się u pana Lurgana i zaczniemy opowiadać nasze przygody. Lepiej może, gdybym zameldował cię oficjalnie. Do widzenia, kochany mój koleżko, a na przyszły raz, gdy cię porwie pas-sja, bądź łaskaw nie używać wyrażań mahometańskich, mając na sobie strój tybetański.

²⁵⁸świecić bakę (daw.) — schlebiać, nadskakiwać komuś. [przypis edytorski]

Uściskał mu dwukrotnie prawicę — prawdziwy *babu* po same obcasy — i otworzył drzwi. Zaledwie na jego jeszcze triumfującą twarz upadły promienie słoneczne — przeobraził się z powrotem w skromnego olejkarza dakkańskiego.

„On ich złupił... — myślał Kim, zapominając o własnym uczestnictwie w tej grze. — Wywiódł ich w pole! Łgał im w żywe oczy, jak to potrafi Bengalczyk. Oni mu dali *czit* (zaświadczenie). Kpił sobie z nich, choć mógł lada chwila przypłacić to życiem (ja za nic w świecie nie poszedłbym do nich po owej strzelaninie z pistoletów)... A mimo tego on powiada, że jest człowiekiem bojaźliwym. Muszę wydostać się znowu na świat”.

Zrazu nogi mu się ugięły jak kiepskie cybuchy, a struga powietrza rozedrganego blaskami słonecznymi prawie go oszołomiła. Przykucnął pod bielonym murem i jął rozpamiętywać bezładnie zdarzenia z czasów długiej podróży na *dooli*; przychodziły mu na myśl wszystkie zasłabnięcia lamy, następnie zaś, gdy przeminęło podniecenie wywołane rozmową, rozczulił się nad sobą samym, do czego, jak każdy chory, bardzo był teraz skłonny. Rozpętana myśl rwała się na wszystkie strony jak nieujeżdżony koń, co raz ukłuty ostrogą, narowił się od niej. Wystarczyło mu, aż nadto wystarczyło, że zdobyczna zawartość *kilty* już nie była w jego rękach ani pod jego opieką... że poszła sobie precz. Próbował myśleć o lamie... dociec, w jakim celu rzucił się do strumienia... lecz wielkość świata widzianego przez podwórzowe furty zatarała wszelkie skojarzenia myśli. Wówczas jął się przyglądać drzewom i rozległym niwom, kędy wśród zbóż dostałych²⁵⁹ kryły się chałupy posypte słomą... przyglądał się zdziwionymi oczyma, niezdolnymi pojąć rozmiarów, ustosunkowań i przeznaczenia poszczególnych przedmiotów... Wytrzeszczał tak oczy w cichości przez dobre pół godziny. Przez cały ten czas doznawał uczucia — niedającego się wyrazić słowami — że dusza jego zatraciła łączność ze swym otoczeniem... była takim sobie kółkiem zębataym niepołączonym z żadną maszynią, zupełnie jak to leżące beczynninie w kącie koło zębate od lichej sieczkarni beheeańskiej, która służyła do miażdżenia trzciny cukrowej. Wachlowały go wietrzyki, papużki go nawoływały, tuż za nim rozbrzmiewały hałasy ludnego domostwa: kłótnie, rozkazy i wymyślania... wszystko to na próżno uderzało o jego niby martwe uszy.

„Jestem Kim. Jestem Kim. A kimże jest Kim?” — powtarzała jego dusza raz po raz, bez ustanku.

Nie miał ochoty beczeć (nigdy w życiu nie odczuwał nawet potrzeby wybeczenia się) — ale naraz ni stąd ni zowąd zaczęły mu ciec po nosie niewymuszone, dziecinne łzy i poczuł, że kółka jego istoty z prawie dosłyszalnym tyktaniem²⁶⁰ jęły zaczepiać się na nowo o świat zewnętrzny. Przedmioty, które przed chwilą mknęły niby niedorzeczne majaki przed jego żrenicą, teraz wróciły do właściwych celów i wymiarów. Zaczął zdawać sobie sprawę, że drogi są na to, by nimi chodzić, domy na to, by w nich mieszkać, bydło — by je gnać, pola — by je uprawiać, a mężczyźni i kobiety — by z nimi gwarzyć. Wszystko to stało się prawdziwe i rzeczywiste... silnie postawione na nogach... całkiem zrozumiałe... z tej samej, co on, gliny — ni mniej ni więcej... Otrząsnął się, jak pies ukąszony w ucho przez pchłę i dunął w świat przez furtę. Sahiba, której bacznemu wzrokowi nie uszły te wagary, rzekła na to:

— Niechże se idzie. Zrobiłam, co do mnie należało; matka Ziemia powinna dokonać reszty. Gdy mąż święty wróci z rozmyślań, opowiedzcież mu o tym.

O jakie pół mili dalej, na wzgórk, stał pusty wasąg²⁶¹, do jakich zaprzęgają bawoły — oparty o młode drzewo figi indyjskiej, które stało tu niejako na straży ponad kilku świeżo zoranymi spłachciami roli. W miarę, jak Kim zbliżał się ku niemu, zaczęły mu coraz bardziej ciężać żrenice skąpane w łagodnym powietrzu. Gleba tu była dobra, czysta i sypka — nie była to młoda ruń, która żyjąc, obumiera już na poły, lecz pełen nadziei pył, który kryje w sobie zarodki wszelkiego życia. Czuł go między palcami swych nóg, głaskał go dłońmi, aż na koniec, układając wśród rozkosznych westchnień członek za członkiem, legł jak długi w cieniu wasąga zbijanego drewnianymi kółkami.

A macierz-Ziemia była tak wierna jak sahiba. Przesycała go swym tchnieniem, by przywrócić mu równowagę, którą był utracił, leżąc tak długo na tapczanie, w odcięciu od jej dobroczynnych prądów. Głowa jego spoczęła bezwładnie na Jej piersi, a rozłoży-

²⁵⁹*dostały* (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

²⁶⁰*tyktanie* — dziś: tykanie. [przypis edytorski]

²⁶¹*wasąg* — wóz używany na wsi zarówno do przewozu osób, jak towarów. [przypis edytorski]

ne ręce poddawały się Jej sile. Silnie rozgałęzione drzewo nad jego głową²⁶², a nawet to martwe, przez człowieka ociosane drewno, znajdujące się tuż przy nim, wiedziało, czego Kim poszukiwał, choć on sam sobie tego nie uświadamiał. Leżał tak godzinę za godziną pogrążony w bezruchu głębszym od snu.

Pod wieczór, gdy kurz wzbity przez powracające bydło przesłonił szarymi kłębami cały widnokrąg wokoło, nadciągnęli lama i Mahbub Ali, obaj pieszo. Szli z wolna i uważnie, bo w domu opowiedziano im, gdzie podążył chłopak.

— Allah! Co za głupi pomysł tak się bawić na otwartym polu! — mruzczał koniarz. — Mogli go tu zastrzelić ze sto razy... ale to nie pogranicze!

— Dodam — mówił lama, powtarzając po raz setny jedną i tę samą śpiewkę — że nigdy nie było takiego *cheli*. Wstrzemięźliwy, łagodny, rozsądny, nieżywiący zawiści, wesoly w drodze, pamiętający o wszystkim, uczony, prawdomówny, uprzejmy. Wielka będzie jego zapłata.

— Znam tego chłopca... Jużem o tym mówił.

— I miał on te przymioty?

— Niektóre... ale nie znam jeszcze takiego czaru twojego, Czerwony Kapeluchu, który by go uczynił całkowicie prawdomównym. Zapewne go tu dobrze pielęgnowano.

— Sahiba ma złote serce — rzekł lama poważnie. — Ona czuwa nad nim jak nad rodzonym synem.

— Hm! Pół Hindu (Indii), zdaje się, podziela jej uczucie. Ja ze swej strony chciałbym się tylko przekonać, że chłopakowi nie stało się nic złego i że działał na własną rękę. Jak ci wiadomo, byłem mu z dawna przyjacielem, jeszcze w początkach waszej wspólnej pielgrzymki.

— To właśnie jest węzłem pomiędzy nami — mówił lama, siadając. — Jesteśmy już u kresu pielgrzymki.

— Nie sobie masz to do zawdzięczenia, że twoja pielgrzymka nie zakończyła się raz na zawsze... tydzień temu. Słyszałem, co ci powiedziała sahiba, gdyśmy cię przynieśli do łóżka.

Mahbub roześmiał się i szarpnął świeżo malowaną brodę.

— Rozmyślałem wówczas o innych sprawach. To *hakim* dakkański przerwał mi rozmyślenia.

— W razie przeciwnym — (powiedział to w języku *pashtu*, gwoli²⁶³ przyzwoitości) — zakończyłbyś swe rozmyślenia w smolnych czeluściach piekła... bo przy całej dziecięcej prostocie jesteś niewierny i bałwochwalca. Ale cóż teraz począć, Czerwony Kapcylińdrze?

— Oto jeszcze tej nocy — wychodziły z wolna słowa drgające triumfem — oto jeszcze tej nocy on będzie, tak jak i ja, wolny od wszelkiej zmazy grzechu... i opuściwszy to ciało, będzie, tak jak i ja, pewny wyzwolenia od Koła Zjawisk. Mam znak — tu złożył obie ręce na piersi, gdzie w zanadru spoczywało rozdarte malowidło — że moje życie potrwa już niedługo, ale jego powinienem zabezpieczyć na całe lata. Przypomnij sobie, że pozyskałem Świadomość... jakem ci to opowiadał przed trzema dniami.

— Musi być prawdą to, co powiedział kapłan w Tirah, gdym wykradł żonę jego kuzyna... żem jest *sufi* (wolnomysłny). Bo, jak tu siedzę... — mówił Mahbub do siebie, upajając się bluźnierstwami niedającymi się pomyśleć — ...pamiętam tę opowieść. Sądząc więc z tego, on pójdzie do *Dżanatu l'Adn* (ogrodów rajskich). Ale teraz? Czy chcesz go zabić, czy utopić go w tej cudownej rzece, z której wyciągnął cię *babu*?

— Nie wyciągano mnie z żadnej rzeki — rzekł lama prostodusznie. — Zapomniałeś, jak to się stało. Znalazłem ją dzięki Świadomości.

— Ach, tak! Prawda — bełkotał Mahbub miotany pospołu wielkim oburzeniem i niebywałą wesołością. — Wyszedł mi z pamięci dokładny przebieg całego zdarzenia. Tyś znalazł ją świadomie.

— A mówić, że chcę mu odebrać życie, jest... nie grzechem, ale po prostu szaleństwem. Mój *chela* pomógł mi odnaleźć tę rzekę, zatem ma prawo obmyć się z grzechu... wraz ze mną.

²⁶²silnie rozgałęzione drzewo — figa indyjska (*banyan*) odznacza się niebywałą długością gałęzi [przypis tłumacza]

²⁶³gwoli (daw.) — dla; w celu. [przypis edytorski]

— Tak, jemu potrzebne jest oczyszczenie. Ale potem, staruszk, cóż potem?
— Cóż ci na tym zależy, o nieba! On jest już pewny Nibbanu... oświecony jak i ja.
— Dobrze mówisz. Bałem się, że on może dosiadzie Mahometowego rumaka i uleci na koniec świata.

— Nie... on powinien iść w świat jako nauczyciel.

— Aha! Teraz widzę, o co idzie! Niezła to przechadzka dla tego źrebięcia. Jużci, że powinien iść w świat jako nauczyciel. Na ten przykład bardzo by się przydał jako pisarz w służbie państwowej.

— Do tego zawodu go przysposabiano. Zdobyłem sobie zasługę tym, że dałem nieco grosza na jego kształcenie. Dobry czyn nie idzie na marne. On w zamian pomagał mi w moich poszukiwaniach, ja zaś w jego zachodach. Sprawiedliwe jest Koło, o handlarzu koni z północy. Niech sobie będzie nauczycielem czy pisarzem... o cóż ci chodzi? I tak w końcu uzyska wyzwolenie. Reszta jest mamidłem.

— O co chodzi? Przecież muszę go mieć przy sobie przez sześć miesięcy za Balkh! Przybyłem tu z dziesięciu kulawymi szkapami i trzema barczystymi chłopami... za przyczyną tego tchórzliwego *babu*... ażeby przemocą wyrwać chorego chłopaka z domu starej kobyły. Zdaje się, że doczekam się tego, iż za sprawą starego Czerwonego Kapcyindra młody sahib zostanie uniesiony do jakiegoś tam (Allahowi to jeno wiadomo) pogańskiego nieba... i pomyśleć, że uważano mnie w Grze za niebyle jakiego partnera. Ale ten wariat kocha tego chłopca, a ja też chyba musiałem do cna postradać zmysły!

— Co to za modlitwa? — zagadnął lama, gdy chropawa gwara *pashtu* burczała w gęstwie czerwonej brody.

— O, to zgoła nic ważnego; ale odkąd zrozumiałem, że chłopak, pewny raj, może wstąpić w służbę rządową, zrobiło mi się lżej na duszy. Muszę się udać do swych koni. Już robi się ciemno. Nie budź go. Nie pragnę słyszeć, że nazywa cię on swym mistrzem.

— Ależ on jest naprawdę mym uczniem. Jakżeby nie?

— Opowiadał mi o tym — odrzekł Mahbub, tłumiąc w sobie uczucie nudy i powstał, śmiejąc się. — Wyznaję zgoła inną wiarę niż ty. Czerwony Kapcyindrze... jeżeli taka błahostka cię obchodzi.

— To nic — rzekł lama.

— Myślę, że nic. Przeto cię to nie wzruszy, człowiecze bezgrzeszny, świeżo wymyty i w dodatku o mało nie utopiony, gdy nazwę cię poczciewiczem... wielkim poczciewiczem. Nagadaliśmy się z sobą przez cztery czy pięć wieczorów, a choć jestem szkapowłókiem, to jednak potrafię, jak to mówią, dojrzeć świętość poza końskimi kulasami; ba, nawet potrafię wymiarkować, czemu to Przyjaciel całego świata przede wszystkim tobą się tak zajmuje. Obchodź się z nim dobrze i pozwól mu puścić się znów w świat jako nauczycielowi, skoro... oplotcesz mu już nogi, jeżeli to ma być odpowiednią kuracją dla tego źrebięcia.

— Czemu nie pójdziesz sam drogą zbawienia, by w ten sposób towarzyszyć chłopcu?

Mahbub wybałuszył oczy zdumiony niezwykle bezczelnością tego zapytania, za które po drugiej stronie granicy zapłaciłby czymś więcej niż uderzeniem. Wnet jednak cała zabawność słów powyższych poruszyła jego zgoła świecką duszę.

— Pomalutku... pomalutku... jedną nóżką na raz, tak jak doszedł do celu kulawy wałach na wyścigach w Umballi. Wolę dość do raj, nieco później... tymczasem mam jeszcze wiele zajęć... wielkie wyprawy... i zawdzięczam je twojej prostoduszności. Tyś nigdy nie kłamał?

— Na cóż się to przyda?

— Słuchaj go, o Allachu! „Na cóż to się przyda”... na tym świecie, który stworzyłeś?... I nigdy nie wyrządziłeś nikomu krzywdy?

— Raz... i to piórnikiem... zanim jeszcze doszedłem do rozumu.

— Tak? Mam o tobie tym lepsze wyobrażenie. Twoje nauki są dobre. Zawróciłeś pewnego znajomego mi człowieka z drogi niesnasek — tu roześmiał się na całe gardło. — Człek ten przybył tu w szczerym zamiarze dopuszczenia się *dacoity* (rozboju). Taki chciał rznąć, grabić, zabijać i uprowadzać, czego dusza zapagnie.

— Jakże wielka to głupota!

— O! I do tego niestarta hańba! Tak sobie pomyślał ów człowiek, gdy zobaczył się z tobą... i z kilku innymi osobami, zarówno rodzaju męskiego jak i żeńskiego. Przeto poniechał tego zamiaru, a teraz postanowił obić sążnistego²⁶⁴ a miąższego²⁶⁵ *babu*.

— Nie rozumiem.

— Uchowaj, Allachu! Niektórzy ludzie mocni są rozumem, Czerwony Kapcylinrze, ale twoja moc jeszcze więcej znaczy. Zachowaj ją... sądzę, że to uczynisz. Jeżeliby chłopak niedobrze ci służył, natrzyj mu porządnie uszu.

To rzekłszy, Pathan obcisnął na sobie szeroki pas bokhariocki i junacko zadarłszy głowę, zaczął się oddalać w wieczornym półmroku; lama na tyle zstąpił ze swych obłoków, że dostrzegł jeszcze jego rozrosłe plecy.

— Temu człowiekowi brak oglady, a przy tym daje się on uwodzić majakom pozorów. Ale mówił dobrze o moim *cheli*, który właśnie dostąpi nagrody. Trzeba zmówić pacierze... Zbudź się, o najszcześniejszy z synów niewieścich! Zbudź się! Znalazło się, czegośmy szukali!

Kim jął wydobywać się z onych bezdennych czeluści, a lama posłyszał jego rozkoszne ziewanie; strzyknął palcami, by odpędzić złe duchy.

— Spałem ze sto lat. Gdzie...? O święty, czy od dawna tu jesteś? Wyszędłem, by cię poszukać! Ale... — uśmiechnął się ociężale — zasnąłem po drodze. Jestem już zdrów jak ryba. Czyś co jadł? Chodźmy do domu! Już od wielu dni nie opiekowałem się tobą. A czy sahiba żywiła cię porządnie? Kto nacierał ci nogi? Jak tam z twoimi dolegliwościami: żołądkiem, karkiem i szumem w uszach?

— Przeszło... wszystko przeszło. Czy nie wiesz?...

— Nie wiem o niczym, prócz tego, że nie widziałem cię przez małpie lata²⁶⁶. Co mam wiedzieć?

— Dziwne, że wiadomość ta nie dotarła do ciebie, gdy wszystkie myśli moje ku tobie były skierowane.

— Nie potrafię dostrzec twej twarzy, ale głos twój rozbrzmiewa jak gong. Czy sahiba odmłodziła cię swymi smakołykami?

Świdrował oczyma przykucniętą postać, co czarną jak smoła sylwetą rysowała się na tle żółtawej poświatli. W takiej postawie siedzi kamienny Bodhisat, który patrzy z pogardą na patentowane, automatyczne drzwi obrotowe w muzeum lahorskim...

Lama zachowywał spokój. Otuliła ich i spowiła łagodna, mgława cisza indyjskiego wieczoru, przerywana jedynie chrzęstem różańca oraz cichnącym tupu-tupu stóp oddalającego się Mahbuba.

— Posłuchaj mnie! Przynoszę nowinę...

— Ale chodźmy...

Wyciągnęła się długa, żółta ręka, nakazując milczenie. Kim posłusznie zwinął nogi pod rąbek swej szaty.

— Posłuchaj mnie! Przynoszę nowinę! Poszukiwanie skończone. Teraz nadchodzi zapłata... A mianowicie. Gdyśmy byli wśród gór, żyłem z twej siły, aż młoda gałązka zgięła się i omal nie złamała. Gdyśmy wyszli z gór, niepokoiłem się o ciebie i o inne sprawy zawarte w moim sercu. Łódź mej duszy pozbawiona była kierownictwa; nie umiałem wejrzeć w Przyczynę Rzeczy. Przeto powierzyłem cię całkowicie tej cnotliwej niewieście. Nie przyjmowałem pokarmu, nie piłem wody... ale jeszcze nie obaczył Drogi. Zaczęto mnie zmuszać do jadła i robiono hałas pod zamkniętymi drzwiami mego pokoju... więc przeniosłem się do jamy pod pewnym drzewem. Nie brałem pokarmu, nie piłem wody, jenom przesiedział na rozmyślaniu dwa dni i dwie noce, odrywając myśl od rzeczy doczesnych, wdychając i wydychając powietrze według wymaganego sposobu... W drugą noc (tak wielką była ma nagroda) rozumna dusza odłączyła się od nierozumnego ciała i poszła swobodnie. Takiego stanu nigdy jeszcze nie osiągnął, chociażem już stał na jego przedprożu. Rozważ to dobrze, boć to cud!

— Cud w istocie! Dwa dni i dwie noce bez pożywienia! Gdzież była sahiba? — ozwał się Kim, westchnąwszy.

Zbawienie, Wiedza,
Nauczyciel, Uczeń, Droga,
Rzeka

²⁶⁴*sążnisty* — ogromny; por. *sążeń*: daw. miara długości, równa ok. 2 m. [przypis edytorski]

²⁶⁵*miąższy* (daw.) — gruby, tłusty. [przypis edytorski]

²⁶⁶*małpie lata* — zwrot taki mniej więcej, jak nasz „ruski miesiąc”. [przypis tłumacza]

— Tak! Moja dusza uleciała swobodnie na wolność i kołując niby orzeł przekonała się niezbitcie, że nie było wcale ani lamy Teshoo, ani zgoła innej duszy. Jak kropla ciągnie ku wodzie, tak moja dusza coraz to zlewała się w jedno z Wielką Duszą, która jest poza wszelkim jestestwem... W ową chwilę, uniesiony zachwyceniem, widziałem cały Hind od nadmorskiego Cejlonu aż do gór, a także moje rodzinne Kraśne Skąły w Such-zen; widziałem co do jednego wszystkie obozowiska i sioła, kędym popasał. Widziałem je wszystkie jednocześnie i w jednym miejscu; albowiem one były we wnętrzu owej duszy. Dzięki temu poznałem, że Dusza wydobyła się ze złudy Czasu, Przestrzeni i Kształtów. Dzięki temu poznałem, że jestem wolny. Widziałem cię leżącego na tapczanie i widziałem cię, jak staczałeś się ze spadzistości górskiej przywalony przez onego bezbożnika... widziałem to i tamto, w jednym czasie, w jednym miejscu, w mej duszy, która, jak ci mówię, zetknęła się z Wielką Duszą. Widziałem również nierozumne ciało lamy Teshoo leżące na ziemi; obok niego zaś klęczał *hakim* dakkariski, krzycząc mu coś do ucha. Potem moja dusza została samiuteńka i nie widziałem już niczego, bo stałem się wszystkim, dotarłszy do Wielkiej Duszy. Potem jakiś głos krzyknął; „Co stanie się z chłopcem, gdy ty umrzesz?”. Więc zaczęła mną miotać litość nad tobą i rzekłem: „Powrócę do mego *cheli*, ażeby nie zbłądził z Drogi”. Na to moja dusza, to jest dusza lamy Teshoo, wyrwała się z Wielkiej Duszy — wśród niewymownych borykań, tęsknot, oszołomień i męczarni. Jak ikra z ryby, jak ryba z wody, jak woda z chmury, jak chmura z gęstego powietrza, tak wydarła się, tak wyskoczyła, tak wylała się, tak wyparowała z Wielkiej Duszy dusza lamy Teshoo. Potem jakiś głos zawołał: „Rzeka! Uwważaj na rzekę!”. Spojrzałem na cały świat, który był taki, jak widziałem go poprzednio: jeden w czasie i jeden w miejscu... i pod moimi stopami ujrziałem wyraźnie Rzekę Strzały! W ową godzinę dusza moja była spętana jakimś grzechem, od którego nie zdołałem się być oczyścić całkowicie; kładł się on na mych ramionach i okręcał dokoła mej piersi, ale odtrąciłem go od siebie i lotem orła pomknąłem na samo miejsce, gdzie płynęła rzeka; roztrącałem świat za światem wiedzion jeno myślą o tobie. Zobaczyłem pod sobą rzekę... Rzekę Strzały... a jej wody, w miarę jak szedłem, zwierzały się nade mną. I patrz, otom był z powrotem w ciele lamy Teshoo, ale wolny już od grzechu, a *hakim* z Dakki wydobywał mą głowę z nurtów Rzeki. Ona jest tutaj! Ona jest tutaj za gajem mangowym... właśnie tutaj!...

— Allah Kerim! O, jak to dobrze, że *babu* był w pobliżu! Czy bardzo się zamoczyłeś?

— Czyż mogłem na to zważać? Przypominam sobie, że *hakim* bardzo się troszczył o ciało lamy Teshoo. Wyciągnął je własnoręcznie ze świętej wody, potem zaś przybył twój koniarz, rodem z Północy, sprowadził łóżko polowe i ludzi; złożyli ciało na łóżku i zanieśli do domu *sahiby*.

— Cóż na to *sahiba*?

— Rozmyślałem w owym ciele, przetom nie słyszał. Tak więc skończyło się poszukiwanie... Za zasługę, jaką zdobyłem, znalazłem tu Rzekę Strzały. Wytrysła, jak przepowiadałem, pod naszymi stopami. Jam ją znalazł! Synu mej duszy, zawróciłem swą duszę od progu wolności, by wyzwolić ciebie od wszelkiej winy... jakom ja jest wolny i bez grzechu. Sprawiedliwe jest Koło! Pewne jest nasze oswobodzenie. Chodź!

Skrzyżował ręce na łonie i uśmiechnął się, jak potrafi się uśmiechać człowiek, który pozyskał Zbawienie — dla siebie i dla osoby umiłowanej.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kim>

Tekst opracowany na podstawie: Rudyard Kipling, *Kim*, tłum. J. Birkenmajer, Wydawnictwo Czasopism i Książek Technicznych Sigma Not, Warszawa 1990

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0349-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).